

PHILIPPA  
GREGORY



Ziemskie  
radości

Próchnyński i S-ka

Philippa Gregory  
Ziemskie Radości  
Przełożyła Ewa Teresa Witecka  
Wydawca Prószyński i S-ka SA  
Skan i korekta Roman Walisiak

W serii Biblioteczka Interesującej Prozy ukazały się m.in.:

A.S. Byatt

Cień Słońca, Panna w ogrodzie

John Irving

Modlitwa za Owena, Hotel New Hampshire, Metoda wodna,  
Jednoroczna wdowa, Świat według Garpa, Regulamin tłoczni win,  
Małżeństwo wagi półśredniej, Moje filmowe perypetie,

Ratować Proška, Uwolnić niedźwiedzie,

Czwarta ręka, Wymyślona dziewczyna, Syn cyrku

Michael Ondaatje

Oczy Buddy

Amos Oz

Tam, gdzie wyją szakale, Opowieść się rozpoczyna, Czarownik  
swojego plemienia

Georges Perec

Człowiek, który śpi

Pascal Quignard

Wszystkie poranki świata

Amy Tan

Sto tajemnych zmysłów, Żona kuchennego boga,

Klub Radości i Szczęścia, Córka Nastawiacza Kości

Sarah Waters

Złodziejka, Niebanalna więź

Virginia Woolf

Dama w lustrze.

Philippa Gregory  
Ziemskie Radości

Tytuł oryginału EARTHLY JOYS

Copyright © 1998 by Philippa Gregory All Rights Reserved

Projekt okładki: Dorota Malinowska, Barbara Wójcik

Ilustracja na okładce Ewan Fraser

Redakcja Ewa Witan

Redakcja techniczna Małgorzata Kozub

Korekta: Mariola Będkowska, Grażyna Nawrocka

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 83-7337-869-3

Wydawca Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna Spółka Akcyjna

03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Opis z okładki.

Philippa Gregory ukończyła studia historyczne na uniwersytecie w Sussex i uzyskała doktorat z literatury XVIII wieku na uniwersytecie w Edynburgu. Wykładała na uniwersytecie w Kingston. Mieszka wraz z rodziną w hrabstwie Sussex.

John Tradescant, podróżnik i ogrodnik,  
choć pochodzi z nizin społecznych,  
jest powiernikiem polityków,  
arystokratów i samego króla.

Tradescant jest ogrodnikiem genialnym,  
a jego zdrowy rozsądek i trzeźwe spojrzenie na świat  
czynią zeń sługę niezastąpionego,  
zwłaszcza gdy staje się świadkiem  
i uczestnikiem sekretnych intryg  
na dworze królewskim. Niestety, tak jak Karol I,  
i John traci głowę dla diuka Buckinghamama,  
najpotężniejszego człowieka w Anglii.

Wszystkie zasady, którymi kierował się  
do tej pory, zostają podważone,  
jego własny świat staje na głowie,  
a kraj zmierza nieuchronnie do wojny domowej.

Informacje o naszych książkach można znaleźć w witrynie  
internetowej [www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

\* \* \*

Rozdział Pierwszy.

Kwiecień 1603.

Żonkile były zaiste godne króla. Tysiąc delikatnych główek  
nachylało się i kołysało z wiatrem; jasne płatki i łodyżki poruszały  
się jak niedojrzały jęczmień na letnim wietrze, rozsypane na  
trawie, gęściej skupione wokół pni drzew, jakby były kroplami  
rosy. Wyglądały jak kwiaty rosnące dziko, ale tak nie było. John  
Tradescant je zaplanował, zasadził i pielęgnował. Spojrzał na nie  
teraz i uśmiechnął się, jak gdyby witał przyjaciół.

Sir Robert Cecil zbliżał się spiesznie, a odgłos nierównych  
kroków milorda natychmiast pozwolił go rozpoznać. John  
odwrócił się i zdjął kapelusz.

- Ładnie wyglądają - zauważył jego pan. - Żółte jak hiszpańskie  
złoto.

John zgiął się w ukłonie. Obaj byli prawie w tym samym wieku -  
przekroczyli trzydziestkę - ale lord miał zgarbione plecy, twarz  
pobrużdżoną zmarszczkami od pełnego pułapek życia na dworze i  
ból targającego jego pokrzywionym ciałem. Był niski, mierzył  
niewiele ponad półtora metra i wrogowie za plecami nazywali go  
karłem. Na przywiązującym dużą wagę do urody i mody dworze,  
gdzie powierzchowność była wszystkim, a mężczyznę osądzano  
po wyglądzie i wyczynach na łowach lub na polu bitwy,  
Robertowi Cecilowi przyszło rozpocząć życie z niemożliwymi do

pokonania przeszkodami: zgarbiony, mały i walczący z bólem.  
Przy nim ogrodnik Tradescant o ogorzałej twarzy

6

i prostych, silnych plecach wyglądał dziesięć lat młodziej. Czekał w milczeniu, aż sir Robert przemówi. Człowiek jego kondycji nie powinien odzywać się niepytany.

- Są jakieś wczesne warzywa? - zapytał jego lordowska mość. - Szparagi? Mówi się, że jego królewska mość lubi szparagi.

- Jeszcze na nie za wcześnie, milordzie. Nawet król, który dopiero co zasiadł na tronie, nie może polować na zwierzynę płową i jeść owoców w tym samym miesiącu. Na wszystko jest odpowiednia pora. Nie mogę wiosną zmusić śliw, by wydały dla niego owoce. Sir Robert uśmiechnął się lekko.

- Sprawiasz mi zawód, Tradescant. Myślałem, że potrafisz zmusić truskawki, by wyrosły w środku zimy.

- Myślę, że mógłbym ofiarować waszej lordowskiej mości truskawki w wigilię Trzech Króli, gdybym miał do dyspozycji cieplarnię, kilka ognisk, parę latarni i chłopca, który by nosił wodę i podlewał rośliny. - Tradescant zamyślił się na chwilę. - I światło - powiedział do siebie. - Myślę, że potrzebowałbym dużo światła słonecznego, żeby dojrzały. Nie wiem, czy wystarczyłyby świece czy też nawet latarnie.

Cecil obserwował go z rozbawieniem. Tradescant zawsze okazywał należny szacunek swemu panu, ale z łatwością zapominał o wszystkim oprócz roślin. Tak jak teraz potrafił zamilknąć, pochłonięty jakimś problemem związanym z ogrodnictwem, całkowicie ignorując chlebodawcę.

Przywiązujący większą wagę do swojej godności pan odprawiłby sługę za mniejsze uchybienie. Ale Robert Cecil cenił takie zachowanie. Wiedział, że ogrodnik Tradescant powie mu prawdę jedyny spośród całej jego służby. Wszyscy inni mówili to, co ich zdaniem jego lordowska mość pragnął usłyszeć. Była to jedna z niedogodności wysokiego urzędu i nadmiernego bogactwa. Sir Robert wiedział, że jedyna cenna informacja to ta, której udziela się nie ze strachu lub w nadziei na jakieś korzyści; ale

wiadomości, które mógł kupić jako zwierzchnik służb wywiadowczych, nie miały żadnej wartości. Tylko John Tradescant,

7

ponieważ nigdy nie przestawał myśleć o swoim ogrodzie, był zbyt zajęty, żeby kłamać.

- Wątpię, aby było to warte twoich wysiłków - zauważył sir Robert. - Na większość prac jest odpowiednia pora.

Usłyszawszy to porównanie między własną pracą i pracą swojego pana, John uśmiechnął się doń szeroko.

- A teraz nadeszła wasza pora, panie - odparł przenikliwie. - Wasze zbiory.

Odwrócili się razem i ruszyli w stronę wielkiego domu, Tradescant o krok za największym człowiekiem w całym królestwie, z pełną szacunku uwagą, lecz z każdym krokiem zerkając na boki. Miał dużo pracy w swoim ogrodzie - ale zawsze pragnął coś tam robić. Rosnące rzędami wzdłuż alei lipy wymagały ponownego podwiązania, zanim uniemożliwią to rosnące szybko wiosenne pędy, ogród warzywny należało przekopać; a rzodkiewki, pory i cebulę trzeba było zasiać w coraz mocniej ogrzewanej wiosennym słońcem ziemi. Długie kanały wodne, chluba Theobalds Palace, wymagały oczyszczenia z chwastów i pogłębienia; John jednak szedł powoli, jakby miał bardzo dużo czasu, o krok za swoim panem, na wszelki wypadek czekając w milczeniu, gdyby sir Robert chciał z nim porozmawiać.

- Postąpiłem właściwie - powiedział sir Robert na poły do siebie, na poły do swego ogrodnika. - Stara królowa\* umierała i nie miała następcy o tak słusznym prawie do tronu jak on.

\* Elżbieta I (1533-1603) z dynastii Tudorów, królowa Anglii i Irlandii, córka Henryka VIII (1491-1547) i Anny Boleyn (wszystkie przypisy tłumacza).

To znaczy nikogo zdolnego do sprawowania rządów. Nie chciała nawet słyszeć jego imienia, z królem Jakubem\* ze Szkocji trzeba było rozmawiać szeptem, jak gdyby Elżbieta podsłuchiwała we

wszystkich jego pałacach.

\* Jakub I Stuart (1566-1625).

Ale raporty przedstawiały go jako człowieka, który będzie umiał rządzić dwoma królestwami i może nawet je połączyć. A on ma synów i córkę - nie będzie zatem kłopotów z następstwem tronu. Jest też dobrym chrześcijaninem, nieskażonym papizmem. W Szkocji rodzą się niezachwiani w wierze protestanci. - Urwał na moment

8

i spojrzał na swój wielki pałac zbudowany na wysokim tarasie wychodzącym na Tamizę. - Nie skarzę się - przyznał uczciwie. - Dobrze mi zapłacono za moją pracę. I to jeszcze nie koniec. - Uśmiechnął się do swojego ogrodnika. - Mam zostać baronem Essenden. Tradescant się rozpromienił.

- Cieszę się z tego, milordzie. Sir Robert skinął głową.

- Wielka nagroda za trudną pracę. - Zawahał się. - Czasami czułem się nielojalny. Pisałem do niego list za listem, ucząc go zwyczajów naszego kraju, przygotowując do rządów. A ona niczego nie podejrzewała. Kazałaby mnie ściąć, gdyby się dowiedziała! Nazwałaby to zdradą, pod koniec życia nawet wypowiedzenie jego imienia uważała za zdradę. Ale on musiał być przygotowany.

Sir Robert zamilkł; Tradescant obserwował go z sympatią i współczuciem. Milord często przychodził, by zamienić z Johnem parę słów. Czasami rozmawiali o ziemi, o reprezentacyjnym ogrodzie, o sadach, parku, o sezonowych siewach i rozsadach lub nowych planach; niekiedy sir Robert mówił długo, otwarcie, wiedząc, że ogrodnik umie dochować tajemnicy i jest naprawdę lojalny. W dniu, kiedy lord powierzył mu park wokół Theobalds Palace, John został jego powiernikiem, zupełnie jak gdyby ukląkł i złożył swemu panu hołd lenny. To wielkie zadanie jak na dwudziestoczterolatka, ale sir Robert zaryzykował, uznając, że Tradescant temu podoła. Sam był wtedy młodzieńcem, który bardzo pragnął odziedziczyć stanowisko swego ojca na dworze; chciał też, by starsi i potężniejsi odeń dworzanie uznali jego

zasługi i zdolności. Podjął ryzyko, przyjmując Tradescanta, a potem królowa zaryzykowała, darząc zaufaniem jego samego. Teraz, sześć lat później, obaj wyuczyli się swojego fachu - jeden polityki, drugi ogrodnictwa - a Tradescant był bezgranicznie oddany swemu panu.

- Nie chciała, żeby o tym wiedział - ciągnął sir Robert. - Zdawała sobie sprawę, co by się stało, gdyby ogłosiła Jakuba swoim następcą; wszyscy opuściliby ją po cichu, uciekli Wielką Północną Drogą do Edynburga. Umarłaby w samotności, wiedząc, iż jest starą kobietą,

9

brzydką, starą kobietą bez krewnych, kochanków i przyjaciół. Musiałem sprawić, żeby aż do samego końca miała ich na każde zawołanie, byłem jej to winien. Ale i jemu byłem coś winien - musiałem wykształcić go najlepiej, jak umiałem, nawet na odległość. To miało być jego królestwo, musiał się nauczyć, jak nim rządzić, i tylko ja mogłem tego dokonać.

- A czy on teraz o tym wie? - rzucił John.

- Dlaczego o to pytasz? - zapytał czujnie sir Robert. - Są jakieś plotki, że nie wie?

John pokręcił głową.

- Nic nie słyszałem - odrzekł. - Ale on nie jest małym chłopcem znikąd. Na pewno ma swoje własne metody rządzenia. To dorosły mężczyzna i włada własnym królestwem. Zastanawiałem się, czy zechce słuchać waszych wskazówek, panie, zwłaszcza teraz, kiedy będzie miał wielu doradców. A to ma znaczenie.

Urwał, a sir Robert czekał, aż znowu zacznie mówić.

- Jeśli ma się do czynienia z dostojnikiem lub z królem - podjął John, starannie dobierając słowa - trzeba mieć pewność, że on wie, co robi. Ponieważ to on będzie decydował o tym, co ja mam zrobić. - Zatrzymał się i zerwał żółty kwiatek krzyżownika. - Kiedy człowiek staje się czyimś sługą, jest z tym kimś związany na dobre i na złe - dodał otwarcie. - Musi to być rozsądny pan, bo jeśli się pomyli, będzie skończony, a sługa razem z nim.

Cecil milczał na wypadek, gdyby John chciał coś dodać, ale ten



nieśmiało spojrział mu w oczy.

- Proszę o wybaczenie - powiedział. - Nie miałem na myśli tego, że król nie wie, co ma uczynić. Myślałem o nas, o jego poddanych.

Sir Robert skinieniem ręki dał mu do zrozumienia, że przyjmuje przeprosiny. Poszli razem wielką aleją przez rozległy parter węzłowy\* w stronę frontowego tarasu pałacu.

\* Elżbietański ogród otoczony niskimi żywopłotami, z połączonymi ze sobą rabatami i klombami geometrycznych kształtów i skomplikowanymi wzorami usypanymi ze żwiru i kolorowych kamyczków oraz precyzyjnie wystrzyżonymi krzewami. Rosły tam również niskie kwiaty starannie dobrane kolorami i pachnące zioła. Taki ogród należało oglądać z góry, z okien pałacu.

10

Ogród zaprojektowano w starym stylu i John niewiele w nim zmienił, odkąd zaczął tu pracować jako ogrodnik. Ojciec sir Roberta zaplanował wszystko z wyszukaną elegancją, charakterystyczną dla tego okresu. Ostro nakreślone geometryczne linie żywopłotów okalały połączenie różnokolorowego żwiru i kamyczków. Piękno tego ogrodu najlepiej można było ocenić, gdy patrzyło się z góry, z okien pałacu. Wtedy widać było śliczny ciąg wyraźnych diagramów, utworzonych przez żywopłoty i kamienie. John w głębi duszy żywił nadzieję, że zmieni ten ogród według zaleceń nowej mody - usunie regularne kwadratowe i prostokątne klomby i uczyni ze wszystkich oddzielnych kwietników jedną podłużną całość, podobną do haftowanej lamówki lub szarfy - misterny wzór, który będzie ciągnął się wciąż dalej i dalej. John zamierzał zaproponować owo połączenie klombów, kiedy jego pan będzie mniej zaabsorbowany dyplomacją.

Kiedyś przekonał sir Roberta do przekształcenia zgodnie z nową modą parteru węzłowego, który zamierzał jeszcze bardziej zmienić. Chciał usunąć żwir z figur geometrycznych otoczonych żywopłotami i wypełnić je ziołami, kwiatami i krzewami. Pragnął sprawić, by cały ten kształt o wyraźnych konturach zmiękł i

zmieniał się każdego dnia dzięki ziołom, listowiu i kwiatom, które będą kwitnąć i więdnąć, wyrastać, mieniać się świeżą zielenią, a potem blednąć. Żywił przekonanie, jeszcze niewypowiedziane na głos, prawie nieukształtowane, że ogród o kamiennych drózkach, do których przylegają wypełnione żwirem sztywne figury, ma w sobie coś martwego. Oczami wyobraźni Tradescant widział wylewające się ponad żywopłoty rośliny o żywych barwach, ciemnozielone, gęste listowie okalających żwir bukszpanów, a wszystko to miało w sobie coś bujnego, płodnego jak sama natura. Stworzył tę wizję na wzór żywopłotów i poboczy dróg w dzikich pustkowiach Anglii, wniósł tamto bogactwo barw do powierzonego mu ogrodu i narzucił mu porządek.

- Brakuje mi jej - przyznał sir Robert.

Słowa te przypomniały Johnowi jego prawdziwe obowiązki - był przecież powiernikiem duszy i serca swego pana, miał kochać to, co on kochał, myśleć tak samo, jak on,

11

i w razie potrzeby bez sprzeciwu pójść za nim w objęcia śmierci. Obraz kremowych, kołyszących się, podobnych do koronek kwiatów driakwi i strzępiastych stokrotek otoczonych żywopłotem z głogu w pierwszej mgiełce wiosennej zieleni zniknął natychmiast.

- Była wielką królową - powiedział. Twarz sir Roberta pojaśniała.

- Była - przytaknął. - Nauczyłem się od niej wszystkiego, co wiem o sztuce rządzenia państwem. Nigdy nie było bardziej przebiegłego od niej gracza. I to ona wyznaczyła swego następcę pod sam koniec, w sobie tylko właściwy sposób spełniając swój obowiązek.

- To wy go wyznaczyliście, panie - odparł sucho John. -

Słyszałem, że to wy odczytaliście proklamację ogłaszającą go królem, kiedy pozostali dostojnicy nadal skakali między nim i pozostałymi kandydatami jak pchły pomiędzy śpiącymi psami. Po ustach Cecila przemknął tak dlań charakterystyczny przebiegły uśmiech.

- Mam pewne wpływy - potwierdził. Dotarli do schodów

prowadzących na pierwszy taras. Sir Robert oparł się o mocne ramię Johna, który ostrożnie podtrzymywał ciężar drobnego ciała wielkiego człowieka.

- Nie zrobi nic niewłaściwego, kiedy ja będę go prowadził - powiedział w zamyśleniu sir Robert. - I ani ja, ani ty nie będziemy przegrani. Przejście spod panowania jednego władcy pod władzę drugiego wymaga dużych umiejętności, Tradescant.

John się uśmiechnął.

- Oby Bóg sprawił, żeby ten król mnie przeżył. Widziałem naszą królową, największą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek żyły na świecie; a teraz mamy nowego króla. Nie spodziewam się, że zobaczę ich więcej.

Weszli na taras. Sir Robert opuścił rękę, którą opierał o ramię ogrodnika, i wzruszył ramionami.

- Och! Jesteś jeszcze młody! Przeżyjesz króla Jakuba, a potem zobaczysz na tronie jego syna Henryka! Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości!

- Oby rządili długo i szczęśliwie! - odpowiedział z zapałem John. - Bez względu na to, czy zobaczę to, czy nie.

12

- Jesteś wierny i lojalny - pochwalił go sir Robert. - Czy ty nigdy nie masz żadnych wątpliwości, Tradescant?

John zerknął szybko na swojego pana, by sprawdzić, czy żartuje; ale sir Robert miał poważną minę.

- Wybrałem sobie pana, kiedy przybyłem do was, milordzie - odparł otwarcie. - Przyrzekłem wtedy, że nie będziesz miał wierniejszego ode mnie sługi. I przysięgłem wierność zmarłej królowej, a teraz czynię to dla jej następcy dwukrotnie co niedziela w kościele przed Bogiem. Nie jestem człowiekiem, który by kwestionował te sprawy. Składam przysięgę i to mi wystarcza. Sir Robert skinął głową. Wyznanie Tradescanta jak zawsze dodało mu otuchy, trafiło tak dokładnie, jak strzała do celu.

- To dawny zwyczaj - powiedział na poły do siebie. - Wiąż między panem i wasalem, prowadząca aż na szczyty królestwa. Łańcuch ciągnący się od najędźniejszego żebraka poprzez

najpotężniejszego lorda do króla i Boga nad nim. Mocno łączy cały kraj.

- Dobrze, kiedy ludzie są na swoich miejscach - zgodził się z nim Tradescant. - To tak jak w ogrodzie. Wszystko uładzone, na właściwych rabatach, przycięte w odpowiednie kształty.

- Bez dzikiego nieporządku? Bez opadających w nieładzie pnączy? - spytał z uśmiechem sir Robert.

- To nie jest ogród, to świat zewnętrzny - odrzekł z przekonaniem John.

Spojrzał w dół na opadający parterami węzłowymi ogród, na proste linie nisko przystrzyżonych żywopłotów i ostro zarysowane kontury kolorowych kamieni, a każda część tego wzoru znajdowała się na swoim miejscu, każdy kształt tworzył deseń, którego nie mogli zobaczyć wyraźnie nawet pracujący na dole robotnicy wyrywający zielsko. Żeby zrozumieć symetrię tego ogrodu, należało być szlachcicem - patrzeć nań z okien pałacu.

- Moim zadaniem jest zaprowadzanie porządku, by sprawić przyjemność memu panu - oświadczył Tradescant.

Sir Robert dotknął jego ramienia.

- Moim również.

13

Poszli razem wzdłuż tarasu do następnych wielkich schodów.

- Wszystko jest gotowe dla jego królewskiej mości? - zapytał sir Robert, znając już odpowiedź.

- Wszystko gotowe.

Tradescant zaczekał, czy jego pan zechce powiedzieć coś więcej, po czym uklonił się, cofnął i patrzył, jak sir Robert kuśtyka dalej, w stronę wielkiej rezydencji, by nadzorować przygotowania do odwiedzin Bożego pomazańca - nowego, wspaniałego króla Anglii.

Rozdział Drugi.

Kwiecień 1603.

Otrzymali wieści o przybyciu króla na długo, zanim pierwsi jeźdźcy z orszaku wjechali z tętentem przez wielką bramę. Pół kraju zgromadziło się, by zobaczyć nowego monarchę.

Podróżował z nim cały dwór - na jadących za karocami wozach wieziono wszystko, poczynając od srebrnych i złotych sztućców po obrazy. Stu pięćdziesięciu angielskich notabli od razu przyłączyło się do nowego władcy. Przewiązali czerwono-złotymi wstążkami kapelusze, by zademonstrować swoje oddanie. Ale razem z nim jechali również jego szkoccy dworzanie, skuszeni perspektywą łatwej zdobyczy z bogatych angielskich pałaców. Za nimi podążała służba domowa - po dwudziestu ludzi każdego lorda - a jeszcze dalej ich bagaże i konie. Była to podróżująca wielka kompania leni i próżniaków. W środku orszaku jechał król na wielkim czarnym koniu do polowania, ledwie widząc kraj, którym miał rządzić, gdyż przesłaniał go gęsty tłum lordów i szlachty.

Połowę ludzi z gminu, którzy przyłączyli się do podążającego zakurzonymi drogami orszaku, przy wielkiej bramie pałacu zawróciła czeladź sir Roberta - jego własna, prywatna armia - i król podjechał szeroką, wysadzaną drzewami aleją do siedziby potężnego dostojnika. Kiedy dotarł do niższego dziedzińca, dworzanie oddalili się, szukając swoich komnat i krzykiem ponaglając stajennych, by zajęli się końmi. Nowego monarchę powitał

15

najwyższy rangą sługa sir Roberta, ochmistrz jego dworu, który odczytał przemówienie na cześć króla przybywającego do swego królestwa. Potem sam sir Robert postąpił do przodu i ukląkł przed nowym władcą.

- Możesz wstać - powiedział burkliwie król. Jego akcent zdumiał poddanych, którzy dotąd słyszeli jedynie dźwięczny głos zmarłej królowej.

Sir Robert podniósł się niezdarnie z powodu kulawej nogi i zaprowadził dostojnego gościa do wielkiej sali Theobalds Palace. Król Jakub Stuart, choć w głębi duszy świadomy angielskiego bogactwa i angielskiego stylu, zatrzymał się w drzwiach i aż jęknął zaskoczony. Ściany i sufit sali były tak bogato rzeźbione w gałęzie, kwiaty i liście, że dawały złudzenie, iż jest się w lesie; w

ten ciepły, wiosenny dzień nawet dzikie ptaki się myliły: wlatywały i wylatywały przez wielkie, otwarte na oścież okna z dużymi szybami z drogiego weneckiego szkła. Był to efekt fantazji ucieleśniony w kamieniu, drewnie, drogocennych metalach i kamieniach szlachetnych, wręcz nadmiar szaleństwa i zbytku zdobiący wspaniałą salę wielką jak dwie stodoły.

- To jest wspaniałe! Ileż drogich kamieni w tych planetach! Jakież mistrzostwo sztuki snycerskiej!

Sir Robert uśmiechnął się najskromniej, jak mógł i lekko się uklonił; ale nawet mimo nabytych na dworze umiejętności panowania nad sobą nie zdołał ukryć dumy z posiadania tak wspaniałego pałacu.

- I ta ściana! - wykrzyknął król.

Była to ściana ukazująca drzewo genealogiczne Cecila. Inni, starsi dworzanie czy też członkowie znaczniejszych rodzin mogli szydzić z Cecilów, którzy przybyli z pewnej farmy w Herefordshire zaledwie przed kilkoma pokoleniami; ale ta ściana była odpowiedzią sir Roberta na wszelkie drwiny. Ozdobiono ją tarczą z inskrypcją -*Prudens qui patiens\**, dobrze wybraną dla rodu, który zrobił karierę w ciągu dwóch pokoleń, doradzając monarchom Anglii - i połączono gałęziami oraz wieńcami z liści laurowych z herbami i odgałęzieniami tej samej rodziny.

\* Mądry jest ten, kto jest cierpliwy (łac).

16

Te girlandy ukazywały rozmiary potęgi i wpływów Cecila. Miał on kuzyna lub kuzynkę w łożu każdego szlachcica w Anglii, toteż w tym lub innym czasie każdy szlachetny angielski ród szukał poparcia sir Roberta. Bujne girlandy rzeźbionego, wypolerowanego listowia, łączące jedną tarczę z drugą, wyglądały jak mapa potęgi Anglii, poczynając od centrum rodu, sir Roberta, najbliższego tronu, do najdalszych gałęzi - drobnych lordów i baronetów z północnych włości.

Na przeciwległej ścianie znajdował się wielki, ozdobiony planetami zegar, który pokazywał porę dnia w godzinach i w minutach, gdy padało nań światło. Wielka, masywna złota kula

przedstawiała słońce; z jednej jego strony znajdował się wykuty z czystego srebra księżyc, z drugiej zaś planety, wszystkie krążące po swoich orbitach. Każdą planetę wykonano ze srebra lub ze złota i inkrustowano drogimi kamieniami, każda pokazywała doskonały czas, każda swoją symetrią i pięknem przedstawiała naturalny porządek wszechświata z Anglią umieszczoną w jego centrum i stanowiła odbicie bogato zdobionej przeciwległej ściany, która ukazywała Cecila w środku Anglii.

Był to niezwykle przepych nawet w tak ogromnie bogatej rezydencji.

Król przenosił wzrok z jednej ściany na drugą, oszołomiony.

- Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego - powiedział.

- Mój ojciec był z tego bardzo dumny - odrzekł sir Robert.

Zaraz jednak zrozumiał, że powinien był raczej ugryźć się w język, niż wspominać Jakubowi o swoim ojcu. William Cecil był doradcą królowej Elżbiety, kiedy zastanawiała się ona nad skazaniem na śmierć swojej kuzynki, królowej Marii Stuart\* ze Szkocji.

\* Więzionej od roku 1568 i straconej w 1587.

To on położył dokument z wyrokiem śmierci na stole i powiedział królowej, że bez względu na to, czy Maria Stuart jest jej krewną czy nie, monarchinią czy nie, niewinną czy nie, musi umrzeć.

17

Oświadczył, że nie może zagwarantować bezpieczeństwa władczyni Anglii, póki żyje jej niebezpiecznie atrakcyjna rywalka. To William Cecil był odpowiedzialny za śmierć Marii, a teraz jego syn witał syna ściętej królowej w swoim domu.

- Muszę pokazać waszej królewskiej mości królewski apartament

- zreflektował się szybko sir Robert. - I jeśli będzie czegoś

brakowało, koniecznie proszę mi o tym powiedzieć. - Odwrócił

się i skinieniem ręki przywołał sługę trzymającego ciężką

szkatułę. Wprawdzie miał zostać przywołany nieco później, ale

postąpił szybko do przodu, przyklęknął i uniósł wieko.

Blask brylantów całkowicie zaćmił niewielki błąd Cecila. Jakub Stuart rozpromienił się z chciwości.

- Z pewnością niczego nie będzie brakowało - oświadczył. -  
Pokaż mi królewskie komnaty.

Cecil czuł się dziwnie, prowadząc tego krępego, niezbyt schludnego mężczyznę do komnat, które przedtem należały do królowej Anglii, i zawsze stały puste, gdy jej tam nie było, wypełnione tylko aurą jej królewskości. Kiedy tu rezydowała, podczas swoich długich i kosztownych odwiedzin, pachniały wodą różaną, kwiatami pomarańczy, najdroższymi ziołami i aromatycznymi kulkami. Nawet podczas nieobecności Elżbiety słaba woń jej perfum pozostała w komnacie, co sprawiało, że każdy wchodzący ze zdumieniem zatrzymywał się na progu. Istniała też tradycja, że krzesło królowej umieszczano na środku tego pokoju jak tron i że otaczała je aura jej autorytetu i władzy. Wszyscy, od służby do Cecila, składali ukłon, wchodząc do komnaty i wychodząc stąd - tak wielki był autorytet królowej Anglii nawet podczas jej nieobecności w Theobalds. Wydawało się dziwne, wbrew naturze i samo w sobie niewłaściwe, że jej następcą, którego nigdy nie widziała, którego imienia nienawidziła, mógł teraz przestąpić próg jej sypialni i wykrzyknąć z pełnym chciwością zadowoleniem na widok rzeźbionego, pozłacanego, ozdobionego drogocennymi zasłonami łoża Elżbiety oraz wiszących na ścianach gobelinów.

18

- To naprawdę pałac godzien króla! - zawołał Jakub; podbródek miał wilgotny, jakby ślinił się na sam ten widok.

Sir Robert ukłonił się uprzejmie.

- A więc pozostawiam tu waszą królewską mość. Komnata już traciła znajomy lekki zapach kwiatów pomarańczy. Nowy władca cuchnął końmi i starym potem.

- Zaraz zjem kolację - oświadczył.

Sir Robert złożył niski ukłon i wyszedł.

John doglądał ostatecznego wyboru jarzyn do kuchni, sprawdzając wielkie kosze, kiedy wynoszono je z lodowni w ogrodzie warzywnym, i dlatego nie widział przybycia królewskiego orszaku. W pałacowych kuchniach wrzało. Zajmujący się



przygotowaniem mięs kucharze byli spoceni i czerwoni jak wielkie oprawione zwierzęce tusze, a cukiernicy bladzi od mąki i ze zdenerwowania. Ogień huczał, buchając żarem w trzech ogromnych paleniskach, a obracający różny kuchcikowie upili się cienkim piwem, które pociągali chciwie wielkimi łykami. W pomieszczeniach, gdzie ćwiartowano tusze na różny, podłoga była śliska od krwi, a psy z obu dworów kręciły się wszędzie pod nogami, wylizując ją i pożerając wnętrzności.

W głównej kuchni roiło się od sług biegnących z tym czy innym poleceniem i aż huczało od wykrzykiwanych rozkazów. John dopilnował, żeby kosze z warzywami i kapustą trafiły do właściwego kucharza, i wycofał się pośpiesznie.

- Och, Johnie! - zawołała za nim jedna z podkuchennych, a potem spłonęła rumieńcem. - To znaczy, panie Tradescant!

Odwrócił się na dźwięk jej głosu.

- Czy będziesz jadł wieczerę w wielkiej sali? - spytała.

John zawahał się na chwilę. Jako ogrodnik sir Roberta bez wątpienia należał do jego domowników i mógł usiąść na końcu sali jadalnej, obserwując, jak wieczerza król. Miał prawo jeść przy niżej ustawionych stołach przeznaczonych dla sług i kucharzy - po podaniu głównego dania. Natomiast jako zaufany sir Roberta i architekt

19

jego ogrodów mógł nawet spożyć posiłek przy wyższym stole, w połowie sali; oczywiście poniżej szlachty, ale znacznie wyżej niż zbrojni i myśliwi. Gdyby sir Robert zapragnął mieć go w pobliżu, John mógłby stać przy boku swego pana, gdy temu podawano kolację.

- Nie będę dzisiaj jadł - postanowił, unikając wyboru, który powodował tak wiele komplikacji. Ludzie będą patrzeć, gdzie usiądzie, i snuć przypuszczenia co do jego wpływów i zażyłości z sir Robertem. John już dawno nauczył się od swego pana dyskrecji; nigdy nie chwalił się własną pozycją. - Ale pójdę na galerię, popatrzeć jak król się posila - dodał. - Mam ci przynieść talerz z dziczyzną? - zapytała i zerknęła na niego ukradkiem spod

czepka. Była ładną dziewczyną, osieroconą siostrzenicą jednego z kucharzy. Tradescant ze znużeniem poczuł, jak przeszywa go znajomy dreszcz podniecenia, normalny u mężczyzny, który zbyt długo z przymusu pozostaje kawalerem, że odzywa się w nim żądza, którą zawsze starał się powstrzymywać.

- Nie - odrzekł z żalem. - Przyjdę do kuchni, gdy już zostaną wniesione półmiski na królewski stół.

- Moglibyśmy zjeść razem trochę mięsiwa z chlebem i wypić dzban piwa - zaproponowała. - Kiedy skończę pracę, dobrze? John potrząsnął głową. Piwo byłoby mocne, a dziczyzna smaczna. I tylko w samym pałacu znalazłoby się nawet kilkanaście miejsc, gdzie mężczyzna i dziewczyna mogliby się spotkać sam na sam. A park to był jego własny teren. Z dala od sztywnego, reprezentacyjnego ogrodu z parterami węzłowymi kryły się leśne ścieżki i zaciszne zakątki: wspaniała łaźnia z białego marmuru z wodą pluskającą w basenach czy też pagórek z pergolą na szczycie, zasłoniętą jedwabnymi kotarami. Każda ścieżka prowadziła do altanki obsadzonej słodkimi pnącymi kwiatami, za każdym rogiem znajdowała się ławka osłonięta drzewami i niewidoczna ze ścieżki. Były tam letnie sale bankietowe, wiele zimowych szop, gdzie trzymano delikatne rośliny, i pachnące liśćmi cytrusów oranżerie, w których zawsze płonął ciepły ogień. Były też komórki z donicami

20

i narzędziami. Tak, w ogrodach Theobalds Palace było mnóstwo miejsc, gdzie John i ładna służebna mogliby pójść, gdyby ona chciała, a on wyzbył się przezorności. Dziewczyna miała tylko osiemnaście lat, jaśniała całym blaskiem urody, znajdowała się w rozkwicie kobiecości. John jednak był człowiekiem ostrożnym. Gdyby z nią poszedł, a ona zaszłaby w ciążę, musiałby ją poślubić i w ten sposób na zawsze straciłby nadzieję na spory posag i awans społeczny, na to, że przesunie się o szczebel wyżej na wysokiej drabinie, co tak starannie zaplanował dlań ojciec, kiedy przed dwoma laty zareczył go z córką pastora z Meopham w hrabstwie Kent. John nie zamierzał się żenić, póki nie zdobędzie

pieniędzy na utrzymanie żony, ani zrywać uroczystych zaręczyn. Elizabeth Day miała czekać na niego, aż jej posag i jego oszczędności zapewnią im bezpieczną przyszłość. Nawet zarobki Johna jako ogrodnika nie wystarczyłyby na zapewnienie dostatniego życia młodej parze w kraju, gdzie wartość ziemi rosła, a cena chleba zależała całkowicie od dobrej pogody; a jeśli Elizabeth okazałaby się płodna, rodzące się co rok dzieci ściągnęłyby ich w ubóstwo. John był zdecydowany utrzymać swoją dotychczasową pozycję w świecie i, jeśli to możliwe, poprawić ją.

- Catherine - rzekł - jesteś zbyt ładna jak na spokój mojego ducha, a nie mogę się do ciebie zalecać. I nie ośmielę się posunąć dalej.

- Moglibyśmy zrobić to razem - odparła z wahaniem. John potrząsnął głową.

- Nie posiadam nic oprócz zarobków, a ty nie masz posagu. Źle by nam się wiodło, panienko.

Ktoś zawołał ją od strony kuchennego stołu. Catherine zerknęła za siebie, postanowiła zignorować wołanie i podeszła bliżej do Johna.

- Dostajesz dużą pensję! - zaprotestowała. - I sir Robert ci ufa. Daje ci złoto na kupno drzew, a sam cieszy się łaskami króla. Ludzie mówią, że na pewno zabierze cię do Londynu, żebyś tam założył mu ogród.

John ukrył zaskoczenie na myśl, że Catherine go obserwuje i skrycie wzdycha do niego, tak jak on sam, mimo całej przezorności, obserwował ją i jej pragnął.

21

Ale ów przemyślany plan nie pasował do zakochanej osiemnastolatki.

- Kto tak mówi? - zapytał, starając się zachować obojętny ton. - Twój wuj?

Skinęła głową.

- Uważa, że masz wszelkie zadatki na wielkiego człowieka, chociaż jesteś tylko ogrodnikiem. Powiada, że ogrody są teraz niesłychanie modne, i że pan Gerard i ty jesteście do nich

stworzeni. Twierdzi, że mógłbyś zejść daleko, aż do Londynu. Może nawet wstąpić na służbę do króla! - Urwała, podniecona taką perspektywą.

John poczuł w ustach gorzki smak zawodu.

- Mógłbym. - Nie potrafił się oprzeć pokusie zbadania, co też Catherine do niego czuje. - A może wolałbym pozostać na wsi i próbować swoich sił w hodowaniu kwiatów i drzew? Czy poszłabyś ze mną do małej chatki, gdybym został zwyczajnym ogrodnikiem i uprawiał niewielki kawałek ziemi?

Dziewczyna cofnęła się mimo woli.

- Och, nie! Nie mogłabym znieść niczego pośledniego! Ale przecież na pewno tego nie pragniesz, panie Tradescant?

John pokręcił głową.

- Nie umiem powiedzieć.

Uświadomił sobie, że szuka słów, które umożliwiłyby mu pełen godności odwrót. Czuł, że rumieni się z pożądania, że krew w nim wrze. Jednocześnie zorientował się, co go, o dziwo, otrzeźwiło, że ta dziewczyna widzi w nim tylko środek do realizacji swoich ambicji i że nigdy nie pragnęła go dla niego samego.

- Nie mógłbym ci obiecać, że zabiorę cię do Londynu. Nie mógłbym ci obiecać, że dokądkolwiek cię zabiorę. Nie jestem w stanie obiecać ci ani bogactwa, ani sukcesu.

Catherine wydeła dolną wargę jak zawiedzione dziecko.

Tradescant wcisnął ręce głęboko w kieszenie kaftana, by nie objąć jej w pasie, choć najwyraźniej tego pragnęła, nie przytulić i nie pocieszyć pocałunkami.

- W takim razie możesz sam wziąć sobie jedzenie! -zawołała piskliwie i cofnęła się gwałtownie. -A ja znajdę sobie przystojnego młodzieńca, z którym zjem kolację.

22

Jakiegoś Szkota, mającego dobre stanowisko na dworze królewskim! Jest wielu takich, którzy mnie pragną!

- Nie wątpię w to - odparł John. - Ja również, ale...

Nie czekając na jego wyjaśnienia, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Minał go jakiś sługa z wielkim talerzem pełnym białego chleba, drugi biegł za nim z butelkami wina, trzymając po cztery w każdej ręce. John odwrócił się od hałaśliwego wejścia do kuchni i ruszył w stronę wielkiej sali.

Król pił czerwone wino, siedząc przy olbrzymim kominku. Zdążył się już porządnie upić. Nadal był brudny po polowaniu i podróży błotnistymi drogami i jeszcze się nie umył. W rzeczy samej, mówiono, że nigdy się nie myje, ale po prostu delikatnie wyciera jedwabnymi chustami obolałe i spuchnięte ręce. Brud pod paznokciami na pewno tkwił tam od czasu triumfalnego przybycia do Anglii, a prawdopodobnie jeszcze od dzieciństwa. Obok monarchy usiadł przystojny młodzieniec, ubrany bogato jak książę, ale nie był to ani Henryk, najstarszy syn i następca tronu, ani młodszy, Karol. Kiedy John stał tak w tyle sali i patrzył, król przyciągnął do siebie urodziwego towarzysza i pocałował go za uchem; strużka czerwonego wina kapnęła na białą kryzę młodzieńca.

Ktoś ryknął śmiechem w odpowiedzi na jakiś dowcip, a Jakub sięgnął ręką do krocza swego ulubieńca i ścisnął jego ocieplone wełną suspensorium\*.

\* Specjalny woreczek osłaniający genitalia.

Młody mężczyzna chwycił królewską dłoń i pocałował ją. Rozległ się głośny, sprośny śmiech, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, których na równi rozbawił ten sam dowcip. Nikt nawet nie zamilkł na chwilę, widząc króla Anglii i Szkocji, sięgającego brudną ręką do krocza kochanka.

John przyglądał się biesiadnikom, jak gdyby byli dziwolągami z jakiegoś innego kraju. Grube warstwy bielidła pokrywały twarze, szyje i ramiona kobiet, od wielkich peruk z końskiego wlosia do na pół obnażonych piersi. Damy dworu miały wyskubane i uczernione brwi, tak że oczy wydawały się nienaturalnie wielkie, oraz uróżowane usta.

23

Głęboko wycięte, kwadratowe dekolty odsłaniały ich bujne piersi, a obcisłe, haftowane i ozdobione drogimi kamieniami staniki

ściskały talie. Jedwabne i aksamitne suknie o żywych barwach błyszcząły w blasku świec, zdając się świecić własnym światłem. Król siedział rozwalony w fotelu w towarzystwie pół tuzina zauszników, z których większość była już pijana. Poza nimi wszyscy dworzanie i damy dworu pili mocne czerwone wino butelka za butelką, flirtowali i spiskowali, uczując bez opamiętania. Jedni bełkotali od nadmiaru trunku, drudzy mówili całkiem niezrozumiale z powodu wyraźnego szkockiego akcentu. Kilku z nich, widząc, że Tradescant im się przygląda, rozmawiało spokojnie po szkocku.

Później miało odbyć się przedstawienie, w którym Mądrość spotyka się ze Sprawiedliwością, i część dworzan włożyła już kostiumy. Wsparta o stół Sprawiedliwość była pijana jak bela, jedna ze służebnic Mądrości stała oparta o ścianę w głębi sali, a jakiś szkocki szlachcic zadzierał jej halki.

John, zdając sobie sprawę, że nie da się obserwować takiej sceny na trzeźwo, wziął kielich od mijającego go służącego i pociągnął spory łyk najlepszego wina. Pomyślał na moment o dworze zmarłej królowej, gdzie panowały nie tylko próżność i bogactwo, lecz także żelazna dyscyplina, gdyż owa despotyczna władczyni uznała, że skoro ona odmawia sobie przyjemności, to i reszta jej otoczenia musi pozostać cnotliwa. Wszędzie, dokądkolwiek się udała, urządzano zabawy, przedstawienia, bale i pikniki. Ale też wszędzie tam, gdzie sięgało srogie spojrzenie Elżbiety I, ściśle kontrolowano zachowanie dworzan i dam dworu. John pomyślał, że długa, podobna do karnawału podróż ze Szkocji do Anglii musiała być czymś niezwykłym dla angielskich dworzan. Tak, takie sceny dzieją się dlatego, że dworzanie zrozumieli, iż teraz wszystko jest dozwolone.

Król oderwał zaślinione usta od swego faworyta.

- Chcemy więcej muzyki! - krzyknął.

Na galerii muzykanci, którzy usiłowali zagłuszyć zgiełk panujący w wielkiej sali, zaczęli grać inną melodię.

24

- Taniec! - zawołał król.

Kilkoro dworzan stanęło w dwuszeregu i rozpoczęło taniec, a Jakub Stuart posadził sobie wystrojonego kochanka na kolanach i głaskał go po ciemnych, kędzierzawych włosach. Później pocałował go w usta.

- Mój śliczny chłopiec - powiedział.

John poczuł, że wino uderza mu do głowy. Obawiał się jednak, że żadne wino nie będzie dość mocne, by go przekonać, iż ta scena jest radosna, a nowy król - łaskawy. Takie myśli jednak to zdrada, a on, John, był zbyt lojalny, żeby sobie na to pozwolić. Dlatego odwrócił się i wyszedł z sali bankietowej.

Rozdział Trzeci.

Lipiec 1604.

Co z tego, co mamy, jest najbardziej imponujące? - Sir Robert natknął się na Johna w pachnącym ogrodzie, na kwadratowym wewnętrznym dziedzińcu, gdzie Tradescant zasadził jaśmin, kapryfolium i róże pod murami, żeby ożywić ich ponurą, szarą barwę. John stał na szczycie drabiny, przycinając kapryfolium, które właśnie przestało kwitnąć.

John spojrzał na swego pana i od razu dostrzegł nowe bruzdy zmęczenia i wyczerpania na jego twarzy. Pierwszy rok panowania nowego króla nie był synekurą dla jego sekretarza stanu. Cecila, jego rodzinę i zwolenników obsypano bogactwami i zaszczytami, ale w równej mierze obdarzano łaskami setki innych. Nowy władca, urodzony w biednym królestwie, uważał, że kufry skarbcza Anglii są bez dna. Tylko Cecil zdawał sobie sprawę, że bogactwa, które królowa Elżbieta I zgromadziła i których strzegła tak zazdrośnie, wypływają ze skarbcza w London Tower szybciej, niż zdołano by ponownie je tam zebrać.

- Imponujące? - spytał John. - Imponujący kwiat? Na widok osłupienia, które odmalowało się na twarzy ogrodnika, sir Robert roześmiał się głośno.

- Na Boga, Johnie, nie śmiałem się od tygodni. Ten przekłety hiszpański ambasador bez przerwy depta mi po piętach, a nasz monarcha w każdej dogodnej chwili wymyka się na polowanie, tamci zaś ciągle pytają mnie,

co król myśli. A ja nie mam odpowiedzi! Imponujące. Tak. Co z tego, co hodujemy, jest imponujące? John zastanawiał się przez chwilę.

- Nigdy nie myślę o roślinach, że są imponujące. Czy chcieliście, panie, powiedzieć: rzadkie? A może piękne?

- Rzadkie, dziwne, piękne. To ma być podarunek. Podarunek, na który ludzie będą patrzeć. Podarunek, który wprawi ich w zdumienie.

John skinął głową, zsunął się po drabinie jak chłopiec i energicznym krokiem ruszył w stronę ogrodu. Zaraz jednak przypomniał sobie, kogo prowadzi, i zwolnił.

- Nie pobłażaj mi! - warknął sir Robert, który szedł kilka kroków w tyle. - Mogę cię dogonić.

- Zwolniłem kroku, żeby się zastanowić, milordzie - odparł szybko John. - Kłopot w tym, że teraz, w środku lata, pora kwitnienia większości roślin już przeminęła. Gdybyście, panie, pragnęli czegoś niezwykłego przed paroma miesiącami, mógłbym wam dać kilka bezcennych tulipanów lub wielkich różowych żonkili, które w tym roku kwitły piękniej niż kiedykolwiek dotąd. Ale teraz...

- Nic? - zapytał jego pan ze zdumieniem. - Tyle akrów ogrodu i nie masz mi nic do pokazania?

- Nie powiedziałem, że nic! - zaprzeczył urażony Tradescant. - Mam kilka róż, które kwitną po raz drugi, równie pięknych jak inne w całym królestwie.

- Pokaż mi.

Tradescant zaprowadził sir Roberta na pagórek. Sztuczne wzniesienie było wysokie jak dwa domy, a na jego szczyt prowadziła droga dostatecznie szeroka, by dało się na nią wjechać na kucyku lub karetą. Na górze znajdował się pawilonik bankietowy z małym stolikiem i krzesłami. Czasami trójka dzieci Cecila lubiła jeść tutaj kolację, spoglądając w dół na całą posiadłość; ale on sam rzadko tu przychodził. Zbocze było dla niego zbyt strome i nie lubił, żeby widziano, że on jedzie, kiedy



jego dzieci idą.

Krętą, prowadzącą na szczyt drogę obsadzono z obu stron wszystkimi gatunkami angielskich róż, które Tradescant zdołał znaleźć w sąsiednich hrabstwach: kremowymi, brzoskwiniowymi, różowymi, białymi. Co roku szczepił nowe gatunki na starych gałązkach w nadziei

27

na wyhodowanie odmiany o nowej barwie, kształcie lub zapachu.

- Mówiono mi, że ta słodko pachnie - rzekł, wskazując różę o białych i szkarłatnych płatkach. - Róża z gatunku Rosamund, ale pachnąca.

Jego pan nachylił się i powąchał.

- Jak ci się udaje wyhodować pachnącą odmianę, kiedy sam nie możesz wyczuć zapachu? - zapytał.

John wzruszył ramionami.

- Pytam ludzi, czy moje róże ładnie pachną, ładniej niż inne. Ale trudno to osądzić. Zawsze opisują mi jakiś zapach takimi samymi słowami jak inny. A ponieważ nigdy nie miałem węchu, w niczym mi to nie pomaga. Mówią „cytrynowy”, jak gdybym wiedział, jak pachnie cytryna. Albo „miodowy”, a to również mi nie pomaga, gdyż myślę o pierwszym jako o kwaśnym, a o drugim jako o słodkim.

Robert Cecil skinął głową. Nie był człowiekiem, który litował się nad czyimś kalectwem.

- No cóż, ja uważam, że ładnie pachnie. Czy mógłbyś mi dostarczyć wielkie gałęzie tych róż w sierpniu?

John Tradescant się zawahał. Mniej uczciwy sługa powiedziałby „tak”, a potem w ostatniej chwili zawiódł swego pana. Albo zaproponowałby coś innego. John zaś po prostu pokręcił głową.

- Myślałem, że chcecie je mieć na dziś lub na jutro, milordzie.

Nie mogę dać wam róż w sierpniu. Nikt nie może.

Cecil odwrócił się i pokuśtykał w stronę pałacu.

- Chodź ze mną - rzucił krótko. Tradescant zrównał się z nim i Cecil oparł się o jego ramię. Ogrodnik przyjął na siebie to lekkie brzemię i ogarnęła go litość nad człowiekiem odpowiedzialnym za

rządy w trzech, nie, w czterech królestwach teraz, kiedy doszła Szkocja, a który przecież nie miał żadnej realnej władzy.

- To dla tego Hiszpana - powiedział półgłosem Cecil. - Potrzebny mi jakiś wspaniały dar. Co ludzie na prowincji myślą o pokoju z Hiszpanią?

- Myślę, że weń nie wierzą - odparł John. - Toczyliśmy wojnę z Hiszpanami tak długo i tak niewiele

28

dzieliło nas od porażki. Nie sposób myśleć o nich jak o przyjaciołach już następnego dnia.

- Nie mogę pozwolić, żebyśmy prowadzili wojnę w Europie. Zrujnujemy się, jeśli nadal będziemy posyłali ludzi i złoto do Niderlandów i do Francji. A Hiszpania już nam nie zagraża.

Muszę zawrzeć pokój.

- Dopóki tu nie przyjdą, nikt nie przejmuje się tym, co się dzieje w Europie, milordzie - powiedział John z wahaniem. - Zwyczajni ludzie troszczą się tylko o swoje domy i swoje własne hrabstwo. Połowie ludzi tutaj w Cheshunt lub Waltham Cross zależy tylko na tym, żeby w Surrey nie było Hiszpanów.

- I jezuitów - dodał Cecil, wypowiadając na głos najgorszą obawę.

John skinął głową.

- Uchowaj Boże. Nikt z nas nie chce znów widzieć płonących stosów na rynku.

Cecil spojrzał prosto w oczy swojemu ogrodnikowi.

- Jesteś dobrym człowiekiem - oświadczył krótko. - Dowiaduję się od ciebie więcej podczas jednego spaceru między pagórkiem a oranżerią niż od całej armii szpiegów.

Zatrzymali się. Wszystkie drzwi w pałacowej oranżerii były szeroko otwarte i podwójne, pomalowane na białą skrzydła wpuszczały do pomieszczenia ciepłe promienie letniego słońca. Delikatne drzewka pomarańczowe, cytrynowe i pędy winorośli nadal trzymano w środku - Tradescant słynał z ostrożności. Ale ponieważ była piękna pogoda, dojrzałe drzewa stały na zewnątrz, posadzone w wielkich beczkach z uchwytyami. Zdobiły w lecie

trzy centralne dziedzińce pałacu Theobalds i wnosiły tchnienie egzotyki do tej najbardziej angielskiej ze wszystkich arystokratycznych rezydencji. Na długo przed pierwszymi zapowiedziami przymrozków Tradescant polecił przenieść je z powrotem do oranżerii i kazał palić w piecach, żeby drzewka bezpiecznie przetrwały angielską zimę.

- Myślę, że pomarańcze nie są imponujące - powiedział. - Nie dla Hiszpanów, którzy mieszkają wśród gajów pomarańczowych.

Cecil już prawie się z nim zgodził, ale się zawahał.

- Ile pomarańczy zdołasz wyhodować?

29

John pomyślał o trzech drzewach - każde stało na środku jednego z dziedzińców.

- Chcielibyście, panie, żeby zerwać z nich wszystkie owoce? - zapytał.

Cecil skinął głową.

John przełknął ślinę na myśl o takiej ofierze.

- Baryłkę owoców. Do sierpnia może dwie. Cecil klepnął go po ramieniu.

- Właśnie to! - zawołał. - Cała rzecz w tym, żeby im pokazać, iż nie mają niczego, czego nam brak. Damy im wielkie gałęzie pomarańczy i w ten sposób się przekonają, że możemy mieć wszystko to, co oni. Że nie jesteśmy petentami ani pionkami w tej grze, ale jej potężnymi uczestnikami. Że mamy całą Anglię i również gaje pomarańczowe.

- Gałęzie? - spytał John. - Nie chcecie, milordzie, żeby zerwano z nich owoce?

Cecil potrząsnął głową.

- To dar dla króla, który będzie mógł ofiarować go hiszpańskiemu ambasadorowi. Ma wyglądać wspaniale. Beczkę pomarańczy można by kupić w porcie, ale nie wielką gałąź prosto z drzewa obciążoną owocami - po liściach poznają, że została niedawno ścięta. Muszą to być gałęzie z owocami.

John powstrzymał okrzyk bólu na myśl o brutalnym rąbaniu tak pięknych drzew.

- Oczywiście, milordzie - odparł.

Cecil, który od razu zrozumiał uczucia swego ogrodnika, objął go ramieniem i serdecznie pocałował w policzek.

- Johnie, sprawiłem, że ludzie oddawali za mnie życie z lżejszym sercem. Wybacz mi, ale potrzebuję wielkopańskiego gestu dla naszego króla. A twoje pomarańcze są barankiem ofiarnym. John zachichotał mimo woli.

- Będę czekać, aż mnie zawiadomicie, milordzie. Jak tylko rozkażecie, zetnę gałęzie i pošlę je do Londynu.

- Przywieź je sam - polecił mu Cecil. - Nie chcę, by popełniono jakikolwiek błąd, a ze wszystkich ludzi ty jeden będziesz ich strzegł tak, jakby były twoim pierworodnym synem.

Rozdział Czwarty.

Sierpień 1604.

Pomarańcze Johna były głównym punktem uczty, którą uczczono zawarcie pokoju. Król Jakub i książę Henryk wzięli Biblie i przysięgli przed angielskimi szlachcicami i hiszpańskimi posłami, że traktat londyński zaprowadza uroczysty i trwały pokój. Podczas wspaniałej ceremonii de Velasco wypił za zdrowie króla wino z agatowej czary wysadzanej brylantami i rubinami, a potem podarował ją Jakubowi. Stojąca obok królewskiego małżonka królowa Anna otrzymała kryształowy kielich i kolbę z trzema brylantowymi wisiorami.

Król Jakub skinieniem głowy dał znak Cecilowi, który odwrócił się do stojącego za nim Tradescanta. John postąpił do przodu, niosąc w ramionach wielką, rozłożystą gałąź obsypaną pomarańczami, gałąź o lśniących, zielonych liściach, z kroplami rosy nadal spływającymi po centralnych żyłkach, niemal zbyt ciężką, aby mógł ją udźwignąć. Owoce były okrągłe, dojrzałe, jarzyły się złotą barwą i pachniały słońcem. Król dotknął gałęzi i na ten znak Tradescant położył ją u stóp hiszpańskiego ambasadora, a jednocześnie dwaj pomocnicy ogrodnika wnieśli drugą gałąź, a potem trzecią, tworząc stos wonnego bogactwa.

- Pomarańcze, wasza królewska mość?! - wykrzyknął ambasador. Jakub uśmiechnął się i skinął głową.

- Na wypadek, gdybyś tęsknił za krajem, panie -oświadczył.  
De Velasco szybko omiół wzrokiem otoczenie.

- Nie miałem pojęcia, że wy, Anglicy, umiecie hodować pomarańcze w Anglii - powiedział z zazdrością. - Myślałem, że jest tu za zimno i zbyt mokro.

Robert Cecil zrobił niedbały gest.

- Och, nie - odrzekł nonszalancko. - Możemy wyhodować wszystko, czego zapagniemy.

Nieznany Johnowi paż przeszedł przez tłum, niosąc wielki kosz z owocami, a jeszcze jeden kroczył za nim z mniejszym koszykiem. Pośrodku jakichś aromatycznych liści z drzew południowych spoczywał duży, jasnozielony melon.

- Chwileczkę - odezwał się John. - Pozwól mi to zobaczyć.

Paż nosił liberię lorda Woottona.

- Daj mi przejść - powiedział nagłaco. - Mam podać te kosze królowi, aby ofiarował je hiszpańskiemu ambasadorowi.

- Skąd to masz? - syknął John.

- Z ogrodu lorda Woottona w Canterbury - odparł chłopiec i precisnął się obok Tradescanta.

- Ogrodnik lorda Woottona umie wyhodować melony?

- zapytał John. Odwrócił się do swojego sąsiada, ale nikogo oprócz niego nie obchodziło, jak lord Wootton hoduje melony w Canterbury.

Pytanie to pozostało bez odpowiedzi. W pobliskiej karczmie John odszukał ogrodnika lorda Woottona, który po prostu wyśmiał go i oświadczył, że istnieje na to pewien sposób, ale John musiałby wstąpić na służbę do lorda Woottona, jeśli chce się tego nauczyć.

- Czy sadzisz je w oranżerii? - zgadywał John. - Czy masz w środku grządkę?

Tamten wybuchnął śmiechem.

- Wielki John Tradescant pyta mnie o radę! - zakpił.

- Przybądź do Canterbury, panie Tradescant, a poznasz moje tajemnice.

John pokręcił głową.

- Wolę raczej służyć największemu panu w największych ogrodach Anglii - odrzekł wyniośle.
- Już niedługo pozostanie największym panem -ostrzegł go ogrodnik lorda Woottona.
- Dlaczego? Co chcesz przez to powiedzieć? Tamten przysunął się bliżej.
- Są tacy, którzy mówią, że swym postępowaniem podpisał własną dymisję - oświadczył. - Teraz, kiedy między Hiszpanią i Anglią panuje pokój, jest oczywiste, że panowie, którzy pozostali wierni prawdziwej wierze przez cały ten okres niepokoju i zamieszek, powrócą na dwór królewski. Papiści odzyskają dawną pozycję na dworze.

- Katolicy na dworze królewskim? - spytał John. -Przy takim królu jak nasz? Nigdy by tego nie zniósł.

Ogrodnik lorda Woottona wzruszył ramionami.

- Król Jakub to nie zmarła królowa. Lubi różnice zdań. Lubi dyskutować z katolikami. A królowa Anna uczestniczy w katolickich mszach. Mój pan też na nie uczęszcza, kiedy jest za granicą, i unika kościoła anglikańskiego, jak tylko może. A jeśli cieszy się łaskami króla, ofiarowując mu melony i tym podobne dary, w takim razie sprawy przyjmują nowy obrót. I tacy wytrwali, uparci obrońcy naszego Kościoła jak twój pan mogą się przekonać, że ich czas minął.

John skinął głową, postawił tamtemu jeszcze jedno piwo i opuścił karczmę, by odnaleźć Cecila.

Jego pan był na jednym z dziedzińców w Whitehall; właśnie zamierzał wsiąść na swą wielką łódź, by popłynąć w górę rzeki do Theobalds Palace.

- A, to ty, Johnie - powiedział na powitanie. -Wrócisz do domu razem ze mną czy pojedziesz wozem?

- Wrócę z wami, milordzie, o ile to możliwe - odrzekł John.

- A więc przynieś swoje rzeczy, gdyż zaraz wyruszamy. Chcę odpłynąć wraz z przyływem.

John pośpieszył po kuferek i wrócił, kiedy wielka łódź Cecila

miała odbić od brzegu. Wioślarze stali na baczność, z podniesionymi wiosłami. Proporce sir Roberta powiewały na dziobie i rufie. Robert Cecil siedział pośrodku, a baldachim nad głową i pled z boku miały go osłaniać

33

przed wieczornym chłodem. John zręcznie wskoczył na pokład i usiadł z tyłu, za złotym fotelem swego pana.

Zwinięto cumy i wioślarze zaczęli wiosłować równomiernie.

Wiosła pluskały w wodzie, łódź to płynęła, to zatrzymywała się na moment, by znów ruszyć dalej. Ten miarowy ruch usypiał i uspokajał, ale John nie odrywał wzroku od swego pana.

Pokryta przedwczesną siwizną głowa sir Roberta zakołysała się, a potem opadła na piersi. Królewski doradca był wyczerpany wielomiesięcznymi trudnymi negocjacjami i niekończącą się wymianą uprzejmości, a rozmawiano głównie po hiszpańsku. John przysunął się bliżej i czuwał nad snem swego pana. Tymczasem słońce stoczyło się ku ziemi, nadając niebu barwę złota i brzoskwini, i przemieniło rzekę w błyszczący szlak, który prowadził ich powoli i wytrwale do Theobalds Palace.

Kiedy niebo pociemniało i zabłyśły pierwsze gwiazdy, John zarzucił pled na zgarbione plecy swego pana. Najznamienitszy mąż stanu w Anglii, prawdopodobnie największy w Europie, był lekki jak dziewczyna. Jego głowa opadła na ramię Johna i tam już pozostała. John przytulił go do siebie i czuwał nad jego odpoczynkiem, kiedy tak płynęli wraz z falą przyływu w górę rzeki.

Tuż przed przystanią przy Theobalds Palace Cecil się obudził. Uśmiechnął się, gdy zobaczył, że John go obejmuje.

- Dziś wieczorem byłeś dla mnie ciepłą poduszką - zauważył wesoło.

- Nie chciałem wam przeszkadzać, panie - odparł ogrodnik. - Wyglądaliście na zmęczonego.

- Byłem zmordowany jak zgoniony pies. - Cecil ziewnął. - Ale teraz będę mógł odpocząć przez kilka dni. Hiszpanie odpłynęli, a król wróci do Royston na polowanie. Możemy znów zająć się

pielęgnacją twoich drzewek pomarańczowych, by odzyskały dawny wygląd, co, Johnie?

- Jest pewna sprawa, milordzie - powiedział ostrożnie ogrodnik. - Coś, co usłyszałem i o czym moim zdaniem wasza lordowska mość powinien wiedzieć.

Cecil natychmiast się ocknął, jak gdyby wcale nie drzemał.

34

- Jaka to sprawa? - spytał cicho.

- Sługa lorda Woottona dał mi do zrozumienia, że teraz, po zawarciu pokoju z Hiszpanią, katolicy powrócą na dwór królewski i będziecie mieli, panie, nowych rywali w walce o pozycję i łaskę króla. Wie, że królowa została papistką i uczestniczy w katolickich mszach. I określił swojego pana jako człowieka, który czci Boga na dawny sposób, kiedy tylko może, gdy jest za granicą, a w kraju unika naszego Kościoła.

Cecil powoli skinął głową.

- Coś jeszcze?

John potrząsnął przecząco głową.

- A nie mówią, że jestem na żołdzie Hiszpanii? Że dostałem skrzynie złota, żeby doprowadzić do zawarcia traktatu pokojowego?

Słowa te wstrząsnęły Johnem do głębi.

- Na Boga, milordzie! Nie! Cecil wyglądał na zadowolonego.

- A więc jeszcze o tym nie wiedzą. Zerknął na zdumionego Johna i zachichotał.

- Ach, Johnie, Johnie, nie zdradzam mojego króla, biorąc pieniądze od jego wrogów. Zdradziłbym go, gdybym wziął pieniądze od jego wrogów, a potem wykonywał ich rozkazy. Robię to pierwsze, ale nie robię drugiego. Za hiszpańskie złoto kupię dużo ziemi i spłacę moje długi w Anglii. W ten sposób Hiszpanie wynagrodzą ciężko pracujących angielskich mężczyzn i kobiety.

Lecz słowa te najwidoczniej nie pocieszyły Johna. Cecil ścisnął go za ramię.

- Musisz uczyć się ode mnie - wyjaśnił. - Nie ma żadnych zasad;



jest tylko praktyka. Przyjrzyj się praktyce i pozwól innym martwić się o zasady.

John skinął głową, choć niewiele z tego rozumiał.

- A co się tyczy powrotu katolickich lordów - powiedział w zamyśleniu Cecil. - Nie obawiam się ich. Jeżeli owi katolicy będą żyli w Anglii w pokoju, przestrzegając naszych praw, mogę tolerować kilka nowych twarzy w radzie królewskiej.

- Czy oni przysięgli posłuszeństwo papieżowi? Cecil wzruszył ramionami.

35

- Wcale mnie nie obchodzi, co myślą prywatnie - ciągnął. - Interesuje mnie to, co robią publicznie. Jeżeli pozwolą porządnym ludziom żyć w zgodzie z ich sumieniem w ładzie i w pokoju, wtedy będą mogli oddawać cześć Bogu na swój własny sposób. - Urwał. - Obawiam się nielicznych gorliwców - dodał cicho. - Bezmyślnych szaleńców, których nic nie obchodzi umowy i porozumienia, którzy po prostu chcą działać. Woleliby umrzeć za swoją wiarę, niż żyć w pokoju z sąsiadami.

Łódź uderzyła lekko o drewniany pomost i wiosłarze unieśli wiosła. Na przystani i po obu stronach szerokiej, zasypanej liśćmi alei prowadzącej do Theobalds Palace zapalono latarnie, żeby oświetlić sir Robertowi drogę do domu.

- Jeżeli spróbują zakłócić w kraju pokój, który tak usilnie starałem się zaprowadzić, wtedy koniec z nimi - oświadczył łagodnie Cecil.

Rozdział Piąty.

Październik 1605.

Pokój, który starał się zaprowadzić Robert Cecil, nie nastąpił od razu. Rok później, w środku jesieni, John zobaczył jednego ze sług pałacowych schodzącego po mokrych stopniach tarasu do ogrodu z parterami węzłowymi, gdzie sam właśnie pracował. Jego lordowska mość w końcu zgodził się, żeby ogrodnik usunął żwir z obwódki żywopłotowych i zastąpił go roślinami. John właśnie sadił odporne na zimno krzaczki lawendy, która, jak sądził, w zimie stanie się piękna, pokryje się szronem i będzie przypominać

białe ptasie pióra. Miał też nadzieję, że przekona swego pana, iż w ogrodzie można wyhodować pełno roślin o tak doskonałych kształtach jak te wykonane z kamieni.

- Jego hrabiowska mość chce cię widzieć - oświadczył sługa, kładąc nacisk na nowy tytuł ich pana, by dać wyraz zadowoleniu, które podzielali wszyscy domownicy. - Chce cię widzieć w swojej prywatnej komnacie.

John wyprostował się, czując niepokój.

- Będę musiał się umyć i zmienić ubranie - odparł, pokazując zabłocone ręce i stare spodnie.

- Powiedział: natychmiast.

Tradescant pobiegł w stronę pałacu, wszedł przez boczne drzwi przy Królewskim Dziedzińcu, minął wielką salę, cichą i ciepłą w jesiennym popołudniu po zgiełku i wrzawie południowego posiłku, a później otworzył małe drzwi

37

za lordowskim krzesłem, które prowadziły do prywatnych pokoi sir Roberta.

Paru paziów i lokajów sprzątało pierwszą komnatę, a kilku dworzan grało w karty przy stoliku. John minął ich i zapukał do drzwi. Dźwięki irlandzkiej harfy, na której ktoś grał lamento, ucichły nagle i jakiś głos powiedział:

- Wejdz!

John uchylił drzwi i wślizgnął się do środka. Zdziwiło go, że jego pan jest zupełnie sam; siedział przy biurku z harfą na kolanach. Natychmiast obudziło to czujność Johna.

- Przyszedłem natychmiast, ale jestem brudny - powitał swego chlebowawcę.

Chciał, żeby Robert Cecil podniósł na niego wzrok, ale hrabia siedział z pochyloną głową, wpatrując się w harfę. John nie widział go dobrze ani nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy.

- Sługa powiedział, że to ważne. Postać przy biurku trwała nieruchomo. W komnacie zapadło milczenie.

- Na Boga, milordzie, powiedzcie, że dobrze się czujecie i że z wami wszystko w porządku! - wybuchnął wreszcie John. Cecil

wreszcie spojrział w górę i na jego twarzy, zazwyczaj wykrzywionej bólem, pojawił się figlarny wyraz. Oczy mu błyszczały, a na ustach, pod starannie utrzymanymi węsami, igrał uśmiech.

- Muszę zagrać w pewną grę, Johnie. Jeśli mi w tym pomożesz. Widząc swego pana wesołym, John poczuł tak wielką ulgę, że zgodził się od razu, bez namysłu.

- Oczywiście.

- Usiądź.

John przysunął stojący w pobliżu stołeczek do biurka z ciemnego drewna i obaj mężczyźni zaczęli rozmawiać, głowa przy głowie. Robert Cecil mówił tak cicho, że nie zdołałby ich usłyszeć nawet człowiek przebywający w tej samej komnacie, a tym bardziej ktoś, kto by się krył za drzwiami.

- Mam list, który trzeba dostarczyć lordowi Monteagle - szepnął.

- Dostarczyć tylko jemu i nikomu innemu.

38

John skinął głową i odchylił się do tyłu.

- Mogę to zrobić.

Cecil znów przyciągnął go bliżej.

- Nie potrzebuję tylko posłańca - rzekł cicho. - Treść tego listu wystarczy, aby powieszono i Monteagle'a, i posłańca. Nikt nie może cię zobaczyć, gdy będziesz niośł ten list, ani kiedy będziesz go oddawał. Twoje życie zależy od tego, czy dotrzesz do Monteagle'a tak, żeby nikt cię nie zauważył.

John otworzył szerzej oczy.

- Zrobisz to dla mnie?

Na moment zapadło milczenie.

- Oczywiście, milordzie. Jestem waszym sługą.

- Nie chcesz wiedzieć, co jest w tym liście? John ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

Cecil, rozbawiony widokiem oniemiałego ze zdumienia Tradescanta, nie wytrzymał i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Johnie, mój Johnie, jakież kiepski byłby z ciebie spiskowiec.

Ogrodnik skinął głową.

- To nie mój zawód - oświadczył szczerze, z godnością. - Jest tu wielu sług bardziej zaprawionych do tej profesji. Ale jeśli chcecie, panie, żebym wziął jakiś list i dostarczył go niepostrzeżenie, zrobię to. - Urwał na moment. - Czy to nie zgubi lorda Monteagle'a? Nie chciałbym być Judaszem.

Cecil wzruszył ramionami.

- Sam list nie jest niczym więcej niż słowami na papierze. To nie trucizna, nie zabije go. Tylko od niego zależy, co zrobi potem. Ten wybór zadecyduje o jego losie.

Johnowi wydało się, że pływa po głębokiej, mętnej wodzie.

- Zrobię to, czego sobie życzycie, milordzie - mruknął, całym wysiłkiem woli jak topielec brzytwy trzymając się wiary w swego pana i przysięgi na wierność, którą złożył mu w duchu przed laty. Cecil odchylił się do tyłu i cisnął na stół nieduży pakiecik. Był zaadresowany do lorda Monteagle'a, ale charakter pisma wskazywał, że nie napisał go ani Robert Cecil, ani żaden z jego sekretarzy.

- Dostarcz mu go dziś w nocy - polecił hrabia. - Nie zawieźdź mnie.

39

Łódź czeka na ciebie przy nabrzeżu. Dopilnuj, żeby nikt cię nie zobaczył ani na ulicy, ani w jego domu, ani z tym listem. Jeśli cię schwytają, zniszcz go. Jeżeli będą cię przesłuchiwać, zaprzecz wszystkiemu. Tradescant skinął głową i wstał.

- Johnie! - zawołał sir Robert, kiedy ogrodnik dotarł do drzwi. John się odwrócił. Earl siedział przy biurku. Jego twarz i cała postać promieniały radością, jaką sprawiało mu uczestnictwo w spiskach, oszustwach i politycznych gierkach - a znał się na nich wyśmienicie. - Nie powierzyłbym tego nikomu innemu - oświadczył.

John napotkał spojrzenie swego pana i poczuł radość, że jest jego zaufanym sługą. Ukłonił się i odszedł.

Najpierw poszedł do reprezentacyjnego ogrodu z parterami węzłowymi i zebrał narzędzia. Rośliny, których jeszcze nie posadził, zaniósł na grządkę z rozsada i umieścił je tam z

powrotem. Nawet najczarniejsza zdrada nie mogła zmusić Johna Tradescanta, by zapomniał o swoich podopiecznych. Omiótł wzrokiem otoczone murem rabatki z rozsadam. Nikogo tam nie było. Podniósł się, otrzepał ręce z ziemi, a potem poszedł do szopy z donicami, gdzie przedtem zostawił zimową opończę. Przewiesił ją przez ramię, jakby szedł do kuchni, żeby coś przekąsić, ale zamiast tego skręcił w stronę rzeki.

Łódź czekała już przy prywatnym nabrzeżu sir Roberta, oprócz przewoźnika nikogo tam nie było.

- Do Londynu? - spytał mężczyzna bez większego zainteresowania. - Śpieszy ci się?

- Tak - odrzekł lakonicznie John.

Wszedł do niewielkiej łodzi, która zakołysała się pod jego ciężarem. Pomyślał, że to zapewne dlatego serce nagle zaczęło mu bić młotem. Usiadł na dziobie, żeby przewoźnik nie widział jego twarzy, otulił się szczelniej opończę i nacisnął kapelusz na oczy. Nie miał żadnych wątpliwości, że odbijające się w wodzie promienie słońca wskazują na niego niczym oskarżycielski palec, tak że każdy rybak, każdy zdążający brzegiem przechodzień, kramarz czy żebrak przyglądają mu się uważnie, kiedy łódka mknęła szybko z prądem.

40

Rzeka płynęła wartko do Londynu, a odpływ właśnie się zaczął. Podróżowali prędeej, niż John zakładał. Dlatego kiedy łódź uderzyła o stopnie Whitehall i Tradescant wyskoczył na brzeg, wokół panował dopiero półmrok. John uznał, że mdli go od kołysania łódki. Nie chciał zaakceptować prawdziwej przyczyny tego stanu: strachu.

Nikt nie zwrócił uwagi na robotnika w naciśniętym na oczy kapeluszu, owiniętego po uszy opończę. Setki, tysiące takich mężczyzn jak on przemierzało teraz Londyn, zdążając do domów na wieczerzę. John znał drogę do rezydencji lorda Monteagle'a i przemykał się z cienia w cień, stąpając prawie bezgłośnie po brudnych, błotnistych ulicach.

Dom lorda Monteagle'a oświetlały podwójne pochodnie zatknięte

w kinkietach na zewnątrz. Drzwi frontowe były szeroko otwarte, a służby, pieczeniarze, przyjaciele i żebracy wchodzili i wychodzili nieniekajeni przez nikogo. Jego lordowska mość jadł kolację przy ustawionym najwyżej stole na honorowym miejscu w wielkiej sali, wokół niego bez przerwy tłoczyło się mnóstwo osób: przyjaciele domu, lokaje, członkowie świty i, w przeciwnym krańcu pomieszczenia, petenci oraz prości ludzie, którzy chcieli zobaczyć pana tego domu przy uroczystym posiłku. John zatrzymał się, obserwując tę scenę.

Kiedy tak czekał i patrzył, jakiś mężczyzna dotknął jego ramienia, chcąc go minąć. Ogrodnik rozpoznał w nim sługę lorda Monteagle'a imieniem Thomas, śpieszącego na wieczerzę. John trzymał list w pogotowiu i wiedział, co ma zrobić.

- Chwileczkę - powiedział półgłosem i wcisnął tamtemu pakiecik do ręki. - Dla twojego pana. W imię miłości Maryi.

Wiedział, jak wielkie wrażenie wywrze to imię. Thomas wziął list i zerknął na Johna, który zdążył już się odwrócić i dał nurka w bok, znikając tamtemu z oczu. Wybrał stosowną chwilę, a potem wyrzwał ostrożnie.

Thomas Ward wszedł przez wielkie podwójne drzwi i skierował się ku szczytowi stołu. Szepnął coś do ucha swemu panu i podał mu pismo. Zadanie wykonane. John znów wyszedł na ulicę i ruszył przed siebie, starając się nie śpieszyć, wysiłkiem woli opierając się pokusie,

41

by pobiec co sił w nogach. Szedł spokojnie, jakby był głodnym robotnikiem zdążającym do jakiejś karczmy na wieczorny posiłek. Kiedy skręcił za róg i nie usłyszał ostrzegawczych okrzyków i odgłosów pogoni, przyspieszył kroku - maszerował teraz szybko, jak człowiek, który wie, że powinien być w domu o określonej porze. Jeszcze jeden zakręt i John puścił się biegiem, jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę, że może się spóźnić na jakieś spotkanie i ma nadzieję, że jednak zdąży. Uważnie przyglądał się ubitej ziemi i kocim łbom na ulicy, żeby się nie potknąć i nie upaść, i nie zwolnił kroku, aż minęło dziesięć, może piętnaście minut, odkąd

opuścił rezydencję lorda Monteagle'a. Był zdyszany, lecz bezpieczny.

Zjadł kolację w którejś karczmie nad rzeką, a potem poczuł, że jest zbyt zmęczony, by wracać do Theobalds Palace. Skierował się więc do domu swego pana w pobliżu Whitehall, gdzie mógł zawsze liczyć na miejsce pod dachem i łóżko. Przespał się w izbie na strychu wraz z dwoma innymi sługami, którym powiedział, że posłano go po pewien rarytas obiecany przez kupca z Indii Wschodnich, ale się okazało, iż nie było to nic nadzwyczajnego. Kiedy wszystkie zegary w Londynie wybiły godzinę ósmą, John zszedł do wielkiej sali i jakby za sprawą czarów ujrzał tam swego pana, który również przybył do stolicy, a teraz zaspokajał głód, siedząc na okazałym krześle u szczytu dużego stołu ustawionego na podwyższeniu. Cecil Robert uniósł brew na jego widok, John odpowiedział ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Pan i sługa, znajdujący się na przeciwległych krańcach jadalni, rzucili się na chleb, ser i piwo i zaczęli jeść ze smakiem.

Cecil skinął na Johna długim palcem.

- Mam dla ciebie pewne proste zadanie na dzisiaj, a potem będziesz mógł wrócić do Theobalds Palace -oznajmił.

John czekał.

- W Whitehall jest pewna izdebka, gdzie przechowuje się drewno na podpałkę. Chciałbym, żebyś je zmoczył, by uniemożliwić pożar.

John ściągnął brwi, widząc figlarną minę swego pana.

- Milordzie?

42

- Mam chłopca, który pokaże ci drogę - ciągnął gładko sir Robert.

-Weź parę wiader i dopilnuj, żeby drewno porządnie przemokło. I wróć niezauważony, Johnie.

- Jeżeli istnieje groźba wybuchu pożaru, powinienem opróżnić tę izdebkę - zaproponował Tradescant. Miał wrażenie, że pływa po głębokiej, niebezpiecznej wodzie, a wiedział, że to ulubiony żywioł jego pana.

- Każę ją opróżnić, kiedy się dowiem, kto podłoży tam ogień -

odparł bardzo cicho Cecil. - Teraz po prostu zmocz drewno.

- A potem wrócę do mojego ogrodu - oświadczył Tradescant.

Cecil uśmiechnął się, słysząc stanowczy ton ogrodnika.

- Kiedy twoje zadanie tutaj będzie skończone, idź i posadź coś.

Moja praca właśnie osiągnęła punkt kulminacyjny.

Dopiero po piątym listopada John się dowiedział, że Spisek Prochowy odkrył lord Monteagle, który otrzymał list doradzający mu, żeby nie zbliżał się do gmachu parlamentu. Lord Monteagle, całkiem słusznie, zaniósł ten list do sekretarza stanu Roberta Cecila, który, nie mogąc zrozumieć treści tajemniczego pisma, przedstawił całą sprawę królowi. Król, bardziej rozgarnięty od nich wszystkich - ach, nie mogli się nachwalić jego przenikliwości! - rozkazał przeszukać wszystkie pomieszczenia parlamentu. Wśród stosów drewna znaleziono ukrytego Guya Fawkesa, a w pobliżu stały beczki z prochem strzelniczym. Na fali antykatolickiego oburzenia Cecil przeforsował prawa umożliwiające kontrolę papistów i zlikwidował resztki opozycji przeciwko anglikańskiej sukcesji. Jedno przyznanie się do winy prowadziło do następnego; oskarżono o zdradę kilka zdesperowanych, niebezpiecznych rodów, a młodych mężczyzn, którzy postawili wszystko na beczkę z wilgotnym prochem, schwytano, poddano torturom i stracono. Ten jeden nieudany spisek zwrócił wszystkich, poczynając od króla aż po najuboższego żebraka, przeciw katolikom. Wielka fala wzburzenia wstrząsnęła Anglią. A tak straszliwe zagrożenie życia króla, jego żony i dwóch małych królewiczów sprawiło, że żaden europejski monarcha,

43

katolik czy protestant nie miał już nigdy spiskować z angielskimi katolikami. Królowie Hiszpanii i Francji przede wszystkim byli monarchami, a dopiero później katolikami. I jako monarchowie nigdy nie zamierzali tolerować próby królobójstwa.

Jeszcze większe znaczenie dla Cecila miał fakt, że parlament, przerażony myślą o tym, co by się stało, gdyby Monteagle nie okazał się wiernym poddanym, a król - przenikliwym władcą,



przyznał Jakubowi Stuartowi nadzwyczajne dotacje na ten rok i tym sposobem odsunął o kolejne dwanaście miesięcy grożący państwu kryzys finansowy.

- Dziękuję ci, Johnie - powitał go Cecil na początku grudnia po powrocie do Theobalds Palace. - Nie zapomnę ci tego.

- Ja nadal nic nie rozumiem - odrzekł Tradescant. Cecil rzucił mu szeroki, chłopięcy, konspiracyjny uśmiech.

- I lepiej, żebyś nie rozumiał - powiedział serdecznie.

Rozdział Szósty.

Maj 1607.

Po pierwszej udanej wizycie w Theobalds Jakub Stuart nie zamierzał trzymać się z daleka od pałacu. Każdego lata żarłoczny jak szarańcza dwór podążał z Londynu na wieś, by zatrzymać się w rezydencji sir Roberta, a potem objeżdżać wciąż te same okoliczne bogate posiadłości. Ich właściciele zbierali wszelkie rezerwy, by wytrzymać niewyobrażalne koszty królewskich odwiedzin, i oddychali z ulgą, kiedy dwór ruszał dalej.

Oczywiście król mógł obsypać gospodarza zaszczytami lub łaskami bądź nawet pozwolić mu ściągać nowe podatki od jakiejś walczącej o swój byt grupy rzemieślników, a wtedy obdarowany miał szansę nieźle się wzbogacić; lecz dostojny gość mógł też po prostu uśmiechnąć się i ruszyć dalej. Bez względu na to, czy Jakub Stuart płacił za gościnę przywilejami lub podziękowaniami, uhonorowani wizytą monarchy dostojnicy musieli dostarczać mu najlepszego jadła, najlepszych win, urządzać najlepsze polowania i wynajdywać najlepsze rozrywki.

Nauczyli się tego wszystkiego od królowej Elżbiety; prześcigali się w gościnności, nadzwyczajnych podarunkach i ostentacyjnych pochlebstwach. Ale król Jakub I żądał tego wszystkiego i jeszcze więcej. Należało uhonorować również jego faworytów. Król spędzał dni na niekończących się rozrywkach, polując, polując i polując, aż gajowi stali się uprzywilejowanymi poddanymi i nikt

45

nie ośmielił się ściąć drzewa w lesie, który król znał i kochał. Jego

wieczory wypełniała parada przystojnych mężczyzn i pięknych kobiet. Nikt mu nie odmawiał. Nikt nawet o tym nie pomyślał. Wszystkie życzenia nowego króla musiały być spełniane. Nawet gdyby zapragnął samego Theobalds Palace.

- Będę musiał mu go dać. - Sir Robert wyszedł z pałacu, jak często czynił, by odszukać Tradescanta.

Ogrodnik wydawał polecenia swoim pomocnikom przy wejściu do labiryntu. Grupie chłopców właśnie wydawano tępe noże i miano ich wysłać do środka, żeby na klęczkach wylewili zielsko ze żwiru. Gromada starszych mężczyzn pójdzie za nimi z siekierkami i ostrzami, by przystrzyc cisowy żywopłot. John energicznie i z pasją udzielał im wskazówek, co trzeba zrobić, żeby górna część żywopłotu pozostała równa. Dodał też, że w żadnym wypadku, pod groźbą natychmiastowego zwolnienia, nie wolno odciąć niesfornej gałęzi w taki sposób, by powstał otwór, przez który można by patrzeć z jednej ścieżki na drugą, co zepsułoby całą zabawę.

John rzucił tylko okiem na ponurą minę swego pana, zostawił pomocników i podszedł do sir Roberta.

- Milordzie?

- Chce go mieć. Mój dom i ogrody. Chce mieć tę rezydencję, a w zamian obiecał mi Hatfield House. Przypuszczam, że będę musiał mu go oddać. Przecież nie mogę odmówić królowi, prawda?

John jęknął cicho z przerażenia na myśl o utracie Theobalds Palace.

- Król zapragnął tego domu? Naszego domu?

Robert Cecil z nieszczęśliwą miną wzruszył ramionami, przywołał skinieniem Tradescanta i wsparł się na nim; razem poszli aleją.

- Tak, wiedziałem, że odczujesz to prawie tak samo jak ja.

Przybyłem, żeby ci powiedzieć, zanim zrobi to ktoś inny. Nie wiem, jak zniosę tę stratę. Mój ojciec stworzył to wszystko dla mnie - wysepki i rzeki, fontanny i łaźnię. Mam teraz to oddać w zamian za tamten nędzny dworek w Hatfield! Nowy król jest surowym władcą, nie uważasz, Tradescant?

John przystanął.

- Nie wątpię, panie, że otrzymacie lepszą zapłatę, niż dostalibyście od każdego innego monarchy - odparł ostrożnie.

Przebiegłą twarz Cecila wykrzywił uśmiech.

- Lepszą niż od zmarłej królowej, chciałeś powiedzieć? Dobry Boże! Powinienem być o tym pomyśleć! Nigdy nie było takiej kobiety jak ona: zabierała połowę twoich bogactw i nie dawała ci w zamian nic oprócz uśmiechu. Król Jakub jest bardziej szczodry dla swoich faworytów. - Urwał i z powrotem odwrócił się w stronę pałacu. - Dla wszystkich faworytów - mruknął. - A szczególnie dla Szkotów. Zwłaszcza jeśli są przystojnymi młodzieńcami.

Szli obok siebie; sir Robert opierał się ciężko o ramię Johna.

- Boli was, panie? - zapytał ogrodnik.

- Zawsze mnie boli! - fuknął hrabia. - Nie myślę o tym, jeśli tylko mogę.

John poczuł nagły skurcz w kolanach na myśl o pokrzywionych kościach swego chlebodawcy.

- To niesprawiedliwe - powiedział burkliwie, lecz ze współczuciem. - Że przy wszystkich swych wysiłkach i zmartwieniach musicie też cierpieć bóle.

- Nie szukam sprawiedliwości - odparł najwybitniejszy angielski polityk. - Nie na tym świecie.

John skinął głową i zatrzymał współczucie dla siebie.

- Kiedy musimy opuścić pałac?

- Kiedy dom w Hatfield będzie dla nas gotowy. Pojedziesz ze mną, prawda, Johnie? Porzucisz dla mnie ten labirynt, dziedziniec z fontanną i wielki ogród?

- Oczywiście, milordzie.

Cecil od razu wyczuł wahanie w głosie ogrodnika.

- Król na pewno by cię tutaj zatrzymał, gdybym mu powiedział, że wolałbyś zostać i pilnować ogrodów - oświadczył nieco oziębłym tonem. - Jeśli nie masz ochoty udać się ze mną do Hatfield.

John odwrócił się i spojrzał na nieszczęśliwą twarz swego pana.

- Oczywiście, że udam się z wami, milordzie - powiedział

serdecznie. - Dokądkolwiek zostaniecie posłani.

47

Dbalbym o wasz ogród w Szkocji, gdybym musiał. Założyłbym dla was ogród w Wirginii, gdybym musiał. Jestem waszym sługą. Bez względu na to, czy upadniecie, czy będziecie w łaskach, jestem waszym człowiekiem.

Hrabia odwrócił się i krótko uściśnął ramiona ogrodnika.

- Wiem o tym - powiedział burkliwie. -Wybacz mi ten zły humor. Serce mnie boli na myśl o utracie domu.

- I ogrodu. -Uhm.

- Spędziłem większość życia w tym ogrodzie - odezwał się John w zamyśleniu. -Tu nauczyłem się mojego zawodu. Znam tu wszystkie zakamarki. Nie ma takiej zmiany związanej z porami roku, której bym nie przewidział. I są takie chwile, zwłaszcza na początku lata, tak jak teraz, kiedy myślę, że jest doskonały. Że uczyniliśmy go doskonałym.

- To prawdziwy raj - zgodził się z nim hrabia. - Raj przed upadkiem. Johnie, czy ogrodnicy właśnie to robią przez cały czas? Próbują odtworzyć rajski ogród?

- Orodnicy, panowie i królowie również - odrzekł przenikliwie Tradescant. - Wszyscy chcemy stworzyć raj na ziemi. Ale ogrodnik może próbować na nowo każdej wiosny.

- A zatem spróbujesz w Hatfield - stwierdził Cecil. -Zostaniesz głównym ogrodnikiem w ogrodzie, który będzie w całości należał tylko do ciebie. Johnie, możesz założyć nowy, własny ogród w Hatfield, a nie tylko utrzymywać go i poprawiać, jak tutaj.

Będziesz kierował sadzeniem roślin i sam je kupował. Wybierzesz każdą z nich. Zapłacę ci więcej niż dotychczas i dam na własność domek. Nie będziesz już musiał mieszkać w pałacu. - Spojrzał na niego. - Będziesz mógł się ożenić - zaproponował. - Spłodzić maleństwa do naszego raj.

John skinął głową.

- Jesteś zaręczony, prawda?

- Zaręczyłem się sześć lat temu, ale ojciec na łożu śmierci kazał mi przysiąc, że nie ożenię się, póki nie będę mógł utrzymać żony i

rodziny. Ale jeśli będę miał domek w Hatfield, ożenię się, milordzie.

48

Hrabia roześmiał się i klepnął ogrodnika po plecach.

- Wielkie łaski płyną od wielkich ludzi jak woda w moich fontannach - powiedział. - Jakub chce, by Theobalds stało się królewskim pałacem, a więc Tradescant może się ożenić. Idź i bierz ślub, Johnie! Będę ci płacił czterdzieści funtów rocznie. - Zawahał się. - Ale wiesz, że powinieneś ożenić się z miłości - podjął po chwili, starając się opanować smutek, bezbrzeżny, niekończący się żal po żonie, którą poślubił z miłości, która wyszła za niego pomimo jego kalectwa i pokochała go dla niego samego. Dał jej dwoje zdrowych dzieci i jedno tak kalekie, jak on sam, i to narodziny tego trzeciego ją zabiły. Byli razem tylko osiem lat. - Kochająca żona to prawdziwy skarb, Johnie. Ty nie jesteś szlachcicem ani arystokratą, nie musisz zakładać dynastii ani zbijać majątku, możesz więc poślubić tę, której pragnie twoje serce.

John się zawahał.

- Nie jestem szlachcicem, milordzie, ale moje serce nie może zaakceptować narzeczonej bez posagu. - Mimo woli pomyślał o rozmowie z młodą podkuchenną podczas pierwszej wizyty króla Jakuba. - Pozostał mi po ojcu dług do uregulowania, który mam spłacić poprzez małżeństwo z córką wierzyciela, a ona jest porządną kobietą i ma spory posag. Czekałem, aż zarobię dość pieniędzy, żebyśmy mogli się pobrać, aż zgromadzę oszczędności, które pozwolą nam przetrwać ciężkie lata, i kupić dom z ogródkiem, który mogłaby uprawiać. Mam plany, milordzie - och nie, nigdy nie zamierzałem zrezygnować ze służby u was, to plany powiększenia mojego majątku.

Hrabia skinął głową.

- Kup ziemię - doradził.

- Żeby ją uprawiać?

- Żeby sprzedać.

John zamrugnął; to była niezwykła rada. Większość ludzi myślała o

kupowaniu ziemi i zatrzymaniu jej, gdyż nic nie było bardziej bezpieczne niż mała posiadłość.

Cecil pokręcił głową.

- Johnie, dobrym sposobem na zarobienie pieniędzy są szybkie, nawet ryzykowne posunięcia. Widzisz jakąś sposobność i szybko wykorzystujesz, zanim inni ludzie też ją zauważą.

49

Kiedy zaś oni ją dostrzegą, oddajesz im ją, a tamci triumfują, że mają swoją szansę, kiedy ty już wyciągnąłeś z niej zyski. Zawsze działaj szybko - poradził. - Kiedy znajdujesz jakąś okazję, kiedy zwalnia się jakieś miejsce, kiedy dostrzegasz jakąś szansę, kiedy czyjś pan umiera, zabieraj to, co ci się należy, i ruszaj dalej.

Podniósł oczy na chmurną twarz ogrodnika.

- Praktyka - przypomniał mu. - Nie zasady. Kiedy Walsingham umarł, kto był najlepszym kandydatem na jego miejsce? Kto miał królewską korespondencję w jednym palcu, kto wiedział niemal tak dużo jak sam Walsingham?

- Wy, milordzie - wyjąkał John.

- A kto miał papiery Walsinghama zawierające wszystko, co człowiek, który pragnął zostać sekretarzem stanu, powinien wiedzieć?

John wzruszył ramionami.

- Nie wiem, milordzie. Zostały skradzione i nigdy nie znaleziono złodzieja.

- Ja nim jestem - przyznał się wesoło Cecil. - Gdy się zorientowałem, że już nie wyzdrowieje, włamałem się do jego gabinetu i zabrałem wszystko, co napisał i otrzymał przez ostatnie dwa lata. Dlatego kiedy szukali kogoś na jego miejsce, byłem tylko ja. Nikt nie mógł przeczytać tych papierów i dowiedzieć się, co trzeba zrobić, gdyż ich zabrakło. Nikt nie mógł znać zamysłów Walsinghama ani wiedzieć, na co się zgodził, ponieważ nie było tych dokumentów. Tylko jeden człowiek w Anglii spośród tych, którzy pracowali dla Walsinghama, był gotów do zajęcia jego miejsca. I to ja nim byłem.

- Kradzież? - zapytał John.

- To kwestia zasad - odrzekł szybko Cecil. - Radzę ci przyjrzeć się praktyce. Johnie, zastanów się, czego pragniesz, i dopilnuj, żebyś to osiągnął, gdyż możesz być całkowicie pewny, że nikt ci tego nie da.

John nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na pałac w Theobalds, pałac tak wielki, że król go pozazdrościł poddanemu i zapragnął posiadać, wiedząc, iż nigdy nie zbuduje wspanialszego.

- Tak - odpowiedział sir Robert, patrząc w tę samą stronę.

50

- Jeżeli potężniejszy od ciebie człowiek będzie mógł coś ci zabrać, uczyni to. On też będzie się kierował praktyką, a nie zasadami. Moja rada: kupuj ziemię i podejmuj ryzyko. Kradnij, jeśli musisz i jeśli nie zostaniesz zdemaskowany. Kiedy twój pan umrze - nawet jeżeli to ja nim będę - miej zapewnioną następną dobrą posadę. A także ożeń się z posażną panną, gdyż wydaje się, że jest ona idealna dla człowieka takiego jak ty, który pragnie piąć się w górę. I każ jej prowadzić gospodarstwo umiejętnie i z rozwagą.

John Tradescant jechał drogami Kentu do wioski Meopham, gdzie oczekiwano go codziennie od sześciu lat. Żywopłoty bieleły się od kwiatów głogu, powietrze było ciepłe i słodko pachniało. Rozległe pastwiska Kentu cieszyły wzrok soczystą zielenią bujnej trawy, w której było brodziło po kolana. Był to czas odradzania się dzikiej przyrody i przebudzenia pól uprawnych. John jechał oszołomiony radością, a jaskrawe barwy pól i zieleń drzew i żywopłotów upajały go jak mocne wino. W rzędach żywopłotów bieleły się kwiaty driakwi i gwiazdki tawuły. Przez szpary w żywopłocie, tam, gdzie drzewa skupiły się w zagajnik, prześwitywało morze błękitu - to dzwonki jak kobierzec zasłały poszycie lasu. Drogę, którą John jechał do Meopham, zasypały niczym wiosenny śnieg maleńkie płatki kwiatów głogu, a na każdym zakręcie cytrynowo żółte pierwiosnki wyzierały spomiędzy korzeni i wykrotów niby bukiety wciśnięte za pas. Kiedy zaś droga wiła się między łąkami, John widział jaskry kołyszące się na wietrze, który lekko muskał trawę; narzuciły złocisty welon na zieleń, jak kobieta nakrywa

szalem ze złotej siateczki zieloną jedwabną suknię.

Na dębach widział zaciśnięte niczym piąstki pączki, małe i delikatne, które wyglądały jak kuliste bryłki na końcach mocnych, wykrzywionych gałęzi. Na srebrzystych brzozech drżały nowe, blade listki, a na wyżynach pulsowały życiem obsypane wilgotnymi, wiosennymi liśćmi buki.

John nie zamierzał zbierać roślin, ale nigdy nie mógł zignorować żadnego małego, kielkującego storczyka, żadnej kwitnącej pokrzywy, żadnej kępy fiołków o śliwkowej,

51

białej, a nawet jasnoniebieskiej barwie. Zanim dotarł do Kentu, opaska na jego kapeluszu i kieszenie były wypchane młodymi pędami i miękkimi długimi korzeniami. Czuł się bogatszy od swego pana, ponieważ jechał całymi dniami przez skarbiec barw, świeżości i życia i przybywał do domu z kieszeniami wypchanymi zdobyczą.

Główna ulica Meopham wspinała się po niewielkim pagórku do szarego, kamiennego kościółka przypominającego wiśnię na bułeczce. Na prawo od niego znajdował się domek rodziny Dayów, zbudowany w pobliżu świątyni, gdzie kiedyś ojciec Elizabeth był pastorem. Po podwórzu wędrowały tłuste kury, a przyjemny zapach chmielu jak zawsze unosił się w powietrzu wokół spiżarni i małej suszarni.

Elizabeth Day wyszła z frontowych drzwi.

- Wydawało mi się, że słyszę tętent końskich kopyt - powiedziała.

Była ubrana w skromny, szaro-biały strój, na głowie miała

zwyczajny czepek. - Witam cię serdecznie, panie Tradescant.

John zsiadł z konia i zaprowadził go do słupka.

- William go rozsiodła, jeśli sobie tego życzysz - zaproponowała spokojnie Elizabeth.

Było to ważne, wiele znaczące stwierdzenie.

- Jeśli można, zostanę na noc - powiedział John. - William może rozsiodłać mojego konia, zdjąć mu wędzidło i zaprowadzić na pastwisko.

Odwróciła wzrok, by ukryć zadowolenie.



- Powiem Williamowi - odrzekła po prostu. - Napijesz się piwa?  
Czy drogi były złe?

Zaprowadziła go do domu. Po jasnych promieniach słońca wykładany boazerią salonik wydawał się ciemny. Elizabeth pozostawiła gościa na chwilę, by przynieść kufel piwa. John wyrzwał do sadu przez małe okno z oprawnymi w ołów szybkami. Różowe i białe kwiaty jabłoni kołysały się nad białymi i różowymi stokrotkami rozsianymi jak gwiazdy wśród przystrzyżonej trawy. Rodzina Dayów nie miała ani czasu, ani chęci na porządną uprawę kawałka ziemi przed domem, chociaż Elizabeth zajmowała się otoczonym murem ogrodem warzywnym i ziołami rosnącymi na tyłach domu.

52

Przed sześciu laty, kiedy John ich odwiedził i potwierdził zaręczyny, urządził niewielkie kwadratowe grządki lawendy z krzaczkami ruty w każdym rogu przed oknami; ale to była farma i nikt nie miał czasu na pielęgnowanie wyszukanego ogrodu z parterem węzłowym. John zobaczył, że ruta się przerzedziła, jakby samo wspomnienie się zacierało, ale lawenda wyglądała dobrze.

Tylne drzwi otwarły się i do saloniku wszedł George Lance, ojczym Elizabeth.

- Dobrze cię widzieć, Tradescant - powiedział. Elizabeth przyniosła im dwa kufle piwa i cicho wyszła z pokoju.

- Przyszedłem prosić, żebyśmy mogli wziąć teraz ślub - oświadczył nieoczekiwanie John. - Za długo zwlekałem.

- Dla niej nie było to za długo - odparł ostrożnie George. - Nadal jest dziewicą.

- Za długo dla mnie - wyjaśnił John. - Pragnę szybko założyć rodzinę. Dość już czekałem.

- Nadal pracujesz u sir Roberta? John skinął głową.

- Jest teraz hrabią.

- Nadal cieszysz się jego łaskami? John ponownie skinął głową.

- Jak nigdy dotąd.

- Widziałeś nowego króla? - zapytał George. - Czy to wielki władca? Słyszałem, że to wspaniały mężczyzna -świątyni myśliwy, człowiek pobożny i wykształcony, no i ma czworo dorodnych dzieci. To właśnie taki monarcha, jakiego potrzebuje nasze królestwo!

John pomyślał przez chwilę o wiecznie pijanym rozpustniku i paradzie urodziwych młodzieńców, którzy kilkanaście razy gościli w Theobalds Palace, o hałaśliwych szkockich dworzanach i rozpuście, opilstwie oraz sprośności, które zapanowały na nowym dworze.

- Dzięki Bogu ma wszystkie królewskie przymioty -odparł ostrożnie. - A teraz mój pan jest bezpieczny na swoim miejscu, ja zaś na moim. Istnieje szansa, że hrabia dostanie nową posiadłość, a ja będę zarządzał jego ogrodem. Otrzymam wyższą zapłatę i będę głównym ogrodnikiem w nowym ogrodzie, który będę mógł zaprojektować

53

wedle swojej woli. Wreszcie jestem w stanie zaoferować Elizabeth odpowiedni dom.

- Jaką otrzymasz zapłatę? - zapytał otwarcie George.

- Czterdzieści funtów rocznie i domek, w którym mam zamieszkać.

- No cóż, Elizabeth była gotowa i czekała od sześciu lat - odrzekł George. - I otrzyma to, co obiecał jej ojciec. Posag w wysokości pięćdziesięciu funtów, odzież i część wyposażenia domu. Nie wątpię, że odejdzie z radością. Nie zawsze zgadza się ze swoją matką.

- Kłóć się?

- O nie! Nic takiego, co by zamąciło mężczyźnie spokój - odparł pośpiesznie George. - Nie wątpię, że będzie posłuszną żoną. Ale dwie dorosłe kobiety, które mają rządzić w jednej kuchni... - Urwał. - Czasami trudno utrzymać spokój. Czy dasz tutaj na zapowiedzi?

John skinął głową.

- I kupię dla nas domek w wiosce. Przez jakiś czas będę

podróżował między Theobalds i nowym domem mojego pana. Elizabeth będzie zapewne wołała zostać w pobliżu swojej rodziny podczas mojej nieobecności. Czekają mnie dłuższe podróże w poszukiwaniu drzew i roślin, gdy tylko przeniesiemy się do Hatfield. Mam się udać do Niderlandów, aby kupić tam cebulki, i do Francji po sadzonki i drzewka. Zamierzam założyć oranżerię, gdzie będę mógł hodować w zimie delikatne odmiany.

- Tak, tak. Elizabeth będzie się chciała wszystkiego o nich dowiedzieć.

Te słowa przypomniały Johnowi, że jego nowy krewny niezbyt interesuje się ogrodnictwem.

- I otrzymam dobrą zapłatę - powtórzył.

George wahał się chwilę, patrząc na przyszłego zięcia.

- Na Boga, zimna z ciebie ryba, Tradescant - powiedział krytycznie. - A może przez cały ten czas zabawiałeś się z damami dworu i dopiero teraz pomyślałeś o Elizabeth?

John poczuł, że się rumieni.

- Nie. Źle mnie zrozumiałeś, panie Lance. Zawsze zamierzałem wrócić po Elizabeth. Przecież ustaliliśmy, że pobierzemy się dopiero wtedy, kiedy będę miał dość pieniędzy

54

na kupno domu i kawałka ziemi; nie wcześniej. Aż do tej pory nie mogłem jej zaoferować domu.

- Nie myślałeś, że możesz zaryzykować? - zapytał George.

- A ty i twoja żona? - odparł urażony John. - Jak wielkie ty podjąłeś ryzyko?

Był to celny cios. Całe Kent wiedziało, że żona George'a wniosła do tego związku farmę i niezły majątek po zmarłym mężu, ojcu Elizabeth, a przedtem wdowie dożywocie. George nagle skinął głową i poszedł do drzwi.

- Elizabeth! - zawołał i odwrócił się do Johna. - Chcesz z nią zostać sam na sam?

John nagle się zmieszał.

- Myślę, że tak. Chyba. A może mógłbyś zostać z nami?

- Mów sam za siebie, człowieku - odparł George. - To na pewno

nie będzie przykra niespodzianka!

Usłyszeli odgłos szybkich kroków Elizabeth na drewnianej podłodze sieni. George wyszedł jej na spotkanie.

- Nie bój się! - szepnął. - W końcu przyjechał po ciebie. Ma dobre zarobki i zapewnioną przyszłość. Chce kupić domek tu, w naszej wiosce. Sam ci o tym powie. Zostaniesz wkrótce jego żoną, Elizabeth.

Rumieniec zalał jej twarz, a potem znikł. Z powagą skinęła głową i stała przez chwilę zamyślona, z opuszczonymi oczami.

Odmawiała w duchu modlitwę dziękczynną. Podczas długich lat oczekiwania były takie chwile, gdy myślała, że John ją porzucił i już się nie pojawi. Po chwili podniosła głowę i szybko weszła do saloniku.

John znowu stał przy oknie, patrząc na jabłonie. Odwrócił się, słysząc kroki Elizabeth. Przez chwilę zamiast swej poważnej narzeczonej w purytańskim stroju o stonowanych kolorach widział małą podkuchenną Cathy w czepku, wyciętej głęboko sukni, odsłaniającej bujne piersi, wspomniawszy jej zalotny uśmiech. Następnie wyciągnął ręce do Elizabeth, przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował w czoło.

- Mogę już cię poślubić - powiedział tak, jakby to było podsumowanie jakiejś umowy handlowej, którą zbyt długo odwlekano.

- Dziękuję ci - odparła chłodno.

55

Chciała mu powiedzieć, że czekała na tę chwilę, odkąd ojciec przyszedł do niej, uścisnął ją i oznajmił spokojnie: „Mam dla ciebie tego ogrodnika, moja droga. Zostaniesz żoną Johna Tradescanta, gdy tylko zaoszczędzi dość pieniędzy, by móc się ożenić”. Chciała mu powiedzieć, że tamtego koszmarnego lata, kiedy najpierw jej siostrzyczka, a potem ojciec zachorowali na zarazę i umarli, co noc się modliła, aby John Tradescant przybył jak bohater romansu i uwolnił ją od strachu i żałoby. Pragnęła mu opowiedzieć, że czekała i czekała, gdy tymczasem jej matka przestała się smucić i z radością powtórnie wyszła za mąż. Że

czekała także wtedy, kiedy nowożeńcy pocałowali się przy kominku w swoim domu. Czekala, chociaż myślała, iż on może nigdy już nie przyjechać. Wiedziała też, że po śmierci ojca, gdy surowa matka pędziła ją do pracy i nigdy za nic nie płaciła, nikt nie zmusi Johna Tradescanta do spełnienia obietnicy i poślubienia jej.

Czekała, ponieważ przyzwyczaiła się do czekania, ponieważ nie było od tego ucieczki i nie mogła zrobić nic innego. Elizabeth miała dwadzieścia siedem lat i nie była już panną w kwiecie wieku ani rozkwicie urody. Czekala na Johna przez sześć długich lat.

- Mam nadzieję, że cię to cieszy. - John wrócił do okna.

- Tak - odrzekła z wahaniem, stojąc przy drzwiach.

Trzy tygodnie później wzięli ślub w kościele parafialnym. Ręka w rękę poszli wąską ścieżką do drzwi kościoła; John odruchowo zwrócił uwagę na kilka cisów, które były niezwykle piękne. Jeden strzelał w górę jak zamek ze ślicznymi pinaklami, gałęzie drugiego opadały niczym warstwy tkaniny ciemnozielonej szaty. Elizabeth powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem, uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu.

Jej ojczym George Lance i matka Gertrudę byli świadkami.

Elizabeth miała na sobie nową białą suknię zamiast zwykłej szarej, a John był ubrany w nowy brązowy kaftan z białymi i szkarłatnymi rozcięciami na rękawach. Wpadające przez witraże światło słońca zabarwiło posadzkę kościoła

56

dodatkowymi kolorowymi plamami. John stał wyprostowany i udzielał odpowiedzi zdecydowanym tonem, czując z zadowoleniem dłoń Elizabeth spoczywającą lekko na jego łokciu. Wśród wieśniaków zgromadzonych przed kościołem i czekających, by zobaczyć młodą parę, byli tacy, którzy twierdzili, iż narzeczony ubrał się zbyt bogato jak na zwykłego wyrobnika. Szeptano, że wynosi się ponad stan i że rozcięcia jego rękawów są podbite jedwabiem, jak gdyby uważał się za dżentelmena. Ale weselne piwo rozlewane przy tylnych drzwiach domu było mocne

i słodkie i po południu docinki ustąpiły miejsca głośnym, nieprzystojnym dowcipom.

Gertrudę przygotowała wspaniałe przyjęcie weselne z trzema różnymi rodzajami potraw z gotowanego mięsa i półtuzinem puddingów. Przy stole John znalazł się przy pastorze, wielebnym Johnie Hoare, przyjął jego gratulacje, wychylił toast, a potem próbował prowadzić rozmowę, która początkowo się nie kleiła.

- Służysz wielkiemu panu - powiedział pastor. John od razu się ożywił.

- Nie ma większego.

Wielebny Hoare uśmiechnął się, słysząc tę lojalną odpowiedź.

- I powierzył ci ogrody swojego nowego pałacu? John skinął głową.

- Uczynił mi ten zaszczyt.

- Czy będziesz musiał zamieszkać w Hatfield? A może kupisz dom w Meopham?

- Chcę mieć tu dom - odrzekł John. - Ale większość czasu będę z moim panem. Moja żona wie, że służba u niego ma pierwszeństwo. Każdy, kto ma zaszczyt służyć wielkiemu człowiekowi, rozumie, że jego pan liczy się ponad wszystko.

Duchowny przytaknął:

- Pan ma pierwszeństwo przed sługą.

- Zastanawiam się, czy możesz mi wyjaśnić pewną sprawę, wielebny - odezwał się John.

Pastor przybrał poważną minę. Nie były to odpowiednie czasy na wątpliwości natury teologicznej. Rozsądni ludzie

57

ograniczali się do katechizmu oraz dziesięciu przykazań i pozostawiali pytania heretykom i papistom, którzy płacili własnym życiem, jeśli udzielili niewłaściwej odpowiedzi.

- Jaką sprawę? - spytał ostrożnie.

- Zastanawia mnie, że Bóg stworzył tak wiele rzeczy takich samych, a przecież odrobinę różnych - wyznał Tradescant. -

Stworzył tak wiele rzeczy, które są takie same, ale różnią się tylko kształtem lub barwą. I nie mogę zrozumieć, dlaczego uczynił tę

różnicę. Ani jak mógł wyglądać raj, przepelniony taką... - przez moment szukał odpowiedniego słowa - różnorodnością.

- Na pewno wszystkie róże są takie same - odparł pastor. - Różnią się tylko kolorem. A stokrotka jest stokrotką bez względu na to, gdzie rośnie.

John pokręcił głową.

- Nie powiedziałbyś tego, gdybyś się im przyglądał tak uważnie jak ja. Na pewno są ze sobą spokrewnione, a róża jest nadal różą, ale są setki różnych gatunków róż - wyjaśnił. - W każdym hrabstwie rosną krańcowo różne odmiany. Róże mają różny kształt płatków, różną ich liczbę, różne wymagania co do światła i cienia. Jedne pachną, jak mi powiedziano, a inne nie. I czasami myślę, że widzę, jak powstają. Prawie tworzą się same na moich oczach.

- Co masz na myśli?

- Kiedy powstaje nowa odmiana, gdy widzisz, jak od jednej głównej łodygi wyrasta inna, nowa, i jeśli weźmiesz tę nową, możesz z niej uzyskać inny rodzaj róży. Bóg tego nie stworzył, prawda? Ja to zrobiłem.

Pastor potrząsnął głową, ale John mówił dalej:

- I stokrotki nie są takie same wszędzie tam, gdzie rosną.

Widziałem w hrabstwie Kent stokrotkę różniącą się od stokrotki z Sussex i od stokrotki francuskiej, która była większa i miała różowawe brzeżki płatków. Nie wiem, ile jest rodzajów stokrotek. Człowiek musiałby obejść cały świat z oczami w butach, żeby mieć co do tego pewność. Dlaczego tak się dzieje? Czemu Bóg stworzył setki takich samych rzeczy?

Ksiądz rozejrzał się dokoła, szukając ratunku, ale nikt nie patrzył w jego stronę.

58

- Bóg w swojej mądrości dał nam świat wypełniony różnorodnością... - zaczął.

Z ulgą zauważył, że Tradescant się z nim nie sprzecza. Nie był to ktoś, kto stawał się kłótniwy po wypiciu. Ten człowiek po prostu szukał prawdy. Pastor odniósł dziwne wrażenie, że Tradescant

szuka swojego przeznaczenia. Ogrodnik był przejęty, skupiony, a głęboka zmarszczka pojawiła się między jego brwiami, gdy słuchał wyjaśnień pastora.

- Bóg w swojej wielkiej mądrości dał nam całe mnóstwo bardzo pięknych rzeczy. Nie możemy kwestionować Jego wyboru, ponieważ zechciał dać nam wiele rzeczy, które tylko nieznacznie różnią się od siebie, jeśli twierdzisz, że tak właśnie jest.

John powoli pokręcił głową.

- Nie zamierzam wypytywać mojego Boga - odparł pokornie. - Tak samo jak nie śmiałybym wypytywać mojego pana. Po prostu wydaje mi się to dziwne. I Bóg nie stworzył od razu wszystkich rzeczy w raj, by je nam dać. Wiem, że to niemożliwe, chociaż czytałem o tym w Biblii, ponieważ widzę, jak się zmieniają w zależności od pory roku.

Pastor skinął głową i szybko podchwycił:

- Przypuszczam, że można by cię porównać do rzemieślnika wykonującego stół. Wykorzystujesz umiejętności, które dał ci Bóg, i materiały, które ci dostarczył, żeby stworzyć coś nowego. John się zawahał.

- A jeśli wyhoduję nową stokrotkę lub, powiedzmy, nowy tulipan, i jakiś człowiek przybędzie i zobaczy tę roślinę w jakimś ogrodzie, wtedy pomyśli, że to dzieło Boga, i będzie Go sławił. Ale się pomyli. To będzie moje dzieło.

- Twoje i Boga - odparł gładko pastor. - Albowiem Bóg stworzył ów pierwszy tulipan, z którego ty wyhodowałeś kwiat o innym kolorze. Bez wątplenia Bożym zamiarem było danie nam wielu pięknych rzeczy, wielu rzeczy, które są rzadkie, różne i dziwne. A naszym obowiązkiem jest dziękować Mu i sławić Go za to.

John skinął głową na wzmiankę o obowiązku.

- A więc obowiązkiem człowieka jest gromadzenie różnorodności? - zapytał.

59

Pastor pociągnął łyżeczek weselnego piwa.

- To możliwe - powiedział rozsądnie. - Tylko dlaczego człowiek chciałby gromadzić różnorodności?



- Na chwałę Bożą - odparł po prostu John. - Jeżeli Bóg postanowił, żebyśmy poznali Jego wielkość poprzez liczne odmiany roślin, które istnieją na świecie, i można to uczynić, w takim razie ludzie powinni poznać Jego szczodrość ku Jego chwale.

Pastor myślał przez chwilę, bojąc się herezji.

- Tak - przyznał ostrożnie. - Musi być wolą Bożą, żebyśmy poznali Jego szczodrość, aby ta nam pomogła Go sławić.

- A więc człowiek uprawiający ogród, tworzący piękny ogród, jest podobny do człowieka budującego kościół - powiedział żywo John. - Pokazuje ludziom Bożą chwałę tak, jak kamieniarz może sławić Pana w swoich kolumnach i maszkaronach.

Pastor się uśmiechnął.

- To właśnie pragniesz czynić, Tradescant? - zapytał, dostrzegając wreszcie sedno sprawy. - Nie wystarczy ci, że jesteś ogrodnikiem - pragniesz czegoś więcej?

Przez moment John miał ochotę odrzucić to wyjaśnienie, ale piwo szło mu do głowy i poczuł się bardzo dumny ze swej pracy.

- Tak - przyznał. - To właśnie pragnę robić. Uprawiam ogrody hrabiego Cecila ku jego chwale, jako ozdobę jego pięknego domu, by pokazać światu, że jest wielkim panem. Ale ogrody wychwalają również wielkość Boga. Pokazują każdemu gościowi milorda, że Bóg stworzył tak bogate życie, życie w takiej różnorodności, że człowiek mógłby oglądać te rośliny przez wszystkie swoje dni, zbierać je i nadal nie znalazłby wszystkich.

- Masz więc przed sobą zadanie twego życia! - zauważył lekkim tonem pastor w nadziei na zakończenie tej kłopotliwej rozmowy. Ale John nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Chyba rzeczywiście tak jest - odparł poważnie.

Po kolacji Gertrudę wstała od stołu i wszystkie kobiety poszły za jej przykładem. Służące zostały wraz

60

z biedniejszymi sąsiadami i zadowolone z odmiany w swym monotonnym życiu upiły się na umór. Elizabeth ukończyła ostatnią z prac w dawnym rodzinnym domu i czekała, aż John

skończy jeść. O zmierzchu wyszedł z sieni, gdzie były ustawione na kozłach stoły, i znalazł żonę siedzącą w kuchni przy stole z innymi kobietami; czekała na niego. Wziął ją za rękę i zeszli z pagórka do stojącego w pobliżu swego nowego domu. Za nimi kroczył rozkrzyczany i rozśpiewany orszak złożony z rodziny i sąsiadów.

W nowym domu Tradescantów kobiety pierwsze poszły na górę. Kuzynki i przyrodnie siostry Elizabeth pomogły jej zdjąć nową białą suknię i przebrać się w koszulę nocną z cienkiego batystu. Rozczesały jej ciemne włosy i zaplotły je w płaski warkocz. Upięły jej czepek i spryskały ją wodą różaną. Później czekały z nią w sypialni o niskim suficie, aż głośnie żarty i strzępy piosenek ze schodów dały im znać, że pana młodego również przygotowano i że przybywa do swej świeżo poślubionej żony.

Drzwi otwały się z trzaskiem i Johna niemal wrzucono do sypialni wśród radosnych okrzyków gości weselnych. Odwrócił się natychmiast i wypchnął ich za próg. Kobiety otaczające łożo Elizabeth popiskiwały cicho z niepokoju i podniecenia.

- Ogrzejemy łożo! Wycalujemy pannę młodą! - wołali rozochoceni mężczyźni, kiedy John zastąpił im drogę w drzwiach sypialni.

- Ogrzeję wam tyłki! - zagroził i zwrócił się do kobiet zgromadzonych wokół Elizabeth: - Panie?

Podeksytowane matrony otoczyły Elizabeth, poprawiając jej czepek i całując, ale dała im znak, by odeszły. Podreptały więc do drzwi i przemknęły pod ramieniem Johna, który twardo bronił wejścia do sypialni. Kilka kobiet obrzuciło szybkim spojrzeniem pana młodego i jego mocne bary, i pomyślało, że Elizabeth ma więcej szczęścia, niż mogłaby przypuszczać. John zamknął drzwi i zaryglował je na wszelki wypadek. Najbardziej rozochoceni goście weselni w odpowiedzi zaczęli walić w nie pięściami.

- Wpuść nas! Chcemy wypić za wasze zdrowie! Chcemy odprowadzić Elizabeth do łoża!

61

- Odejdźcie! Sami wypijemy za nasze zdrowie! - odkrzyknął w

odpowiedzi. - I to ja sam prześpię się ze swoją żoną!

Odwrócił się ze śmiechem od drzwi, ale śmiech zamarł mu na ustach.

Elizabeth klęczała przy nogach łoża, z twarzą ukrytą w dłoniach, pogrążona w modlitwie.

Ktoś znów walnął w drzwi.

- Co zamierzasz posadzić, Johnie Ogrodniku? - zawołali. - Jakie nasiona masz w swoich workach?

John zaklął pod nosem, słysząc te sprośne żarty, i zastanowił się, dlaczego Elizabeth jest taka nieruchoma i spokojna.

- Odejdźcie! - krzyknął znów. - Dla was zabawa się skończyła!

Upijcie się i zostawcie nas w spokoju!

Z ulgą usłyszał, jak z tupotem schodzili po schodach.

- Wrócimy rano, żeby zobaczyć prześcieradła! - zawołał ktoś. -

Spodziewamy się plam, wspaniałych czerwonych i białych plam!

- Róż i lilii! - dodał jakiś dowcipniś. - Czerwonych róż i białych lilii na klombie Johna Tradescanta! - Usłyszał głośny wybuch śmiechu, później frontowe drzwi domu zamknęły się z hukiem i goście wyszli z domu.

- Kop głęboko, Johnie Ogrodniku! - dobiegł z mroku poza domem jeszcze jeden okrzyk. - Dobrze sadź!

John czekał. Wreszcie odgłos chwiejnych kroków zaczął cichnąć.

Najwyraźniej goście poszli ulicą prowadzącą do jedynej wioskowej karczmy. Elizabeth nadal klęczała przy nogach łoża; twarz miała spokojną, oczy zamknięte.

John z wahaniem ukląkł obok niej, zamknął oczy i skupił się, by odmówić modlitwę. Najpierw pomyślał o królu Anglii - nie o mężczyźnie, jakiego widział i znał, ale o człowieku, o którym myślał, kiedy wypowiadał słowo „król” - istocie na poły ziemskiej, na poły niebiańskiej, źródle prawa i sprawiedliwości, ojcu swego ludu. O człowieku takim jak Pan Jezus, posłanym przez Boga, bezpośrednio przez Boga, żeby przewodził królestwu i dobrze rządził swoim ludem. Człowieku, którego dotyk mógł uzdrawiać, który mógł czynić cuda, którego płaszcz chronił cały naród. „Boże, chroń króla” - szepnął żarliwie.

Potem pomyślał o swoim panu, innym człowieku dotkniętym przez Boga, o szczebel niżej od króla, ale tak potężnym, że musiał być, na pewno był, szczególnym ulubieńcem Boga, a w każdym razie był panem Johna, niezwykłym w swej potędze. John pomyślał o słowie „pan” i poczuł jego świętość - Pan Jezus, sir Cecil, obaj byli panami. Łatwo mu było błogosławić w modłach hrabiego, który tak bardzo mu ufał, Cecila o drobnym, niemal dziecięcym ciele i przebiegłym, mądrym umyśle. Pan Johna, jego wielka miłość. A potem zaraz przeniósł się myślą do starego królewskiego pałacu w Hatfield. Sir Robert będzie chciał zbudować tam nowy dom, bez wątpienia będzie to wielki pałac i na pewno zechce otoczyć go pięknym ogrodem. Może z aleją. John nigdy nie obsadzał roślinami i drzewami alei. Stracił wątek modlitwy na myśl

o czekającej go pracy przy wielkiej alei. Pomyślał z tęsknotą o podwójnym rzędzie wspaniałych drzew, lip. To muszą być lipy, nic tak nie pasuje do wielkiej alei jak lipy.

- Boże, daj mi potrzebne do tego umiejętności - szepnął John. - I pozwól mi, w swej łasce, zebrać dość młodych drzewek.

Elizabeth była bardzo blisko, klęczała obok niego, czuł ciepło jej ciała, słyszał jej cichy, rytmiczny oddech.

Oby Bóg pobłogosławił nam obojgu, pomyślał John.

I oby pozwolił nam żyć w przyjaźni i wzajemnej życzliwości.

Nie oczekiwał od Elizabeth czegoś więcej niż przyjaźń, przyjaźń i dożywotnie partnerstwo w nierozzerwalnej wspólności życia.

Naraz ujrzał oczami wyobraźni Catherine z jej ciemnymi oczami i głębokim dekoltem. Świeżo poślubiony mąż takiej dziewczyny jak Catherine nie spędziłby nocy poślubnej, modląc się na kolanach.

John otworzył oczy i położył się do łóżka. Elizabeth nadal

klęczała z pochyloną głową, poruszając ustami. Nagle

poirytowany, John pochylił się i zdmuchnął świecę. Mrok zalał

sypialnię. W mroku i ciszy John raczej wyczuł, niż zobaczył, że

Elizabeth wstała z kolan, ściągnęła koszulę nocną, podniosła

kołdrę i naga wślizgnęła się do łóża.

Na chwilę oszołomiła go otwarta zmysłowość tego gestu. Fakt, że kobieta mogła wstać od modlitwy i rozebrać się

63

do naga, zamącił jego dotychczasowy prosty podział płci niewieściej na kobiety dobre i złe, świątobliwe albo lubieżne. Ale Elizabeth była jego świeżo poślubioną żoną i miała prawo leżeć obok niego. Dojrzawszy przelotnie jej nagie ciało, zapłonął żądzą i pożałował, że nie może zapalić świecy, którą zgasił pod wpływem chwilowej irytacji; teraz pozostali w ciemnościach. Leżeli obok siebie na wznak.

Jak posągi na grobowcu, pomyślał.

To on miał zrobić pierwszy ruch, ale niepokój przykuł go do miejsca. Po latach unikania grzechu, kiedy żył w śmiertelnym strachu przed zmysłową pokusą, która prowadziła do ciąży i hańby, John nie był przygotowany do dobrowolnych uścisków chętnej partnerki.

Wyciągnął rękę w jej stronę. Palce napotkały twarde udo żony. Skórę miała gładką jak skórka owocu, ale miękką niczym dojrzała śliwka. Nic nie powiedziała. John pogłaskał jej udo wierzchem dłoni, jakby muskał miękkie liście pachnącej rośliny. Obawiał się, że Elizabeth może znów się modli.

Ostrożnie przesunął ręką po udzie do okrągłego, ciepłego brzucha żony, czując pod palcami jej pępek. Ręka Johna błędziła powoli po tych nowych, tajemniczych obszarach, musnęła pierś - i usłyszał ciche westchnienie, gdy pogładził miękkie, krągłe wzgórek i objął delikatną, ciepłą brodawkę, która natychmiast stwardniała pod jego dotknięciem. Zbliżył się do Elizabeth i ponownie usłyszał ów cichy odgłos, który wprawdzie nie był oznaką niepokoju, ale też nie całkiem zachęcał go do działania. Podniósł się tak, że znalazł się ponad nią. W księżycowej poświacie widział jej twarz, mocno zaciśnięte oczy i nieruchome usta; wyglądała tak samo jak wtedy, gdy się modliła. Nachylił się i pocałował ją w usta. Była miękka i ciepła, ale leżała całkiem nieruchomo, jakby spała.

John delikatnie przesunął ręką w dół i odnalazł jedwabisty

wzgórek między jej udami. Kiedy go dotknął, odwróciła głowę na bok, lecz nadal ani nie otworzyła oczu, ani się nie poruszyła. Ostrożnie przycisnął kolano do uda Elizabeth, a ona powoli rozsunęła nogi. Czując się jak król przybywający do swego królestwa, John położył się

64

między nogami żony i zaczął się przesuwać do przodu, poznając potęgę pożądania.

Nagle usłyszał szelest i odgłos uderzeń błota i kamieni w okno.

- Rany boskie! O co chodzi? - zawołał z niepokojem. - Pożar?

Jednym płynnym, wężowym ruchem Elizabeth wyskoczyła z łóżka, przyciskając koszulę nocną do ciężkich, bujnych piersi i wyjrzała przez okno na pogrążoną w mroku ulicę.

- Skończyłeś, Johnie? - zabrzmiał jowialny pijacki okrzyk. - Zasiałeś już swoje nasienie?

- Na Boga, zamorduję ich! - krzyknął John, rzucając szlafmycę na podłogę.

Elizabeth powoli odłożyła na bok koszulę nocną i wsunęła się pod przykrycie obok niego. W końcu przemówiła do męża; były to pierwsze słowa, które wypowiedziała w sypialni, pierwsze, które, naga, skierowała do Johna:

- Nigdy nie wymawiaj imienia Bożego nadaremnie, mężu. To Jego własne przykazanie. Chcę, żebyśmy kroczyli Jego śladem.

John rzucił się z powrotem na łóżko, pożądanie go opuściło, zmiękł jak wałach.

- Chcę spać - oświadczył ponuro. - A potem będę się starał, żeby cię nie urazić. - Okręcił się kołdrą, odwrócił plecami do żony i zamknął oczy. - Możesz się pomodlić, jeśli chcesz - dodał złośliwie.

Elizabeth, nie mogąc się przykryć, leżała w milczeniu na chłodnym prześcieradle, ponizajaco naga, zasłaniając nową koszulą nocną piersi i brzuch. Dopiero kiedy usłyszała, że oddech Johna stał się głębszy i nabrała pewności, że mąż zasnął, przysunęła się do jego szerokich pleców i objęła go ramionami, przyciskając doń zimne, nagie ciało. Popłakała się przed

zaśnięciem. Nie chciała jednak cofnąć wypowiedzianych słów.

Rozdział Siódmy.

Czerwiec 1607.

Następnego dnia, zanim Elizabeth zdołała zrobić coś więcej poza rozpaleniem ognia w nowym piecu i nastawieniem owsianki na śniadanie, posłaniec od hrabiego Cecila zapukał do drzwi.

- Jego lordowska mość chce, żebyś wrócił do Londynu - powiedział krótko przybyły.

Elizabeth zerknęła na męża, jakby spodziewała się w duchu, że odmówi, ale John już siedział w fotelu przy kominku, wkładając buty do konnej jazdy.

Posłaniec zdjął przed nią kapelusz, ale patrzył na Johna.

- W porcie - dodał. - Masz się z nim spotkać w Gravesend.

Jeszcze jeden szybki ukłon i mężczyzna wyszedł. Cecil nie lubił, kiedy jego ludzie zatrzymywali się gdzieś na dłużej i plotkowali.

Wszyscy byli przekonani, że wszędzie ma oczy i uszy i że niedyskretny sługa nie pożyje długo.

Elizabeth wyjęła podróżną opończę męża z szafy, gdzie dopiero wczoraj obsypała ją lawendą. Pomyślała wtedy, że warto ją chronić przed molami, gdyż poleży tam parę miesięcy.

- Kiedy wrócisz? - zapytała spokojnie.

- Nie umiem powiedzieć - odparł krótko John. Wzdrygnęła się, słysząc chłód w jego głosie.

- Mam dołączyć do ciebie w Hatfield? - spytała. - A może jechać do Theobalds?

66

Spojrzał na nią i zobaczył, że trzyma opończę w pogotowiu.

- Dziękuję - odrzekł uprzejmie. - Przyślę ci wiadomość. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, do czego jestem mu potrzebny. Te czasy są dla niego niebezpieczne. Muszę zaraz ruszać.

Ukształtowana na wsi wizja świata Elizabeth zadrzała pod ciężarem wielkich wydarzeń, które miały teraz wpływać na jej życie.

- Nie sądziłam, że to niebezpieczne czasy. Dlaczego są niebezpieczne?

Zerknął na nią szybko, jakby jej niewiedza go zaskoczyła.

- Każde czasy są niebezpieczne dla ludzi mających wielką władzę

- wyjaśnił. - Mój pan jest największym z wielkich w naszym

kraju. Codziennie ma do czynienia z takim lub innym

niebezpieczeństwem. Jeśli posyła po mnie, idę bez pytania i nie

mam żadnych planów oprócz jego rozkazów.

Elizabeth skinęła głową. Nie można dyskutować z niczym

poczuciem obowiązku.

- W takim razie zaczekam na wieści od ciebie - powiedziała.

John musnął jej czoło beznamiętnym pocałunkiem. Zapewne tę

obojętność zapoczątkowały ich zaręczyny i nadal się jej trzymali.

Elizabeth oparła się pokusie, by podnieść twarz i pocałować męża

w usta. Jeżeli nie chce jej całować, jeśli nie chce z nią spać, dobra

żona nie powinna się na to skarżyć. Będzie musiała poczekać.

Będzie wypełniała obowiązki względem niego, tak jak on czyni to

względem swego pana.

- Dziękuję ci - powiedział John, jak gdyby wyświadczyła mu

jakaś grzeczność.

Wyszedł, osiodłał konia i wyjechał od tyłu domu na drogę.

Elizabeth stała w drzwiach z podniesioną wysoko głową; żadna z

wioskowych plotkarek nie dowie się, że pozostała dziewicą tak jak

w dzień ślubu.

John uchylił przed nią kapelusza, również czując spojrzenia wielu

par oczu. Nie nachylił się, by pocałować żonę, nie rzucił jej nawet

słowa pożegnania czy otuchy.

67

Siedząc na koniu, spojrzął na bladą Elizabeth, którą opuszczał,

nie wszedłszy do jej łóża. Wiedział, że postępuje źle, czyniąc ze

swego obowiązku zarówno wymówkę, jak i powinność.

- Żegnaj - powiedział lakonicznie, spiął konia i puścił go kłusem.

Postąpił brzydko wobec kobiety, która, mimo nieudanej nocy

poślubnej, przed tym przekłętym wydarzeniem leżała obok ciepła

i miękka - ta świadomość nie dawała mu spokoju przez całą drogę

na północ do Gravesend.

Spotkał swego pana przy nabrzeżu, w dokach Kompanii



Wschodnioindyjskiej; w powietrzu unosił się zapach cynamonu i korzeni, rozlegały się głośnie przekleństwa robotników.

Jakiś kupiec powitał ich na pokładzie swego statku przy trapie.

- Chodźcie ze mną - rzekł i poprowadził ich między sprzedawcami żagli i lin do kajuty kapitańskiej.

- Kieliszek wina? - zaproponował.

Sir Robert i jego ogrodnik skinęli głowami.

- Mam pewne niezwykle korzenie - powiedział kupiec, gdy napili się wina. - Kupiłem je na wagę złota, ponieważ wiedziałem, że taki człowiek jak wasza lordowska mość zapłaci za nie znacznie więcej.

- A co to za korzenie? - spytał earl. Kupiec otworzył drewnianą szkatułę.

- Trzymałem je w suchym miejscu, przewiewnym, chroniąc przed słońcem, jak poradził mi pan Tradescant.

Wyjął garść brązowych, zdrewniałych, poskręcanych korzeni; nadal tkwiły na nich grudki zakurzonej ziemi. Hrabia ujął je ostrożnie i podał Johnowi.

- To korzenie niewiarygodnie pięknych kwiatów - wyjaśnił szybko kupiec, wpatrując się w obojętną twarz Cecila. -

Oczywiście korzenie nigdy ładnie nie wyglądają, milordzie. Ale ręce twego ogrodnika sprawią, by bujnie rozkwitły.

- A jak wyglądają kwiaty? - zapytał John.

- Jak kwiaty geranium - odrzekł kupiec. - A liście są słodkie jak liście geranium. Ale kwiaty są znacznie piękniejsze, po prostu nadzwyczajne.

68

Cecil spojrział na Johna, unosząc brew. John wzruszył lekko ramionami. Wprawdzie korzenie wyglądały jak korzenie geranium, lecz bez liści i kwiatów nic nie można było o nich powiedzieć. Trzeba będzie zaufać kupcowi i kupić je.

- Masz jeszcze coś? - zapytał hrabia.

- To. - Kupiec wyciągnął ze szkatułki małą jutową sakiewkę. W środku leżały duże zielone kule wielkości kurzego jaja, obsypane maleńkimi kolcami. - To nowe kasztany - oświadczył.

Ostrożnie rozłupał jedną z łupin i położył na dłoni Johna piękny, okrągły orzech, nakrapiany jasno i ciemno brązowymi plamkami, z jaśniejszym szarobrązowym kręgiem na górze. John pogłaskał wilgotne wnętrze łupiny i zwrócił orzech ku słońcu, by zobaczyć, czy błyszczący. Większy niż orzech włoski, bardziej błyszczący niż mahoń, to był zachwycający orzech, prawdziwy klejnot, wielka perła o barwie ciepłego brązu.

- Gdzie je kupiłeś? - John z podniecenia nie mógł pohamować drżenia głosu.

- W Turcji - wyjaśnił kupiec. - I widziałem drzewo, które rodzi te owoce.

- Są jadalne? - zapytał Cecil.

Kupiec zawahał się chwilę, która jednak wystarczyła, by odgadnąć, że to, co zamierza powiedzieć, będzie kłamstwem.

- Oczywiście - oświadczył gładko. - Przecież w końcu to kasztany. I to jest silny lek. Człowiek, który mi je sprzedał, twierdzi, że używa się ich do leczenia dychawicznych koni. Leczą końskie płuca, może więc i ludzkie.

- Czy liście są takie same jak u naszych kasztanowców? - pytał dalej John.

- Większe - odrzekł kupiec. - I szersze. A drzewa, które je rodzą, są potężne, okrągłe, lepiej ukształtowane niż nasze, wyglądają jak wielka kula na patyku. A kiedy kwitną, całe obsypane są wielkimi, białymi, stożkowatymi kwiatami wielkości dwóch dłoni. Białe płatki pokryte są różowymi plamkami. - Zastanawiał się przez chwilę. Cena będzie zależała od tego opisu. - Jak kwiaty jabłoni - powiedział nagle. - Białe, a jednocześnie różowe jak kwiaty jabłoni, ale w kształcie wielkiego stożka.

69

John starał się ukryć entuzjazm, by głos mu nie zadrżał.

- Wielkie drzewa? Jak wielkie? Kupiec machnął ręką.

- Jak dobrze wyrośnięty dąb. Nie wysokie i smukłe jak jodła, lecz szerokie i wysokie niczym dąb.

- A jakie dają drewno? - wtrącił Cecil, myśląc o niezaspokojonym w Anglii popycie na drewno do budowy statków.

- Dobre drewno - zapewnił szybko kupiec. (Za szybko, żeby to była prawda, pomyślał Robert Cecil). - Chociaż sam go nie widziałem, powiedziano mi, że drewno jest dobre.

- Ile? - spytał John. Wpatrywał się w szkatułę, ale trzymał kasztan w dłoni. - Ile ich masz?

- Tylko pół tuzina - powiedział kusząco kupiec. - Tylko sześć. I to jedyna szóstka w całym królestwie Anglii, jedyna szóstka poza Turcją. Jedyna szóstka w całym chrześcijańskim świecie. Dla waszej lordowskiej mości i żeby pan je wyhodował, panie Tradescant.

- Jeszcze coś? - zapytał niedbale Cecil.

- Te nasiona. - Kupiec pokazał maleńki woreczek pełen twardych, czarnych nasion. - To rzadkie kwiaty.

- Jakie kwiaty? - spytał John. Kasztan był ciepły, gładki i przyjemnie było trzymać go w ręce. Pomyślał, że może niemal wyczuć zwinięte w nim w kłębek życie, jak w świeżo złożonym jajku.

- Rzadkiej piękności, jak lilie - oświadczył kupiec.

Tradescant spojrział z powątpiewaniem. Lilie wyrastają z cebulek, a nie z małych nasion. Nagle zwątpił w uczciwość kupca i zacisnął mocno palce. Przynajmniej ten piękny, obiecujący kasztan nie jest kłamstwem.

- Ile? - spytał Cecil. - Za korzenie, nasiona i kasztany?

Kupiec szybko przeniósł spojrzenie z ogrodnika na jego pana i bez trudu wyczytał chęć zakupu w twarzy Tradescanta.

- Pięćdziesiąt funtów.

- Za garść nasion?! - wykrztusił hrabia.

Kupiec uśmiechnął się i skinieniem głowy wskazał na Tradescanta. Cecil powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem

70

i musiał się roześmiać. John obracał kasztan w dłoni, nie widząc nikogo. Wyglądał na zamroczonego.

- To bezcenny skarb dla ogrodnika - oświadczył kupiec. - Nowe drzewo. Całkiem nowe drzewo, które kwitnie jak róża i wyrasta na tak wielkie i rozłożyste jak dąb.

- Osiem funtów teraz i drugie osiem, jeśli to drzewo urośnie - powiedział burkliwie earl. - Możesz przyjechać do mnie następnej wiosny i jeśli wypuści korzenie, zapłacę ci resztę. Jeżeli za pięć lat będzie to piękne drzewo z kwiatami jak kwiaty jabłoni i potężne jak dąb, zapłacę jeszcze osiem.

- Może dziewięć - targował się kupiec.

- Nie więcej niż dziewięć - uciął Cecil i wstał. - Dziewięć teraz, dziewięć, jeśli zapuści korzenie, i dziewięć za pięć lat, jeżeli okaże się ładne.

- Zaraz zabiorę to wszystko do Theobalds - oświadczył John, budząc się z transu. Nadal trzymał w ręku kasztan. Kupiec włożył korzenie i nasiona z powrotem do szkatułki i podał ją ogrodnikowi.

- Sądziłem, że dopiero co się ożeniłeś? - dociął mu Cecil.

- Żona może poczekać - odparł stanowczo Tradescant. - Ale chciałbym, aby to, co kupiliście, panie, zostało porządnie posadzone i żeby dobrze się tym opiekowano. A kasztany powinny zaraz znaleźć się w ciepłej, wilgotnej ziemi, chyba że... - urwał i spojrzał na kupca: - Czy tam w zimie są mrozy?

Kupiec wzruszył ramionami.

- Byłem tam tylko wiosną.

Cecil wybuchnął śmiechem i zaczął schodzić trapem na nabrzeże. John już ruszał za nim, kiedy coś przyszło mu do głowy i zawołał w stronę statku:

- Czy te liście zmieniają kolor jesienią? A może są świeże i zielone przez cały rok?

- Skąd mam wiedzieć? - odkrzyknął kupiec. - Nigdy nie byłem tam jesienią. Jakie to ma znaczenie? Wkrótce sam zobaczysz, kiedy urosną.

- Pytam po to, żebym wiedział, kiedy powinienem je posadzić! - zawołał John z irytacją. - Jeżeli drzewa są zielone przez cały rok, wtedy mogę je posadzić, gdy tylko zechcę,

71

najlepiej w lecie. Ale jeśli tracą liście na zimę, wtedy powinno się je posadzić do zimnej ziemi!

Kupiec wzruszył ramionami i roześmiał się głośno.

- Zapytam, kiedy tam będę! A jeśli te nasiona się nie przyjmą, to przywiozę ci więcej! Następnym razem za podwójną cenę!

Cecil, kulejąc, oddalał się już po kocich łbach ulicy. John pobiegł, by go dogonić.

- Naprawdę musisz się nauczyć trochę przebiegłości, Tradescant - zganił go hrabia. - Jeśli masz podróżować i kupować dla mnie rośliny, musisz nauczyć się handlować, ukrywając swoje uczucia. Z twojej twarzy można wszystko wyczytać jak z kwitariusza.

- Przykro mi, milordzie. Ale nie mogłem zachować obojętności.

- W takim razie będą cię oszukiwać od Flushing do Drezna.

- Nauczę się udawać znudzonego podróżnika - obiecał ogrodnik. - Będę się w tym ćwiczył. Będę tak znudzony jak Szkot małą łapówką.

Cecil wybuchnął śmiechem.

- Przepłyniesz ze mną na drugi brzeg rzeki? Płynę do Whitehall.

John spojrział na nabrzeże, gdzie kołysała się łódź hrabiego, z wiosłami uniesionymi na powitanie; postacie odzianych w jaskrawe barwy Cecila majtków odbijały się w czystych wodach Tamizy.

- Pojadę konno do Theobalds - odparł. - I zaraz posadzę to wszystko.

- A potem wrócisz do żony! - zawołał do niego Cecil, schodząc po stopniach do łodzi. - Weź kilka dni wolnego, by spędzić je z żoną, Tradescant. Wiesz, że musisz również uprawiać swój własny ogród.

W Meopham Elizabeth znów czekała na Johna.

- Dopiero co wzięłaś ślub i już cię zostawił - powiedziała ostrym tonem jej matka. - Elizabeth, mam nadzieję, że nie zrobiłaś nic, by go do siebie zniechęcić?

Elizabeth wsunęła pod czepek luźny kosmyk włosów.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała. - Wezwał go sam hrabia.

72

Przecież nie mógł odesłać listu i oświadczyć, że nie przybędzie!

- A noc poślubna przebiegła jak należy? - spytała półgłosem

Gertrudę. - Nie zatrzymasz go przy sobie, jeśli będzie mógł twierdzić, że nie zaczął i nie zakończył ślubnej pracy.

- To jasne jak słońce. I on nie chce zerwać tego małżeństwa. Jego pan go wezwał. Przesłał mi wiadomość z Londynu. Spodziewam się jego powrotu lada dzień.

- Pościel była prawie niepoplamiona - zauważyła Gertrudę. Elizabeth zaczerwieniła się gwałtownie. Użyła dżemu z poziomek, by poplamić prześcieradło. Zgodnie z tradycją prześcieradło świeżo poślubionych małżonków wieszano na parapecie sypialni, żeby sąsiedzi i cała wieś mogli się przekonać, że małżeństwo zostało zawarte i skonsumowane i nie można go już unieważnić. Nawet ludzie ze stanu Elizabeth i Johna nie mogli uniknąć powszechnej ciekawości i wścibstwa.

- Była dostatecznie poplamiona - oświadczyła Elizabeth.

- No, tak! - Gertrudę usiadła z powrotem na twardym krześle i rozejrzała się po pokoju. - Przynajmniej zostawił cię w dostatku. Przypuszczam, że dopóki cię utrzymuje, dopóty nie będzie ci go brakowało, gdyż tak długo byłaś starą panną.

- Będzie mnie utrzymywał i wróci do mnie - odrzekła spokojnie Elizabeth. - Musiał pojechać do Theobalds z jakimiś nowymi roślinami do ogrodu hrabiego. Ale spodziewam się, że wkrótce wróci.

- Lepiej byś zrobiła, wychodząc za męża za farmera! - Gertrudę roześmiała się cicho, złośliwie. - Lepiej mieć trochę błota na podłodze niż męża, który opuszcza cię następnego ranka po ślubie.

- Lepiej mieć męża, cieszącego się łaskami samego hrabiego Cecila, niż być kobietą, która zna tylko wzgórze rodzinnej wioski!

- wybuchnęła Elizabeth.

- O mnie mówisz, ty zuchwała panno?! - zawołała Gertrudę, zrywając się z krzesła. - Nie pozwolę się obrażać! Twój ojczym dowie się o tym! I sprawi, że pożałujesz swojej impertynencji!

73

Powiem mu, żeby przyszedł tu po kolacji i wyjaśnił ci, co oboje myślimy o zuchwałych starych pannach, zaślubionych jednego

dnia i porzuconych następnego! Będiesz miała szczęście, jeśli mąż w ogóle do ciebie wróci! Nie wątpię, że zobaczę cię przy tylnych drzwiach mojego domu proszącą, żebym cię znów przyjęła!

Elizabeth wielkimi krokami podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko.

- Nie jestem panną, zuchwałą czy nie - oświadczyła. - A mój ojczym nie ma nade mną żadnej władzy, ty również. Nie muszę cię słuchać i na pewno nie muszę być posłuszna jemu. Mój ojciec tak by mnie nie potraktował!

- Łatwo ci mówić! - odparowała Gertrudę. - Ponieważ nie ma go tu i nie może ci zaprzeczyć!

- Nie zaprzeczyłby mi! - odgryzła się Elizabeth. - Był taki jak ja. Jesteśmy wierni tym, których kochamy. Nie przelatujemy z kwiatka na kwiatek jak pijana pszczoła.

Gertrudę nie mogła znieść tej aluzji do swych czterech małżeństw i rzuciła się do drzwi.

- No cóż, dziękuję pani, pani Tradescant! - warknęła. - Pójdę do domu do mojego męża, który czeka już przy kominku, i będę się cieszyć wesołym towarzystwem i smacznym jadłem. Będziemy pili i weselili się. I będę spała w ciepłym łóżu z mężczyzną, który mnie kocha! I przypuszczam, że chciałabyś, żeby z tobą było tak samo!

Elizabeth zaczekała, aż Gertrudę opuści jej dom, a potem zamknęła drzwi z głośnym trzaskiem, który rozszedł się wokoło wyzywającym echem. Kiedy jednak nabrała pewności, że matka odeszła i już nie wróci, by mieć ostatnie słowo, padła na kolana na dywaniku przed kominkiem, oparła twarz na pustym fotelu pana domu i płakała z tęsknoty za Johnem.

Rozdział Ósmy.

Sierpień 1607.

Wrócił dopiero późnym latem; nie posłał po nią, żeby przyjechała do Theobalds. Nie przysłał nawet listu, by ją powiadomić, że przybędzie później - tak pochłoneła go praca nad ponownym sadzeniem roślin i pielęgnowaniem najpiękniejszego ogrodu w

Anglii. Najpierw skupił całą uwagę na nowo zaprojektowanych ogrodach z parterami węzłowymi. Nieprzerwane linie wijących się żywopłotów znacznie trudniej było strzyc niż dawne proste szeregi, a wewnątrz obwódki żywopłotowych lawenda kwitła zbyt bujnie. Teraz należało ją przyciąć, żeby nie wysuwała granatowych witek poza przydzielone jej miejsce. W końcu jednak Cecil przyznał, że miękkie kształty i kolczaste, niebieskofioletowe kwiaty upiększają geometryczną precyzję ogrodu. Wyraził też zgodę na to, żeby Tradescant posadził inne krzaczki w obwódkach żywopłotowych.

Potem baseny kąpielowe w marmurowej świątyni pozieleniały w upalną pogodę i John kazał spuścić wodę, wyszorować je solą, opłukać i ponownie napełnić. Później zaczęły dojrzewać owoce, najpierw poziomki, następnie maliny, agrest, śliwki i morele. Dopiero kiedy nadeszła pora porzeczek, John oderwał się od pracy, pożyczył konia i pojechał zakurzonymi drogami do swojego domu w hrabstwie Kent. W kieszeni miał dwa nowe kasztany, nadal błyszczące, gdyż ciągle je polerował. Z szczęściu zakupionych kulek

75

dwie posadził w wielkich donicach i ustawił w zacienionym miejscu. Chcąc, żeby wypuściły korzenie, codziennie lał ostrożnie wodę na podstawki pod donicami. Dwie inne trzymał w swojej szopie w zawieszanej wysoko siatce, żeby nie dobrały się do nich szczury. Zgodnie z jego planem miały poczuć upalne letnie powietrze, zanim zasadzi je jesienią, kiedy zielsko wyschnie, przed nadejściem pierwszych przymrozków. Miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się naśladować naturalny bieg rzeczy. Dwa ostatnie kasztany chował bezpiecznie w kieszeni; chciał posadzić je na wiosnę, na wypadek gdyby trzeba było chronić je przed mrozem. Liczył, że poczuwszy ciepło nowej pory roku i wilgotną ziemię, zaczną kiełkować. Pomyślał, że powinien był je zostawić w kamiennym naczyniu w ciemnej, zimnej łaźni, nie mógł się jednak powstrzymać od pieszczenia tych gładkich, okrągłych nasion ukrytych w kamizelce. Kilkanaście razy dziennie wsuwał



palce do kieszonki, gładząc kasztany jak kura przewracająca dwa bezcenne jajka.

Starannie zapiął guziki, zanim dosiadł konia.

- Spędzę kilka tygodni z żoną - powiedział do pomocnika, który trzymał wodze. - Możesz po mnie posłać, jeśli będę potrzebny. W przeciwnym wypadku wrócę do domu pod koniec września. - Nie zauważył, że nazwał Theobalds „domem”. - I pamiętaj, dopilnuj, by bramy zawsze były zamknięte - przypomniał chłopcu - i piel codziennie trawę. Ale nie dotykaj róż. Wrócę na czas, żeby się nimi zająć. Możesz ściąć główki, kiedy zwiędną, i zabierz płatki do destylarni, ale to wszystko.

Podróż do Meopham trwała dwa dni. Johna cieszyła jazda przez tereny Surrey, gdzie łąki znów się zieleniły po deszczu, a kopki pszenicy stały na polach. Mijali go inni jeźdźcy, podnosząc tumany kurzu, które go oślepiały; czasami napotykał wielkie wozy i wtedy mógł przywiązać konia z tyłu, a sam usiąść obok woźnicy, żeby odpocząć od siodła i napić się piwa. Mnóstwo ludzi szło pieszo: wędrowni rzemieślnicy szukający pracy, gromady żniwiarzy po skończonych żniwach, zbieracze jabłek zmierzający do Kentu tak jak John, Cyganie, komedianci i gotowy zatrzymać się na każdym skrzyżowaniu i wygłaszać kazania

76

wędrowni kaznodzieja, który nie potrzebował ani kościoła, ani biskupów. Handlarze uginali się pod ciężarem pak z towarami, gęsiarki pędziły swoje stadka na targ w Londynie, żebracy, biedacy i krzepcy włóczędzy wędrowali, przeganiani z parafii do parafii. John mijał też woły gnane do Smithfield przez klnących, zirytowanych pastuchów.

Wieczorami spożywał w karczmie „zwykłą”, codzienną kolację po stałej cenie, którą woleli wędrowcy niskiego stanu, ale dodatkowo płacił za to, by spać w pojedynkę. Nie chciał stanąć przed Elizabeth, drapiąc się wszędzie, gdyby pogryzły go pchły pozostawione przez innego podróżnika.

Przy długim stole ustawionym we frontowej izbie karczmy rozmawiano o nowym królu, który nie mógł się porozumieć z

parlamentem, chociaż przebywał w swoim królestwie cztery lata. Jedzący kolację mężczyźni w większości byli po stronie monarchy. Miał w sobie wdzięk nowości i czar władzy. Cóż z tego, że parlament skarży się na szkockich szlachciców, którzy wiszą u królewskiej klamki, i na ekstrawagancje króla? Na Boga, wszak władca Anglii może sobie pozwolić na odrobinę zbytku! A zresztą, przecież musi utrzymywać rodzinę, kilkoro książąt i księżniczek, więc czy ma żyć w niedostatku? Jeden z obecnych czuł się pokrzywdzony przez urząd do spraw opieki nad małoletnimi. Człowiek ten twierdził, że żaden majątek nie jest bezpieczny za rządów króla, który bierze pod opiekę sieroty, oddając ich własność w dzierżawę swoim przyjaciołom, ale narzekający zyskał niewiele współczucia. Skarga dotyczyła dawnych czasów, a król był nowy, nowość zaś cieszyła.

John siedział z pochyloną głową nad talerzem baraniny i trzymał język za zębami. Kiedy ktoś wznosił toast za jego królewską mość, John wstał równie szybko jak pozostali. Nie zamierzał plotkować o uszminkowanych kobietach i chłopcach z dworu Jakuba Stuarta, a zresztą, żaden człowiek, który pracował u Roberta Cecila, nigdy by nie wypowiedział niebezpiecznej opinii w miejscu publicznym.

- Nie obchodzi mnie, czy mamy parlament! - wykrzyknął jakiś mężczyzna. - Co oni kiedykolwiek dla mnie zrobili?

77

Jeżeli król Jakub, Boże mu błogosław, da sobie radę bez parlamentu - to i ja mogę!

John pomyślał o swoim panu, który twierdził, że monarcha może rządzić, tylko okłamując i kusząc, kogo trzeba, by zdobyć aprobatę swych poddanych, a jego dewizą była praktyka, nie zasady, i nic nie powiedział. Później dotknął na szczęście ukrytych w kieszonce kamizelki kasztanów, włożył kapelusz i poszedł spać do swej izby.

Przyjechał do Meopham w południe i już skręcał na farmę rodziny Dayów, gdy sobie przypomniał, że Elizabeth mieszka w nowym domku - w ich nowym domku. Wrócił błotnistą drogą, a potem

okrzyżił swoją nową siedzibę i podjechał na tyły, gdzie mieli szopę oraz kawałek łąki dla konia. Rozsiodłał go, zdjął wędzidło i puścił zmęczone zwierzę na pastwisko. Koń podniósł łeb i zarżał na widok obcego miejsca. Wtedy John zobaczył twarz Elizabeth w oknie na górze - wyjrzała, słysząc rżenie.

Idąc w stronę tylnego wejścia do domku, usłyszał, że żona zbiega na dół po drewnianych schodach. Potem drzwi od podwórza się otworzyły i Elizabeth podbiegła ku niemu. Nagle przypomniała sobie, że należy się zachowywać godnie, i przystanęła w pół kroku.

- Och, panie Tradescant! - powiedziała zdyszana. - Zabiłabym kurczaka, gdybym wiedziała, że dzisiaj przyjedziesz.

John wziął ją za ręce i jak zwykle oficjalnie pocałował w czoło.

- Sam nie wiedziałem, kiedy tu dotrę - wyjaśnił. - Drogi były w lepszym stanie, niż myślałem.

- Przybyłeś z Theobalds?

- Wyjechałem przedwczoraj.

- I wszystko w porządku?

- Tak. - Spojrzał na nią i zauważył, że jej zazwyczaj blada twarz jest różowa i uśmiechnięta. - Ty też wyglądasz bardzo dobrze, żono.

Zerknęła na niego spod skromnego białego czepka.

- Czuję się dobrze - odparła. - I jestem bardzo szczęśliwa, że cię widzę, mężu. Tutaj dni raczej się dłużą.

- Dlaczego? - zapytał John. - Myślałem, że powinnaś mieć dużo pracy w domu, który wreszcie jest twój?

78

- Dni mi się dłużą, ponieważ jestem przyzwyczajona do gospodarowania na farmie - wyjaśniła. - Do zajmowania się porządkiem, praniem, łataniem i cerowaniem, żywieniem rodziny, parobków i dziewczek służebnych, do dbania o ich zdrowie i do pracy w herbarium i ogrodzie warzywnym! Tutaj sprzątam zaledwie dwie sypialnie, kuchnię i bawialnię. Nie mam dużo roboty.

- Och! - John był naprawdę zaskoczony. - Nie przyszło mi to do

głowy.

- Ale założyłam nowy ogród - powiedziała nieśmiało.

-Pomyślałam, że to ci się spodoba. -Wskazała kawałek ziemi na tyłach domku. Za pomocą kołków i sznurka wytyczyła tam kwadrat, w którym wił się labirynt. - Zamierzałam ułożyć go z kawałków kredy i odłamków krzemienia w czarne i białe wzory - powiedziała. - Nie przypuszczam, żeby przetrwały tam jakieś delikatne rośliny z powodu kur.

- Nie można trzymać kur w ogrodzie! - oświadczył stanowczo John.

Elizabeth zachichotała. John opuścił oczy i znów z zaskoczeniem zauważył jej zaróżowioną ze szczęścia twarz.

- No cóż, musimy trzymać kury, aby mieć jajka i mięso - powiedziała. - Dlatego powinieneś wymyślić jakiś sposób, żeby nie mogły się tam dostać.

John roześmiał się wesoło.

- W Theobalds prześladowuje mnie zwierzyna płowa! Przykro mi, że w moim własnym ogrodzie nadal mam szkodniki, które będą niszczyć moje rośliny.

- Może powinniśmy przeznaczyć dla kur inny kawałek ziemi - zaproponowała. - A ten ogrozić tak, żeby mogło w nim wyrosnąć wszystko, co zechcesz.

John spojrział na wyjałowioną jasnobrązową ziemię i pobliski śmietnik.

- To na pewno nie jest idealne miejsce na ogród -rzekł.

Rumieńce i wyraz szczęścia od razu zniknęły z jej twarzy.

- No tak, przypuszczam, że nie po Theobalds Palace.

- Elizabeth! - zawołał. - Nie chciałem powiedzieć, że... Odwróciła się od niego i skierowała w stronę domu.

79

Poszedł za nią i chciał wziąć ją za rękę, ale powstrzymało go jakieś głupie onieśmienie.

- Elizabeth! - powiedział jeszcze łagodniej. Zawahała się, ale nie odwróciła.

- Bałam się, że już nigdy nie przyjedziesz - szepnęła.

- Bałam się, że ożeniłeś się ze mną, by dotrzymać umowy i dostać mój posag, i że już nigdy do mnie nie wrócisz.

- I bardzo się myliłaś! To oczywiste, że wróciłbym do ciebie! -

Zdumiały go jej słowa. - Poślubiłem cię z własnej i nieprzymuszonej woli! To oczywiste, że przyjechałem do ciebie! Pochyliła głowę i otarła oczy fartuchem. Ale wciąż się nie odwracała.

- Nie napisałeś - powiedziała cicho. - I minęło już parę miesięcy. Teraz to on się odwrócił. Oderwał wzrok od domu, spojrzął ponad skrawkiem pastwiska, gdzie stał jego koń, w stronę kościoła o kwadratowej wieży strzelającej w niebo.

- Wiem - odrzekł lakonicznie. - Zamierzałem.

Elizabeth podniosła głowę, lecz nadal nań nie patrzyła. Pomyślał, że wyglądają jak para głupców, stojąc tak tyłem do siebie na własnym podwórzu, zamiast paść sobie w ramiona.

- Dlaczego nie napisałeś? - spytała cicho. Odchrząknął, żeby ukryć zakłopotanie.

- Nie umiem zbyt ładnie pisać - wyjaśnił niezręcznie.

- To znaczy w ogóle nie umiem pisać. Potrafię trochę czytać, myślę, że nawet szybko, ale nie umiem pisać. A zresztą, nie wiedziałbym, co ci napisać.

Odwróciła się do niego, ale, zakłopotany, nie spostrzegł tego.

Wbijał obcas buta do konnej jazdy w przysypaną kurzem ziemię.

- A co byś napisał w tym liście, gdybyś umiał pisać? -zapytała bardzo cichym, kojącym głosem. To był głos, który budził zaufanie mężczyzny. John oparł się gwałtownemu pragnieniu, by objąć Elizabeth i wtulić twarz w jej kark.

- Napisałbym, że jest mi bardzo przykro - wyznał burkliwie. -

Przykro mi, że byłem rozdrażniony w naszą noc poślubną

80

i że musiałem cię opuścić już następnego ranka. Kiedy rozzłościłem się na gości weselnych za hałasy, pomyślałem, że będziemy mieli dla siebie następny spokojny dzień i wtedy naprawimy to, co się między nami popsuło. Chciałem obudzić cię wcześniej rano i kochać się z tobą. Ale wtedy przybył posłaniec i

pojechałem do Londynu, a potem nie miałem pojęcia, jak ci powiedzieć, że jest mi przykro.

Elizabeth z wahaniem postąpiła do przodu i położyła rękę na ramieniu męża.

- Mnie też było bardzo przykro - powiedziała po prostu. - Myślałam, że mężczyznom jest łatwiej w tych sprawach. Myślałam, że robiłeś dokładnie to, co chciałeś. Myślałam, że nie przespałeś się ze mną, ponieważ... - Żal chwycił ją za gardło i wyszeptała cicho: - Ponieważ czujesz do mnie wstręt, i że odjechałeś do Theobalds, bo postanowiłeś mnie unikać. John odwrócił się błyskawicznie i przytulił ją do serca.

- Wcale nie! - Poczuję, że zadrzała, gdy wstrząsnął nią szloch. - Nie czuję do ciebie wstrętu!

Trzymał w ramionach jej ciepłe ciało; skórę miała miękką i gładką. Obsypał pocałunkami jej twarz, mokre powieki, szyję w wycięciu sukni, a potem nagle obudziło się w nim pożądanie, nadciągnęło tak łatwo i naturalnie jak wiosenna ulewa nad łąkę. Podniósł Elizabeth i zaniósł do domu, kopnięciem zamknął za sobą drzwi, położył ją na dywaniku przed kominkiem, gdzie siedziała sama przez tyle wieczorów, i kochał się z nią tak długo, aż na dworze pociemniało i tylko ogień oświetlał ich splecione ciała.

- Nie czuję do ciebie wstrętu - powtórzył.

W porze kolacji wstali z podłogi, zmarznięci i zeszywniali.

- Mam trochę chleba, sera i rosółu - powiedziała Elizabeth.

- Wystarczy mi to, co jest - odrzekł John. - Przyniosę dREW na ogień.

- Pobiegnę do matki i pożyczę dzbanek bulionu -oznajmiła, wkładając szarą suknię. Odwróciła się do niego tyłem,

81

żeby mógł zawiązać jej biały fartuch. - Zaraz wracam.

- Przekaż im moje pozdrowienia - poprosił John. - Jutro do nich wpadnę.

- Moglibyśmy pójść do nich na kolację - zaproponowała. - Ucieszyliby się, gdybyśmy odwiedzili ich dziś wieczorem.

- Mam inne plany na dzisiejszy wieczór - oświadczył John z porozumiewawczym uśmiechem. Elizabeth zarumieniła się gwałtownie, czując, że zalewa ją fala gorąca.
- Och! - Opanowała się i dodała: -W takim razie pójdę po bulion. John skinął głową i wsłuchał się w szybkie kroki żony biegnącej po wykładanej ceglami dróżce i potem po ulicy. Włożył duże naręcze dREW do kominka, a później wyszedł na pastwisko, żeby zająć się koniem. Kiedy wrócił, Elizabeth mieszała rosół w garnku zawieszonym na łańcuchu nad ogniem, a na stole leżał chleb oraz świeży ser i stały dwa dzbanki cienkiego piwa.
- Przyniosłam swoją książkę - powiedziała ostrożnie. - Pomyślałam, że może chciałbyś, żebyśmy ją przejrżeli razem.
- Jaką książkę?
- Mój elementarz - wyjaśniła. - Ojciec nauczył mnie czytać i pisać i pisałam w tej właśnie książce. Nadal są w niej czyste stronic. Pomyślałam, że gdybyś zechciał, mogłabym cię nauczyć. Przez chwilę John chciał odmówić; myśl, że żona mogłaby czegokolwiek uczyć męża, wydawała się sprzeczna z prawami natury i z Bożymi nakazami, ale Elizabeth wyglądała tak słodko i młodo. Włosy miała potargane, a czepek lekko przekrzywiony. Leżąc na jego opończy na podłodze ich maleńkiego domku, była czuła, gotowa do rozkoszy i otwarcie namiętna. John pomyślał, że raczej nie ma ochoty wspierać praw Boga i natury; że zamiast tego chętnie sprawi żonie przyjemność. Zresztą dobrze będzie umieć czytać i pisać.
- Umiesz pisać po francusku? - spytał. - I łacińskie słowa?
- Tak - odparła. - Chcesz nauczyć się francuskiego?

82

- Umiem mówić po francusku, trochę po włosku i dostatecznie dobrze po niemiecku, żeby dopilnować, by nie oszukiwano mojego pana, kiedy kupuję dlań nasiona od kapitanów dalekomorskich statków. Znam też łacińskie nazwy niektórych roślin. Ale nigdy się nie nauczyłem, jak je napisać. Uśmiech rozjaśnił jej twarz.
- Mogę cię nauczyć.

- W porządku - zgodził się. - Ale nie wolno ci nikomu o tym mówić.

Jej spojrzenie było otwarte i uczciwe.

- Oczywiście, że nie. To pozostanie między nami, jak wszystko inne.

Tej nocy znów się kochali w ciepłym, wygodnym łożu małżeńskim. Elizabeth, która nie bała się już, że John jej nie chce, i całkiem nieoczekiwanie odkryła w sobie zmysłowość, przytuliła się doń, objęła go ramionami i nogami i szlochała z rozkoszy. Potem zarzucili na ramiona koce, otulili się nimi i siedząc obok siebie na brzegu łoża, patrzyli na granatowe nocne niebo rozjarzone blaskiem tysięcy gwiazd.

We wsi panował spokój, w żadnym domu się nie świeciło. Droga prowadząca z Meopham na północ do Gravesend i Londynu była pusta i cicha, majaczyła widmowo w gwiezdnej poświacie.

Zahukała sowa, przelatując bezszelestnie nad polami. John sięgnął do kamizelki zwiniętej na kufrze w nogach łoża.

- Mam coś, co chciałbym ci pokazać - powiedział. - Myślę, że to najcenniejsza rzecz, jaką posiadam. Może uznasz to za niemądre, ale jeśli chcesz, podaruję ci ją.

Zacisnął w dłoni jeden z bezcennych kasztanów.

- Zatrzymam to, jeśli ci się nie spodoba - rzekł. - Tak naprawdę nie mam prawa tego oddawać, gdyż mi to powierzono.

Elizabeth uniosła się lekko, jej włosy rozsypały się, tak brązowe i lśniące jak zamorski kasztan.

- Co to takiego? - zapytała z uśmiechem. - Powiedziałeś to z takim przejęciem, jak dziecko w szkole.

- To wiele dla mnie znaczy.

83

- W takim razie i dla mnie będzie wiele znaczyć - odparła.

Wyjął zacisniętą pięść z kieszeni kamizelki. Elizabeth wyciągnęła dłoń, czekając, aż mąż rozewrze palce.

- W naszym kraju jest ich tylko sześć - wyjaśnił. - Może tylko sześć w całej Europie. Powierzono mi je i, jeśli zechcesz, możesz mieć ten szósty.



Położył ciężki kasztan na jej dłoni jak okrągły, gładki kamyk.

- Co to?

- To kasztan.

- Jest zbyt duży i za okrągły!

- To nowy gatunek kasztana. Kupiec, który mi go sprzedał, powiedział, że rośnie na wielkim drzewie, tak jak nasz kasztanowiec, ale kwitnie niczym róża, a jego kwiaty mają barwę kwiatu jabłoni. A ten wielki kasztan jest tylko jeden w łupinie, nie po dwa jak w naszych, łupina nie jest kolczasta, tylko gładka i zielona, zaledwie z kilkoma ostrymi kolcami. Sprzedał je mojemu panu za dziewięć funtów i jeszcze za osiemnaście funtów, jeśli coś z niego wyrośnie. A ja daję ci ten właśnie.

Elizabeth obróciła kasztan w ręce; ciemnobrązowa, połyskliwa kula kontrastowała z jej zrogowaciałą skórą.

- Mam go posadzić w ogrodzie?

John natychmiast się wzdrygnął, myśląc o żarłocznych kurach.

- Posadź go w doniczce, gdzieś, gdzie będziesz mogła łatwo go hodować - powiedział. - W ziemi z odrobiną nawozu. Podlewaj go na podstawkę pod doniczką, codziennie po trochu. Może ci wyrośnie.

- Jeżeli mi się nie uda, czy nie będziesz żałował, że dałeś mi tak cenny prezent?

John zacisnął jej palce na kasztanie.

- Jest twój - powiedział łagodnie. - Zrób z nim, co chcesz. Może będziesz miała szczęście. Może teraz, kiedy jesteśmy małżeństwem, obojgu nam dopisze szczęście.

John pozostał w Meopham cały miesiąc, a kiedy nadszedł czas powrotu do Theobalds, zdążyli już wprowadzić pewne innowacje. Za tylnymi drzwiami Elizabeth miała

84

małeńki ogród z parterami węzłowymi, wbrew nazwie zasadzony porami, burakami, marchewką oraz cebulą, i ogrodzony niskim płotkiem ze splecionych witek wikliny dla ochrony przed wścibskimi kurami. John umiał zarówno czytać, jak i całkiem nieźle pisać, jego cenny kasztan, posadzony w doniczce na

parapecie, wypuścił bladozielony kielek, a Elizabeth oczekiwała dziecka.

Rozdział Dziewiąty.

Lato 1608.

Chłopiec powinien nazywać się George, po swoim dziadku - oświadczyła Gertrudę. Siedziała na najlepszym krześle w saloniku Elizabeth. Drewniana kołyska stała przy otwartym oknie, a John, oparty o parapet, kołysał ją ostrożnie nogą i wpatrywał się w twarzyczkę śpiącego niemowlęcia. Był to chłopczyk o śniadej cerze i czarnych włoskach, gęstych jak włosy jego ojca. Kiedy nie spał, jego oczy miały ciemnoniebieską barwę niczym muszla przybrzeżka. John nie przestawał trącać kołyski nogą, tłumiąc chęć wzięcia syna na ręce, by poczuć jego zapach: połączoną woń mleka i słodkiej śmietanki.

- George David, po jego dziadku i ojcu chrzestnym -ciągnęła Gertrudę. Zerknęła z ukosa na Johna. - Chyba że chcesz nazwać go Robert i zobaczyć, czy zdołasz przekonać twojego pana, żeby się nim zainteresował?

John wyjrzał na ogród. Mały warzywnik miał się dobrze i tej wiosny John dodał jeszcze jeden kwadratowy kawałek ziemi zasiany ziołami, których jego żona używała do przesypywania odzieży, do leczenia różnych dolegliwości i gotowania. Na przeciwległym krańcu ogrodu znajdował się otoczony wiklinowym płotkiem kojec dla kur Elizabeth. John obsadził kojec piołunem, żeby go osłonić, zapewnić kurom cień i nie dopuścić pasożytów drobiu.

- Albo moglibyśmy nazwać go Jakub na cześć

86

jego królewskiej mości - mówiła dalej Gertrudę. - Chociaż przypuszczam, że niewiele mu to pomoże. Moglibyśmy też dać mu imiona Henryk Karol na cześć obu książąt. Mówi się jednak, że książę Karol jest chorowitym chłopcem. Czy widziałeś go kiedyś w Theobalds, Johnie?

Podniosła oczy na zięcia, który wychylił się z okna i w zamyśleniu ważył w ręku doniczkę. Z wilgotnej ziemi wystawała giętka

łodyżka zakończona kępką liści.

- Och, ta doniczka! Elizabeth codziennie wzdycha nad nią, jakby była warta tyle złota, ile sama waży! Żadna gałąź na świecie nie zasługuje na tyle uwagi! Ale pytałam cię, Johnie, czy widziałeś kiedyś księcia Karola w Theobalds? Słyszałam, że jest chorowity?

- Nie jest zbyt silny - odparł John, stawiając ostrożnie maleńki kasztanowiec na parapecie. - Ludzie mówią, że czuje się znacznie lepiej, odkąd przybył ze Szkocji. Ale ja rzadko go widuję. Król nie przywozi ze sobą rodziny. Kiedy przyjeżdża polować, towarzyszą mu tylko najbardziej zaufani dworzanie.

Gertrudę pochyliła się do przodu, najwyraźniej bardzo zaciekawiona ostatnimi plotkami.

- A czy oni są tacy źli, jak wszyscy mówią? Słyszałam, że król uwielbia diuka Rochester, obsypuje go perłami i podobno to diuk rządzi królem, a król - Anglią?

- A niby skąd mam wiedzieć takie rzeczy? - John nie chciał zaspokoić jej ciekawości. - Jestem tylko ogrodnikiem.

- Ale musiałeś go widzieć!

John pomyślał o ostatnim przyjeździe króla. Jakub Stuart przybył bez królowej Anny, która teraz nigdy z nim nie podróżowała. Młodzi królewscy ulubieńcy bez reszty zajęli jej miejsce. John widział króla, gdy ten spacerował po ogrodach Theobalds, obejmując ramieniem diuka Rochester. Siedzieli razem w altanie i Jakub położył głowę na ramieniu diuka jak wiejska dziewczyna zakochana w kowalu. Kiedy się całowali, dworzanie i damy dworu odwrócili się i udawali, że zajmują się własnymi sprawami. Nikt się niczym nie interesował, nikt ich nie potępiał. Młody diuk Rochester był faworytem każdego, kto pragnął cieszyć się łaskami króla. Wokół tego przystojnego młodzieńca

87

o gibkim ciele powstał cały dwór, ukształtowała się nowa moralność, przyzwalająca na wszelkie przejawy uczucia, na wszelkie postacie pijaństwa.

W nocy diuk otwarcie przychodził do łoża w królewskiej komnacie. Powiadano, że król boi się skrytobójstwa i że uspokaja

się wtedy, gdy ma towarzysza w sypialni, ale z jej wnętrza dochodziły głośne jęki rozkoszy i monotonne skrzypienie królewskiego łoża.

- Oni jeżdżą na polowania, a ja pielę ścieżki - dodał John niechętnie.

- Słyszałam, że królowa usycha z tęsknoty za mężem i że szukając pocieszenia u Boga, została papistką.

John wzruszył ramionami.

- A co z ich dziećmi, z królewiczami i królewnami?

John celowo przybrał obojętną minę. Nie chciał plotkować, chociaż widywał często królewskich synów i córki. Księżniczka Maria była jeszcze niemowlęciem i nie przebywała dużo z rodzeństwem, ale księżę Henryk, następca tronu i ulubieniec całego dworu, był aroganckim chłopcem, którego urok zniknął w chwilach wybuchów wściekłości. Jego siostra Elżbieta odziedziczyła temperament Tudorów i ich popędliwość. Natomiast biedny mały księżę Karol, drugi z kolei dziedzic korony, krzywonogi karzełek, najbrzydszy z całej czwórki, przez cały dzień biegał za silniejszą, starszą, bardziej atrakcyjną dwójką, zdyszany z powodu słabych płuc, jękając się z onieśmienia i pragnąc, żeby brat i siostra go zauważyli.

Ale nigdy się nie odwracali. Byli ukochanymi, rozpieszczonymi, zepsutymi dziećmi, pierwszymi dziećmi z czterech zjednoczonych królestw i nie mieli dla niego czasu. John widział, jak pływali łódką po jeziorze lub jechali konno przez park, nigdy nie oglądając się na biednego małego Karola, który usiłował ich dogonić.

- Rzadko widuję ich wysokości - oświadczył John.

- No cóż! - Zdenerwowana Gertrudę zerwała się na równe nogi. - Powiedz Elizabeth, że wpadłam, by jej życzyć wszystkiego dobrego. Dziwię się bardzo, że jeszcze nie zeszła na dół. Przekaż jej, że powiedziałam, iż ma obowiązek wstać i zająć się domem. I że dziecko powinno się nazywać George David.

88

- Raczej nie - odparł John takim samym spokojnym tonem.

- Co takiego?
- Nic z tego jej nie powiem. I ty również tego nie zrobisz.
- Słucham?

John uśmiechnął się uprzejmie, co zawsze przychodziło mu z łatwością.

- Elizabeth zostanie w łóżu tak długo, aż znów dobrze się poczuje
- wyjaśnił. - Mieliliśmy szczęście, żeśmy jej nie stracili. Poród był ciężki i coś sobie uszkodziła w środku. Będzie odpoczywała tak długo, jak zechce. I nie nazwiemy naszego syna George, Robert, Jakub, Karol, Henryk czy David. Będzie miał na imię John, po moim dziadku, moim ojcu i po mnie.

Gertrudę zachnęła się i skierowała do drzwi.

- Powinieneś zachować swoje imię dla innego dziecka. Pierwsze dziecko powinno otrzymać takie imię, żeby mogło znaleźć oparcie w swoim imienniku.

John nie przestał się uśmiechać, ale twarz pociemniała mu z żalu.

- Nie będzie innego dziecka - odparł. - Będzie tylko to. Dlatego nadamy mu takie imię, jakie chcemy, i będzie się nazywało John Tradescant.

Gertrudę przystanęła.

- Nie będzie innego dziecka? - zapytała. - Jak możesz mówić coś podobnego?!

John skinął głową.

- Wezwałem aptekarza z Gravesend. Powiedział, że ona nie przeżyje następnego porodu, więc będziemy mieli tylko to jedno dziecko, naszego syna.

Gertrudę wróciła do saloniku i znów zajrzała do kołyski.

- Ależ, Johnie! - powiedziała cicho. - Żeby pokładać wszystkie nadzieje tylko w jednym dziecku! I tylko ono będzie nosić twoje nazwisko! Przecież wszystko przepadnie, jeśli je stracie!

John potarł twarz, jakby chciał zetrzeć z niej grymas bólu.

Pochylił się nad kołyską. Zaciśnięte piąstki śpiącego malca były maleńkie jak pączki róży, a ciemne włoski okalały główkę niczym korona z puchu. Maleńka żyłka

pulsowała jak bezbronne serce na środku jego czaszki. Johna zalała fala tak wielkiej czułości, że miał wrażenie, iż serce mu mięknie jak wosk.

- Dobrze, że przywykłem do uprawiania rzadkich roślin - mruknął.

- Nie muszę strzec tuzina sadzonek, zawsze będę miał tylko tę jedną. Mam tylko ten jeden drogocenny pączek. Będę go pielęgnował tak, jakby był nowym kwiatem, rzadkim i osobliwym.

Rozdział Dziesiąty.

Styczeń 1610.

Stało się. - Robert Cecil znalazł Tradescanta klęczącego w ogrodzie w pobliżu pałacu. - Szukałem cię. Król chce przejąć na własność Theobalds w tym roku. Musimy opuścić posiadłość.

John wstał i otrzepał zimną ziemię z rąk.

- Co robisz? - zapytał hrabia.

- Ponownie układam białe kamyki - wyjaśnił John. - Mróz je przesuwają, ściska ziemię i zniekształca wzór.

- Zostaw to - rozkazał stanowczo Robert Cecil. - Niech się teraz tym martwi królewski ogrodnik. On chce mojego pałacu, napomykał o tym setki tysięcy razy w różny sposób, a Rochester zachęca go do tego, chociaż mógłby go powstrzymać. Odpierałem te ataki przez trzy lata, ale teraz uległem. Niech to licho! W ten sposób król jest szczęśliwy, Rochester też, a ja mam Hatfield.

Tradescant skinął głową, nie odrywając oczu od twarzy pana.

- Stworzysz tam dla mnie wspaniały ogród - powiedział szybko

Robert Cecil, jakby obawiał się milczenia i spokoju Johna. -

Pojedziesz za granicę i kupisz dla mnie wszelkie rodzaje osobliwości. Jak się mają kasztany? Zabierzemy je ze sobą.

Zabierzesz z tych ogrodów wszystko, co zechcesz, i zaczniemy od nowa w Hatfield. - Urwał. John nadal obserwował go, nic nie mówiąc. Najpotężniejszy człowiek w Anglii, ustępujący potęgą tylko królowi,

91

szybko cofnął się nieco od swego ogrodnika, a potem znów się doń odwrócił.

- Johnnie, mógłbym płakać jak dziecko - wyznał. John powoli skinął głową.

- Ja też.

Hrabia wyciągnął ramiona, John podszedł do niego i dwaj mężczyźni, jeden drobny i koślawy, drugi zaś barczysty i silny, objęli się mocno. Potem opuścili ręce, Cecil otarł oczy rękawem drogiego kaftana, a John odchrząknął głośno. Po chwili John podał swemu panu ramię, a Cecil oparł się o niego. Wyszli z ogrodu z parterami węzłowymi, krocząc obok siebie.

- Łazienia! - powiedział cicho hrabia. - Nigdy nie zbuduję nic podobnego w Hatfield.

- I tulipany, które właśnie posadziłem! I przebiśniegi, i wczesne lilie!

- Posadziłeś cebulki?

- Posadziłem ich setki jesienią, żeby zakwitły tej wiosny.

- Wykopimy je i zabierzemy ze sobą!

John pokręcił głową w milczeniu na znak sprzeciwu, ale nic nie powiedział. Szli powoli w stronę ozdobnego pagórka. Obok dróżki, w łożysku wyłożonym białymi marmurowymi kamykami, płynął strumyk. John się zawahał.

- Wejdźmy na górę - zaproponował sir Robert.

Powoli ruszyli krętą ścieżką. John zdążył oczyścić pnące róże, które rosły po obu stronach dróżki, i leżały teraz płasko i równo jak wiklinowy płotek. Cecil zatrzymał się, żeby złapać oddech i dać odpocząć bolącej krótszej nodze. John objął ramieniem swego pana, by go podtrzymać.

- Chodźmy dalej - powiedział hrabia i szli tak obok siebie, okrążając niewielkie wzniesienie. Na różach pojawiło się kilka wczesnych pączków; John zauważył, że są ciemnoszkarłatne, czerwone jak wino. Na szczycie pagórka znajdowała się okrągła ławka dla zakochanych okalająca fontannę. Tradescant zdjął opończę i położył ją na ławce, żeby hrabia mógł na niej usiąść. Sir Robert skinieniem głowy dał znak, by John usiadł obok jak równy mu stanem.

Obaj spojrzeli na ogrody pałacowe, rozpościerające się przed nimi w dole niczym kobierzec lub mapa.

- Te gaje! - powiedział z żalem Cecil. - Drzewa, które posadziliśmy.

- Dzwonki, które kwitną pod nimi na wiosnę - przypomniał John.

- Sady, moja ściana z drzew brzoskwiniowych!

- I murawa! - Tradescant skinieniem głowy wskazał na gładką trawę wyściełającą każdy dziedziniec ogromnego pałacu. -

Nigdzie indziej w całym królestwie nie ma takiej trawy. Ani śladu chwastów; są tu wprawni kosiarze, którzy umieją kosić ją równiutko z dokładnością do pół cala.

- Nie widzę błota w ogrodzie z parterami węzłowymi

- zauważył Robert Cecil, patrząc na ogród tak, jak powinno się nań patrzeć, z wysoka.

- Nie ma go teraz wcale - odparł niecierpliwie John, co zdarzało mu się bardzo rzadko - ponieważ całe rano myłem kamyki w lodowatej wodzie.

- Brak mi będzie polowań - mówił dalej hrabia.

- A mnie wcale nie będzie brakowało jeleni i danieli zjadających młode roślinki na wiosnę.

Cecil potrząsnął głową.

- Wiesz, że ludzie mówią, iż to najpiękniejszy ogród w Anglii? I najwspanialszy pałac? Że nigdy nie było i nie będzie pałacu i ogrodu, który by im dorównał?

John skinął głową.

- Wiem.

- Nie mógłbym go zatrzymać - oświadczył sir Robert.

- To zemsta króla na moim ojcu za stracenie jego matki, królowej Marii. Postanowił odebrać mi dom mojego ojca, jego dumę i radość. Co mogłem powiedzieć? Kluczyłem, wywijiałem się od odpowiedzi, wykręcałem i pokazywałem mu inne posiadłości. To moja wina. Mój ojciec i ja zbudowaliśmy zbyt wspaniałą i piękną pałac. Musiał budzić zazdrość.

John wzruszył ramionami.

- To wszystko należy do króla - odparł po prostu. -Cały kraj. I



każdy z nas jest tylko jego poddanym. Jeśli on czegoś zapragnie, musimy mu to dać.

93

Robert Cecil spojrział na niego z ukosa, z zaciekawieniem.

- Ty naprawdę w to wierzysz, prawda?

John skinął głową. Na jego otwartej twarzy malowała się szczerłość.

- Jest królem z woli Boga. Nie mógłbym mu niczego odmówić tak samo, jak opuścić pacierza.

- Oby Bóg sprawił, żeby król zawsze miał tak wiernych poddanych jak ty.

- Amen.

- Przestań czyścić te kamyki, zacznij przygotowywać rośliny do transportu i wykop te przeklęte cebulki. - Hrabia wstał, jęknąwszy z bólu. - Wszystkie kości mnie rwą w takie zimne dni.

- Zostawię cebulki - oświadczył John. Hrabia uniósł brwi.

- Oddaliście mu pałac i ogrody, panie - wyjaśnił ogrodnik. - Ja również mogę być szczodry. Niech król ma te tulipany na wiosnę, a ja sam wybiorę się do Niderlandów i kupię ci dużo innych do Hatfield, tak jak planowaliśmy. Możemy założyć tam nowy ogród, nie musimy tego ogołacać.

- Wielkopański gest ogrodnika? - zapytał Cecil z uśmiechem.

- Mam takie chwile - odparł John.

Rezydencja Hatfield House w Hertfordshire stała się domem i jednocześnie więzieniem młodej Elżbiety, późniejszej królowej Anglii, podczas niebezpiecznych dla niej rządów przyrodniej siostry Marii\*.

\* Maria I Tudor (1516-1558), córka Henryka VIII i Katarzyny Aragońskiej.

Była ona wtedy rozmiłowaną w nauce dziewczyną i bardzo się bała katowskiego topora. To ojciec Roberta Cecila przyjechał do niej - a przebywała wówczas w ogrodzie Hatfield House - aby jej powiedzieć, iż została królową.

- Zatrzymam drzewo, pod którym wówczas siedziała - powiedział Robert Cecil do Tradescanta, kiedy przyglądali się bagnu,

jakie zrobili w ogrodzie robotnicy stawiający wielki, nowy dom. - Ale niech mnie diabli, jeśli nie zrobię czegoś z tym marnym, małym dworkiem. Nie mógł wywierać na nikim wrażenia nawet wtedy, gdy go zbudowano. Nie jestem zaskoczony, że królowa przebywała wówczas w ogrodzie. Nigdzie indziej nie mogła usiąść.

- A gdyby tak wyciąć wszystko wokół niego, panie, tak by się wydawało, że stoi na wzgórzu, a nie nisko jak teraz, można by urządzić w nim letnią salę bankietową lub teatr.

Hrabia potrząsnął głową.

- Zostawię go. Dodatkowy dworek z własną kuchnią i stajnią zawsze się przyda, kiedy przybędzie ktoś ważny z dużą świtą. Chodź i zobacz nowy dom!

Ruszył przez ogród. John szedł za nim powoli, obrzucając otoczenie szybkimi, bystrymi spojrzeniami.

- Ładne drzewa - zauważył.

- Mogą zostać - odrzekł Robert Cecil. - Mountain Jennings zaplanował park, a pewien Francuz - ten ogród. Ale to ty go urządzisz.

John zdusił chwilową, niegodziwą zazdrość.

- Wolę obsadzić ogród, niż go zaplanować.

- Wiesz, że wszystko sprowadza się do tego samego, gdy przeminie pierwsza wiosna - oświadczył hrabia. - Ten Francuz wraca do Paryża, a wtedy będziesz miał wolną rękę. Możesz mi powiedzieć, że wszystko, co ci się nie podoba, uszło - przecież na pewno tego nie sprawdzę.

John zachichotał.

- Nie sądzę, żebym pozostał dłużej na służbie, gdybym niszczył twoje rośliny, milordzie.

Sir Robert się uśmiechnął.

- Nieważne, co z roślinami. Co myślisz o nowym domu?

Był to spory, okazały gmach, nie tak wielki jak budowla w Theobalds, którą zaprojektowano jako pałac, i która tak się rozrosła, że zamieniła się w prawdziwą osadę, ale duży i piękny,

postawiony w nowym stylu. Z pewnością nadawał się do zaprezentowania ogromnych bogactw rodu Cecilów, do goszczenia słynącego z rozrzutności, zbytku i przepychu dworu Stuartów i do wejścia w rolę jednej z największych, 95

najwspanialszych rezydencji arystokratycznych w Europie.

- Będzie ze wszystkich stron otoczony wielkimi dziedzińcami - pokazał Robert Cecil. - Będzie miał sto komnat i osobną kuchnię połączoną z piekarnią. Powiadam ci, Johnie, sam dom kosztował mnie prawie trzydzieści tysięcy funtów i spodziewam się, że wydam jeszcze drugie tyle na park i ogrody.

Tradescant z przejęciem przełknął ślinę.

- Zrujnujcie się, panie! - powiedział otwarcie. Earl pokręcił głową.

- Król jest szczodrym panem dla tych, którzy dobrze mu służą - wyjaśnił. - I nawet dla tych, którzy mu służą źle - dodał.

- Ale sześćdziesiąt tysięcy funtów! Cecil lekko się skrzywił.

- To moje pieniądze - odrzekł ponuro. - Mój reprezentacyjny dom, a wreszcie mój wspaniały pogrzeb. Co jeszcze mógłbym zrobić poza wydaniem ich na to, co kocham? A taki ogród stworzymy, prawda, Johnie? Chcesz, żebym oszczędzał na roślinach?

Johna ogarnęło podniecenie.

- Macie już plany, milordzie?

- Są tam. - Hrabia skierował się w stronę małej przybudówki; jego buty chlupotały w błocie. - Jak tylko robotnicy skończą, możesz posiać tu trawę i oczyścić to miejsce.

- Tak, milordzie - odpowiedział automatycznie Tradescant, patrząc na plany rozłożone na stole w szopie.

- Tam! - zawołał Cecil.

John nachylił się nad szkicem. Park był tak ogromny, że wielki dom narysowany w tej samej skali wyglądał jak maleńkie pudełko w samym jego środku. Tradescant przebiegł wzrokiem ogrody. Każdy dziedziniec należało obsadzić innymi kwiatami, każdy powinien mieć własny parter węzłowy z odmiennym wzorem. Miała tam przebiegać wielka aleja z obu stron obsadzona

drzewami owocowymi, zaplanowano też duży ogród wodny z rzeką płynącą wzdłuż tarasu okolonego ławkami i obsadzonego delikatnymi drzewkami owocowymi umieszczonymi w kadziach. Woda do ogrodu wodnego miała pochodzić

96

z gigantycznej fontanny i tryskać z miedzianego posągu ustawionego na wielkiej skale. Dalej od domu zamierzano stworzyć zadrzewione zakątki i sad, trawnik do gry zwanej bowls i górę tak dużą, żeby można było wjechać konno krętą drogą na jej szczyt.

- Czy zmniejszy to twoją tęsknotę za pałacem w Theobalds?

- zażartował Cecil.

- Zmniejszy - odparł John, patrząc na wspaniałe plany. Gubił się w myślach, zastanawiając się, w jaki sposób zdoła zdobyć tysiące drzew owocowych i gdzie kupi miliony roślin. - Ale czy zmniejszy waszą, milordzie?

Earl wzruszył ramionami.

- Służba u króla nigdy nie jest łatwa, Johnie. Nie zapominaj o tym. Żaden prawdziwy królewski sługa nie śpi spokojnie w nocy. Będzie mi brakowało mojego dawnego domu. - Odwrócił się znów do planu. - Ale to zapewni nam zajęcie do późnej starości, nie sądzisz?

- To zapewni nam zajęcie na zawsze! - zawołał John.

- Skąd mam wziąć tysiąc złotych karpi do ogrodu wodnego?

- Och, popytaj się, Johnie - odrzekł niedbale hrabia.

- Na pewno znajdziesz setkę par! A one będą się rozmnażać, jeśli będzie się o nie dbało, o to się nie boję!

John zachichotał wbrew sobie.

- Wiem, że nie obawiacie się tego, milordzie. To ma być moje zadanie.

Cecil uśmiechnął się do niego promiennie.

- Właśnie! - oświadczył. - Teraz robotnicy kładą nowy dach na pięknym domku dla ciebie, a ja dam ci podwyżkę. Ile ci obiecałem?

- Czterdzieści funtów rocznie - odrzekł Tradescant.

- Powiedzmy więc, że pięćdziesiąt - oznajmił łaskawie hrabia. -  
Czemu nie? Prawie tego nie zauważę, kiedy będę musiał zapłacić  
wszystkie pozostałe rachunki.

Rozdział Jedenasty.

Lato 1610.

John postanowił, że Elizabeth i dziecko pozostaną w Meopham,  
kiedy on będzie podróżował po Europie, kupując drzewa dla  
Roberta Cecila. Elizabeth protestowała, że chce zamieszkać w  
nowym domu w Hertfordshire, ale John pozostał nieugięty.

- Jeżeli ty lub dziecko zachorujecie, nie będzie tam nikogo, kto  
mógłby się wami zaopiekować - powiedział pod koniec sierpnia,  
kiedy układał plany i pakował się do podróży.

- W Meopham też nie ma nikogo, kto by się mną zaopiekował -  
odparła niezgodnie z prawdą.

- Tutaj jest cała twoja rodzina, kuzyni, siostry, ciotki i twoja  
matka.

- Nie widzę Gertrudę tracącej czas na zapewnienie mi wygód!

John skinął głową.

- Może nie. Ale spełni swój obowiązek wobec ciebie. Dopilnuje,  
żebyś miała ogień, wodę i jadło. Natomiast w Hatfield znam tylko  
robotników. Zresztą nawet nie wszyscy słudzy sir Roberta pracują  
w jego nowej rezydencji. Ten dom jest dopiero w połowie  
zbudowany.

- Muszą wkrótce go skończyć!

John nie umiał wyjaśnić jej skali tego projektu.

- Wygląda to tak, jakby mogli budować go przez kilkanaście lat i  
nigdy nie ukończyć! - oświadczył. - W każdym razie

98

już pokryli go dachem i wznieśli ściany. Ale całe wyposażenie  
wnętrza, podłogi, okna, wszystko to jeszcze jest do zrobienia.  
Trzeba też położyć boazerię, na miejscu są setki cieśli i snycerzy!  
Mówię ci, Elizabeth, on buduje tam całe miasteczko, na środku  
setki łąk. A ja muszę obsadzić i obsiać te łąki i zamienić je w  
ogromny ogród!

- Nie wierzę, że tak bardzo cię to onieśmiela - powiedziała czule

Elizabeth. - Widzę, że jesteś podniecony jak dziecko!

John uśmiechnął się, przyznając jej rację.

- Ale boję się o niego - dodał. - Porwał się z motyką na słońce.

Nie mam pojęcia, jak poradzi sobie z kosztami. Kupuje też pałac w Londynie, a potem go odsprzedaje. Obawiam się, że przesadzi i jeśli popadnie w długi... -Urwał. Nie chciał powierzać szczegółów prowadzonych przez Cecila interesów nawet Elizabeth, mówić o rutynowo przyjmowanych łapówkach, o trwonieniu państwowych pieniędzy, o dworzanach zrujnowanych przez króla w jeden dzień z powodu oskarżeń o zdradę lub obrazę Korony, ludziach, których majątki następnie kupował po zaniżonej cenie największy dostojnik Anglii.

- Ludzie mówią, że on jest strasznie chciwy - zauważyła Elizabeth. - Nikt i nic nie jest przed nim bezpieczne. Zagarnia wszystko.

- To należy do niego - odparł z determinacją John. -Bierze to, co prawnie mu się należy. Nad nim jest tylko król, a nad królem Bóg. Elizabeth obrzuciła go sceptycznym spojrzeniem, ale zachowała własne myśli dla siebie. Zbyt przypominała swojego ojca - protestanckiego duchownego o niezależnych poglądach - żeby zaakceptować duchową hierarchię Johna, która prowadziła od Boga na niebie w dół do najuboższego nędzarza, z każdym człowiekiem na swoim miejscu, a królem i jego panem tylko o stopień poniżej aniołów.

- Boję się też o siebie - wyznał John. - Dał mi sakiewkę ze złotem i kazał kupować i kupować. Boję się, że zostanę oszukany, i obawiam się przywozić te rośliny z daleka. On chce od razu mieć cały ogród, więc powinienem kupować jak największe i tak płodne, jak to tylko możliwe.

99

Ale ja uważam, że te małe i krzepkie najlepiej znoszą podróż!

- Nikt w całym królestwie nie zna się na tym lepiej od ciebie - próbowała dodać mu otuchy Elizabeth. - A on o tym wie.

Chciałabym tylko móc pojechać z tobą. Nie boisz się podróżować samotnie?

John pokręcił głową.

- Jeszcze jako mały chłopiec marzyłem o podróżach - odrzekł. - Musiałem walczyć z pokusą porzucenia pracy u mojego pana za każdym razem, kiedy udawałem się do portu i rozmawiałem z ludźmi, którzy pływali do zamorskich krajów. Jakież rośliny tam widzieli! I mogą przywieźć tylko drobniotką ich część. Gdyby mi się udało popłynąć z nimi do Indii lub nawet do Turcji, pomyśl tylko, jakie osobliwości mógłbym stamtąd przywieźć.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Chyba nie chciałbyś pojechać aż tak daleko? John objął ją, chciał pocieszyć, ale nie mógł się zmusić do kłamstwa.

- Jesteśmy narodem podróżników - powiedział. - Największymi lordami, przyjaciółmi mojego pana, są ludzie, którzy szukają szczęścia i majątku za morzami, widzą w tym drogę do bogactwa. Mój pan sam inwestuje w każdą zamorską wyprawę. Jesteśmy zbyt wielkim i zbyt licznym narodem, żeby trzymać się tylko jednej wyspy.

Elizabeth była jednak wieśniaczką, która liczyła zaginionych na morzu mężczyzn, i która próbowała zatrzymać ich na lądzie.

- Chyba nie zamierzasz opuścić Anglii?

- O, nie - odparł John. - Ale nie boję się podróży.

- Nie wiem, jak mógłbyś znieść tak długą rozłąkę z nami! - poskarżyła się. - A dziecko bardzo urośnie do twojego powrotu.

John skinął głową.

- Musisz zapisać każde nowe słowo, które wypowie, żebyś mogła mi powtórzyć, jak wrócę - rzekł. - I pozwól mu posadzić flance, które dla niego przywiozłem. To ulubione goździki jego lordowskiej mości i mają bardzo słodki zapach. Powinny dobrze tu rosnąć. Niech sam wykopie dołek i je posadzi. Dziś po południu pokazałem mu, jak to się robi.

100

- Wiem.

Elizabeth patrzyła przez okno, jak jej mąż i synek o ciemnych oczach i włosach klęczą obok siebie na małym kawałku ziemi i razem kopią. John starał się zrozumieć szybki strumień

dziecinnego gaworzenia, a synek patrzył ojcu w twarz i powtarzał każdy dźwięk, aż zdołali się jakoś porozumieć, ponieważ ufali sobie i domyślili się tego, czego nie pojęli.

- Kopać! - nalegał Mały J, wbijając łopatkę w ziemię.

- Kopać! - zgodził się z nim ojciec. - A teraz posadzimy te maleństwa na klombach.

- Kopać! - powtórzył znów chłopiec.

- Nie tutaj! - ostrzegł go John. - One muszą odpocząć, żeby mogły urosnąć i pięknie zakwitnąć dla mamy!

- Kopać! Ja chcę kopać!

- Nie kopać! - odparł John, wykazując nagle równie wielki upór.

- Kopać! -Nie!

- Kopać!

- Nie! Elizabeth! Chodź i weź naszego syna! Zniszczy wszystkie goździki, zanim zauważą, że zostały przesadzone!

Wyszła z domu, wzięła na ręce malca i zniosła go na drugi kraniec ogrodu, żeby pogłaskał konia taty.

- Nie wiem, czy będzie z niego ogrodnik - przestrzegła męża. - Nie powinieneś na to liczyć.

- Rozumie znaczenie głębokiego kopania - odrzekł stanowczo John. - Reszta przyjdzie sama.

Rozdział Dwunasty.

Sierpień 1610.

John odpłynął we wrześniu i przeżył burzliwą, przerażającą podróż po czterech nudnych dniach oczekiwania na południowy wiatr w Gravesend. Wylądował we Flushing i wynajął dużą, pływającą po kanałach płaskodenną łódź, żeby przez całą drogę w dół kanału aż do Delft móc zatrzymywać się przy każdej farmie i pytać, co hodowcy mają do sprzedania. Przekonał się z ulgą, że przewoźnik mówił po angielsku, choć z tak wyraźnym obcym akcentem jak Kornwalijczyk. Łódź holował przyjazny, senny koń, który wędrował wzdłuż kanału i pasł się na porośniętych bujną trawą brzegach podczas częstych postojów. John spotkał hodowców kwiatów, którzy handlowali tylko słynnymi holenderskimi tulipanami i których cały majątek zależał od



umiejętności wyhodowania i uprawy na wielką skalę kwiatów o nowych barwach. John nigdy dotąd nie widział takich farm. Rosnące rzędami kwiaty o wiotkich liściach pielęgnowały kobiety w ciężkich, drewnianych chodakach i wielkich, białych czepcach chroniących przed słońcem. Kobiety te wędrowały między rzędami tulipanów z narzędziami podobnymi do drewnianych łyżek, ostrożnie wydobywały gładkie, okrągłe cebulki z ziemi i kładły obok. Za kobietami szedł mężczyzna ciągnący wózek, na który zbierał cebulki.

John przyglądał się im uważnie. Każda para liści, która wyrosła z jednej cebulki, miała na końcach białych łodyg

102

teraz trzy lub cztery kulki. Większość z nich miała nawet grube pączki na czubku, tam gdzie przedtem były płatki. Kiedy pielęgnowujące tulipany niderlandzkie kobiety zauważyły te pączki, a nigdy żadnego nie pominęły, choć John długo nie spuszczał z nich oka, odcinały je i wrzucały do kieszeni fartuchów. Z wsadzonej do ziemi jednej cennej cebulki, która zakwitła, były teraz cztery, i pewnie również ze trzy tuziny nasion. Można było zarobić poczwórnie na jednorocznej inwestycji, ograniczając się do oczyszczania pola z chwastów i wykopując kapitał jesienią.

- Zyskowny interes - powiedział do siebie z zazdrością John, myśląc o cenie tulipanów w Anglii.

W każdym położonym na brzegu kanału miasteczku, gdzie odbywały się jarmarki, kazał czekać na siebie przewoźnikowi czasami kilka godzin, kiedy indziej zaś kilka dni. Wędrował wtedy po okalających targowisko ogrodach i wybierał jakieś drzewo o ładnym kształcie, worek zwykłych cebulek lub sakiewkę nasion. Gdy tylko mógł, kupował hurtem, myśląc o żyznych zielonych błoniach i łąkach wokół Hatfield House, gdzie miały powstać lasy, plantacje, labirynty i sady. A gdy spotkał kogoś, kto znał angielski i sprawiał wrażenie uczciwego człowieka, zawierał z nim umowę na dalszą dostawę tych samych roślin, kiedy podrosną.

- Tu chodzi o jakieś wielkie uprawy - zauważył jeden z

holenderskich farmerów.

John uśmiechnął się, marszcząc jednak czoło ze zmartwienia.

- Największe ze wszystkich - odparł.

Pomimo głębokiego wewnętrznego przekonania, że Anglicy są najlepsi na świecie, a Anglia to bez wątpienia najdoskonalszy kraj, John mimo woli zaczął podziwiać ogrom pracy, jaką Holendrzy włożyli w swoje otoczenie. Każdy kanał wydawał się równie porządnie utrzymany jak próg domu w mieście, a ci ludzie czuli się dumni i zadowoleni, że tak właśnie jest. Nagrodą zaś dla nich były bogate miasta i kraj poprzecinany tak doskonałymi szlakami transportowymi, że John wstydził się wyboistych angielskich dróg.

103

Zdumiały go tamy, które powstrzymywały ruchome piaski i wysokie fale Morza Północnego. Widział przecież nierozważnie zapuszczone moczary i zalane wodą ujścia rzek w Fens i we wschodniej Anglii. Nie przyszło mu do głowy, że można coś zrobić z zasoloną ziemią. Zobaczył jednak, że holenderscy wieśniacy nauczyli się tego i że wykorzystują ziemię, którą Anglik nazwałby nieużytkiem i porzucił. John pomyślał o zatokach, zatoczkach i błotnistych terenach wokół wybrzeża, nawet w głodnych ziemi hrabstwach Kent i Essex. W Anglii pozwalano im leżeć ugięte, by zasalały je morza, podczas gdy w Holandii takie same tereny zabezpieczano tamami i uprawiano.

Wbrew sobie musiał podziwiać pracę i umiejętności Holendrów i zazdrościć im zamożności. Nikt nie cierpiał tu głodu, a podstawowe pożywienie mieszkańców było smaczne i dobre. Holendrzy jedli chleb z masłem i z serem, co było podwójnie tłuste i pożywne, i nawet się nad tym nie zastanawiali. Ich krowy pasły się na sięgającej kolan trawie wilgotnych łąk i dawały dużo mleka. Holendrzy uważali się za ludzi nagrodzonych przez Boga za walkę przeciwko hiszpańskim papistom i John, wędrując powoli wzdłuż ich wąskich kanałów, zerkając na boki w poszukiwaniu roślin i kwiatów ukrytych w mokrej trawie, musiał się zgodzić, że protestancki Bóg jest szczodry dla swojego

ulubionego ludu.

Kiedy dotarli do Hagi, Tradescant odesłał załadowaną łódź z powrotem z poleceniem przewiezienia wszystkich roślin bezpośrednio do Anglii. Stał na kamiennym nabrzeżu i patrzył, jak kołyszące się czubki drzew oddalają się powoli. Niektóre z wiśni właśnie owocowały i zauważył z irytacją, że przewoźnik, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem głosu, zerwał garść owoców i jadł je, wypluwając ostrożnie pestki do szklistej wody kanału.

We Flandrii John kupił winorośl i dopilnował, by pędy oczyszczono z żółtych liści i wielkich, czarnych gron, przygotowując sadzonki do transportu do Anglii. Poleciał owinąć korzenie mokrymi workami i na czas podróży włożyć sadzonki do beczek po winie. Wcześniej wysłał list, napisany starannym pismem, którego nauczyła go Elizabeth, żeby ogrodnik z Hatfield przyjechał do portu wozem,

104

zabrał krzaczki i posadził jeszcze tego samego dnia. Miał też dopilnować, by z fanatyczną skrupulatnością podlewano je codziennie o świcie, aż do powrotu Johna.

Ogrodnik księcia Orańskiego wpuścił Tradescanta do pięknego ogrodu na tyłach pałacu w Hadze i oprowadził go po nim. Był to park w wielkim, europejskim stylu, z dużymi kamiennymi kolumnadami i szerokimi alejami. John opowiedział tamtemu o swojej pracy w Theobalds, o sadzeniu roślin w obwódkach żywopłotowych i zastępowaniu lawendą kolorowych kamyków w parterach węzłowych. Ogrodnik skinął głową z entuzjazmem i pokazał Tradescantowi swoją wersję zmienionego stylu w małym ogródku z boku pałacu, gdzie zastosował starannie wypielegnowaną lawendę jako żywopłot. Linie obwódek były łagodniejsze i miały więcej odcieni niż zwyczajne żywopłoty. Nie gnieździły się tam owady, a gdy przechodziła obok kobieta, muskając suknią liście, w powietrzu unosił się obłok zapachu. Kiedy Tradescant opuścił książęcy ogród, miał pełną tacę sadzonek i list polecający do wielkiego lekarskiego ogrodu w Lejdzie.

Pojechał łądem do Rotterdamu, czując się niezręcznie na wielkim koniu o szerokim grzbiecie, i przez całą drogę szukał mówiących po angielsku ogrodników, którzy mogli mu opowiedzieć o uprawie swych cennych tulipanów. W pociemniałych izbach piwiarni, pijąc nieznanemu mu mocne, ciemne piwo, zwane „gęstym”, hodowcy przysięgali, że przecinając samo serce cebulki, wprowadzają do wnętrza kwiatu nowe kolory.

- Czy to ich nie osłabia? - zapytał John. Farmerzy pokręcili głowami.

- To pomaga im się dzielić - pośpieszył z wyjaśnieniem jeden. Pochylił się do przodu, z jego ust buchał Johnowi prosto w twarz mocny zapach świeżej cebuli. - Żeby się rozmnażały. I co masz potem?

John wzruszył ramionami.

- Dwie, a przedtem miałeś jedną! Jeżeli są innego koloru, a barwa często przechodzi na drugą część, wtedy zbijesz fortunę, zarabiając co najmniej tysiącrotnie. Jeśli jednak oba są tego samego koloru, ale się podzieliły, co najmniej podwoisz swój majątek.

105

John skinął głową.

- To wygląda na cud - powiedział. - Nic nie musisz robić, a możesz podwajać swój majątek każdego roku.

Mężczyzna usiadł z powrotem i uśmiechnął się promiennie.

- A nawet potrajać - potwierdził. - Ceny ciągle rosną. Z każdym rokiem ludzie gotowi są płacić coraz więcej. - Z zadowoleniem poklepał się po wydatnym brzuchu. - Zanim wycofam się z interesu, będę miał piękny dom w Amsterdamie - oświadczył. - A to wszystko dzięki moim tulipanom.

- Kupię trochę cebulek od ciebie - zaproponował John.

- Musisz przyjść na licytację - odrzekł tamten stanowczo. - Nie sprzedaję prywatnie. Będziesz musiał licytować z innymi.

John się zawahał. Licytacja w obcym kraju, w języku, którego nie rozumiał, niemal na pewno oznaczała podniesienie ceny. Inny hodowca tulipanów pochylił się ku niemu.

- Tak to się odbywa - powiedział uspokajająco. - Na rynku tulipanów wszystko jest ustalone. Trzeba to robić w gildiach, w ustalony sposób. Nie możesz kupić, nie składając zamówienia. W ten sposób wszyscy wiemy, ile można zarobić na każdym kolorze.

- Ja tylko chcę kupić trochę cebulek - zaprotestował John. - Nie chcę składać zamówienia w gildii. Nie wiem, jak to się robi. Po prostu chcę mieć trochę kwiatów.

Pierwszy hodowca pokręcił głową.

- Dla ciebie to mogą być tylko kwiaty, ale dla nas to interes.

Jesteśmy kupcami, założyliśmy gildię, aby kupować i sprzedawać cebulki na oczach wszystkich jej członków. W ten sposób wiemy, jakie są ceny, możemy obserwować ich wzrost. I nie zostawać w tyle.

- Ceny rosną tak szybko? - zapytał John. Hodowca ukrył uśmiech za wielkim kuflem piwa.

- Nikt nie wie, jak bardzo mogą wzrosnąć - oświadczył. - Nikt tego nie wie. Na twoim miejscu przełknąłbym angielską dumę, poszedł do gildii, złożył zamówienie i kupił teraz. Za kilka miesięcy będą droższe, a po roku jeszcze droższe.

106

John obrzucił spojrzeniem piwiarnię. Wszyscy hodowcy kiwali twierdząco głowami, nie z kupieckiego pragnienia zrobienia interesu, ale ze spokojną pewnością siebie ludzi handlujących towarem, na który popyt wciąż rośnie.

- Wezmę z tuzin worków zwykłych czerwonych i żółtych tulipanów - zdecydował. - Gdzie jest ta gildia?

Hodowca się uśmiechnął.

- Właśnie tu - odrzekł. - Stołu, przy którym jemy kolację, nie opuszczamy bez ważnego powodu. - Wziął czysty talerz, napisał na nim jakąś cenę i przysunął do Johna. Siedzący obok Johna mężczyzna szturchnął go łokciem i szepnął:

- To za dużo. Zbij co najmniej o dwanaście guldenów.

John poprawił cenę i z powrotem odsunął talerz. Holender starł liczbę i zaproponował własną. John wyraził zgodę i talerz z ceną zawieszono na haku na ścianie piwiarni. Hodowca wyciągnął do

Tradescanta stwardniała rękę.

- To wszystko? - spytał John, potrząsając dłonią sprzedawcy.

- To wszystko - przytaknął tamten. - Interesy prowadzi się wszędzie tam, gdzie wszyscy mogą zobaczyć ustaloną cenę. To sprawiedliwe i rzetelne i nie cierpi na tym ani nabywca, ani sprzedawca.

John skinął głową.

- Przyjemnie robić z tobą interesy, panie Tradescant - oświadczył hodowca.

Już następnego dnia tulipany dostarczono do karczmy, w której zatrzymał się John. Wysłał je za pośrednictwem kuriera z surowymi rozkazami, żeby ten nie spuszczał oka z cebulek, póki nie załaduje ich na wóz z Hatfield w londyńskim porcie. Dołączył też list do Meopham z przesłaniem miłości, całusem dla Małego J i wieścią, że udaje się do Paryża.

Kiedy John zapieczętował list i oddał go kurierowi, zrozumiał, że naprawdę jest podróżnikiem. Nie bał się obcej Europy, ogarnęło go mocne, upajające uczucie, że może wynająć konia, później zamienić na innego, a potem jeszcze innego i jeszcze innego, i przejechać przez cały stary kontynent, przez serce papistowskiej Hiszpanii,

107

a nawet dotrzeć do Afryki. Już nie był wyspiarzem, stał się podróżnikiem.

Patrzył, jak łódka z jego cennymi tulipanami odpływa w dół kanału, a potem wrócił do karczmy. Osiodłany koń już czekał.

John zapłacił za pobyt, jego sakwa podróżna była spakowana.

Zarzucił na ramiona grubą opończę, wskoczył na siodło i skierował konia do zachodniej bramy.

- Dokąd się udajesz? - zawołał do niego jeden z hodowców tulipanów, widząc odjeżdżającego dobrego klienta.

- Do Paryża! - krzyknął w odpowiedzi John i omal nie roześmiał się ze swojego podniecenia. - Mam obejrzeć ogrody króla Francji. I kupić następne rośliny. Potrzebuję ich jeszcze więcej. Myślę, że kupię połowę Europy.

Holender wybuchnął śmiechem i pomachał na pożegnanie, a koń Johna, dzwoniąc podkowami na kocich łbach, ostrożnie wyszedł na drogę.

Do granicy drogi były dobre, a potem znacznie się pogorszyły, aż zamieniły się w błotnisty trakt z koleinami. John wypatrywał wielkich posiadłości z zamkami pośród lasów, a kiedy zobaczył świeżo obsadzoną drzewami aleję, zjeżdżał z drogi i wyruszał na poszukiwanie francuskiego ogrodnika, żeby się dowiedzieć, gdzie ten je zdobył. Jeżeli znalazł dobrego dostawcę rzadkich okazów, zamawiał sto sztuk, kiedy zrobi się chłodniej i będzie można bezpiecznie wysłać je do Hatfield. Dla samego wielkiego hrabiego Cecila.

W miarę jak John zbliżał się do Paryża, las stawał się rzadszy, z wyjątkiem terenów przeznaczonych do polowań, a potem przy drodze pojawiły się małe wiejskie zagrody i gospodarstwa, gdzie uprawiano warzywa i owoce, które zaspokajały nienasycony apetyt stolicy Francji. Z grzbietu konia John dobrze widział przez mury okalające ogrody i sady wszystko, co hodowali francuscy ogrodnicy. Jako mieszkaniec Kentu mógł pogardzać tutejszymi jabłkami, ale zazdrościł dorodności i płodności śliw i zatrzymał się ze sześć razy, żeby kupić drzewka tej nowej odmiany.

W końcu przybył do Paryża z czymś, co można by nazwać wędrownym ogrodem - z dwoma wozami naładowanymi kołyszącymi się liśćmi. Musiał znaleźć karczmę

108

przyjmującą wielkie furgony, żeby móc zapakować nowe zakupy i wysłać je do Anglii.

Zaraz potem John wezwał praczkę, żeby wyprała i wykrochmaliała jego odzież i wyczyściła oponę. Zamierzał bowiem wybrać się do ogrodnika króla Francji, słynnego Jeana Robina, do którego miał list polecający.

Robin słyszał o Tradescancie i niecierpliwie czekał na nowiny o nowym wielkim pałacu i ogrodach w Hatfield. Oczywiście będą we francuskim stylu, gdyż zaprojektował je Francuz, ale co z gajami, co z alejami? I co Tradescant myśli o cenach tulipanów,

czy wzrosną, czy też utrzymają się jeszcze przez rok? Zresztą, jak wysoką cenę może osiągnąć jedna cebulka? Na pewno musi być taka suma, powyżej której nikt już nie zapłaci.

Tradescant i Jean Robin obeszli królewskie ogrody w ciągu paru godzin, a potem zjedli wspaniałą kolację, której uroku dodało kilka butelek czerwonego wina z królewskiej piwnicy. Syn Jeana Robina jadł wraz z nimi; zmył ogrodowe błoto z rąk i zanim usiadł, pochylił głowę, odmawiając papistowską modlitwę.

Tradescant poruszył się niespokojnie, kiedy wypowiedano rytualne łacińskie słowa, ale gdy młody Robin przełamał chleb, sługa Roberta Cecila musiał się uśmiechnąć.

- Mam nadzieję, że mój syn zajmie kiedyś moje miejsce - powiedział. - Jest teraz jeszcze niemowlęciem, ale wprowadzę go w tajniki mojej pracy i - kto wie?

- Człowiek, który ma fach w ręku, powinien go przekazać swemu następcy. - Jean Robin mówił powoli, by John mógł go zrozumieć.

- Ale kiedy zakładasz ogród, który wszak wydaje owoce po długim czasie, i tak sadzisz go dla swojego syna i dla jego synów. To piękna rzecz, móc powiedzieć chłopcu: spójrz na to drzewo, a kiedy urośnie tak wysoko, chcę, żeby zostało oczyszczone właśnie tak. Dobrze jest wiedzieć, że ogród żyje dalej, że twoja praca i plany jego dalszego rozwoju będą nadal istniały długo po twojej śmierci.

- Takie jest potomstwo biedaka - powiedział John w zamyśleniu.

- Nie pragnę innego potomstwa. Chciałbym pozostawić po sobie tylko piękny ogród - oświadczył Jean Robin.

109

Uśmiechnął się do swojego syna. -A jaki to wspaniały spadek dla młodego mężczyzny!

Rozstając się po tygodniu, przysięgli sobie wieczną przyjaźń w bractwie ogrodników. Tradescant odjechał obładowany mnóstwem sadzonek, woreczkami nasion, tuzinami korzeni i drzewek.

- A dokąd teraz pojedziesz? - zapytał Robin podczas ostatniej, pożegnalnej kolacji.

John przez moment czuł pokusę, by powiedzieć, że wybiera się do



Hiszpanii, że pojedzie powoli wiejskimi drogami, zbierając z poboczy wszystkie interesujące go rośliny.

- Do domu - odrzekł jednak łamaną francuszczyzną. -Do domu i do żony.

Robin klepnął go po plecach.

- I do nowego ogrodu w Hatfield - dorzucił, jak gdyby nie miał wątpliwości, co dla Johna jest najważniejsze.

John wrócił do Meopham w grudniu. Pocałował Elizabeth i zawarł pokój z Małym J, który gniewał się na ojca za to, że ten go zlekceważył. Kupił synowi wyrzeźbionego przez pewnego Francuza drewnianego żołnierzyka w mundurze osobistej gwardii monarchy Francji. Mały J mówił teraz wyraźnie i miał wyrobione zdanie w wielu sprawach. Szczególnie nie spodobał mu się powrót Johna do łóża Elizabeth.

- To jest moje miejsce - oświadczył, patrząc na ojca ze złością pierwszego dnia po powrocie Johna do domu. Tradescanta, który zamierzał kochać się z Elizabeth, kiedy się obudzą, zaskoczyła wyraźna wrogość na twarzą syna.

- To moje łóżo - wyjaśnił spokojnie. - I moja żona.

- Ona jest moją matką! - zawołał malec i rzucił się na ojca.

John chwycił go za zaciśnięte pięstki i przytrzymał szamoczące się, rozzłoszczone dziecko.

- Ejże! O co chodzi? Wróciłem do domu, Mały J, i to jest moje miejsce.

Elizabeth uśmiechnęła się do nich obu.

- Przez ostatnie trzy miesiące był jedynym mężczyzną w tym domu, Johnie. Za długo cię nie widział.

110

John nachylił się nad synkiem i głośno pocałował go w goły brzusek.

- Znów naucz się mnie kochać - oznajmił. - Zostanę aż do wigilii Trzech Króli.

Elizabeth nie zaprotestowała; wiedziała, że ogród lorda Cecila stoi ponad wszystkim, ale zerwała się z łóża, objawiając wyraźnie swe uczucia w tej materii. John pozwolił jej odejść, nie odrywając

oczu od twarzyczki syna.

- Kiedyś zabiorę cię ze sobą - obiecał. - Nie chodzi o to, że tutaj jestem w twoim domu, ale powinnaś dzielić ze mną mój. -

Skinieniem głowy wskazał na okno wychodzące na wioskę, miał jednak na myśli wielki świat, poza drogami prowadzącymi do Londynu, nawet poza Londynem. Miał na myśli Europę, Afrykę, a nawet Wschód.

Rozdział Trzynasty.

Wiosna 1611.

John pozostał w Meopham nieco ponad trzy tygodnie, długo, dostatecznie długo, żeby plątać się pod nogami Elizabeth w ich małym domku i zawrzeć pokój z synkiem, po czym wynajął wóz, woźnicę i wyruszył tonącymi w błocie, niemal nieprzejezdnymi drogami do Dorset, szukając więcej drzew: jabłoni, wiśni, grusz, pigw i śliw do sadu. A także tych do parku: dębów, jarzębin, brzoź i buków.

- Gdzie to wszystko dostaniesz? - zapytała Elizabeth, przynosząc mu porządnie znoszoną opończę i wsuwając koszyk z prowiantem pod siedzenie wozu.

- W sadach - odparł z determinacją John. - Sprzedają jabłka wiadrami, dlaczego więc nie mieliby sprzedawać jabłoni?

- A inne drzewa do parku?

- Wezmę je - rzucił lekkomyślnie John - z każdego lasu, który napotkam na drodze. Będę przejeżdżał przez New Forest, zatrzymam się i wykopię każde młode drzewko, które zobaczę.

- Przecież cię powieszają! - zawołała Elizabeth. - Zaciągną cię przed trybunał zarządcy lasów królewskich i powieszają za wtargnięcie do królewskich terenów łowieckich.

- A jak inaczej mam zdobyć drzewa dla mojego pana? - zapytał John. - Jak inaczej mam to zrobić?

112

John podróżował po Anglii i przywoził rozkołysane, szumiące wozy pełne krzaczastych koron drzew. Wędrujący po West Road podróżni zdążyli już poznać ogrodnika hrabiego Cecila, a kiedy dzieci widziały, jak wjeżdżał do jakiegoś miasteczka na czele

dudniących na bruku wozów, biegły do studni, żeby przynieść wody do podlania drzew pana Tradescanta.

Wielki dom był prawie skończony, a ogrody powoli coraz bardziej przypominały pierwotny projekt. Nastąpiła tylko jedna długa przerwa w pracy, kiedy robotnikom zabrakło pieniędzy i nawet skarbiec wielkiego Cecila opustoszał. John bał się wtedy o swojego pana, obawiał się, że koszty tej budowy przewyższyły nawet możliwości hrabiego, tak jak go wszyscy ostrzegali. John nie wiedział, ale wyczuwał, że sir Robert ma wszędzie na dworze wrogów, którzy mogą mu się kłaniać i pochlebiać, ale przy najmniejszej oznace słabości rzucają się na niego jak sfora psów na starego jelenia. Lecz właśnie wtedy, kiedy rozeszły się pogłoski, że Cecil przeholował i wkrótce upadnie, budowniczy otrzymali więcej pieniędzy, podobnie jak złotnicy w prowincjonalnych miasteczkach, żeby John mógł czerpać od nich gotówkę na zakup drzew.

- Jak wam się to udało, panie? - zapytał John Cecila. - Czyżbyście sprzedali swoją duszę?

Cecil uśmiechnął się ponuro.

- Prawie - odrzekł. - Sprzedałem niektóre inne moje posiadłości i zaciągnąłem pożyczkę na pozostałe. Ale muszę mieć ten dom, Johnie. I musimy stworzyć nasz ogród.

Początkowo John pracował na terenie przy korpusie głównym pałacu, przede wszystkim zaś w ogromnym ogrodzie z parterami węzłowymi poniżej tarasu, na który wychodziły prywatne apartamenty hrabiego. Wszystkie dróżki biegnące od domu poprowadzono dokładnie na wprost okien apartamentu, żeby Cecil, wyglądając przez okno, widział w perspektywie proste linie, biegnące w stronę odległego horyzontu. Tradescant, zrywając z tradycją, na obrzeżach każdej ścieżki posadził inne rośliny, także kolory żywopłotów mieszały się i bladły, w miarę jak wzrok wędrował coraz to dalej od domu. Na każdym skrzyżowaniu

113

ustawiono posązek, który miał nasunąć myśli o przemijaniu życia

i znikomości ludzkich pragnień.

- Równie dobrze mógłbym powiesić szyld lichwiarza - powiedział surowym tonem Cecil do Johna, kiedy szli nowymi drózkami, a ten się uśmiechnął.

- Ostrzegano was, milordzie - powiedział z oddaniem. - Ale chcieliście postawić na swoim.

- A ty mi mówisz, że nie miałem racji? - spytał Cecil, podnosząc ponury wzrok na wyższego od siebie ogrodnika.

Tradescant potrząsnął głową.

- Ja nie! To było wielkie przedsięwzięcie. I wspaniale wykonane. I nadal jest wiele do zrobienia.

- Dałeś mi cenny podarunek - powiedział hrabia w zamyśleniu.

Weszli po schodach na kamienny taras, Cecil kuśtykał na skrzywionej nodze, odrzucając pomoc Johna. Ogrodnik szedł obok niego z rękami wciśniętymi w kieszenie, żeby nie chwycić sir Roberta za ramię wbrew jego woli. Weszli na szczyt tarasu i Cecil szybkim spojrzeniem podziękował Johnowi za zrozumienie.

- Przejdź się ze mną.

Ramię w ramię ruszyli spacerkiem po nowych kamiennych płytach i spojrzeli w dół na skomplikowany układ klombów w parterach węzłowych.

- Dałeś mi cenny podarunek, ponieważ ten ogród co roku będzie coraz piękniejszy. Większość podarunków zostaje skonsumowana w ciągu pierwszych tygodni, tak jak młodzięcza miłość. Ale ty dałeś mi podarunek, który będzie trwał, gdy nas już dawno zabraknie na świecie.

John skinął głową. Niebo nad nimi wisiało ciemne i szare; tylko na zachodzie, tam gdzie zniknęło słońce, pozostała linia różowych chmur. Sowa zahukała w lesie, a potem zobaczyli jej jasną sylwetkę przelatującą w oddali przez nowy sad, gdzie teren opadał ku dolinie.

- Czasami myślę, że najwięcej przysłużyłem się Anglii, zaprzęgając cię do pracy, mój Johnie - powiedział z uśmiechem hrabia. - Nic w życiu nie sprawia mi większej radości.

Tradescant czekał. W ostatnich dniach Robert Cecil nieczęsto miał

ochotę na rozmowę i spacerowali w milczeniu wśród powoli powstających ogrodów i parku.

114

Z każdym dniem jego praca stawała się coraz cięższa; wpływy faworytów z otoczenia króla nie malały, a kłopoty wywołane rozrzutnością dworu były większe niż kiedykolwiek dotąd. Na dworze zapanowała teraz moda na maskarady, a przy każdej okazji wystawiano katastrofalnie kosztowne przedstawienia: napisane, skomponowane, zaprojektowane i wystawione w ciągu jednej nocy i całkowicie zapomniane już następnego dnia. Każdy królewski faworyt czy faworyta musieli mieć stroje błyszczące od drogich kamieni, każdą ważną rolę należało odegrać na rydwanie lub zakończyć, odjeżdżając wśród blasku fajerwerków.

Król Jakub I wraz z tronem Anglii odziedziczył wielką fortunę. Legendarne skąpstwo zmarłej królowej bardzo przysłużyło się krajowi. Ojciec Elżbiety I pozostawił jej tron wraz z dwoma źródłami dochodów: stałym strumieniem pieniędzy ze sprzedaży urzędów dworskich, zaszczytów i posad państwowych oraz sporadycznymi subwencjami w postaci podatków uchwalonych przez przychylny parlament. Należało zachować tu jednak bardzo delikatną równowagę. Nałóż zbyt wysokie podatki na rzemiosło i handel, a wtedy rzemieślnicy, kupcy i bankierzy zaczną się skarżyć. Pojawiają się zbyt często w parlamencie z czapką w rękę, a właściciele ziemscy, którzy tam zasiadają, przejmą kontrolę nad polityką królestwa. Tylko oszczędzając na każdym wydatku, pożyczając, nakłaniając wysokich dostojników do cennych podarunków i uciekając się do otwartej korupcji, król Henryk Tudor i jego córka Elżbieta zgromadzili dla siebie spory majątek i zapewnili ustabilizowaną, solidną prosperity królestwu. Proces ten rozpoczęło zakrojone na szeroką skalę okradanie z posiadłości Kościoła rzymskokatolickiego i trwał on dalej dzięki urokowi osobistemu i chytrłości Tudorów.

Król Jakub był nowicjuszem w tej dziedzinie, ale miał do pomocy Cecila i kilkudziesięciu innych doradców. Earl myślał, że nowy król, który poprzednio żył z dnia na dzień w zimnych zamkach

biednego królestwa, odziedziczył legendarne skąpstwo swych krewniaków i nie będzie przejawiał zamiłowania do wystawności. Tego jednak można się szybko nauczyć. Jakub, nowicjusz na jednym z najbogatszych tronów w Europie,

115

nie widział powodu, dla którego nie miałby otrzymać wszystkiego, czego zapragnie. Pieniądze z królewskiego skarbcza strumieniami płynęły do nowych faworytów, do nowego, wystawnego dworu, do każdej pięknej kobiety i każdego urodziwego mężczyzny. Nawet ciągle wysiłki Cecila - dzierżawa podatków, sprzedaż zaszczytów i korzystanie z majątków powierzonych opiece króla sierot -nie mogły zapewnić królestwu należytych dochodów; już wkrótce monarcha będzie musiał zwołać kolejne posiedzenie parlamentu, który wystąpi przeciwko niemu i jego faworytom na dworze. Wtedy sprawa stosunków króla z narodem stanie się kwestią publiczną i kto wie, do czego może doprowadzić taka debata.

Hrabia kulejąc szedł przodem. Zniekształcone przez artretyzm biodro bolało go przy każdym kroku i w ostatnich kilku miesiącach jego stan jeszcze się pogorszył. John, nie okazując współczucia, podszedł nieco bliżej, a Cecil oparł się o jego ramię. - Wszystko, co dotąd robiłem, to zonglerka siłami, które nami kierują - powiedział sir Robert. - Wszystko, co dotąd musiałem czynić, to zapewnić królowi ochronę przed konsekwencjami jego postępów. On wydaje majątek zmarłej królowej tak, jakby to była studnia bez dna. I nie można pokazać, na co idą te pieniądze. Nie ma dróg, nie ma floty wojennej, ochrony transportu morskiego, nie wspominając już o nowych koloniach. I nawet nie czyni nic dla zachowania pozorów.

Robiło się coraz ciemniej, wczesny, chłodny letni zmierzch okrył nagie połacie ogrodu, osłaniając nieukończony zakątek. Zapach ulubionych goździków hrabiego, które John posadził w wielkich ozdobnych urnach na tarasie, unosił się w powietrzu, gdy przechodząc obok, musnęli je opończami. John podniósł jakąś gałązkę i podał swemu panu.

- Wprowadziliście, panie, nowego króla na tron i do naszego kraju - zauważył. - Dobrze mu służyliście. Objął swe dziedzictwo bez kłopotów. Utrzymaliście pokój w jego królestwie.

Hrabia skinął głową.

- Nie zapominam o tym. Ale na dłuższą metę ten twój

116

maleńki kasztanowiec, Johnie, to drzewko w doniczce, może przynieść więcej radości większej liczbie Anglików niż wszystkie moje plany i wysiłki.

- Bo ludzie na ogół nie lubią polityki - powiedział przepraszającym tonem John. - Jeśli o mnie chodzi, wolę to drzewko.

Cecil wybuchnął śmiechem.

- Chcę ci coś pokazać. Myślę, że cię to zaskoczy.

Odwrócił się i John poszedł za nim z powrotem w stronę domu.

Wielkie dwuskrzydłowe drzwi były szeroko otwarte, dwaj służby stali po bokach. Sir Robert minął ich, jakby byli niewidzialni, a John uprzejmie skinął im głową.

Cecil zaprowadził Johna do zacienionej sieni. Drewniana podłoga i boazeria pachniały słodko nowością, w kątach nadał leżały trociny, a ostre brzegi wyrzeźbionych na panelach wzorów połyskiwały w półmroku. To drewno jeszcze nawet nie zostało wypolerowane, a przecież było jasne i błyszczące. Nawet w ciemnym wnętrzu sieni lśniło jak skąpane w słońcu.

U podnóża schodów leżał wielki filar, który miał podpierać klatkę schodową, owinięty tkaniną przez cieślę, kiedy ten szedł na noc do domu. Sir Robert chwycił skraj tkaniny i pociągnął z boku.

- Co widzisz?

John postąpił do przodu, by popatrzeć. Słup był wielki, czworokątny, o rozmiarach i wytrzymałości odpowiednich dla ogromnej sieni. Na jego szczycie wyrzeźbiono liście akantu i wijące się wstęgi. Jeden bok zdobiła na pół ukończona płaskorzeźba, ale na drugim snycerz już ukończył pracę. Widniał tam mężczyzna, który zdawał się wychodzić z plinty, z ram płaskorzeźby, jak gdyby chciał zająć swoje miejsce w świecie

zewnątrznym, jakby pragnął zanieść swoje dzieło do najdalszych zakątków świata.

Postać trzymała w jednej ręce długie grabie, a w drugiej wielki, fantastyczny kwiat rosnący w dużej donicy. Kwiat ten rozsypywał na wszystkie strony owoce i nasiona: był czymś w rodzaju rogu obfitości. Mężczyzna miał na sobie wygodne, workowate spodnie i gruby kaftan, a na głowie zawadiacko nasunięty kapelusz. Z jękiem zdumienia

117

John poznał samego siebie, wyrzeźbionego w drewnie na filarze, który miał podtrzymywać schody w domu earla.

- Dobry Boże! Czy to ja? - zapytał szeptem. Robert Cecil łagodnie położył mu rękę na ramieniu.

- To ty - potwierdził. - I myślę, że to bardzo dobra podobizna.

- Dlaczego wybraliście mnie na kolumnę przy swych schodach, milordzie? - zapytał John. - Ze wszystkiego, co mogliście kazać wyrzeźbić?

Sir Robert się uśmiechnął.

- Ze wszystkich wielkich tematów, spośród których mogłem wybierać: trzech gracji, Zeusa lub Apollina, jakiejś postaci biblijnej lub samego króla? Woląłem, by na głównej kolumnie w moim domu wyrzeźbiono mego ogrodnika.

John spojrział na zawadiacko przekrzywiony kapelusz i uniesione grabie, którymi jego postać zdawała się z werwą wymachiwać.

- Nie wiem, co powiedzieć - odparł po prostu. - Dla mnie to zbyt wiele. Zaparło mi dech w piersiach.

- Sława przychodzi pod wieloma postaciami, Tradescant - zauważył Robert Cecil. - Myślę jednak, że ludzie będą o tobie pamiętać, kiedy usiądą pod swoimi kasztanowcami i kiedy twoje rośliny zakwitną w ich ogrodach. I jesteś tu oto, i pozostaniesz tak długo, jak długo będzie stać moje domostwo, utrwalony na wieczność, idąc wielkimi krokami z sadzonką w jednej ręce i grabiami w drugiej.

Rozdział Czternasty.

Jesień 1611.



Elizabeth i Mały J mieli w końcu przenieść się do Hatfield. Gertrudę, w nagłym przypiływie macierzyńskiej czułości, przyszła, by opłakiwać rozstanie i ich pożegnać. Cały swój dobytek załadowali na jeden wóz, Elizabeth usiadła na koźle obok Johna, a Mały J między nimi.

- Gdzie kasztanowiec? - zapytał John.

- To przekłete drzewo! - zawołała Gertrudę, ale bez dawnej złościwości.

- Bezpieczny w tyle wozu - odparła Elizabeth. - Obok kuchennych statków.

John podał jej lejce i obszedł furgon, żeby odszukać beczułkę z drzewkiem. Przechylone, opierało się o bok wozu. Przy nagłym ruchu delikatna kora mogła ulec uszkodzeniu. John zacisnął usta, by nie wypowiedzieć ostrych słów. Elizabeth miała mnóstwo pracy: przeprowadzka i mały chłopczyk, ruchliwy niczym szczenie, kręcący się pod nogami przez cały dzień. Nie powinien jej winić za to, że nie zwróciła uwagi na coś, co miało dla niej tylko wartość jako dowód miłości. Nigdy nie zależało jej na tym tak jak jemu. Nie powinien oczekiwać, że tak będzie.

Zdjął parę stołków i poprzestawiał sprzęty tak, że drzewko było odpowiednio podparte. Później wrócił na kozioł.

- Twoje dziecko jest bezpieczne? - zapytała ostro Elizabeth.

119

John skinął głową, nie reagując na zaczepkę.

- To cenna, rzadka roślina - przypomniał jej łagodnie. -

Prawdopodobnie więcej warta niż ten cały wóz. Postąpilibyśmy jak głupcy, gdybyśmy przez nieostrożność ją połamali.

Gertrudę zerknęła szybko na córkę, jakby ubolewała nad uporem mężczyzn. Elizabeth wychyliła się z wozu i pocałowała matkę na pożegnanie.

- Odwiedź nas w Hatfield - powiedziała. Gertrudę cofnęła się, gdy wóz ruszył. Pomachała im

na pożegnanie i zobaczyła, że Mały J też macha w odpowiedzi. Przez moment sądziła, że się rozplacze, ale choć wykrzywiła twarz i pomyślała o utracie córki i wnuka, łzy nie napłynęły do

oczu.

- Bezpiecznej podróży! - zawołała, widząc, że Tradescant zasiada na twardym koźle, jakby gotów był podróżować naokoło świata.

- O, tak - powiedziała do siebie cicho, kiedy wóz odjechał. -

Johnie Tradescant, serce ci podskakuje na samo słowo „podróż”.

Lepiej by zrobiła, wychodząc za porządnego farmera z Kentu.

Powinna wyjść za mąż i zostać pochowana tam, gdzie ją

ochrzczono, w kościele swego ojca. Ale tobie nigdy by to nie

odpowiadało, ponieważ cały jesteś człowiekiem Cecila i

podzielasz wszystkie jego ambicje - chociaż okazujesz to w

dziwny sposób - za pośrednictwem twoich rzadkich roślin i twoich

podróży. Meópham nigdy nie byłoby dla ciebie dostatecznie duże,

dostatecznie osobliwe lub rzadkie.

Ktoś pomachał chusteczką z oddalającego się wozu. Gertrudę

wyciągnęła swoją i pomachała w odpowiedzi.

- Przynajmniej jej nie bije - powiedziała do siebie filozoficznie. -

Zresztą istnieje wiele znacznie gorszych rzeczy, które mąż może

kochać bardziej od swojej żony niż wielki pan i jego ogród.

Tymczasem Elizabeth i John, nic nie wiedząc o tym

bezceremonialnym i właściwie trafnym podsumowaniu ich życia,

odetchnęli, oddaliwszy się od Meopham.

- Czuję się dziwnie na myśl o tym, że będę mieszkać gdzie

indziej, ale sądzę, że się do tego przyzwyczaję - powiedziała

spokojnie Elizabeth. - W większym domu, z ładniejszym ogrodem.

120

- Otoczonym parkiem zamiast dróg, na których miałby się bawić

Mały J - przypomniał jej John. - I w ogrodach, jakich nikt w

Anglii nigdy nie widział! Z fontannami i strumieniami!

- Musimy uważać, żeby się zbytnio nie oddalał i nie wpadł do

wody - ciągnęła Elizabeth. - Jest bardzo nieostrożny. Trudno

zliczyć, ile razy ktoś przyprowadzał naszego synka z powrotem,

mówiąc, że znalazł go w połowie drogi do Sussex.

- W ogrodach mojego pana może wędrować, dokąd zechce -

odparł John z zadowoleniem. - Tam nic mu się nie stanie.

- Czy będziemy jadać kolacje w pałacu, czy u siebie, gdybyśmy

chcieli? - zapytała Elizabeth.

- Tak, gdy naszego pana nie będzie w domu. Kiedy jest w pałacu, lubi, żeby jego ludzie jedli w wielkiej sali. A ja lubię go oglądać przy posiłku.

- To było dobre, kiedy nie miałeś nikogo, kto by ci przygotował kolację w domu - zauważyła Elizabeth. - Ale teraz, gdy ja tam będę...

John łagodnie położył dłoń na jej ręce.

- Jeżeli on spojrzy w dół, chcąc mnie zobaczyć, muszę tam być - tłumaczył jej. - Nie chodzi tu o to, czy to ty przygotujesz kolację, czy kucharze pałacowi. Nawet nie chodzi o towarzystwo, w jakim wolałbym się obracać. Po prostu, jeśli on poszuka mnie wzrokiem w wielkiej sali, muszę tam być. Powinnaś już o tym wiedzieć, Elizabeth. Musisz pamiętać, że będziemy mieszkali na jego ziemi, w jego domu, który nam podarował. Musisz pamiętać, że on ma pierwszeństwo.

Przez moment myślał, że żona wpadnie w złość i zaraz się pokłóca, a potem ona będzie się dąsać - gdyż oboje mieli do tego skłonności - co równie dobrze mogło potrwać przez całą dwudniową podróż. Zauważył jednak, że zrozumiała tę prostą prawdę.

- Wiem - przytaknęła. - Ale trudno mi się z tym pogodzić. Moja rodzina i sąsiedzi gospodarzą na własnej ziemi i jedzą kolację tam, gdzie im się podoba.

- Czasami tylko chleb i słoninę - zwrócił jej uwagę John.

121

- Nawet jeśli tak jest, to ich własny chleb i słonina. I nie obawiają się wypaść z niczyich łask.

John skinął głową.

- Gdybym chciał być farmerem lub pracującym na własny rachunek ogrodnikiem, który uprawia mały skrawek ziemi i sprzedaje cebulki, kwiaty lub owoce, chociaż jest na to niewielkie zapotrzebowanie, wtedy też stałbym się kimś takim. Ale ja pragnąłem czegoś więcej, Elizabeth. Chciałem mieć szansę założenia największego ogrodu w całej Anglii. A on dał mi ją,

kiedy byłem jeszcze bardzo młody, tak młody, że większość mistrzów ogrodnictwa kazałaby mi się uczyć u kogoś innego przynajmniej rok lub nawet kilka lat, zanim w ogóle wzięliby pod uwagę moją kandydaturę. On mi zaufał, podjął ryzyko i powierzył mi swój ogród. Dał mi Theobalds wtedy, kiedy zaledwie przestałem być chłopcem.

- I nie widzisz, jaką cenę za to zapłaciłeś? - spytała. - Nie możesz nawet decydować, gdzie masz zjeść kolację. Nie możesz wybierać, gdzie chcesz zamieszkać. Czasami myślę, że nie możesz nawet wybierać, jakie uczucia wolno ci mieć w sercu. Liczą się jego uczucia, a nie twoje.

- Tak już jest - potwierdził. - Tak urządzony jest ten świat. Elizabeth pokręciła głową.

- Nie w Meopham. Nie w mojej rodzinie. Nie na wsi. Takie zwyczaje panują na dworze, gdzie każdy, aby awansować, musi cieszyć się łaskami jakiegoś dostojnika i jego protekcją, gdzie każdy wielki człowiek musi mieć swoich stronników, aby w ten sposób okazywać swoją potęgę i wpływy. Ale w całym królestwie są mężczyźni i kobiety, którzy żyją wedle własnej woli i nikogo nie nazywają swoim panem.

- Uważasz, że to jest lepsze życie?

- Oczywiście - odparła, chociaż zrozumiała, że to, co ona uważa za wolność od uciążliwych obowiązków, dla niego jest pustką, której nie mógłby znieść.

- Bez mojego pana znaczyłbym znacznie mniej - oświadczył. - A to, co uważasz za brak wolności, to niewielka cena za przynależność duszą i ciałem do jakiegoś wielkiego człowieka. Ja z radością płacę tę cenę.

122

- Ale ja również ją płacę - odrzekła spokojnie.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby coś w brzmieniu głosu żony wywołało w jego sercu przyływ czułości, jak gdyby żałował, że nie znaczą dla siebie więcej. Elizabeth pomyślała, że mąż obejmie ją ramieniem i przytuli, powożąc jedną ręką, i będą wyglądali jak para zakochanych wieśniaków w drodze na targ.

- Tak, ty również ją płacisz - przyznał, trzymając oburącz lejce. - Wiedziałaś, że wychodzisz za człowieka, który ma określone obowiązki. Byłem oddanym sługą Cecila jeszcze przed naszymi zaręczynami, a tym bardziej przed naszym ślubem. Wiedziałaś o tym, Elizabeth.

Skinęła głową i utkwiała wzrok w biegnącej prosto drodze.

- Wiedziałam - przytaknęła ponuro.

John nie wracał już do tej sprawy, ufając, że dom, który ofiarował im sir Robert, przekona Elizabeth lepiej niż on sam, że bardziej się opłaca być sługą potężnego dostojnika niż niewiele znaczącym wieśniakiem pracującym na własny rachunek. Spostrzegł wyraz jej twarzy, kiedy podjechali do nowego domu, i zrozumiał, że przez jakiś czas nie będzie wysłuchiwał skarg na hrabiego Cecila. Nie był to zwykły domek, z dwiema małymi izbami na parterze i chwiejnymi schodami prowadzącymi na strych, ale prawdziwy dom, otoczony płotem; piękna, wykładana odłamkami cegły dróżka prowadziła do drzwi frontowych umieszczonych między dwoma oknami o prawdziwych szybkach, osadzonych niczym diamenty w grubych, ołowianych ramach.

- Och! Och! - Elizabeth zsunęła się z twardego kozła i z wrażenia zabrakło jej słów.

Gruba, słomiana strzecha spoczywała ciężko na niskim dachu. Belki w ścianach były tak nowe, że nadal złościły się na tle jasnoróżowego tynku.

- Niedawno zbudowany! - szepnęła Elizabeth. - Niedawno zbudowany dla nas?

- Dla nas i dla nikogo innego. Wejdz do środka - zaprosił ją John. Z Małym J, który siedł tuż za nią, rozglądając się wokół szeroko otwartymi oczami, wielkimi jak u polującej sowy,

123

Elizabeth przestąpiła próg swego nowego domu. Znalazła się w wykładanej kamiennymi płytkami sieni z ogniem płonącym już w kominku na ich powitanie. Z prawej strony znajdowała się kuchnia z wielkim, kamiennym zlewem i dużym paleniskiem. Z lewej zaś - niewielkie pomieszczenie, którego Elizabeth mogła

używać, jak uzna za stosowne: jako spiżarni lub bawialni; a tuż przed nią pięły się w górę solidne schody z porządnymi drewnianymi stopniami i poręczami, prowadzące do jeszcze dwóch izb na piętrze. Każda z nich była tak wielka, że mogło się w niej pomieścić szerokie łóże małżeńskie, a nie małe, wąskie łóżko i kołyska Małego J, które przywieźli z Meopham.

- I ogród! - powiedział John, nie posiadając się z radości.

- Ogród! - Elizabeth wybuchnęła śmiechem, gdyż jej mąż był taki przewidywalny. Ale pozwoliła mu się sprowadzić ze schodów i pociągnąć do kuchennego wyjścia.

Cecil polecił Johnowi, żeby wziął to, co zechce, spośród drzewek i sadzonek z ogrodów pałacowych i stworzył swój własny mały raj. John założył na małym, ogrodzonym płotem kawałku ziemi niewielki sad, z alejką z obu stron obsadzoną jabłonią i śliwami, ogródek zielny przy tylnych drzwiach domu - zasiał w nim zioła używane do przyprawiania potraw, sałatę i jarzyny sałatkowe oraz truskawki - a także warzywnik, w którym rosły bób, fasola, cebula i inne warzywa.

- To wygląda na takie... zakorzenione! - Elizabeth wreszcie znalazła odpowiednie określenie. - Jakby było tu zawsze.

Błysk dumy przemknął przez twarz Johna.

- Tego wreszcie się nauczyłem w ostatnim roku - wyjaśnił. - Wiem już, co należy zrobić, żeby nowo założony ogród wyglądał tak, jakby istniał już od czasów raju. Chodzi o to, żeby umieścić wszystkie rośliny bardzo blisko siebie i przenieść je w odpowiedniej chwili, zanim zbyt się stłoczą. Trzeba też podjąć ryzyko przesadzania tych, które tak naprawdę są za duże, by je niepokoić. Trzeba zrobić szeroki wykop wokół korzeni. A co do tych drzew... - Urwał. Elizabeth uśmiechała się do niego, 124 lecz wcale go nie słuchała. - Znalazłem sposób przesadzania drzew tak, żeby nie uschły - dokończył. - Ale nie interesuje to prawie nikogo oprócz innego ogrodnika.

- Ofiarowałeś mi piękny ogród, który będę kochać - odparła.

Objęła go mocno. - I dziękuję ci za niego z całego serca.

Rozumiem teraz, dlaczego nie wystarczał ci nasz maleńki zagonek

w Meopham. Nigdy nie przypuszczałam, że zaplanujesz nasz ogródek przydomowy w taki sam sposób, w jaki tworzysz te swoje wielkie ogrody, mój Johnie, ale podarowałeś mi coś naprawdę pięknego.

Uśmiechnął się, widząc zadowolenie żony, i pocałował ją. Jej usta nadal były miękkie i ciepłe. Pomyślał, czując, jak budzi się w nim pożądanie, iż tej nocy będą spać w nowej sypialni, a jutro rano obudzą się, by spojrzeć na wielki park w Hatfield, i rozpoczną nowe życie.

- Dopilnujemy, żeby te drzewa wyrosły na zdrowe i silne - oświadczył. - Zasadzimy nasz kasztanowiec pośrodku ogrodu i będziemy siadywać w jego cieniu, kiedy się zestarzejemy.

Przytuliła się do niego mocniej.

- I będziemy jeść w domu - powiedziała stanowczym tonem.

John oparł brodę o jej ciepły policzek.

- Kiedy będziemy starzy - obiecał rozbrajająco.

Już następnego dnia hrabia osobiście odwiedził Tradescantów w ich nowym domu. Elizabeth podekscytował i nieco przestraszył widok wspaniałego, ciągniętego przez kuce powozu, którym powoził stangret, a z tyłu siedział foryś. Podbiegła do furtki, dygnęła i wyjąkała podziękowanie. Ale John otworzył bramę i podszedł do drzwi powozu, żeby porozmawiać z sir Robertem jak z serdecznym przyjacielem.

- Chorujecie, panie? - zapytał spokojnie Cecila. Twarz sir Roberta pożółkła, a bruzdy bólu na niej stały się głębsze niż kiedykolwiek dotąd.

- Nie bardziej niż zwykle - odpowiedział.

- To twoje kości?

- Tym razem brzuch - odrzekł. - Strasznie mnie mdli, Johnie. Ale nie mogę jeszcze porzucić mojej pracy.

125

Mam plan reformy królewskich finansów. Jeżeli zdołam nakłonić króla, żeby go zaakceptował, będę mógł sprzedać ten cały plan parlamentowi i zaoferować mu dzierżawę zysków w zamian za odpowiednią płacę dla Jakuba Stuarta. John zamrugał.

- Chcecie, milordzie, żeby parlament płacił królowi? Żeby król stał się jego sługą?

Cecil skinął głową.

- Lepsze to niż niekończące się targi, rok po roku, kiedy tamci żądają, aby oddalił faworytów, a on domaga się pieniędzy.

Wszystko lepsze niż to. Monarcha musi mieć wielki osobisty wdzięk i dużo cierpliwości, żeby przetrwać coroczne targi z wyciągniętą miską zebraczą, a ten król to nie nasza zmarła królowa.

- Nie możecie odpocząć i wrócić do tego później, panie? - zapytał zaniepokojony Tradescant.

Przysłonięte ciężkimi powiekami oczy spojrzały na wiernego sługę.

- Czyżbyś chciał zostać medykiem, Johnie?

- Zechcecie odpocząć, panie?

Cecil wyciągnął rękę i John zauważył, że nawet ten niewielki ruch sprawia jego panu ból. Ujął dłoń hrabiego tak delikatnie, jak rączkę Małego J, kiedy synek spał. Podświadomie przykrył ją drugą ręką i poczuł, jak chłodne są palce Roberta Cecila i jak powolne tętno.

- Wyglądam na chorego? John się zawahał.

Cień uśmiechu przemknął przez twarz Cecila.

- No, Johnie - szepnął. - Zawsze szczyciłeś się tym, że mówisz mi tylko prawdę, nie udawaj teraz dworaka.

- Wyglądacie na bardzo, ale to bardzo chorego, milordzie - odparł ledwie dosłyszalnie ogrodnik.

- Śmiertelnie chorego?

John obrzucił szybkim spojrzeniem przymknięte oczy sir Roberta i zrozumiał, że czeka on na prawdziwą odpowiedź.

- Nie znam się na tym, milordzie, ale myślę, że tak. Cecil lekko zmarszczył brwi i John mocniej ścisnął jego chudą, zimną rękę.

- Mam jeszcze tak wiele do zrobienia - powiedział hrabia.

126

- Najpierw zajmijcie się sobą, panie - odparł z naciskiem ogrodnik, a potem szepnął: - Proszę was, milordzie. Najpierw



zajmijcie się sobą.

Cecil pochylił się do przodu i oparł policzki o ciepłą twarz Johna.

- Ach, Johnie - westchnął cicho. - Tak bardzo chciałbym mieć choć trochę twojej siły.

- Na Boga, jakże pragnąłbym wam ją oddać - szepnął ogrodnik.

- Pojedź ze mną - polecił sir Robert. - Pojedź ze mną wokół parku i ogrodów i opowiedz, co zostało posadzone i jak będzie wyglądało, nawet jeśli żaden z nas tego nie zobaczy. Opowiedz mi, jak tu będzie za sto lat, kiedy obaj dawno stąd odejdziemy. Bez względu na to, czy jesteśmy teraz zdrowi czy chorzy, Johnie, ten ogród przetrwa nas obu.

Tradescant wgramolił się do powozu i usiadł obok sir Roberta, kładąc ramię na oparciu siedzenia, jakby chciał chronić swego pana przed wstrząsami podczas jazdy. Elizabeth, o której już zapomniał, stała przy bramie nowego domu, patrząc, jak obaj odjeżdżają.

- Zrobiłeś wspaniałą szkatułę dla mojego klejnotu - odezwał się z zadowoleniem Cecil, kiedy powóz jechał powoli aleją między rzędami niedawno posadzonych drzew. - Dobrze razem się spisaliśmy, Johnie, jak na dwóch młokosów, którzy uczyli się swojego fachu.

Rozdział Piętnasty.

Maj 1612.

Robert Cecil konał w wielkim łożu z baldachimem w sypialni swojego nowego, pięknego domu. Za drzwiami służba w głębokiej ciszy udawała, że wykonuje codzienne prace, mając nadzieję, iż usłyszy coś z prowadzonej półgłosem narady lekarzy. Jedni chcieli wysłać hrabiego do Bath, do wód leczniczych - ostatniej szansy na wyzdrowienie. Drudzy opowiadali się za pozostawieniem go w łożu, żeby porządnie wypoczął. Czasami, kiedy drzwi sypialni się otwierały, słudzy słyszeli urywany, świszczący oddech swego pana i widzieli go opartego o bogato wyszywane poduszki, których jasne, wiosenne kolory kłóciły się z jego żółtawą cerą. John Tradescant, płacząc jak kobieta, kopał głęboki dół w ogrodzie warzywnym, kopał bez wyraźnego celu, zaciekle, jak

gdyby jego energia i wysiłek zdołały w jakiś sposób pomóc choremu.

W południe nagle opuścił grządkę z warzywami, przemierzył z determinacją wszystkie trzy dziedzińce po zachodniej stronie pałacu, dotarł do wielkiej alei, minął pagórek, gdzie wiły się ścieżki okolone żółtymi pierwiosnkami, i wszedł do zalesionej części ogrodu. Teren ten był niebieski jak morze, jakby zalała go fala powodzi. John ukląkł i zaczął zrywać dzwonki okrągłolistne, skupiając uwagę tylko na nich, i przestał dopiero wtedy, gdy zebrał całe naręcz. Później poszedł do pałacu, nie zwracając uwagi

128

na błoto opadające z butów, po stopniach, gdzie jego wyrzeźbiona w drewnie podobizna nadal spoglądała z filaru podtrzymującego klatkę schodową, i skierował się do sypialni lorda Cecila. Jakaś służebna zatrzymała go przy drzwiach przedpokoju. Dalej nie pozwolono mu wejść.

- Weź je i pokaż mu - powiedział.

Zawahała się. W pałacu hrabiego Cecila kwiaty rozrzucało się po podłodze lub robiło z nich bukiety, które wtykano za pas lub za wstążkę przy kapeluszu.

- A co on miałby z nimi zrobić? - zapytała. - Po co konającemu dzwonki?

- Chciałby je zobaczyć - ponaglił ją John. - Wiem, że by chciał. Lubi dzwonki.

- Będę musiała oddać je Thomasowi - odrzekła. - Nie wolno mi tam wchodzić.

- W takim razie przekaz je Thomasowi. - John nie ustępował. - Przecież w niczym mu nie zaszkodzą? A ja wiem, że bardzo by mu się to spodobało.

- Nie rozumiem dlaczego - upierała się dziewczyna. John bezsilnie rozłożył ręce.

- Ponieważ kiedy człowiek odchodzi w mrok, pomaga mu świadomość, że pozostawia po sobie trochę światła! -zawołał. - Ponieważ kiedy człowiek widzi przed sobą tylko zimę, pociesza

go myśl, że nadejdą następne wiosny i lata. Ponieważ on umiera. I kiedy zobaczy te dzwonki, będzie wiedział, że nadal tu jestem, w pobliżu, i że zebrałem je dla niego. Będzie wiedział, że tu jestem, na zewnątrz pałacu, zajmuję się jego ogrodem. Będzie wiedział, że tu jestem i że nadal robię to dla niego.

W jej oczach odmalowało się całkowite niezrozumienie.

- Ależ, panie Tradescant! Dlaczego to miałoby mu pomóc? Zniecierpliwiony ogrodnik chwycił ją i popchnął w stronę przedpokoju.

- Mężczyzna na pewno by to zrozumiał! - warknął. - Kobiety są zbyt powierzchowne. Mężczyzna zrozumiałby, że nasz pan ucieszy się, wiedząc, iż nadal pracuję w jego ogrodzie. Że nawet po jego odejściu ten ogród wciąż będzie trwał. Że drzewo morwowe zakwitnie w tym roku,

129

a młode kasztanowce rosną prosto w górę, że nowy, aksamitny, podwójny zawilec nieźle sobie radzi, a dzwonki takie jak te kwitną pod drzewami w parku. Idź! I włóż mu te dzwonki w dłonie albo powiem ci coś do słuchu!

Popchnął ją tak mocno, że pobiegła do Thomasa, który stał przed drzwiami sypialni, czekając na rozkazy hrabiego, które nigdy nie nadejdą.

- Pan Tradescant chce, żeby je dostarczono jego lordowskiej mości - powiedziała, wpychając mu do rąk naręcze kwiatów. Ich smukłe, wiotkie, zielone łodyżki ociekały sokiem jak eliksirem życia. Wytarła rękę o fartuch. - Mówi, że to bardzo ważne.

Thomas zawahał się, usłyszawszy tę niezwykłą prośbę.

- Wiesz, co powiedział? Że kobiety są zbyt powierzchowne, żeby to zrozumieć - prychnęła. - Impertynent!

Te słowa mile połechtaly poczucie męskiej wyższości Thomasa. Wziął kwiaty, uchylił drzwi sypialni Cecila i wślizgnął się do środka.

Jeden lekarz stał w nogach łoża, drugi przy oknie, a stara kobieta, po części opiekunka chorych, po części służąca, kuliła się przy kominku, gdzie trzaskał niewielki ogień z pachnących szyszek

sosnowych, ogrzewając duszną komnatę.

Thomas podszedł spokojnie i cicho.

- Bardzo przepraszam - powiedział ochryple. - Ale ogrodnik jego lordowskiej mości nalega, żeby dać milordowi te kwiaty.

Medyk odwrócił się i syknął z irytacją:

- Co? Co takiego? Och, to bzdura! Kompletna bzdura!

- Tylko głupota i przesady - odezwał się jego kolega stojący przy oknie. - I na pewno rozsiewają trujące opary.

Thomas nie uległ.

- To pan Tradescant, sir. Zaufany jego lordowskiej mości. I służebna powiedziała, że nalegał.

Cecil z trudem odwrócił głowę. Spór natychmiast ucichł. Hrabia przywołał Thomasa skinieniem palca.

Lekarz machnięciem ręki kazał słudze podejść do konającego.

- Szybko. On chce je mieć. Ale to nawet na jotę nie zmieni jego stanu.

130

Thomas niezdarnie podszedł do łoża. Nieruchomą, jak wykutą w piaskowcu twarz najpotężniejszego człowieka w Anglii zryły bruzdy cierpienia. Zwrócił niewidzące oczy w stronę sługi.

Thomas wetknął mu kwiaty w bezsilne ręce. Dzwonki rozsypały się po bogato haftowanej kapie, zasłaniając szkarłatne i złociste desenie czystym, niebiańskim błękitem.

- Od Johna Tradescanta - powiedział Thomas.

Delikatny, słodki zapach dzwonek wypełnił pokój jak świeża woda, wypierając odór strachu i choroby. Zaświeciły w ciemnej sypialni niczym niebieski płomień. Konający spojrzał na rozsypane kwiaty i wciągnął w nozdrza ich świeżą woń.

Wydawało się, że dotarły tu z oddalonego o mile świata, dalekiego od przegrzanej sypialni, czystego, wiosennego, zewnętrznego świata. Robert Cecil zwrócił głowę ku maleńkiemu oknu i lekki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Chociaż okno było tylko ledwo uchylone, usłyszał głuchy odgłos łopaty uderzającej w ziemię na kwietniku pod oknem, głośny jak bicie wiernego serca, kiedy on i John Tradescant zaczęli realizować postawione przed oboma

odmienne zadania: uprawę ogrodu i umieranie.

Rozdział Szesnasty.

Październik 1612.

Kiedy pogrzebano hrabiego Roberta Cecila - przed śmiercią zawleczono go jeszcze do Bath w nadziei na cudowne wyzdrowienie, później zaś z powrotem do domu - John Tradescant zachował stanowisko w Hatfield House. Ale stracił serce do ogrodu. Wciąż rozglądał się za Cecilem, chcąc mu pokazać jeden z nowych, wspaniałych widoków, spodziewał się, że zobaczy go zbierającego morwy w lecie i kulejącego w ciemnym cieniu nowo wyrosłej alei o splecionych gałęziach. Nadal pragnął się z nim naradzać, wymieniać szybkie, porozumiewawcze, triumfalne uśmiechy, gdy jakaś uparta roślina jednak urosła, a jakaś rzadka odmiana wypuściła korzenie, czy też kiedy nasiona wykiełkowały. Zabierając kufel piwa i bochenek chleba do szopy z donicami, spodziewał się, iż zobaczy nagle swojego pana, rozpartego na ławce, jak zanurza upierścienione palce w miękkiej, przesianej ziemi, odpoczywając od pisania listów, spiskowania, od misternych intryg zagranicznej polityki, albo szuka Johna, by zjeść z nim jakąś potrawę z kolacji - szuka człowieka, który nie potrzebował kłamstw ani pochlebstw. Lub też siedząc na baryłce pełnej cebulek, obserwuje swego ogrodnika przesadzającego flance.

- Przykro mi, milordzie - powiedział Tradescant do nowego hrabiego, syna Cecila, z trudem wymawiając tytuł

132

zmarłego pana. - Nie mogę tutaj mieszkać, nie widząc waszego ojca. Za długo mu służyłem, żeby znieść tę zmianę.

- Myślę, że będzie ci brakowało tego ogrodu - zauważył nowy lord Cecil. Ale nie sprawiało mu, tak jak ojcu, wielkiej radości zakładanie ogrodu tam, gdzie przedtem była tylko łąka.

- Tak - odparł John. Właśnie kwitły ulubione kwiaty Roberta Cecila, goździki.

Kasztanowce, które wyrosły z gładkich, lśniących kasztanów kupionych pięć lat temu, były już wysokie i wyciągały zielone,

palczaste liście jak dłonie żebraka. Ścieżka obsadzona drzewami wiśniowymi tworzyła labirynt regularnie rozsypanych kwiatów, a tulipany płonęły na nowych klombach.

- Nie mogę pracować w tym ogrodzie bez niego - powiedział John do Elizabeth tamtej nocy.

- Dlaczego? - zapytała. - Przecież to ten sam ogród.

- Nie, już nie. - Potrząsnął głową. - To był jego ogród. Ja wybrałem rośliny, które miały cieszyć jego oczy. Z myślą o jego upodobaniach projektowałem dróżki. Kiedy miałem coś nowego i rzadkiego, nie tylko zastanawiałem się, gdzie będzie rozwijało się najlepiej, lecz także gdzie na pewno on to zobaczy. Za każdym razem, gdy sadiłem jakiś szczep, myślałem jednocześnie, pod jakim kątem będą padać na niego promienie słoneczne - i spojrzenie mojego pana.

Zmarszczyła brwi, gdyż te słowa trąciły bluźnierstwem.

- On był tylko człowiekiem.

- Wiem o tym i kochałem go jak człowieka. Kochałem go, ponieważ był człowiekiem, nawet bardziej śmiertelnym i słabowitym niż wielu innych. Wspierał się na mnie, kiedy bolały go plecy. - Tradescant urwał. - Lubiłem, gdy się na mnie opierał - dodał, zdając sobie sprawę, iż nie zdoła wyjaśnić mieszaniny radości i litości, jaką poczuł w chwili, gdy ten największy po królu człowiek w Anglii wyznał mu, że cierpi, i przyjął jego pomoc.

Elizabeth zacisnęła usta, powstrzymując pochopne słowa, i ukryła zazdrość. Położyła rękę na ramieniu męża i przypomniała sobie, że ten, którego John kochał, nie żyje

133

i został pogrzebany, i że dobra żona powinna okazać nieco współczucia.

- Mówisz to tak, jakbyś stracił brata, a nie pana. Skinął twierdząco głową.

- Pan jest jak brat, jak ojciec, nawet jak żona. Przez cały czas myślę o jego potrzebach, pilnuję jego interesów. I nie mogę być szczęśliwy bez niego.

Elizabeth nie chciała tego zrozumieć.

- Ale przecież masz mnie i Małego J.

Na ustach Johna wykwitł smutny uśmiezek.

- I nigdy nie pokocham innej kobiety ani innego dziecka bardziej niż kocham was oboje, ale miłość mężczyzny do jego pana to coś innego. Rodzi się zarówno z umysłu, jak i z serca. Miłość do kobiety trzyma go w domu, to prywatna przyjemność. Miłość do wielkiego pana prowadzi go w szeroki świat, to sprawa dumy.

- Mówisz to tak, jakbyśmy ci nie wystarczali - powiedziała urażona.

Potrząsnął głową, tracąc nadzieję, że kiedykolwiek go zrozumie.

- Nie, nie, Elizabeth. To nie tak. Wystarczacie mi. Nie przekonał jej jednak.

- Czy poszukasz innego lorda? Innego pana?

Przez jego twarz szybko przemknęło uczucie, które było czymś głębszym niż żaloba, nieutulonym żalem.

- Już nigdy nie spotkam kogoś takiego jak on.

Te słowa uświadomiły jej ogrom jego straty i sprawiły, że zamilkła na chwilę.

- A co z nami? - zapytała. - Nie chcę stracić tego domu, Johnie, i Mały J jest tu szczęśliwy. Zapłaciłeś korzenie, jak rośliny w ogrodzie Hatfield. Powiedziałeś, że chcesz zasadzić tu nasz kasztanowiec i że będziemy siedzieli w jego cieniu, kiedy będziemy starzy.

Skinął głową.

- Wiem. Złamałem przyrzeczenie, które ci dałem. Ale nie mogę tu żyć bez niego, Elizabeth. Próbowałem i nie mogę. Możesz mnie zwolnić z przyrzeczenia, że pozostaniemy tutaj, i pozwolisz, żebyśmy zamieszkali gdzie indziej? Z powrotem w Kencie?

- W Kencie? Co masz na myśli? Gdzie?

134

- Lord Wootton chce mieć ogrodnika w Canterbury i zapytał mnie, czy pojechałbym do niego. Zna tajemnicę hodowli melonów, którą bardzo chciałbym poznać, jego ogrodnik zawsze mi dokuczał, mówiąc, że w całej Anglii tylko lord Wootton potrafi hodować melony.

Elizabeth prychnęła z niezadowoleniem.

- Może zechcesz na chwilę zapomnieć o melonach? Co z twoim domem? Co z twoimi zarobkami?

- Będzie mi dobrze płacił - odrzekł John. - Sześćdziesiąt funtów, a mój pan płacił mi pięćdziesiąt. I będziemy mieli nowy dom. Dom głównego ogrodnika. Mały J mógłby pójść do królewskiej szkoły w Canterbury. To bardzo mu się przyda.

- Canterbury - powiedziała Elizabeth w zamyśleniu. - Nigdy nie mieszkałam w dużym mieście, gdzie odbywają się jarmarki. Będzie tam dużo ludzi.

- Moglibyśmy przenieść się tam od zaraz. Zapytał mnie po śmierci mojego pana, a ja odrzekłem, że dam mu odpowiedź w ciągu trzech miesięcy.

- I będziesz kochał lorda Woottona tak, jak kochałeś hrabiego Cecila? - zapytała Elizabeth, myśląc, że może to być z pożytkiem dla nich wszystkich.

John pokręcił głową.

- Już nigdy nie będę miał takiego pana jak on.

- A więc jedźmy tam - powiedziała, natychmiast podejmując decyzję, co było dla niej typowe. - I możemy zasadzić nasz mały kasztanowiec w Canterbury zamiast w Hatfield.

Rozdział Siedemnasty.

Listopad 1612.

John pracował w ogrodzie lorda Woottona z rękami zanurzonymi w zimnych grudach ziemi, kiedy usłyszał głos dzwonu. Dzwon dzwonił i dzwonił, a ponure dźwięki obwieszczały czyjąś śmierć. Później dobiegł go huk wystrzałów armatnich. John wstał, wytarł ręce o spodnie i sięgnął po kaftan, który zawiesił na łopacie.

- Coś się stało - powiedział krótko do pomocnika, który klęczał obok.

- Mam pobiec do miasta i przynieść wieści, panie? -zapytał żywo chłopiec.

- Nie - odparł stanowczo John. - Zostaniesz tu i będziesz pracował, a ja pójdę do miasta i dowiem się, co się stało. I jeśli cię tu nie będzie, kiedy wrócę, tym gorzej dla ciebie.



- Tak, panie Tradescant - powiedział nadąsany chłopiec.

Dzwon dzwonił coraz natarczywiej.

- Co to znaczy?

- Dowiem się - odrzekł John i ruszył wielkimi krokami z ogrodu w stronę katedry.

Rozgadani ludzie tłoczyli się w gromadach na całej długości ulicy, ale John szedł, aż dotarł do schodów katedry i zobaczył znajomą twarz - przełożonego szkoły.

- Doktorze Philips! - zawołał. - Dlaczego dzwonią? Mężczyzna odwrócił się i John zobaczył jego zalaną łzami twarz. Widok ten wstrząsnął nim do głębi.

136

- Dobry Boże! Co się stało? To nie inwazja? Nie Hiszpanie?

- To książę Henryk - odparł po prostu Philips. - Nasz kochany książę. Straciliśmy go.

Przez chwilę John nie mógł zrozumieć tego, co usłyszał.

- Książę Henryk?

- Nie żyje.

John potrząsnął głową.

- Ależ on jest taki silny, zawsze był taki zdrowy.

- Zmarł na gorączkę.

John odruchowo sięgnął ręką do czoła, żeby się przeżegnać w dawny, zakazany, przesądny sposób. Powstrzymał się i zamiast tego rzekł:

- Biedny chłopiec. Boże, zmiłuj się nad nami, biedny chłopiec.

- Zapomniałem, że często go widywałeś.

- Nieczęsto - odparł John, jak zwykle zachowując ostrożność.

- Był błogosławionym przez Boga księciem, prawda? Przystojny, uczony i pobożny?

John pomyślał o despotycznych skłonnościach przystojnego księcia Henryka, o niedbałym okrucieństwie, z jakim traktował młodszego brata, o jego miłości do siostry Elizabeth, o królewskiej pewności siebie; niektórzy nazwaliby ją arogancją.

- Był wręcz stworzony do rządzenia krajem - odpowiedział przebiegle.

- Oby Bóg chronił księcia Karola - rzekł śmiało doktor Philips. John zdał sobie sprawę, że ten jedenastoletni kulawy chłopiec, który biegał za starszym bratem i nigdy nie zwrócił na siebie ani nie utrzymał na dłużej uwagi ojca, będzie teraz następcą tronu.

- Tak, oby Bóg go chronił - powtórzył.

- A jeśli go stracimy - ciągnął półgłosem doktor Philips - wtedy na tronie zasiądzie kolejna niewiasta, księżniczka Elżbieta, i tylko jeden Bóg wie, jakie teraz ściągnęłoby to na nas klęski.

- Oby Bóg go chronił - powtórzył John. - Boże, chroń księcia Karola.

137

- A jaki on jest? - zapytał doktor Philips. - Księżę Karol? Jaki będzie z niego król?

John pomyślał o jękającym się, nieśmiałym chłopcu, którego trzeba było uczyć chodzić prosto, który tak bardzo się starał dogonić starsze rodzeństwo, ale wiedział, że nie jest tak kochany jak tamtych dwoje i że nigdy nie dorówna im urodą. Zapytał sam siebie w duchu, jakie będzie to małe, brzydkie księżątko, które doskonale zdawało sobie sprawę, że zajmuje dopiero drugie miejsce w kolejce do tronu i w dodatku niewiele znaczy - jakie będzie, kiedy dorośnie i stanie się pierwszym mężczyzną w kraju? Czy przyjmie miłość ludu i pozwoli, by go ogrzała i wypełniła pustkę w sercu? A może na zawsze pozostanie nieufny, podejrzliwy, zawsze będzie starał się wyglądać na odważniejszego, silniejszego i urodziwszego, niż jest naprawdę?

- Będzie dobrym królem - odrzekł, myśląc, że nie ma już jego pana, który mógłby ukształtować tego króla, i zastanawiając się, od kogo ów chłopiec nauczy się przebiegłości i wdzięku Tudorów, kiedy będzie miał za preceptora tylko swojego ojca i dwór pełen mężczyzn dobranych ze względu na ich wygląd i rozpustę, a nie umiejętności. - Bóg go poprowadzi - zakończył z nadzieją, myśląc, że nikt inny tego nie zrobi.

Rozdział Osiemnasty.

Wrzesień 1616.

Nowy dom w Canterbury był tylko trochę większy niż ich

pierwszy domek w Meopham, ale Elizabeth się nie skarżyła, gdyż frontowe drzwi wychodziły na prawdziwą miejską ulicę, a całe wnętrze pięknie wykończono. Gotowali, jedli i mieszkali w dużej izbie na parterze, a Elizabeth i John spali w wielkim łóżu z baldachimem w sąsiednim pomieszczeniu. Mały J, teraz ośmioletni chłopiec, wspinał się po chwiejnych schodach na strych, gdzie urządzono mu poślanie. W dzień John pracował w ogrodzie lorda Woottona, a Mały J chodził do szkółki, gdzie za pensa tygodniowo uczono go czytać, pisać i liczyć. Obaj wracali do domu o czwartej po południu, gdy już się ściemniało, John z łopata na ramieniu, a Mały J z podręcznikiem szkolnym pod pachą.

Pewnego popołudnia Elizabeth, krojąc pietruszkę do zupy, usłyszała tupanie trzech, a nie dwóch par nóg strząsających błoto na ganku małego domku, i zdjęła zgrzebny fartuch, spodziewając się gości. Otworzyła drzwi. Na progu stali John, Mały J i uśmiechnięty młodzieniec o ogorzalej twarzy i łatwym do rozpoznania kołyszącym kroku żeglarza.

- Witam, kapitanie Argall - powiedziała, niezadowolona z wizyty.  
- Pani Tradescant! - zawołał kapitan, wszedł do domu zamaszystym krokiem i ucałował ją serdecznie w policzki.

139

- Najpiękniejsza róża w całym ogrodzie Johna! Jak się pani ma?  
- Bardzo dobrze - odparła Elizabeth, uwalniając się z jego objęć i wracając do kuchennego stołu.  
- Przyniosłem pani piękną szynkę - oświadczył Sam Argall, zerkając bez specjalnego entuzjazmu na garnek z gulaszem i pokrojone warzywa. Mały J patrzył z głębokim podziwem na gościa, który wyjął szynkę zza pleców i upuścił na stół. - A także smak raj - ciągnął kapitan, podając butelkę rumu. - Z Wysp Cukrowych, pani Tradescant. Ta słodycz i moc pozwoli poznać smak tropików nawet tutaj, w zimnym Canterbury.  
- Pogodę mamy bardzo ciepłą jak na tę porę roku - odparła śmiało Elizabeth. - Niech pan siada, kapitanie Argall. Mały J przyniesie panu kufel cienkusa, jeśli zechce się pan poczęstować. W tym

domu nie podajemy mocnych trunków.

Chłopiec pobiegł, by wykonać polecenie matki, a John i Sam usiedli przy stole i patrzyli, jak Elizabeth kroi resztę pietruszki i wrzuca do wiszącego nad ogniem garnka.

W milczeniu pili piwo. Elizabeth ustawiła drewniane miski i rozłożyła sztucce, a na środku stołu umieściła bochenek chleba.

- Sam ma kierować wielkim przedsięwzięciem... - zagaił w końcu John.

Elizabeth pomieszała w garnku i dotknęła łyżką pływającego w zupie korzenia pasternaku, by sprawdzić, czy się ugotował.

- ...wielkim przedsięwzięciem i zaproponował mi udział - mówił dalej John.

Elizabeth naląła rosółu do trzech misek, dla kapitana, męża i syna, i stanęła za mężczyznami, by im usługiwać. John zorientował się, że nie usiądzie i nie zje z nimi, jak to zawsze robiła, kiedy siedział przy stole sam z synem. Dostrzegł w tym stanowczy sprzeciw żony wobec Sama Argalla, całego jego przedsięwzięcia i związanego z tym ryzyka, ukryty za maską ostentacyjnej uprzejmości.

- Wirginia! - wykrzyknął Sam Argall, dmuchając w talerz. - Pani Tradescant, powierzono mi wielkie zadanie.

140

Mianowano mnie wicegubernatorem i admirałem wirginijskich mórz.

- Odmówisz modlitwę, mężu? - zapytała Elizabeth, z trudem nad sobą panując.

John pochylił głowę nad chlebem, a Sam, przypomniawszy sobie, że Elizabeth skrupulatnie przestrzega wszystkich nakazów religijnych, szybko zamknął oczy. John skończył, wziął łyżkę i skinieniem głowy dał znak Samowi.

- Amen - powiedział ten żywo. - Przybyłem poprosić Johna, by ze mną popłynął, pani Tradescant. Zostaniecie właścicielami ziemskimi, pani, będziecie osadnikami. Za każde miejsce, które zajmiecie na moim statku, otrzymacie sto akrów ziemi na własność. Wasza trójka będzie miała trzysta akrów! Niech pani o

tym pomyśli! Będzie pani właścicielką trzystu akrów ziemi!  
Twarz Elizabeth pozostała nieruchoma, jakby myślała o trzech stopach ziemi.

- Czy to ma być trzysta akrów dobrej, urodzajnej ziemi?
- Najlepszej - odparł Argall.
- Oczyszczonej i zaoranej?

Na moment zapadło milczenie.

- Pani Tradescant, proponuję wam dziewiczą ziemię, dziewiczą ziemię pokrytą gęstym borem. Waszą posiadłość porastają wysokie drzewa, wspaniałe, rzadkie krzewy i owocujące pnącza. Najpierw sami zrąbicie swój własny budulec, a potem postawicie sobie piękny dom. Dwór, jeśli zechcecie. Zbudowany z waszego drewna!

- Dwór ze świeżego drewna? - zapytała Elizabeth. - Zbudowany przez mężczyznę po czterdziestce, kobietę i ośmioletniego chłopca? Chciałabym to zobaczyć!

John odsunął miskę i odkroił kawałek szynki. Elizabeth, wzór posłusznej żony, nalała cienkiego piwa do kubka i cofnęła się, składając ręce na fartuchu i spuszczając wzrok.

- Co mielibyśmy siać? - zapytał Mały J.

Kapitan Argall uśmiechnął się na widok rozpromienionej twarzyczki chłopca.

- Cokolwiek zechcecie. Tamtejsza ziemia jest tak bogata, że moglibyście siać lub hodować wszystko. Ale kto wie?

141

Może znajdziecie złoto i już nigdy więcej nie będziecie sobie zawracali głowy sadzeniem czegokolwiek!

- Złoto!

- Słyszałam, że pierwszy transport skał z Wirginii był tylko dowodem głupoty, czyż nie tak? - zapytała Elizabeth. - Wysypano je pod Tower, przebrano i znaleziono tylko kwarc. Leżały tam przez wiele długich dni jak pomnik głupoty i chciwości.

- Nie znaleziono jeszcze złota. Jeszcze nie, pani Tradescant - odrzekł kapitan Argall. - Ale któż jest w stanie powiedzieć, co może się kryć w głębi gór Wirginii? Nikt nie zapuścił się dalej w

głęb brzegu i trochę w górę rzek. Co tam może być? Złoto? Diamenty? Rubiny? A zresztą, po co nam one, skoro możemy uprawiać tytoń?

- Dlaczego ten pomysł tak ci się nie podoba, Elizabeth? - zapytał otwarcie John.

Przeniosła spojrzenie z jego twarzy na podnieconą buzię Małego J i na pełne determinacji, zadowolone oblicze kapitana Argalla.

- Ponieważ już wcześniej słyszałam opowieści podróżników, ale nie były one optymistyczne - stwierdziła. - W Meopham mieszkała pani Woods, która straciła dwóch braci w Wirginii, kiedy pół osady umarło z głodu. Mówiła mi, że ludzie przekopywali cmentarz w poszukiwaniu mięsa, że stali się gorsi od dzikusów. A Peter John sam zapłacił za powrót do kraju i całował ziemię w londyńskim porcie, gdyż tak się cieszył, że żyje. Powiedział, że las roił się od Indian, którzy mogli być dobrzy lub źli w zależności od nastroju, i że tylko oni wiedzieli, czy są wrogami czy przyjaciółmi osadników. A twój własny przyjaciel, kapitan John Smith, który zarzekał się, że pozostanie tam do końca życia, wrócił do Anglii jako kaleka.

- John Smith nigdy nie powiedziałby złego słowa o Wirginii! - wtrącił Argall. - I został okaleczony w wypadku, a to mogło wydarzyć się wszędzie. Równie dobrze mógłby płynąć łodzią po Tamizie.

- Został okaleczony w wypadku, ale wcześniej walczył z Indianami, którzy go schwytali i chcieli zamordować, tak że omal nie umarł ze strachu.

- Indianie żyją teraz z nami w pokoju - wyjaśnił Argall.

142

- I ja odegrałem w tym swoją rolę. Księżniczka Pocahontas nazywa się obecnie pani Rebecca Rolfe, a wszyscy Indianie chodzą do chrześcijańskich szkół i mieszkają w chrześcijańskich domach. Mówisz, pani, o dawnych sprawach. W pierwszych latach życie tam było ciężkie, ale teraz w Wirginii panuje pokój. Pocahontas poślubiła Johna Rolfe'a i biali mężczyźni poślubiają inne Indianki. Za kilka lat wszyscy zapomną o wojnach. - Spojrzał

na skupioną twarzyczkę Małego J, który chłonał jego opowieści. - Będiesz miał indiańskiego towarzysza lub towarzyszkę zabaw, którzy pokażą ci las - obiecał. - A może indiańska panienka zostanie twoją narzeczoną.

Chłopiec zalał się szkarłatnym rumieńcem.

- Jak to się stało, że księżniczka Pocahontas wyszła za mąż za pana Rolfe'a? - zapytał.

Sam Argall wybuchnął śmiechem.

- Znasz tę historię równie dobrze jak ja! - zawołał. - Pojmałem ją i trzymałem jako zakładniczkę, a ona przez cały ten czas czarowała, no i w końcu oczarowała Johna. Idź zatem do łóżka i śnij o tym, Mały J. Twoi rodzice i ja pomówimy jeszcze o tym później.

- Ja również muszę iść spać - oświadczył John. Z pomocą syna zdjął blat z kozłów i położył przy ścianie maleńkiej izdebki.

- Mam nadzieję, że dobrze będzie się tu panu spało - powiedziała Elizabeth, kładąc na blacie słomiany siennik i pościel.

- Jak niemowlęciu w kołysce - zapewnił ją kapitan Argall.

Uwodzicielsko pocałował ją w rękę, nie zwracając uwagi na brak reakcji. - Dobrej nocy.

Elizabeth patrzyła, jak Mały J idzie po schodach do swojego posłania na strychu, a potem zaciągnęła zasłony łoża wokół siebie i Johna.

- Myślałem, że powitasz z entuzjazmem szansę na nowe życie w nowym świecie - zauważył John, wchodząc do łóżka i nakrywając się kołdrą aż po brodę. - Przecież zawsze chciałaś, żebyśmy mieli dużo ziemi. W Wirginii bylibyśmy właścicielami ziemi, o jakiej tutaj możemy tylko marzyć. Trzysta akrów!

143

Elizabeth w milczeniu wkładała koszulę nocną, a dopiero potem zsunęła bluzkę i spódnicę. John był zbyt mądry, by oczekiwać odpowiedzi. Patrzył, jak żona klęka przy łóżku, żeby się pomodlić, po czym zamknął oczy i półgłosem podziękował Bogu za jego łaski. Już leżąc w łożu i wiążąc czepek pod brodą, Elizabeth zapytała nieoczekiwanie:

- A kto jest gubernatorem tego nowego kraju? Zaskoczyła Johna

tak, że na chwilę zapomniał języka  
w gębie.

- Sir George - odparł. - Niedawno został mianowany. Sir George  
Yeardley.

- No właśnie. Dworzanin królewski - powiedziała znaczącym  
tonem i zdmuchnęła świecę. Leżeli chwilę w milczeniu w  
ciemnościach, a potem Elizabeth znów przemówiła: - To wcale nie  
jest nowy kraj. To ten sam - jedynie w innym miejscu. Nie  
popłynę tam, Johnie. To tylko inna forma służby. Ryzykujemy  
wszystko, stawiamy na jedną kartę nasze oszczędności, nasze  
środki do życia, nawet życie. Narazamy się na wielkie  
niebezpieczeństwa w kraju, jednym z nielicznych na świecie,  
gdzie nie mógłbyś pracować w swoim zawodzie, gdyż nikt nie  
zechce tam ogrodnika, bo oni potrzebują farmerów, wychowujemy  
naszego syna w lesie pełnym nieznanym niebezpieczeństw i  
usiłujemy się utrzymać z uprawy ziemi, której nikt przedtem nie  
uprawiał. A kto ciągnie zyski? Gubernator. Kompania Wirginijska.  
I król.

- To ich kraj - rzekł pojednawczo John. - Któż inny powinien  
zbierać zyski?

- Jeśli to ich kraj, to niech oni podejmują ryzyko - odparła  
Elizabeth. - Nie ja.

Stanowczy sprzeciwił Elizabeth wobec wyprawy do Wirginii nie  
przeszkodził Johnowi w zainwestowaniu pieniędzy w to  
przedsięwzięcie. Patrzyła, zaciskając z dezaprobatą usta, jak mąż  
odlicza dwadzieścia pięć złotych suwerenów na dwa udziały.  
Kapitan Argall obiecał, że dwaj mężczyźni - biedacy, którzy nie  
mieli pieniędzy na podróż - zostaną wysłani zamiast Johna  
Tradescanta, a ziemia przyznana im po przybyciu do Wirginii  
będzie częściowo jego własnością.

144

- Jeszcze zostaniesz właścicielem ziemskim w Wirginii

- powiedział Argall, wkładając sakiewkę ze złotem za pazuchę i  
zerkając szybko na kamienną twarz Elizabeth. - Wybiorę dla ciebie  
dobry kawałek ziemi, na zachód od Jamestown, w głębi lądu, w



górze rzeki. Założę tam osadę i nazwę ją Argall Town. - Urwał, gdy Elizabeth prychnęła, słysząc te aroganckie słowa.

- Chciałaś coś powiedzieć, pani?

- Przepraszam - odrzekła szybko. - Mam katar.

- Nazwę ją Argall Town - powtórzył. - I zawsze będziesz tam mile widziany, Johnie. - Opuścił oczy na pełną uwielbienia, uniesioną ku niemu twarzyczkę najmłodszego Tradescanta. - I ty również, Mały J - dodał.

- Nigdy nie zapominaj, że jesteś właścicielem ziemskim w nowym świecie, na dziewiczej ziemi. Kiedy zmęczy cię ten stary kraj, będziesz miał gotowy kapitał zainwestowany w nowym. Gdy zechcesz opuścić Anglię, będziesz miał swoje miejsce na dziewiczej wirginijskiej ziemi.

Mały J skinął głową.

- Nie zapomnę o tym, sir.

- A ja zabiorę cię na spotkanie z księżniczką Pocahontas - obiecał Argall. - Przyplęnęła w odwiedziny do Anglii i jest mi życzliwa. Przedstawię cię jej.

Mały J jeszcze szerzej otworzył oczy ze zdziwienia i rozdziawił buzię.

- Nie będzie chciała zawracać sobie nami głowy - wtrąciła szybko Elizabeth,

- Dlaczego? - zapytał kapitan Argall. - Będzie zachwycona, że was pozna. Przyjedźcie do Londynu w przyszłym tygodniu i przedstawię jej was. To obietnica. - Odwrócił się do chłopca. - Obiecuję ci, że ją spotkasz.

- Czas na niego, musi iść do szkoły - wtrąciła stanowczym tonem Elizabeth. - Jestem zdziwiona, mężu, że tak długo zwlekasz.

- Pójdę z wami - oświadczył Argall, chwytając aluzję w lot. - I dziękuję za przyjęcie, pani Tradescant. To prawdziwa przyjemność, być gościem takiej damy.

Elizabeth, nadal się nie uśmiechając, skinęła głową.

- Życzę ci powodzenia w twych przedsięwzięciach, panie

145

- powiedziała. - Mam nadzieję, że osiągniesz z nich jakieś zyski,

zwłaszcza że inwestujesz nasze pieniądze. Argall roześmiał się bez zakłopotania.

- Bez inwestycji nie ma zysku - przypomniał. Ujął jej dłoń w sposób, którego nie lubiła, i pocałował szarmancko. Potem klepnął Johna w ramię i obaj mężczyźni wyszli z domu. Mały J dreptał za nimi jak podniecone kaczątko spieszące w ślad za dwoma wielkimi łabędziami.

Argall dotrzymał słowa i John zabrał syna do Londynu, żeby zobaczyć indiańską księżniczkę. Pojechali wozem dowożącym owoce na londyński rynek, zostali w stolicy na noc, a wrócili następnego dnia.

Elizabeth wprawdzie nie chciała rozbudzać entuzjazmu chłopca, ale nie umiała ukryć zainteresowania.

- Czy była czarna? - zapytała.

- Wcale nie! - wykrzyknął Mały J. - Nie, to brązowa, piękna dama i trzymała małe dziecko na kolanach. Ale nie miała na sobie skór czy czegoś takiego, tylko zwykłe ubranie.

- Mały J był strasznie zawiedziony - wyjaśnił John z uśmiechem.

- Spodziewał się jakiejś bardzo dzikiej i dziwnej istoty. A ona jest tylko śliczną, młodą kobietą i ma małego synka. Nazywa się teraz Rebecca, została ochrzczona i jest mężatką. Mogłabyś minąć ją na ulicy, myśląc tylko, że to ładna, wysoka kobieta, trochę opalona.

- Powiedziała, że tam są chłopcy i dziewczynki w moim wieku, którzy mieszkają w wirginijskim lesie i polują na jelenie - dodał Mały J. - I że już czterolatki umieją strzelać z łuku i zabijać ościeniami ryby! I że dziewczynki umieją same robić garnki i szyc ubrania z jeleniej skóry i...

- Wymyśliła to na poczekaniu, żeby cię rozbawić - ucięła stanowczo Elizabeth.

- A właśnie że nie!

- Naprawdę nie zmyślała - powiedział łagodnie John. -

Uwierzyłem we wszystko, co mówiła, i bardzo chciałbym tam popłynąć, Elizabeth. Nie, żeby osiąść w Wirginii, ale po prostu rzucić okiem na naszą ziemię i zobaczyć, jakie są tam widoki na przyszłość. Nie zamierzam zostać plantatorem,

tylko odbyć małą wycieczkę i zobaczyć, co to za kraj. To brzmi bardzo obiecująco.

- Małą wycieczkę? - zapytała Elizabeth. - Mówisz o oceanie, jakby to była polna droga do twojego sadu. Lord Wootton na pewno by się nie zgodził, żebyś opuścił jego ogrody. Ja nie pozwoliłabym ci odejść teraz, gdy tu osiedliśmy. To sześć tygodni na morzu, na ogromnym morzu. Dlaczego nie potrafisz pozostać w jednym miejscu, Johnie? Dlaczego nie możesz żyć tu w spokoju?

Nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie i zrozumiała, że się nie dowie.

- Przykro mi - odrzekł w końcu. - Po prostu pragnę zobaczyć wszystko, co mógłbym zobaczyć. Nie sądzisz, że w tej nowej krainie rosną nowe, nieznane rośliny? I są tam rzeczy, jakich nigdy dotąd nie widziałem? Ale masz rację. Tutaj mam swój ogród i ogród lorda Woottona, i dom, i ciebie, i Małego J. To mi wystarcza.

Rozdział Dziewiętnasty.

Lato 1618.

Elizabeth nie zgodziła się na opuszczenie kraju i wyprawę do Wirginii. Ale kiedy Johnowi zaproponowano podróż do Rosji, z błogosławieństwem jego pana i rekomendacją, że właśnie Tradescant powinien tam się udać - niewiele mogła zrobić, żeby go zatrzymać. W dodatku miała to być podróż w sprawach króla, więc żaden poddany nie mógł odmówić. Jakub I pragnął otworzyć nowy szlak handlowy do Chin i uznał, że sir Dudley Digges może tego dokonać, zawierając porozumienie z Rosjanami. Miało mu w tym pomóc angielskie złoto z zasobów Kompanii Moskiewskiej i Wschodnioindyjskiej.

Sir Dudley był wiernym przyjacielem lorda Woottona, który chciał zdobyć nowe rośliny do swojego ogrodu. Sir Dudley oświadczył, że potrzebuje pożytecznego człowieka i doświadczonego podróżnika - nie dżentelmena, który byłby zbyt dumny, żeby pracować, ale też nie jakiegoś durnego wyrobnika, który w razie

nagłej potrzeby na nic by się nie zdał. Lord Wootton uznał, że może wziąć Tradescanta, a John był gotów do wyjazdu niemal natychmiast, jak zając, gdy usłyszy ujadanie psów myśliwskich. Elizabeth mogła tylko pomóc mu spakować torbę podróżną, sprawdzić, czy w jego płaszczu nie ma dziur po molach i czy nie jest podarty, i pójść na nabrzeże w Gravesend wraz z J, teraz wysokim, dziesięcioletnim chłopcem, uczniem królewskiej szkoły w Canterbury, by pomachać mężowi na pożegnanie.

148

- Uważaj na zimno! - ostrzegła. ,
- To wprawdzie jest Rosja, ale mamy środek lata - odrzekł John. - Uważajcie na siebie, a ty, J, ucz się dobrze i opiekuj się matką. Tragarze biegali po nabrzeżu, mijając Elizabeth i Małego J. Johna na chwilę ogarnął żal, gdy zobaczył, że żona ma łzy w oczach.
- Wrócę za trzy miesiące! - zawołał ponad rozszerzającym się pasmem wody. - Może wcześniej, Elizabeth! Proszę, nie martw się!
- Uważaj na siebie! - odkrzyknęła, ale nie mógł jej usłyszeć, gdyż przewoźnicy z łodzi holowniczych chwycili liny, na których ciągnięto statek Johna. Marynarze ze statku zakleli, łapiąc cumy rzucone z nabrzeża. Elizabeth i Mały J patrzyli, jak żaglowiec powoli płynie w dół rzeki.
- Nadal nie rozumiem, dlaczego musiał popłynąć - powiedział J z typowym dla chłopca w jego wieku niezadowolaniem. Elizabeth spojrzała na syna.
- Ponieważ spełnia swój obowiązek - wyjaśniła z naturalną lojalnością żony wobec męża. - Lord Wootton kazał mu popłynąć. To nieznany kraj, twój ojciec może znaleźć tam mnóstwo skarbów wszelkiego rodzaju.
- Ja myślę, że on po prostu lubi podróżować - odparł ze złością J.
- I nie obchodzi go, że zostawia mnie w kraju. Elizabeth objęła ramieniem syna, niemal zeszywniałego z oburzenia.
- Kiedy będziesz starszy, również będziesz podróżował. Zabierze cię ze sobą. Może wyrośniesz na wielkiego człowieka, takiego jak

twój ojciec, i lordowie będą cię wysyłać w zamorskie podróże.

Mały J - który już nie był mały - uwolnił się z jej uścisku.

- Pojadę sam - odparł sztywno. - Nie będę czekał, aż ktoś mnie pošle.

Statek znajdował się teraz na środku rzeki. Żagle, które przedtem leżały na pokładzie, zatrzepotały jak prześcieradła schnące na sznurze. Elizabeth chwyciła syna za ramię.

- Jest za stary na długie podróże - powiedziała z niepokojem.

149

- Płynie tak daleko i do tak mało znanych krain. A jeśli zachoruje? Jeżeli zabłądzą?

- Nie on - odparł szyderczo J. - Ale kiedy ja będę mógł podróżować, wyruszę do Ameryki. Pewien chłopiec z mojej szkoły ma tam wuja, który zabił setki dzikusów i uprawia tytoń. Mówi, że jak człowiek chce mieć tam ziemię, musi po prostu oczyścić ją z drzew. A my mamy tam ziemię. Ojciec płynie w złym kierunku, powinien był udać się do Wirginii.

Elizabeth nie odrywała wzroku od statku, który nabierał szybkości i gładko sunął w dół rzeki.

- On nigdy nie miał własnej ziemi - powiedziała. - Nigdy sam nie postawił domu ani płotu. Zawsze odkrywał nowe rośliny i pielęgnował je, by rosły jak najlepiej. Zawsze służył swemu panu. J pociągnął ją za ramię.

- Możemy zjeść kolację, zanim wyruszymy z powrotem?

Elizabeth z roztargnieniem poklepała go po ręce.

- Kiedy odpłynie - odparła. - Chcę zobaczyć, jak jego statek wypływa z portu.

J cofnął rękę i poszedł nad wodę. Rzeka łagodnie obmywała zielonkawe kamienie nabrzeża. Na środku nurtu, niewidoczny dla chłopca, trup jakiegoś żebraka zawirował i przewrócił się z cichym pluskiem. Plony znów były mizerne i w Londynie panował głód.

Po chwili Elizabeth podeszła do syna. Oczy miała zaczerwienione, ale uśmiechała się wesoło.

- Popatrz! - powiedziała. - Twój ojciec dał mi pół korony, żebym

cię zabrała na olbrzymią kolację, zanim wrócimy wozem do domu.

John patrzył z pokładu statku, jak postacie jego żony i syna coraz bardziej maleją, a wreszcie już nie mógł ich dojrzeć. Poczucie straty, które się w nim odezwało, gdy ląd zaczął znikać, mieszało się z upajającym uczuciem swobody i podnieceniem, rosnącym w miarę jak statek płynął wciąż szybciej i szybciej, a fale stawały się coraz większe. Popłynię na północ, wzdłuż wybrzeży Anglii, następnie na wschód, przez Morze Północne, do skutych lodem wybrzeży Norwegii, stąd zaś dalej do Rosji.

150

Tradescant przebywał na pokładzie równie długo jak pełniący wachtę marynarze i to on pierwszy zauważył wielką flotyllę holenderskich łodzi rybackich, łowiących dorsze i śledzie tuż na południe od Newcastle.

Rzucili kotwicę w Newcastle i John zszedł na brzeg, żeby kupić prowiant na drogę.

- Weź moją sakiewkę - zaproponował sir Dudley. -I sprawdź, czy dostaniesz trochę mięsa i ryb, Johnie. Brzuch mam pusty jak skarbonka dla biednych u Żyda. Odkąd opuściliśmy Londyn, codziennie mam mdłości.

John skinął głową, wyszedł na brzeg i zrobił zakupy tak ostrożnie, jak mogłaby to uczynić Elizabeth. Kupił świeże łososie, świeże oraz solone mięso i wymieniając nazwisko sir Dudleya i opowiadając w Newcastle o jego misji, namówił samego burmistrza do odwiedzin na statku. Burmistrz ofiarował im beczkę solonych łososi jako odpowiedni prezent dla jego lordowskiej mości. Zaopatrzywszy statek w prowiant, ruszyli w dalszą drogę; mieli przepłynąć Morze Północne, ale wiatr skreślił na północny zachód i zaczął przybierać na sile, zanim znaleźli się w odległości dnia podróży od Newcastle, ślizgając się po białych wierzchołkach szarych fal, które stawały się coraz bardziej strome i coraz liczniejsze.

Sir Dudley Digges miał straszne nudności od chwili, gdy wiatr zmienił kierunek. Wielu jego towarzyszy również zostało pod

pokładem, jęcząc, wymiotując i wzywając kapitana, by zawrócił do brzegu, zanim umrą. John, kołysząc się wraz ze statkiem, stał na dziobie i obserwował fale napływające od strony horyzontu. Patrzył, jak kadłub unosi się, a potem opada, unosi i znów opada, i tak bez końca. Pewnej nocy, kiedy sługa sir Dudleya zachorował, John usiadł na koi Diggesa i przytrzymał mu głowę, gdy ten bezradnie wymiotował do miski. - No, no - powtarzał łagodnie John.

- Dobry Boże! - jęknął sir Dudley. - Jestem śmiertelnie chory. Nigdy w życiu nie czułem się tak źle.

- Przeżyjecie, panie - odparł ogrodnik z burkliwą życzliwością. - Choroba morska nigdy nie trwa dłużej niż kilka dni.

- Trzymaj mnie - rozkazał sir Dudley. - Mógłbym się popłakać jak dziewczyna, tak okropnie cierpię.

151

John ostrożnie podniósł go z wąskiej koi, tak że głowa chorego opadła na jego ramię. Sir Dudley zwrócił twarz w stronę karku Johna i chłonał jego ciepło i siłę. Tradescant objął go mocniej. Niebawem poczuł, że wycieńczony mężczyzna odprężył się i zdrzemnął. Przez ponad godzinę klęczał przy koi, trzymając sir Dudleya w ramionach i usiłując go chronić przed potężnym kołysaniem statku. Dopiero kiedy sir Dudley zapadł w głęboki sen, John cofnął zdrtwiałe ramię i położył śpiącego z powrotem na koi. Zawahał się przez moment, patrząc na bladą twarz udrećzonego mężczyzny, potem nachylił się i pocałował go w czoło, jak gdyby całował Małego J i błogosławił jego sen, a następnie wyszedł z kajuty.

Kiedy dotarli dalej na północ, wiatr ponownie zmienił kierunek i dmuchał bardziej równomiernie, ale sir Dudley nadal nie mógł utrzymać jedzenia w żołądku. Mały statek znajdował się w połowie drogi między Szkocją i Norwegią, gdy jego kapitan podszedł do sir Dudleya, który, owinięty w grubą opończę, siedział na pokładzie, by odetchnąć świeżym powietrzem.

- Możemy zawrócić lub popłynąć dalej, wedle twojej woli, milordzie - powiedział kapitan. - Nie chcę mieć twojej śmierci na

sumieniu. Nie jesteś żeglarzem. Może lepiej zrobimy, wracając do kraju.

Sir Dudley zerknął na Tradescanta, który jednym ramieniem niedbale opierał się o bukszpryt, patrząc na morze.

- Co o tym sądzisz, Johnie? - spytał. Głos nadal miał słaby.

Tradescant obejrzał się, a potem podszedł bliżej.

- Wracamy czy płyniemy dalej? John się zawahał.

- Na pewno nie możecie czuć się gorzej niż dotąd, milordzie - przemówił.

- Tego się właśnie obawiam! - przerwał mu kapitan. John się uśmiechnął.

- Do tej chwili musieliście już się zahartować, milordzie. I pogoda jest ładna. Powiedziałbym, że powinniśmy płynąć dalej.

Sir Dudley zwrócił się do kapitana:

152

- Tradescant uważa, że powinniśmy płynąć dalej.

- Ale co wy mówicie, milordzie?! - zapytał kapitan. - To wy, panie, błagaliście mnie, żebyśmy zawrócili, gdy sztorm się rozszalał.

Sir Dudley wybuchnął cichym śmiechem.

- Nie przypominaj mi o tym! Ja też mówię, że powinniśmy płynąć dalej. Tradescant ma rację. Teraz, kiedy już się przyzwyczaiłem, równie dobrze możemy zawrócić, jak i popłynąć dalej.

Kapitan pokiwał niechętnie głową, ale wrócił do koła sterowego i utrzymał statek na kursie.

Szczyście im sprzyjało. Pogoda okazała się zaskakująco ładna, podróżni przyzwyczaili się do kołysania statku, i nawet sir Dudley opuścił kajutę i obszedł pokład wielkimi, chwiejnymi krokami.

Byli już na morzu prawie trzy tygodnie i niebo wokół nich zmieniało się powoli. Wyglądało to tak, jak gdyby znaleźli się w innym świecie, gdzie prawa rządzące dniem i nocą zostały zakłócone. John mógł przeczytać zapisaną stronicę nawet o północy, słońce nigdy nie zachodziło, tylko spoczywało na horyzoncie, jakby zachód trwał wiecznie, a mrok nigdy nie zapadał. Grupa wielorybów szablogrzbietów płynęła obok nich, a



na takielunku odpoczywało stadko maleńkich ptaszków, wyczerpanych długim lotem nad lodowatymi wodami. John chodził tam i z powrotem po pokładzie przez cały dzień i większą część białej nocy. Czuł się dziwnie, mając tak dużo wolnego czasu za dnia i nie mogąc pracować w ogrodzie.

Potem gęsta mgła napłynęła nad morze i światło dzienne zagasło. Słońce zniknęło i nie było już ani dnia, ani nocy, tylko wieczna, jasna szarość. Sir Dudley znów zamknął się w kajucie i wzywał po kolei swoich ludzi, by grać z nimi w kości. John czuł się dziwnie zagubiony w tym półmroku. Mógł spać lub czuwać wedle woli, ale kiedy się budził, nigdy nie wiedział, czy jest dzień, czy noc. Mimo że wciąż obserwował morze, to jakiś marynarz pierwszy zawołał: „Ziemia, ahój!” - dostrzegłszy wśród kłębow mgły ciemny zarys wybrzeża Przylądka Północnego w Laponii.

153

Sir Dudley wyszedł na pokład, owinięty w grubą opończę.

- Co widzisz, Johnie?

Tradescant wskazał na ciemną masę lądu, który stawał się coraz bielszy, w miarę jak się doń zbliżali.

- Bardziej przypomina zaspę niż ląd - powiedział. -Strasznie zimno.

Stali obok siebie, kiedy statek zbliżał się do tego obcego lądu.

Jakiś okręt wojenny wyłonił się z cienia pobliskich klifów i ruszył w ich stronę.

- Kłopoty? - zapytał cicho sir Dudley.

- Zapytam kapitana - powiedział John. - Zejdźcie na dół, milordzie. Przyniosę wam wieści, skoro tylko je usłyszę.

Przygotujcie, panie, pistolety, tak na wszelki wypadek.

Sir Dudley skinął głową i wrócił do swojej kajuty. A John zszedł po kilku schodkach do kajuty kapitana i zapukał do drzwi.

- O co chodzi?

- Jakiś okręt wojenny pod flagą Danii płynie w tę stronę.

Kapitan skinął głową, nałożył pelerynę i wyszedł z maleńkiej kajuty.

- Będą tylko chcieli zobaczyć przepustki - wyjaśnił. -Nazwisko

sir Dudleya wystarczy nam za pozwolenie.

Poszedł żwawo na brzeg pokładu, przyłożył dłonie do ust i ryknął:

- Ahoj, wy tam! Jestem kapitan Gilbert, angielski szyper w podróży dyplomatycznej, wiozę sir Dudleya Diggesa i rosyjskiego ambasadora. Czego od nas chcecie?

Zapadła cisza.

- Może oni nie mówią po angielsku? - domyślił się John.

- W takim razie powinni się nauczyć, do wszystkich diabłów! - warknął Gilbert. - Zanim spróbują opóźniać uczciwych Anglików zajmujących się swoimi sprawami.

- Ahoj, kapitanie Gilbert! - nadeszła powoli przytłumiona przez mgłę odpowiedź. - Żądamy waszych przepustek i pozwoleń na żeglugę na naszych wodach.

- Ahoj! - odkrzyknął Gilbert z irytacją. - Nasze przepustki i pozwolenia są zapakowane z bagażami, a zresztą,

154

wcale ich nie potrzebujemy. Na pokładzie jest sir Dudley Digges; towarzyszy mu rosyjski ambasador wracający do kraju. Zakładam, że nie chcecie niepokoić szlachciców, prawda?

Milczenie trwało jeszcze dłużej, kiedy duński kapitan zastanawiał się, czy niepokojenie królewskich wysłanników warte jest ewentualnych kłopotów, i potem zdecydował, że nie.

- Możecie przepłynąć swobodnie! - ryknął w odpowiedzi.

- Dziękujemy za nic - mruknął Gilbert pod nosem. - Dziękujemy!

- zawołał. - Macie może jakiś prowiant, który moglibyśmy kupić?

- Przyślę łódkę - nadeszła odpowiedź, przytłumiona przez mgłę.

Tradescant zszedł szybko pod pokład i zapukał do drzwi kajuty sir Dudleya.

- To ja, wszystko w porządku - powiedział szybko.

- Czy mam wyjść?

- Jeśli chcecie, milordzie - odrzekł John i znowu stanął przy burcie statku, patrząc wraz z kapitanem Gilbertem, jak duńska łódź wiosłowa wynurza się z mgły.

- Mają coś wartego kupna? - zapytał sir Dudley spoza Tradescanta.

Wszyscy czekali. Mała łódka podpłynęła do burty angielskiego statku, a siedzący w niej marynarze rzucili linę.

- Co macie? - krzyknął do nich kapitan Gilbert.

Obaj Duńczycy po prostu pokręcili głowami. Wprawdzie nie rozumieli po angielsku, ale podnieśli w górę kosz pełen solonych łososi. Sir Dudley jęknął:

- O nie, znów łososie!

Uniósł jednak do góry dwa szylingi tak, żeby mogli je zobaczyć. Marynarze pokręcili głowami i jeden z nich podniósł rękę, rozcapierzając palce.

- Chcą pięć - zauważył Tradescant.

- W każdym razie umieją liczyć, nawet jeśli nie mówią cywilizowanym językiem - orzekł kapitan Gilbert.

Sir Dudley wyjął z sakiewki i podniósł do góry cztery szylingi.

155

Duńczycy porozumieli się szybko, a potem skinęli głowami. Sir Dudley rzucił im do łódki pieniądze, Tradescant zaś chwycił linę, którą podrzucili duńscy marynarze. Wciągnął koszyk z łososiami i pokazał go sir Dudleyowi.

- Och, wspaniale - powiedział ten bez cienia entuzjazmu. - Wiem, wiem, dla odmiany będziemy to jeść z sucharami.

Tradescant uśmiechnął się szeroko.

Przez resztę podróży trzymali się blisko brzegu i patrzyli, jak krajobraz zmienia kolor - traci nieskalaną biel śniegu, przybiera barwę rudobrazową, a później powoli zielenieje.

- Prawie jak w Anglii w czasie ciężkiej zimy - zwrócił się

Tradescant do kapitana Gilberta.

- Wcale nie - odparł Gilbert ze złością. - Ten ląd przez pół roku jest pod śniegiem, a drugie pół we mgle.

Tradescant skinął głową i wycofał się na swój punkt obserwacyjny na bukszprycie. Teraz widział coraz więcej, gdyż linia brzegowa rozwijała się jak żywa mapa przed rozkołysanym dziobem statku. Na lądzie mógł dostrzec mieszkańców tej krainy, których wygląd początkowo go zaskoczył, gdyż wydało mu się, że nie mają szyj, tylko głowy wyrastające bezpośrednio z ramion.

- To niemożliwe - powiedział do siebie i osłonił oczy ręką przed słońcem, by lepiej widzieć.

Kiedy Lapończycy zbiegli na plażę, wołając i machając rękami do przepływającego statku, który zbliżył się nieco do brzegu, by uniknąć mielizny pośrodku nieznanych wód, John zauważył, że ludzie ci noszą grube, skórzane opończe z kapturami, sprawiające, że ich głowy wyglądały tak niekształtnie.

- Chwała Bogu Najwyższemu - powiedział pobożnie. -Przez chwilę myślałem, że rzeczywiście znaleźliśmy się w dziwacznych krajach, i że wszystkie opowieści podróżników, które słyszałem, są prawdziwe.

Ludzie na brzegu podnieśli łuki, strzały i rozesłali jelenią skórę, by John mógł ją zobaczyć. Ogrodnik zamachał ręką w odpowiedzi; angielski żaglowiec znajdował się za daleko, żeby mogli coś kupić. John jednak bardzo chciałby obejrzeć ich oręż.

156

Statek rzucił kotwicę o zachodzie słońca, gdyż kapitan Gilbert oświadczył, że bardziej obawia się mielizn na nieznannej rzece niż wszystkich rejsów po Morzu Północnym.

- Czy mogę popłynąć łodzią na brzeg? - zapytał Tradescant.

Kapitan się zasepił.

- Panie Tradescant, z pewnością możesz stąd dostrzec wszystko, co chciałbyś ujrzeć.

John uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

- Muszę nazbierać roślin i różnych osobliwości dla mojego pana, lorda Woottona - wyjaśnił. - Wrócę przed zmierzchem.

- Nie wracaj ze strzałą w tyłku - odparł rubasznie kapitan.

John uklonił się i wymknął, zanim szyper zdołał zmienić zdanie.

Jakiś młody marynarz zawiózł go na brzeg.

- Mogę zaczekać przy łodzi? - zapytał. Szeroko otwarte oczy błyszczały w jego bladej twarzy. - Podobno na tym wybrzeżu mieszkają straszliwi ludzie. Nazywają ich Samojedami.

- Nie odpływaj beze mnie - odrzekł John. - Mówię ci, że twój kapitan jest znacznie groźniejszy niż ci Samojedowie. I na pewno cię zabije, jeśli zostawisz mnie tutaj.

Chłopiec zdołał uśmiechnąć się blado.

- Zaczekam - obiecał. - Tylko nie zabawcie tam za długo, panie. John przerzucił skórzaną torbę przez ramię i wziął małą łopatkę. W kieszeni spodni ukrył ostry nóż do ścinania pędów. Doszedł do wniosku, że nie musi zabierać muszkietu. Nie chciał zawracać sobie głowy zapalaniem lontu. Uważał też, że bardziej prawdopodobne jest, iż odstrzelili sobie stopę w chwili roztargnienia, niż że będzie musiał stawić czoło wrogom. Poszedł w górę podobną do półki plażą i od razu znalazł się w gęstym lesie. Ogromne drzewa, nowy gatunek jodły, którego nigdy dotąd nie widział, splotły konary nad jego głową, tworząc świat zmierzchu, który był jednocześnie ciemnozielony i niezwykle zimny. Pod nogami miał

157

grube kępy świeżego, wilgotnego mchu, wielkie jak poduszki. John ukląkł przed nimi jak rycerz przed świętym Graalem i poklepał je z miłością, zanim zdobył się na to, by podważyć łopatką korzenie tego mchu i schować do torby.

Były tam krzewy, których nigdy nie widział, wiele obsypanych kwiatami, białymi kwiatami w kształcie gwiazd; niektóre miały barwę różową. Dalej natknął się na krzaczek brusznicy z niezwykle, czerwonymi kwiatami. John wyjął nożyk, uciął gałązki, owinał je w miękki mech i ostrożnie włożył do torby. Jeszcze kilka kroków i znalazł się na jakiejś polanie. Tam światło słoneczne padało na krzewy okryte owocami podobnymi do głogu. Miały jednak intensywniejszą barwę i trzy ostro zakończone liście na końcu gałązki, a w środku każdego liścia tkwiła jagoda. W ciemniejszych miejscach pod wielkimi drzewami John zauważył błyszczące kwiaty ciemiernika czarnego, rosnące tak gęsto obok siebie, że ścieliły się jak dywan na ziemi. Usłyszawszy w górze jakiś hałas, instynktownie uchylił się w obawie przed atakiem. Zobaczył z pół tuzina ptaków nieznanego mu gatunku, wielkich jak bazanty, o biało zielonych brzuskach i szaroniebieskich ogonach. John z irytacją zacisnął pięści: nie zabrał muszkietu i nie mógł ustrzelić takiego ptaka. Zaraz potem

odleciały z głośnym trzepotem skrzydeł. John nie miał z kim podzielić się wrażeniami i porównać swych obserwacji. Kopał i ciął, robiąc zapasy jak przygotowująca się do zimy wiewiórka, aż usłyszał z oddali cichy głos wołający go po imieniu. Podniósł wzrok i uświadomił sobie, że robi się ciemno, a przecież obiecał młodemu majtkowi, iż nie pozostanie na brzegu dłużej niż dziesięć minut - było to ponad godzinę temu.

Wrócił biegiem tą samą ścieżką do łodzi i drżącego chłopca.

- Dlaczego się trzęsiesz? - zapytał. - Z zimna czy ze strachu?

- Ani jedno, ani drugie - odparł odważnie majtek, spychając łódź na wodę, ale kiedy dobili do burty statku i wspiał się po trapie, przysiągł sobie, że nigdy już nigdzie

158

nie zabierze pana Tradescanta, bez względu na to, co powie kapitan.

Nie doszło jednak do tego. Następnego dnia kapitan zaczekał, aż przyptyw osiągnie szczyt, żeby uchronić statek przed mieliznami, i ruszyli w drogę do Archangielska. Tam załoga mogła wyjść na brzeg, żeby posilić się owsianymi plackami z serem i napić rosyjskiego piwa. A podróżujący z sir Dudleyem dżentelmeni wyładowali swoje bagaże i przenieśli się do domów przy nabrzeżu. Kompania Moskiewska szczególnie oszczędzała na zakwaterowaniu - budując zamiast porządnych domów drewniane chałupy - i na pieczywie - niektóre bułeczki nie były większe od kęsa.

John zaczekał na rosyjskiego ambasadora, który pozwolił mu wynająć miejscowego przewoźnika, aby opłynąć wyspy na środku rzeki. Zabrał ze sobą sakiewkę ze złotem i kupił do kolekcji swego pana wszystkie osobliwości, jakie mógł znaleźć, zebrał też sadzonki, korzenie i nasiona ze wszystkich dziwnych roślin, jakie napotkał. Wychodził na brzeg każdej wyspy, wbijając wzrok w ziemię, z łopatką w rękę. I z każdej wracał do łodzi z torbą wypełnioną sadzonkami roślin, których nigdy nie widział w Anglii.

- Prawdziwy z ciebie konkwistador - zauważył sir Dudley, kiedy

Tradescant wrócił na nabrzeże w Archangielsku i kazał wyładować beczułki pełne roślin umieszczonych w wilgotnej ziemi. - To skarb dla tych, którzy uwielbiają zakładać ogrody. John, brudny, śmierdzący rybami, które były jego jedynym pożywieniem od wielu dni, wyszczerzył zęby w uśmiechu i wszedł sztywno po schodach.

- Co zobaczyłeś? - zapytał sir Dudley. - Ja sam spędziłem ten czas, wyładowując bagaże i przygotowując się do podróży do Moskwy.

- To przede wszystkim dzikie pustkowia - wyjaśnił cicho Tradescant. - Lecz kiedy tutejsi ludzie przygotowują ziemię do uprawy - są bowiem dobrymi rolnikami - mogą zasiać rośliny w ziemi, która jest lekko ciepła, i zebrać plony w niespełna sześć tygodni.

Sir Dudley skinął głową.

159

- Ale to biedny kraj? - podsunął.

- Inny - uznał John. - Piwo okropne, ma najgorszy smak, jaki kiedykolwiek spotkałem. Mają jednak wyśmienity napój zwany miodem pitnym, który wyrabiają z miodu. Nie znają hebli do obróbki drewna, ale to, co umieją zrobić za pomocą siekiery i noża, pod wieloma względami przewyższa wyroby angielskich cieśli. I te drzewa! - Urwał.

- Mów dalej - powiedział sir Dudley z uśmiechem. - Opowiedz mi o tych drzewach.

- Znalazłem cztery nowe gatunki drzew, których nigdy dotąd nie widziałem, a rosnące na gałązkach pączki są tak świeże i jasne, że wyglądają jak jaskrawozielone piegi na ciemniejszym tle.

Sir Dudley skinął głową.

- I brzozy, bardzo wielkie brzozy, których korę się nacina, żeby zebrać sok. I z tego soku robi się tu napój. Mają też drzewko do wyrabiania obręczy na beczki, jak twierdzą, jest to odmiana wiśni. Nie mogę jednak mieć co do tego pewności, ponieważ teraz znajduje się w okresie między kwitnieniem a owocowaniem. Nie chce mi się wierzyć w istnienie drzewa wiśniowego, z którego

drewna można wyrabiać obręcze. Ale mam gałązkę i małe drzewko, które posadzę w kraju, i zobaczę, co to jest. Liście ma jak wiśnia. Wystarczy, że przygnie się gałązkę i wbije w ziemię, a zakorzeni się i wyrośnie w tym miejscu jak wierzba. Warto byłoby hodować takie drzewa w Anglii, nie sądzicie, milordzie?

Sir Dudley przestał uśmiechać się pobłaźliwie i zamyślił się głęboko.

- Istotnie. I musi to być wytrzymały gatunek, żeby przetrwać w tym klimacie. Czy mogłoby rosnąć w Anglii, jak myślisz, Johnie? Tradescant skinął głową.

- A także białe, czerwone i czarne porzeczki, których owoce są znacznie większe od naszych; i róże; w pewnym miejscu zobaczyłem mnóstwo dzikich róż podobnych do cynamonowych o jasnożółtych płatkach. Ciemiernik czarny, dzięgiel, geranium, skalnica, szczaw tak wysoki, jak mój syn John, i nową odmianę goździków. - John urwał na chwilę,

160

myśląc o tym, jak bardzo ucieszyłby się sir Robert na wieść, że jest nowa odmiana goździków. - Nową odmianę goździków - dokończył spokojnie. - Z bardzo jasnymi, postrzępionymi liśćmi.

- To prawdziwe skarby - powiedział sir Dudley.

- Są tu też rośliny lecznicze - mówił dalej Tradescant. - Owoc wyglądający jak truskawka o barwie bursztynu, który chroni przed skorbutem. Opowiedziano mi też o pewnym drzewie rosnącym nad Wołgą, nazywają je Bożym Drzewkiem, jak twierdzą miejscowi, leczy wiele chorób. Może je zobaczycie, milordzie. Moglibyście wziąć sadzonkę.

- Pojedź ze mną, Johnie - zaproponował sir Dudley. - Pojedź i sam weź sadzonki. Byłeś tu tak krótko i znalazłeś tyle nowości. Pojedź ze mną do Moskwy, a będziesz mógł zbierać rośliny przez całą drogę.

Przez chwilę sądził, że ogrodnik wyrazi zgodę. Twarz Johna rozjaśniła się na myśl o nowej przygodzie i skarbach, które by zobaczył.

Potem jednak pokręcił głową i roześmiał się ze swojego zapału.



- Zachowuję się jak dziewczyna wybierająca się na jarmark - powiedział. - Niczego bardziej nie chciałbym zobaczyć. Ale muszę wracać do kraju. Lord Wootton na mnie czeka, tak samo jak moja żona i syn.

- Jego lordowska mość liczy się przede wszystkim? John przypomniał sobie o swoich obowiązkach.

- Mój pan musi mieć pierwszeństwo przed wszystkim. Nawet przed moimi pragnieniami.

Sir Dudley niedbale objął ramieniem Johna i podeszli do koni, które na niego czekały.

- Przykro mi z tego powodu - powiedział. - Nie ma nikogo, kogo bardziej chciałbym mieć przy sobie przez całą drogę do Chin. John skinął głową, by ukryć targające nim uczucia.

- Bardzo chciałbym wam towarzyszyć, milordzie. - Spojrzał na szereg wytrzymałych, tatarskich koni, którym nałożono głębokie podróżne siodła. - Przez całą drogę do Chin, mówicie, milordzie?

- Pomyśl, co mógłbyś przywieźć - szepnął kusząco sir Dudley.

161

John pokręcił głową, ale trzymał rękę na strzemieniu.

- Nie mogę - odparł.

Sir Dudley uśmiechnął się do niego.

- W takim razie życzę ci bezpiecznego powrotu do kraju - rzekł. - A jeśli znajdę jakąś bardzo rzadką lub dziwną roślinę, wezmę sadzonkę i wyślę ją do ciebie. Zapiszę też, gdzie ją znalazłem, żebyś sam mógł odbyć tę podróż pewnego dnia. Albowiem jesteś urodzonym podróżnikiem, Johnie, nie zaś domatorem, który nie rusza się z fotela przed kominkiem. Widzę to w twoich oczach. John uśmiechnął się szeroko, potrząsając głową, wysiłkiem woli puścił strzemie i cofnął się od konia sir Dudleya. Zmusił się, by stać w miejscu i patrzeć, a nie pobiec za nim, kiedy kawalkada zawróciła od nabrzeża i ruszyła szlakiem prowadzącym do Moskwy i dalej na Wschód.

- Niech was Bóg prowadzi, milordzie! - zawołał John. - I życzę wam szczęścia na dworze rosyjskiego cara.

- Oby Bóg bezpiecznie zawiódł cię do Anglii! - odparł sir Dudley.

- A kiedy wrócę do kraju, będziesz mógł mnie nazywać swoim przyjacielem, Tradescant. Nie zapomnę, jak mnie pielęgnowałeś, kiedy byłem chory.

John patrzył za nimi, aż opadł kurz za ostatnim koniem, aż rozwiął się na tle szarego nieba, aż ucichły dźwięki przyczepionych do upręży dzwoneczków i tętent kopyt.

Tej nocy statek kołysał się na kotwicy przy nabrzeżu. Rano załadowali resztę towarów i odpłynęli z następnym przypływem z sadzonkami, skrzyniami i przywiązanymi luźno do masztu drzewkami Tradescanta, który już przyzwyczał się do chodzenia po chwiejnym pokładzie. Opuszczał Archangielsk z ciężkim sercem.

Elizabeth podlewała właśnie posadzony w wielkiej skrzyni kasztanowiec, kiedy John pewnego ranka wrócił do domu. Ziemia w pozostałej części ogrodu zrobiła się sucha i popękana. Był to zły rok dla zbiorów, gdyż wiosną padało, a w lipcu nastąpiły piekielne upały. Plony pszenicy okazały się kiepskie, a z jęczmieniem było niewiele lepiej. Głód zapanuje w miastach i w biedniejszych wioskach, a cena mąki wzrośnie ponad możliwości jej zakupu przez najbiedniejszych. Ale bez względu

162

na słońce czy deszcz, mały kasztanowiec przetrwał. Elizabeth zrobiła dla niego słomiany daszek dla osłony przed palącymi promieniami słońca i bez przerwy podlewała go w suche dni.

- A to dopiero piękny widok! - powiedział John, podchodząc do niej z tyłu.

Elizabeth podskoczyła na dźwięk jego głosu i odwróciła się szybko.

- Chwała Bogu - powiedziała spokojnie i na chwilę zamknęła oczy, by podziękować Najwyższemu. John, zniecierpliwiony jej pobożnością, przyciągnął żonę do siebie i mocno przytulił.

- Wróciłeś cało i zdrowo? - zapytała. - Podróż była pomyślna? Nic ci nie jest?

- Cały, zdrowy, ze skrzyniami pełnymi skarbów. Elizabeth zbyt dobrze знаła swego męża, żeby wyobrażać sobie, iż mówi o

rosyjskim złocie.

- Co znalazłeś?

- Moskiewską różę - większą i piękniejszą, niż dotąd widziałem. Wiśnię, której gałęzie można splatać jak wiklinę. Kilka nowych goździków z postrzępionymi liśćmi. Mógłbym załadować cały statek ciemiernikiem czarnym o białych kwiatach, który rósł tak gęsto na pewnej wyspie, że nic innego nie było widać, nowym purpurowym bodziszkiem, wielkim szczawiem żółtym... - Urwał. - Wóz jedzie za mną. I kupiłem też pewne osobliwości do kolekcji lorda Woottona: rosyjskie obuwie, dziwne buty do chodzenia po śniegu i niezwykle pończochy.

- I jesteś cały i zdrowy?

John usiadł na ławce ogrodowej i posadził sobie Elizabeth na kolanach.

- Rozkwitam jak ogród w lecie i czułem się dobrze przez cały czas, nawet nie miałem morskiej choroby. A teraz przekaż mi nowiny. Czy J jest zdrowy?

- Tak, dzięki Bogu.

- A twoja rodzina? Nie ma zarazy w Kencie? Elizabeth pochyliła głowę znajomym gestem, który oznaczał, że modli się szybko.

- Nie, dzięki Bogu. A w Londynie wybuchła epidemia?

- Przejechałem szybko, żeby uniknąć ryzyka.

163

- A teraz jesteś w domu, Johnie? Na dobre? - Zobaczyła jego zawadiacki uśmiech, ale nie zareagowała. - Johnie? - powtórzyła poważnie.

- Jest pewien statek, którym popłynę, ale nastąpi to za rok lub dwa - uspokoił ją. - Chodzi o ekspedycję przeciwko śródziemnomorskim piratom, a ja mam zapewnione miejsce na pinasie\*.

\* Rodzaj okrętu wojennego.

Nie odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech.

- Pomyśl o tym, co mógłbym znaleźć! - John próbował ją przekonać. - Pomyśl o roślinach, które tamtejsi ludzie hodują w

gorącym klimacie, a które mógłbym stamtąd przywieźć. Na pewno powinienem zbić na nich majątek!

Elizabeth zagryzła dolną wargę.

- Nie popłynę przez rok lub coś koło tego - pocieszył ją. - A i to nie jest pewne.

- Zawsze będziesz podróżował, kiedy tylko będziesz mógł - odparła Elizabeth z goryczą. - Mężczyzna w twoim wieku powinien zostać w domu. Myślałam, że osiadziemy tutaj, z dala od dworów wielkich panów, myślałam, że będziemy tu szczęśliwi.

- Jestem tu szczęśliwy i nie opuszczę cię na zawsze

-zaprotestował John, gdy wstała z jego kolan i odeszła na bok, łagodnie gładząc liść kasztanowca. - Ale muszę być posłuszny, Elizabeth. Jeżeli mój pan mówi, że muszę pojechać, to muszę. I muszę szukać nowych roślin, jeśli mam po temu możliwość. Robię to na chwałę bożą, aby pokazać ludziom bogactwa, jakimi nas obdarzył, Elizabeth. A z podróży na Morze Śródziemne mógłbym przywieźć wspaniałe okazy. Kwiaty i drzewa, ale również i zioła. Może lekarstwo na zarazę? To byłoby zbożne dzieło!

Nie uśmiechnęła się na to otwarte odwołanie się do jej pobożności.

- Zbożnym dziełem byłoby, gdybyś pozostał w domu i służył swemu panu w kraju - odrzekła stanowczo. - I starzejesz się, Johnie. W twoim wieku nie powinieneś wypływać na morze. Nie jesteś żeglarzem, tylko ogrodnikiem. Powinieneś pracować w kraju w swoim ogrodzie.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie.

164

- Nie gniewaj się na mnie - powiedział cicho. - Dopiero co wróciłem do domu. Uśmiechnij się do mnie, Lizzie, i spójrz: przywiozłem ci prezent. - Z głębi kieszeni kaftana wyjął małą szyszkę. - To nowe drzewo - wyjaśnił. - Piękna jodła. Czy będziesz ją pielęgnować dla mnie, Elizabeth? I strzec tak dobrze, jak strzegłaś naszego kasztanowca? Kocham cię tak bardzo, jak wtedy, kiedy dałem ci tamten kasztan.

Elizabeth wzięła szyszkę, ale pozostała poważna.

- Johnie, masz prawie pięćdziesiąt lat - powiedziała. - Najwyższy czas, żebyś został w domu.

Pocałował jej ciepły kark, lekko słony pod dotykiem jego ust.

Elizabeth westchnęła cicho z rozkoszy i siedziała nieruchomo.

Siedzący na gałęzi jabłoni nad nimi leśny gołąb zagruchał kusicielsko.

- Moja następna podróż będzie ostatnia - obiecał. - Popłynę na Morze Śródziemne na „Merkurym” i wrócę do domu z drzewkami pomarańczy, drzewkami oliwkowymi oraz wszelkimi rodzajami przypraw, a potem będę je spokojnie hodował w naszym ogrodzie razem z tobą.

Kiedy J dowiedział się, że jego ojciec ma popłynąć na Morze Śródziemne, nalegał, by i jego zabrał, ale John odmówił. Chłopiec aż zbladł ze złości.

- Jestem już dość duży, żeby pojechać z tobą - nalegał.

- Chcę, żebyś nadal się uczył - odparł John.

- Na co mi się to przyda?! - zawołał z pasją syn. - Ty nigdy nie chodziłeś do szkoły!

- I bardzo mi tego brakowało w życiu - podkreślił John. - Chcę, żebyś nauczył się czytać i pisać po angielsku i po łacinie. Chcę, żebyś otrzymał takie wykształcenie jak dżentelmen.

- Nie będzie mi to potrzebne, kiedy zostanę osadnikiem w Wirginii. Kapitan Argall powiedział, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzeba w nowej osadzie, jest dżentelmen. Powiedział, że w nowym świecie potrzebni są ciężko pracujący ludzie, a nie uczeni. Na dźwięk nazwiska Argalla Elizabeth podniosła oczy i zacisnęła usta.

- On może mieć rację - powiedział John. - Ale liczyłem,

165

że pomożesz mi w pracy, zanim wyjedziesz do Wirginii.

J, który szykował się do ucieczki, zatrzymał się, słysząc te słowa.

- Pomogę ci?

- W tych czasach wszystkie rośliny otrzymują nowe nazwy, łacińskie. Kiedy ogrodnicy króla Francji, Robinowie, piszą do

mnie i przysyłają mi sadzonki, podają ich łacińskie nazwy. Miałem nadzieję, że nauczysz się czytać i pisać, żebyś mógł mi pomóc.

- Będę pracował z tobą?
- Oczywiście - odparł John. - Jakżeby inaczej? J się zawahał.
- Więc zostaniesz w domu i będziesz mnie uczył?
- Wezmę udział w tej wyprawie na Morze Śródziemne - zastrzegł się John. - Zniszczę Algier, pokonam korsarzy, zbiorę wszystkie rośliny z krajów nad Morzem Śródziemnym i wrócę do Anglii. Później zostanę w domu i razem będziemy zajmować się ogrodnictwem.

J skinął głową, akceptując ten kompromis. Elizabeth zdała sobie sprawę, że zaciska z całej siły ręce pod fartuchem, i rozluźniła palce.

- Tradescant i syn - powiedział John z zadowoleniem.
- Tradescant i syn - odrzekł J.
- Z Canterbury - dodała Elizabeth i zobaczyła, że mąż się uśmiecha.

Rozdział Dwudziesty.

Wiosna 1620.

Ludzie mówią, że Algier to niezdobyte miasto - powiedziała Elizabeth do męża na nabrzeżu, nie okazując optymizmu nawet w tej ostatniej chwili.

- Masz za dużo wątpliwości - odrzekł pojednawczo John. - Algier można pokonać, żadne miasto nie jest niepokonane. A piratów, którzy używają go jako bazy, trzeba powstrzymać. Pływają po kanale La Manche, zapuszczają się nawet w górę Tamizy. Sam król mówi, że trzeba im dać nauczkę.

- Ale dlaczego to właśnie ty musisz popłynąć? - zapytała.
- Żeby szukać nowych roślin - wyjaśnił łagodnie John. - Kapitan Pett powiedział, że brak mu oficerów i że mnie weźmie.

Odrzekłem, że będę chciał dostać łódkę, aby pływać na brzeg, kiedy to będzie możliwe. Obaj jesteśmy zadowoleni z tej umowy.

- Nie będziesz uczestniczył w bitwach? - naciskała Elizabeth.
- Wypełnię swój obowiązek - oświadczył stanowczo John. -

Wykonam każdy rozkaz kapitana Petta.

Elizabeth pohamowała gniew i objęła męża, zauważając przy tej okazji, że staje się coraz szerszy w pasie.

- Już nie jesteś młody - przypomniała mu łagodnie.

- To wielki wstyd, jako że moja żona nadal jest dziewczyną - odparował.

167

Uśmiechnęła się, ale nie dała się zbić z pantałyku.

- Chciałam, żebyś został z nami w domu.

Pokręcił głową i delikatnie pocałował czubek jej białego czepka.

- Wiem, kochanie, ale muszę cię opuścić, kiedy mam taką szansę jak ta. Bądź wspaniałomyślna i pożegnaj mnie z uśmiechem.

Podniosła na niego oczy i zauważył, że jest bliższa płaczu niż uśmiechu.

- Nie cierpię, kiedy odjeżdżasz - odpowiedziała namiętnie.

John pocałował ją w czoło, jak wtedy, gdy się zaręczyli, a potem w usta.

- Wybacz mi i daj swoje błogosławieństwo. Muszę już iść.

- Niech Bóg cię błogosławi - powiedziała z niechęcią. - I przyprowdzi bezpiecznie z powrotem do domu i do mnie.

- Amen - odrzekł i zanim zdążyła jeszcze coś dodać, wyslizgnął się z jej ramion i wbiegł po trapie na pokład „Merkurego”.

Tym razem nie czekała, aż okręt odpłynie. Miała ważny powód,

by śpieszyć do domu. J wróci ze szkoły po południu. Elizabeth

zamierzała pojechać wozem kursującym między Canterbury i

Gravesend, który wyjeżdżał z tego portowego miasta w południe.

Ale tak naprawdę nie chciała czekać, ponieważ była rozgniewana i urażona, ponieważ nie chciała stać na nabrzeżu jak zakochana

dziewczyna, machając mężowi na pożegnanie. Nie mogła

powstrzymać się od myśli, że John nie dochowuje jej wierności i

nie dotrzymuje obietnicy, że zostanie w domu i będzie uprawiał

ogród. Nie mogła opanować myśli, że wiele stracił w jej oczach,

ponieważ nie umie się oprzeć pokusie przygód.

John, patrząc z pokładu na małą, nieugiętą postać oddalającą się sztywno od nabrzeża, wiedział, o czym myśli Elizabeth, i mimo

woli ją za to podziwiał. Zdawał też sobie sprawę, że byłaby szczęśliwsza jako żona innego mężczyzny, mężczyzny, który siedziałby w domu i tylko słuchał opowieści podróżników w wiejskiej karczmie. I on

168

również byłby szczęśliwszy, gdyby ożenił się z inną kobietą, kobietą, która pomachałaby mu na pożegnanie i powitała go w domu szerokim uśmiechem, nie odsuwała się od niego, gdy odpływał, i nie patrzyła nań z urazą po powrocie. Ale oni nie wzięli ślubu z miłości i ich związek nigdy taki nie był. Miłość, jaką odkryli i jaka ich połączyła, była czymś nieoczekiwanym, czego ani oni, ani jego ojciec, choć tak mądrze zaręczył ich ze sobą, nie oczekiwali. Było to małżeństwo zaaranżowane przede wszystkim w celu spłacenia długu. Małżeństwo mające ulokować posag Elizabeth w rękach mężczyzny, który umiałby go wykorzystać. Mariaż mający oddać umiejętności Johna do dyspozycji kobiety potrafiącej prowadzić dom, który stawałby się coraz większy i wspanialszy z każdą przeprowadzką. Ojciec dobrze wybrał. Każdego roku John bogacił się, otrzymując wysoką płacę i rozwijając handel rzadkimi roślinami. Elizabeth prowadziła ich dom w Canterbury tak samo, jak przedtem nowy dom w Hatfield, a jeszcze wcześniej domek w Meopham - rozsądnie i uczciwie. Zarządzała plebanią i zagrodą Gertrudę i poradzi sobie z większymi domami, jakie jeszcze małżeństwo może jej zapewnić.

Ale ojcowie nigdy nie wzięli pod uwagę ich temperamentów, pragnień i uczuć. Zresztą w tym małżeństwie nie było miejsca dla takich emocji. Gdy „Merkury” odcumował i dwie łodzie wzięły go na hol, John, patrząc na oddalającą się Elizabeth, zrozumiał, że będzie musiała się pogodzić zarówno z rozczarowaniami, jak i z korzyściami, jakie przyniosło im małżeństwo. Zdał sobie sprawę, że będzie musiała uznać, iż jej mąż inwestuje pieniądze w dalekie wyprawy i że jest podróżnikiem. A kiedy on, John, wróci do domu, Elizabeth będzie musiała pogodzić się z faktem, że poślubiła człowieka, który nie może się oprzeć urokowi



zamorskich podróży. I że kiedy nadarzy mu się taka sposobność - zawsze wyruszy.

Śródziemnomorska podróż Johna zawiodła go do Malagi, gdzie „Merkury” przyłączył się do angielskiej floty szykującej się do ataku na Algier, a potem ruszył wraz z nią na Majorkę, by ponownie się zaprowiantować.

169

John poprosił, żeby pozwolono mu popłynąć na brzeg. Wszedł z łodzi ze swoją torbą i z łopatką; wrócił z pełną sakwą.

- Wyglądasz, jakbyś zamordował tuzin niewiernych - powiedział kapitan Pett, gdy Tradescant wrócił o zachodzie słońca zabłocony i uśmiechnięty.

- Nikt nie zginął - odparł - ale zdobyłem parę roślin, które mnie rozślawią.

- Co takiego masz? - zapytał leniwie kapitan. Nie był ogrodnikiem i pobłażliwie traktował entuzjazm Johna, którego obecność przynosiła mu same korzyści. Albowiem w ten sposób miał do dyspozycji spokojnego, doświadczonego podróżnika, który w razie potrzeby mógł dowodzić oddziałem żołnierzy.

- Spójrz na to - powiedział John, rozwiązując zabłoconą torbę na wyszorowanym pokładzie. - Gwiazdzista koniczyna, słodka, żółta wilżyna i, co to jest, jak ci się zdaje?

- Nie mam pojęcia.

- Drzewo granatu o podwójnych kwiatach - powiedział dumnie John, wyjmując mające niespełna stopę drzewko z torby. -

Potrzebuję natychmiast beczułki z ziemią, żeby je zasadzić.

- Czy ono w ogóle może rosnąć w Anglii? - zapytał ciekawie kapitan Pett.

Tradescant się uśmiechnął.

- Któż to może wiedzieć? - powiedział i kapitan nagle uświadomił sobie, jak wielka radość bije od jego tymczasowego, niezależnego oficera. - Któż to może wiedzieć? Hodujemy pewien gatunek w oranżeriach. Ten jest jednak znacznie delikatniejszy i piękniejszy. Ale będę musiał spróbować. A jeśli zwyciężę i będziemy mogli hodować dzikie drzewa granatu w Anglii, jakaż to będzie chwała

dla Boga! Albowiem każdy człowiek, gdy wejdzie do mojego ogrodu, może teraz obejrzeć rośliny, które aż do tej pory widział tylko odbywając dalekie podróże. Może też zobaczyć, że Bóg stworzył wszystko w takiej różnorodności, w takim wspaniałym bogactwie, że nie ma końca Jego chwały w tej obfitości. I nie ma końca mojej radości.

- Robisz to wszystko na chwałę bożą? - zapytał kapitan Pett, nieco oszołomiony.

170

John zastanawiał się chwilę.

- Chcę ci udzielić uczciwej odpowiedzi - powiedział powoli. - Czepiam się myśli, że robię to dla chwały bożej. Każda inna myśl byłaby herezją.

Kapitan Pett nie rozejrzał się wokoło, jak zrobiłby na lądzie. Był panem swojego statku i uważał, że na pokładzie obowiązuje wolność słowa.

- Herezją? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że albo Bóg stworzył dziesiątki, nawet setki roślin, które są prawie takie same i że bogactwo tej różnorodności jest czymś, co odzwierciedla Jego święte imię...

- Albo?

- Albo że to szaleństwo. Szaleństwem jest myśleć, że Bóg stworzył dziesiątki roślin, które są prawie takie same i różnią się bardzo mało. Każdy rozsądny człowiek mógłby pomyśleć, że Bóg ich nie stworzył. Że ziemia, którą się żywią, i woda, którą piją, jest trochę inna na różnych terenach i że to jedyny powód ich różnorodności. A jeśli to prawda, w takim razie zaprzeczam twierdzeniu, że wszystko na świecie zostało najpierw stworzone przez naszego Boga w raju, pracującego jak ogrodnik przez sześć dni i odpoczywającego w szabat. A jeśli temu zaprzeczam, jestem potępionym heretykiem.

Kapitan Pett zastanawiał się przez chwilę nad pokrętną logiką Tradescanta, a potem wybuchnął śmiechem i walnął swego rozmówcę w ramię.

- Wpadłeś w pułapkę! - zawołał. - Każda odmiana, którą

odkrywasz, każe ci wątpić, że Bóg mógł stworzyć to wszystko w raju przez sześć dni, a przecież sam twierdzisz, że chcesz pokazać te niezwykle różnorodne rośliny na chwałę Pana.

Tradescant cofnął się, słysząc głośny śmiech Petta.

-Tak.

Kapitan znów się roześmiał.

- Dziękuję Bogu, że jestem prostym człowiekiem -rzekł. -

Wszystko, co muszę zrobić, to złupić Algier i nauczyć berberyjskich piratów, że nie mogą zagrażać życiu angielskich marynarzy. Natomiast ty, Tradescant, idziesz przez życie, mając jedną tylko nadzieję, ale ciągle znajdując dowody, które jej przeczą.

171

Przez twarz Johna przemknął znajomy wyraz uporu.

- Pozostałem wierny - powiedział flegmatycznie - mojemu panu, mojemu królowi i mojemu Bogu. Dochowałem im wiary. I cztery rodzaje kolcowoju nie podważą mojej wiary w Boga, króla czy lorda.

Pett był optymistą i uważał, że powierzone mu zadanie da się wykonać z łatwością, że to zupełnie co innego niż kłopoty Johna. Jego okręt był częścią dobrze zaprowiantowanej, dobrze dowodzonej floty mającej konkretny plan działania. Kiedy przyplyną do Algieru, to właśnie pinasy będą patrolować drogi wodne, by uwięzić piratów w porcie.

Johna i innych dżentelmenów zwerbowanych na tę wyprawę wezwano do kajuty kapitana w dniu, kiedy cała angielska flota zgromadziła się i stanęła na kotwicy w odległości około mili od wybrzeża.

- Poślemy tam dwa brandery - oświadczył Pett. - Muszą podpalić zakotwiczone w porcie statki, by w ten sposób zniszczyć piracką flotę. Zasłonią też dymem całą zatokę, a my pod jego osłoną zaatakujemy fortyfikacje portowe. Takie jest nasze zadanie i wy będziecie mieli w tym swój udział, panowie.

Na stole leżała rozłożona mapa. Angielską flotę zaznaczono jako podwójną linię skupionych blisko białych chorągiewek z

wyraźnymi czerwonymi krzyżami. Korsarskie okręty ukazano jako czarny kwadrat.

- W którą stronę będzie wiał wiatr? - zapytał Tradescant.

- W stronę brzegu - odparł Pett. - Brandery, a potem dym będzie gryzł piratów w oczy.

- Czy mamy drabiny, żeby się wspiać na mury portowe? - zapytał ktoś.

Oficerowie skinęli głowami, Tradescant również.

- Czy każdy z panów zna ludzi, którymi ma dowodzić, i sprawdził ich ekwipunek? - upewnił się kapitan Pett.

Tradescant skinął głową i popatrzył wokoło, zastanawiając się, czy jeszcze komuś ściska żołądek mdlący strach, strach człowieka, który nigdy dotąd nie brał udziału w bitwie.

172

- A więc wykonajcie wasz obowiązek, panowie - zakończył kapitan. - Na chwałę Boga i króla Jakuba.

John pragnął, żeby atak rozpoczął się od razu, obawiał się bowiem, że zupełnie straci odwagę, jeśli będzie musiał zaczekać jeszcze chwilę. Stał wraz ze swoim oddziałem desantowym z boku pinasy i patrzył, jak brandery zmierzają w stronę wejścia do portu. Te dwie małe łodzie były wyładowane materiałami wybuchowymi i smołą. Każdą popychał jednym wiosłem ochotnik. Wioślarz miał podpłynąć przez lekko wzburzone wody ku wejściu do portu, a potem najbliżej, jak się odważy, do zakotwiczonej wrogiej floty, mimo że zagnane w pułapkę pirackie okręty prowadziły nieustanny ogień z muszkietów. Następnie powinien zapalić zwój nasmołowanej liny, która służyła jako lont, i pchnąć łódkę we właściwym kierunku, a potem skoczyć do morza i jak najszybciej wrócić do angielskich okrętów. Tymczasem brandery z tłącym się ładunkiem wybuchowym miały dopłynąć do nieprzyjacielskiej floty.

- Przynajmniej nie kazano mi tego robić - szepnął Tradescant żałośnie do siebie, obserwując maleńką łódkę zmierzającą ku wejściu do portu i widząc, jak ciężka kula armatnia uderzyła w wodę tuż obok branderu.

Łódka zakołysała się, głowa ochotnika była ledwie widoczna. Ujrzeni płonący lont, później szybki skok ochotnika do wody, a potem nic. Lont zgasł i usłyszeli szydercze okrzyki piratów, kiedy brander zakołysał się, uderzając o drewniane burty ich statków.

- Zrobiliśmy naszym wrogom prezent z prochu i materiałów wybuchowych - powiedział z wściekłością kapitan Pett. - Nie ruszać się wszyscy, nie będzie ataku. Dopiero z jutrzejszym przyplływem.

Tradescant spędził bezsenną noc, czując na wargach zimny smak strachu, a rankiem blady jak ściana stanął na czele swego oddziału. Sprawdził wszystkich. Mieli muszkiety w znakomitym stanie, gotowe do strzału, w dłoniach trzymali jaskrawo ubarwione lonty. Jeden z marynarzy niósł drabinkę i miał na głowie hełm, który Tradescant przywłaszczył sobie na Majorce. John z udaną odwagą powitał

173

oddział skinieniem głowy. Zaraz potem z irytacją spostrzegł, że jego podwładni powstrzymują się od uśmiezków; widać zauważyli, że jest blady, i zrozumieli dlaczego.

- Wszystko wkrótce się skończy, sir - powiedział wesoło jeden z nich. - I albo pan zginie, albo będzie bezpieczny w ciągu kilku minut.

- Dziękuję - odparł Tradescant, hamując gniew, i podszedł do burty, by popatrzeć, jak brandery wpływają do zatoki.

Znowu zawiodły, podobnie stało się też następnego dnia.

Czwartego dnia Tradescant, po obfitym śniadaniu, stojąc przy burcie i patrząc, jak brandery jeszcze raz podejmują próbę podpalenia korsarskiej floty, poczuł się równie swobodnie i nonszalancko, jak jego podwładni. Nuda i poczucie zawodu przegnały strach i teraz chciał, żeby bitwa się wreszcie rozpoczęła. Nie mógł dłużej znieść oczekiwania i irytacji, jaką czuł, kiedy wiatr cichł i brandery płonęły nieszkodliwie pośrodku zatoki, a potem wybuchały z głośnym hukiem przy akompaniamencie wesołych okrzyków piratów.

Świtało, nadchodził poranny przyplływ. Pogoda nareszcie im

sprzyjała, nad wodą zawisła gęsta mgła, która utrudni celowanie piratom, tak że będą musieli strzelać z muszkietów w szarą zasłonę. Wiał też silny wiatr od morza, który powinien zagnać brandery do portu.

- Ale na pewno nie będzie to atak z zaskoczenia -mruknął z niezadowoleniem Tradescant, stojąc przy burcie. Wiatr dmuchający wytrwale w stronę brzegu uniósł skrzydło jego kapelusza.

- Ale zasada jest słuszna - powiedział ktoś za nim. Tradescant pomyślał o swoim dawnym panu, który przedkładał zdrową praktykę ponad zasady, ale zachował milczenie. Wszyscy razem patrzyli, jak brandery podpływają ku wejściu do zatoki. Marynarze, którzy się zgłosili na ochotnika, zapalili lonty materiałów wybuchowych -skrecone liny zanurzone w smole. Nikt nie mógł dokładnie przewidzieć, jak długo będą się paliły. Odważny marynarz został na jednym z branderów, który mógł wybuchnąć w każdej chwili, żeby podprowadzić łódź jak najbliżej do nieprzyjacielskiej floty.

174

Zresztą obaj ochotnicy dobrze się spisali.

- Skaczcie! - mruknął pod nosem Tradescant, kiedy tamci przepłynęli przez wejście do portu i skierowali brandery w stronę nieprzyjacielskiej floty. Zaraz potem załogi angielskich okrętów zauważyły iskry przy beczkach z prochem. Następnie ukazały się dwa skaczące ciemne cienie, rozległy dwa pluśnięcia, a później ogłuszający huk, kiedy pierwsza łódź stanęła w płomieniach i podryfowała w stronę schwytych w pułapkę korsarskich jednostek.

Ale właśnie wtedy, kiedy powinna była się zderzyć z drewnianym okrętem nieprzyjaciela, wiatr nagle ucichł.

- Wiatr! - wrzasnął z bólem kapitan Pett. - Do diabła, co się stało z wiatrem?!

Była to tylko cisza przed burzą, ale wystarczyła, by pokrzyżować plany Anglików. Brandery wybuchły i spłonęły, tak jak powinny, dwie małe pływające pochodnie na ciemnych wodach algierskiego

portu. Pirackie statki nadal stały jednak bezpiecznie od zawietrznej. Ich załogi wyszły na pokład z długimi widelcami i udawały, że przypiekają słoninę na śniadanie, które zjedzą podczas ataku Anglików.

- Co teraz zrobimy? - zapytał ktoś. - Znów odpłyniemy?

- Dzisiaj atakujemy - odparł kapitan Pett. - Wykonujemy rozkazy. John poczuł, że jego stopy stały się dziwnie ciężkie. Nie miał co robić do chwili, gdy „Merkury” podpłył dostatecznie blisko do brzegu lub do jakiegoś nieprzyjacielskiego statku; wtedy poprowadzi swój oddział do szturmu.

- Nie będzie dymu - powiedział lakonicznie. - Nie będzie osłony. A oni są gotowi, czekają i są pewni siebie.

- Kazano mi atakować bez względu na sukces branderów - oświadczył kapitan Pett.

Rozkazał rozwinąć wszystkie żagle i „Merkury” ruszył powoli w stronę wejścia do portu. Wyprzedzała go jedna pinasa, druga płynęła za nim; wszyscy angielscy kapitanowie wypełniali rozkazy co do joty, chociaż szanse na zwycięski atak przy ciszy morskiej, kiedy brandery nie spełniły swego zadania, były nikłe. Tureckie działa, po mistrzowsku

175

obsługiwane z wysokich murów twierdzy, ostrzeliwały zbliżające się angielskie jednostki.

- Strzelają jak do kaczek - powiedział gniewnie John. „Merkury”, posłuszny rozkazom, płynął dalej.

- Boże, spraw, żeby Pett nie wysadził nas na brzeg i nie oczekiwał, że będziemy wdrapywać się na mury - mruknął Tradescant w zawiązaną na szyi chustę. Obejrzał się na swoich ludzi. Z ponurymi minami czekali, by ich poprowadził; przed nimi wznosiły się wysokie mury fortu z ostro zarysowanymi otworami strzelniczymi, gdzie tuzin strzelców z gotowymi muszkietami czekało, aż Anglicy znajdą się w polu ostrzału, widoczni wyraźnie na tle wody, która rozjaśniała się wraz ze świtem, i nieosłonięci ani przez mgłę, ani przez dym.

Kapitan Pett wpłynął do portu, posłuszny rozkazom co do joty, ale

miał przy sobie marynarza z teleskopem skierowanym na okręt flagowy w oczekiwaniu na sygnał. W końcu sygnałna chorągiewka załopotała niechętnie.

- Rozkaz odwrotu! -krzyknął majtek przy teleskopie.

- Odwrót! - wrzasnął kapitan Pett.

Natychmiast uderzono w bęben, a pozostałe trzy angielskie okręty zawróciły i skierowały się do wyjścia z portu, walcząc z przeciwnym wiatrem. Reszta floty przysłała pinasom łodzie, które wzięły je na hol. Było to haniebne zakończenie ataku, ale John chwycił linę i przywiązał ją z tak lekkim sercem, jakby był chłopcem. Żądę walki całkowicie wyparła głęboka tęsknota za bezpiecznym i wygodnym domem.

Elizabeth powitała męża nieco chłodno. Wprawdzie pomimo że wyruszył wbrew jej wyraźnemu sprzeciwowi, modliła się każdego wieczoru, aby wrócił bezpiecznie do domu i by mogli zacząć wszystko od nowa, jako przyjaciele i kochankowie. Lecz kiedy wszedł do domu w Canterbury, nawet niedrażniony, z ogorzałą, uśmiechniętą twarzą, zostawiwszy przed wejściem wózek z roślinami, jej dominującym uczuciem była irytacja.

John posłał wózek do ogrodu lorda Woottona z rozkazem, żeby rośliny wyładowano i podlano, i wszedł do domu, prosząc o kąpiel i spalenie jego bielizny w kuchennym palenisku.

176

- Jest zawszona - oświadczył. - Przez wiele dni byłem bliski szaleństwa.

Elizabeth nastawiła wodę, wyciągnęła wielką drewnianą balię i postawiła na kamiennej podłodze. John rozebrał się i zostawił odzież na podłodze w pobliżu drzwi.

- Chwała Bogu. Cieszę się, że jestem w domu - powiedział i uśmiechnął się do żony.

Nie odpowiedziała mu uśmiechem, nie objęła go i nie przytuliła twarzy do jego ciepłej, nagiej piersi. John nie wyciągnął do niej ramion. Bał się, że śmierdzi, wiedział też, że ma wszy we włosach i brodzie. Lecz jakże ucieszyłoby go namiętne lub choćby przyjazne powitanie. Nalewając gorącej wody do balii, Elizabeth



powitała go wyłącznie jak oddana żona; nie było to podniecające uczucie.

- Cieszę się, że wróciłeś bezpiecznie do domu - powiedziała spokojnie i postawiła na ogniu następny garnek z wodą.

John sprawdził temperaturę wody nogą, a potem wszedł do balii.

Elizabeth podała mu myjkę z ziół owiniętych w bawełnianą szmatkę i miskę z mulistym mydłem.

- Obawiałam się, że kiedy będziecie mijali hiszpańskie wybrzeże, mogą was ostrzelać - powiedziała. - Chodziły słuchy, że wasza flota wyruszy przeciwko Hiszpanii.

- Można by pomyśleć, że ucieszyłabyś się, widząc, jak strzelam z armaty prosto w samo serce papizmu - zauważył John, siedząc w pełnej mydlin wodzie i zmywając z karku słony brud kilkumiesięcznej podróży.

- Nie wtedy, gdyby odpowiedzieli wam ogniem - odparła. - A zresztą, myślałam, że macie walczyć z niewiernymi.

John oblał sobie wodą twarz i sapnął jak wieloryb.

- Otrzymaliśmy rozkazy, które można było odczytać tak, jak się chciało - wyjaśnił. - To nie ma dla mnie sensu. Kiedy ja zostawiam mój ogród na jakiś czas, mówię ogrodnikom: zajmijcie się tym, a kiedy to zakwitnie, zróbcie to i tamto. Nie mówię: osądźcie sami, zróbcie, co chcecie. Dzięki temu po powrocie do domu wiem, czy się spisali dobrze, czy źle, i oni również to wiedzą.

- A król? - zapytała Elizabeth.

177

John zniżył głos.

- Król wydał oficjalne rozkazy zaatakowania niewiernych i uwolnienia naszych biednych uwięzionych rodaków oraz tajne rozkazy zaatakowania Hiszpanii, a także ukryte w zalakowanych kopertach polecenia, które kazały im traktować Hiszpanię jako sojusznika.

Elizabeth pokręciła głową.

- To nieuczciwe - powiedziała stanowczo.

John uśmiechnął się jakby z na poły zapomnianego żartu.

- To praktyka, a nie zasada.

- To grzech.

John spojrział na nią w zamyśleniu.

- Jak widzę, masz niezachwianą pewność co do tego, co jest grzechem, a co nie, żono. Zamierzasz zostać kaznodzieją jak twój ojciec?

Ku jego zdumieniu nie wybuchnęła śmiechem i nie zaprzeczyła, jak zrobiłaby zaledwie kilka lat wcześniej.

- Czytuję teraz Biblię częściej i dokładniej niż przedtem - powiedziała. - Pewien bakałarz uczy mnie i kilka innych kobiet w środowie wieczory. To bardzo uczony i mądry człowiek. Teraz myślę o wszystkim zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy byłam młodą, szaloną dziewczyną.

John niezdarnie podkurczył kolana w drewnianej balii, żeby zanurzyć ramiona w mydlinach.

- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek sprawiała wrażenie szalonej - zauważył. - Zawsze uważałem cię za poważną, bogobojną kobietę.

Elizabeth skinęła głową i znów dostrzegł w niej nową powagę.

- Żyjemy w strasznych czasach - powiedziała. - Zaraza sroży się coraz bardziej każdej wiosny i nikt nie wie, gdzie uderzy. Krążą plotki, że król i dwór nie są posłuszni boskim przykazaniom i że Kościół nie protestuje z tego powodu.

John wyprostował się i wstał, wychlapując wodę na podłogę.

Elizabeth podała mu lniany ręcznik, który zarzucił sobie na ramiona. Umyślnie patrzyła w bok, jakby widok nagiego męża mógł ją przywieść do grzechu. Widząc, że żona odwraca głowę, John nie na żarty się zirytował.

178

- W tym domu nie powtarzamy plotek o królu - powiedział kategorycznie. A kiedy Elizabeth chciała się sprzeciwić, podniósł rękę. - To nie sprawa pobożności czy prawdy, Elizabeth. To lekcja, której się nauczyłem od mojego pana. Nie plotkujemy o królu. Gdyby nas podsłuchano, zapłacilibyśmy zbyt wysoką cenę. Bez względu na to, co czytasz na swoich lekcjach, myśl tylko o Biblii, a nie o królu Jakubie i jego dworze, bo inaczej już tam nie

pójdiesz.

Przez chwilę John miał wrażenie, że Elizabeth się sprzeciwi.

- Czy ten człowiek wygłasza kazania przeciwko władzy, którą Bóg dał mężom nad żonami? - zapytał John.

Spuściła oczy.

- Oczywiście, że nie.

John skinął głową, ukrywając zadowolenie.

- To dobrze.

- Wiesz, że zawsze pragnęłam tylko jednego: żebyś wracał do domu i go nie opuszczał - oświadczyła Elizabeth, ciągnąc wielką balię w stronę tylnych drzwi, żeby wylać wodę na podwórze. - Gdybyś był w domu, nie miałabym czasu chodzić na te spotkania.

John obrzucił ją ostrym spojrzeniem.

- Nie zrzucaj winy na mnie - rzekł. - Możesz chodzić wszędzie, dokąd prowadzi cię twoje sumienie, dopóki nie przywiedzie cię do zdrady lub do podważania władzy tych, którzy stoją wyżej od ciebie. Wszystkich, którzy stoją wyżej od ciebie. Ja jako twój mąż, mój pan nade mną, król nad nim, a Bóg nad królem.

Otworzyła szeroko drzwi, tak że chłodny wiatr smagnał nagie nogi Johna.

- Nigdy nie podważałabym władzy Boga - odparła.

- I nie podważałam władzy mężczyzn. Uważaj, żebyś się nie przeziębiał.

John odwrócił się nagle i poszedł do sypialni, żeby się ubrać.

Rozdział Dwudziesty Pierwszy.

1622.

Czy nie powinniśmy przesadzić tego kasztanowca? - spytał J ojca.

John oparł się na łopacie, obserwując swego czternastoletniego, niezgrabnego jak żreback syna przy pracy.

- Chyba staje się za duży na tę skrzynię - dodał J.

- Podarowałam go twojej matce, kiedy się pobraliśmy

- powiedział John, sięgając pamięcią wstecz. - Sir Robert i ja kupiliśmy ich tuzin... nie, pół tuzina. Pięć zasadziłem dla niego w Hatfield, a jeden dałem twojej matce. Hodowała go w doniczce w Meopham, a potem przesadziła do skrzyni, gdy pojechaliśmy do

Hatfield. Ty siedziałeś na koźle i byłeś tak mały, że nie sięgałeś nóżkami dyszla.

- Czy nie powinniśmy teraz go przesadzić? - zapytał J.

- Żeby mógł wypuścić długie korzenie?

- Sądzę, że tak - odparł John w zamyśleniu. - Ale możemy go zostawić jeszcze na rok. Zamierzam dokupić trochę ziemi na tyłach domu i powiększyć ogród, tak żebyśmy mogli patrzeć, jak się rozrasta. Człowiek, który mi go sprzedał, powiedział, że te kasztanowce z czasem dorównują wielkością dębom. W naszym ogródku nie ma dla niego miejsca, rozpostarłby się nad domem. A ja nie chciałbym posadzić go tutaj.

J omiótł wzrokiem wspaniały ogród lorda Woottona, szare mury i wysoką wieżę katedry w Canterbury.

- Dlaczego nie? Wyglądałby całkiem dobrze.

180

John potrząsnął głową.

- To z powodu twojej matki - powiedział łagodnie. - Dałem go jej wtedy, gdy po raz pierwszy się z nią kochałem. Ona rzadko tu przychodzi i nigdy by go nie widziała. To jej pamiątka. Musimy kupić dla niej większy dom z większym ogrodem, by mogła siedzieć pod tym kasztanowcem i kołysać na kolanach twoje dzieci.

J zarumienił się gwałtownie, jak młodzieniec wciąż jeszcze zbyt niewinny, żeby prowadzić tego typu rozmowy.

- Przez jakiś czas jeszcze nie będę miał dzieci - odparł burkliwie.

- Więc nie licz na to.

- Najpierw zapuść korzenie - poradził mu John. - Jak młody kasztanowiec twojej matki. Zrobimy sobie teraz przerwę na posiłek?

- Ja będę dalej pracował - powiedział J. - Chcę rzucić okiem na tę twoją hiszpańską cebulę. Już wkrótce powinna dobrze smakować.

- Będzie bardzo słodka, jeśli wyrośnie równie dobrze jak w swej ojczyźnie - wyjaśnił John. - Mieszkańcy Gibraltaru jedzą ją jak owoce. I przyjrzyj się melonom w inspektach, kiedy będziesz w ogrodzie warzywnym. Powinny już dojrzewać. Otul je słomą

dookoła i od spodu, żeby nie dopuścić ślimaków.

J skinął głową i ciężkim krokiem ruszył do ogrodu warzywnego. John rozłożył serwetkę na trawie i otworzył małą sakwę. Elizabeth dała im bochenek świeżo upieczonego chleba, kawałek sera i butelkę cienkiego piwa. Skórka chleba miała szary kolor - mąka była kiepska w tym roku - a ser wydawał się wodnisty. Nawet za duże pieniądze nie można było kupić dobrego jedzenia. Anglia cierpiała głód z powodu opłakanego stanu finansów i złych zbiorów. John skrzywił się lekko i ugryzł chleb.

- John Tradescant? - John podniósł oczy, ale nie wstał, chociaż stojący przed nim mężczyzna nosił wspaniałą liberię diuka Buckingham.

- Kto chce go widzieć?

- Sam diuk Buckingham\*.

\* George Villiers, diuk Buckingham (1592-1628), polityk angielski, faworyt Jakuba I i przyjaciel Karola II, wywierał znaczny wpływ na politykę zagraniczną Anglii.

181

John odłożył bochenek szarego chleba i wstał, strącając okruchy.

- Ja jestem John Tradescant - powiedział. - Czego jego książęca mość\* sobie życzy?

\* Diuk - tytuł równy książęcemu, nadawany osobom nie pochodzącym z rodu królewskiego.

- Masz się u niego stawić - powiedział rozkazująco przybyły. - Wzywa cię. Jest w New Hall w Chelmsford. Masz zaraz tam się udać.

- Moim panem jest lord Wootton... - zaczął John. Posłaniec diuka zaśmiał się pogardliwie.

- Twoim panem może być sam Jezus Chrystus, a mojego pana wcale to nie obchodzi - rzekł cicho.

John się cofnął.

- Nie musisz bluźnić.

- Muszę - upierał się nowo przybyły. - Ponieważ chyba nie rozumiesz, kto ci rozkazuje. Ponad moim panem jest tylko król. Jeżeli mój pan czegoś chce, wystarczy, że o to poprosi. A jeśli o to

prosi, otrzymuje to coś. Rozumiesz?

John pomyślał o uszmkowanym młodzieńcu w Theobalds, który siedział na kolanach króla Jakuba, o naszyjnikach zdobiących szyję królewskiego faworyta i pękatej sakiewce u jego pasa.

- Rozumiem dostatecznie dobrze - odparł sucho. - Chociaż od paru lat byłem z dala od dworu.

- A więc wiedz, że dla króla Jakuba liczy się tylko jeden człowiek na świecie - a jest nim mój pan, urodziwy diuk - powiedział tamten. Postąpił do przodu i zniżył głos. - Przyjaciele mojego diuka mogą robić wszystko, co tylko zechcą - truć, zdradzać, rozwodzić się! Wszystko to zrobili i nic im się nie stało! Nie słyszałeś o tym?

John przezornie pokręcił głową.

- Ani słowa.

- Lord Rochester zabrał żonę innemu mężczyźnie, nie komu innemu, tylko samemu hrabiemu Esseksowi. Ogłosili, że jest impotentem! Jak ci się to podoba?

- Wcale.

- Potem Rochester i jego nowa żona otruli sir Thomasa

Overbury'ego,

182

który chciał ich zdradzić. Ogłoszono, że ona jest czarownicą i trucicielką. Jak ci się to podoba?

- Nie bardziej.

- Uznano ją za winną, uwięziono i co się wtedy stało, jak myślisz?

John potrząsnął głową.

- Uniewinniono ją z dnia na dzień! - powiedział sługa z zadowoleniem. - Jeśli masz dostęp do królewskiego ucha, nic, co zrobisz, nie będzie złe.

- Król wie najlepiej - odparł lojalnie John, myśląc o swoim zmarłym panu, który radził mu, żeby być ślepym i głuchym, kiedy inni ludzie wypowiadają nieprawomyślne poglądy.

- A Rochester nic nie znaczył w porównaniu z moim panem. -

Sługa Buckinghamama jeszcze bardziej ściszył głos. - Rochester jest

dawnym faworytem, a mój pan - nowym. Rochester mógł mieć dostęp do królewskiego ucha, ale mój pan ma dostęp do wszystkich części jego ciała. Rozumiesz? Do wszystkich części królewskiego ciała!

John zachował kamienną twarz i nie uśmiechnął się z tego sprośnego żartu.

- Mój pan jest najpotężniejszy po królu - ciągnął posłaniec. - W całej Anglii król nie kocha nikogo tak, jak mojego pana, George'a Villiersa. A on zdecydował, że masz mu służyć. - Spojrzał na skromną kolację Johna. - Wybrał cię spośród wszystkich mieszkańców naszego królestwa!

- Jestem zaszczycony. Ale sądzę, że nie zostanę zwolniony z pracy tutaj.

Posłaniec pacnął Johna w twarz jakimś listem.

- To rozkazy jego książęcej mości. I królewska pieczęć. Masz robić, co ci każą.

John pogodził się z tym, co nieuniknione, i zawiązał w serwetkę zjedzoną do połowy kolację.

- I pamiętaj - ciągnął sługa Buckinghama tym samym chełpliwym tonem - że to, co diuk myśli dzisiaj, król myśli jutro, a książę pojutrze. Kiedy król umrze, jego następcami będą mój diuk i książę Karol. Jeśli zwiążesz swój los z gwiazdą mojego pana, czeka cię długa, wspaniała przyszłość.

183

John się uśmiechnął.

- Już przedtem pracowałem dla wielkiego człowieka - powiedział łagodnie. - I w wielkich ogrodach.

- Nigdy nie pracowałeś dla kogoś takiego jak on - oświadczył posłaniec. - I nigdy nawet nie widziałeś takiego człowieka jak ten. John czuł, że Elizabeth nie spodoba się przeprowadzka do domu w New Hall, rezydencji diuka Buckinghama w Chelmsford, i miał rację. Była zdecydowanie przeciwna porzuceniu służby u lorda Woottona i życiu w pobliżu niebezpiecznego splendoru dworu królewskiego. Lecz nie mieli wyboru. J przekazał ojcu zastrzeżenia matki, ale nic nie wskórał.

- Matka nie chce opuszczać tego domu i nie chce, żebyś znów pracował dla wielkiego pana - powiedział, zacinając się, jak zwykle onieśmielony. - Matka chce, żebyśmy żyli spokojnie, podoba się jej tutaj.

- Dlaczego więc sama ze mną nie porozmawia?

- Nie prosiła mnie, żebym ci o tym powiedział - odrzekł z zakłopotaniem J. - Myślałem, że może o tym nie wiesz.

Próbowałem pomóc.

John łagodnie położył rękę na szczupłym ramieniu syna.

- Wiem, czego się boi, ale nie mam większego wpływu na nasze miejsce zamieszkania niż twoja matka - wyjaśnił. - Bóg kazał jej iść za mną, a mnie Bóg polecił iść tam, dokąd rozkaże mój pan i król, który jest ponad nim. A mój pan, król i w takim razie również Bóg mówią, że muszę się udać do diuka Buckinghama w hrabstwie Essex. - Wzruszył ramionami. - Dlatego tam się udajemy.

- Nie wierzę, że Bóg chce, abyśmy żyli w pobliżu tego targowiska próżności i nieróbstwa - zaprotestował J.

John rzucił synowi surowe spojrzenie.

- Żaden człowiek nie może powiedzieć, czego Bóg chce, a czego nie, tylko kapłan lub król - odparł stanowczo. - Jeżeli Bóg mówi diukowi, który mówi lordowi Woottonowi, że jestem potrzebny w Essex, to mi wystarcza; uważam, że jest tak, jak gdyby Bóg wychylił się z nieba i sam mi to oznajmił. - Urwał. - I to powinno ci wystarczyć, J.

184

J odwrócił oczy, unikając stanowczego spojrzenia ojca.

- Tak, ojcze - odrzekł.

Rodzina Tradescantów spodziewała się, że New Hall wywrze na nich duże wrażenie. Diuk Buckingham kupił tę rezydencję, ponieważ znajdowała się w pobliżu Londynu, i zamierzał zabawić w niej króla w stylu godnym królewskiego faworyta.

Był to letni pałac Henryka VIII, który przechodził na dworze z rąk do rąk jako namacalny, budzący zazdrość dowód królewskiej łaski. Mówiono, że Buckingham zapłacił za niego majątek, a teraz



go burzy, żeby uczynić rezydencję jeszcze wspanialszą, pod kierunkiem Inigo Jonesa, który budował ogromne, szerokie marmurowe schody i piękne kamienne bramy.

Tradescantowie zajechali, jak sam król podczas swych częstych odwiedzin, na wielki podjazd, który zataczał pełne koło przed pałacem. Sam pałac był kwadratowy, z wysokimi wieżyczkami z każdej strony, i ogromną drewnianą bramą prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec, tak wysoką i szeroką, aby mogły się w niej minąć dwa powozy. New Hall zbudowano z pięknego kamienia, którego cała powierzchnia była rzeźbiona i karbowana jak marcepan na cieście, z trzema rzędami wykuszowych okien w inkrustowanych ścianach. Na każdym rogu stały wielkie wieże z cebulastymi kopułami, a flagi powiewały na masztach umieszczonych na ich szczycie. Wewnętrzny dziedziniec, ogromny jak szranki, wybrukowano kamieniami. Po wschodniej stronie znajdowała się wielka sala z wychodzącym na dziedziniec pięknym wykuszowym oknem. Po zachodniej mieściła się pałacowa kaplica z dzwonem na szczycie wieży.

Elizabeth spojrzała z ukosa na witraże w oknach olbrzymiej kaplicy, gdy wóz Tradescantów zatrzymał się na dziedzińcu.

Wyszła do nich służebna, niosąc tacę z kuflami piwa, ze stajni wyjrzał stajenny i oświadczył, że wskaże Tradescantom drogę do ich domku.

- Jego książęca mość powiedział, że mógłbyś zamieszkać w pałacu, jeśli zechcesz, pomyślał jednak, iż może będziesz wolał osobny dom, żeby pielęgnować rośliny w swoim własnym ogrodzie.

185

- Tak - odparła Elizabeth, zanim John zdążył cokolwiek powiedzieć. - Nie chcemy mieszkać w pałacu.

John spojrzał na nią z wyrzutem.

- Diuk jest bardzo łaskaw - odezwał się ostrożnie. - Będę potrzebował ogrodu dla siebie. Własny domek to doskonałe rozwiązanie. Proszę, wskaż nam drogę.

Wychylił kufel cienkusa i odstawił go na tacę, uśmiechając się do

służącej. J nadal siedział w tyle wozu, obejmując ramieniem cenny kasztanowiec i opierając drugą rękę na zasuwie; nawet nie spojrzał na śliczną dziewczynę, wbił wzrok w buty.

John westchnął. Nie wyobrażał sobie, że przeprowadzka będzie łatwa. Teraz jednak, kiedy Elizabeth wypatrywała papizmu i grzesznego zbytku w każdym zakamarku, a J okazywał maniery wiejskiego prostaka, pomyślał, że powrót do życia na dworze będzie rzeczywiście trudny i że żaden pan, choćby nie wiadomo jak łaskawy i potężny, nie załagodzi nieporozumień w jego małej rodzinie.

Domek okazał się pewnego rodzaju rekompensatą za opuszczenie Canterbury. Zbudowano go jako wiejską zagrodę i włączono do posiadłości New Hall, ponieważ każdy następny ambitny właściciel coraz bardziej ją powiększał i rozbudowywał. Był tak porządny, jak rodzinny dom Elizabeth w Meopham, piętrowy, z czterema sypialniami, sadem z tyłu i stajnią z boku, w której mogło się pomieścić dwanaście koni.

Elizabeth pogodzi się może z niewygodami przeprowadzki ze względu na ten dom, pomyślał John i czepiał się tej nadziei do chwili, gdy rozpakowali swój dobytek i zamknęli kotkę, żeby nie zginęła. Wtedy jednak sługa w liberii zastukał w otwarte frontowe okno i polecił Johnowi iść do jego książęcej gości do ogrodu. John włożył kaftan i poszedł za posłańcem w górę podjazdem w stronę pałacu.

- Jest w cisowej alei - powiedział mężczyzna, wskazując prawą stronę rezydencji. - Powiedział, że go tam znajdziesz.

- Jak go poznam? - zapytał John, ociągając się. Tamten popatrzył na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

186

- Poznasz jego książęcą gość od razu, w chwili gdy go zobaczysz. Bezbłędnie.

-Jak?

- Ponieważ jest najurodziwszym mężczyzną w całym królestwie - odparł otwarcie sługa. - Idź w stronę cisowej alei i kiedy zobaczysz mężczyznę pięknego jak anioł, to będzie diuk

Buckingham. Na pewno na niego trafisz i kiedy go zobaczysz, nigdy nie zapomnisz.

Johna nieco ubawiła przesada sługi. Bez słowa zwrócił się w stronę cisowej alei. Zanim wstąpił w jej cień, zdążył zauważyć, że jest zarośnięta i należy podciąć wierzchołki drzew, żeby pogrubić na dole ich korony. Zaskoczony zamrugął w mroku, który zalegał pod gęsto splecionymi konarami. Pod łukowato wygiętymi gałęziami było ciemno jak w nocy. Ziemię pokrywała gruba, miękka, nieusuwana od lat warstwa brązowych cisowych igieł. W tej mrocznej alei panowała niesamowita cisza; żaden ptak nie śpiewał w nieruchomych konarach wielkich cisów, nie przedzierało się przez nie słońce. Później oczy Johna przywykły do półmroku po oślepiającym blasku słońca i zobaczył George'a Villiersa, diuka Buckingham.

Początkowo widział jedynie sylwetkę smukłego mężczyzny około trzydziestki. Mężczyzna ten miał ciemne oczy i włosy, ubrany był jak księżę i obsypany brylantami. Oczy w urodziwej, ruchliwej twarzy ponad szeroką, obszytą koronkami krezą uśmiechały się przyjaźnie, choć krył się w nich złośliwy błysk, usta zaś wydawały się tak zmienne i wyzywające jak u pięknej kobiety. Jego blada cera lśniła w ciemności, jakby płomień oświetlał go od środka niczym lampion. A kiedy nieznajomy zobaczył idącego ku sobie Tradescanta, jego wargi rozchylił czarujący jak u dziecka uśmiech, tak pełen ufności i niewinny, jak gdyby ten mężczyzna przez całe życie znał tylko miłość. Nosił kubrak i pelerynę, zielone jak cisy, i przez chwilę John, przenosząc spojrzenie z drzew na diuka, pomyślał, że stoi przed nim elf - jakiś dziki, piękny leśny duch - i że jakimś cudem widzi drzewo, zmierzające ku niemu tanecznym krokiem i uśmiechające się do niego.

- Ach, oto mój John Tradescant! - zawołał Buckingham i w tym momencie Johnowi zrobiło się słabo i czuł,

187

że za chwilę upadnie. Pomyślał, że może dostał udaru słonecznego, jadąc przez cały dzień otwartym wozem.

Diuk uśmiechnął się do niego tak, jakby był jego bratem, jak

żywy anioł przynoszący radosne wieści. John nie uśmiechnął się na powitanie - nawet po latach pamiętał, że miał wrażenie, iż nie wita nowego pana, ale że zna go od dawna. Wydało mu się, iż spędzili razem całe życie i tylko przypadkiem aż do tej chwili byli rozłączeni. Gdyby ośmielił się wymówić na głos słowa, które kryły się w jego sercu, powiedziałby: „Och, to ty - nareszcie!”.

- Ty jesteś moim Johnem Tradescantem? - zapytał mężczyzna. John uklonił się nisko, a kiedy podniósł oczy, zabrakło mu tchu w piersi na widok olśniewającej urody diuka. Nawet stojąc nieruchomo, był pełen gracji jak tancerz.

- Tak - odparł po prostu. - Posłaliście po mnie i przybyłem, żeby wam służyć, wasza książęca mość.

- Wybacz mi! - powiedział szybko diuk. - Na pewno oderwano cię od pracy. Ale potrzebuję cię, panie Tradescant. Bardzo cię potrzebuję.

John zdał sobie sprawę, że się uśmiecha, patrząc w ruchliwą, urodziwą twarz mężczyzny.

- Zrobię, co będę mógł.

- To tutaj, to te ogrody - powiedział młody diuk. Ruszył pierwszy cisową aleją, mówiąc po drodze i uśmiechając się przez ramię do Johna, który szedł za nim. - Dom jest wyjątkowo piękny. To był letni pałacyk króla Henryka. Ale ogrody są bardzo zapuszczone. Kocham moje ogrody, panie Tradescant. Chcę, żebyś uczynił je pięknymi, ozdobił twoimi rzadkimi drzewami i kwiatami.

Widziałem Hatfield i zazdroszczę ci, że stworzyłeś taki piękny ogród! Czy możesz dokonać takiej samej magicznej sztuki tutaj?

- Hatfield powstawało przez wiele lat - odparł John powoli. - I hrabia Cecil wydał majątek na zakup nowych roślin.

- Ja też wydam majątek! - oświadczył beztrąsko Buckingham. - A raczej ty wydasz na to mój majątek. Zrobisz to, Johnie Tradescant? Zdobędę majątek, a ty go wydasz. Czy to korzystna umowa?

Pomimo wrodzonej ostrożności John zachichotał.

188

- Bardzo korzystna dla mnie, wasza książęca mość. Ale może

jednak powinniście uważać. Ogród może pochłonać mnóstwo pieniędzy, tak samo jak nawozu.

- Tu zawsze jest dużo jednego i drugiego - odrzekł szybko Buckingham. - Wystarczy, że pójdzie się w odpowiednie miejsce. John miał ochotę się rozeźmiać, ale się pohamował.

- Więc zrobisz to? - Buckingham zatrzymał się na końcu cisowej alei i spojrzał w stronę rezydencji. Wyglądała jak pałac z bajki w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca, zwieńczony blankami i wieżyczkami, osadzony pośród pięknego, żyznego, zielonego krajobrazu angielskiej wsi. - Założysz mi tu piękny ogród i jeszcze jeden w moim domu w Rutland.

John rozejrzał się wokoło. Ziemia wydawała się dobra, był stąd też otwarty widok na pałac, zwrócony na południe. Teren opadał szerokimi, pięknymi tarasami-stopniami w dół zbocza; w dole połyskiwał bagnisty staw, który można by przekształcić na wiele sposobów: w jezioro z wyspą, w fontannę lub w rzekę, po której można pływać łódką.

- Mogę stworzyć tutaj piękny ogród, panie - powiedział powoli. - Nie powinienem napotkać żadnych trudności w posadzeniu i wyhodowaniu tego, co zechcesz tu mieć.

Buckingham wziął Johna pod rękę.

- Pomarz razem ze mną - odezwał się zachęcająco. -Przejdź się ze mną i powiedz, co chciałbyś tu posadzić.

- Niewiele może wyrosnąć pod cisami - odparł Tradescant. - Ale odniosłem pewien sukces z roślinami sprowadzonymi z Turcji do Francji: z konwaliami. Mają małe, białe kwiatki, najbardziej filigranowe ze wszystkich, jakie widziałeś. Karbowane dzwoneczki podobne do przebiśniegów, ale mniejsze, wyglądają jak małe modele kwiatu z porcelany. Powiedziano mi, że pachną słodko jak róże, ale ostro jak cytryny. Mają prawdziwy zapach lilii. Będą rosły w wielkich, gęstych kępach, a ich białe kwiatki wyglądają jak gwiazdy na tle szerokich, zielonych liści.

- Co masz na myśli, mówiąc, że ci powiedziano, iż pachnie? Nie czujesz sam zapachu kwiatów? - zapytał Buckingham.

- Nie potrafię czuć zapachów - przyznał John. - To wielka niedogodność dla ogrodnika. Mój syn mówi mi, kiedy ziemia pachnie kwaśno lub kiedy cuchnie zgnilizną. Bez niego miałbym do dyspozycji tylko wzrok i dotyk.

Buckingham zatrzymał się i spojrzał na swojego ogrodnika.

- Jakaż to tragedia! - powiedział po prostu. - Dla mnie jedną z największych przyjemności jest zapach kwiatów. Cóż to za tragedia, że nie możesz go poczuć! Och! I woni tak wielu innych rzeczy! Dobrego sera, wina, zapachu czystej stajni wyłożonej słomą! Och, woni perfum na ciepłej skórze kobiety lub zapachu potu, kiedy jest jej gorąco! I dymu tytoniowego! Och, Johnie, jakaż to wielka strata!

Słyszając te pełne przejęcia słowa, Tradescant uśmiechnął się lekko.

- Nie odczuwam tego braku, ponieważ nigdy tego wszystkiego nie znałem - odparł. - Ale chciałbym móc powąchać różę.

Buckingham potrząsnął głową.

- Ja też chciałbym, żebyś powąchał jakąś różę, Johnie.

Współczuję ci.

Uszli razem jeszcze kilka kroków.

- A teraz - podjął Buckingham. - Co zrobiłbyś tutaj? Teren pod nimi opadał do bagnistej niecki na samym dole łąki. Na ich oczach stado krów przeszło przez błoto i wodę, mącąc je aż do dna.

- Trzeba usunąć stąd krowy, wasza książęca mość - powiedział John stanowczo.

Buckingham wybuchnął śmiechem.

- Powinienem był sam o tym pomyśleć! Muszę cię wynająć, żebyś mi powiedział, iż trzeba naprawić płot?

- Najpierw trzeba usunąć krowy, panie - ciągnął John. - A potem stworzyć z tej wody jezioro. Może jezioro z liliami wodnymi? Z jednej strony będzie ogród pełen roślin, które lubią wilgoć.

Trzciny, sitowie, irysy i jaskry. Z drugiej zaś duża fontanna. W Hatfield mieliśmy duży posąg ustawiony na głazie. To było piękne. A może wodotrysk? Fontanna, wyrzucająca wodę łukiem, pod którym mogą przepływać łódki? Lub łuk wodny przerzucony

nad dróżką?

190

A może nawet z jednego brzegu jeziora na drugi, a pod nim mógłby przebiegać most. Buckingham się rozpromienił.

- I jedną z tych zabawek, które opryskują ludzi, kiedy się do nich zbliżają! - wykrzyknął. - Chciałbym też mieć mały pagórek, może na środku tego jeziora!

- Wyspę - zaproponował John. - Gęsto obsadzoną drzewami, z wijącą się aleją na szczyt. Może drzewami wiśni rozpiętymi na kratach, żeby były gęste i cieniste. Mam kilka nowych, wspaniałych drzew wiśniowych. A może nawet jabłoniami i gruszami. Wprawdzie potrzebują trochę czasu, by się przyjąć, ale pięknie wyglądają na wiosnę podczas kwitnienia, a pod koniec lata miło spacerować pod ich gałęziami obciążonymi owocem. Moglibyśmy przepleść je dzikimi różami i różami rdzawymi, które pięłyby się i zwieszały kwiaty wśród drzew. Moglibyście popłynąć łódką do swojej wyspy i wędrować wśród róż i owoców.

- A gdzie urządziłbyś partery węzłowe? - zapytał Buckingham. - Poza jeziorem?

John pokręcił głową.

- W pobliżu pałacu - odparł stanowczo. - Ale musicie mi pokazać wasze ulubione okno, panie. Założyłbym ogród, który prowadzi wzrok w dół, właśnie do parteru węzłowego, mały labirynt, który przyciągałby oczy, z kamieniami i drobnymi roślinkami o jasnych liściach oraz ziołami. Ogród, który pomógłby wam w rozmyślaniach.

- I sad otoczony krytą aleją, i pokryte darnią ławki w każdym rogu. Muszę mieć sad! Z wielkimi, owocującymi drzewami, które chylą się nisko ku ziemi. Gdzie możemy dostać szybko rosnące drzewa owocowe?

- Posadzę małe drzewka, a one będą rosły. Ale to wymaga czasu - ostrzegł go John.

- Ale ja chcę to wszystko mieć teraz! - upierał się Buckingham. - Na pewno muszą być drzewa, które będą szybko rosły, lub drzewa, które możemy kupić już wyrosnięte? Chcę mieć je zaraz!

John potrząsnął głową.

- Możecie rozkazywać każdemu człowiekowi w Anglii, panie - wyjaśnił łagodnie. - Nie można jednak sprawić,

191

żeby ogród urósł od razu. Będziecie musieli nauczyć się cierpliwości, milordzie.

Cień przemknął przez twarz Buckinghama, cień zniecierpliwienia.

- Na Boga! - zawołał. - To równie złe jak Hiszpanie! Czy wszystko, czego pragnę, będzie przybywało tak powoli, że kiedy do mnie dotrze, będę miał dość oczekiwania? I mam się zestarzeć i zmęczyć, zanim moje życzenia się spełnią? Czy mam umrzeć, zanim moje plany zostaną wykonane?

John nic nie powiedział, stał nieruchomo i czekał, aż Buckingham uspokoi się po wybuchu. W końcu diuk zrozumiał, jak wartościowym człowiekiem jest John Tradescant, przystanął, odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Będiesz moim sumieniem, Johnie! - wykrzyknął. - Strażnikiem mojej duszy. Uprawiałeś ogród dla Cecila, prawda? I wszyscy opowiadają, że kiedy ktoś chciał się spotkać z Cecilem, musiał go poszukać w ogrodzie. Że najczęściej siedział na ławce w parterze węzłowym i rozmawiał ze swoim ogrodnikiem.

John skinął głową z powagą.

- Mówi się, że był największym z polityków, jacy kiedykolwiek żyli w naszym kraju, i że twoje ogrody były dlań największą radością i pociechą.

Tradescant uklonił się i odwrócił wzrok, tak by nowy pan o zmiennych nastrojach nie zauważył jego wzruszenia.

- Kiedy ulegnę pokusie i zechcę przejść samego siebie w moim ogrodzie lub w wielkich, dzikich puszczech, jakimi są europejskie dwory, przypomnij mi, że nie zawsze mogę mieć to, co zechcę.

Nie da się rozkazać ogrodomi, by rósł - powiedział pokornie Buckingham. - Możesz mi przypomnieć, że nawet wielki Cecil musiał poczekać na to, czego pragnął, bez względu na to, czy była to roślina, czy posunięcie polityczne.

John pokręcił głową, nie zgadzając się z tymi słowami.



- Mogę tylko uprawiać ogród, panie - odparł cicho. - To wszystko, co robiłem dla hrabiego Cecila. Nie mogę zrobić nic więcej.

192

Przez chwilę myślał, że Buckingham będzie się spierał i domagał czegoś więcej. Ale młody diuk po chwili uśmiechnął się, objął go ramieniem i ruszyli z powrotem do domu.

- Na razie pracuj w ogrodzie, a kiedy nabierzesz do mnie zaufania i poznasz mnie lepiej, zostaniesz moim przyjacielem i doradcą, tak jak u Roberta Cecila - oświadczył. - Sprawisz, że mój ogród będzie rósł, prawda, Johnie? Zrobisz dla mnie wszystko, co tylko będziesz mógł, żeby rósł jak najszybciej, nawet jeśli jestem niecierpliwy i nie mam o niczym pojęcia?

Tradescant odpowiedział uśmiechem na uśmiech nowego pana.

- Mogę to zrobić. I tutejszy ogród będzie rósł tak szybko, jak to możliwe, panie. I wszystko w nim będzie tak, jak sobie życzy. John rozpoczął pracę tego popołudnia, udając się do Chelmsford w poszukiwaniu robotników, którzy postawiliby płot wokół ogrodu, zagradzając drogę krowom, wykopali jezioro i zbudowali mur otaczający ogród warzywny. Wziął konia ze stajni i objechał wielkim kręgiem całą posiadłość, zaglądając na sąsiednie farmy, sprawdzając, jakie drzewa mają w swoich sadach wieśniacy i jakie będzie mógł kupić i od razu przesadzić.

Buckingham nie dbał o koszty.

- Po prostu zamów to, Johnie - polecił. - A jeśli są moimi dzierżawcami, każ im dać to, co chcesz, a oni mogą to sobie odliczyć od czynszu kwartalnego.

John uklonił się, ale uznał za konieczne odwiedzić zarządcę majątku, który urzędował przy biurku w imponującej komnacie w samym środku wielkiego domu.

- Jego książęca mość kazał mi kupić drzewa i rośliny od dzierżawców i powiedzieć im, że mogą odliczyć koszty od czynszu kwartalnego - zaczął Tradescant.

Zarządca podniósł wzrok znad ksiąg gospodarskich. - Co?

- Kazał mi kupować od dzierżawców - zaczął znów

John.

- Słyszałem, co powiedziałeś - odparł gniewnie zarządca.

193

- Ale jak mam się dowiedzieć, co zostało kupione lub sprzedane? I jak mam kierować tym domem, jeżeli należności będzie potrącać się z czynszów, zanim jeszcze zostaną zapłacone? John się zawahał.

- Przyszedłem, żeby zapytać, jak to powinno się robić. Czy masz listę dzierżawców?

- Mam listę dzierżawców, mam wykaz czynszów, mam listę wydatków. Ale nikt nie chce mi powiedzieć, jak mam sprawić, żeby ta pierwsza zgadzała się z drugą i trzecią.

John urwał na chwilę, żeby ocenić rozmówcę.

- Jestem tu nowy - zaczął ostrożnie. - Nie chcę ci utrudniać pracy. Muszę kupić drzewa i rośliny do ogrodów jego książęcej mości. A on rozkazał mi kupować to wszystko od dzierżawców i dopilnować, żeby sobie odliczyli od czynszu koszty tych zakupów. Zarządca zdał sobie sprawę z sumienności Tradescanta.

- Tak - powiedział spokojnie. - Ale pieniądze z czynszów już zostały wydane, подарowane notarialnie lub obiecane. Nie można nic z nich odliczać.

Zapadło krótkie milczenie.

- W takim razie co mam zrobić? - zapytał uprzejmie John. - Mam wrócić do diuka i powiedzieć mu, że tego nie da się zrobić?

- A zrobiłbyś to? - zapytał zarządca. John się uśmiechnął.

- Oczywiście. A cóż jeszcze mógłbym uczynić?

- Nie boisz się przynosić złych wieści swemu nowemu panu, najpotężniejszemu w całym królestwie?

- Już kiedyś pracowałem dla wielkiego pana - oznajmił John. - Bez względu na to, czy nowiny są złe, czy dobre, przekonałem się, że najlepiej jest po prostu wyjaśnić mu, co jest nie w porządku. Jeżeli ten człowiek jest na tyle głupi, by karać posłańców, nigdy nie otrzyma żadnych wieści.

Zarządca roześmiał się hałaśliwie i wyciągnął rękę do ogrodnika.

- Jestem William Ward. I cieszę się, że cię poznałem, panie

Tradescant.

John uściskał jego dłoń.

194

- Długo służysz jego książęcej mości? - zapytał. Ten skinął głową.

-Tak.

- Czy jego sprawy źle stoją?

- Jest najbogatszym człowiekiem w kraju - odparł William Ward.

- Niedawno poślubił dziedziczkę wielkiej fortuny i ma do dyspozycji majątek króla.

- Dlaczego więc...?

- Jest też najbardziej rozrzutnym człowiekiem. I najbardziej nieobliczalnym. Czy wiesz, jak zalecał się do tej dziedziczki?

John spojrział na zamknięte drzwi za nimi i potrząsnął głową.

- Wpadł w oko tej młodej damie - w czym nie było nic dziwnego.

-Tradescant pomyślał o uśmiechu Buckinghama i o sposobie, w jaki diuk, śmiejąc się, odrzucił głowę do tyłu.

- Nic dziwnego - przytaknął.

- Ale kiedy poszedł do jej ojca, tamten odmówił. I znów nie było w tym nic dziwnego.

John przypomniał sobie plotki głoszące, że Buckingham jest człowiekiem króla w takim sensie, jakiego ludzie rozsądni nie roztrząsają.

- Nie wiem - rzekł dobitnie.

- Nie było w tym nic dziwnego dla tych z nas, którzy widzieli króla podczas jego odwiedzin w New Hall - wyjaśnił otwarcie zarządca. -Więc co zrobił mój pan?

Tradescant pokręcił głową.

- Byłem daleko stąd, a w Canterbury nie słuchamy plotek. W każdym razie ja rzadko to czynię.

Zarządca wybuchnął gromkim śmiechem.

- No cóż, posłuchaj tej. Buckingham zaprasza lady Kate do domu swojej matki na kolację, a po kolacji nie pozwalają pannie wezwać powozu. Nie pozwalają jej wrócić do domu! Sama matka Buckinghama zatrzymuje dziewczynę na noc. W ten sposób narażają na szwank reputację lady Kate. Jej ojciec cieszy się, że w

ogóle może wydać ją za męża, przyjmuje propozycję diuka i w dodatku musi szczerze zapłacić za przywilej okrycia jej hańbą. Tradescant otworzył usta ze zdumienia.

195

- On tak postąpił? William Ward skinął głową.

- Z damą?

- Tak. Masz teraz pewne pojęcie, co może zrobić i na co mu się pozwala. Możesz też wyrobić sobie opinię o jego zuchwalstwie. John szybko zrobił dwa kroki do przodu i wyjrzał przez okno. Niemal natychmiast opuścił go niepokój, jaki budziła w nim nowa praca u szaleńczo impulsywnego młodego dostojnika. Widział miejsce, gdzie będzie się znajdował ogród warzywny, a zamierzał wybudować pusty w środku mur, pierwszy tego rodzaju w Anglii, i ogrzewać jego wnętrze jak kominek. Mur ten ogrzeje rosnące przy nim drzewa owocowe i sprawi, że wcześniej zaczną wypuszczać pączki. Potrząsnął głową, patrząc na to obiecujące miejsce, i wrócił myślą do nowego pana.

- Czy jego żona jest nieszczęśliwa? - zapytał. William Ward przez chwilę patrzył na niego z niedowierzaniem, a potem ryknął śmiechem.

- Widziałeś mojego pana. Myślisz, że jego żona mogłaby być nieszczęśliwa?

John wzruszył ramionami.

- Któż może wiedzieć, czego pragnie kobieta?

- Pragnie natarczywych zalotów, namiętności w łożu i otrzymuje to wszystko od naszego pana. Chce wiedzieć, że on kocha ją ponad wszystko na świecie i że w całej Anglii nie ma drugiej kobiety, która mogłaby powiedzieć, iż jej mąż zaryzykował wszystko, by ją mieć.

- A król? - pytał dalej Tradescant, szukając klucza do tego wszystkiego.

Zarządca uśmiechnął się lekko.

- Król trzyma tych dwoje tak, jak niżsi rangą dworzanie trzymają papużki faliste w klatce, dla przyjemności oglądania ich szczęścia. A zresztą kiedy chce mieć Buckinghama tylko dla siebie,

wystarczy, że kiwnie palcem i nasz pan idzie do niego. Jego żona wie, że on musi iść, więc się uśmiecha i żegna się z nim.

Ward zamilkł. John znów spojrział przez okno na park, który rozciągał się aż po horyzont. To płaska okolica, pomyślał, w zimie wieje tu mroźny wiatr.

196

- A więc tak - podsumował powoli. - Mam nowego pana, który jest rozrzutnym i nieobliczalnym człowiekiem, który łamie ludzkie serca i nikogo nie szanuje.

Zarządca skinął głową.

- I każdy z nas oddałby za niego życie.

John podniósł nań oczy z zaskoczeniem. Mężczyzna się uśmiechał.

- Tak - rzekł. - W tej posiadłości nie ma człowieka, który by się nie zgodził głodować, żeby nasz pan mógł się ubierać w te swoje jedwabie i aksamity. Sam zobaczysz. A teraz idź i kupuj drzewa.

Za każdym razem, kiedy ustalisz cenę, zapisz nazwisko dzierżawcy i sumę, jaka mu się należy. I powiedz im, że to ja - ja, a nie oni - obliczę różnicę w wysokości czynszów i odejmę ją w następnym kwartale. Przynieś mi tę listę, kiedy skończysz. -

Urwał na chwilę. - Chyba że odstręczyłem cię od naszego pana i chcesz wrócić do Canterbury? - zapytał. - On jest tak nieobliczalny, jak mówię, i tak rozrzutny, jak mówię, i tak bogaty, jak mówię. Ma w jednym palcu większą władzę niż ktokolwiek inny w tym kraju i prawdopodobnie dotyczy to również króla.

John poczuł, że powraca na swoje miejsce w samym środku świata, służąc panu, który służy swemu krajowi, człowiekowi, o którego czynach rozmawiano we wszystkich angielskich piwiarniach.

- Zostanę tutaj - oznajmił. - Mam tu dużo do zrobienia.

Rozdział Dwudziesty Drugi.

1623.

John i J ciężko pracowali przez całą zimę, układając plany i wytyczając kołkami kontury parterów węzłowych, tarasów i miejsca, gdzie staną pokryte darnią ławki w nowym ogrodzie ich

pana. Musieli poczekać z większością prac do wiosny, kiedy ziemia dostatecznie zmięknie, by mogli kopać. Ale John miał już małą szkółkę drzew, czekających, aż ziemia się ogrzeje i będzie można je posadzić. Na każdym umieścił etykietkę z oznaczeniem jego miejsca i kawałka ziemi, gdzie miało rosnąć. Dla robotników, którzy nie umieli ani czytać, ani pisać, J wprowadził system kolorowych kropek. Musieli dopasować etykietkę z trzema czerwonymi kropkami do skrawka ziemi oznaczonego w taki sam sposób. Albo zielonymi czy żółtymi kropkami.

- To prawdziwy szyfr - powiedział John do syna z podziwem.

- To szaleństwo - odrzekł J bez ogródek. - Wszyscy powinni nauczyć się czytać już w dzieciństwie. Jak inaczej będą w stanie zrozumieć Biblię? Jak inaczej będą mogli pracować?

- Nie wszyscy jesteśmy tak uczeni jak ty - odparł łagodnie John. Nagle J oblał się rumieńcem wstydu, co mu się często zdarzało.

- Wcale nie jestem uczony - burknął. - Nie udaję,

198

że jestem. Nie jestem od nikogo lepszy. Ale uważam, że wszyscy ludzie powinni się uczyć czytać i pisać, żeby móc czytać Biblię i myśleć samodzielnie.

Rozpoczęto już pracę nad ogrzewanym murem zgodnie z planem Johna. Oznaczono miejsce i wykopano fundamenty pod ściankę zewnętrzną. Cały ogród zamierzano

otoczyć podwójnym ogrodzeniem z ciemnoczerwonej cegły, w środku Tradescant chciał zbudować trzy jednakowe paleniska, jedno nad drugim, gdzie będzie można spalać węgiel drzewny, aby dym rozchodził się wewnątrz całego muru, aż każda cegła stanie się ciepła w dotyku. Rabaty w ogrodzie nie miały być okolone żywopłotem zgodnie z dotychczasową modą. John chciał je podnieść w niewidziany dotąd sposób: otoczyć ceglany murkami i wypełnić przesianą ziemią i kompostem. Kazał nawet zrzucić na uboczu kupę nawozu ze stajni, który miał gnić, a potem być przewracany co miesiąc. - Nie chcę, żeby był całkiem świeży i wnosił korzenie zielska do mojego ogrodu - wytłumaczył synowi i pozostałym ogrodnikom zajmującym się warzywami. - Chcę,

żeby ziemia na tych klombach była wolna od chwastów i kamieni. Chcę, żeby ten ogród miał ziemię tak żyzną i tak miękką, abym mógł położyć na niej sadzonkę truskawki i zostawić ją tam, by sama wypuściła korzenie. Rozumiecie?

Sarkali za jego plecami, ale skinęli głowami dla zachowania pozorów i wcisnęli czapki na oczy. John stał się już szeroko znany jako jeden z największych ogrodników i praca pod jego kierownictwem była zaszczytem - mimo podwyższonych rabat, mieszanego nawozu czy pustych w środku murów.

Po uroczystościach bożonarodzeniowych w pałacu panował spokój; diuk wrócił z dworu królewskiego w styczniu i przebywał w domu ze swoją żoną Kate. Jego matka miała przybyć kilka miesięcy później. Tradescant, okrążając dziedziniec przed stajnią w poszukiwaniu zrywającego zielsko chłopca, z zaskoczeniem ujrzał niezwykle pięknego konia krwi arabskiej, którego właśnie wyprowadzano z boksu, i należącego do Buckinghama rumaka do polowań, który uderzał kopytami o bruk dziedzińca. Oba były osiodłane i gotowe do drogi.

199

- Czyj to koń? - zapytał John jakiegoś stajennego, a ten tylko mrugnął w odpowiedzi. - Gamoń - powiedział lakonicznie Tradescant, podniósł motykę i poszedł do sadu.

Tego popołudnia, kiedy wytyczał nową aleję, którą pragnął obsadzić lipami, a która miała prowadzić od drogi do Chelmsford do pałacu, usłyszał nagle tętent kopyt na podjeździe i zobaczył dwóch obcych mężczyzn na znajomych wierzchowcach.

Zastąpił im drogę.

- Kim jesteście? I co tutaj robicie? To dom mojego pana.

- Przepuść mnie, Johnie - powiedział jeden z jeźdźców znajomym głosem. Pochylił się i zdjął kapelusz. Ciemne oczy Buckinghama spojrzały na Johna, a zaraz potem usłyszał znajomy, niepohamowany śmiech.

- Oszukałem cię! - zawołał triumfująco diuk. - Ależ cię oszukałem!

John wpatrywał się w twarz swojego pana, ukrytą pod fałszywą brodą i szalem.

- Panie... - Zerknął na drugiego jeźdźca i, wstrząśnięty do głębi, rozpoznał w nim młodego księcia, którego ostatni raz widział, gdy ten pochlipywał, próbując dogonić starszego brata. Ale teraz ten młodzieniec był następcą tronu, księciem Karolem. - Dobry Boże! Wasza książęca wysokość!

- Jak myślisz, przejedziemy? - zapytał z radością Buckingham. - Ja jestem John Smith, a to mój brat Thomas. Jak myślisz, przejedziemy?

- O, tak - odparł John. - Ale co zamierzacie, milordzie? Jedziecie na dziewczki?

Słyszając to, Buckingham roześmiał się gromko.

- Po najwspanialszą dziewczkę na świecie - szepnął. - Jedziemy do Hiszpanii, zamierzamy ożenić jego wysokość z hiszpańską infantką! Co o tym sądzisz?

John osłupiał na chwilę i nie mógł wykrztusić ani słowa. Potem chwycił wodze rumaka diuka tuż przy wędzidle.

- Zostańcie, panie! - zawołał. - Nie możecie tego zrobić!

- Rozkazujesz mi? - zapytał uprzejmie Buckingham. - Zostaw mojego konia, Tradescant.

John wzdrygnął się, ale nie puścił wodzów.

200

- Proszę was, panie - powiedział. - Zaczekajcie. Zastanówcie się nad tym. Dlaczego jedziecie w przebraniu?

- Dla przygody! - zawołał wesoło Buckingham.

- No, Thomasie! - odezwał się książę Karol. - A może jesteście Johnem? A ja Thomasem?

- Błagam was, panie - powiedział nagłym tonem John. - Nie możecie tak pojechać. Nie możecie tak zabrać księcia.

Książęcy koń grzebnął kopytem.

- Ruszajmy! - powiedział następcą tronu.

- Proszę o wybaczenie! - Tradescant spojrział na niego. - Może wasza wysokość się nie zastanowił. Nie możecie pojechać do Francji tak, jakby to była wschodnia Anglia, wasza wysokość. A



jeśli was zatrzymają? A jeżeli Hiszpanie nie pozwolą wam odjechać?

- Bzdura - odparł krótko książę Karol. - Ruszajmy, Villiers.

Koń Buckinghama skoczył do przodu, ciągnąc Johna, który nie puścił wodzy.

- Panie - spróbował znowu. - Czy król o tym wie? A jeśli zwróci się przeciw wam?

Buckingham pochylił się nisko nad szyją wierzchowca, tak by móc szepnąć do Tradescanta:

- Pozwól mi odjechać, Johnie. To moje zadanie. Jeżeli ożenię księcia z infantką, dokonam czegoś, co jeszcze nikomu się nie udało - uczynię Hiszpanię naszym sojusznikiem, zawrę największe przymierze w Europie, a sam stanę się największym swatem, jaki kiedykolwiek żył na świecie. Ale nawet jeśli mi się to nie uda, wtedy książę i ja będziemy jak bracia i zostaniemy braćmi aż po grób. W obu wypadkach mam zapewnione miejsce u jego boku. A teraz puść wodze. Muszę jechać.

- Macie pieniądze, prowiant i zapasową odzież? Buckingham roześmiał się głośno.

- Johnie, mój Johnie, następnym razem ty dokonasz dla mnie wyboru. Ale teraz muszę jechać!

Spiął ostrogami konia, który podniósł łeb i ruszył z kopyta.

Rumak księcia Karola skoczył za nim, podnosząc obłok kurzu, który oślepił Johna, i obaj odjechali cwałem.

201

- Niech Bóg ma ich w swej opiece - powiedział Tradescant, patrząc za nimi. Jego nowy pan i książę, którego znał jako samotnego, nieporadnego chłopca. - Boże, błagam, zatrzymaj ich w Dover.

Elizabeth od razu zauważyła, że coś się stało, kiedy John wrócił o zmroku na kolację i nic nie mówiąc, siedział wpatrzony w talerz. Dlatego gdy tylko J skończył jeść, skinieniem głowy wysłała go z izby, a potem usiadła obok męża na ławie i położyła dłoń na jego ręce.

- Co się stało? Potrząsnął głową.

- Nie mogę ci powiedzieć. - Spojrzał na jej zmartwioną twarz. - Nie chodzi o mnie, moja droga. Nie chodzi o J ani o ogród. Ale nie mogę ci powiedzieć. To tajemnica i nie moja. Nie mogę nikomu o tym powiedzieć.

- W takim razie chodzi o diuka - orzekła po prostu. -Zrobił coś złego.

Na widok smutnej miny męża zrozumiała, że jej przypuszczenie jest słuszne.

- Co zrobił? - nie ustępowała. Znów potrząsnął głową.

- Boże, błagam, żeby to nie skończyło się źle. Boże, błagam, żeby nic się nie stało.

- Czy on jest w domu? John pokręcił głową.

- Pojechał do Londynu? Pojechał do króla?

- Pojechał do Hiszpanii - szepnął cichutko. Elizabeth drgnęła, jakby ją uszczypnął.

- Do Hiszpanii?!

Obrzucił ją szybkim, niespokojnym spojrzeniem.

- Nie mogę nic więcej powiedzieć - oświadczył kategorycznie.

Podeszła do ognia i wsunęła pogrzebacz w rozżarzone węgle. John zobaczył, że jej usta poruszają się w cichej modlitwie. Dla Elizabeth podróż do Hiszpanii była czymś tak okropnym jak wyprawa do piekła. Przecież Hiszpania to serce katolicyzmu, ojczyzna antychrysta, z którym wszyscy dobrzy protestanci muszą walczyć od urodzenia aż do śmierci. Ze względu na cel podróży Buckinghama Elizabeth

202

natychmiast potępiła młodego diuka. Musi być złym człowiekiem, jeżeli postanowił pojechać do Hiszpanii.

John zamknął na chwilę oczy. Nie mógł sobie wyobrazić, jaka kara czekałaby jego pana, gdyby Elizabeth i setki, tysiące podobnych do niej pobożnych mężczyzn i kobiet dowiedziało się, że zamierza on przywieźć hiszpańską księżniczkę, by została królową Anglii. Elizabeth wyprostowała się i zawiesiła pogrzebacz na haku obok kominka.

- Powinniśmy stąd wyjechać - oświadczyła nagle.

- Co? - John otworzył oczy i zamrugał ze zdumienia.
  - Powinniśmy wyjechać teraz, zaraz.
  - O czym ty mówisz? Dopiero co tu przyjechaliśmy. Podeszła do męża, ujęła jego rękę i przytuliła do ust, a potem przyłożyła do serca, jakby składała przysięgę. Czuł bicie jej serca, miarowe, dodające otuchy. Spojrzała mu w oczy.
  - Johnie, diuk Buckingham jest złym człowiekiem - powiedziała żywo. - Rozmawiałam z jego sługami. Połowa z nich uwielbia go i nie chce słyszeć o nim złego słowa, a druga połowa twierdzi, że jest grzesznikiem, który ma na sumieniu ciężkie przewinienia. W tym domu nie ma równowagi. Nie ma spokoju. To wir światowych uciech, a my znaleźliśmy się w samym jego sercu. John chciał coś powiedzieć, ale łagodnie ścisnęła go za rękę, by pozwolił jej skończyć.
  - Nie chciałam opuszczać Canterbury, ty jednak wymogłeś to na mnie i musiałam być ci posłuszna - ciągnęła cicho. - Ale teraz proszę cię, posłuchaj mnie, mężu. Możemy się udać do każdego domu na świecie, który wybierzesz, byleby tylko nie zostawać tutaj. Spakuję nasz dobytek i odzież i wyjedziemy jutro, dokądkolwiek zechcesz. Udam się z tobą nawet za morza, nawet do Wirginii, bylebyśmy tylko nie zostali tutaj. John poczekał, aż Elizabeth zamilknie, a potem powiedział, ostrożnie dobierając słowa:
  - Nigdy dotąd tak do mnie nie mówiłaś. Dlaczego tak bardzo go nie lubisz? Jako człowieka? Jako mojego pana? Wzruszyła ramionami i popatrzyła na ogień. Płomienie skakały po polanach, rzucając przyćmione światło na jej twarz.
- 203
- Nie znam go jako człowieka i jest za wcześnie, żebym mogła powiedzieć, jakim będzie dla ciebie panem. Widziałam go tylko jako światowca. Brylanty na jego kapeluszu, konie ciągnące jego karoce. Czy ktokolwiek w Anglii miał kiedyś taką karoce? Tylko zmarła królowa i król Jakub, a teraz ten człowiek ma trzecią i ciągną ją konie rzadkiej rasy. Wszystko, co widziałam, każe mi podejrzewać, że nie jest prawdziwym chrześcijaninem. I

wszystko, co o nim słyszałam, wszystko, co o nim wiem, mówi mi, że jest wielkim grzesznikiem. - Zniżyła głos. - Nie pomyślałeś, że może nawet sprzymierzył się z samym diabłem?

John próbował powstrzymać się od śmiechu, ale szczerłość żony naprawdę go rozbawiła.

- Och, Elizabeth!

- Skąd on przybył?

- Nie z piekła! Z Leicestershire! Spochmurniała, słysząc lekceważenie w jego głosie.

- Syn służebnej i prostego szlachcica z tego hrabstwa. Zwróć uwagę na jego karierę, Johnie. Myślisz, że jakikolwiek człowiek może uczciwie zdobyć taki majątek?

- Cieszy się łaskami samego króla - nie ustępował John. - Był królewskim podczaszym, a potem zaufanym pokojowcem popieranym przez różnych wielkich ludzi. Pomogli mu zostać wielkim koniuszym, a wtedy sprowadził dla króla takie wierzchowce, jakich nie miał nigdy żaden angielski władca. Oczywiście, że cieszy się wielkimi łaskami, zasłużył sobie na to. Sprowadził dla króla konia krwi arabskiej, jedyne w Anglii. Najpiękniejszego, jakiego kiedykolwiek widziano w naszym kraju.

Potrząsnęła głową.

- I dlatego zrobili go lordem admirałem floty - za kupno jakiegoś konia?

- Elizabeth - zaczął John ostrzegawczo.

- Zaczekaj - powiedziała szybko. - Wysłuchaj mnie choć raz.

Skinął głową.

- Ale nie będę słuchał słów, które można by uznać za zdradę.

- Będę mówiła tylko prawdę.

204

Patrzyli na siebie przez chwilę i zauważyła, że mąż odwraca wzrok, ponieważ wie, iż w tym wypadku prawda równa się zdradzie. Że można mówić prawdę o Buckinghamie, a prawdą jest, iż król oszalał na jego punkcie i dlatego nie powinien rządzić Anglią. Że Buckinghamowi ofiarowano najwyższe dostojeństwa i

urzędy, w niczym nieporównywalne z jego zdolnościami i umiejętnościami, że otrzymał więcej, niż mógłby zdobyć własnymi siłami jakikolwiek człowiek, ponieważ król bardzo chciał mu się przypodobać.

- Jaką władzę nad królem ma Buckingham? - zapytała bardzo cicho.

- Król go kocha - odparł stanowczo Tradescant. - A on jest jego wiernym sługą.

- Nazywa siebie królewskim psem - wypowiedziała na głos niewiarygodną, nieprawdopodobną plotkę.

- Dla zabawy. Król nazywa go Steenie, od świętego Stefana, i podziwia jego urodę, Elizabeth. Nie ma w tym nic złego.

- Nazywa siebie jego psem i są tacy, którzy mówią, że król robi to z nim tak, jak pies z suką.

- Milcz! - Tradescant zerwał się na równe nogi i odskoczył od żony. - Jak możesz coś takiego mówić, Elizabeth?! W twoim własnym domu! Jak możesz słuchać czegoś takiego?! Sprośnej gadaniny! Brudnych, karczemnych plotek! I jeszcze powtarzasz mi te oszczerstwa! Co by powiedział twój ojciec, gdyby usłyszał, że jego córka mówi o takich rzeczach jak dziewczka!

Nawet się nie wzdrygnęła na wzmiankę o ojcu.

- Mówię to, co trzeba powiedzieć, co musimy sobie wyjaśnić. A Bóg wie, że mam czyste serce, choć usta pełne brudów.

- Czyste serce i brudne usta?! - zawołał Tradescant.

- To lepiej niż słodkie usta i brudne serce - odparowała. Zamilkł, gdyż oboje pomyśleli o Buckinghamie i jego śpiewnym, słodkim głosie.

- Dokończ, co masz mi do powiedzenia - mruknął John ponuro. - Skończ, Elizabeth.

- Powiadam ci, że jego matka, która była prostą służebną, jest teraz hrabiną, a wielu uważa, że to czarownica.

205

John jęknął, ale ona ciągnęła nieubłaganie:

- Czarownica. A inni mówią, że to papistka, heretyczka, która powinna była spłonąć na stosie kilka lat temu. Powiadam ci, że ten

człowiek zdobył pozycję na dworze, uprawiając sodomię\* z królem i stręczycielstwo.

\* Dawne określenie stosunków homoseksualnych.

To rozpustnik, który zdobył żonę, porywając ją i gwałcąc, który uwiódł najpierw króla, a potem księcia. Który popełnił grzech sodomii z pewnym mężczyzną i z jego synem. I może być sprzymierzony z samym diabłem. Na pewno jest wielkim, strasznym grzesznikiem. Proszę cię, Johnie, błagam, wyjedźmy stąd teraz, zaraz. Zostawmy go, póki możemy. Pojechał do Hiszpanii, wroga naszego kraju, więc zdradził nawet króla, który z nim grzeszy. Dlatego wyjedźmy stąd, Johnie. Ty, ja i J wyjedźmy stąd gdzieś, gdzie powietrze nie cuchnie jak siarka od grzechów i rozpusty.

Zapanowało długie milczenie.

- Brak ci umiaru - powiedział John słabo. Potrząsnęła głową.

- Nieważne. Co mi odpowiesz?

- Zapłacono mi za cały kwartał.

- Możemy jakoś zwrócić te pieniądze, jeśli wyjedziemy teraz.

Nie odzywał się przez chwilę, rozmyślając o tym, co mu powiedziała. Później wstał powoli i potrząsnął głową. Położył rękę na gzymsie kominka, jakby musiał się wesprzeć, występując przeciwko otwarciu wypowiedzianej woli swojej żony i własnemu przekonaniu, głębokiemu, wewnętrznemu przekonaniu, że Elizabeth ma rację.

- Zostajemy - oznajmił. - Obiecałem diukowi, że założę mu piękny ogród. Nie złamię słowa. Nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą, nie mogę złamać raz danego słowa. Pracuję dla niego tylko w ogrodzie, więc w żaden sposób nie grzeszymy.

Zostaniemy, Elizabeth, aż ogród będzie skończony, a wtedy wyjedziemy.

Stała przy nim, patrząc mu w oczy. Zauważył, że w wyrazie jej twarzy coś się zmieniło, jak gdyby nie przeszedł pomyślnie jakiejś ważnej próby i jakby już nigdy nie miała w pełni mu zaufać.

206

- Błagam cię na wszystko, co święte - powiedziała, a jej głos

lekko zadrzał - to znaczy na to, czym gardzi ten twój pan, odwróć się od niego i krocź drogą prawości i cnoty.

Słyszając te biblijne zwroty, John wzruszył ramionami z irytacją.

- To nie tak. Zgodziłem się założyć ogród dla mojego pana i zostaniemy, dopóki nie skończę. Kiedy będzie gotowy, możemy wyjechać, jak to już powiedziałem.

Wyszedł z kuchni. Elizabeth usłyszała, jak zamykał drzwi do ich sypialni. Potem podłoga zatrzeszczała pod jego nogami, gdy się rozbierał do snu.

- A więc tak - powiedziała spokojnie do gasnącego ognia, jak gdyby składała uroczystą przysięgę. - Zszedłeś z drogi prawości i cnoty, mój mężu, i nie mogę dłużej kroczyć u twego boku.

John czekał na wieści o swoim panu, lecz przez pierwsze dwa, trzy dni panowało milczenie. Potem zaczęły napływać nowiny o eskapadzie młodego księcia Karola i diuka Buckingham. Byli nieudolnymi spiskowcami, a w dodatku tak kiepskimi podróżnikami, że cud, iż nie zatrzymano ich w Dover, na co po cichu liczył Tradescant. Ale Villiers sypał srebrem podczas tej podróży i jako lord admirał rozkazał statkom opuścić port w Dover. Niebawem dwór i stary król usłyszeli, że obaj młodzieńcy zostali przyjęci w Paryżu, przejechali przez Francję i w końcu dotarli do Madrytu.

Król widział w tym wszystkim piękny przykład wyprawy błędnych rycerzy, jak w dworskich przedstawieniach, gdzie urodziwy bohater zdobywa najpiękniejszą damę, a potem stają do tańca. Ale do Anglii dotarły pogłoski, nawet do „Królewskiego Ramienia” w Chelmsford, dokąd John zaczął chadzać wieczorami na piwo, że sprawy wyglądają znacznie poważniej. Mijały tygodnie i obaj podróżnicy nie wracali do kraju z królewską małżonką. Żądali natomiast coraz więcej pieniędzy.

Król zaczął się denerwować, gdyż brakowało mu diuka, a nawet syna, którego zwykle lekceważył. Dwór królewski ucichł, gdy nie było Villiersa, który organizował rozrywki,

207

polowania, maskarady, wywoływał skandale. John, zatrzymawszy

się dłużej w biurze zarządcy, znalazł w sobie dość odwagi, by zapytać go wprost, czy, jego zdaniem, ich pan zachowa swoją pozycję, jeśli wkrótce nie wróci do kraju. I zobaczył w oczach Williama Warda odbicie własnych zmartwień.

- Każdego dnia nieobecności naszego pana przedstawiają królowi innego mężczyznę - powiedział cicho zarządca. - I królowi nie podobają się prośby o pieniądze. Będzie to miał za złe naszemu panu. Obrazi się na niego. - Urwał. - Znałeś księcia Karola, kiedy był dzieckiem. Czy ma wierne serce?

John pomyślał o kulawym chłopcu, który jękając się, prosił swego zdrowego brata, żeby na niego poczekał, i którego zawsze zostawiano w tyle. O chorowitym malcu, który nigdy nie był niczym faworytem za życia starszego brata, ówczesnego następcy tronu. Skinął głową.

- Kiedy obdarzy kogoś miłością, trzyma się go - powiedział po prostu. - Jeżeli kocha naszego diuka tak, jak miłował swego brata, to znaczy, że go uwielbia.

William Ward skinął głową.

- W takim razie może nasz pan prowadzi mądrzejszą grę, niż przypuszczamy. Może złamie serce ojcu księcia, ale po śmierci ojca na tronie zasiądzie inny król.

John spochmurniał na myśl o rządach dworaków, które nie opierały się na zręcznych posunięciach politycznych, tylko na zalotach, łamaniu serc i zazdrości; umiejętnościach rodem z burdelu, a nie z urzędu.

- Chyba musiało być tak samo z lordem Cecilem? - zapytał zarządca.

John na myśl o tym aż się cofnął.

- Nie! Jego nikt nie kochał z powodu wyglądu - odparł z półuśmiechem. - Potrzebowali go dla jego zdolności. To dlatego nikt nie mógł go zastąpić. Dlatego zawsze był bezpieczny.

- Gdy tymczasem nasz pan... - Ward urwał.

- Co on robi w Madrycie, że to tak długo trwa? - zapytał John.

- Słyszałem, że Hiszpanie bawią się z nim w kotka i myszkę - odrzekł zarządca bardzo cicho. - A przez cały ten czas



na dworze narasta antyhiszpańskie nastawienie, w parlamencie i na ulicach też. Lepiej zrobi, wracając do kraju bez hiszpańskiej księżniczki. Jeżeli przywiezie ją do Anglii, zapłaci za to życiem. Rozszarpią go na kawałki za zaaranżowanie heretyckiego małżeństwa.

- Nie możesz napisać i powiadomić go o tym? - zapytał ogrodnik.

- Ostrzec go?

William Ward potrząsnął głową.

- Ja mu nie doradzam - powiedział szybko. - Kroczy własną ścieżką. Oświadczył, że owo hiszpańskie małżeństwo to kwestia zasad.

- Zasad? - powtórzył John. A kiedy jego rozmówca twierdząco skinął głową, odwrócił się i wyszedł z komnaty. - To bardzo źle - powiedział do siebie.

Dopiero w lipcu, w środku lata, podczas najgorszych madryckich upałów, księżę Karol w końcu zmęczył się czekaniem, a Buckingham stracił cierpliwość. Hiszpanie wreszcie opracowali kontrakt małżeński i księżę Karol go podpisał. Pozwolono mu na krótkie odwiedziny u narzeczonej i obietnicę, że zostanie królową Anglii dzięki małżeństwu zawartemu per procura i że spotkają się później w Dover już jako mąż i żona. Sam król Hiszpanii wyjechał z Madrytu z księciem Karolem i diukiem Buckinghamem, by ich odprowadzić, obsypał ich prezentami i ucałował królewicza na pożegnanie jako zięcia.

- Jak, twoim zdaniem, zostanie przyjęty? - zapytał William Ward Johna. Odszukał go w ogrodzie, gdzie John właśnie otwierał śluzę i patrzył, jak woda z rzeki płynie do nowego, sztucznego jeziora. Była to wstęga chłodnej wody tuż obok pałacu. Tradescant sadził żółte kosańce niemieckie w bagnistym zakątku, skąd, jak najpierw powiedział Buckinghamowi, musiał pozbyć się krów. - Musi mieć jakiegoś asa w rękawie. Musi wiedzieć, że jeśli sprowadzi hiszpańską księżniczkę do Anglii, rozerwą go na strzępy.

John podniósł wzrok znad kanału i otarł ręce o stare spodnie.

- Przecież nie jest głupcem - odparł z niepokojem. - Nie zaszedłby

tak daleko, będąc głupcem. Musi wiedzieć,  
209

że istnieje pewna równowaga między królem, parlamentem, Kościołem i ludem. - Pomyślał o Cecilu; musiał o nim myśleć w tym domu, domu jego następcy. - Nie może sprawować takich urzędów i być głupcem - oświadczył śmiało. - Musi znać jakiś sposób wyjścia z tej sytuacji.

John wyświadczył przysługę swemu panu, tak bardzo w niego wierząc. W rzeczywistości Buckingham nie miał ani planu głównego, ani alternatywnego. Nie był Cecilem, który zawsze przewidywał każdą ewentualność. Wszystko w życiu przyszło mu łatwo i uważał, że i z tej sytuacji wyjdzie bez szwanku. Pomyślał, że oczaruje Hiszpanów tak jak wszystkich dotąd. Ale sztywny, ceremonialny dwór hiszpański okazał się nieczuły nawet na urok człowieka, który łamał w Anglii wszystkie serca. Dlatego zawiedziony Buckingham zwrócił się przeciw aroganckim Hiszpanom. Matka i żona w listach z kraju ostrzegały go, że hiszpańska królowa nigdy nie zostanie zaakceptowana, a tego, kto spróbuje posadzić ją na angielskim tronie, czeka tylko klęska. Buckingham zmienił postawę jak kurek na kościele; ale księżę Karol - który wcześniej się dowiedział, że miłość zawsze może sprawić zawód - Ignął do atrakcyjnej, niedostępnej kobiety. I rzeczywiście, im bardziej stawała się dlań niedostępna, tym lepiej odpowiadała jego wyobrażeniom o prawdziwej miłości i pożądaniu.

Buckingham musiał teraz doprowadzić do zmiany uczuć księcia wobec kobiety, która zapewne nigdy by go nie pokochała i za którą mógłby chodzić przez resztę życia, tak jak niegdyś za swoim bratem. Należało też wytłumaczyć mu, że jako następca angielskiego tronu może liczyć na więcej.

Nie było to łatwe. Buckingham przypomniał mu o ustępstwach zawartych w kontrakcie małżeńskim - o szaleńczych obietnicach tolerancji religijnej i przyrzeczeniu, że dzieci z tego związku zostaną wychowane w wierze katolickiej. Kwestionował uczciwość Hiszpanów, zastanawiając się, czy infantkę

rzeczywiście można zmusić do poślubienia heretyka, czy w dniu ślubu nie ucieknie do klasztoru i nie zrobi głupca ze swego niedoszłego męża. Ta stała dawka cynizmu i wątpliwości niczym drażąca skałę kropla podważyła

210

i tak niewielką pewnością siebie księcia. Kiedy dotarli z Madrytu do Santanderu na spotkanie z angielską flotą, Buckingham i książę byli najlepszymi przyjaciółmi i obaj widzieli w Hiszpanii tylko przeciwnika. A gdy dopłynęli do Portsmouth, stali się sobie bliscy jak bracia. Hiszpania nie była już nowym sojusznikiem, lecz znów śmiertelnym wrogiem, kontrakt małżeński zaś, nad którego zawarciem pracowali tak gorliwie, uznali za pułapkę, z której zamierzali uciec.

Kiedy zawinęli do Portsmouth wraz z przyływym, w zimnej październikowej mgle wiszącej nad morzem, niepewni, jak powita ich to protestanckie miasto w żarliwie protestanckim kraju po próbie zaaranżowania małżeństwa, które położyłoby kres dumie i niezależności Tudorów, ujrzeli blask ognia na nabrzeżu; ktoś rozpałił ognisko. Potem drugie, trzecie, cały rząd świateł wzdłuż murów miasta. Później usłyszeli powitalny salut armatni, który rozszedł się echem po porcie, po czym jeszcze jeden, głośnie fanfary i wesołe okrzyki tłumu. Buckingham uśmiechnął się do siebie, klepnął księcia po plecach i zszedł pod pokład, by ozdobić kapelusz brylantowymi spinkami.

- Zrobił to, przywiódł księcia bezpiecznie do domu - powiedział John do Elizabeth, kiedy wieści o triumfalnym powrocie obu młodzieńców dotarły do New Hall. - Ludzie tańczyli na ulicach i na każdym rogu pieczono woły. Nazywają go największym mężem stanu, jakiego kiedykolwiek widziała Anglia. Nazywają go zbawcą kraju. Może pojedziemy dziś wieczorem do Chelmsford na festyn?

Nie zamierzał triumfować, ale w jego głosie brzmiała radość. Nie dlatego, że Buckingham okazał się mężem stanu czy dyplomata. Ale przynajmniej miał szczęście, a na nowym dworze szczęście i uroda mogły dokonać wszystkiego.

Lecz Elizabeth zwróciła ku niemu zaciętą, bladą twarz.

- Najpierw naraził księcia na niebezpieczeństwo - powiedziała zimno. - Na niebezpieczeństwo dla ciała

211

i śmiertelne zagrożenie dla duszy. A książę Karol uniknął małżeństwa z uczennicą szatana, tylko łamiąc przyrzeczenie. Dał słowo honoru szlachetnie urodzonej księżniczce. Zalecał się do niej i przyrzekł, że ją poślubi. Ale teraz złamał tę obietnicę. Nie pójdę na tańce tylko dlatego, że twój pan naraził księcia na niebezpieczeństwo, a potem zmusił go do porzucenia narzeczonej, żeby umożliwić mu bezpieczny powrót do kraju. Od samego początku kierowały nim próżność i szaleństwo. Nie będę piła, by uczcić jego bezpieczny powrót.

John spokojnie włożył kaftan oraz kapelusz i wyszedł z domu.

- Myślę, że jednak tam pójdę - powiedział spokojnie. - Nie czekaj na mnie.

Rozdział Dwudziesty Trzeci.

1624.

Wrócił do domu - oświadczył J bez entuzjazmu.

John stał na wzgórzu, które pod jego nadzorem usypano pośrodku nowego jeziora księcia Buckingham, sprawdzając wzrokiem zarys krętej drogi prowadzącej na szczyt. Poniżej wynajęci pomocnicy sadzili jabłonie, wiśnie, grusze i śliwy na przemian, posuwając się w górę i okrążając zbocze. Małe paliki podpierały każde drzewko, by mogło stawić czoło wiejącemu bez przerwy wschodniemu wiatrowi, który był zmorą Johna w tym ogrodzie w hrabstwie Essex. W ziemię wbite też większe pale i powiązane mocno szpagatem. Miały one tak skierować rozpięte na sznurach gałęzie, żeby sięgały wysoko w górę, drzewo przy drzewie, tworząc nieprzerwane linie kwiatów na wiosnę i owoców jesienią. Młody Tradescant pilnował, żeby każde drzewo zostało posadzone w najlepszy dlań sposób z gałęziami wzdłuż szpagatu i przywiązane tak, aby żadna się nie wymknęła i nie rosła samowolnie. John szedł za nim z ostrym nożem, by odciąć wszystkie gałązki odstające od gładkiej linii splecionych ze sobą

drzew. Była to jedna z jego ulubionych prac: delikatne połączenie dzikości i fortelu, narzucenie ładu niesfornej naturze. W końcu wszystko miało wyglądać tak, jakby z własnej woli wyrosło uporządkowane i zdyscyplinowane. Ogród, jaki mógłby pozostawić Bóg, eden bez dysharmonii i chwastów.

213

- Chwała Bogu! - powiedział starszy Tradescant, prostując się i odrywając od pracy. - Czy pytał o mnie? Czy przyjedzie do ogrodu?

J pokręcił głową.

- Jest chory - powiedział. - Bardzo chory.

Johnowi zabrakło nagle tchu, jakby on również się rozchorował. Zatrząsał się ze strachu na myśl o słabości pana. Przypomniał sobie Cecila, umierającego w porze kwitnienia dzwonków.

- Chory? - zapytał. - Czy to zaraza? J wzruszył ramionami.

- Strasznie pokłócił się z królem, a potem położył do łóżka.

- Udaje chorego? - zapytał John.

- Myślę, że nie. Jego żona biega po komnatach, a w kuchni przygotowują napój z grzanego mleka zaprawionego winem i korzeniami. Chcą trochę ziół na lekarstwa.

- Dobry Boże, dlaczego od razu mi nie powiedziałaś?! - John zbiegł dróżką w dół, ślizgając się w błocie, i wskoczył do łódki przycumowanej przy delikatnym, ozdobnym pomoście. Chwycił wiosła i niezdarnie wypłynął na jezioro, obryzgując się wodą i przeklinając swoją powolność. Dotarł do brzegu, wyciągnął łódkę i pobiegł po płycznach w stronę pałacu.

Poszedł prosto do wielkiej sali, zostawiając mokre ślady na posadzce.

- Gdzie jest medyk? Czego potrzebuje?

Lokaj wskazał mu prywatne apartamenty diuka, dokąd prowadziły piękne schody, schody, na które wydano tak wielki majątek. John wbiegł na górę. W komnatach diuka wrzało, drzwi były szeroko otwarte, opuszczony przez wszystkich Buckingham leżał na łożu, nadal w butach do konnej jazdy. Mężczyźni i kobiety biegali tam i z powrotem z rozżarzonymi węglami do kominka, świeżą słomą

na podłogę, szkandelami do pościeli, napojami chłodzącymi, ktoś otwierał okna, ktoś inny zamykał okiennice. Wśród tego rozgardiaszu Kate, małżonka diuka, szlochała bezradnie w fotelu, a pół tuzina medyków kłóciło się nad łóżem.

214

- Spokój! - krzyknął Tradescant, zbyt rozgniewany na widok takiego chaosu, by zachować się uprzejmie jak zwykle. Chwycił dwóch lokajów, odwrócił ich i wypchnął z komnaty. Zamknął za nimi drzwi, a potem wskazał na służebne, które zamiatały podłogę, i służących, którzy dokładali drew do ognia. - Wy tam! Wynoście się!

Komnata powoli pustoszała, lamentujący słudzy wyszli, a Tradescant zwrócił się do medyków.

- Kto tutaj wszystkim kieruje? - zapytał.

Sześciu mężczyzn, zajadłych rywali, zaczęło się głośno sprzeczać. Kate, skulona w fotelu, szlochała jak dziecko. Tradescant otworzył drzwi.

- Damy dworu! - zawołał. Przybiegły natychmiast. - Zabierzcie milady do jej komnaty - powiedział łagodnie. - Teraz, zaraz.

- Ja chcę tu być! - zawołała Kate.

Tradescant wziął ją za ramię i niemal wyniósł z komnaty.

- Pozwólcie mi dopilnować, żeby miał wszelkie wygody, pani.

Przyjdziecie, kiedy jego książęca mość będzie mógł was przyjąć - zaproponował.

- Chcę być z moim panem małżonkiem! - Walczyła z nim.

- Nie warto, żeby widział was zapłakaną, pani - powiedział. -

Kiedy tak dobrze widać wasz zaczerwieniony nos i podpuchnięte oczy.

To odwołanie się do jej próżności podziałało natychmiast. Lady Kate wybiegła, John zamknął za nią drzwi i zwrócił się do medyków:

- Który z was jest najstarszy? - zapytał. Jeden z nich postąpił do przodu.

- Ja - powiedział, myśląc, że wyróżnienie przypadnie starszemu wiekiem.

- A który najmłodszy?

Młody mężczyzna, wyglądający zaledwie na trzydzieści lat, zrobił krok do przodu.

- Ja.

- Wy dwaj wynoście się stąd - rozkazał Tradescant brutalnie. -A pozostałych czterech ma natychmiast porozumieć się szeptem co do metody leczenia.

215

Otworzył drzwi; dwaj mężczyźni, których odesłał, zawahali się, ale zauważyli jego wściekłe spojrzenie i wyszli.

- Zaczekajcie tam - dodał Tradescant. - Jeżeli ci tutaj się nie dogadają, zostaniecie zawezwani na ich miejsce.

Zamknął drzwi i wrócił do łóża. Diuk był blady jak marmur, wyglądał jak posąg z lodu. Z bielą jego twarzy kontrastowały tylko ciemne rzęsy spoczywające na policzkach i cienie koloru wiosennych fiołków pod oczami.

Uniósł powieki i spojrzał na Johna.

- Świetnie się spisałeś - szepnął cicho, ochryple. - Ja tylko chcę spać.

- To dobrze - odparł Tradescant. - Teraz już wiem. - Wskazał na medyków. - Wy trzej, wynoście się z komnaty.

- Później wycelował palec w czwartego. - A ty będziesz czuwał nad snem diuka i strzegł go przed hałasem i intruzami.

Buckingham poruszył lekko chudą ręką.

- Nie zostawiaj mnie, Johnie.

Tradescant uklonił się i wypędził wszystkich mężczyzn na korytarz.

- Naradźcie się między sobą i ustalcie, czego potrzeba jego książęcej mości - polecił. - Ja będę czuwał nad jego snem.

- Trzeba mu postawić bańki - powiedział jeden z medyków.

- Nie będzie baniek.

- A może pijawki? John pokręcił głową.

- Ma spać, a nie być torturowanym.

- A skąd ty o tym wiesz? Jesteś tylko ogrodnikiem. John rzucił mężczyźnie sztuczny, nieprzyjazny

uśmiech.

- Założę się, że ja tracę mniej roślin niż ty pacjentów

- powiedział dobitnie. - I utrzymuję je w dobrym stanie,

pozwalając im odpocząć, kiedy potrzebują odpoczynku, i żywiąc

je, kiedy są głodne. Nie stawiam im ani baniek, ani pijawek, tylko

je pielęgnuję. I właśnie to będę robił dla mojego diuka, chyba że

wyda mi inny rozkaz.

Potem zatrzasnął im drzwi przed nosem, stanął w nogach łoża

swego pana i czekał, aż ten się wyśpi.

216

Tradescant mógł strzec swego pana przed jego domownikami i

służbą. Kiedy jednak król usłyszał, że jego faworyt zachorował i

omal nie umarł, przysłał wieść, że przybędzie natychmiast wraz z

całym dworem.

Buckingham, nadal blady, lecz nieco silniejszy, siedział przy

wykuszowym oknie, które wychodziło na nowy parter węzłowy

urządzony przez Johna. Ten stał u jego boku, gdy przyniesiono list

od króla.

- A więc wróciłem do łask - rzekł leniwie Buckingham. -

Myślałem, że jestem skończony za rządów tego władcy.

- Przecież bezpiecznie przywieźliście księcia Karola do kraju,

panie! - zaprotestował Tradescant. - Czego więcej może chcieć

jego królewska mość?

Buckingham uśmiechnął się chytrze do swego ogrodnika i

powąchał gałązkę przebiśniegu, którą przyniósł mu

Tradescant.

- Nieco mniej niż więcej - powiedział. - Pozazdrościł mi

triumfalnego przybycia do Londynu. Pomyślał, że sam zamierzam

zostać królem. Pomyślał, że chciałem, by Kit Villiers poślubił

córkę elektora Fryderyka i spowinowacił się ze Stuartami. -

Roześmiał się cicho. - Jak gdybym chciał ulokować Kita ponad

sobą! - dodał szyderczo. - A potem przeniósł spojrzenie ze mnie na

księcia Karola i z powrotem i zląkł się swojego wpływu na

następcę tronu. Jest zazdrosny jak stara kobieta. Nie może znieść

naszego widoku, kiedy się weselimy, gdy on, stary i obolały,



tęskni za łożem. Nie może znieść myśli, że będziemy się weselić bez niego, kiedy on odejdzie. Dał mi wszystko, o co prosiłem, i teraz mi zazdrości, że jestem bogaty, a ludzie ubiegają się o moje względy. Zazdrości mi, że jestem najbogatszym człowiekiem w całym królestwie i że mam najpiękniejszego konia. - Urwał i potrząsnął głową.

- Prawdą jest, że lepiej nie przechwalać się bogactwem - zauważył Tradescant, patrząc na niebo za oknem.

- Co masz na myśli?

- Myślę o tym, że mój dawny pan kochał Theobalds Palace ponad wszystko, a król, ten król, zobaczył ów pałac, uznał jego wartość i zażądał go dla siebie. A my tutaj dopiero co obsadziliśmy główną aleję.

217

Buckingham wybuchnął śmiechem.

- Johnie! Mój Johnie! Jeżeli chce New Hall, niech je sobie weźmie! Główną aleję i wszystko. Cokolwiek, żeby tylko przywrócił mnie do łask.

John skinął głową.

- Myślicie, że wam wybaczy, wasza książęca mość?

Młodszy mężczyzna z powrotem spoczął na kosztownych poduszkach ułożonych na ławeczce przy oknie i odwrócił głowę, by obejrzeć widok rozciągający się w dole. John zauważył z zadowoleniem doskonale piękny profil diuka, jaśniejący na tle czerwonego aksamitu.

- Co o tym sądzisz, Johnie? Jeśli będę bardzo blady, bardzo spokojny i bardzo uległy i wyglądał właśnie tak - czy mi wybaczy? Tradescant usiłował spojrzeć obojętnie na swego pana, ale zdał sobie sprawę, że się uśmiecha, jak gdyby Buckingham był delikatną, kapryśną panną w rozkwicie urody, w czasie kiedy dziewczyna może zrobić wszystko i wszyscy wszystko jej wybaczą.

- Przypuszczam, że tak - przyznał niechętnie. - Jeśli jest zakochanym starym durniem.

Buckingham uśmiechnął się szeroko.

- Ja też tak przypuszczam.

Diuk pomachał na pożegnanie odjeżdżającemu karetą królowi oraz setkom dworzan i sług i patrzył, jak oddalają się powoli niedawno obsadzoną główną aleją. John Tradescant zrobił, co mógł, ale lipy rosnące w dwóch rzędach nadal były małymi drzewkami. Buckingham przyglądał się, jak zwieńczona koroną i rzeźbionymi piórami karoca z turkotem przejeżdża od jednego skąpego cienia do następnego. Kiedy te drzewka urosną, będą wspaniałym symbolem wielkości jego rodu. A potem książę Karol zasiądzie na tronie Anglii, z Buckinghamem jako doradcą, Jakub zaś, trudny we współżyciu, porywczy, stary król Jakub spocznie w grobie.

Król Jakub płakał i prosił o wybaczenie po długiej, ostrej kłótni. Tolerował małżeństwo swego faworyta, nawet lubił Kate i bawiły go słynne romanse diuka z każdą śliczną damą dworu. Nie mógł wszakże znieść myśli,

218

że jego syn odebrał mu miłość Buckingham. Ze łzami w oczach oskarżył ich, że spiskują przeciw niemu i że książę Karol - syn, którego nigdy nie lubił - ukradł staremu ojcu jego ukochanego, jedyną miłość jego życia.

Publicznie nazwał księcia Karola odmieńcem i oświadczył, że życzyłby sobie z całego serca, by jego brat, urodziwy, pobożny książę Henryk nie umarł. Publicznie też oskarżył Buckingham, że ten złamał mu serce, i nazwał go fałszywym synem i zdrajcą.

Płakał rzęsistymi łzami -gdyż starcom łatwo zbiera się na płacz - i narzekał, że nikt go nie kocha.

Buckingham musiał wykorzystać cały swój czar, żeby namówić króla do bardziej rozsądnego zachowania, i potrzebował całej swej cierpliwości, by znieść zaślinione pocałunki Jakuba na twarzy i ustach. Musiał użyć całego swego poczucia humoru i prawdziwej radości życia, aby uczynić podstarzałego władcę znów szczęśliwym, a dwór razem z nim. I chociaż był chory, dopiero co wstał z łoża, zatańczył z lady Kate przed królem, siedział u jego boku i słuchał jego skarg bez ładu i składu na sojusz z Hiszpanią

oraz hiszpańskie zagrożenie, ani razu nie okazując odrobiny zmęczenia czy złego samopoczucia.

Diuk zaczekał, aż królewska karetka zniknie mu z oczu, po czym znów włożył kapelusz i odwrócił się w stronę kamiennych stopni parteru węzłowego. Ta część ogrodów już wyglądała tak, jak to obiecał Tradescant. Każdy delikatnie uformowany klomb wypełniały kwiaty w tym samym, jednolitym kolorze, okolone ciemnozielonym żywopłotem i splecione niekończącym się wzorem z następnym klombem. Buckingham obszedł je, czując, jak dręczący go niepokój ulatnia się na widok skomplikowanych kwiatnych wzorów, doskonałej piękności ogrodu.

Nigdy dotąd nie zaznał takiej radości, dopóki Tradescant nie stworzył dlań tego ogrodu. Zawsze uważał ogrody za część otoczenia wielkich rezydencji, za coś, co wielki człowiek musi mieć. Ale Tradescant sprawił, że widział je oczami ogrodnika. Diuk kroczył teraz wąskimi, krętymi drózkami parteru węzłowego z poczuciem nieznanego dotąd zadowolenia i swobody. Te małe obwódki żywopłotowe uniemożliwiały widzenie perspektywiczne; kiedy spojrzał ponad nimi

219

z jednego końca w drugi, wydało mu się, że pokrywają olbrzymią przestrzeń, wiele akrów. Były małą przenośnią bogactwa.

Wyglądały jak wielkie pola, wielkie działki, a przecież zajmowały zaledwie kilkaset metrów kwadratowych.

- To jest naprawdę piękne - mruknął do siebie cicho Buckingham.

- Powinienem mu za to podziękować. Najpierw dlatego, że stworzył to dla mnie, a potem, że nauczył mnie dostrzegać to piękno.

Zszedł z parteru węzłowego w stronę jeziora. Rosły tam lilie, które obiecał mu Tradescant, a lekki wiatr kołysał złotymi jaskrami i żółtymi kosaćcami. Mały pomost wysuwał się w wodę, a w dole w gładkiej toni jeziora widać było jego ciemniejsze odbicie. Na samym końcu pomostu stał John Tradescant, przyglądając się, jak jego pomocnik opuszcza w głęboki muł kosze z korzeniami łozy.

Słyszając zbliżające się kroki Buckinghama, ogrodnik zdjął kapelusz i szturchnął chłopca nogą. Pomocnik padł na kolana. Diuk machnięciem ręki kazał mu odejść.

- Powiosłujesz? - zapytał Tradescanta.

- Oczywiście, panie - odparł John. Od razu zauważył ciemne cienie pod oczami i bladość Buckinghama. Diuk wyglądał jak wykuty z najczystszej marmuru anioł ze śladami brudnych palców na twarzy.

John przyciągnął łódkę przywiązaną do pomostu ociekającą wodą liną i przytrzymał dziób. Diuk usiadł i oparł się o poduszki.

- Jestem zmęczony - powiedział krótko.

John odbił od brzegu, usiadł i bez słowa zaczął wiosłować.

Najpierw zawiózł swego pana do wyspy; gdzie wzniesiono sztuczne wzgórze, tak jak to zaplanowali. Okrążył je powoli, wiosłując. Głóg i róże kaskadami opadały na brzeg jeziora, a ich kwiaty odbijały się w nieruchomej wodzie. Kilka kaczek wyleciało z ukrycia, ale Buckingham nawet nie drgnął, gdy usłyszał ich kwakanie.

- Wspominasz Roberta Cecila? - zapytał leniwie. - W myślach czy w modlitwach?

- Tak - odparł Tradescant. - Codziennie.

- Poznałem pewnego człowieka, który mi powiedział, że kiedy po raz pierwszy przyjechał do Theobalds Palace,

220

nigdzie nie można było znaleźć sir Roberta, i że w końcu natknęli się na niego w szopie z donicami, kiedy jadł z tobą chleb z serem. Tradescant roześmiał się cicho.

- Miał zwyczaj obserwować mnie przy pracy.

- Był wielkim człowiekiem, wielkim sługą państwa - powiedział Buckingham. - Nikt mu nie zarzucał, że najpierw służył jednej monarchini, a później jej następcy.

John skinął głową, pochylił się do przodu i dalej wiosłował.

- Ale ja... - Buckingham urwał. - Czy słyszałeś, Johnie? Ludzie mną gardzą, prawda? Ponieważ jestem znikąd i nic przedtem nie znaczyłem i ponieważ zdobyłem pozycję faworyta na dworze

królewskim dzięki mojej urodzie. Ponieważ byłem pięknym chłopcem.

Spodziewał się, że ogrodnik zaprzeczy.

- Niestety, tak właśnie mówią - potwierdził John. Diuk wyprostował się gwałtownie i łódź się zakołysała.

- Mówisz mi to prosto w oczy? John skinął głową.

- Żaden człowiek w Anglii nie odważył się na to! Mógłbym kazać wyrwać ci język za impertynencję! - zawołał Buckingham.

Ogrodnik nie przestał wiosłować delikatnie, rytmicznie.

Uśmiechnął się do swojego pana z uczuciem.

- Wspomnieliście o sir Robercie, panie - rzekł. - Jemu również nigdy nie skłamałem. Jeżeli zadacie mi jakieś pytanie, odpowiem. Nie jestem impertynencki i nie jestem plotkarzem. Jeśli wyjawicie mi jakąś tajemnicę, zachowam ją dla siebie. Jeżeli zapytacie mnie o nowiny, powtórzę je.

- Czy sir Robert ci się zwierzał? - zapytał ciekawie Buckingham. John skinął głową.

- Kiedy zakładasz dla kogoś ogród, dowiadujesz się, jakim ten ktoś jest człowiekiem - wytłumaczył. - Spędzacie razem dużo czasu, patrzycie, jak rosną rośliny, i obaj się zmieniacie. Razem pracowaliśmy w ogrodach Theobalds Palace, a potem się przenieśliśmy i stworzyliśmy Hatfield, sir Robert i ja, z niczego. I rozmawialiśmy, tak jak mają to w zwyczaju ludzie, spacerując razem po ogrodzie.

221

- A jakim ja jestem człowiekiem? - zapytał Buckingham. - Pracowałeś już dla królewskiego doradcy. Pracowałeś dla Cecila i pracujesz dla mnie. Co o mnie myślisz? Co o mnie myślisz, gdy nas porównujesz?

Tradescant pochylił się do przodu, ostrożnie pociągnął za wiosła i łódka znów pomknęła gładko po wodzie.

- Myślę, że nadal jesteście bardzo młodzi, wasza książęca mość - odpowiedział łagodnie. - I niecierpliwi, jak każdy młodzieniec.

Myślę, że jesteście ambitni - i nikt nie może przewidzieć, jak wysoko zajdziecie lub jak długo pozostaniecie u szczytu władzy.

Myślę, że mogliście zdobyć wysoką pozycję na dworze dzięki swojej urodzie, ale utrzymaliście ją dzięki dowcipowi. A ponieważ jesteście jednocześnie i urodziwi, i dowcipni, nadal ją utrzymacie. Buckingham wybuchnął śmiechem i znów oparł się o poduszki.

- Jednocześnie urodziwy i dowcipny! - wykrzyknął. John spojrzał na jego rozwiane ciemne włosy i na długie, czarne rzęsy rzucające cień na gładkie policzki.

- Tak - powiedział po prostu. - Jesteście moim panem i nie przypuszczałem, że jeszcze raz znajdę pana, któremu będę służył sercem i duszą.

- Kochasz mnie tak, jak kochałeś lorda Cecila? - zapytał go Buckingham, nagle czujny, rzucając chytre, badawcze spojrzenie spod opuszczonych rzęs.

John, który miał niewinne serce, uśmiechnął się do diuka. - Tak.

- Zatrzymam cię przy sobie, tak jak on - odparł Buckingham, planując ich wspólną przyszłość. - I ludzie zobaczą, że jeśli możesz mnie kochać tak, jak kochałeś jego, to znaczy, że nie mogę być od niego gorszy. Porównają nas i pomyślą o mnie jak o drugim Cecilu.

- Być może - odpowiedział Tradescant. - A może pomyślą, że jestem człowiekiem, który umie uprawiać tylko najlepsze ogrody. Tylko człowiek zbyt dumny ze swej przenikliwości mógłby twierdzić, że czyta w ludzkich sercach, panie, Lepiej zrobicie, słuchając swego serca i rozumu i nie zastanawiając się, co o was pomyślą inni - moim zdaniem.

Rozdział Dwudziesty Czwarty.

Marzec 1625

John pracował do późna. Diuk wymarzył sobie tarasy wodne połączone kaskadami i zapragnął, żeby w każdej sadzawce umieszczono inny gatunek ryb, w kolorach dobranych według określonego porządku. Jedyna złota -król ryb - miała pływać tylko w sadzawce położonej najwyżej, w pobliżu pałacu, naprzeciw apartamentów królewskich, w których król Jakub zatrzymywał się podczas odwiedzin w New Hall. Otaczający tę sadzawkę ogród też powinien być złoty. Tradescant wysłał listy do kapitanów

wszystkich okrętów floty królewskiej, polecając im przywieźć nasiona lub korzenie wszystkich żółtych lub złotych kwiatów, jakie zobaczą gdzieś w świecie. Diuk Buckingham rozkazał swoim admirałom zejść na ląd i rozglądać się za żółtymi kwiatami, aby John Tradescant mógł otrzymać jak najwięcej rozmaitych nasion do wyboru.

Na pewno należało uznać ten pomysł za oryginalny i bez wątpienia stanowiłby on najwspanialszy dowód szacunku dla monarchy, gdyby rybki Tradescanta nie były tak nieuchwytnie jak jaskółki w zimie. Mimo wszelkich zabezpieczeń wymykały się z wodą i mieszały: złota ze srebrną pływały na jednym poziomie, opadały do pstrąga tęczowego na następnym, a na ostatnim karp plamisty wszystkie je zjadał. Tradescant użył sieci, te jednak splątały się i utonęły, próbował budować małe kamienne tamy, lecz wtedy woda płynęła zbyt powoli i nie opadała z jednego poziomu

223

na drugi tak, jak powinna. Co gorsza, kiedy woda znieruchomiła lub płynęła leniwie, robiła się zielona i ciemna i w ogóle nie było widać ryb.

Wówczas przyszedł mu do głowy pomysł, aby zbudować płotek z wąskich kawałków szkła, między którymi woda mogłaby przepływać, a ryby nie. Było to niesłychanie kosztowne przedsięwzięcie - używać cennego szkła dla takiej zachcianki! Tradescant spochmurniał i umieścił wąskie szybki - każdą starannie zaokrągloną na brzegach, żeby nie raniły ryb - w szeregu, w niewielkiej odległości od siebie, żeby woda mogła między nimi przepływać. Wreszcie skończył i wstał.

Stopy bolały go od stania w zimnej wodzie, pochylone plecy zeszywniały, palce zaś zdrętwiały z zimna - przecież był dopiero marzec i nocami nadal zdarzały się przymrozki. Energicznie wytarł ręce o samodziałowe spodnie. Czubki palców miał sine. Prawie nie widział swego dzieła w półmroku, ale słyszał melodyjny plusk wody spadającej do następnej sadzawki na kolejnym tarasie. Na jego oczach złota rybka zbliżyła się do

szklanej przegrody, dotknęła jej pyszczkiem, zawróciła i z powrotem popłynęła na środek sadzawki.

- Mam cię! - mruknął Tradescant. - Mam cię, ty mały łobuzie! Zachichotał pod nosem, wcisnął kapelusz na głowę, podniósł narzędzia i ruszył do szopy, by je oczyścić i powiesić, zanim pójdzie do domu na kolację. Potem zatrzymał się, nasłuchując: dobiegł go tętent kopyt konia, galopującego bardzo szybko w górę efektownego, krętego podjazdu i gnającego co sił w kierunku frontowych drzwi pałacu.

Posłaniec zobaczył Tradescanta.

- Czy jego książęca mość jest w domu? - zawołał. John zerknął na jasno oświetlone okna rezydencji.

- Tak - odparł. - Wkrótce będzie jadł kolację.

- Zaprowadź mnie do niego! - rozkazał posłaniec. Zeskoczył z konia i puścił wodze, jak gdyby piękne, rasowe zwierzę nic dlań nie znaczyło.

John, odrywając się myślą od żółtych kwiatów, chwycił wodze i zawołał stajennego. Kiedy ten nadbiegł, przekazał mu konia i poprowadził posłańca do pałacu.

224

- Gdzie jest diuk? - zapytał spotkanego sługę.

- Modli się w bibliotece. - Mężczyzna skinieniem głowy wskazał drzwi.

John zastukał i wszedł.

Buckingham, rozwalony na krześle za wielkim biurkiem, z przymkniętymi oczami bawił się złotym łańcuchem, słuchając kapelana, który czytał modlitwy. Kiedy ujrzał Johna, jego twarz rozpromienił uśmiech.

- To mój czarodziej John! - zawołał. - Czy sprawiłeś, że woda płynie do tyłu, w górę zbocza?

- Posłaniec od króla - powiedział lakonicznie Tradescant i wprowadził przybysza do biblioteki.

- Macie się udać do Theobalds, wasza książęca mość -przekazał posłaniec. - Król jest chory na malarię i pyta o was. Chce, żebyście natychmiast do niego przybyli.



Słowa te obudziły czujność Buckinghama, który nagle znieruchomiał jak kot na widok zdobyczy, a potem się poruszył.

- Przyrowadź mi konia - rzucił, wstając zza biurka. - Johnie, pojedziesz ze mną. Znasz drogę znacznie lepiej niż ja. I jeszcze jeden człowiek ma nam towarzyszyć. Żle z nim? - rzucił przez ramię do posłańca.

- Mówią, że jest bardziej przestraszony niż chory. - Posłaniec biegł za nim. - Ale żąda, żebyście się stawili, panie. Księżę Karol już tam jest.

Buckingham wbiegł po schodach i spojrzał w dół na Johna. Twarz rozjaśniła mu się i wypogodziła. Widać było, że zżera go ambicja.

- Może teraz! - mruknął i ruszył do swojej komnaty, żeby się przebrać.

John polecił, by przygotowano konie, i posłał sługę do kuchni po torbę z prowiantem i butlę z piwem. Nie wysłał wieści do Elizabeth. Pośpiech młodego diuka, zew przygody i poczucie, że żyje we wspaniałych czasach, sprawiły, że zapomniał o więzach rodzinnych.

Kiedy diuk zbiegł z frontowych schodów, a pięknie wyglądał w butach do konnej jazdy i w długiej opończy, John siedział na dobrym koniu i trzymał wodze drugiego. Sługa, który miał im towarzyszyć, właśnie nadchodził od strony dziedzińca przed stajnią.

225

Diuk zerknął na Johna.

- Jestem ci wdzięczny - rzekł i naprawdę tak myślał.

Tradescant uśmiechnął się szeroko. W wielkich domach wszystko robiono niesłychanie powoli, co było ich główną wadą. Mięso zawsze przynoszono na wpół zimne, polowania należało planować na wiele dni naprzód i zawsze rozpoczynały się po wyznaczonym terminie. Niczego nie można było uczynić pod wpływem impulsu, każdą czynność powinno się przygotować z góry. Jednym z wielkich talentów Tradescanta była umiejętność przyrowadzenia ze stajni w ciągu kilku minut konia, oporządzonego i gotowego do drogi.

- Będiesz mógł jechać? - zapytał Buckingham, zerkając na pożyczone bryczesy i buty Johna.

- Dowiozę was tam, panie - odparł ogrodnik. - Nie obawiajcie się. Wyjechał pierwszy równym kłusem z dziedzińca, mając z prawej strony srebrzysty sierp wschodzącego księżyca, i skierował się na zachód do Waltham Cross.

Zmienili konie nie raz, ale dwa razy w ciągu trwającej dwadzieścia cztery godziny podróży. Raz zastukali do drzwi pewnej karczmy, gdzie karczmarz, na widok złota, które podał mu Tradescant, niechętnie pożyczył im własne konie. Za drugim razem, kiedy nie mogli wynająć koni, po prostu ukradli je ze stajni. John zostawił list do właściciela, który rano miał się dowiedzieć, że wyświadczył przysługę wielkiemu Buckinghamowi i może zgłosić się do diuka po zapłatę. Buckinghamowi rozbawiła przedsiębiorczość Tradescanta.

- Na Boga, Johnie, marnujesz się w ogrodzie - oświadczył. - Powinieneś zostać co najmniej generałem.

John uśmiechnął się, rad z pochwały.

- Powiedziałem, że was tam dowiozę, panie, i dotrzymam obietnicy - odparł po prostu.

Buckingham skinął głową.

- Już nigdy nie będę podróżował bez ciebie. Zbliżał się świt, kiedy zmęczeni wjechali na podjazd przed wielkimi drzwiami Theobalds Palace. Ciemne okna królewskiej rezydencji spojrzały na nich z wysoka. John zerknął w górę, gdzie wielkie okno z wykuszem wyglądało

226

jak pokład rufowy na żaglowcu. Poprzez szpary w okiennicach sączył się blask licznych świateł.

- W królewskiej komnacie czuwają - powiedział. - Mam pójść pierwszy?

- Idź i zobacz - rozkazał Buckingham. - Jeżeli król śpi, umyję się i odpocznę. Jutro może być dla mnie wielkim dniem.

John sztywno zsiadł z konia. Pożyczone, mokre od potu i krwi bryczesy przyklepiły mu się do pocieranych ud. Skrzywił się z

bólu i poszedł na ugiętych nogach do pałacu, schodami w górę, a potem do królewskich apartamentów. Wartownik zagroził mu drzwiami halabardą.

- Jestem John Tradescant - warknął ogrodnik. - Przyjechałem z diukiem. Przepuść mnie.

Wartownik stanął na baczność i John wszedł do komnaty. Było tam z pół tuzina lekarzy oraz kilkanaście akuszerok i znachorek-zielarek. W pokoju panowała wesołość przemieszana z desperacją. Jedni dworzanie drzemali w kątach, inni grali w karty i pili.

Wszyscy odwrócili się, gdy John wszedł do środka, brudny po podróży i zmęczony.

- Czy król nie śpi? - zapytał. - Przywiozłem diuka.

Przez chwilę wydawało się, że nikt tego nie wie. Wszyscy byli tak pochłonięci rozmowami o chorobie monarchy i oczekiwaniem na jego powrót do zdrowia, że w tym momencie nikt się nim nie zajmował. Jeden z lekarzy podszedł cichutko do drzwi sypialni i zajrzał do środka.

- Nie śpi - rzekł. - I jest niespokojny.

John skinął głową i wrócił do sieni. Za sobą usłyszał szelest szat, kiedy dworzanie przygotowali się na spotkanie z największym spośród siebie - George'em Villiersem.

Diuk siedział na krześle w sieni, z kielichem zaprawionego korzeniami wina w ręce; jakiś chłopiec klęczał przed nim, czyszcząc mu buty z błota.

- Nie śpi - oznajmił John lakonicznie.

- Pójdę na górę - oświadczył Buckingham. - Ilu ludzi jest przy nim?

- Ze dwudziestu - rzekł John. - Nikogo ważnego. Zmęczony Buckingham zaczął wchodzić po schodach.

- Dopilnuj, żeby przygotowali dla mnie łożo - rzucił przez ramię.

- I każ postawić łożko dla siebie w mojej komnacie.

227

Chcę mieć cię blisko, Johnie, w tych dniach mogę być bardzo zajęty.

John nalał sobie kieliszek wina z butelki diuka i poszedł wykonać

jego polecenia.

Królewscy domownicy i słudzy zaczynali się podnosić, chociaż wielu wcale nie spało. Mówiono, że król zachorował na polowaniu. Początkowo była to lekka gorączka, która powinna szybko minąć, ale się wzmogła i Jakub zaczął bredzić. Bał się o swoje życie, czasami śniło mu się, że znów jest w Szkocji i musi nosić klejonkę pod ubraniem, żeby uniknąć noża mordercy, czasami błagał o wybaczenie wrogów, których uwięził pod jakimś pretekstem, a potem kazał powiesić, rozerwać końmi i poćwiartować. Kiedy indziej śnił o czarownicach, czyhających, jak sądził, na jego życie, o niewinnych staruszkach, które kazał utopić lub udusić. Czasami, najbardziej żałośnie, wzywał swoją matkę, biedną Marię Szkocką, i błagał ją o wybaczenie, że pozwolił, by poszła pod katowski topór w Fotheringay bez słowa otuchy od niego, chociaż słała list za listem do ukochanego syna i nigdy nie zapomniała niemowlęcia, którym kiedyś był.

- Ale czy on wyzdrowieje? - zapytał John jedną ze służebnych.

- To tylko malaria - odparła. - Dlaczego nie miałby wyzdrowieć?

John skinął głową i poszedł do komnaty diuka. Zimny marcowy świt zmieniał kolor nieba z czarnego na szary, szron bielił się na tarasach. John oparł łokcie na parapecie i patrzył na znajome punkty orientacyjne w Theobalds, na swój pierwszy wielki ogród wyłaniający się z mgły. W oddali widział zagajniki, gdzie konary drzew były teraz nagie i zimne; a pod nimi, głęboko w zamarznętej ziemi, tkwiły cebulki żonkili. Zasadził je wtedy dla króla, który był teraz starcem, i żeby sprawić przyjemność swemu panu, który już od dawna nie żył.

Zastanawiał się, co pomyślałby Cecil o jego nowym panu, czy pogardzałby Buckinghamem, czy też go podziwiał. Zapytywał się w duchu, gdzie teraz jest Cecil; pewnie w jakimś ogrodzie, pomyślał, we wspaniałym ostatnim ogrodzie, gdzie zawsze kwitną kwiaty. Ogarnęła go

228

wielka czułość do pana, którego stracił, i do ogrodu, który obaj kochali.

Potem drzwi się otworzyły i Buckingham wszedł do komnaty.

- Na miłość boską, zamknij okno, Johnie! - warknął. - Jest mróz! Tradescant usłuchał i czekał.

- Prześpij się trochę - polecił diuk. - A kiedy się obudzisz, chcę, żebyś pojechał do Londynu po moją matkę.

- Mogę to zrobić teraz - zaproponował John.

- Odpocznij - powiedział Buckingham. - Pojedź zaraz po przebudzeniu, kiedy będziesz zdatny do drogi. Przekaż jej tę wiadomość, nie napiszę jej. - Podszedł do Johna i odezwał się bardzo cicho: - Powiedz jej, że król jest chory, ale jeszcze nie umiera i że bardzo jej potrzebuję. Bardzo. Rozumiesz?

John się zawahał.

- Rozumiem te słowa i mogę je powtórzyć. Ale nie mam odwagi myśleć o tym, co oznaczają.

Buckingham skinął głową.

- Johnie, mój Johnie - rzekł miękko - tego właśnie pragnę. Tylko zapamiętaj moje słowa, a resztę zostaw mnie. - Spojrzał prosto w pełne niepokoju oczy ogrodnika. - Kochałem króla jak własnego ojca - mówił przekonująco. - Chcę, żeby pielęgnowano go z miłością i szacunkiem. Tamten tłum nie zostawi go w spokoju, torturują go lekami, puszczają mu krew, przewracają go, nalepiają wezykatorię, wywołują poty, ziębią go. Chcę, żeby przyjechała tu moja matka i pielęgnowała go starannie. Ma doświadczenie w opiece nad chorymi. Będzie wiedziała, jak złagodzić jego ból.

- Zaraz ją sprowadzę - oświadczył John.

- Teraz odpocznij, ale ruszaj zaraz po przebudzeniu -powtórzył diuk i cicho wyszedł z komnaty.

John ściągnął pożyczone bryczesy z obolałych pośladków, runął na nędzne wyrko i spał bite sześć godzin.

Kiedy się obudził, minęło już południe. Ktoś postawił dzbanek z wodą i miskę na skrzyni z ciemnego drewna w głowach jego łóżka. John umył się, a potem wyjął ze skrzyni

229

zapasowe ubranie. Włożył czystą koszulę i spodnie, ale nie zwracał sobie głowy goleniem. Hrabina musi to zaakceptować.

Zszedł cicho ze schodów i wyjrzał na dziedziniec przed stajnią.

- Potrzebuję dobrego konia - powiedział do głównego stajennego.

- Mam coś załatwić dla diuka.

- Mówił, że pojedziesz - odparł stajenny. - Czeka na ciebie osiodłany wierzchowiec, a chłopiec będzie ci towarzyszył przez część drogi, żeby przyprowadzić konia z powrotem do Theobalds, kiedy będziesz musiał go zmienić. W jakim kierunku jedziesz?

- Do Londynu - odrzekł lakonicznie John.

- W takim razie dojedziesz tam na tym koniu. Jest silny jak wół. -

Stajenny zauważył, że John sztywno stąpa. - Chociaż nie wyobrażam sobie, że będziesz galopował.

Tradescant skrzywił się i sięgnął do siodła.

- Do jakiego miejsca w Londynie? - pytał dalej stajenny.

- Do portu - skłamał na oczekaniu John. - Diuk kazał sprowadzić jakieś ciekawe rzeczy z Indii, które mogą zabawić króla i odwrócić jego uwagę od choroby. Mam je przywieźć.

- A więc jego królewska mość czuje się lepiej? - zapytał stajenny. - Dziś rano mówili, że jego stan się poprawia, ale nie byłem tego pewien. Rozkazał przeprowadzić swoje konie do Hampton Court, więc pomyślałem, że musi czuć się lepiej.

- Tak, lepiej - potwierdził John.

Stajenny puścił wodze i koń cofnął się nieco. John pochylił się do przodu, by choć trochę ulżyć obolałym mięśniom, i puścił wierzchowca najłagodniejszym klusem, jaki mógł mu narzucić.

Hrabina przebywała w wielkim londyńskim domu swego syna.

Tradescant najpierw poszedł do stajni i rozkazał zaprząć powóz, a potem udał się do domu. Matka diuka była postawną, starszą kobietą, o długich ciemnych rzęsach jak u jej syna, ale całkowicie pozbawioną jego wdzięku. W młodości słynęła z wielkiej urody, wyszła za mąż dzięki swej piękności i choć wywodziła się z pospólstwa,

230

jednym skokiem znalazła się wśród dobrze urodzonych. Lecz walka o zyskanie sobie szacunku szlachty i arystokracji pozostawiła na niej niezatarty ślad, na jej twarzy zawsze malowała

się determinacja; gdy odpoczywała, wyglądała na zgorzkniałą. John powtórzył szeptem prośbę diuka, a hrabina skinęła głową w milczeniu.

- Zaczekaj na mnie na dole - rozkazała krótko.

John zszedł do sieni i posłał napotkanego sługę po wino, chleb i ser. Niebawem lady Villiers ukazała się na schodach, otulona w podróżną pelerynę, trzymając przy nosie aromatyczną kulkę, mającą chronić przed zakażonym powietrzem Londynu. W ręku miała niewielką szkatułkę.

- Pojedziesz przodem, żeby wskazywać drogę mojemu woźnicy.

- Jak sobie życzysz, milady. - Wstał sztywno. Minęła go, ale kiedy wsiadła do powozu, szybko przywołała Johna gestem.

- Usiądź także, konia możesz przywiązać z tyłu.

- Mogę jechać - zaproponował Tradescant.

- Jesteś zgięty wpół z bólu - zauważyła. - Usiądź tam, gdzie będzie ci wygodnie. Na nic się nie przydasz mojemu synowi ani mnie, jeżeli będziesz krwawił z tuzina otartych miejsc.

John wdrapał się na kozioł i usiadł obok stangreta.

- Spostrzegawcza z niej kobieta - zauważył.

Stangret skinął głową i czekał, aż drzwi powozu zostaną zamknięte. John zauważył, że tamten trzyma lejce niezdarnie, gdyż zacisnął palce w figę: był to starodawny gest chroniący przed czarami.

Po zimie drogi były w kiepskim stanie i ciężki powóz grzązł w błocie. W sercu Londynu żebracy błagalnie wyciągali ku nim ręce. Niektórzy mieli na twarzy różowe blizny, znak, że przeżyli zarazę. Woźnica jechał środkiem ulicy z jednakową szybkością, zmuszając ich, by odskakiwali do tyłu.

- Ciężkie mamy czasy - zauważył John, wdzięczny

Buckinghamowi za domek w New Hall. To właśnie dzięki młodemu diukowi Elizabeth i Mały J byli bezpieczni, z dala od tych groźnych ulic.

231

- Osiem lat złych zbiorów, a na tronie król, który zapomniał o swoich obowiązkach - warknął gniewnie stangret.

- A czego się spodziewał?

- Nie spodziewałem się, że od człowieka z domu diuka usłyszę słowa, które można poczytać za zdradę! - odparł John. - I nie będę ich słuchał!

- Powiem ci tylko jedno - oświadczył stangret. - Jego własna córka\* i jej mąż, chrześcijański książe, zostali zrzućeni z tronu przez papistowskie armie.

\* Elżbieta Czeska (1596-1662), córka Jakuba I, w 1613 r. wyszła za mąż za protestanckiego księcia Fryderyka z Palatynatu. Pięć lat później Czesi wybrali go na króla. Habsburgowie jednak wygnali Fryderyka i Elżbietę z Czech i zdobyli Palatynat. Fryderyk zmarł w 1632 r., a jego syn Karol Ludwik odzyskał część Palatynatu dopiero po pokoju westfalskim w roku 1648.

A król zgodził się ożenić syna z hiszpańską infantką i nadal może to uczynić, jeśli zechce. Podobno ambasador Hiszpanii ma powrócić do Anglii - i to na jego własną prośbę! I z roku na rok kraj biednieje, a dwór staje się coraz bogatszy. Nie spodziewaj się, że prości ludzie będą tańczyć na ulicach. Za często mijają ich wóz grabarza.

John potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

- Są tacy, którzy uważają, że wszyscy Anglicy powinni się dzielić zasobami swego kraju - dodał szeptem stangret.

- Są tacy, którzy sądzą, że nic dobrego nie czeka Anglii, skoro lud głoduje zimą, a bogacze chorują z przejedzenia.

- Taka jest wola Boża - nie ustępował John. - I nic więcej nie powiem. Występowanie przeciw królowi to zdrada, występowanie przeciwko ustalonemu porządkowi rzeczy zakrawa na herezję. Gdyby twoja pani cię usłyszała, znalazłbyś się na ulicy. I ja również, za to, że cię słuchałem.

- Dobry z ciebie sługa - powiedział z szyderyczym uśmiechem stangret. - Nawet w myślach jesteś posłuszny swemu panu.

John posłał mu twarde, ponure spojrzenie.

- Jestem dobrym sługą - powtórzył. - I szcycę się tym. I oczywiście jestem mu posłuszny nawet w myślach. Myślę, żyję i modlę się dla niego. Czyż mogłoby być inaczej? Czyż powinno



być inaczej?

232

- Są inne sposoby - rzekł stangret. - Mógłbyś myśleć, żyć i modlić się dla siebie.

John potrząsnął głową.

- Przysiągłem mu posłuszeństwo - odparł. - Nie złamię tej przysięgi i nie zamienię siekierki na kijek. Diuk jest moim panem, uważam tak sercem i duszą. I wybacz, że to mówię, ale byłbyś szczęśliwszym człowiekiem, gdybyś mógł powiedzieć to samo. Stangret pokręcił głową i zapadł w ponure milczenie. John otulił się pożyczoną opończą, zasnął i obudził się dopiero, gdy już podjeżdżali do Theobalds Palace wielką aleją obsadzoną jesionami i lipami, których pnie u dołu tonęły w morzu żonkili.

Powóz zatrzymał się przed drzwiami i sam diuk wyszedł, by powitać matkę.

- Dziękuję ci, Johnie - rzucił przez ramię i zaprowadził hrabinę do pałacu, do komnat króla.

- Czy królowi się polepszyło? - zapytał John jakiegoś sługę, kiedy wnoszono na górę skrzynię hrabiny.

- Jego stan się poprawia - odrzekł tamten. - W południe zjadł trochę zupy.

- W takim razie przejdę się po ogrodzie - John skinął głową w stronę drzwi i porywającego widoku za nimi. - Gdyby mój pan mnie wzywał, znajdziesz mnie w łaźni lub na pagórku. Nie byłem tu od wielu lat.

Wyszedł z pałacu i ruszył w stronę pierwszego z pięknych parterów węzłowych. Trzeba je wypielić, pomyślał, a potem uśmiechnął się do siebie. Nie było to już jego zielsko, ale królewskie.

Tego wieczoru zobaczył Buckinghama przed kolacją.

- Jeśli nie jestem wam potrzebny, panie, wrócę jutro do domu - rzekł. - Nie zawiadomiłem żony, że wyjeżdżam, i mam dużo do roboty w ogrodzie w New Hall.

Buckingham skinął głową.

- Kiedy będziesz jechał przez Londyn, sprawdź, czy mój statek

przyplłynął z Indii - poleciał. - Chciałbym, żebyś nadzorował wyładunek towarów. Kazałem przywieźć dużo kości słoniowej i jedwabiu. Możesz zawieźć te rzeczy bezpiecznie do New Hall i dopilnować, żeby wszystko

233

umieszczono w moich komnatach. Zakładam kolekcję rzadkich i kosztownych przedmiotów. Książę Karol ma swoich żołnierzyków, czy ich widziałeś? Strzelają z armat i można ich ustawić w szyku bitewnym. To wspaniała zabawa. Ja też chciałbym mieć trochę pięknych rzeczy.

- Mam czekać w Londynie, aż przyplłyną towary z Indii?

- Jeśli zechcesz - powiedział słodko Buckingham. - Jeżeli pani Tradescant pozwoli ci na tak długą nieobecność.

- Wie, że służba dla was, panie, ma pierwszeństwo - odparł John. - Jak się dziś czuje król? Wciąż lepiej?

Buckingham spoważniał.

- Gorzej - wyjaśnił. - Zapadł na malarię, a nie jest młody i nigdy nie był silny. Dzisiaj spotkał się w cztery oczy z księciem i przypomniał mu o jego obowiązkach. Przygotowuje się, myślę, że naprawdę się przygotowuje. Moim obowiązkiem jest zapewnić mu spokój, żeby mógł odpocząć.

- Słyszałem, że czuje się lepiej - powiedział ostrożnie John.

- Ogłaszamy optymistyczne komunikaty, ale nie mogą one ukryć prawdy, że król jest stary i że gotuje się na spotkanie ze śmiercią. John uklonił się, wyszedł z komnaty i skierował się do wielkiej sali na kolację.

W pałacowej sieni panował harmider. Pół tuzina lekarzy, których John wcześniej widział w królewskiej komnacie, wzywało swoich służących, każąc przyprowadzić konie. Dworzanie domagali się krzykliwie, żeby przygotowano im powozy, i żądali prowiantu na drogę.

- Co się dzieje? - zapytał John.

- To wszystko wina twojego pana - odparła krótko jakaś kobieta. - Wyrzucił sprzed królewskiego oblicza wszystkich lekarzy oraz pół dworu. Powiedział, że zbyt niepokoją jego królewską mość

hałasami i grą, i oświadczył, że lekarze to durnie.

John wyszczerzył zęby w uśmiechu i cofnął się, by popatrzeć, jak wszyscy odjeżdżają w wielkim zamieszaniu.

- Pożałuje tego! - wrzasnął jakiś medyk do drugiego. - Sam go ostrzegłem, że jeśli jego królewska mość będzie cierpiał, a nas nie będzie w pobliżu, pożałuje, że tak nas obraził!

234

- Nie słucha niczyich rad! Ostrzegłem go, ale wypchnął mnie z komnaty!

- Wyrwał mi fajkę z ust i połamał - wtrącił jakiś dworzanin. - Wiem, że król nie znosi dymu, ale to przecież chroni przed zarażeniem. A zresztą jak jego królewska mość mógłby wyczuć dym w drugiej komnacie? Napiszę do księcia i poskarżę się na sposób, w jaki mnie potraktowano. Służę na dworze od dwudziestu lat, a on wypchnął mnie za drzwi, jak gdybym był chłopcem stajennym!

- Wypędził z królewskiej sypialni wszystkich z wyjątkiem jednej zielarki i swojej matki - wtrącił jakiś mężczyzna. - I przysięga, że król będzie miał ciszę i spokój i że nikt nie będzie mu przeszkadzał. Jak gdyby najjaśniejszy pan nie powinien przez cały czas przebywać w otoczeniu swego ludu!

John zostawił ich i wolno poszedł na kolację. Buckingham i jego matka siedzieli przy najwyższym stole; z szacunku dla króla jego miejsce pozostało puste. Księżę Karol siedział obok pustego miejsca, pochylony w stronę diuka.

- Tak, muszą rozważyć wiele spraw - powiedział półgłosem jakiś mężczyzna i usiadł obok Johna.

John wziął z talerza na środku stołu kilka smacznych pszennych bułek i duży kawał pieczonego bażanta. Strzelił palcami do przechodzącej służebnej, by naląła mu wina.

- Co tu robi hrabina Villiers? - zapytał jakiś sługa. - Król jej nie cierpi.

- Najwyraźniej pielęgnuje króla. Odesłano lekarzy i milady ma się nim opiekować.

- To dziwny wybór - orzekł inny mężczyzna. - Przecież on nie

może znieść jej widoku.

- Stan króla się poprawia - dodał jeszcze inny sługa, przysuwając stołek. - Diuk słusznie postąpił, odsyłając tych durniów. Jego królewska mość miał gorączkę - ale! - przecież wszyscy mieliśmy jakąś gorączkę. I jeśli hrabina Villiers zna lekarstwo, które wyleczyło diuka, czyż nie powinna zaoferować go królowi? Słudzy spojrzeli na Johna.

- To ty ją przywiozłeś? - zapytał któryś.

235

John rozkoszował się smakiem pieczonego bażanta.

- Już prawie o tym nie pamiętam - powiedział z pełnymi ustami. - Wiecie, że to pierwszy prawdziwy posiłek, jaki jem od półtora dnia? Niedawno budowałem zaporę na sadzawce w Essex. A teraz jestem z powrotem w Theobalds. I jem wspaniały posiłek. Jeden z siedzących obok Tradescanta mężczyzn wzruszył ramionami i parsknął śmiechem.

- Tak - rzekł. - Nie wydobędziemy od ciebie żadnych tajemnic. Wszyscy wiemy, kto jest twoim panem, i wiemy, że dobrze mu służysz, Johnie Tradescant. Mam nadzieję, że nigdy tego nie pożałujesz!

John przeniósł spojrzenie na najwyższy stół, gdzie diuk Buckingham pochylał się do przodu, żeby zawołać któregoś z dworzan. Światło świec otoczyło jego czarne kędziory czerwonawą aureolą, twarz miał jasną i rozpromienioną jak dziecko.

- Nie - powiedział John z przejęciem. - Nigdy tego nie pożałuję. Tradescant pozostał dłużej w wielkiej sali, pijąc ze sługami przy swoim stole. O północy niepewnym krokiem skierował się do komnaty diuka.

- Gdzie śpisz? - zapytał jeden z kompanów od kielicha.

- Z moim panem.

- O, tak - powiedział tamten uszczypliwie. - Słyszałem, że jesteś jego faworytem.

John odwrócił się błyskawicznie i wbił w niego wzrok. Tamten wytrzymał jego spojrzenie, patrząc nań pytająco, obelżywie. John

powiedział coś porywczo i już miał uderzyć zuchwalca, kiedy jakaś służebna przebiegła między nimi z nocnikiem w ręku.

- O co chodzi? - zapytał John.

- O króla! - zawołała. - Gorączka wzrosła, a jego mocz jest niebieski jak atrament. Ma straszne mdłości. Pyta o swoich medyków, ale tylko lady Villiers go pielęgnuje.

- Pyta o medyków? - zapytał sługa. - W takim razie diuk powinien kogoś po nich posłać, sprowadzić ich z powrotem.

- Zrobi to - powiedział niepewnie John. - Musi to zrobić.

236

Poszedł do komnaty Buckingham. Diuk siedział przy oknie i patrzył w swoje odbicie w zaciemnionej szybie, jakby szukał w nim odpowiedzi na jakieś pytanie.

- Mam pojechać po lekarzy? - zapytał cicho John. Diuk potrząsnął głową.

- Jest pod dobrą opieką - oświadczył. - Gdyby ktoś cię o to pytał, Johnie, możesz powiedzieć, że jest pod dobrą opieką. Potrzebuje odpoczynku, a nie chmary natrętów, którzy zamęczą go na śmierć.

- Powiem im - odparł John. - Ale oni mówią, że wzywa swoich lekarzy i że wasza matka, panie, nie jest jego ulubienicą.

Diuk się zawahał.

- Coś jeszcze?

- To dość - ostrzegł go Tradescant. - Więcej niż dość.

- Idź spać - polecił łagodnie diuk. - Ja sam położę się za minutkę.

John zdjął spodnie i buty, położył się w koszuli i prawie natychmiast zasnął.

Wczesnym rankiem ktoś zaczął walić w drzwi komnaty. John obudził się, wyskoczył z łóżka i pobiegł nie do drzwi, ale do łóżka diuka, żeby stanąć między nim a nieznanym intruzem. Odsunął zasłony łóżka i zobaczył, że Buckingham nie śpi, lecz leży z otwartymi oczami, jakby czekał w milczeniu, iakby nie spał i czekał przez całą noc.

- Wszystko w porządku, Tradescant - powiedział. - Możesz otworzyć drzwi.

- Wasza wysokość! - krzyknął ktoś. - Musicie zaraz przyjść!

Buckingham wstał z łóżka i zarzucił opończę.

- O co chodzi? - zawołał.

- To król! Król!

Diuk skinął głową i szybko wyszedł z komnaty. John włożył spodnie i kamizelę i pobiegł za nim.

Buckingham wszedł szybko do przedpokoju królewskiej sypialni, ale Johnowi wartownicy zagrodzili drogę.

- Jestem z moim panem - wyjaśnił Tradescant.

- Nikt tu nie wchodzi poza księciem i Villiersami: matką i synem

- odrzekł wartownik. - To jego rozkazy.

237

John cofnął się i czekał.

Drzwi otworzyły się i wyjrzał Buckingham. Twarz miał bladą i poważną.

- Och, Johnie, jesteś tu. To dobrze. Poślij kogoś zaufanego po jego eminencję biskupa Winchesteru. Król go wzywa.

John uklonił się i odwrócił.

- I wróć tutaj - rozkazał diuk. - Jesteś mi potrzebny.

- Tak jest - odparł John.

Dworzanie przez cały dzień mówili przyciszonymi głosami. Jego królewska mość czuł się gorzej, nie było co do tego wątpliwości. Mówiono jednak, że hrabina Villiers jest dobrej myśli. Przylepiła inny plaster, bo król gorączkował, ale była pewna, że ta kuracja wyciągnie z niego chorobę.

Wieczorem nadeszła wiadomość, że biskup Winchesteru jest zbyt chory, by podróżować.

- Przywieź mi innego biskupa - powiedział Buckingham do Johna. - Każdy przeklęty biskup się nada. Przywieź mi najbliższego, jak najszybciej. Ale przywieź jakiegoś biskupa!

John zbiegł do stajni i wysłał trzech służących do trzech różnych biskupich pałaców z trzema naglącymi posłaniami, a potem wrócił do galerii za królewskimi apartamentami, żeby czekać na diuka.

Usłyszał długi, cichy jęk człowieka bardzo cierpiącego. Drzwi otworzyły się i wyszła z nich lady Villiers.

- Na co tu czekasz? - zapytała ostro. - Dlaczego podsłuchujesz?

- Czekam na mojego pana - odpowiedział spokojnie John. - Tak jak mi polecił.

- No cóż, trzymaj innych z daleka - rozkazała. - Król cierpi, nie potrzebuje wścibskich dworzan czy sług.

- Czy jego królewska mość czuje się lepiej? - zapytał Tradescant.

- Czy gorączka spadła?

Rzuciła mu dziwny, krzywy uśmiech.

- Czuje się już dobrze - odparła.

Gorączka nie spadła. Król leżał, pocąc się i wołając o pomoc jeszcze przez dwa dni. Buckingham powiedział Johnowi,

238

że może wrócić do New Hall. Tradescant jednak nie chciał odjechać, póki nie zobaczy, czym to wszystko się skończy.

Dworzanie i damy chodzili na palcach, przestali flirtować i grać w karty. Przygnębionego młodego księcia otaczała aura milczenia - dokądkolwiek poszedł, wszyscy cichli i chylili głowy. Dworzanie pragnęli mu się przypodobać; wcześniej jedni stawali po stronie króla przeciw Karolowi, drudzy śmiali się z niego, kiedy był nieśmiałym, słabowitym młodszym synem. A teraz stał się przyszłym władcą Anglii i tylko Buckingham dokonał całkowicie niewiarygodnego wyczynu: został największym przyjacielem zarówno ojca, jak i syna.

Buckingham był wszędzie. W sypialni chorego króla, czuwając przy jego łożu, i w ogrodzie, spacerując z księciem Karolem.

Krażył wśród dworzan, rzucając tu słowo otuchy, a tam starannie przemyślaną obelgę.

Biskup Lincolnu przybył ze swego pałacu i wprowadzono go do króla. Z królewskiej sypialni dotarły wieści, że najjaśniejszy pan, zbyt chory, żeby mówić, wyraził zgodę na modlitwy, wznosząc oczy ku niebu. Chciał umrzeć jak prawdziwy syn Kościoła anglikańskiego.

Tamtej nocy John leżał w komnacie Buckinghamama, słuchając cichego oddechu swego pana, i nagle zdał sobie sprawę, że diuk udaje i wcale nie śpi. O północy Buckingham wstał z łoża, ubrał się po ciemku i cicho wyszedł z sypialni. John, wybity ze snu,

usiadł na swoim wyrku i czekał.

Usłyszał odgłos szybkich kobiecych kroków w korytarzu, a potem stukanie do drzwi.

- Panie Tradescant! Diuk pana wzywa!

John wstał, włożył spodnie i pośpieszył do komnaty królewskiej. Buckingham stał przy oknie, patrząc na ogród. Kiedy oderwał wzrok od nocnego mroku i odwrócił się w stronę Tradescanta, na jego twarzy malowało się podniecenie.

- Stało się! - rzekł lakonicznie. - Nareszcie. Obudź biskupa i przyprowadź go po cichu. A potem obudź księcia.

John poszedł przez labirynt wykładanych boazerią korytarzy, zastukał do drzwi biskupa i zmusił zaspanego sługę, by obudził jego eminencję. Kiedy biskup wyszedł z komnaty, odziany w szaty liturgiczne, trzymając Biblię

239

króla Jakuba\*, John poprowadził go przez korytarz dla służby, obok śpiących mężczyzn i psów, które warczały cicho, gdy je mijali.

\* Za rządów Jakuba I dokonano przekładu łacińskiego tekstu Biblii na angielski.

Drogę oświetlały im tylko blask ognia i srebrzysta księżycowa poświata wpadająca przez wielkie, wysokie okna.

Biskup wszedł do królewskiej sypialni. John pobiegł szerokim, wykładanym boazerią korytarzem do komnat księcia Karola.

Zapukał do drzwi i szepnął przez dziurkę od klucza:

- Wasza wysokość! Proszę się obudzić! Diuk polecił mi przyprowadzić waszą wysokość.

Drzwi otworzyły się i Karol wyszedł szybko, ubrany tylko w koszulę nocną. Bez słowa pobiegł do komnaty królewskiej i zniknął za drzwiami.

W pałacu panował całkowity spokój. John czekał przed królewską sypialnią, wyteżając słuch. Usłyszał ciche, urywane mamrotanie: biskup udzielał ostatniego namaszczenia i odmawiał modlitwy.

Potem zapadła cisza.

Drzwi powoli się otworzyły i wyszedł z nich diuk Buckingham.



Spojrzał na Tradescanta i skinął głową, jakby jakieś trudne zadanie zostało dobrze wykonane. •

- Król nie żyje - powiedział. - Niech żyje jego królewska mość król Karol!\*

\* Karol I Stuart (1600-1649).

Karol stał obok niego; sprawiał wrażenie oszołomionego. Zwrócił na Tradescanta niewidzące oczy.

- Ja nic nie wiedziałem - powiedział. - Ja nie wiedziałem, co oni robili. Na Boga, nie miałem pojęcia, że twoja matka...

- Niech Bóg błogosławi waszą królewską mość - przerwał mu szybko diuk. Przykląkł, a John poszedł za jego przykładem.

- Amen - dodał Tradescant.

Karola uciszono; cokolwiek chciał powiedzieć, już nigdy nie zostało to wypowiedziane.

Rozdział Dwudziesty Piąty.

Wiosna 1625.

Trzy godziny później przy bramie Theobalds Palace księcia Karola ogłoszono królem. Później wsiadł do królewskiej karety, żeby udać się do Londynu. Buckingham, wielki koniuszy, nie postąpił zgodnie z tradycją, nie zajął honorowego miejsca na czele orszaku podążającego za królewską karetą. Zamiast tego wsiadł z Karolem, podążając tylko pół kroku za jego królewską mością i sam jechał jak książę u boku nowego władcy. Tradescant znalazł się w gromadzie sług, starając się nie słyszeć ogólnego jęku przerażenia na widok aroganckiego zachowania swego pana. Dotarli do pałacu świętego Jakuba po południu i John czekał na rozkazy. Początkowo nie mógł znaleźć komnaty Buckingham, więc zatrzymał się w sieni. W pałacu panowało ogólne zamieszanie. Spodziewano się, że król Jakub pozostanie w Theobalds na polowaniu przez wiele dni, a potem uda się do Hampton Court. Podczas nieobecności władcy pałac zamknięto, żeby go posprzątać i odnowić. W kuchniach nie było jedzenia ani ognia w kominkach. Nieliczny służby, którzy nie pojechali z królem, zabrali się do wiosennych porządków: zmiotli z podłóg słodko pachnące zioła, zdjęli zasłony z okien i gobeliny ze ścian.

Teraz słudzy i służebne biegali wszędzie, przygotowując pałac na przyjęcie nowego króla i jego świty, usiłując zrobić w kilka chwil to, co zazwyczaj zajmowało im kilka dni. Przez cały czas przeszkadzały im

241

krażące wokół plotki i domysły: nowo przybyli opowiadali, jak król zachorował, jak hrabina Villiers i jej syn pielęgowali go i odsunęli wszystkich innych, i jak król umarł pod ich opieką. Trzeba było przygotować ucztę i zarządca domu królewskiego musiał wydać całą posiadaną gotówkę i zużyć cały kredyt, który otworzył dla nowego króla, żeby kupić żywność i zapędzić kogo trzeba do kuchni - poczynając od kuchcików obsługujących miechy po wielkich kuchmistrzów. Wszyscy zajęli się przygotowywaniem i gotowaniem wymyślnych dań, aby młody monarcha mógł zasiąść do wieczerzy.

Wielki tłum londyńczyków zalał pałac, żeby zobaczyć nowego króla i pierwszego męża stanu w Anglii: diuka Buckinghamia. Biedniejsi przychodzili tylko po to, by po prostu na niego popatrzeć, lubili się bowiem przyglądać, jak jedzą wyżsi od nich stanem, nawet kiedy sami mieli puste żołądki; setki pokrzywdzonych przyszło ze skargami, które chcieli przedstawić nowemu władcy. Kiedy król Karol i diuk zaczęli się przepychać przez tłum w wielkiej sali, Tradescant musiał wycofać się za plecy krzyżących i domagających się czegoś ludzi. Ale nawet tam, kiedy walczył o miejsce w tłumie, pan dojrzał go ponad rozkołysanym morzem głów i zawołał.

- Johnie! Nadal tu jesteś? Dlaczego zostałeś?

- Czekam na rozkazy, panie.

Ludzie wyciągnęli szyje i odwrócili się, żeby zobaczyć, kto zwrócił uwagę diuka. Tradescant przepchnął się do przodu.

- Och, wybacz mi, Johnie. Byłem taki zajęty. Możesz teraz pojechać do New Hall. Po drodze zajrzyj do portu i odbierz moje towary z Indii.

- Wasza książęca mość, nie przygotowano dla was komnaty - powiedział John. - Pytałem i nie ma żadnej. Czy mam pojechać do

twego londyńskiego domu i poprosić twoją matkę, żeby ją przygotowała? A może zaczekam i pojedziemy razem do New Hall?

Buckingham spojrział ponad głowami obecnych tam, gdzie młody król szedł powoli przez tłum, wyciągnąwszy rękę, by poddani mogli ją pocałować, i odpowiadając

242

na ich ukłony lekkimi skinieniami głowy. Kiedy zauważył, że diuk go obserwuje, przez jego twarz przemknął konfidencjonalny, porozumiewawczy uśmiech.

- Dziś w nocy będę spał w komnacie jego królewskiej mości - odparł gładko diuk. - Będę mu potrzebny.

- Ale tam jest tylko jedno łóżko... - zaczął John i ugryzł się w język. Oczywiście zawsze można dostawić składane łóżko. Albo dwaj mężczyźni mogą wygodnie spać na wielkim królewskim łóżu. Król Jakub nigdy nie spał sam, dlaczego miałby tak czynić jego syn, jeśli pragnął towarzystwa? - Oczywiście, panie - odparł, uważając, żeby żadna z tych myśli nie odbiła się na jego twarzy. - Pozostawię was, jeśli dobrze wam tu służą.

Buckingham posłał Johnowi słodki, zadowolony uśmiech.

- Nie mogą lepiej.

John ukłonił się, przecisnął na koniec wielkiej sali i wyszedł w mrok. Później zarzucił na ramiona pożyczoną opończę i skierował się do stajni. Wprawdzie konie były zmęczone po całodziennym podróży, ale Tradescant nie zamierzał jechać szybko. Wybrał wierzchowca, który wyglądał na spokojnego, i dosiadł go.

- Kiedy pan do nas wróci, panie Tradescant? - zapytał jakiś stajenny.

John potrząsnął głową.

- Wracam do mojego ogrodu - odparł.

- Wygląda pan na chorego - zauważył tamten. - Nie zaraził się pan malarią, jak król?

John pomyślał przez chwilę o długoletniej, rozpaczliwej miłości króla do Buckinghama i sieci półprawd i oszustw, które stanowiły centrum życia na dworze.

- Może trochę - powiedział.

Skierował konia na wschód i zjechał do portu. Tylko jeden transport towarów czekał na wyładowanie. John dopilnował, żeby przeniesiono wszystko na wóz, i polecił woźnicy jechać za sobą do New Hall. Przez cały czas irytował go głośny turkot kół, gdy furgon włókł się po błotnistych drogach. Nacisnąwszy kapelusz na oczy i podniósłszy kołnierz opończy dla osłony przed zimnym, wiosennym deszczykiem, John siedział ciężko w siodle, starając się

243

skupić myśli na przypadających na tę porę roku zadaniach - sadzeniu roślin i wyrywaniu chwastów. Nie chciał myśleć o nowym królu, o jego wielkim przyjacielu diuku Buckinghamie, ani o starym monarsze, zdrowym mężczyźnie, który miał tylko pięćdziesiąt dwa lata i który, choć nie zapadł na śmiertelną chorobę, zmarł pod opieką tych trojga, kiedy odesłano lekarzy. Jeżeli popełniony został jakiś zły uczynek, są ludzie, których obowiązkiem jest wnieść oskarżenie. Nie do Johna należy osądzanie własnego pana czy króla, nawet prywatnie, w jego własnym, niespokojnym sumieniu.

Zresztą on, John, nie umiałby być nielojalny. Jeśli popełniono zbrodnię, musi o niej zapomnieć. Nie mógł kochać swego pana i służyć mu wiernie, a jednocześnie być jego sędzią. Musiał ofiarować mu miłość i zaufanie i służyć ślepo, jak służył Cecilowi - panu, który wprawdzie nagiął wszelkie prawa, ale któremu można było zaufać, że działa tylko w interesie własnego kraju. John dotarł do domu w chłodnym blasku wczesnego wieczoru i znalazł Elizabeth w kuchni, gdzie przygotowywała kolację dla syna.

- Wybacz - powiedział krótko, wchodząc do domu i całując ją w rękę. - Odwołano mnie w pośpiechu i nie miałem czasu na posłanie ci wieści. Później działy się wielkie sprawy i nadal brakowało mi czasu.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem, ale nie dostrzegł, jak zawsze, ciepła w jej oczach.

- Powiedziano mi, że bez uprzedzenia pojechałeś z diukiem do Theobalds - odrzekła. - Zrozumiałam, że on posłał cię z jakimś zadaniem. - Tradescant zauważył, że położyła lekki nacisk na słowo „on”, i zdał sobie sprawę, że ma chęć na kłótnię.

- On jest moim panem - powiedział szorstko. - Więc gdzie indziej miałbym być?

Wzruszyła lekko ramionami i odwróciła się z powrotem do ognia. Garnek wiszący nad płomieniami kipiał, kawałki mięsa wynurzały się z tłustego sosu. Elizabeth przytrzymała go ręką owiniętą w ścierkę i zamieszała jedzenie dużą łyżką.

- Powiedziałem, że jest mi przykro, iż cię nie zawiadomiłem  
244

- nie ustępował Tradescant. - Co więcej mogłem zrobić?

- Nic więcej - powiedziała dobitnie. - Ponieważ wolałeś jechać z nim i pojechałeś.

- Nie wolałem.

- Nie odmówiłeś.

- Jest moim panem.

- Wiem o tym, wiem!

- Jesteś o niego zazdrosna! - wykrzyknął Tradescant. - Myślisz, że za bardzo jestem mu oddany! Myślisz, że traktuje mnie jak sługę, wzywa i wykorzystuje wtedy, kiedy mnie potrzebuje, a potem odsyła z powrotem do ogrodów, gdy ma już dosyć moich usług! Elizabeth wyprostowała się; jeden policzek miała zaczerwieniony od ognia, ale drugi był blady i zimny.

- Nic takiego nie powiedziałam - odrzekła z naciskiem. - Ani, jeśli już o to chodzi, wcale tak nie myślę.

- Myślisz, że wplątuje mnie w swoje spiski i haniebne uczynki - upierał się Tradescant. - Wiem, że go o to podejrzewasz.

Wzięła hak, odsunęła łańcuch od ognia, zdjęła garnek i ustawiła go ostrożnie na kamieniu paleniska. Pracowała w milczeniu, pochłonięta tym, co robi, jakby nie chciała, żeby mąż naruszył jej spokój.

- Tak myślisz! - ciągnął Tradescant. - Podejrzewasz jego i podejrzewasz mnie.

Nadal milcząc, wzięła trzy miski i deseczkę. Pokroiła upieczony w domu bochenek chleba na trzy równe części, a potem na chwilę pochyliła nad nim głowę. Następnie wzięła wielką łyżkę, naląła rosółu, nałożyła mięsa do każdej miski i zaniósła je na stół.

- Widziałem w tych dniach rzeczy, których nie powierzono by nikomu innemu - odezwał się zaczepnym tonem John. - Rzeczy, o których nie opowiedziałbym nikomu, nawet tobie. Widziałem rzeczy, które, gdyby chodziło o innego człowieka, dałyby mi do myślenia. Zajmowałem się sprawami, w których ufa tylko mnie. Ufa tylko mnie jednemu. A jeśli - kiedy już mnie nie potrzebuje - odsyła mnie do ogrodów, jest to część naszej umowy. Trwam u jego boku, gdy potrzebuje kogoś, komu ufa tak, jak nikomu innemu.

245

Kiedy jest bezpieczny w porcie, każdy może mu służyć. Elizabeth położyła na stole trzy noże i trzy łyżki, przysunęła swój stołeczek i pochyliła głowę. A potem czekała, aż mąż usiądzie. John opadł na stołek, nie umywszy rąk i nie odmówiwszy modlitwy, i ponuro zamieszał łyżką rosół.

- Myślisz, że jest winny - powiedział nagle. Podniosła ku niemu całkowicie spokojną, jasną twarz.

- Mężu, ja nic nie myślę. Błagałam cię kiedyś, żebyśmy opuścili to miejsce, ale ty nie chciałeś. Powierzyłam więc mój lęk Bogu w modlitwie. Pozostawiłam go Bogu. Ja nic nie myślę.

Ale John dążył do wszczęcia kłótni lub wyznania tego, co ciążyło mu na sercu.

- To kłamstwo. Myślisz, że byłem przy tym, że byłem świadkiem czynów, które mogą go zniszczyć, czynów, które są straszną zbrodnią, najstraszniejszą na świecie, i że on mnie bałamuci, żeby mnie w sobie rozkochać, by mnie schwytać w pułapkę miłości, a potem sam zostanę w to wmieszany!

Potrząsnęła głową i zanurzyła łyżkę w rosole. Tradescant odsunął miskę, nie mogąc jeść z powodu gniewu i wyrzutów sumienia.

- Myślisz, że byłem współuczestnikiem morderstwa! - syknął. - Zabójstwa. I że to nie daje mi spokoju, i że zamartwiam się na

śmierć! Że wróciłem do domu z wymalowanym na twarzy poczuciem winy! Myślisz, że wróciłem z plamą na duszy! I że nawet po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem, zasłaniając oczy i zatykając uszy na to, co mogłem zobaczyć i usłyszeć, że nawet wtedy nie zatrzymał mnie u swego boku, ale wykorzystał, żeby wspiąć się po moim grzbiecie coraz wyżej i wyżej, i że tej nocy śpi obok króla i odsyła mnie tylko z rozkazem powrotu!

Elizabeth zakryła oczy ręką, nie chcąc patrzeć na znękaną twarz męża, nie umiejąc, nie chcąc słuchać o śmiertelnych grzechach, o których napomykał: o morderstwach, zdradach i występnych żądzach.

- Przestań! Przestań!

- Jak mogę przestać? - wrzasnął John, w śmiertelnej obawie  
246

o swoją duszę. - Jak mogę dalej żyć? Jak mogę wrócić? Jak mogę przestać?

Zapadło ciężkie milczenie. Elizabeth odjęła ręce od twarzy i podniosła oczy na męża.

- Opuść go - szepnęła.

- Nie mogę.

Wstała od stołu i podeszła do paleniska. John patrzył, jak odchodzi, jak gdyby miała klucz, który umożliwi im ucieczkę z tego bagna grzechu. Ale kiedy się do niego odwróciła, na jej twarzy malowała się kamienna obojętność.

- O czym myślisz? - szepnął.

- Myślę tylko o tym, że dałam ci niewłaściwą łyżkę - powiedziała bardzo wyraźnie. Zdjęła fartuch, powiesiła go na haku i wyszła z izby.

- Co chciałaś przez to powiedzieć? - krzyknął za nią John, gdy wychodziła na podwórze.

- Potrzebna ci większa.

Cofnął się, gdy zrozumiał, co miała na myśli. Wskazywała na łyżkę, której używała do nalewania rosółu: dużą warzachew na długim trzonku\*.

\* Aluzja do angielskiego powiedzenia: „Ten, kto wieczerza z

diabłem, musi mieć długą łyżkę".

Wieść, że król Jakub umarł, a jego syn ma zostać ukoronowany jako pierwszy król imieniem Karol, dotarła do wioski Chorley następnego dnia. Elizabeth dowiedziała się o tym na targu, kiedy sprzedawała zioła na swym małym straganie. Skinęła głową i nic nie powiedziała. Sąsiadka zapytała ją, czy mąż jest w domu i czy mówił coś o tym, co się działo w Londynie.

- Ostatniego wieczoru był bardzo zmęczony - odrzekła Elizabeth, jak zwykle chcąc zachować dyskrecję i uczciwość. - Niewiele z tego, co powiedział, miało jakiś sens. Pozwoliłam mu spać dziś rano. Spodziewam się, że po przebudzeniu przekaże mi wieści z Londynu, a wtedy nie będą już one nowinami.

- Najwyższy czas na zmianę! - oznajmiła stanowczo jej sąsiadka. - Popieram nowego króla! Niech Bóg pobłogosławi króla Karola, powiadam, i ustrzeże nas przed tymi

247

przekłętymi Hiszpanami! I niech Bóg pobłogosławi również diuka! Wie, co trzeba zrobić, możesz na to liczyć!

- Oby Bóg pobłogosławił ich obu - odparła Elizabeth. - I poprowadził ich przez życie lepszymi drogami.

- A król ma się ożenić z Francuzką, ciągnęła sąsiadka. - Dlaczego nie może poślubić porządnej Angielki, wychowanej w naszej religii? Czemu to musi być jedna z tych papistowskich księżniczek? Elizabeth pokręciła głową.

- Nie wiem - powiedziała. - Na świecie panują dziwne obyczaje. Można by pomyśleć, że mając cały kraj u stóp, zadowolą się... - urwała na chwilę, a sąsiadka czekała w absurdalnej nadziei na ciekawą plotkę. - Marność

- podsumowała Elizabeth, niezadowolona. - To wszystko marność nad marnościami. - Powiodła wzrokiem po opustoszałym targowisku. - Pójdę do domu - oświadczyła. - Może John już się obudził.

Włożyła dzbanuszki z ziołami do koszyka, skinieniem głowy pożegnała sąsiadkę i ruszyła błotnistą ulicą do swego domku. John siedział przy stole w kuchni. Nie tknął ani piwa, ani chleba.



Kiedy Elizabeth weszła i powiesiła pelerynę na haku za drzwiami, drgnął.

- Przepraszam cię, Elizabeth - powiedział szybko. - Wczoraj byłem zmęczony i rozgniewany.

- Wiem - odparła.

- Zaniepokoiło mnie to, co zobaczyłem i usłyszałem. Czekala, by mąż powiedział coś więcej.

- Życie na dworze to pokusa - odezwał się niezręcznie.

- Myślisz, że jesteś w samym środku świata, i coraz bardziej się oddalasz od spraw, które są naprawdę ważne. Najbardziej na świecie kocham pracę w ogrodzie i ciebie, i J - ostatnie, co powinienem był zrobić, to poniewierać się niczym dziewczka służebna w pałacach wielkich ludzi.

Kiwnęła głową.

- A kiedy pomyślę, że jestem w samym środku wielkich wydarzeń i że jestem aktorem na wielkiej scenie - ciągnął - uważam, że nic się nie uda, jeśli mnie tam nie będzie. Że jestem niezastąpiony. - Urwał, śmiejąc się cicho. - Jestem głupcem, wiem o tym. Popatrz! Osiągnął

248

największe dostojeństwa w swoim życiu i co zrobił najpierw?

Odesłał mnie do domu.

- Pójdiesz do pałacu? - zapytała Elizabeth. - Pójdiesz dziś do pracy?

John odwrócił się do drzwi.

- Nie. Chcę się przejść, aby pogodzić się z samym sobą. Czuję się... - Urwał z rozpaczą. - Czuję się cały stłamszony. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Zupełnie jak gdybym stracił swój kształt i musiał w jakiś sposób wrócić do dawnej postaci.

Elizabeth owinęła w lnianą serwetkę kawałek chleba i sera.

- Przejdź się - poradziła. - Masz tu jedzenie, a kiedy wrócisz do domu wieczorem, będzie czekała na ciebie dobra kolacja.

Wyglądasz jak ktoś, kto został otruty.

John cofnął się, jakby go uderzyła.

- Otruty? O czym ty mówisz?

Na twarzy Elizabeth malowała się większa powaga niż kiedykolwiek dotąd.

- Chciałam powiedzieć, że wyglądałeś jak człowiek, któremu życie na dworze nie wyszło na zdrowie, Johnie. Cóż jeszcze mogłam mieć na myśli?

Przesunął szybko ręką po twarzy, jakby ścierał zimny pot.

- Nie, nie służy mi - potwierdził. - Bo siedzę tu niespokojny jak jelen podczas polowania, a powinienem pracować w spokoju i siać moje nasiona. - Wziął od niej chleb i ser. - Będę w domu o zmroku - obiecał.

Przyciągnęła go do siebie, ujęła w dłonie zmartwioną twarz Johna i przytuliła do piersi. Potem pocałowała męża w czoło, jakby dawała mu matczyne błogosławieństwo i rozgrzeszała.

- Pomódl się podczas przechadzki - poradziła. - A ja będę się modlić za ciebie przy sprzątanii.

John sięgnął po kapelusz i otworzył drzwi.

- O co się będziesz dla mnie modliła, Lizzie? - zapytał. Elizabeth posłała mu spokojne, długie spojrzenie.

- Żebyś unikał pokus, mężu. Myślę bowiem, że wybrałeś drogę, która prowadzi przez większość pułapek tego świata.

249

Przez całą wiosnę Tradescant pracował z ponurym uporem w ogrodach New Hall. Drzewa wiśni, których widok zawsze sprawiał mu szczególną przyjemność, pięknie zakwitły. John, obserwując, jak różowo białe pączki pęcznieją, a potem rozkwitają, usiłował się wyzbyć nieprzyjemnej myśli, że cała ich słodycz pójdzie na marne, ponieważ diuk Buckingham ich nie widzi.

A on nie przybył. Wieść głosiła, że w Londynie sroży się zaraza i zmarli leżą na ulicach w biedniejszych rejonach miasta, a wozy wywożące zwłoki przyjeżdżają dwa lub trzy razy dziennie, i że zdrowi londyńczycy zamykają się w domach. Mówiono też, że każdy, kto może sobie na to pozwolić, opuszcza miasto, by niebawem przekonać się, iż wsie położone przy drodze prowadzącej ze stolicy zamknęły drzwi przed mieszkańcami

Londynu. Nikt nie wiedział, jak rozprzestrzenia się choroba, może poprzez dotyk, może przez powietrze. W miarę jak robiło się coraz cieplej, ludzie zaczęli mówić o przenoszącym zarazę wietrze.

John tęsknił za swoim panem; pragnął się dowiedzieć, czy jest zdrowy. Nie chciało mu się wierzyć, że dwór pozostał w Londynie, gdy zaczęły się upały. Młody król musi być szaleńcem, wystawiając się sam na takie niebezpieczeństwo i narażając przyjaciół. Ale nikt nie miał pojęcia, kiedy dwór się przeniesie, nikt nie mógł powiedzieć Johnowi, czy Karol I zjedzie do New Hall w odwiedzinach. Nikt nie wiedział nawet, czy diuk zechce przybyć do domu sam, zmęczony kłótniami i rywalizacją na dworze, i zapragnie zażyć spokoju w swoim własnym domu, w swoim ogrodzie, wśród tych, którzy go kochają.

John rozpakował indyjskie osobliwości i umieścił je, wedle swego uznania, w małej komnacie. Dobrze wyglądają razem, pomyślał. Było tam trochę pięknych skór i jedwabiu. Kazał służebnym przyszyć do nich pasy mocnego płótna, żeby można je było zawiesić na ścianach jako draperie i gobeliny. Poleciał również zrobić szafkę na klejnoty, zamykaną na skomplikowany złoty zamek, tylko z jednym kluczem przeznaczonym dla diuka. Ale Buckingham nadal nie było.

Potem John otrzymał wieści. Odkładany ślub króla z francuską księżniczką miał się wreszcie odbyć; diuk już wyruszył do Francji.

250

- Nie ma go w kraju? - zapytał John zarządcę w jego bezpiecznym kantorku, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać.

William Ward skinął głową.

- Kogo z domowników zabrał ze sobą? - pytał dalej

Tradescant.

- Wiesz, jaki on jest - odparł Ward. - Zabrał się i wyjechał w ciągu jednego dnia. Zostawił połowę garderoby. Gdy król powiedział mu, że ma pojechać, zrobił to natychmiast. Zabrał ze sobą zaledwie tuzin sług.

- Nie pytał o mnie? Ward potrząsnął głową.

- Kiedy służysz diukowi, wiesz, że co z oczu, to z serca. John skinął głową i wrócił do ogrodu.

Plan zarybienia sadzawek powiódł się wreszcie. Tarasy z oczkami wodnymi wyglądały prześlicznie w kwietniowym słońcu. Złote rybki pływały w swojej własnej sadzawce na szczytowym tarasie, a na klombach wokół nich połyskiwały kaczeńce i glistniki, równie złote jak one. Wody sztucznego strumienia przybierały i opadały na niższy poziom, gdzie srebrne ryby pływały pod zwisającymi jasnozielonymi łodygami goździków, które miały zakwitnąć białymi kwiatami. Szklane zapory były zupełnie niewidoczne, falujący strumień spadał dokładnie tak, jak John zaplanował. Siedział w jednej z altanek i patrzył na szumiące kaskady, wiedząc, że to tylko z powodu jego własnego szaleństwa dźwięk ten brzmi ponuro, ponieważ wielkie wydarzenia rozgrywają się bez jego udziału.

Miał dużo do zrobienia w ogrodzie. Posłuszni rozkazowi Buckinghama kapitanowie okrętów wojennych nadal, za każdym powrotem do kraju, przywozili Johnowi osobliwości i nowe rośliny. Często jakiś podróżnik docierał do ogrodu w New Hall z czymś do sprzedania: rośliną, nasieniem, orzechem lub z jakimś rzadkim i niezwykłym podarunkiem. John kupił wiele osobliwych przedmiotów i dodał je do indyjskiej kolekcji, starannie prowadząc rachunki i przedstawiając je Williamowi Wardowi, który zwracał mu pieniądze. Zgromadzone w szafce klejnoty i wiszące na ścianach indyjskie skóry zakurzyły się, więc John rozkazał jednej ze służących wyczyścić i wysprzątać

251

gabinet osobliwości. Ale diuk nadal nie wracał do domu.

Wreszcie w maju przyszedł list do Tradescanta, napisany własnoręcznie przez diuka, prosto z Paryża.

Weź moje najlepsze szaty i bieliznę, zapomniane w pośpiechu. Przywieź wszystkie rzeczy, których mogę potrzebować, i wszystko, co kosztowne i rzadkie, co mogłoby rozbawić małą księżniczkę.

- Posyła po ciebie? - zapytał Ward.

John kilkakrotnie przeczytał list Buckinghamama, a potem roześmiał się jak człowiek, któremu powiedziano, że ocaleje od śmierci. Był to śmiech ulgi.

- Potrzebuje mnie. Nareszcie mnie potrzebuje. Mam zabrać jego najlepsze szaty i jakieś ciekawe zabawki dla francuskiej księżniczki!

Wsunął list do kieszeni i skierował się do gabinetu osobliwości lekkim krokiem, wyprostowany, z większą niż zwykle determinacją, jak gdyby był młodzieńcem, któremu na wzór błędnych rycerzy polecono wyruszyć na wyprawę w poszukiwaniu przygód.

- Pomóż mi, Williamie. Poślij po ochmistrza i każ natychmiast zapakować jego rzeczy. Muszę wziąć wszystko, czego będzie potrzebował. Najlepsze ubranie, ale również bieliznę i chyba powinienem zabrać parę koni. Pamiętaj o jego stroju do konnej jazdy i kapeluszach. Muszę zawieźć wszystko, czego może zapragnąć. Jego szkatułkę z klejnotami i najładniejsze brylanty. O niczym nie można zapomnieć!

Zarządca roześmiał się na widok pośpiechu Tradescanta.

- A kiedy to wszystko ma być gotowe?

- Natychmiast! - zawołał John. - Natychmiast! Posłał po mnie i ufa, że o niczym nie zapomnę. Muszę wyjechać dziś wieczorem. Sypał rozkazami jak nasionami w pałacu, również w stajni i w kuchni, aż domownicy rzucili się do pakowania wszystkiego, czego ich pan mógł potrzebować we Francji.

Sam Tradescant pobiegł, jakby mu ubyło połowę lat, przez park do swojego domku. Elizabeth przędła,

252

wrzeciono przysunęła do okna, tak że światło słońca padało na jej ręce. John ledwie zauważył subtelne piękno poruszających się dłoni i głęboki spokój żony, która podczas pracy nuciła jakiś psalm.

- Wyjeżdżam! - zawołał. - Wreszcie po mnie przysłał! Wstała, wyraźnie wstrząśnięta, wiedząc od razu, o kim John mówi.

- Diuk?

- Bogu niech będą dzięki! Nie powiedziała „amen”.

- Mam pojechać za nim do Francji z jego rzeczami - wyjaśnił John.

- Sam do mnie napisał. Wie, że nikt inny tego nie zrobi. Nikt inny tak dobrze się o to nie zatroszczy. Napisał do mnie osobiście.

Odwróciła na moment głowę, a potem spokojnie położyła wrzeciono na podłodze.

- Będziesz potrzebował podróźnej opończy i spodni do konnej jazdy - powiedziała i skierowała się do schodków prowadzących do ich sypialni.

- On chce mnie widzieć! - powtórzył Tradescant, nie posiadając się z radości. - Przysłał po mnie! Aż z Francji!

Elizabeth odwróciła się, spojrzała gdzieś poza niego i przez chwilę nie mógł zrozumieć wyrazu jej twarzy. Patrzyła nań z żalem, z dziwną, niepojętą litością.

- Przecież właśnie na to czekałem! - wyjaśnił. Ale te słowa zabrzmiały nieprzekonująco. - Nareszcie!

- Wiem, że czekałeś, aż zagwizdże, i że zaraz do niego pobiegiesz - powiedziała łagodnie. - A ja będę się modlić, żeby nie sprowadził cię na drogę grzechu.

- Prowadzi mnie na dwór króla Francji! - wykrzyknął John. - W samo serce Paryża, żeby przywieźć do kraju nową królową!

- Na papistowski dwór i po papistowską królową - odparła dobitnie Elizabeth. - Będę się modlić dniem i nocą, żebyś przejrzał na oczy, mężu. Po ostatnim pobycie na dworze wróciłeś do domu z chorą duszą.

John zaklął pod nosem i wybiegł z domku, by czekać na drodze, aż żona spakuje mu sakwę podróźną. Kiedy się żegnali, nie wziął Elizabeth w ramiona, tylko po prostu skinął jej głową.

253

- Do widzenia - rzekł. - Nie wiem, kiedy wrócę.

- Kiedy z tobą skończy! - odparła bez ogródek. John wzdrygnął się, słysząc te słowa.

- Jestem jego sługą, tak jak on jest sługą króla - powiedział. - Wykonywanie jego rozkazów to dla mnie zaszczyt, a także

obowiązek.

- Mam nadzieję, że służba dla niego zawsze będzie dla ciebie zaszczytem - mruknęła. - I że nigdy nie zażąda od ciebie czegoś, czego nie będziesz mógł wykonać.

John ujął rękę żony i pocałował ją w czoło, lekko, obojętnie.

- Oczywiście, że nie - odparł z irytacją. Załadowany dobytkiem diuka wóz, ciągnięty przez dwa silne konie, z trudem ruszył drogą, a z tyłu szły przywiązane dwa najlepsze wierzchowce Buckingham, potrząsające z niezadowoleniem łbami. John zatrzymał wóz i usiadł obok woźnicy. Kiedy spojrzał z góry na żonę, pomyślał, że chociaż wydaje się taka mała, wciąż jest nieugięta, tak jak dwadzieścia cztery lata temu, w dniu ich zaręczyn.

- Niech cię Bóg błogosławi - powiedział burkliwie. - Wrócę do domu, jak tylko wypełnię moją powinność.

Skinęła głową, nadal bez uśmiechu.

- J i ja będziemy na ciebie czekać - odparła.

Wóz pojechał dalej. Elizabeth odwróciła się i odprowadziła go spojrzeniem.

- Jak zawsze.

Kiedy J przyszedł na kolację, matka posłała go do pompy, żeby jeszcze raz umył ręce. Wrócił, wycierając dłonie o kaftan roboczy i pozostawiając ślady błota.

- Spójrz na siebie! - zawołała Elizabeth bez gniewu.

- To czysta ziemia! - bronił się J. - Zresztą nigdy nie widziałem ojca bez śladów brudu na rękach.

Elizabeth położyła na stole chleb i postawiła talerz z rosołem, w którym pływały kawałki mięsa.

- Znowu kurczak? - zapytał J.

- Baranina - odparła. - Pani Giddings zabiła owcę i sprzedała mi płuca oraz udziec. Jutro będziemy mieli pieczeń.

- Gdzie ojciec?

254

Poczekwała, aż syn przełamie chleb i przełknie łyżkę zupy, zanim odpowiedziała:

- Pojechał do Francji za diukiem Buckinghamem. J opuścił łyżkę na talerz.
- Dokąd pojechał? - zapytał z niedowierzaniem.
- Myślałam, że już słyszałeś. Potrząsnął głową.
- Przez cały dzień byłem na przeciwległym krańcu posiadłości. O niczym nie słyszałem.
- Diuk posłał po niego, polecił mu zabrać jakieś ubrania i zabawki dla francuskiej księżniczki.
- I pojechał.

Utkwiła wzrok w płonących gniewem oczach młodzieńca.

- Oczywiście, mój synu. Oczywiście, że pojechał.
- Biega za diukiem jak pies! - wybuchnął J. Elizabeth wlepiła w niego roziskrzzone spojrzenie.
- To twój ojciec! Pamiętaj, że jesteś mu winien szacunek! - syknęła.

J opuścił oczy na stół i starał się opanować.

- Brakuje mi go - oświadczył spokojnie. - Kiedy go tu nie ma, ludzie chcą, żebym im mówił, co mają zrobić. Ponieważ jestem jego synem, zakładają, że dużo wiem, a wcale tak nie jest. A chłopcy stajenni drażnią się ze mną, kiedy go tu nie ma. Kpią ze mnie za plecami i przezywają mnie. Opowiadają o nim i o księciu takie rzeczy, że nie wypada ich powtarzać.

- Nie pojechał na długo - powiedziała Elizabeth bez przekonania.
- Nie możesz tego wiedzieć.

- - Wiem, że przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł.
- Wiesz, że wróci, kiedy diuk z nim skończy i ani odrobinę wcześniej. Zresztą lubi podróże i jeśli tylko będzie miał okazję, znów objedzie całą Europę. Czy pozostawił adres, pod którym moglibyśmy go odszukać?

-Nie.

- Albo pieniądze? -Nie.

J westchnął ciężko i zaczął jeść rosół. Kiedy miska była już pusta, wziął ostatni kawałek chleba i starannie wytarł nim tłuszcz.

255

- A więc w końcu miesiąca będę musiał pójść do zarządcy po jego



wypłatę. Ten przysięgnie, że zarobek zostanie wypłacony ojcu w Paryżu, i będziemy musieli żyć za moje pieniądze aż do jego powrotu.

- Poradzimy sobie - uspokoiła go Elizabeth. - Odłożyłam trochę grosza, a ojciec odda mi po powrocie.

J umiał dręczyć matkę.

- Będzie jadł i pił, i mieszkał na papistowskim dworze. Wątpię, czy znajdzie tam jakiś nasz kościół, aby mógł się pomodlić. Po powrocie do domu będzie się żegnał i potrzebował księdza, który by się za niego modlił.

Słyszając to, Elizabeth zbladła jak płótno.

- Nie - odparła słabo.

- Ludzie mówią, że sam Buckingham zaczyna się do tego skłaniać

- mówił dalej J. - Jego matka jest papistką czy czarownicą bądź kimś w tym rodzaju.

Elizabeth opuściła głowę i milczała chwilę.

- Oby Pan strzegł go przed niebezpieczeństwami - powiedziała cicho. - Przecież jest pobożnym człowiekiem. Wróci bezpiecznie do swego kraju, domu i do swojej wiary.

J znudziły się żarty z pobożności matki.

- Kiedy ja będę mężczyzną, nikogo nie nazwę panem - zapewnił ją.

Uśmiechnęła się do niego.

- W takim razie będziesz musiał zarabiać więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek udało się to twojemu ojcu! Zawsze znajdzie się ktoś, kto jest od ciebie lepszy, a każdy pies ma swego pana.

- Nigdy nie będę nikomu służył tak, jak mój ojciec diukowi Buckinghamowi - odparł śmiało J. - Nawet samemu królowi Anglii. Będę pracował tylko dla siebie, będę podróżował sam i z własnej woli. Nikt nie wyśle mnie nigdzie po to, żeby później odwołać.

Elizabeth dotknęła policzka syna w rzadkim dla niej czułym geście.

- Mam nadzieję, że będziesz żył w kraju, gdzie wielcy ludzie nie sprawują władzy w taki sposób - powiedziała. Były to jedyne

słowa, w których można by się dopatrzeć jakichś radykalniejszych poglądów. - Mam nadzieję, że będziesz żył w kraju, gdzie wielcy ludzie pamiętają o swoich

256

obowiązkach wobec biednych i wobec swych sług. Ale jeszcze nie żyjemy w takim świecie, mój synu. Musisz wybrać sobie pana i wypełniać jego polecenia. Nie ma człowieka, który nie służyłby komuś innemu, bez względu na to, czy jesteś najniższym z pomocników oracza czy najbardziej wpływowym szlachcicem. Nad tobą zawsze będzie ktoś. J instynktownie zniżył głos.

- Anglia będzie musiała się zmienić - powiedział cicho. -

Najniższy pomocnik oracza zadaje sobie pytanie, czy jego pan ma dane przez Boga prawo, by nim rządzić. Najniższy pomocnik oracza ma duszę, która jest witana w niebie tak, jak dusza najbardziej wpływowego szlachcica. Biblia mówi, że pierwsi staną się ostatnimi. To nie jest obietnica, że nic nigdy się nie zmieni.

- Cicho! - szepnęła Elizabeth. - Będziesz miał dość czasu, kiedy zajdą takie zmiany, o ile w ogóle do nich dojdzie.

- Zmiany już zachodzą - upierał się J. - Nowy król będzie musiał uczciwie i rzetelnie postępować z mieszkańcami swojego królestwa. Będzie musiał posłuchać parlamentu. Nie może oszukiwać uczciwych, porządnych ludzi tak, jak to robił jego ojciec. Zmęczyło nas ciągle płacenie podatków na utrzymanie dworu, na którym widzimy tylko zbytek i grzech. Nie sprzymierzmy się z papistami, nie będziemy braćmi heretyków! Elizabeth potrząsnęła głową, ale go nie uciszyła.

- W New Hall jest pewien człowiek; zna innego człowieka, który twierdzi, że powinno się wystosować dokument skierowany do króla, z wyliczeniem jego obowiązków. Że nie wolno mu nakładać podatków bez zwołania posiedzenia parlamentu. Że musi słuchać swoich doradców w parlamencie. Że diuk Buckingham nie powinien rządzić wszystkim i chować wszelkich bogactw do kieszeni. Sieroty i wdowy powinny znaleźć się pod opieką Korony, żeby mężowie i ojcowie mogli umrzeć spokojnie,

wiedząc, że ich majątek znajdzie się pod dobrym zarządem, a nie zostanie wydzierzawiony przez diuka Buckinghama dla jego własnych korzyści.

- Wielu myśli tak jak ty? - szepnęła ledwie dosłyszalnie Elizabeth.  
257

- On tak twierdzi. Otworzyła szeroko oczy.

- Czy twój ojciec mógł słyszeć takie rozmowy? J potrząsnął głową.

- Wszyscy wiedzą, że ojciec jest bezgranicznie oddany diukowi. Ale wiele osób, nawet te, które służą Buckinghamowi, zdaje sobie sprawę, że nastroje w kraju zmieniają się na jego niekorzyść. Oskarżają go o wszystko, co złe, od upałów po zarazę.

- Co się z nami stanie w razie upadku diuka? - zapytała.

Na młodej twarzy J malowała się determinacja.

- Przetrwamy - odparł. - Nawet gdyby nasz kraj już nigdy nie chciał mieć innego królewskiego doradcy, zawsze będzie potrzebował ogrodników. Na pewno znajdę pracę, a ty zawsze możesz liczyć na miejsce w moim domu. Ale co się stanie z ojcem? Jest nie tylko ogrodnikiem diuka - jest jego oddanym sługą. Myślę, że w razie upadku diuka ojcu serce pęknie.

Rozdział Dwudziesty Szósty.

Maj 1625.

John spotkał swego pana w Paryżu, tak jak mu rozkazano. Czekał w czarno-białej marmurowej sieni wielkiego domu, aż otworzyły się ogromne podwójne drzwi i stanął w nich diuk, otoczony jaskrawym blaskiem paryskiego słońca. Miał brylantowe spinki przy kapeluszu i na pięknie haftowanym kubraku. Jego płaszcz był obsyty błyszczącymi kamieniami - John miał nadzieję, że większość z nich to szkiełka, ale podejrzewał, iż to też mogą być brylanty. Buckingham iskrzył się w wiosennym słońcu jak świeże liście na srebrzystej brzozie.

- Mój Johnie! - zawołał z wielką radością. - Przywiozłeś mi wszystkie stroje? Dotąd musiałem chodzić w łachmanach!

John rozpromienił się z radości na widok swego pana.

- Widzę to, panie. Bałem się, że będziecie wyglądali na bardzo

biednego i obdartego. Przywiozłem wszystko, a wasza karetka i szóstka koni zostaną niebawem dostarczone.

Buckingham chwycił go za ramię.

- Wiedziałem, że zrobisz to dla mnie - powiedział. - Tylko tobie mogłem zaufać. Co słychać w New Hall?

- Wszystko w porządku - odparł John. - Ogród pięknie wygląda, nowe tarasy wodne działają i ślicznie wyglądają. Wasza żona i matka, panie, są w New Hall i obie czują się dobrze.

259

- Ach, tak, ogrody - powiedział diuk. - Musisz się spotkać z nadwornymi francuskimi ogrodnikami; to, co tu robią, na pewno zrobi na tobie wrażenie. Królowa da mi list polecający dla ciebie.

- Nachylił się nad Johnem i szepnął mu do ucha: - Myślę, że królowa dałaby mi znacznie więcej, gdybym ją o to poprosił! John musiał się uśmiechnąć, słysząc te słowa, świadczące o bezwstydnym próżności.

- Znam Robinów i z radością znów ich zobaczę. Wy zaś na pewno świetnie się bawiliście, panie.

Buckingham pocałował koniuszki palców, jak Francuz pozdrawiający jakąś piękność.

- Byłem w rajach - powiedział. - A ty pojedziesz ze mną i razem obejrzymy ogrody wokół pałacu królewskiego. Zaczekaj, Johnie, przebiorę się i pokażę ci miasto. Jest bardzo piękne, bardzo wesołe, a kobiety są tu tak łatwe jak klacze w okresie rui. To idealne miasto dla mnie!

John zachichotał mimo woli.

- Moja żona byłaby zrozpaczona. Pojadę i obejrzę ogrody, ale nie mogę odwiedzać kobiet.

Buckingham objął ramieniem Tradescanta i przytulił go mocno.

- W takim razie będziesz moim sumieniem - rzekł. - I utrzymasz mnie na prostej i wąskiej ścieżce cnoty.

To było niemożliwe. Sam archanioł Gabriel z ognistym mieczem nie zdołałby utrzymać diuka Buckinghama na tej prostej i wąskiej drodze w Paryżu w roku 1625. Dwór francuski oszalał na punkcie Anglików, nowego władcy zaręczony z francuską księżniczką i

najprzystojniejszego mężczyzny w Europie, który miał zawieźć narzeczoną do nowej ojczyzny. Tłumy kobiet gromadziły się wokół rezydencji Buckinghama tylko po to, by zobaczyć, jak przyjeżdża i odjeżdża, by podziwiać jego karecę i szóstkę koni, jego klejnoty, jego stroje, jego kapelusz, le bonnet d'anglais, który setka kapeluszników natychmiast skopiowała, gdy go tylko zobaczyła.

Sama królowa rumieniła się, kiedy urodziwy Anglik się do niej zbliżał, i spoglądała zza wachlarza, jeśli się tylko odezwał do jakiejś innej kobiety. Mała księżniczka

260

Henrietta Maria jąkała się, gdy był w komnacie, i zapominała wszystkich angielskich słówek, których się nauczyła - a znała ich bardzo mało. Cała Francja się w nim kochała, cały Paryż go uwielbiał. A Buckingham, zawsze uśmiechnięty i radosny, fetowany wszędzie, gdzie tylko się zjawił, przechodził wśród wielbiących go tłumów, jakby sam był królem, a nie zwykłym ambasadorem: samym narzeczonym, a nie jego pełnomocnikiem. W ciągu kilku dni John zmęczył się nieustannymi wędrówkami diuka z zabawy na zabawę.

- Trzymaj się, Johnie - rzucił przez ramię Buckingham. - Dziś wieczorem idziemy na bal maskowy.

- Jak sobie życzycie, panie - odparł Tradescant. Buckingham odwrócił się i wybuchnął śmiechem na widok jego wyrazu twarzy.

- Nie masz umówionych spotkań? Ani obiecanych tańców?

- Jestem żonaty - odparł ogrodnik. - Tak jak wy, panie. - Urwał, słysząc śmiech diuka. - Ale będę wam tam towarzyszył i czekał tak długo, jak zechcecie, milordzie.

Buckingham oparł rękę na ramieniu Tradescanta.

- Mam tuzin sług, którzy mogą na mnie czekać, ale tylko jednego, który kocha mnie jak brata. Nie chcę, żebyś tylko patrzył, jak tańczę. Nie zmarnuję w ten sposób twojej miłości i lojalności. Co najbardziej chciałbyś zrobić?

John zastanowił się chwilę.

- Widziałem kilka roślin, które bardzo ładnie by wyglądały w New Hall - powiedział ostrożnie. - Gdybyście mogli mnie zwolnić, panie, poszedłbym do ogrodów Robinów. Zamówiłbym wszystkie sadzonki i dopilnował, żeby je zapakowano. Wtedy mogłyby wyruszyć do Anglii razem z nami, kiedy będziemy wracać.

Buckingham zastanowił się, przechyliwszy głowę na bok. Wyjął z kieszeni kaftana sakiewkę.

- Wiesz, co to jest?

- Pieniądze?

- Coś więcej. Łapówka. Olbrzymia łapówka, od kardynała Richelieu lub jego agentów.

Tradescant spojrział na sakiewkę, jakby to był jadowity wąż.

261

- Chcecie, żebym ją zwrócił?

Buckingham odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

- Johnie! Mój Johnie! Nie, chcę, żebyś ją wydał!

- Francuskie pieniądze? Czego oni za nie chcą?

- Mojej przyjaźni, moich rad dla króla, mojego poparcia dla małej księżniczki. Weźmiesz ją?

John jednak nadal się wahał.

- A jeśli będziecie musieli ostrzec króla przed nimi? Jeżeli sytuacja się zmieni?

- Kto jest naszym najgorszym wrogiem? Najgorszym wrogiem anglikanizmu? Największym wrogiem wolności naszych protestanckich braci w Europie?

- Hiszpanie - powiedział powoli Tradescant.

- Dlatego zaprzyjaźnimy się z Francuzami, żeby zawrzeć z nimi przymierze przeciw Hiszpanom - odparł po prostu Buckingham. - A jeżeli chcą mi dać majątek za to, co i tak bym robił - to mogą!

- Jeśli jednak wszystko się zmieni? - pytał dalej John. - A jeżeli Hiszpanie sprzymierzą się z Francuzami? Albo Francuzi zwrócą się przeciwko nam?

Buckingham podrzucił sakiewkę i znów ją złapał. Spadła tak, jakby rzeczywiście była bardzo ciężka.

- W takim razie stracą pieniądze, a ja spełniłem swój obowiązek, pustosząc skarbiec naszego wroga. No! Łap!

Rzucił sakiewkę Johnowi, który schwycił ją odruchowo, zanim zdążył się powstrzymać.

- Zabierz ją do Amsterdamu - polecił Buckingham, kusząc Tradescanta niby wąż w raj. - Zabierz ją do Amsterdamu i kup tulipany, Johnie.

Nie mógłby powiedzieć niczego, co podziałałoby na Tradescanta równie mocno. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, John zważył w dłoni sakiewkę, szacując jej ciężar.

- Ceny są strasznie wysokie - rzekł. - Rynek oszalał na punkcie tulipanów. Wszyscy je kupują, wszyscy chcą na nich zarobić. Ludzie, którzy nigdy nie opuszczali swoich kantorów, kupują tulipany, mając ich nazwy zapisane na skrawkach papieru i nigdy nie oglądając samych kwiatów. Nie wiem, ile cebulek zdołam kupić nawet za te pieniądze.

262

- Jedź - rozkazał Buckingham. Rzucił się na krzesło i przewiesił długie nogi przez poręcz. Uśmiechnął się przekornie do Tradescanta. - Wiem, że za nimi tęsknisz, mój Johnie. Pojedź tam, popatrz na pola tulipanów i kup tyle, ile chcesz. Oprócz tej sakiewki dostaniesz jeszcze jedną. Przywieź mi cebulki, posadzimy trochę w doniczkach, zostaniemy mieszczanami i wzbogacimy się na ich hodowli.

- Semper Augusta jest szkarłatno-biały - powiedział ogrodnik.

-Widziałem go na rycinie. Kolor rozmieszczony jest najpiękniej i ma najcudowniejszy kształt z możliwych, prawdziwy kształt tulipana, ale z maleńkimi kropkami na każdym płatku, tak że każdy płatek troszkę różni się od pozostałych. I te długie, wygięte listki...

- Na Boga! To miłość! - zakpił Buckingham. -To prawdziwa miłość, Johnie. Nigdy nie widziałem cię tak poruszonego. Tradescant się uśmiechnął.

- Nigdy nie było doskonalszego kwiatu. To najwspanialszy ze wszystkich. Nie ma żadnego lepszego. I nigdy nie było droższego.

Buckingham wskazał na francuską sakiewkę w ręku Johna.

- Jedź więc i kup go - powiedział po prostu.

Tradescant spakował się jeszcze tej samej nocy i o świcie był gotów do drogi. Zostawił swemu panu wiadomość, obiecując, że złoto będzie bezpieczne w jego rękach i że kupi tyle cebulek, ile zdoła. Lecz ku jego zaskoczeniu, kiedy miał dosiąść konia na ulicy przed rezydencją, wyszedł doń sam diuk, narzuciwszy jakiś kubrak dla ochrony przed zimnym, porannym powietrzem, ubrany tylko w koszulę, spodnie i buty.

- Panie! - Tradescant puścił wodze i podszedł do niego. -

Myślałem, że będziecie spać aż do południa!

- Obudziłem się i pomyślałem, że wyruszasz na poszukiwanie własnej przygody, i zszedłem na dół, żeby się z tobą pożegnać - rzucił niedbale Buckingham.

- Zaczekałbym, gdybym o tym wiedział, panie. Mogłem wyjechać później, a wy moglibyście się wyspać.

263

Diuk klepnął ogrodnika po ramieniu.

- Wiem. To nieważne. Wiedziałem, że wyjeżdżasz rano, obudziłem się, wyjrzałem przez okno i postanowiłem zobaczyć się z tobą przed wyjazdem.

John milczał. Nie znał bowiem żadnej odpowiedzi, jakiej mógłby udzielić największemu człowiekowi w Anglii, który wstał o świcie po przetańczonej nocy, żeby pożegnać swego sługę.

- Baw się dobrze - powiedział Buckingham. - Zostań tak długo, jak zechcesz, weź pieniądze od mojego bankiera, kup wszystko, co ci się spodoba, i przywieź do New Hall. Chcę mieć tulipany w następnym roku, mój Johnie. Chcę mieć tysiące pięknych tulipanów.

- Będziecie je mieć, panie - odparł żarliwie Tradescant. - Podaruję ci piękne ogrody. Bardzo piękne. - Urwał na chwilę i odchrząknął.

- A kiedy mam być w kraju, wasza książęca mość?

Buckingham objął go ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Kiedy będziesz gotowy, mój Johnie. Jedź, wydawaj pieniądze i baw się dobrze. Ja nigdy nie byłem szczęśliwszy, ty również



będziesz szczęśliwy. Jedź i z radością wydaj trochę z moich pieniędzy, które tak łatwo zarobiłem. Spotkamy się znów w New Hall, kiedy wrócisz do kraju.

- Nie zawiodę was, panie - obiecał John, myśląc, że gdyby nie był uczciwym człowiekiem, mógłby zniknąć w Europie z tą ciężką sakiewką pełną złota i już nikt nigdy by go nie zobaczył.

- Wiem. Nigdy mnie nie zawiedziesz - odparł ciepło Buckingham.

- I właśnie dlatego chcę, żebyś pojechał i radował się, kupując tulipany. To nagroda za wierność. Jeżeli nie mogę cię skusić łatwymi francuskimi kobietami i tanim winem, pragnę dać ci to, co sprawi ci największą przyjemność. Idź i wywołaj zamieszki na polach tulipanów, mój Johnie. Pożądaj najpiękniejszych płatków i zaspokój swoją żądzę!

Wrócił do rezydencji. Tradescant czekał z kapeluszem w ręku, aż wielkie podwójne drzwi się zamknęły. Później wsiadł na konia i skierował go na wschód, z Paryża do Niderlandów, na pola tulipanów.

264

W Amsterdamie aż huczało z podniecenia. Wszystkie znane mu tawerny, gdzie spotykali się hodowcy tulipanów i handlowali cebulkami, powiększyły się dwu i trzykrotnie i otwierały z samego rana. Ubijano w nich interesy w atmosferze wręcz chorobliwego ożywienia. Daremnie szukał znanych sobie hodowców, spokojnych, zrównoważonych ogrodników, którzy powiedzieli mu, jak należy rozcinać cebulki tulipanów i je sadzić. Zastąpili ich mężczyźni o białych rękach, którzy nie przynosili cebulek, lecz wielkie księgi z wizerunkami tulipanów narysowanymi tak pięknie i dokładnie, jakby były prawdziwe. Cebulki licytowano za pomocą weksli, nie używano pieniędzy. John ze swymi sakiewkami z francuskim złotem był wyjątkiem. Czuł się jak głupiec, usiłując zapłacić kupcom pieniędzmi, kiedy wszyscy inni handlowali na kredyt.

A poczuł się jeszcze bardziej głupio, kiedy spróbował kupić cebulki tulipanów, gdy chciał wymienić worek złota - prawdziwych pieniędzy - na worek cebulek - prawdziwych.

Wszyscy inni handlowali, nigdy nie biorąc do rąk żadnej cebulki. Kupowali i sprzedawali obietnicę plonów lub kupowali i sprzedawali nazwę jakiegoś tulipana. Niektóre odmiany były tak rzadkie, że w całym kraju znalazłoby się tylko dziesięć lub dwanaście sztuk. Takie cebulki nigdy nie wchodziły na rynek, zapewniono Johna. Musiałby kupić skrawek papieru z nazwą tulipana i potwierdzić go na giełdzie. Gdyby miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, sprzedałby ten kawałek papieru już następnego dnia, gdy cena skoczyła kilkakrotnie. Powinien spekulować na zwyżkujących cenach, a nie kręcić się wokół kupców i prosić ich o prawdziwe cebulki, które chce zabrać do kraju. Sprzedawano nie cebulkę w doniczce, ale ideę tulipana, obietnicę tulipana. Rynek zbytu stał się lekki, niemal zwiewny. To rynek zwany windhandel.

- Co to znaczy? - zapytał John.

- Już nie kupujesz towarów - powiedział jakiś kupiec - tylko ich obietnicę, zapowiedź. I płacisz obietnicą pieniędzy. W rzeczy samej nie musisz wydawać swojego złota i otrzymywać za to cebulek, aż, och, aż do następnego roku. Ale jeśli masz choć trochę zdrowego rozsądku,

265

sprzedasz je z zyskiem i zrobisz majątek, pozwalając, by wiatr po prostu przelatował ci przez palce.

- Ale ja chcę kupić cebulki! - zawołał zirytowany Tradescant. - Nie chcę kawałka papieru z nazwą jakiegoś tulipana, żeby go sprzedać komuś innemu. Ja chcę cebulkę, którą mogę zabrać do domu i posadzić.

Kupiec wzruszył ramionami, od razu tracąc zainteresowanie.

- My nie prowadzimy interesów w ten sposób - wyjaśnił. - Ale jeśli popłyniesz kanałem do Rotterdamu, znajdziesz ludzi, którzy sprzedadzą ci cebulki, i będziesz mógł zabrać je do Anglii. Nazwą cię głupcem za to, że będziesz płacił im gotówką.

- Już nazywano mnie głupcem - odrzekł ponuro John. - Zniosę to. Pod koniec wyprawy John zasiadł właśnie do wieszery w pewnej karczmie nad gęstym piwem, które uwielbiali Holendrzy, i

rozkoszował się ich smacznym, pożywnym jadłem, kiedy ktoś stanął w drzwiach i ukochany głos zawołał:

- Czy mój John jest tutaj?

Tradescant zakrztusił się piwem i zerwał na równe nogi, przewracając zydel.

- Wasza książęca mość?

Buckingham, odziany w skromny strój z gładkiej, brązowej wełny, chichotał jak szaleniec na widok zdumionej miny Johna.

- Przyłapałem cię! - rzucił na powitanie. - Przepijasz mój majątek.

- Panie! Ja nigdy...

Diuk znów wybuchnął śmiechem.

- Skończyłeś, mój Johnie? Masz dużo tulipanowych weksli?

John pokręcił głową.

- Mam dużo tulipanów, prawdziwych cebulek, milordzie. Zdaje się, że mieszkańcy tego miasta zapomnieli, co kupują i sprzedają, chcą tylko kawałka papieru z napisaną na nim nazwą i pieczęcią giełdy na dole. Musiałem pojechać do serca Holandii w poszukiwaniu hodowców, którzy sprzedali mi prawdziwe cebulki.

266

Buckingham wszedł do piwiarni i usiadł przy stole Johna.

- Skończ wieczkę, ja już zjadłem. A więc gdzie są te tulipany?

- Są zapakowane i mogą odpłynąć dziś wieczorem - wyjaśnił John, niechętnie sięgając po kromkę chrupiącego chleba posmarowaną śmietankowym holenderskim masłem. - Właśnie wracałem z nimi do New Hall.

- Czy mogą popłynąć bez ciebie? John zastanowił się szybko.

- Posłałbym z nimi zaufanego człowieka. To zbyt cenny ładunek, żeby pozostawić go pod opieką kapitana. Chciałbym też, żeby ktoś pilnował ich w drodze do New Hall.

- Więc zrób to - powiedział leniwie diuk.

John przełknął pytanie razem z chlebem, wstał od stołu, szybko uklonił się Buckinghamowi i wyszedł z tawerny. Pobiegł jak strzała do swojej karczmy, wynajął syna właściciela, który miał popłynąć do Anglii i dopilnować, żeby beczułki z tulipanami bezpiecznie dotarły do New Hall, wcisnął mu do ręki pieniądze i

list polecający, a potem wrócił biegiem do tawerny, gdzie diuk pił drugie pół kwarty piwa.

- Wszystko załatwione, wasza książęca mość - zameldował zdyszany.

- Dziękuję ci - odparł Buckingham.

Zapadło dręczące milczenie. John stał przed swoim panem.

- Och, możesz usiąść - rzucił diuk. - I napij się piwa. Musisz być spragniony.

John osunął się na zydel i przyglądał się Buckinghamowi, kiedy służebna przyniosła mu kufel. Diuk był blady, nieco zmęczony uroczystościami na francuskim dworze, ale jego ciemne oczy błyszczały. John poczuł przyływ odwagi.

- Czy ktoś towarzyszy waszej książęcej mości? Buckingham potrząsnął głową.

- Podróżuję incognito.

John czekał, ale jego pan nic więcej nie dodał.

- Macie gdzie się zatrzymać, panie?

- Myślałem, że prześpię się z tobą.

267

- A gdybyście mnie nie znaleźli, panie? - John skrzywił się na myśl o największym człowieku w Anglii, wędrującym po Niderlandach w poszukiwaniu swojego ogrodnika.

- Wiedziałem, że wystarczy tylko poszukać gdzieś w pobliżu giełdy tulipanowej, a na pewno tam cię znajdę - powiedział lekkim tonem Buckingham. - A zresztą, wiesz, Johnie, że nie upadnę bez tuzina sług, którzy by mnie podtrzymywali. Umiem sam o siebie zadbać.

- Oczywiście! - szybko przytaknął Tradescant. - Po prostu zastanawiałem się, co tu robicie, panie?

- Ach, to - powiedział Buckingham, jak gdyby przypomniał sobie swoją misję. - Muszę wykonać pewne zadanie dla mojego pana i pomyślałem, że mógłbyś mi pomóc.

- Oczywiście! - odparł natychmiast ogrodnik.

- Napijemy się jeszcze trochę, potem trochę pohulamy, a rano załatwimy pewną sprawę - zaproponował ujmującym tonem diuk.

- Daleko pojedziemy? - zapytał John, myśląc w oszołomieniu o statkach, które odpływały do Indii holenderskich i do rozszerzającego się niderlandzkiego imperium kolonialnego. - Może powinienem poczynić przygotowania, kiedy będziecie się weselili, panie.

Buckingham potrząsnął głową.

- Mam sprawę do załatwienia w tym mieście, z kupcami złota i diamentów. Ale chcę, żebyś był przy mnie. Jako mój amulet. Jutro będę potrzebował całego swojego szczęścia.

Spali w tym samym łóżu. Kiedy John obudził się rano, zauważył, że diuk we śnie wyciągnął ramię w bok. Jego ręka dotykała twarzy Johna. Wydawało się, że to pieszczota. Tradescant leżał jakiś czas nieruchomo, czując to lekkie dotknięcie, a potem wyslizgnął się z łóża i wyjrzał przez okienko na ulicę w dole.

Na wybrukowanej kamieniami uliczce tłoczyli się sprzedawcy chleba, sera i mleka, którzy przyplłynęli ze wsi o świcie i rozstawiali swoje stragany, żeby wszyscy mogli widzieć ich towar. Swoje towary wykładali również szewcy i kramarze sprzedający przedmioty codziennego użytku:

268

szczotki, mydła, drewno do podpałki i wyroby z mosiądzu. Artyści ustawiali sztalugi i proponowali wykonanie portretów. Marynarze ze statków dalekomorskich wędrowali w tłumie, sprzedając osobliwości i zagraniczne towary - jedwabne szale, butelki z rzadkimi trunkami i małe zabawki. Płaskie łodzie krążyły w dół i w górę kanału, a kaczki, uciekające sprzed nich ciągle, kwakały, skarżąc się głośno. Promienie słońca lśniły na wodzie, w której odbijały się ustawione na rynku stragany i ciemne cienie przerzuconych ponad nią mostów.

Tradescant usłyszał, że Buckingham poruszył się w łóżu, i natychmiast odwrócił się do swego pana.

- Dzień dobry. Czy mogę coś dla was zrobić, panie?

- Możesz zdobyć dla mnie sto tysięcy funtów w złocie albo będę zrujnowany - odparł Buckingham, kryjąc twarz w poduszce. - To właśnie dziś robimy, Johnie. Zastawimy klejnoty koronne.

Długa zażyłość z sir Cecilem i wyniesione z niej nauki przydały się Johnowi tego dnia. Buckingham próbował zgromadzić fundusze na wyposażenie potężnej protestanckiej floty, która zaatakowałaby Hiszpanię, uwolniła siostrę Karola, Elżbietę, wraz z jej małżonkiem, i osadziła ich z powrotem na tronie. W królewskim skarbcu nie było pieniędzy. Angielski parlament już nie chciał przyznać subwencji Karolowi Stuartowi, uznał bowiem, że młody król zbyt mało uczynił dla wprowadzenia reform, których domagali się członkowie. To Buckingham musiał zdobyć na nie fundusze. A nie miał nic do zaoferowania lichwiarzom oprócz angielskich, szkockich i francuskich klejnotów koronnych. John stał plecami do drzwi, patrząc, jak jego pan próbuje oczarować potężnych bankierów z Amsterdamu. Ta scena bardzo przypominała jeden z nowych olejnych obrazów, które wciąż kupował król Karol. W pokoju panował półmrok, okna zasłaniały grube, haftowane kotary. Stół oświetlała jedynie para świec osłoniętych rzeźbionym abażurem, który rzucał dziwne, kabalistyczne wzory na ściany. Trzej mężczyźni siedzieli z jednej strony stołu,

269

Buckingham z drugiej. Pierwszy z tej trójki był solidnym mieszczaninem, człowiekiem z natury ostrożnym. To do niego diuk zwracał się z pełnym młodzieńczego wdzięku szacunkiem. John widział, jak mężczyzna powoli się odpręży, niczym koń w zaprzęgu, podstawiający szyję, by ją poklepano. Obok niego tkwił żydowski finansista, o ciemnych oczach i czarnych, błyszczących włosach podobnych do loków Buckinghamama. Nosił małą czapkę na głowie i długi ciemny chałat z prostej tkaniny. Niderlandy szczyciły się swoją tolerancją; John pomyślał, że przy żadnym innym stole w Europie Buckingham nie siedziałby z Żydem jak równy z równym.

Diuk źle się czuł w obecności tego człowieka. Nie mógł znaleźć odpowiednich słów, by go sobie zjednać. Żyd był opanowany, jego pociągła twarz niczego nie zdradzała. Rzadko zabierał głos, a kiedy się odzywał, mówił po francusku z akcentem, którego

Tradescant nie umiał zidentyfikować. Traktował diuka z szacunkiem, ale wydawało się, że jeśli doszedł do jakichś własnych wniosków, nie ujawni ich. John żywił wobec Żydów takie same uprzedzenia i tak samo się ich obawiał, jak każdy Anglik. A tego mężczyzny w szczególności.

Trzeci rozmówca pochodził z jakiegoś możnego rodu i miałby dostęp do wielkiej fortuny, gdyby pozostali dwaj na to się zgodzili. Był młody, smukły i bogato odziany. Nie potrafił wyliczać zysków i odsetek starannie zapisanych na skrawkach papieru, które tamci wymieniali między sobą. Odchylił się do tyłu na krześle i spoglądał leniwie wokoło. Od czasu do czasu wymieniał porozumiewawcze uśmiechy z Buckinghamem, jakby się zgadzali, że obaj są światowcami, a te trywialne szczegóły to coś poniżej ich godności.

- Musimy wziąć pod uwagę kwestię zabezpieczenia tych klejnotów - powiedział mieszczanin. - Powinny być przechowywane tutaj.

Buckingham potrząsnął głową.

- Nie można ich zabrać ze skarbcza - wyjaśnił. - Ale jeśli chcecie, może ich pilnować wasz przedstawiciel w Londynie. I otrzymacie dokument z pieczęcią króla Karola, uznający wasze prawo do nich.

270

Mieszczanin wyglądał na zaniepokojonego.

- A jeśli będziemy musieli je zabrać?

- Jeżeli jego królewska mość nie będzie mógł spłacić tej pożyczki?

- uśmiechnął się Buckingham. - Ach, zapewniamy, że król ją spłaci. Nie zawiedzie was. Kiedy książę Fryderyk i księżniczka Elżbieta wrócą na tron, skarby Czech pokryją wszystkie długie zaciągnięte podczas tej kampanii.

- A jeśli ta kampania wojenna się nie powiedzie? -zapytał spokojnie Żyd.

Buckingham milczał chwilę.

- Powiedzie się - odparł.

Zapanowała krótka cisza. Żyd czekał na odpowiedź.

- Jeżeli się nie powiedzie, wtedy jego królewska mość zapłaci wam zgodnie z harmonogramem spłat, jakie proponujecie - rzekł gładko diuk. - Mówimy o królu Anglii, panowie. On na pewno nie ucieknie do Ameryki.

Szlachcic roześmiał się z tego żartu, a Buckingham posłał mu uśmiech. Żyd się nie uśmiechnął.

- Ale jak odzyskamy pożyczone pieniądze, jeśli z powodu błędnej oceny sytuacji jego królewska mość nie dotrzyma umowy? - zapytał uprzejmie mieszczanin.

Buckingham wzruszył ramionami, jak gdyby coś takiego przekraczało jego wyobrażenie.

- Och, nie mogę nawet o tym pomyśleć, no cóż, wtedy postąpilibyśmy jak w bajce. Jeżeli ta kampania wojenna się nie powiedzie i książę Fryderyk z małżonką nie zapłacą wam sami i jeśli potem król Anglii też wam nie zapłaci, wówczas ja, diuk Buckingham, osobiście oddam wam klejnoty koronne Anglii. Czy to panów zadowoli?

John powiódł wzrokiem po twarzach bankierów. Słowa te zadowolily szlachcica, który nie mógł sobie wyobrazić, że diuk Buckingham mógł powiedzieć jedno, a zrobić drugie. On nie był przeszkodą. Mieszczanin wahał się, na poły przekonany, na poły przestraszony. Żyd pozostał nieodgadniony. Nic nie można było wyczytać z jego ciemnej, poważnej twarzy. Mógł w duchu aprobować, mógł też potępiać ten projekt od samego początku, John nie umiał tego powiedzieć.

- I dałbyś nam taki dokument?

271

- Podpisany krwią, jeśli chcecie - odparł beztrąsko Buckingham, robiąc aluzję do popularnej sztuki, wyszydzającej żydowskich lichwiarzy. - Obiecałem mojemu panu, królowi Anglii, że otrzyma fundusze potrzebne do zwrócenia jego siostrze tronu. To zadanie, którego wszyscy powinniśmy się podjąć jako dobrzy protestanci i dobrzy chrześcijanie. To zadanie przypada właśnie mnie jako najwierniejszemu słudze jego królewskiej mości.

Trzej mężczyźni skinęli głowami.



- Czy mam was opuścić, żebyście mogli się naradzić?  
- zaproponował Buckingham. - Muszę was ostrzec, z grzeczności, że mam mało czasu. Są inni panowie, którzy chcieliby udzielić tej pożyczki mojemu królowi i uznać to za zaszczyt. Ale obiecałem, że najpierw spotkam się z wami.

- Oczywiście - powiedział niezręcznie mieszczanin. - I dziękujemy wam, panie. Może zechcecie napić się wina? Odsunął jedną z grubych kotar, odsłaniając małe drzwi. Wychodziły na otoczony murem dziedziniec. Przy murze w wielkiej donicy rosło drzewo morelowe, a przy jego pniu widać było zwinięte liście jakiegoś tulipana, który już przekwitł. John od razu zauważył, że jest to gatunek zwany Lack, o pięknych, białych płatkach ze szkarłatnymi żyłkami. W cieniu drzewa ustawiono parę krzeseł i stół, na którym ktoś umieścił butelkę wina i talerzyk z biskwitami.

- Proszę, zechciejcie się poczęstować, panie - powiedział mieszczanin. - I zadzwonię, jeśli będziecie jeszcze czegoś potrzebować. Zatrzymamy cię tylko na chwilę.

Uklonił się i wrócił do ciemnego pokoju. Buckingham rzucił się na krzesło i patrzył, jak John nalewa wina i podaje mu kielich.

- Co o tym myślisz? - zapytał cicho.

- To możliwe - odparł Tradescant tym samym tonem.

- Czy masz innych bankierów, od których będziesz mógł pożyczyć pieniądze?

- Nie - przyznał Buckingham. - Myślisz, że oni o tym wiedzą?

- Nie - powiedział John. - W tym mieście obraca się tak wielkimi sumami, że nie mogą być tego pewni.

272

Szlachcic cię popiera, panie, ale wątpię, czy pozostałych dwóch też masz w kieszeni.

Buckingham skinął głową i pociągnął łyczek wina.

- Dobrze - stwierdził z aprobatą. - To alikante.

- Co zrobimy, jeśli się nie zgodzą?

Buckingham zwrócił ku słońcu swoją piękną twarz i zamknął oczy, jakby nie dręczyły go żadne troski.

- Będę musiał wrócić do kraju z wiadomością, że cała polityka zagraniczna króla legła w gruzach - wyjaśnił. - Powiedzieć królowi, że jego siostrę wygnano z jej królestwa i obrażono, a on nic nie może zrobić. Powiedzieć Karolowi, że jeśli nie pogodzi się z parlamentem, będzie nędzarzem na swoim własnym tronie i że jego najwyższy minister był lepszym wielkim koniuszym niż dyplomata.

- Ożeniłeś go z francuską księżniczką - zauważył John. Buckingham uniósł lekko powieki i John zauważył błysk jego oczu pod gęstymi rzęsami.

- Prośmy Boga, żeby mu się spodobała. Nie mogę tego zagwarantować.

Drzwi za Johnem otworzyły się i ogrodnik odwrócił się błyskawicznie. Stał w nich Żyd z nisko pochyloną głową.

- Przykro mi, książę - powiedział cicho. - Nie możemy wyświadczyć wam tej przysługi. Ta suma jest za duża, żebyśmy mogli ją wypłacić, nie biorąc zastawu.

Buckingham zerwał się na równe nogi w nagłym wybuchu złości i już miał coś krzyknąć do lichwiarza, gdy John rzucił się i objął go ramionami, jak gdyby poprawiał swemu panu opończę.

- Spokojnie - szepnął.

Poczuł, że diuk wyprostował się w jego uścisku. Po chwili Buckingham podniósł głowę i rzekł:

- Przykro mi, że nie mogliście wyświadczyć nam tej przysługi. Powiem mojemu królowi o waszej niechęci i zawodzie, jaki mu sprawiliście.

Żyd pochylił głowę jeszcze niżej.

Buckingham wyprostował się dumnie, przybrał pogardliwą minę i obrócił się na pięcie. John rzucił się do przodu i otworzył przed nim drzwi, żeby jego pan mógł z honorem opuścić dziedziniec.

Wyszli na ulicę bocznymi drzwiami i zawahali się na chwilę.

273

- Co teraz? - zapytał Tradescant.

- Spróbujemy u innych - odparł diuk. - A potem jeszcze u innych.

A później kupimy kilka cebulek, bo wydaje mi się, że to wszystko,

co zabierzemy z tego przeklętego miasta.

Buckingham miał rację. John wrócił do New Hall w końcu maja. Poprzedzał go wóz pełen roślin i worki z cebulkami tulipanów. Sześć najcenniejszych - z których każda kosztowała sakiewkę złota - ukrył w kieszeni kamizelki.

Najpierw udał się do gabinetu osobliwości w New Hall i polecił J, żeby ten przyniósł tam sześć dużych, porcelanowych doniczek i kosz ziemi.

J spostrzegł w gabinecie na stole sześć cennych cebulek. Jego ojciec niezmiernie ostrożnie nacinał nasadę każdej w nadziei, że zachęci je w ten sposób do podziału.

- Co to takiego? - zapytał ze złością J, trzymając wiklinowy koszyk pełen ciepłej, przesianej, odchwaszczonej ziemi i obserwując ostrożne ruchy ojca. - Czy to Semper Augustus?

John potrząsnął głową.

- Miałem mnóstwo pieniędzy do wydania, a jednak nie mogłem sobie na niego pozwolić - odparł. - Nikt nie kupował tej odmiany. Codziennie chodziłem na giełdę, ale cena była tak wysoka, że nikt nie chciał kupować. Niestety, kupiec zachował zimną krew i nie obniżył ceny. W następnym roku znów wystawi swoje cebulki na sprzedaż, lecz za podwójną cenę. I co roku będzie się modlił, żeby nikt nie wyhodował nowego tulipana, który zastąpi Semper Augustus. Zostałby wtedy z cebulkami pięknych kwiatów, które wyszły z mody.

- A może się tak stać? - J był przerażony. John skinął głową.

- To nie ogrodnictwo, tylko spekulacja - powiedział ze wstrętem. - Handlują tam tulipanami ludzie, którzy nigdy w życiu nie wyrwali nawet jednego chwastu. I zbijają majątki!

J z szacunkiem pogładził palcem suchą, twardą łupinę najbliższej cebulki.

274

- Łupina jest twarda, a kształt dobry. Są śliczne nawet jako cebulki, prawda? - Nachylił się i powąchał twardą, ciepłą otoczkę.

- Zapach jest czysty? - zapytał John z niepokojem. - Ani śladu zgnilizny?

J potrząsnął głową.

- Nie. Co to za odmiana?

- To tulipan zwany Duck - żółty ze szkarłatnym rumieńcem u podstawy płatków. - John wskazał na następną cebulkę. - A to tulipan, który nazwano Lack, biały, o cienkich płatkach, z cienkimi czerwonymi paskami, ten zaś to Tulipa Australis, o bardzo mocnej łodydze i szkarłatnych płatkach z białą obwódką. Proś Boga, żeby u nas wyrosły, wydałem na tę szóstkę prawie tysiąc funtów.

Ręka, którą J dotykał cebulki, zadrżała.

- Tysiąc funtów? Tysiąc? Ależ ojciec - a jeśli zgniją? -zapytał szeptem. - Albo wyrosną i w ogóle nie zakwitną?

John uśmiechnął się ponuro.

- Wtedy poszukamy innego zajęcia. A jeśli wyrosną i podzielią się na nowe cebulki, J? Wtedy nasz pan podwoi swój majątek w ciągu jednego sezonu.

- Lecz nasze zarobki pozostaną niezmienione - zauważył młodszy Tradescant.

John skinął głową i włożył sześć doniczek do szafki w chłodnym kącie komnaty.

- Tak to już jest - odparł po prostu. - Ale nie sprzeciwi się, jeśli weźmiemy dla siebie jedną cebulkę z każdych dwóch, które wyhodujemy. Mój pan Cecil sam mnie tego nauczył.

Po powrocie John stał się popularny w wielkiej jadalni New Hall. Umiał pięknie opowiadać urzeczonym słuchaczom o ślicznej francuskiej księżniczce: miała zaledwie piętnaście lat, była ciemnooka i ciemnowłosa. Opowiedział o jej tańcach i śpiewie, i o tym, że kategorycznie odmówiła nauki angielskiego. Opowiedział im, że, jak głosiły wieści z Londynu, kiedy młody król Karol spotkał ją na zamku w Dover, obsypał jej twarzyczkę pocałunkami, wybuchnął śmiechem, słysząc jej wcześniej przygotowaną mowę, i spędził noc w jej łóżu.

275

Kobiety chciały wiedzieć, jak była ubrana, i John przebrnął przez opis jej strojów. Zapewnił je, że król i królowa przybyli do

Londynu rzeką na wielkiej łodzi, oboje ubrani na zielono, że działa Tower strzelały na wiwat. Był to barwny obraz, który wielokrotnie powtarzano sobie przy kominkach. Nie opowiedział natomiast, że już nazajutrz po przybyciu Henrietty Marii do Anglii doszło do kłótni między małżonkami. Królowa chciała, żeby jej francuskie dworki jechały z nią w karecie z Dover do Londynu, a król nalegał, aby podróżowała z żoną i matką Buckinghamama. Król oświadczył, że damy z jej francuskiego orszaku nie mają dostatecznie wysokiej rangi, by jechać z królową Anglii. Wtedy młoda królowa nieostrożnie odparowała, że dobrze wie, iż zaledwie dziesięć lat temu Buckinghamowie nic nie znaczyli. Jeszcze nie poznała wystarczająco życia, żeby uważać na swój ostry języczek, nie miała też pojęcia o ogromnych wpływach królewskiego doradcy. W każdym razie jechała w karecie z żoną i matką diuka przez całą długą drogę do stolicy Anglii i można było mieć pewność, że nie zawarła z nimi przyjaźni.

- Więc wyglądała na szczęśliwą? - zapytała pani Giddings, która pracowała w pralni w New Hall, ale miała własną małą farmę i na pewno zabije jeszcze jedną owcę, jeśli opowieść Johna okaże się dostatecznie interesująca.

John pomyślał o tej piętnastoletniej dziewczynie i jej nieangielskim, sztywnym zachowaniu, o jej dworze, który mówił tylko po francusku, i o dwóch spowiednikach, którzy odmawiali łacińskie modlitwy przy kolacji i ostrzegali ją, żeby nie jadła mięsa, choć świeżo poślubiony mąż właśnie ukroił dla niej plaster, ponieważ musi przestrzegać postu.

- Jest tak szczęśliwa, jak może być młoda żona - odparł. - Śmieje się, szczebiocze i śpiewa.

- A czy nasz diuk ją lubi?

Tylko Elizabeth zauważyła cień, który szybko przemknął przez twarz jej męża. We Francji wybuchło kilka skandali. Buckingham opowiedział mu o najgorszym, kiedy spacerowali po pokładzie małej łodzi rybackiej, płynącej z Rotterdamu do Tilbury. Królowa Francji zachęcała diuka,

bardziej niż wypadało to czynić kobiecie zameężnej, a zwłaszcza tak czujnie strzeżonej. Wdrapał się przez mur do jej prywatnego ogrodu, żeby się tam z nią spotkać. Nie chciał powiedzieć, co zaszło, ale i tak wszyscy w Europie o tym mówili. Przyłapała ich osobista straż królowej. Wyciągnięto miecze i padły groźby. Jedni mówili, że Buckingham napastował królową, drudzy, że ją uwiódł i przyłapano ją półnagą w jego ramionach. Jedne damy dworu królowej oświadczyły, że tylko flirtowali ze sobą, inne - że nic podobnego. Powstały plotki i insynuacje, a Buckingham zniósł to wszystko z uśmiechem - najprzystojniejszy mężczyzna na dworze, o najzłośliwszym dowcipie, najbardziej szelmowskim spojrzeniu i nieodpartym wdzięku. John spochmurniał, kiedy diuk wyznał, że królowa Francji zapadła mu głęboko w serce. Pomyślał, że powinien być zostać ze swoim panem i powstrzymać go od sekretnych spotkań z najlepiej strzeżoną kobietą w Europie.

„Czy mogłem temu zapobiec? - westchnął Buckingham, ale z błyskiem w oczach, który zawsze oznaczał psotę. - To miłość, Johnie. Ucieknę z nią, zabiorę ją od ponurego męża i zamieszkamy razem w Wirginii”.

John pokiwał głową nad słowami swego pana.

„A co jej mąż o tym sądzi?” - zapytał.

„Och, nienawidzi mnie” - odrzekł wesoło diuk.

„A księżniczka Henrietta?”.

„Jest teraz moją zacieklą nieprzyjaciółką”.

„Jest twoją królową, panie” - przypomniał mu John.

„Jest tylko żoną mojego najdroższego przyjaciela - odparł Buckingham. - Lepiej, żeby pamiętała, kogo on kocha”.

- Więc co ona o nim myśli? - powtórzyła pani Giddings. - Co nowa królowa myśli o naszym diuku?

- Jest jej największym przyjacielem na dworze - odrzekł ostrożnie John. - Nasz diuk podziwia ją i szanuje.

- Czy przybędzie wkrótce do domu? - zapytał ktoś spoza tłumu stłoczonego w kuchni.

- Na razie nie - odpowiedział Tradescant. - Na dworze odbywają się bale i maskarady na powitanie nowej królowej, a potem będzie

koronacja. Nie zobaczymy go tutaj jeszcze przez kilka tygodni.

277

Rozległ się ogólny pomruk rozczarowania. W New Hall robiło się weselej, gdy w pałacu przebywał jego pan, i zawsze istniała szansa, że można będzie przelotnie zobaczyć króla.

- Ale ty pojedziesz do niego - powiedziała Elizabeth, trafnie odczytując spokój i pogodę swego męża.

- Mam się z nim spotkać w Londynie. A potem muszę się wybrać do New Forest na poszukiwanie nowych drzew. Pragnie mieć labirynt - oznajmił Tradescant ze źle ukrywaną radością. - Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnąć dostatecznie dużo cisów.

John zawsze opowiadał ciekawym słuchaczom tylko połowę tej historii i zawsze kładł nacisk na rzeczy, które powinni byli usłyszeć. Gotów był im opowiedzieć, że młody król Karol już odprawił mnóstwo leniwych, rozpróżnionych faworytów swego ojca, że teraz dwór żyje w surowym rytmie modlitwy, pracy i ćwiczeń. Król rzadko pije wino i nigdy w nadmiarze. Czyta wszystkie dokumenty, które mu przedkładają, i podpisuje każdy swoim imieniem. Czasami jego urzędnicy znajdują na marginesie polecenia napisane drobnym pismem i później król zawsze dopytuje się o nie, żeby mieć pewność, iż zostały wykonane. Chciał być królem, który wnika we wszystkie szczegóły, zwraca uwagę na skrupulatne przestrzeganie reguł zarówno etykiety dworskiej, jak i w pracy rządu.

John nie powiedział jednak, że król nie obejmuje myślą całości zagadnienia i nie potrafi dostrzec dalekosiężnych konsekwencji swoich działań. Karol I był niezłomnie wierny ludziom, których kochał, ale nie umiał dotrzymać słowa danego tym, którzy byli mu obojętni.

Nowy król miał bardzo osobisty stosunek do wszystkiego i kiedy jakiś człowiek lub naród go zirytował, nie mógł znieść jego widoku ani myśleć o nim.

Nie przestawał rozmyślać o swojej siostrze, Elżbiecie Czeskiej, która nadal pozostawała na wygnaniu, czekając na pomoc królewskiego brata.

Karol I wciąż szukał rady u swoich dostojników, a w skarbcu nie było pieniędzy, żeby opłacić armię,

278

która pomogłaby Elżbiecie w odzyskaniu tronu. John nigdy nikomu nie wspomniał, nawet swojej żonie, o długich godzinach spędzonych w zaciemnionych komnatach niderlandzkich lichwiarzy i o poniżeniach, jakich od nich doznali zarówno król Anglii, jak i diuk Buckingham, gdyż nikt w całej Europie nie miał zaufania do niedoświadczonego władcy i jego ekstrawaganckiego doradcy.

Nie tylko lichwiarze nie ufali Buckinghamowi. Pewien obdarty wędrowny kaznodzieja, na którego twarzy malowało się głębokie przekonanie o słuszności tego, co głosił, przybył do Chelmsford, by wygłosić kazanie pod krzyżem na jarmarku.

- Pójdiesz, by go posłuchać? - mruknął John do Elizabeth, gdy postawiła kolację na stole i narzuciła szal na ramiona.

- Chciałabym pójść - odrzekła.

- On na pewno będzie głosił herezję - odparł John. - Lepiej zrobisz, zostając w domu.

- Chodź ze mną - zaproponowała. - A jeśli będzie gadał bzdury, możemy wejść do Bushów w drodze do domu i spróbować ich piwa.

- Nie mam czasu na wędrownych kaznodziejów - powiedział John. - Z każdym rokiem jest ich coraz więcej. W niedzielę wysłuchałem dwóch kazań. Nie zamierzam słuchać ich jeszcze we wtorek.

Elizabeth skinęła głową i wymknęła się z domu bez słowa. Poszła zwawo ulicą; w centrum wioski wokół kaznodziei zgromadził się już tłumek słuchaczy.

Ostrzegał ich przed ogniem piekielnym i przed grzechami wielkich tego świata. Elizabeth cofnęła się o kilka kroków w jakieś drzwi, żeby posłuchać kazania. John miał rację, człowiek ten prawdopodobnie głosił herezję, która równie dobrze mogła okazać się zdradą. Ale w jego słowach kryła się jakaś moc, kiedy po kolei przytaczał argumenty.



- Krok za krokiem zmierzamy drogą prowadzącą do ruiny - powiedział tak cicho, że słuchacze wyciągnęli szyje i wydało się im, iż kaznodzieja wciąga ich w jakiś spisek. - Dzisiaj zaraza kroczy ulicami Londynu swobodnie jak zaproszony gość. Żaden dom nie jest przed nią bezpieczny

279

i nikt nie może mieć pewności, że zdoła przed nią uciec. Każda rodzina w stolicy traci jednego lub paru swoich bliskich. I nie tylko Londyn, lecz każda wioska w całej Anglii musi strzec się obcych i bać chorych. Zaraza przychodzi po cichu, atakuje nas wszystkich i jest przed nią tylko jedna ucieczka: skrucha i modlitwy do Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Odpowiedział mu cichy pomruk aprobaty.

- Dlaczego nas dosięgła? - pytał kaznodzieja. - Dlaczego nas ogarnia? Spójrzmy, gdzie się zaczyna. Przychodzi z Londynu, stolicy bogactwa, siedziby dworu królewskiego. Nadciąga za rządów nowego króla, kiedy wszystko powinno zacząć się od nowa, gdy nie musimy walczyć ze starą plagą. Szerzy się wśród nas, ponieważ tak naprawdę ten monarcha nie jest nowy, przez cały czas ma u boku faworyta swojego ojca, doradcę, który nim kieruje. Nie jest nowym królem; pozostanie starym władcą dopóty, dopóki będzie nim rządził ten sam człowiek.

Tłum się cofnął. Kaznodzieja zaraz to zauważył.

- O tak - mówił cicho. - Wiem, że to on wam płaci, że mieszkacie w jego chatach, hodujecie winorośl na jego ziemi. Ale podnieście oczy znad waszych kup gnoju i krzywych kominów i zobaczcie, co ten człowiek robi w wielkim świecie. To on naraził księcia Karola na wielkie niebezpieczeństwo w Hiszpanii. To on sprowadził do Anglii papistowską francuską królową. Wszystkie stanowiska w naszym kraju należą do niego lub zostały przezeń komuś подарowane. Villiers stoi na czele każdego ważnego urzędu i zgarnia bogactwa. A nasz król musi błagać miasta i gildie o pieniądze. Dlaczego ich nie ma? Gdzie zniknęły skarby Anglii? Czy diuk Buckingham - który mieszka w swoim wielkim domu i chodzi w jedwabiach, obsypany brylantami - czy ten diuk wie,

gdzie się podziały królewskie pieniądze? Ale to nie wszystko. Powinniśmy odpowiedzieć sobie na inne pytania. Dlaczego nie możemy zwyciężyć w żadnej bitwie z Hiszpanami na lądzie czy na morzu? Dlaczego nasi żołnierze wracają do kraju i mówią nam, że brakło im jedzenia? I że nie mieli prochu do strzelb i kul do armat? Któż dowodzi naszą armią, jeśli nie diuk Buckingham? Nasi marynarze mówią,

280

że angielskie statki nie nadają się do pływania po morzach, a zapasy żywności gniją, zanim zostaną zużyte. A któż jest wielkim lordem admirałem? Znow diuk Buckingham! A kiedy nasi bracia i siostry w wierze z La Rochelle we Francji, protestanci tak jak my, proszą nas o pomoc przeciwko papistowskiej francuskiej armii, czy im pomagamy? Nasi własni bracia, modlący się tak jak my, którzy tak jak my uciekli przed plagą papizmu? Czy przychodzimy im z pomocą? Nie! Wielki diuk posyła angielskie statki i angielskich marynarzy na pomoc siłom ciemności, armii Rzymu, marynarce wojennej kardynała Richelieu! Posyła dobrych angielskich protestantów jako najemników diabła, uszminkowanej rzymskiej nierządniczy.

Kaznodzieja pocił się obficie. Oparł się plecami o kamienny krzyż i wytarł twarz.

- A co najgorsze - powiedział bardzo cicho - są tacy, którzy zastanawiają się nad tym, dlaczego nad naszym królem Jakubem, nad naszym dobrym królem Jakubem w ostatnich godzinach jego życia czuwali tylko Villiers i jego matka. Wydawało się już, iż król czuje się lepiej. Potem jednak tych dwoje odesłało wszystkich królewskich medyków i pod ich opieką zdrowie króla pogorszyło się i nasz władca umarł!

Zgromadzeni zaszemrali ze zgrozą, słysząc tak śmiałe słowa, gdyż ten człowiek był bardzo bliski oskarżenia diuka o największą zbrodnię na świecie: królobójstwo. Mówca pohamował się w ostatniej chwili.

- Nic dziwnego, że szerzy się wśród nas zaraza! - wykrzyknął. - Nic dziwnego! Czemuż bowiem Pan Zastępów miałby się

uśmiechać do nas, którzy zostaliśmy zdradzeni, jesteśmy zdradzani i pozwalamy, żeby nas zdradzano!

Ktoś krzyknął coś z tyłu i ci, którzy otaczali wołającego, wybuchnęli śmiechem. Kaznodzieja natychmiast odpowiedział na to wyzwanie.

- Masz rację, nie mogę tak przemówić do samego diuka! Ale inni zrobią to za mnie. Mamy parlament złożony z dobrych ludzi, którzy wiedzą, co myśli kraj. Oni przemówią do króla i ostrzegą go, że diuk Buckingham to fałszywy przyjaciel. Poproszą, by odwrócił się od Villiersa i wysłuchał

281

żądań swych poddanych. I król się odeń odwróci! Odda sprawiedliwość swemu ludowi, da strawę dzieciom i ziemię biedakom. Albowiem w Biblii powiedziane jest bardzo wyraźnie, że każdy mężczyzna będzie miał własną ziemię, by mógł ją uprawiać, a każda kobieta - swój własny dom. Król odwróci się od złych doradców i da nam to wszystko. Akr ziemi dla każdego mężczyzny i chatę dla każdej kobiety oraz strawę dla każdego dziecka.

Zapadła cisza - gdyż przemawiał do wieśniaków, a wszyscy oni w skrytości ducha marzyli o własnym kawałku ziemi.

- Czy król zrobi to dla nas? - zapytał jakiś mężczyzna.

- Kiedy pozbędzie się fałszywych doradców, na pewno tak - odrzekł kaznodzieja.

- I otworzy bramy własnych parków?

- Ziemi jest dość. Tereny gminne i nieużytki w Anglii są wielkie. Tak, jest więcej niż dość ziemi nie tylko dla nas wszystkich, lecz także dla mieszkańców miast, a jeśli będziemy potrzebowali więcej, wystarczy, że się tylko rozejrzemy. A dlaczego? Same ogrody New Hall wyżywiłyby pięćdziesiąt rodzin, gdyby zaczęto je uprawiać! W tym kraju jest wiele bogactw! Jest ich dość dla nas wszystkich, jeżeli zdołamy odebrać nadwyżki tym złym ludziom i oddać je potrzebującym.

Ktoś delikatnie dotknął łokcia Elizabeth.

- Chodź - szepnął jej John do ucha. - To nie kazanie, ale tyrada, w

której więcej jest podżegania do zdrady niż Pisma Świętego.  
W milczeniu pozwoliła się zaprowadzić na drogę wiodącą do ich domu.

- Słyszałeś wszystko? - zapytała, kiedy weszli do domu.

- Dostatecznie dużo - odparł John lakonicznie. J podniósł na nich oczy, gdy weszli, a potem pochylił głowę i dalej jadł kolację.

- Oskarżał o wszystko diuka - powiedziała Elizabeth. John skinął głową.

- Niektórzy tak robią.

- Powiedział, że bez jego złych rad król oddałby ziemię biednym i nie prowadził więcej wojen.

282

John pokręcił głową.

- Król żyłby jak król bez względu na to, czy diuk stałby u jego boku, czy nie - oświadczył. - A żaden władca nie oddaje swojej ziemi.

- Ale gdyby to zrobił... - upierała się Elizabeth. John przysunął stołek i usiadł obok J przy stole.

- To marzenie, a nie rzeczywistość - oświadczył. - Marzenie, o którym można mówić szeptem dzieciom. Marzenie o kraju, gdzie każdy człowiek miałby własny ogród i mógłby sam zapewnić wyżywienie swoim bliskim, a potem hodować również owoce i kwiaty. To nie Anglia, ale raj. Tam nie będzie biedy i głodu i każdy będzie mógł zakreślić granice swego ogrodu, zasadzić w nim to, co zechce, i patrzeć, jak rośnie.

W małej izdebce zapadła cisza. Johna, który zamierzał wydrwić wizję wędrownego kaznodziei, także skusiła myśl o tym, że wszyscy biedacy będą mieli własne ogrody, każdy będzie mógł zasadzić sobie sad, każde gminne błonie stanie się polem pszenicy i nikt nie będzie cierpiał głodu ani biedy.

- W Wirginii osadnicy karczują lasy i biorą sobie tyle ziemi, ile zechcą - wtrącił J. - To nie musi być marzenie.

- Tu również nie brak ziemi - odparł John. - Gdyby została równo podzielona między ludzi. Są ziemie gminne, nieużytki i lasy... jest dość ziemi dla wszystkich.

- A więc ten kaznodzieja miał rację - powiedziała Elizabeth. - To nadmierne bogactwo nielicznych wywołuje nędzę pozostałych. Bogacze ogradzają ziemię, zakładają na niej parki i sadzą lasy. To dlatego w Anglii nie ma dość ziemi dla biedaków.

Twarz Johna natychmiast stężała jak maska.

- To podżeganie do zdrady - odrzekł po prostu. - Wszystko wokół jest własnością króla. Może z tym robić, co zechce. Nikt nie może przyjść i wziąć sobie ziemię, jak gdyby była bezpańska. Cała Anglia należy do króla.

- Oprócz posiadłości, które należą do diuka Buckingham - zauważył chytrze J.

- On włada nimi z łaski króla, a król z łaski Boga - odrzekł Tradescant, powtarzając prostą prawdę.

- W takim razie musimy się modlić, żeby Bóg zechciał

283

dać ziemię biedakom - powiedział J, wstając od stołu i z irytacją odsuwając na bok swoją miskę. - Bo bez pomocy nie przeżyją kolejnego roku, nękanie zarazą i głodem z powodu złych zbiorów, a ani król, ani diuk raczej nie złagodzą ich cierpień.

Rozdział Dwudziesty Siódmy.

Lato 1626.

Tradescant myślał, że na diuka skarżą się nieświadomi sytuacji mężczyźni, niemądry młodzi chłopcy jak J, takie kobiety jak Elizabeth i wędrowni kaznodzieje, których wypowiedzi mogą wprawdzie zburzyć człowiekowi spokój, ale nie zmieniają jego poglądów. Ale potem król zwołał parlament do Oksfordu, a sam zatrzymał się poza Londynem, by uciec przed zarazą, która zamieniła ulice stolicy Anglii w cmentarz. Długi zmusiły Karola do układów z parlamentem, chociaż wątpił w lojalność jego członków i nienawidził ich zarozumiałstwa.

Parlamentarzyści przybyli do Oksfordu, ale nie okazali woli współpracy. Odmówili spłacenia ogromnych długów dworu królewskiego. Zamiast tego prości wiejscy szlachcice przedstawili królowi długą listę zarzutów wobec diuka Buckingham i zażądali, żeby postawił go przed trybunałem, który zbadałby jego

winy.

- Nie mogę nic zrobić, nie wiedząc, co się dzieje - powiedział John do Elizabeth. Pracował we własnym ogrodzie przy domku w New Hall, sadząc fasolę równymi rządkami. Zauważyła, że palce drżą mu lekko, kiedy wciskał nasiona w ziemię. - Oni chcą go postawić w stan oskarżenia! Chcą go sądzić za zdradę!

- Chcesz do niego jechać? - zapytała, starając się, by jej głos brzmiał obojętnie.

John potrząsnął głową.

- Jak mógłbym? Bez rozkazu?

- A nie pośle po ciebie?

285

- Pośle, jeśli będę mógł mu się do czegoś przydać. Nic jednak na to nie wskazuje. W Oksfordzie nie potrzeba mu ogrodnika!

- Ale on zleca ci wykonywanie różnych innych prac - odparła Elizabeth. (Brudnej roboty, dodała w myśli). - Jego prywatnych spraw - powiedziała głośno.

John skinął głową.

- Pojadę, jeśli po mnie przyśle - powtórzył. - Ale nie mogę tego zrobić, póki mi nie rozkaże.

Zauważyła, że mąż opuścił niżej głowę na myśl o diuku, któremu zagrażały jakieś kłopoty lub niebezpieczeństwo, a który nie chciał wezwać Johna na pomoc.

- Muszę czekać - powiedział.

Jeden ze sług diuka przyniósł do New Hall wieści z Oksfordu.

Zarządca zauważył Johna na dziedzińcu przed stajnią i posłał po niego, zapraszając do swego kantoru.

- Wiedziałem, że zechcesz się dowiedzieć, iż diuk nie stanie twarzą w twarz z oskarżycielami! - rzekł rozpromieniony William Ward. - Wiem, że bardzo by cię to zmartwiło, panie Tradescant.

John zerwał z głowy kapelusz i podrzucił go w górę jak chłopiec.

- Dzięki niech za to będą Bogu Najwyższemu! Dzięki Bogu! - wykrzyknął. - Zmartwiałem się z tego powodu przez ostatnich dziesięć dni. Chwała Bogu, że nabrali rozumu. Wycofali oskarżenia, prawda? Zaniechali ich? Któż może mu się

przeciwstawić, co, panie Ward? Któż mógłby źle o nim myśleć, widząc go i słysząc?

Ward potrząsnął głową.

- Nie odstępili od oskarżeń.
- Jak to? Musieli to zrobić! Powiedziałeś, że...
- Powiedziałem, że nie stanie z nimi twarzą w twarz...
- To znaczy?
- Postawili go w stan oskarżenia na podstawie ośmiu zarzutów - wyjaśnił zarządca cicho, wyraźnie wstrząśnięty. - Oskarżyli go o wszystko, poczynając od doprowadzenia do ruiny marynarki wojennej, a na okradaniu króla kończąc. Oskarżyli go nawet... powiedzieli, że był zamieszany... zażądali od niego wyjaśnień w sprawie zamordowania króla Jakuba.

286

Tradescant zbladł.

- Zamordowania?

Ward skinął głową, równie przerażony jak John.

- Tak to określili. Nazwali to morderstwem. A jego nazwali królobójcą.
- Mój Boże! - westchnął cicho John. - Co im na to odpowiedział?
- Nic. Król kazał aresztować oskarżycieli i rozwiązał zgromadzenie. Odesłał parlamentarzystów do domów. Nie wysłucha ich.

John poczuł ulgę. Ale trwało to tylko chwilę.

- A więc król okazał się jego przyjacielem. I jego wrogowie są wrogami króla.

William Ward skinął głową. Lecz potem John zauważył ujemną stronę królewskiego posunięcia.

- A ponieważ oskarżyciele zostali aresztowani, to oskarżenie zostało wycofane?

Rządca powoli pokręcił głową.

- Nie. I w tym sęk. Chociaż oskarżycieli osadzono w Tower bez sądu, nie odwołali swoich zarzutów.
- Kim są ci przekleści kłamcy? Kto to taki?
- Sir Dudley Digges i sir John Elliot. Tradescant zbladł jak płótno.

- Przecież sir John był najbliższym przyjacielem naszego pana - powiedział cicho. - Od dziecka kochali się jak bracia.

William Ward skinął głową.

- A ja płynąłem do Rosji z sir Dudleyem. On by nie rzucał fałszywych oskarżeń, to prawdziwy człowiek honoru! Sam zaufałem jego osądowi tak jak własnemu. Odbyliśmy razem długą, niebezpieczną podróż i opiekowałem się nim, kiedy zachorował. Gdybym mógł, udałbym się z nim lądem do Moskwy. To porządny, prawy człowiek. Nie wniósłby przeciw nikomu fałszywego oskarżenia. Nie mógłby tego zrobić.

Zarządca spojrzał na Johna ze smutkiem.

- Chodzi o jego słowo przeciw słowu naszego diuka.

- Zaręczyłbym życiem za jego uczciwość - powiedział niepewnie Tradescant.

Ward potrząsnął głową.

- Ci dwaj wystąpili przeciw naszemu panu i zostali za to uwięzieni.

287

Król trzyma ich w Tower i nie zanosi się na to, by mieli odzyskać wolność.

- Ale jakie postawiono im zarzuty?

- Żadnych. Nie ma innych zarzutów oprócz tego, że wystąpili przeciw diukowi.

John szybko podszedł do okna i wyjrzał na tarasy w dole: na złoty taras i sadzawkę ze złotą rybką, na srebrny poniżej i na stawik z pstrągami na niższym poziomie.

- Tym ludziom można zaufać we wszystkim - szepnął. - Gdyby to była inna sprawa, stanąłbym po ich stronie.

William Ward milczał.

Kiedy Tradescant się odwrócił, na jego twarzy malowała się wielka powaga.

- To kiepska sprawa. Nikt nie może nazwać kłamcą sir Dudleya. Ale nikt też nie może powiedzieć, że mój diuk zrobił... to wszystko, o co go oskarżyli.

William Ward przyjrzał mu się uważnie.



- Byłeś tam. Przy śmierci króla Jakuba. Musiałeś coś widzieć.  
- Nic nie widziałem - odparł szybko John. - Tylko milorda  
czuwającego przy łożu swego władcy i opiekującego się nim  
najlepiej, jak mógł. Księżę Karol również tam był; czy ci dwaj  
uważają, że zabił własnego ojca? Biskup Lincolnu też tam był.  
Czy oskarżyciele mówią, że on także maczał w tym palce?  
- Była tam matka Villiersa - zauważył zarządca. - I odprawili  
medyków.

John spojrział na niego, zbity z tropu.

- Musimy mu ufać - powiedział stanowczo, choć zabrzmiało to  
jak błaganie. - Jest naszym panem. Przysięgliśmy mu wierność.  
Musimy mu ufać dopóty, dopóki nie będziemy mieli niezbitych  
dowodów na to, że wystąpił przeciw królowi lub słowu Bożemu.  
Nie możemy, będąc jego ludźmi, odstąpić go, kiedy jego gwiazda  
zachodzi. Jestem z nim na dobre i na złe. Jadłem jego chleb.

Ward skinął głową.

- Diuk przybędzie do domu przynajmniej na kilka dni. Napisał do  
mnie, że zostanie jakiś czas, a potem wyruszy do New Forest na  
polowanie z królem.

Tradescant pokiwał głową.

288

- Wybierają się na polowanie? A co z parlamentem? Przecież król  
dopiero co go zwołał.

- Rozwiązał go - wyjaśnił lakonicznie zarządca. - To dopiero  
drugi parlament za rządów obecnego króla. Nie zawarto żadnej  
ugody i został rozwiązany. Nie przyznał królowi żadnych  
pieniędzy, nie ustalił ani polityki wewnętrznej, ani zagranicznej.  
Król będzie rządził tylko z diukiem, bez parlamentu. Ale skąd  
weźmie pieniądze, żeby za cokolwiek zapłacić? Co poddani o nim  
pomyślą?

- Co oni zrobią? - zastanowił się Tradescant. - Jak sobie poradzą?  
To tacy młodzi ludzie - i mają za granicą tylu niebezpiecznych  
wrogów i...

William Ward wzruszył lekko ramionami.

- Kroczą niebezpieczną drogą - rzekł. - Niech Bóg ma ich w

swojej opiece.

Wiosną noc w noc widziano wyraźnie kometa, która świeciła bardzo nisko i bardzo jasno. Najłatwiej można ją było zobaczyć po zachodzie słońca, kiedy gwiazdy zapalały się na niebie, które wciąż miało perłowy kolor. Wyraźnie się odcinała od ciemniejszego tła, a okalały ją żółte, ogniste języki. Wszyscy wiedzieli, że to jakiś znak, a większość uważała, iż to ostrzeżenie. Zaraza nadal się srożyła, okazało się, że nowa francuska królowa jest bezpłodna i w dodatku szeptano, iż nie cierpi króla. Za zamkniętymi drzwiami wybuchały zajadłe kłótnie, słychać było głośne krzyki. Przedtem diuk Buckingham ciągle się wtrącał do królewskiego małżeństwa, interweniując, doradzając, nawet strofując jej królewską mość. Teraz zaś mówiono, że królowa nie może znieść widoku męża i nie chce go widywać sam na sam, bez diuka.

Kometę widziano również w New Hall, a w wiosce sądzono, że to zapowiedź kary za grzechy. Złocisty ogon komety miał być oznaką trucizny, trucizny ukrytej gdzieś w Anglii. John Tradescant, który nienawidził przesądów, warknął na syna. Oświadczył, że kometa to gwiazda, która wypadła ze swego toru, i że nic nie oznacza - w każdym razie dla ludzi obdarzonych szczyptą zdrowego rozsądku. Zawsze jednak patrzył na kometa, krzyżując palce w kieszeni i szepcząc do siebie: „Boże, chroń króla! Boże, chroń diuka!”. W lipcu spory między królewskimi małżonkami

289

doszły do punktu wrzenia. Król rozkazał francuskim damom królowej wynieść się z dworu i z kraju. Jednocześnie na siłę umieścił żonę i siostrę Buckinghama wśród fraucymeru swej małżonki, by zajęły miejsca Francuzek. John, przyglądając się, jak instalowano nowe, okazałe fontanny w New Hall, zauważył koło siebie syna.

- Ojczy, dlaczego król nie może żyć szczęśliwie ze swoją żoną? - zapytał J. - W kuchni mówią, że najjaśniejszy pan napadł na nią, aż musiała wzywać z okna swoich księży i damy dworu, a potem

diuk, nasz pan, zagroził jej, iż może zostać ścięta za zdradę. John chwycił syna mocno za ramię i odprowadził na stronę.

- To tylko plotki - powiedział ostro. - Babskie plotki. Chcesz paplać jak stara baba przy kominku?

- Ja tylko chcę zrozumieć - odparł szybko J. Twarz ojca pociemniała z gniewu i chłopak pojął, że posunął się za daleko.

- Co zrozumieć? J się zawahał.

- Chcę wiedzieć, dlaczego zawsze podążasz za diukiem - powiedział nagle. - Dlaczego zostawiasz mnie i matkę i czasami nie widzimy cię całymi miesiącami. Chcę wiedzieć, dlaczego on ma nad tobą taką władzę? I jaką władzę ma nad królem?

John zastanawiał się przez chwilę, a potem poprowadził syna ścieżką, obejmując ramieniem jego młode, szczupłe barki.

- Kocham go jako mojego pana - wyjaśnił. - Pana, którego Bóg umieścił nade mną, żeby mnie prowadził i wydawał mi rozkazy. Jestem jego człowiekiem, rozumiesz? Poprosił mnie, żebym został jego sługą, a ja się zgodziłem. To znaczy, że czuję się z nim związany aż do śmierci lub do chwili, gdy mnie zwolni. Nie padłem na kolana i nie przysiągłem mu wierności jak wasale w dawnych czasach, ale chodzi tu o to samo. Należę do niego, jest moim panem. Taka więź nas łączy.

J niechętnie skinął głową.

- I kocham go dla jego urody - wyznał szczerze John. - Bez względu na to, czy ma na sobie białe, jedwabne szaty obsypane brylantami, czy brązowy myśliwski strój,

290

jest gibki jak wierzba i śliczny jak - rozejrzał się po ogrodzie - jak jeden z kwitnących kasztanowców.

To niezwykły człowiek. Nigdy nie widziałem kogoś takiego jak on. Jest piękny jak kobieta i dzielny niczym rycerz z dawnych opowieści. Porusza się niby tancerz i jeździ konno jak sam diabeł. Sprawia, że się śmieję, gdy jesteśmy razem, i smucę każdego dnia, kiedy przebywamy z dala od siebie. Jest moim panem. Nie ma drugiego takiego jak on.

- Czy kochasz go bardziej niż nas? - zapytał J.

- Kocham go inaczej. - John rozmyślnie minął się z prawdą. - Kocham ciebie i twoją matkę jak najdroższych krewnych. A mojego pana miłuję tak, jak anioły ponad nim i Boga nad nimi.

- Czy ty nigdy się nie zastanawiasz? - zapytał złośliwie J, którego słowa ojca boleśnie dotknęły. - Czy ty nigdy się nie zastanawiasz, że może wybrałeś niewłaściwy obiekt uczuć? Że ten twój pan, którego umieszczasz tylko poniżej aniołów, w rzeczywistości może być taki, jak go nazywają na placu targowym? Że to fałszywy przyjaciel, złodziej, szpieg, papista, morderca czy sodomita?

John odwrócił się błyskawicznie i uderzył syna tak mocno, że ten runął na ziemię. Potem stał nad nim z zaciśniętymi pięściami, gotów znów go powalić, gdyby usiłował się podnieść.

- Jak śmiesz?!

J starał się odsunąć od rozwścieczonego ojca.

- Ja...

- Jak śmiesz obrażać człowieka, którego chleb jesz? Który postawił jedzenie na twoim stole? Jak śmiesz powtarzać ohydne uliczne oszczerstwa w jego ogrodzie? Powinienem cię za to wybatożyć, Johnie. Jesteś wstrętnym młokosem o plugawych myślach. Wykształcenie nic ci nie dało, jeśli nauczyło cię złych myśli.

J podniósł się z trudem i stanął przed ojcem; na jego policzku widniał czerwony ślad ręki Johna.

- Wolę myśleć sam! - zawołał. - Nie chcę mieć pana, któremu będę służył. Nie będę zamykać uszu na sprawy, o których wszyscy mówią. Chcę znaleźć własną drogę w życiu.

- Znajdziesz własną drogę do piekła - odparł John z goryczą, po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

Rozdział Dwudziesty Ósmy.

Lato 1627.

Buckingham, który przybył do New Hall w lecie, wypłoszony z hrabstwa Essex wrogością parlamentu, znalazł Johna w sadzie, przywiązanego śliwy do muru z czerwonej cegły. John odwrócił się, słysząc szybkie kroki diuka na wyłożonej tłuczoną cegłą

dróżce. Buckingham, zauważywszy radość na twarzy ogrodnika, położył mu rękę na ramieniu.

- Chciałbym być dla całego świata takim bohaterem jak dla ciebie, Johnie - powiedział.

- Są jakieś kłopoty, panie?

Diuk odrzucił głowę i wybuchnął beztróskim śmiechem. John uśmiechnął się w odpowiedzi, ale przeszył go dreszcz niepokoju. Z doświadczenia wiedział, że musi mieć się na baczności, kiedy jego pan jest w wesołym nastroju.

- Kłopoty są zawsze - odparł Buckingham. - Przywołuję je, strzelając palcami. A co u ciebie, Johnie? Co tu teraz robisz?

- Przeprowadzam pewien eksperyment. Nie wiem, czy się powiedzie. Postanowiłem się przekonać, czy zdołam zapewnić śliwom nieco więcej ciepła, tu, gdzie rosną, w tym ogrodzie.

- Podpalisz ich pnie?

- Będę spalał węgiel drzewny - wyjaśnił poważnie Tradescant. - Tutaj. - Pokazał diukowi wysoki ceglany mur

292

i trzy maleńkie paleniska umieszczone jedno nad drugim. - Przewody kominowe z palenisk biegną wzdłuż całej długości muru, a gorący dym wędruje między cegłami do miejsca, gdzie drzewa są przywiązane. Mam nadzieję, że uchroni je to przed mrozem, tak że może będziesz miał wczesne śliwki i morele, panie. Wcześniej o kilka tygodni, może nawet miesięcy. Myślę, że w samej naturze drzewa jest coś, co sprawia, iż wydaje owoce. Jestem pewien, że dojrzewają dzięki ciepłym promieniom słonecznym. W pierwszym roku zbytnio je przypiekłem, a w zeszłym byłem zbyt ostrożny i zniszczył je mróz. Myślę jednak, że w tym roku chyba osiągnę mój cel i będziesz miał słodkie, dojrzałe owoce w czerwcu, panie.

- Nie będę jadł angielskich śliwek w tym roku w czerwcu, i ty też nie - oświadczył diuk.

Zaniepokojony John odwrócił się od ogrzewanego muru.

- Nie w tym roku?

- Chyba że chcesz jeść śliwki, kiedy ja pójdę na wojnę!

- Ty, panie?!

Buckingham odrzucił głowę i znowu się roześmiał. John pomyślał, że jego pan wygląda jak kogut piejący na płocie.

- Posłuchaj mnie, Johnie. Przyjmiemy wyzwanie Francuzów! Czy to nie będzie zabawne? Kiedy oni sprawiają nam kłopoty w Niderlandach i zagrażają pięknej królowej Elżbiecie pozbawionej należnego jej tronu, my popłyniemy i zaatakujemy ich miękkie podbrzusze.

- Na Morzu Śródziemnym?

- La Rochelle - odparł triumfująco Buckingham. - Popłyniemy, a tamtejsi protestanci powitają nas jak bohaterów. Ich własni rodacy od dawna oblegają tych męczenników za wiarę. Nasze przybycie diametralnie zmieni sytuację. Przypuszczam, że wszystko odbędzie się bez jednego wystrzału! I w ten sposób zagramy na nosie samemu kardynałowi Richelieu!

- Ale zaledwie rok temu posłaliście flotę, która miała walczyć po jego stronie, byliście jego sprzymierzeńcem przeciw protestantom...

- Polityka! Polityka! - przerwał mu Buckingham. - Powinniśmy byli popierać naszych braci w wierze, kiedy tylko

293

zostali obleżeni. Nasz kraj aż rwał się do wojny z katolikami, ja sam się do niej rwałem. Ale wtedy francuska królowa dopiero co przybyła do Anglii i Hiszpanie tak bardzo nam zagrażali - co mogłem zrobić? Teraz jest zupełnie inaczej. Teraz będzie lepiej.

- Nasz lud ma dobrą pamięć - przestrzegł go John. - Mogą pamiętać, że oddaliście naszą flotę kardynałowi Richelieu i że angielskie działa strzelały do protestantów w La Rochelle.

Buckingham potrząsnął głową i wybuchnął śmiechem.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje, Tradescant? Nie chcesz ze mną popłynąć?

- Przecież wy nigdy nie wypływacie, panie? Buckingham uśmiechnął się rozbrajająco.

- Ja? Ależ oczywiście! Czyż nie jestem wielkim lordem admirałem?

- Nie sądziłem, że... - John urwał. - Czy nie jesteście potrzebni królowi tu, w Anglii, wasza książęca mość? A czy wasi wrogowie w kraju nie zjednoczą się przeciw wam, jeśli wyruszyacie na wyprawę, która potrwa wiele miesięcy? Aż huczy od złośliwych plotek, słyszałem nawet, że was oskarżają... chyba nie możecie zaryzykować dłuższej nieobecności, panie?

- Cóż lepiej ich uciszy, jeśli nie zwycięstwo? Kiedy wrócę do Anglii po zwycięstwie nad Francją, po triumfie nad papistami i z nowym angielskim portem na zachodnim wybrzeżu Francji, czyż moi wrogowie nie znikną w jednej chwili? Znow staną się moimi najbliższymi przyjaciółmi. Sir John i sir Dudley ponownie pokochają mnie jak brata i wybiegną z Tower, by ucałować moją dłoń. Nie rozumiesz? Wszystko będzie się kręciło wokół mnie. John położył rękę na rozcinanym rękawie uszytego z kosztownej tkaniny obcisłego kubraka swego pana.

- A jeśli przegracie, wasza książęca mość? Buckingham nie odtrącił go, chociaż mógł to uczynić, nie roześmiał się, jak John tego oczekiwał. Zamiast tego położył białe palce na dłoni Tradescanta i przycisnął ją mocniej do swego ramienia.

- Nie mogę przegrać - odparł cicho. - Mówię ci prawdę, Johnie, nie mam odwagi przegrać.

294

Tradescant spojrział w ciemne oczy swego pana.

- Jesteśmy w tak wielkim niebezpieczeństwie?

- W największym. Stracą mnie za zdradę, jeśli zdołają. Obaj mężczyźni stali nieruchomo przez chwilę, ściskając sobie dłonie, zbliżywszy do siebie głowy.

- Popłyniesz ze mną? - spytał Buckingham.

- Oczywiście - odparł John.

- Dokąd wyruszasz? - zapytała lodowatym tonem rozwścieczona Elizabeth.

- Do Francji, wraz z flotą - powiedział John, pochylając nisko głowę nad kolacją. J, siedzący na drugim końcu stołu, obserwował rodziców w milczeniu.

- Masz prawie sześćdziesiąt lat! - Głos Elizabeth drżał z gniewu. - Najwyższy czas, żebyś został w domu. Diuk płaci ci jako ogrodnikowi i strażnikowi jego gabinetu osobliwości. Dlaczego nie może pozostawić cię w ogrodzie?

John pokręcił głową i ukroił sobie plaster szynki.

- To smaczne mięso - zauważył. - Nasze?

- Tak! - warknęła. - Czego diuk od ciebie chce?

- Poprosił mnie, żebym z nim popłynął - odpowiedział John tonem perswazji. - Nie mogę go przecież zapytać, czy jest tego pewien lub jakimi kieruje się motywami. Rozkazał mi popłynąć.

- Jesteś w wieku, kiedy mężczyźni siedzą przy kominku i opowiadają wnukom o swoich podróżach - odparowała. - A nie wyruszają na wojnę jak zwykli żołnierze.

Ubodły go te słowa.

- Nie jestem zwykłym żołnierzem. Podróżuję jak szlachcic w jego orszaku. Jako jego towarzysz i doradca.

Uderzyła ręką w stół.

- A cóż ty możesz mu doradzić? Jesteś ogrodnikiem. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Mogę być ogrodnikiem, ale podróżowałem daleko i stawiłem czoło większym niebezpieczeństwom niż ktokolwiek z jego świty - odparł. - Uczestniczyłem w bitwie o Algier i odbyłem długą podróż do Rosji. Wędrowałem po całej Europie. A on potrzebuje wszystkich mądrych ludzi, których zdoła zgromadzić. Poprosił mnie i popłynę z nim.

295

- Możesz odmówić - odparła wyzywająco. - Możesz odejść ze służby. Jest wiele innych miejsc, w których mógłbyś pracować. Moglibyśmy wrócić do Canterbury. Lord Wootton przyjąłby cię z powrotem. Mówi, że nikt nie umie hodować takich melonów jak ty. Moglibyśmy też wrócić do Hatfield i znów pracować dla rodziny Cecilów.

- Nie złamię przysięgi. Nie opuszczę jego lordowskiej mości.

- Nie złożyłeś przysięgi - nalegała. - Uważasz się za jego człowieka, a on rzeczywiście traktuje cię jak swego wasala, ale



teraz nastały nowe czasy, Johnie. Służysz mu z taką samą miłością i oddaniem jak lordowi Cecilowi, na dawny sposób. Inni pracują u Villiersa wyłącznie dla pieniędzy i opuszczają go, kiedy to dla nich wygodne. Mógłbyś mu służyć właśnie tak. Mógłbyś mu powiedzieć, że nie chcesz iść z nim na wojnę, że zamierzasz poszukać sobie innej pracy.

John był naprawdę wstrząśnięty.

- Ja miałbym mu powiedzieć, że nie chcę pójść z nim na wojnę, kiedy on idzie? Powiedzieć mu, że wolę zostać w domu, gdy on walczy o mój kraj na obcej ziemi? Ja miałbym stać się zdrajcą, skoro jadłem jego chleb i mieszkałem w jego domu przez pięć lat? Opuścić go po tym, jak mi płacił i ufał, i zatrudnił mojego syna, który w ten sposób może się uczyć zawodu na jednym z najwspanialszych dworów w kraju? Ja miałbym czekać aż do tego dnia, do najgorszej chwili jego życia, żeby mu powiedzieć, iż byłem tu dopóty, dopóki nie znalazłem sobie pracy gdzie indziej? To nie sprawa zarobków, Elizabeth, to kwestia zaufania. To sprawa honoru. To sprawa między moim panem a mną.

J zrobił lekki gest zniecierpliwienia, a potem siedział nieruchomo. John nawet na niego nie spojrzał.

- W takim razie służ mu tam, gdzie twoje miejsce - odparła z naciskiem Elizabeth. - Trzymaj się swego pana i wykonuj pracę, którą ci dał i za którą ci płaci. Strzeż jego gabinetu osobliwości, pilnuj jego ogrodów.

- Moje miejsce jest u jego boku - odparł po prostu John. - Gdzie on pójdzie, tam powinienem być i ja. Gdziekolwiek to będzie.

296

Przełknęła urazę, zazdrość, dumę, dotknięta oddaniem brzmącym w jego głosie. Z trudem nad sobą zapanowała.

- Nie chcę, żebyś się narażał na niebezpieczeństwa - odezwała się cicho. - Mamy tu dobrą posadę. Uznaję nasz dług wdzięczności wobec diuka. Wiedziesz tu przyjemne życie. Dlaczego więc miałbyś opuścić New Hall? I to aby pójść na wojnę z Francuzami? Sam opowiadałeś, jaki mają dwór i jaką armię! Jaką szansę na zwycięstwo w walce z nimi ma angielska flota?! - A zwłaszcza

pod dowództwem diuka Buckingham, pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos.

- On uważa, że czeka nas triumfalne powitanie godne bohaterów, a potem zaraz wrócimy do kraju - oświadczył John. - Protestanci z La Rochelle od miesiący są oblegani przez oddziały francuskie. Przełamiemy blokadę i uwolnimy hugenotów, co będzie policzkiem dla Richelieu.

- A dlaczego ty miałbyś wymierzać policzek kardynałowi Richelieu? - zapytała. - Zaledwie parę miesięcy temu był naszym sprzymierzeńcem.

- To polityka - odrzekł John, by ukryć swoją ignorancję. Elizabeth wzięła głęboki oddech, przywołując całą swoją cierpliwość.

- A jeśli to nie będzie takie łatwe? Jeżeli diuk nie zdoła wymierzyć policzka Richelieu?

- Wtedy będzie mnie potrzebował - odparł po prostu John. - Jeżeli będą zmuszeni budować maszyny oblężnicze czy mosty, będzie mnie tam potrzebował.

- Jesteś ogrodnikiem! - zawołała.

- Tak! - krzyknął, wyprowadzony z równowagi. - Ale wszyscy inni to poeci i muzycy! Oficerowie to młodzi dworzanie, którzy nigdy nie brali udziału w trudniejszej, bardziej wyczerpującej wyprawie niż całodzienne polowanie, a podoficerowie to pijacy i kryminaliści. Diuk potrzebuje w swojej świcie przynajmniej jednego człowieka, który umie pracować rękami i zmierzyć odległość oczami! Kto z orszaku będzie strzegł mego pana? Komu on może zaufać?

297

Elizabeth zerwała się i chwyciła talerze ze stołu. John zauważył, że żona stara się powstrzymać łzy gniewu, i natychmiast zmiękł.

- Lizzie - powiedział łagodnie.

- Czy nigdy nie zaznamy razem spokoju? - zapytała. - Już nie jesteś młody, Johnie. Czy nigdy nie zostaniesz w domu? Mamy syna, mamy dom, ty masz też wielki ogród i swoje osobliwości. Czy ci to nie wystarcza? Dlaczego musisz płynąć na kraj świata,

żeby walczyć z Francuzami, którzy zaledwie rok temu byli naszymi sprzymierzeńcami i przyjaciółmi?

Wstał i podszedł do niej. Bolały go kolana i starał się iść równo, nie kulejąc. Objął ją w pasie. Przez szarą suknię czuł miękkie, ciepłe ciało żony.

- Wybacz mi - powiedział. - Muszę popłynąć. Daj mi swoje błogosławieństwo. Nigdy nie pozwalałaś mi odjechać bez twojego błogosławieństwa.

Zwróciła ku niemu zaniepokojoną twarz.

- Mogę cię pobłogosławić i mogę się modlić do Pana, żeby nad tobą czuwał - odrzekła. - Obawiam się jednak, że płyniesz w złym towarzystwie, żeby stoczyć bezsensowną bitwę. Kiepskie plany, kiepskie dowództwo i nędzny żołd.

Tradescant aż się cofnął.

- To nie błogosławieństwo, to złe wróżby! Elizabeth potrząsnęła głową.

- To prawda, Johnie, i wiedzą o tym wszyscy w tym kraju oprócz ciebie. Wszyscy oprócz ciebie sądzą, że twój pan prowadzi kraj do wojny, żeby dokuczyć kardynałowi Richelieu i rozdrażnić króla Francji, któremu już przyprawił rogi. Wszyscy oprócz ciebie wiedzą, że diuk popisuje się przed królem. Wszyscy oprócz ciebie uważają, że jest złym, niebezpiecznym człowiekiem.

John zbladł jak płótno.

- Widzę, że znów słuchałaś zbuntowanych kaznodziejów i plotek - powiedział. - Sama nie wymyśliłabyś czegoś tak ohydnego!

- Kaznodzieje mówią tylko prawdę - odparła, wreszcie stawiając mu czoło. - Mówią, że nadchodzi nowy świat, kiedy ludzie będą mogli podzielić się bogactwami naszego kraju i że każdy powinien dostać swój udział. Mówią,

298

że król posłucha głosu rozsądku i odda kraj swemu ludowi po odsunięciu złego doradcy. Mówią też, że jeśli król nie wystąpi przeciwko papistowskim praktykom na dworze, papistowskiemu rytuałowi w swoim kościele i biedzie na ulicach, wtedy wszyscy powinniśmy stąd odejść, żeby stworzyć nasz własny świat.

- Do Wirginii! - zadrwił zjadliwie John. - Z mojej strony to tylko inwestycja w obiecujące przedsięwzięcie. To nie było marzenie o nowym świecie.

- Na pewno w tym starym świecie nie ma marzeń! - odparowała. - Niewinni ludzie siedzą w Tower, biedacy są tak obciążeni podatkami, że stają się żebrakami. W miastach panuje zaraza każdego lata i głód na wsi, a najbogatszy król na świecie, odziany w jedwabie, podróżuje ze swoim faworytem, który dosiada konia z Arabii.

John ujął podbródek żony i obrócił jej twarz ku sobie, aż musiała spojrzeć mu w oczy.

- To podżeganie do zdrady - powiedział stanowczo. - I nie pozwolę, żeby mówiono takie rzeczy w moim domu. Uderzyłem J za mniej buntownicze słowa. Posłuchaj mnie uważnie, Elizabeth. Oddalę cię, jeśli będziesz występować przeciw mojemu panu. Wyrzucę cię, jeśli będziesz występować przeciw królowi. Oddałem serce i duszę diukowi i królowi. Jestem ich człowiekiem. Przez moment Elizabeth miała taki wyraz twarzy, jakby rzeczywiście ją uderzył.

- Powiedz to jeszcze raz - szepnęła.

Zawahał się; nie wiedział, czy go prowokuje, czy też po prostu nie wierzy własnym uszom. Tak czy inaczej, nie mógł się cofnąć przed kobietą. Łańcuch władzy od Boga poprzez księcia do zwykłego mężczyzny z gminu był jasny i zrozumiały, uczucia żony nie mogły zakłócić lojalności mężczyzny wobec jego pana, króla i Boga.

- Oddalę cię, jeśli będziesz występować przeciw mojemu panu - powtórzył równie uroczyście, jak niegdyś przysięgę małżeńską w Meopham. - Wyrzucę cię z domu, jeżeli będziesz występować przeciw królowi. Oddałem serce i duszę diukowi i królowi. Jestem ich człowiekiem.

Obrócił się na pięcie i opuścił izbę. Ciężkimi krokami wszedł po schodach do sypialni. Później Elizabeth usłyszała

299

skrzypienie skrzyni, kiedy John wyjął podróżny strój, który leżał

tam przesypany lawendą i rutą.

Oparła się o kominek, żeby nie upaść, gdy nogi nagle się pod nią ugięły, i osunęła się na trójnożny stołeczek.

- Chcę z nim popłynąć - powiedział nagle J. Elizabeth nie obejrzała się. Nie pamiętała, że syn nadal jest w izbie.

- Jesteś za młody - odrzekła z roztargnieniem.

- Mam prawie dziewiętnaście lat, jestem dorosłym mężczyzną. Mógłbym dbać o jego bezpieczeństwo.

Podniosła wzrok na jasną, pełną nadziei twarz młodzieńca i jego ciemne oczy, tak ciemne, jak u ojca.

- Nie mogłabym znieść rozłąki z tobą - powiedziała. - Zostań ze mną w domu. Ta podróż złamie dość serc w domu diuka i we wszystkich innych domach w całym kraju. Nie mogę narażać również ciebie.

Wyraz twarzy chłopca świadczył, że się nie zgadza z matką.

- Ach, synu, nie trać czasu, robiąc mi wyrzuty lub próbując mnie przekonać! - zawołała nagle z goryczą. - On cię nie weźmie. Nie pozwoli ci pójść na wojnę. Będzie chciał pojechać sam z diukiem.

- Zawsze tylko diuk - powiedział urażony J. Odwróciła się od niego i spojrzała w ogień.

- Wiem - odrzekła. - Gdybym nawet do dziś ukrywała to sama przed sobą, teraz musiałabym to przyznać. Teraz, kiedy powiedział mi to prosto w oczy i powtórzył - że jest jego człowiekiem, a ja się nie liczę.

Elizabeth nie przyjechała, by popatrzeć na flotę odpływającą ze Stokes Bay w pobliżu Portsmouth. Było to za daleko z hrabstwa Essex, a poza tym nie chciała widzieć swego męża, jak wchodził po wąskim trapie na okręt diuka, nadzorując załadunek jego bagaży. Na tę wyprawę, która miała przypominać wojnę, Buckingham zabierał harfistę z wielką harfą, parę mlecznych krów, tuzin niosek, potężną skrzynię książek do czytania w wolnych chwilach i olbrzymią karetkę oraz liberie dla swoich sług, kiedy będzie jechał w triumfalnym pochodzie przez La Rochelle.

300

Obserwując ten dziwaczny ekwipunek, John poczuł ulgę, że

Elizabeth go nie odprowadza. Na okręty diuka weszło niechętnie sześć tysięcy piechurów oraz stu kawalerzystów. Sam król przybył do Portsmouth na kolację ze swym lordem admirałem i na pożegnanie obsypał go całusami, życząc mu pomocy bożej w tej misji.

Cel samej misji nie był pewny. Początkowo mieli nękać francuską flotę w drodze do La Rochelle, ale stało się tak, że chociaż morze w lipcu było spokojne i przyjazne żeglarzom, nie zobaczyli żadnego francuskiego okrętu i nie mogli wykonać rozkazów.

Dworzanie Buckinghama grali w karty o horrendalnie wysokie stawki i urządzili konkurs poetycki. Wszyscy dużo pili i śmiali się przez cały czas żeglugi na południe.

Zgodnie z następnymi rozkazami mieli popłynąć do La Rochelle, gdzie, jak się spodziewali, zostaną z wdzięcznością powitani przez obleżonych hugenotów. Ale nie można było wykonać nawet tego pozornie prostego zadania. Kiedy angielska flota pojawiła się przed miastem i rozpostarła sztandary, tak by mieszkańcy La Rochelle zobaczyli, iż sam wielki diuk Buckingham przybył im z pomocą, obleżeni nie byli ani wdzięczni, ani nie powitali wyzwolicieli z radością. Prowadzili bowiem właśnie skomplikowane i delikatne rokowania z agentami kardynała Richelieu o prawo do praktykowania swojej religii i bezpiecznego życia w katolickiej Francji. Przybycie floty angielskiej zagroziło ich dyplomatycznym układom.

- A więc możemy wrócić do kraju z honorem - zaproponował John. Stał w głębi bogato zdobionej kajuty Buckinghama. Przy stole siedzieli doradcy diuka, a wśród nich przywódcy francuskich protestantów.

- Nigdy! Musimy pokazać, że nie żartujemy - odrzekł Francuz nazwiskiem Soubise. - Powinniśmy zająć wysepkę Re u wejścia do portu i wtedy zobaczą, że muszą traktować nas poważnie. Doda to im odwagi do wystąpienia przeciwko Richelieu, zerwania rokowań i rzucenia mu wyzwania.

- Ale zgodnie z naszymi rozkazami mamy czekać, aż się wypowiedzą przeciwko niemu - przypomniał John. - Nie wzniecać

niepokojów. Mieszkańcy La Rochelle muszą nas poprosić o pomoc. A jeśli nie wystąpią przeciwko Richelieu,

301

kazano nam popłynąć do Bordeaux i eskortować angielskie statki wiozące wino do kraju. Nie musimy walczyć o La Rochelle, jeśli mieszkańcy tego miasta nas o to nie poproszą.

Francuz usiłował pochwycić wzrok Buckinghama.

- Jego książęca mość nie przebył tak wielkiej odległości po to, żeby eskortować beczki wina - powiedział ze śmiechem.

- Ani po to, żeby wplątać się w spór, którego nikt nie chce - odparował energicznie Tradescant.

Buckingham, podziwiający właśnie nowy, wielki pierścień z brylantem na swoim palcu, podniósł głowę.

- Tęsknisz za krajem, Johnie? - zapytał zimno. Tradescant poczerwieniał.

- Jestem twoim człowiekiem, panie - odrzekł z powagą. - I nikiem innym. I nie chcę, żebyś został wciągnięty w bitwę o niewielką wysepkę naprzeciw niewielkiego miasteczka nad niewielką rzeczką we Francji.

- To jest La Rochelle! - wykrzyknął Soubise. - To nie jakieś tam miasteczko!

- Jeżeli jego mieszkańcy sami nie chcą walczyć w swojej sprawie - upierał się John - dlaczego my mielibyśmy walczyć za nich?

- Może dla sławy? - zasugerował Buckingham, uśmiechając się do Tradescanta z drugiego końca kajuty.

- Jesteś dostatecznie sławny, panie. - John odpowiedział uśmiechem, wskazując na nowy brylant i błyszczący kamień na ozdobionym piórami kapeluszu, który leżał przed diukiem na stole.

Francuz zaklął cicho pod nosem.

- Mamy więc wrócić do kraju, jak gdybyśmy zostali pobici? - zapytał. - Bez jednego wystrzału? To na pewno spodoba się królowi i uciszy parlament! Uznają, że zostaliśmy przekupieni, że jesteśmy ludźmi francuskiej królowej, papistami! Powiedzą, że ta misja była zabawą, maskaradą. Że jesteśmy komediantami, a nie

żołnierzami.

Buckingham wstał i przeciągnął się tak, że musnął ciemnymi kędziorami połączony sufit kajuty.

- Nie - powiedział cicho. John spojrzał na niego czujnie. Znał to zachowanie.

302

- Będą z nas kpić na ulicach - lamentował Soubise.

- Nie - powtórzył Buckingham.

- Powiedzą, że był to gest, który miał uwieść królową Francji - oświadczył Soubise, posuwając się tak daleko, jak starczyło mu odwagi. - Że rzuciłeś rękawicę jej mężowi i że nie podjąłeś wyzwania, książę.

Przez chwilę John myślał, że Francuz przeholował. Buckingham zeszywniał na dźwięk imienia królowej. Ale potem znów się uśmiechnął.

- Nie oni - rzekł. - I powiem wam, dlaczego nie będą z nas kpili. Ponieważ przystąpimy do oblężenia tej wysepki, zdobędziemy ją, a potem zdobędziemy La Rochelle i wrócimy do kraju jako zwycięscy bohaterowie.

Francuz westchnął, a potem uśmiechnął się promiennie, gdy zgromadzeni w kajucie zaczęli klaskać. Buckingham rozpromienił się, słysząc ów aplauz.

- Ruszajmy! - zawołał, przekrzykując śmiech i oklaski.

-Wylądujemy tam jutro!

Była to prawdziwa rzeź, ale się udało. Niedoświadczeni majtkowie, podstępnie porwani z piwiarni na południowym wybrzeżu Anglii, usiłowali utrzymać łodzie w jednym miejscu, walcząc z prądami wokół błotnistych, nieprzyjaznych plaż wysepki. Niedoświadczeni żołnierze porwani z tawern i piwiarni Anglii, Irlandii, Walii i Szkocji kulili się ze strachu przed falami i francuskimi muszkietierami, uprzedzonymi o ataku i wspaniale uzbrojonymi, którzy już czekali, by ich powitać. Wszystko byłoby stracone, gdyby nie diuk, doskonale widoczny pod swoim sztandarem. We wspaniałym, złocisto-szkarłatnym stroju pływał łodzią tam i z powrotem między okrętami i zagrzewał żołnierzy do



boju. Nie zważając na niebezpieczeństwo i śmiejąc się, gdy armatnie kule wystrzelone z jego okrętów z hukiem przelatowały mu nad głową, wyglądał jak wódz z jakiejś baśni. Rzeczywiście był zdobywcą godnym wejść do łoża najpiękniejszej królowej w Europie. Kiedy go zobaczyli, błyszczącego od brylantów, ze złotym mieczem u boku, nabrali odwagi. Niemożliwe, żeby taki człowiek, tak czarujący, roześmiany mężczyzna mógł kiedykolwiek zostać pokonany.

303

Jego dźwięczny głos słyhać było ponad szumem fal, grzmącym hukiem armat i wrzaskami źle wyćwiczonych oficerów.

- Do boju! - krzyczał. - Do boju! Za Boga i króla! Za króla! Za mnie! Będziemy pieprzyć katolików!

Wylądowali na brzegu, rycząc ze śmiechu z jego sprośnych okrzyków, a Francuzi, mając do czynienia z nieprzyjacielem, który nagle nabrał odwagi, potężnym i wręcz beztróskim, rzucili się do ucieczki. Po południu tego dnia Buckingham stał na plaży Re, a miecz miał wilgotny tylko od morskiej wody. Wiedział, że zatriumfował.

John udał się w głąb lądu ze zwiadowcami i zobaczył francuską kawalerię wycofującą się po zalewanych słoną wodą, porośniętych nierówno trawą polach, gdzie czerwieniły się setki, tysiące maków.

- Jak żołnierze w czerwonych mundurach - powiedział do siebie. Zadrżał, jakby to był jakiś znak, i zerwał parę wysychających makówek.

- Nadal zajmujesz się ogrodnictwem, panie Tradescant? - zapytał jeden ze zwiadowców.

- Mają piękny kolor - odrzekł. - Jest ich mnóstwo.

- Są czerwone jak krew - zauważył zwiadowca. - Tak.

Anglikom nadal dopisywało szczęście. W ciągu kilku dni Buckingham zdobył całą wysepkę Re, a armia francuska tkwiła stłoczona w niewielkim, na poły ukończonym zamku, forcie świętego Marcina. Johna wysłano na zwiady.

- Powiedz mi, jak wygląda ich twierdza, Johnie. Pomóż mi

uzmysłowić sobie, jaka jest wielka i jak silna - poleciał Buckingham, gdy spacerując wielkimi krokami wzdłuż linii frontu, natknął się na Tradescanta, który przygotowywał małą grządkę na rzadkie rośliny, jakie mógłby znaleźć tego dnia. - Zostaw ogrodnictwo, człowieku, i powiedz mi, jak jest położony ich fort.

John natychmiast odłożył rydel i zarzucił sakwę na plecy, gotów do drogi.

- Nie jestem inżynierem - uprzedził swego pana.

- Wiem o tym - odparł diuk. - Ale jesteś ostrożny, masz dobre oko i brałeś udział w oblężeniu i byłeś pod ogniem, to znaczy przeszedłeś więcej niż ktokolwiek z nas.

304

Rzuć na nią okiem, a po powrocie przyjdź do mnie na prywatną rozmowę i powiedz mi, co o tym myślisz. Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co mówią ci Francuzi. Oni chcą tylko odnieść zwycięstwo za wszelką cenę, a ja mam być częścią tej ceny, toteż chętnie by ją zapłacili.

John skinął głową. Nie zapytał, co w takim razie tu robią, obozując na plaży na pustej wysepce u wybrzeża Francji. Nie zwykł się skarżyć na rzeczy oczywiste. Podniósł swój kij i ruszył brzegiem na drugą stronę wysepki. Diuk odprowadził go wzrokiem i zauważył, że John kuleje, oszczędzając bolące kolano. Wrócił późnym wieczorem, z naręczem sadzonek i niezdatnym szkicem.

- Dobry Boże, co ty masz w kapeluszu? - zapytał Buckingham. Siedział przed namiotem przy stole ozdobionym ślicznymi intarsjami. Wyglądał młodo i beztrosko w białej płóciennej koszuli rozpiętej pod szyją, z czarnymi kędziorami spadającymi na ramiona.

John ostrożnie wziął za listek jedną z roślin i podniósł do góry.

- To nowa odmiana goździka - wyjaśnił. - Nigdy dotąd nie widziałem takich liści. - Wyciągnął kwiat. - Czy te liście pachną? Buckingham powąchał.

- Nic nie czuję, Johnie. I - wybac mi - ale wysłałem cię na

zwiady, żebyś mi przyniósł wieści o francuskich fortyfikacjach, a nie na zbieranie roślin.

- Siedziałem wśród roślin, szkicując ten fort - odparł John z godnością. - Można robić dwie rzeczy jednocześnie.

Buckingham uśmiechnął się do niego szeroko.

- Taki człowiek jak ty może robić i tuzin rzeczy - powiedział słodko. - Pokaż mi swój plan, Johnie.

John rozłożył plan na stoliku.

- Ten fort jest zbudowany w kształcie gwiazdy i tylko do połowy wykończony z jednej strony - tłumaczył. - Będziemy mieli kłopoty, ponieważ jego północna strona, na brzegu, znajduje się dokładnie naprzeciwko La Rochelle i francuskie oddziały obozujące na lądzie wokół obleżonego miasta łatwo mogą przyjść z pomocą. Teraz, kiedy zajęliśmy wyspę,

305

oblegani nie otrzymają stamtąd wsparcia. A miasteczko La Rochelle broni się przed papistowską armią francuską. Ale w całym murze fortu świętego Marcina są bramy wypadowe i obleżeni mają tam przycumowane łodzie gotowe do ataku.

Będziemy musieli najpierw odciąć ich od lądu.

Buckingham popatrzył na szkic Johna.

- A co powiesz na bezpośredni atak? Nie myślę o wzięciu ich głodem. Co powiesz o ataku na te mury?

John wykrzywił usta.

- Nie doradzam tego - powiedział lakonicznie. - Te mury niedawno zbudowano i są naprawdę wysokie. Otwory strzelnicze wyglądają na bardzo głębokie. Nie zdołasz się przez nie przebić, panie, i stracisz połowę ludzi, gdybyś kazał im wspinać się na umocnienia.

- Będziemy musieli wziąć ich głodem? John skinął głową.

- A jeśli otoczemy ich całą armią od lądu, czy będziesz w stanie zbudować dla mnie zaporę od strony morza, żeby nie mogli wysyłać i przyjmować łodzi?

John namyślał się przez chwilę.

- Mogę spróbować - powiedział. - Ale to ocean. Tu nie chodzi o

zagrodzenie rzeczki, to raczej przypomina zbudowanie zapory w poprzek portu Portsmouth. Fale są bardzo wysokie i jeśli nadciągnie sztorm, może wszystko roztrzaskać.

- A gdybyśmy mieli dość drewna i łańcuchy...

- Jeśli nadal będzie dobra pogoda, zapora powinna wytrzymać - odrzekł z powątpiewaniem John. - Ale wystarczy jedna wietrzna noc, żeby się roztrzaskała.

Buckingham wstał szybko, podszedł wielkimi krokami do stolika i spojrzał na szkic fortu.

- Powiadam ci, Johnie, nie mogę tkwić tu, pod tym małym fortem, patrząc nań bez końca - odezwał się tak cicho, że tylko Tradescant go usłyszał. - Rozpocząłem oblężenie, a oni są uwięzieni w tej cytadeli jak w pułapce, to prawda; ale mogę wyżywić moich ludzi tylko tym, co przywiozłem na okrętach. Potrzebuję wsparcia tak samo, jak ta francuska twierdza. Ich oddziały i prowiant znajdują się za tą małą cieśniną, a moja armia i zaopatrzenie są o wiele mil stąd. W dodatku Richelieu rozkazuje ich królowi,

306

podczas gdy mój król... - Urwał i zauważył niepokój na twarzy Johna. - Nie zapomni o mnie - powiedział stanowczo. - Nawet w tej chwili przygotowuje flotę, która przywiezie nam prowiant i ludzi. Rozumiesz jednak, że czas nagli. Nie mogę czekać.

Francuzi w forcie muszą głodować i poddać się od razu. Inaczej nas samych czeka taki los. Będziemy głodowali i poddamy się, chociaż to my mamy ich oblegać.

- Wymyślę coś - obiecał John.

Dla żołnierzy i biedniejszych oficerów nie zabrano namiotów; nikt w Anglii nie pomyślał, że będą potrzebne podczas tej wyprawy.

John położył swoją sakwę na ziemi obok tornistrów innych żołnierzy, zasadził nowy goździk na zaimprovizowanej grzędce, a potem zaczął układać plan blokady fortu świętego Marcina.

W ciągu paru godzin sporządził szkic połączonych łańcuchami belek okrętowych i paru zapasowych masztów. Najstarszy cieśla okrętowy i John nadzorowali wrzucenie belek do wody i

przyglądali się, jak marynarze wychylający się z łódek usiłują spiąć je łańcuchami.

- To były nasze zapasowe maszty i belki do naprawy okrętów - zauważył chłodno cieśla. - Lepiej się módlmy, żebyśmy nie stracili żadnego masztu w drodze do kraju.

- Nie możemy wrócić do kraju przed upadkiem tej cytadeli - odrzekł John. - Wszystko po kolei.

- A czy słyszałeś, kiedy nasi przybędą na odsiecz? Chłopcy mówią, że wielka flota przybędzie za nami teraz, kiedy król się dowiedział, iż diuk odniósł sukces, a w kraju już wiedzą, że prowadzimy oblężenie.

- Przybędzie już wkrótce - odparł John z większą pewnością siebie, niż naprawdę czuł. - Diuk powiedział mi, że król mu to obiecał.

John miał rację co do kruchości zapory z belek. Silny wiatr, który zaczął dmuchać w następnym tygodniu, wyraźnie ostrzegał przed zbliżającym się sztormem. Tradescant wypełził ze swojego zaimprovizowanego schronienia i spojrzał na morze. Nic nie widział w ciemności. A potem ktoś położył mu rękę na ramieniu. To był Buckingham, który również nie mógł zasnąć.

307

- Czy twoja blokada wytrzyma?

- Nie, jeśli ten wiatr nadal będzie wiał - odparł Tradescant. - Wybacz mi, panie.

Poczuł ciepły oddech diuka, kiedy ten się pochylił, aby John mógł usłyszeć jego słowa w huku nawałnicy.

- Nie prosź o wybaczenie, Johnie - rzekł. - Ostrzegałem mnie przed tym niebezpieczeństwem, a ja ci wyjaśniłem, czego potrzebuję. Ale jutro o świcie opuść obóz i zbuduj mi inną zapórę. Muszę odciąć fort świętego Marcina od morza.

Tym razem John postanowił użyć barek desantowych, powiązanych razem dziobami i rufami w poprzek cieśniny przed cytadelą. Po obu stronach rozlokowano małe obozy, by angielscy żołnierze strzegli zapory i od czasu do czasu strzelali do tych mieszkańców fortu, którzy mieli dość odwagi, żeby wyglądać

ponad w połowie ukończonymi murami. Prace budowlane niemal ustały, chociaż należało za wszelką cenę skończyć cytadelę.

- Są głodni i zmęczeni - oświadczył z satysfakcją Buckingham. - Przetrzymamy ich.

Tydzień po wykonaniu nowej zapory znów rozszalała się wichura i wzburzone fale pchające barki w przeciwnie strony rozerwały tamę. Podczas narady wojennej niektórzy oficerowie otwarcie okazywali pogardę Tradescantowi.

- Przykro mi - powiedział ponuro John. - Ale prosicie mnie o zbudowanie zapory niemal na pełnym morzu. Mogę ją odbudować. Sprowadzę statki bliżej brzegu i połączę je cumami. Załogi będą pełniły wachtę i jeśli któraś cum się zerwie, możemy ją zastąpić inną. Ponieważ jednak pogoda robi się coraz gorsza, nie mogę wymyślić niczego, co wytrzyma jesienne sztormy.

Na twarzy Buckinghama malowała się powaga.

- Królewska flota przybędzie w tym miesiącu - rzekł. - Przybędzie na pewno. Jego królewska mość mnie kocha i przyrzekł mi solennie, że wyśle flotę we wrześniu. Poprosiłem go, żeby przysłał mi więcej cum i belek, a także amunicję, pieniądze i prowiant. I jeszcze trzy tysiące żołnierzy. Kiedy tylko flota przybędzie, zdobędziemy fort i ruszymy dalej do La Rochelle. Nasze kłopoty się skończą, gdy tylko znajdziemy się na stałym lądzie.

308

Zapadło krótkie, pełne zniechęcenia milczenie. Tylko John ośmielił się powiedzieć to, o czym wszyscy myśleli.

- A jeśli się spóźni... - zaczął ostrożnie. - Jeżeli król nie zdoła zebrać pieniędzy na tę flotę...

Ostre spojrzenie Buckinghama ostrzegło Tradescanta, że powinien zamilknąć, ale ciągnął dalej uparcie:

- Proszę o wybaczenie, panie, ale jeśli jego królewska mość spóźni się z przysłaniem nam posiłków, będziemy musieli wycofać się w tym roku.

- Boisz się - wtrącił jeden z Francuzów. Zasłaniając usta ręką, szepnął coś o ogrodach i o łatwym życiu.

- Wiem, że zaczyna nam brakować prowiantu i amunicji - mówił

odważnie John. - I że żołnierze otrzymują tylko pół żołdu. Gdyby mieli dokąd pójść, już dawno by zdezerterowali. Nie możemy zmusić ich do walki, jeśli są głodni. Nie mogą strzelać z muszkietów, jeżeli nie mają prochu. - Spojrzał na Buckingham, ignorując szlachciców, którzy otwarcie się z niego śmiali. - Wybaczcie mi, panie. Ale ja przebywam wśród prostych żołnierzy, wiem, co myślą, i wiem, że są głodni.

Buckingham zerknął na swój stolik, gdzie flaszka czerwonego wina połyskiwała obok talerza z biskwitami.

- Brakuje nam żywności? - zapytał zaskoczony.

- Nie głodujemy, ale obcięto nam racje żywnościowe - wyjaśnił John. - Hugenoci przysyłają nam z La Rochelle wszystko, co mogą - nie powinniśmy jednak zjadać ich zapasów. Przybyliśmy tutaj, żeby im pomóc, a nie zabierać prowiant. Przecież ich samych otacza papistowskie francuskie wojsko, nie mogą zatem zaopatrywać nas w nieskończoność.

- Porozmawiam z francuskim dowódcą - powiedział w zamyśleniu Buckingham. - To szlachcic. Może zdołamy zawrzeć jakąś ugodę.

- Powinniśmy zamorzyć ich głodem i zepchnąć do morza - wtrącił pośpiesznie Soubise. - Oblegamy ich i powinniśmy rozbić ich w puch!

- W przyszłym roku - dodał szybko Tradescant. - Kiedy tu wrócimy z nową flotą.

Pakiet listów dotarł bez większych przeszkód do oblegających fort Anglików. Napisali król, Kate, żona Buckingham, 309

a także jego matka, stara, przebiegła hrabina Villiers. Żadne z nich nie przysłało prowiantu ani żołdu dla wojska i nie było słowa o tym, że Karol szykuje i wysyła flotę. Diuk zachował złe wieści dla siebie. Nikt jednak, kto widział, w jaki sposób wsunął list do wyszywanej kamizelki, nie mógł wątpić, że wprawdzie król przysłał przyjazne słowa, ale nie wspomniał o angielskiej flocie z Portsmouth przedzierającej się przez wzburzone morza na pomoc ukochanemu przyjacielowi.

List od starej hrabiny był jeszcze bardziej złowieszczy. Nakłaniała syna do powrotu do kraju i zajęcia dawnego miejsca na dworze. Nie powinien ryzykować dłuższej rozłąki z władcą pochodzącym z rodu Stuartów, którzy, jak powszechnie wiadomo, mają krótką pamięć. Sam Buckingham zastąpił poprzedniego faworyta Rochestera w sercu króla Jakuba, a teraz król Karol powoli dostaje się pod wpływ nowych ludzi. Ostatnio doradza mu pewien niedawno mianowany biskup, William Laud, wywodzący się z gminu niski mężczyzna o czerwonej twarzy. Buckingham musi pośpieszyć do Anglii, zanim zostanie zapomniany.

Karol powiadał swojego najdroższego przyjaciela, że nie ma pieniędzy, ale gromadzi fundusze wszelkimi dostępnymi środkami. Dodał, że myśli tylko o tym, skąd wziąć pieniądze, żeby móc posłać flotę z posiłkami. Stara hrabina natomiast napisała do syna ich prywatnym szyfrem, że Karol właśnie kupił od księcia Mantui całą kolekcję obrazów za piętnaście tysięcy funtów - sumę wystarczającą na wyposażenie i wysłanie dwóch flot. Nie umiał im się oprzeć za tak okazijną cenę i teraz znów nie ma pensa przy duszy. Pieniądze na flotę zostały roztrwonione kolejny raz - Buckingham nie może więc liczyć na posiłki.

Diuk podarł list matki i zrzucił strzępy z rufy „Triumfu”.

- Och, Karolu! - westchnął. - Jak możesz tak mnie kochać, a mimo to tak zdradzać?

Strzępy papieru zawirowały na wietrze jak płatki śniegu.

Buckingham przesądnie podniósł oczy na niebo. Na horyzoncie gromadziły się gęste chmury, piękna pogoda miała wkrótce się popsuć.

310

- To miły człowiek - powiedział do siebie. - Najmilszy, jaki kiedykolwiek żył na świecie, ale najbardziej wiarołomny przyjaciel i król ze wszystkich.

Otulił się ciaśniej opończą. Wiedział, że za każdym razem, gdy wymieniano na dworze jego imię, Karol myślał o nim z miłością. Wiedział, że po powrocie czeka go serdeczne powitanie. Zdawał sobie jednak również sprawę, że człowiek, który od dziecka



dostawał wszystko w chwili, gdy tylko czegoś zapragnął, nie potrafił się oprzeć kolekcji obrazów księcia Mantui. Karol uznał, że Buckingham, angielska flota i otwarta wojna z Francją mogą poczekać, aż on wycisnie jeszcze więcej pieniędzy z udreńczonych angielskich poddanych. Nigdy nie zrozumie, że powinien był się wyrzec tych obrazów. Nie stać go na wyrzeczenia. Pomimo zrozumienia dla innych, osobistego wdzięku i słodyczy Karol miał w sobie mnóstwo egoizmu, którego nic nie mogło przewyciężyć.

- Będę musiał zwyciężyć i wrócić do kraju, bo inaczej pozostawi mnie tu na pewną śmierć - powiedział do siebie królewski faworyt.

Ostatnie strzępy listu jego matki zawirowały na wietrze, opadły na fale, a potem odpłynęły. Diuk przyglądał się, jak toną w zielonych wodach oceanu, i zdał sobie sprawę, że widzi swoją klęskę i śmierć, i że nigdy dotąd nie pomyślał, iż jego życie i wspaniała kariera mogą się tak zakończyć.

Podniósł wzrok na horyzont, na ciemne zwały chmur. Wiatr pędził deszcz w stronę „Triumfu” i angielskich okrętów rozciągniętych szeregiem jako cienka zaporę między fortem świętego Marcina i cieśniną La Rochelle.

- Zwycięzę i wrócę do kraju - poprzysiągł sobie Buckingham. - Urodziłem się i zaszedłem tak wysoko nie po to, żeby umrzeć w tym zimnym morzu u brzegów Francji. Urodziłem się do wielkich czynów, znacznie większych niż ten. Na własne oczy zobaczę, jak fort zostanie starty z powierzchni ziemi, a potem wrócę do Anglii i każę sobie zapłacić za moje trudy piętnaście tysięcy funtów; i zapomnę, że kiedykolwiek tu byłem, cierpiąc niedostatek, targany lękiem.

Odwrócił się w stronę śródokręcia i zauważył, że John Tradescant stoi w pobliżu, przyglądając mu się uważnie.

311

- A niech cię diabli wezmą, Johnie! Zaskoczyłeś mnie. Co tu robisz, do czarta?

- Po prostu obserwuję was, panie. Buckingham wybuchnął śmiechem.

- Obawiałeś się noża mordercy na moim własnym okręcie?

Ogrodnik pokręcił głową.

- Obawiałem się zawodu i rozpaczy - odparł. - A czyjeś towarzystwo może również ustrzec was przed nimi panie.

Buckingham objął Johna i przycisnął twarz do grubego, muskularnego karku starszego mężczyzny. Tradescant pachniał domem, samodziałem, czystym płótnem i ziemią. Dodało mu to otuchy.

- Tak - powiedział krótko diuk. - Zostań ze mną, Johnie.

Rozdział Dwudziesty Dziewiąty.

Jesień 1627.

Pewnego popołudnia z fortu przybył posłaniec. Komendant Torres prosił o pokój i podanie warunków kapitulacji. Buckingham nie pozwolił, żeby posłaniec, który był oficerem, zobaczył jego uśmiech, ale przyjął tę propozycję z całkowitą obojętnością.

- Przypuszczam, że jesteś zmęczony - powiedział uprzejmie, tonem salonowej pogawędki. Zwrócił się do służby: - Przynieś mu trochę wina i chleba.

Francuski szlachcic był nie tylko zmęczony, lecz także pólżywy z głodu. Rzucił się na chleb i dosłownie pożarł go wielkimi kęsami. Diuk przyglądał mu się uważnie. Zachowanie posła powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć o położeniu nieprzyjaciela w forcie.

Rozwinął przyniesiony przez oficera list i znów go przeczytał, ostrożnie, wachając aromatyczną kulkę w srebrnej oprawie, którą nosił na szyi.

- Świetnie - powiedział niedbale.

Jeden z jego oficerów uniósł brwi. Diuk się uśmiechnął.

- Komendant Torres prosi o warunki kapitulacji - zauważył nonszalancko, jak gdyby to nie miało większego znaczenia. Zrozumiawszy tę wskazówkę, angielski oficer skinął głową.

- Ach, tak.

- Powiedziano mi, żebym przyniósł odpowiedź - dodał posłaniec.

- Fort jest wasz, książę.

Buckingham rozkoszował się tą chwilą.

- Dziękuję. Merci beaucoup.

- Zawołam pisarza - wtrącił oficer. - Rozumiem, że możemy podyktować warunki?

Francuz się skłonił.

Buckingham podniósł rękę, brylant zamigotał.

- Nie ma pośpiechu - oświadczył.

- Miałem zabrać odpowiedź - oświadczył posłaniec. - Komendant proponuje warunki w liście, całkowitą, bezwarunkową kapitulację. Powiedział, że mógłbym przynieść waszą ustną odpowiedź, panie - tak lub nie - aby zakończyć całą sprawę dziś wieczorem.

Wargi Buckingham'a wygięły się w uśmiechu.

- Napiszę do twojego komendanta jutro, kiedy się zastanowię, jakie warunki mi odpowiadają.

- Czyż nie możemy dojść do porozumienia teraz, panie?

Buckingham pokręcił głową.

- Teraz idę na kolację - odparł diuk prowokacyjnie. - Mam bardzo dobrego kucharza, który zna nowy sposób przyrządzania wołowiny w gęstym, czerwonym sosie. Będę myślał o tobie i o komendancie Torresie podczas kolacji i napiszę jutro, po śniadaniu.

Na wzmiankę o mięsie Francuz przełknął ślinę.

- Kazano mi przynieść jakąś odpowiedź, panie - powiedział z przygnębieniem.

Buckingham uśmiechnął się znowu.

- Powiedz komendantowi Torresowi, że idę na kolację i że zje ze mną kolację jutro. Przyślę mu zaproszenie wraz z warunkami kapitulacji.

Posłaniec chciał się upierać, ale francuscy protestanccy oficerowie łagodnie wypchnęli go z kajuty. Usłyszeli jego niepewny krok, gdy schodził po trapie, a potem jeden z wartowników dał mu głojt zapewniający bezpieczny powrót do oblężonej twierdzy.

- Niech się trochę spocą - powiedział okrutnie Buckingham. -

Pragną zatrzymać broń i dostać list żelazny, żeby móc wrócić pod La Rochelle. Chcą nawet wywieźć z fortu działo. To wcale nie

byłaby kapitulacja. Po wszystkich naszych kłopotach tutaj muszę mieć coś, co będę

314

mógł zabrać do kraju. Chcę mieć ich działo i sztandary, które pokażę na dworze. Muszę złożyć ich sztandary przed królem. Potrzebujemy jakichś okazałych rekwizytów do ostatniego aktu tego przedstawienia.

Przy kolacji oficerowie dużo pili. John również wypił parę kielichów wina z La Rochelle, ale potem wyszedł na pokład. Statek kołysał się niespokojnie na kotwicy, wiatr się wzmaczał. Gęste chmury przesłoniły niebo, a horyzont tam, gdzie zaszło słońce, okalała żółta linia.

Wyglądało to jak grzyb na pniu zwalonego drzewa. John zastanowił się, jak podczas tej wichury wiedzie się pozostałym okrętom, rozciągniętym szeregiem w poprzek zatoki.

Zawołał jakiegoś marynarza i kazał mu przygotować łódkę.

Marynarz niechętnie przyprowadził niewielki skif do trapu i John zszedł na dół po burcie „Triumfu”. Fale uniosły się i opadły pod kilem wątlej łódeczki. Tradescant widział je, nadciągające w poprzek zatoki. Wydawały się przerażająco wysokie z miejsca, w którym się znajdował. Wzburzony Ocean Atlantycki jak zaciekły wróg popychał je do przodu, w stronę statków połączonych ściśle jeden z drugim, otaczających kręgiem obleżony fort.

- Opłyn cypel - powiedział John, podnosząc głos, by go słyszano przez huk wiatru. - Chcę zobaczyć zaporę.

Marynarz pochylił się, napał ciężko na wiosła, skif podskoczył i opadł na wielkiej fali. Okrążyli przylądek i John zobaczył swoją zaporę.

Początkowo pomyślał, że się trzyma. Mrużąc oczy, starał się dojrzeć coś w mroku. Najpierw uznał, że statki nadal są złączone cumami, dziób z rufą, i że kołyszą się nierówno, a każdy z nich unosi się i opada w innej chwili, ponieważ przepływają pod nimi wielkie fale. Później zauważył, że jeden zerwał się z uwięzi.

- Wszyscy diabli! - wrzasnął. - Zawieź mnie prędko na jakiś statek! Muszę wszcząć alarm.

Marynarz skierował łódkę do jednego ze stojących na kotwicy okrętów i John wdrapał się po trapie. Chore kolano odmawiało mu posłuszeństwa i musiał czepiać się rękami drabinki jak małpa, gdy niezdarne gramolił się

315

nagórę. Kiedy znalazł się na pokładzie, odwrócił się i zawołał do marynarza:

- Wracaj na „Triumf”! Zamelduj admirałowi, że zaporą została przerwana. Powiedz, że robię wszystko co mogę.

Tamten skinął głową i skierował łódkę z powrotem do okrętu Buckingham. John tymczasem podskoczył do dzwonu i zaczął bić na alarm. Marynarze wygramolili się na pokład, trzymając w rękach kolację - cienkie kromki żytniego chleba i jeszcze cieńsze płatki francuskiej słoniny.

- Przynieście mi światło! - zawołał. - Muszę dać sygnał załogom pozostałych okrętów, żeby zajęły się tym, który się zerwał. Zapora pękła.

- Myślałem, że Francuzi się poddali! - zawołał kapitan, kiedy jeden z jego ludzi pobiegł po latarnię.

- Przysłali pismo z warunkami - wyjaśnił John. - Jego książęca mość zastanawia się nad nimi.

Kapitan odwrócił się i wrzeszcząc na całe gardło, polecił przynieść światło, a artylerzystom rozkazał wrócić na posterunki. Oficer sygnalizacyjny nadbiegł z płonącymi pochodniami.

- Przekaż, żeby zajęli się tym statkiem - polecił John. Mężczyzna pobiegł na dziób i zaczął nadawać sygnały.

John, patrząc mimo niego, nagle dostrzegł jakiś refleks w ciemnej wodzie, niewyraźny kształt.

- Co to takiego?

- Gdzie?

- Na wodzie, obok tego okrętu.

Jeden z oficerów spojrział tam, gdzie wskazywał John.

- Nic nie widzę - odparł.

- Pochodnia! - rzucił Tradescant. Wyciągnęli pochodnię nisko nad wodą i ujrzeli ciemny cień francuskiej łodzi, która szybko płynęła

w stronę wyłomu w zaporze.

- Na miejsca! - wrzasnął kapitan. John znów uderzył w dzwon. Artylerzyści otworzyli luki i wrócili do działa, żeby je przyszykować; żołnierze wybiegli na pokład. Ktoś zapalił i rzucił flarę w stronę ciemnej wody w dole i w krótkim rozbłysku spadającego światła Tradescant zobaczył szereg łódek płynących szybko i pewnie z papistowskiego obozu wokół La Rochelle w kierunku fortu.

316

Z drugiej strony zapory utworzonej przez angielskie statki usłyszał dzwony wzywające marynarzy do zajęcia posterunków.

Pojedyncze działo zaczęło strzelać w mrok, a potem pokład pod nogami Johna zatrzęsł się i zadygotał, gdy okrętowe armaty dały salwę. Chwilę później poczuł siłę odrzutu. Okręt, który powinien stać przywiązany do następnego, zerwał się nagle i kołysał się gwałtownie na wszystkie strony. Widać było, że załoga straciła nad nim kontrolę. Marynarze gromadnie wdrapywali się po takielunku, żeby wciągnąć żagle i skierować statek do szeregu. Ale przez wyłom w zaporze wpływały francuskie łodzie, kierując się prosto do oblężonej cytadeli.

- Brander! - jęknął John, widząc, jak z angielskich jednostek z drugiej strony zatoki puszczono płonącą tratwę ku płynącym rzędem francuskim barkom.

Jakiś mężczyzna stał w tyle tratwy, odważnie kierując ją w stronę łodzi z zapasami. Płomienie na przedzie tratwy skakały i chwiały się na silnym wietrze, odbijając się w wodzie; wydawało się, że to piekielne ognie wypływające z morza. Marynarz został na posterunku do ostatniej chwili, aż gorąco zmusiło go do skoku do wody, a języki ognia zaczęły lizać beczki z prochem. Skoczył z tratwy w tej samej chwili, gdy ładunki wybuchły niczym fajerwerki podczas świątecznych festynów. Zanurzył się głęboko i Johnowi przez chwilę wydawało się, że utonął. Potem jednak odważny marynarz ukazał się na powierzchni. Podpłynął do najbliższego okrętu, uczeplił się liny i wciągnięto go na pokład. Wiatr zmienił kierunek; nieobsadzony brander, zionąc groźnie

ogniem, pomknął do przodu, oddalił się od francuskich barek i na falującym, szklistym morzu oświetlił im drogę do brzegu i do obleżonego fortu.

- Do kroćset! - zaklął Tradescant. - Nie trafił! Brander gakołysał się niebezpiecznie, gdy pochwycił go jakiś morski prąd, i skierował się w stronę szeregu angielskich okrętów. Marynarze podbiegli do burty zagrożonej jednostki z wiadrami wody, by spróbować go ugasić, i z żerdziami, aby go odepchnąć. W jego jaskrawym, migotliwym blasku angielscy artylerzyści na innych statkach wreszcie ujrzeli wyraźnie nieprzyjacielskie cele. Angielskie działa ożyły.

317

John zobaczył trafione francuskie barki i lecących do wody ludzi.

- Załadować działa! - ryknął w dole jakiś oficer. Pokład zakołysał się i załomotał, kiedy wielkie armaty wystrzeliły i cofnęły się gwałtownie. Jeszcze jedno celne trafienie i inna francuska barka została trafiona, a wrzeszczący marynarze wpadli do wzburzonego ciemnego morza.

Mrużąc oczy, by dostrzec coś w dymie, John zauważył, że niektóre z francuskich łodzi oddalają się poza zasięg strzału, zmierzając do cytadeli.

- Celujcie dalej! - zawołał. - Celujcie do najdalej płynących barek!

Nikt go nie usłyszał w zgiełku. Bezsilnie patrzył, jak pierwsza francuska łódź na fali przyływu zbliżyła się do fortu, a bramy cytadeli otworzyły się szeroko na jej przyjęcie. Obrońcy zaraz ustawili się szeregiem, żeby szybko rozładować barki, i zaczęli wrzucać do środka worki z prowiantem i bronią. John policzył, że bezpiecznie rozładowano może z tuzin barek, zanim zgasł blask brandera i angielscy artylerzyści nie mogli już widzieć celu. Bitwa była przegrana.

Cytadela otrzymała prowiant i posiłki. Komendant Torres nie odwiedzi już diuka Buckingham, żeby zjeść z nim kolację i przyjąć warunki kapitulacji.

John nie wziął udziału w naradzie wojennej. Znalazł się w

niełasce.

Jego zaporą zawiodła i załoga fortu, która była tak bliska poddania się, jadła lepiej niż oblegający Francuzów angielscy żołnierze. Kiedy Buckingham przyjmował rady swoich oficerów, John z nachmurzoną twarzą wyruszył w głąb wysepki, wypatrując rzadkich roślin. Na diuka tak jak wcześniej będą wywierane te same naciski, ale sytuacja stała się gorsza niż kiedykolwiek dotąd. Fort otrzymał prowiant, pogoda się psuła, a na jednym ze statków odnotowano dwa przypadki tyfusu. Chłód przyniesie choroby, a żołnierze są niedożywieni. Musieli spać pod gołym niebem w żałosnych schronieniach ze zgiętych gałęzi przykrytych derkami, ryzykując zimnicę i reumatyzm,

318

lub na statku, ściśnięci niczym śledzie w beczce, narażeni na choroby zakaźne z powodu ciasnoty. John zrozumiał, że muszą się wycofać przed zimowymi sztormami, obawiał się jednak, iż dowódcy są dość szaleni, żeby zostać. Zawrócił i skierował się ponownie w stronę fortu.

Zobaczył go jeden z francuskich wartowników na murach zamku i wesoło obrzucił siarczystymi przekleństwami. John po chwili zrozumiał wrzaski Francuza. Wartownik podniósł wbity na pikę okazały kawał mięsa, żeby pokazać nowe bogactwo obleżonych.

- Voulez-vous, Anglais? - wrzasnął wesoło. - Avez-vous faim?!\*

\* Chcesz, Angliku? Jesteś głodny? (fr.).

John odwrócił się i powlókł na tak niefortunnie nazwany „Triumf”.

Buckingham podjął decyzję.

- Musimy zaatakować - powiedział po prostu.

John jęknął z przerażenia i omiótł wzrokiem towarzyszy diuka.

Nikt inny nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Oficerowie kiwali głowami, jak gdyby to było oczywiste posunięcie.

- Ależ, panie... - zaczął John.

Buckingham spojrzał na niego z drugiej strony kajuty.

- Są lepiej odżywieni niż my, mają działą o niemal nieograniczonym zasięgu i proch; naprawiają fortyfikacje i wiemy,



że ich cytadela jest mocna.

Buckingham już się nie śmiał z obaw Tradescanta.

- Wiem o tym doskonale - powiedział gorzko. - Powiedz mi coś, o czym nie pomyślałem, Johnie, albo milcz.

- Myśleliście o powrocie do kraju, panie? - zapytał John.

- Tak - potwierdził Buckingham. - I jeśli teraz to zrobię, nic nie zdziaławszy, to chyba nie będę miał dokąd wracać. - Rozejrzał się po kajucie. - Są tam ludzie, którzy nadal tylko czekają, żeby oskarżyć mnie o zdradę - powiedział otwarcie. - Jeżeli mam umrzeć, wolałbym raczej zginąć tutaj, dowodząc atakiem, niż na szafocie w Tower.

319

John zamilkł. Diuk naprawdę musiał być zdesperowany, skoro powiedział to tak otwarcie przy wszystkich.

- A jeśli wrócę do kraju w niełasce i zostanę stracony, to i wy nie będziecie mieli pomyslnych widoków na przyszłość - dodał Buckingham. - Nie chciałbym być na waszym miejscu, kiedy was zapytają, jak służyliście królowi na wyspie Re. Mnie, oczywiście, już nie będzie na świecie, więc nie będę się tym przejmował. Ale wy będziecie skompromitowani.

Zgromadzeni w kajucie mężczyźni poruszyli się niespokojnie.

- A więc wszyscy się zdecydowali? - zapytał Buckingham z wilczym uśmiechem. - Atakujemy?

- Torres nie zdoła nam się przeciwstawić! - zawołał Soubise. - Już raz był gotów się poddać. Wiemy teraz, z jakim człowiekiem mamy do czynienia. To tchórz. Nie będzie walczył do końca. Jeśli dostatecznie go przerażymy, znów się podda.

Buckingham skinął głową, patrząc na Johna, jakby nikogo innego nie musiał przekonywać.

- To prawda - oświadczył. - My wiemy, że się podda, jeżeli uzna, że przegrał bitwę. Wystarczy, że go o tym przekonamy.

Pochylił się do przodu i rozłożył na stole jakieś papiery. John zauważył, że są to plany, które narysował na początku oblężenia, gdy nie znali wyspy, kiedy posadził nowy goździk. Teraz kwiat już się ukorzenił i wypuścił nowe pędy, a szkice były pobrudzone

na brzegach od częstego przeglądania.

- Podprowadzimy okręty tak bardzo, jak to tylko będzie możliwe, i ostrzelamy fort z morza, a potem się wycofamy - oświadczył Buckingham. - Najpierw z jednej strony, a potem z drugiej, i gdy tylko poznają zasięg naszych dział, cofniemy się. Później zaatakujemy od strony lądu. Użyjemy drabin obłęźniczych, żeby nasi ludzie mogli wspiąć się na mury. Muszą zabrać i zrzucić liny. Kiedy statki wycofają się po ataku, wysadzą na brzeg marynarzy, którzy wesprą żołnierzy, szturmując z nimi mury fortu. A gdy żołnierze wedrą się do środka, otworzą bramy wypadowe.

Wówczas reszta marynarzy opuści statki i pośpieszy im z pomocą.  
320

- Doskonały plan! - wykrzyknął Soubise. John spojrzał krytycznie na mapę.

- W jaki sposób nasze okręty się zbliżą, a potem wycofają? - zapytał. - A jeśli wiatr będzie wiał z niewłaściwej strony?

Buckingham zastanawiał się chwilę.

- Czy możemy użyć łodzi desantowych jak barek holowniczych?

- zapytał. - Żeby wzięły okręty na hol, by im dopomóc?

Jakiś oficer skinął głową.

- Wiatr powinien nam sprzyjać w obu tych wypadkach.

Diuk spojrzał na Johna.

- Co o tym myślisz, Tradescant?

- To może się udać - odparł ostrożnie John. - Ale możemy holować tylko jeden lub dwa okręty jednocześnie. Nie zdołamy wtedy przypuścić zmasowanego ataku, jak to zaplanowaliście, wasza książęca mość.

- Jeden lub dwa statki wystarczą - orzekł Buckingham. - Chodzi o skupienie ich uwagi na morzu, kiedy zaatakujemy od strony lądu.

- Powinniśmy to zrobić w czasie odpływu - zaproponował Tradescant. - Żeby prąd wyniósł okręty poza zasięg działa z cytadeli. Wtedy i barki będą miały łatwiejsze zadanie.

Diuk skinął głową.

- Wydaj rozkazy, Johnie. Będiesz wiedział, co trzeba

zrobić.

- Najpierw każę im to przećwiczyć.

- Doskonale. Ale zrób to poza polem widzenia załogi fortu.

Przygotuj ludzi na jutro rano, zaatakujemy najbliżej świtu, gdy na to pozwoli odpływ.

Tradescant uklonił się i skierował do drzwi. Zawahał się przy drzwiach.

- A co z atakiem na mury? - spytał.

- To klasycznie proste! - entuzjasmował się jeden z oficerów. -

Kiedy oni patrzą na morze, my atakujemy od strony lądu. Szybki, skryty atak. Czy mogę objąć dowodzenie, książę?

Buckingham uśmiechnął się, widząc jego zapał.

321

- Możesz.

- A co z drabinami? - zapytał John. - I linami? Oficer odwrócił się do niego i powiedział ze zniecierpliwieniem:

- Zostaw to wszystko mnie!

- Przepraszam bardzo - odparł uprzejmie John. - Ale ja sporządziłem tylko pobieżny szkic. Należy teraz sprawdzić kąt nachylenia murów, wszystkie występy, wybrać najlepsze miejsca dla drabin. Zbadać grunt pod murami.

Oficer wybuchnął śmiechem.

- Nie miałem pojęcia, że jesteś doświadczonym żołnierzem, panie Tradescant! - podkreślił z naciskiem słowo „pan”, żeby przypomnieć Johnowi, że jest zaledwie tolerowany wśród szlachty i nie ma prawa do tego tytułu.

Buckingham, odchyliwszy się do tyłu w fotelu, powąchał kulkę aromatyczną, obserwując, jak John stara się zapanować nad gniewem.

- Pracuję jako ogrodnik i zbieram osobliwości dla diuka - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Nigdy nie udawałem, że jestem kimś innym. Ale widziałem bitwy.

- Raz - powiedział cicho ktoś z tyłu. - I nie była to sławna bitwa.

John się nie odwrócił.

- W mojej pracy ważna jest znajomość szczegółów i troska o to,

żeby o nich nie zapomniano. Chcę tylko powiedzieć, że należy dokładnie znać wysokość i wymiary fortyfikacji.

- Dziękuję ci - powiedział oficer uprzejmie, lecz lodowatym tonem. - Jestem wdzięczny za radę.

John zerknął na diuka. Buckingham lekkim skinieniem głowy wskazał na drzwi.

Tradescant uklonił się i wyszedł.

Była to drobna przykrość w porównaniu z trzema miesiącami afrontów, ale to właśnie tę rozmowę John miał słyszeć w myślach i snach raz po raz.

Nie mogli zaatakować wtedy, kiedy chciał tego diuk, gdyż pływy były nieodpowiednie i księżyc świecił zbyt jasno. Ale w dwa dni po ostatnich rozkazach przypuścili atak na fort. John był na wybrzeżu, obserwował statki

322

manewrujące przed twierdzą zgodnie z jego planami. Ten podstęp udał się dobrze. Francuscy obrońcy tracili czas, celując w nadpływające okręty, lecz kiedy tylko angielskie jednostki znalazły się w zasięgu działa, zaraz zwijały żagle i wycofywały się z pomocą łodzi wiosłowych oraz odpływu. John obserwował te manewry zaledwie przez kilka minut, żeby się upewnić, iż okręty są bezpieczne, a potem pobiegł do zwróconej ku stałemu lądowi strony twierdzy, gdzie miała przypuścić atak armia.

Niestety, obrońcy byli uzbrojeni po zęby i gotowi na atak od strony lądu. Zasypali angielskich żołnierzy ogniem z muszkietów. John przepchnął się przez tłum, czasami rzucając się do przodu, a potem cofając, aż znalazł się przy diuku. Buckingham stał w samym środku szeregu, własnym przykładem zachęcając ludzi do ataku.

Przed nim biegli żołnierze z drabinami obłęźniczymi. Diuk ponaglał ich do biegu w stronę śmiercionośnego ognia muszkietów, ku murom zamkowym.

- Dalej! Dalej! - krzyczał. - Za Anglię! Za Boga! Za mnie!

Żołnierze ci jednak cierpieli przez trzy miesiące na przeklętej

wysepcie i Buckingham już nie mógł pobudzić ich entuzjazmu. Zawahali się, wreszcie niechętnie ruszyli do ataku. Na obu krańcach szeregu oficerowie wciąż krzyczeli: „Naprzód!”. Tylko ogień z muszkietów - niebezpieczny zarówno dla tych, którzy się ociągali, jak i dla tych, którzy śpieszyli w stronę fortu - zmuszał ich do biegu.

- Na miłość boską, postawcie te drabiny! - krzyknął Buckingham.

Żołnierze oparli drabiny o skały u podnóża muru.

- Do góry! Do góry! - wołał diuk. - Teraz! I otwórzcie wreszcie te przeklęte bramy wypadowe!

Postrzelony z muszkietu żołnierz runął na Tradescanta. John odwrócił się, by go podtrzymać, ale inny żołnierz z drugiej strony również upadł.

- Pomóż mi! - zawołał ten drugi.

- Wróć! - obiecał Tradescant. - Muszę... - Urwał, porzucając obu, i rzucił się do przodu, usiłując trzymać się blisko diuka.

Buckingham stał u stóp drabiny, ponaglając wspinających się po niej żołnierzy. Przez jedną

323

straszliwą chwilę John pomyślał, że jego pan sam zacznie się piąć w górę.

- Villiers! - krzyknął, zagłuszając wrzaski i odgłos wystrzałów, i zobaczył, że Buckingham odwrócił głowę - nie nosił kapelusza - by na niego spojrzeć.

John przepchnął się przez tłum, żeby dotrzeć do diuka i uczepić się z całej siły jego ramienia. Dopiero wtedy zauważył, że coś jest nie w porządku. Żołnierze wchodzili po drabinie, jeden za drugim, coraz to nowi pchali się do góry, ponaglając poprzedników do dalszej wspinaczki. Nagle jednak znieruchomieli jakby przyklepnięci do szczebli. Atak przerwano. John cofnął się o krok i spojrzał w górę. Drabiny były za krótkie. Atakujący nie mogli dotrzeć do szczytu murów.

Obraz drabin ze stłoczonymi na nich żołnierzami, którzy nie mieli gdzie się ruszyć i trwali z uniesionymi do góry twarzami, gdy z

murów zasypywał ich grad kul, na zawsze wrył się w pamięć Tradescanta.

- Wycofać się! - wrzasnął. - Panie! Przegraliśmy! Ten dzień jest stracony! Drabiny są za krótkie! Musimy zawrócić!

Wśród hałasu i paniki diuk go nie usłyszał i nie zrozumiał jego słów.

- Przegraliśmy! - powtórzył Tradescant. Przepchnął się do Buckinghama. - Spójrzcie w górę, panie! - zawołał. - Spójrzcie w górę!

Diuk cofnął się i wyciągnął szyję, by popatrzeć w górę. Jego zarumieniona z podniecenia twarz nagle zbladła i jakby przygasła. John pomyślał, że jego pan w tej jednej chwili postarzał się o dziesięć lat.

- Odwrót - powiedział diuk krótko. Zwrócił się do trębacza.

-Trąbić do odwrotu! - rozkazał. - Zatrąb głośno! -I obrócił się na pięcie.

John, powłócząc nogami, nadal wzdrygając się za każdym razem, gdy słyszał świst kul wystrzelonych z murów cytadeli, zawrócił do miejsca, gdzie upadł tamten żołnierz. Ale ranny już nie żył. John nie mógł nic dla niego zrobić, tylko odmówić krótką modlitwę za jego duszę, gdy biegł, potykając się, jak tchórz, poza pole rażenia muszkietów,

324

jak najdalej od fortu, którego murów nigdy nie zmierzono i drabiny oblężnicze okazały się za krótkie.

- Sam będę z nim walczył - powiedział Buckingham na naradzie wojennej następnego dnia. - Poślę mu wyzwanie.

Zmęczony i posiniaczony John oparł się o drzwi kajuty i zobaczył, że diuk wpadł w rozpacz i że gestykułuje zamasyście, tak jak się należało spodziewać po zdesperowanym człowieku.

- On musi przyjąć wyzwanie! - zawołał Soubise. - Żaden szlachcic nie może odmówić.

Buckingham przeniósł spojrzenie na Tradescanta i zobaczył zmęczenie i litość na twarzy swego sługi.

- Myślisz, że przyjmie wyzwanie, Johnie? - zapytał.

- Czemu miałyby to zrobić?

- Ponieważ jest szlachcicem! Francuskim szlachcicem! - zawołał Soubise. - To sprawa honoru!

John zgarbił się i przestąpił z nogi na nogę, by ulżyć bolącemu kolanu.

- Cokolwiek powiecie, panie, na pewno nam to nie zaszkodzi - rzekł. - Pokonałbyś go w walce na miecze, prawda?

Buckingham skinął głową.

- O, tak.

John wzruszył ramionami.

- Drabiny oblężnicze były absurdalnie krótkie! - wybuchnął oficer.

- Obciążono niewłaściwą stroną. Należało sprawdzić, w jaki sposób zostały obciążone. Szaleństwem było sądzić, że mogą się do czegoś przydać. Po tak krótkich drabinach nie można by wejść nawet na dach wiejskiej chaty. Z tak krótkich drabin można tylko zbierać jabłka!

Zapadło niezręczne milczenie.

- Poślij wyzwanie - polecił Buckingham jednemu z oficerów. - Może będzie dość głupi, by je przyjąć.

Tak jak przewidział John, komendant Torres nie przyjął wyzwania Buckinghama, za to w następnym tygodniu Francuzi próbowali przerwać oblężenie i zająć angielski obóz. Alarm podniesiono w nocy, żołnierze wstali i walczyli

325

jak szaleni, spychając francuskie oddziały spowrotem do cytadeli.

Właściwie było to zwycięstwo armii angielskiej, ale o świcie nie wielu się z niego cieszyło, kiedy policzono zabitych i rannych.

Oblegający przekonali się bowiem, że stoczyli długą, ciężką bitwę i mimo to nie posunęli się nawet o cal do przodu. Oblężenie

trwało ale zbliżały się chłody, a wiadomo, że lepiej jest spędzić zimę w forcie, mając prowiant, opał i dach nad głową, niż

obozując na bagnistym terenie za murami cytadeli. Buckinghama

zapewniono, że Flota z posiłkami czeka w porcie Portsmouth pod dowództwem hrabiego Hollanda, gotowa wypłynąć lada dzień.

Mimo to pozostała tam i żadne zapewnienia króla Karola o

miłości i wierności nie mogły pomóc uwięzionej na Re angielskiej armii. Zła pogoda, która zatrzymała posiłki w porcie, uniemożliwiła też kontynuowanie oblężenia we Francji. W październiku inna flotylla francuskich barek przedarła się przez angielską blokadę i świeże nieprzyjacielskie oddziały wylądowały w forcie świętego Marcina. Buckingham postanowił się wycofać. Mieli nadzieję, że zdołają odpłynąć ukradkiem o świcie i że załoga cytadeli zorientuje się, że uciekli, dopiero wtedy, gdy będzie za późno.

Zgodnie z tym planem nie wsiedli na statki tam, gdzie wylądowali, na plażach i wydmach na wschodzie wysepki, tylko posłali je na północ, aby czekały na bagnistych wodach koło wysepki Loix. Obie łączyła cienka grobla zalewana przez wysokie fale przyływu. Plan Buckinghama przewidywał, że armia angielska prześlizgnie się przez tę groblę wówczas, gdy poziom wody będzie się podnosił, i że wirujące prądy powstrzymają ewentualny pościg Francuzów. Potem Anglicy spokojnie wsiądą na okręty i odpłyną.

Chociaż Francuzi byli bezpieczni za grubymi murami twierdzy, ich wartownicy zachowali czujność. Kiedy maleńkie zaimprovizowane angielskie namioty zostały złożone, a żołnierze po cichu przygotowali się do wymarszu, francuscy wartownicy podnieśli alarm. Gdy obdarta angielska armia ustawiła się kompaniami, bramy fortu

326

otwarły się i wymaszerowali z nich Francuzi, dobrze odżywieni, dobrze ubrani i dobrze dowodzeni. Oddziały Buckinghama, liczące prawie siedem tysięcy żołnierzy, cofnęły się powoli przed naciskiem Francuzów. Rozpoczęły klasyczny, podręcznikowy odwrót, trzymając się poza zasięgiem muszkietów i nie odpowiadając na sporadyczny ogień przeciwnika.

- Co z przyływem? - zapytał szybko Buckingham Johna, usiłując zmusić swoich ludzi, żeby szli równym krokiem w stronę grobli. Ziemia była błotnista i mokra i żołnierze nie mogli szybko maszerować. Grzęźli i potykali się, i trzeba było kazać im ustawić



się gęsiego na wąskiej drodze.

Francuzi coraz częściej strzelali do nich z tyłu.

- Nadchodzi przyływ - ostrzegł go John. - Niech biegną do statków, panie, albo nie zdążymy zabrać wszystkich z wyspy.

- Biegiem! - krzyknął Buckingham. - Co sił w nogach! - Posłał swego chorążego przodem, żeby pokazał im drogę. Jeden z żołnierzy nierozważnie zszedł z grobli i natychmiast wpadł po pas w gęsty muł. Wołał do przyjaciół, by mu pomogli. Ci, oglądając się z niepokojem za siebie, w stronę ariergardy angielskiej armii, do której coraz bardziej zbliżali się Francuzi, położyli piki na ziemi, przysunęli je do kolegi i wyciągnęli go z mułu.

- Dalej! Dalej! - ponaglał ich John. - Pośpieszcie się! Był to wyścig trzech sił. Pierwsza to Anglicy, łamiący szeregi i biegnący do swoich okrętów; druga to ścigający ich Francuzi, tak pewni siebie jak kłusownik na polu pełnym królików, zatrzymujący się, by strzelić, ponownie nabić muszkiety i znów żwawo maszerować; trzecia to przyływ, grożący przerwaniem wąskiej grobli na dwie części, popychany przez potężniejący wiatr.

Żołnierze, którym polecono ułożyć belki na mulistych mieliznach, żeby ich wycofujący się towarzysze mogli wejść na statki, zbudowali zbyt wąskie przejście, a w dodatku nie zrobiono oparcia dla rąk. Kiedy Anglicy z trudem wlekli się tą drogą, ci, którzy znaleźli się na jej brzegach, spadali i szamotali się w mętnej bagiennej wodzie. Ta zaś stawała się coraz głębsza z każdą falą przyływu.

327

John zatrzymał się, żeby wciągnąć jakiegoś żołnierza z powrotem na groblę. Tamten szarpał się, trzymając się mocno rąk Tradescanta, aż ogrodnik sam się poślizgnął.

- Płyn, uderzaj nogami! - zawołał John.

- Wyciągnij mnie! - prosił tamten.

Wyższa fala uniosła nieszczęśnika i John wciągnął go na groblę jak wijącą się, przerażoną rybę. Ale fala, która wyniosła tonącego na skraj grobli, przelała się przez nią, tak że belki stały się mokre i

bardzo śliskie. Żołnierze ślizgali się i spadali do wody z obu stron ułożonej z belek drogi. Natomiast ci, którzy szli w ariergardzie, uciekając przed Francuzami, wpadali na swoich towarzyszy i też zsuwali się do bagna po obu stronach grobli.

John zerknął za siebie. Francuzi byli coraz bliżej, pierwsze szeregi odrzuciły muszkiety i dźgały uciekających pikami. Armia angielska mogła ocaleć, tylko gdyby zawróciła i zaczęła walczyć; ale połowa żołnierzy zgubiła broń podczas ucieczki przez moczary, wielu zaś pływało w wodzie i szamotało się w mule. Zdradzieckie prądy wirowały wokoło, wsysając nieszczęśników w głąb. Wołali więc o pomoc, a ich zduszone okrzyki milkły, gdy tonęli w bagnie.

Tradescant rozejrzał się wokoło, szukając spojrzeniem diuka. On przynajmniej był bezpieczny na pokładzie „Triumfu”. Wychylał się poza burzę, ponaglając ludzi wsiadających do łodzi desantowych i podnoszonych sieciami na pokład okrętu.

- Niech Bóg cię błogosławi.

Na pół utopiony żołnierz podniósł się z trudem i chwycił Tradescanta za ramię, a potem odwrócił się, by spojrzeć, dlaczego jego wybawca patrzy za siebie z przerażeniem. Wrogowie zbliżali się, dźgając pikami i spychając Anglików z grobli w bagno i do morza. Fale napływały na płaskie mielizny szybciej niż galopujący koń, zalewając drogę i zmywając wyczerpanych uciekinierów do słonawej, śmierdzącej wody i pod ostre francuskie piki. Francuzi stali na grobli i dźgali wodę długimi pikami, wybierając nieprzyjaciół jak chłopiec ryby z beczki. Porucznik potrząsnął Tradescanta za ramię.

- Biegnij na okręt! - zawołał, zagłuszając szum wody

328

i wrzaski towarzyszy broni. - Są coraz bliżej! Odetną nam drogę odwrotu!

John spojrzął przed siebie. To była prawda. Woda zalała drogę do połowy; będzie miał szczęście, jeśli ze swoim chorym kolaniem dotrze na jej drugi koniec. Porucznik chwycił go za ramię. -

Chodź! - Obaj, przywierając do siebie dla utrzymania równowagi,

parli przez wodę na drugi koniec grobli, ślizgając się na mokrych belkach. Jakaś większa fala mogła natychmiast zmyć ich do morza. Raz John stracił oparcie pod nogami i uratował go tylko mocny chwyt towarzysza niedoli. Razem potoczyli się na bagnisty, zalany wodą teren i pobiegli do łodzi desantowej z „Triumfu” odpływającej od bagiennego wybrzeża w stronę okrętu Buckingham.

John padł na pokład i obejrzał się za siebie, gdy łódź odbiła od brzegu. Nie można było odróżnić przyjaciół od wrogów; wszyscy byli wymazani mułem, po kolana w wodzie, zadawali ciosy i czepiali się drogi dla własnego bezpieczeństwa, w miarę jak napływały wysokie, brudne fale. Łódź nagle uderzyła o burtę „Triumfu” i John uczeplił się sieci zwisającej z burty. Tłoczący się z tyłu żołnierze popchnęli go do góry; jego słabsza noga daremnie szukała oparcia, ale podciągnął się na rękach. Uniósł się nad burtą i padł na pokład, dysząc ciężko i szlochając, gdy z ulgą wyczuł pod policzkiem błogosławione, twarde, wyszorowane deski. Po chwili wstał i podszedł do swego pana. Buckingham stał, patrząc na wyspę, którą opuścili.

To była rzeź. Niemal wszyscy angielscy żołnierze brnący za Johnem znaleźli się między morzem a Francuzami. Zeskakiwali z grobli lub próbowali uciekać, biegnąc po zdradzieckich mokradłach. Krzyki tonących brzmiały jak wołania mew - ostre, przeraźliwe, nieludzkie. Kołyszący się na powierzchni wody lub usiłujący dostać się z powrotem na drogę Anglicy zginęli szybko pod pikami Francuzów. Ta część armii francuskiej, która pozostała na suchym lądzie przed drogą, mogła spokojnie załadować muszkiety i strzelać celnie w kierunku bagna i morza, gdzie niedobitki uciekinierów usiłowały dotrzeć do okrętu Buckingham. Przednia straż, która wykonała śmiercionośne zadanie

329

na zalanej wodą grobli, wycofywała się przed nacierającym oceanem, dźgając ciała Anglików, kołysane i przewracane przez fale.

Kapitan „Triumfu” podszedł do Buckinghama, który patrzył, blady z przerażenia, jak jego armia tonie we krwi i morskiej wodzie.

- Czy mamy podnieść żagle? Diuk nie usłyszał pytania. Kapitan zwrócił się do Johna:

- Czy odpływamy?

Tradescant rozejrzył się wokoło. Czuł się tak, jakby wszystko znajdowało się pod powierzchnią morza, jak gdyby tkwił pod wodą wraz z pozostałymi Anglikami. Ledwie słyszał pytanie kapitana, wydawało mu się, że dowódca „Triumfu” płynie ku niemu i się cofa. Zacisnął mocniej palce na nadburciu.

- Czy za nami jest inny okręt, który zabierze ocalałych żołnierzy?

- zapytał. Wargi miał odrętwiałe i mówił bardzo cicho.

- Jakich ocalałych żołnierzy? - spytał kapitan. John znów popatrzył w stronę brzegu. Łódź, do której dotarł, była ostatnia; pozostawieni za nim żołnierze kołysali się na falach, utopieni, zastrzeleni lub zakłuci pikami.

- Podnieście żagle - powiedział. - I zabierzcie stąd diuka.

Dopiero kiedy cała flota wydostała się z uścisku zdradzieckiego mułu i fal i znalazła na pełnym morzu, policzyli straty i zdali sobie sprawę, ile kosztowała ich ta bitwa. Brakowało czterdziestu dziewięciu angielskich sztandarów i zginęło ponad cztery tysiące angielskich mężczyzn i chłopców, wbrew woli wcielonych do wojska.

W drodze powrotnej Buckingham nie wychodził ze swojej kajuty. Mówiono, że jest chory, jak wielu z jego ludzi. Cały „Triumf” cuchnął od gnijących ran i rozbrzmiewał jękami rannych.

Osobisty służący diuka zachorował na tyfus, podczasy umarł.

Wielki lord admirał został zupełnie sam.

John Tradescant zszedł do kuchni, gdzie jeden kucharz gotował w rondlu bulion nad ogniem.

330

- Gdzie są wszyscy?

- Powinieneś wiedzieć - powiedział kwaśno kucharz. - Przecież też tam byłeś, tak jak ja. Utonęli w bagnie lub zostali przebici

francuskimi pikami.

- Chodzi mi o to, gdzie inni kucharze i podkuchenni?
- Chorzy - odparł tamten lakonicznie.
- Przygotuj tacę z jedzeniem dla wielkiego lorda admirała - polecił Tradescant.
- Gdzie jest jego podczaszny?
- Nie żyje.
- A jego osobisty służący?
- Tyfus.

Kucharz skinął głową i postawił na tacy miskę z bulionem, kilka kromek czerstwego chleba i mały kieliszek wina.

- To wszystko? - zapytał John. Tamten spojrzał mu prosto w oczy.
- Jeśli chce coś jeszcze, powinien był lepiej zaprowiantować swój okręt. To więcej, niż otrzyma cała reszta. A większa część armii leży twarzą w dół na bagnach, jedząc muł i pijąc morską wodę. John wzdrygnął się na widok goryczy malującej się na twarzy kucharza.

- To nie całkiem jego wina - odrzekł.
- A czyja?
- Powinien był otrzymać posiłki, powinniśmy zabrać lepszy prowiant.
- Mieliśmy sześciokonną karetkę i harfę - zauważył złośliwie kucharz. - Czego więcej potrzebowaliśmy?

John powiedział łagodnie:

- Uważaj, przyjacielu. To, co mówisz, jest bardzo bliskie zdrady. Kucharz roześmiał się niewesoło.

- Jeżeli wielki lord admirał każe mnie stracić pod masztem, nie będzie kolacji dla tych, którzy mogą jeść - odparł. - A ja podziękowałbym mu za uwolnienie mnie od takiego życia.

Straciłem brata na Isle of Rue, wracam do domu, żeby powiedzieć jego żonie, że nie ma już męża, a mojej matce, że pozostał jej już tylko jeden syn. Wielki lord admirał może mi tego oszczędzić i podziękowałbym mu za to.

331

- Jak ją nazwałś? - zapytał nagle Tradescant.

- Co?

- Tę wyspę.

Kucharz wzruszył ramionami

- Wszyscy tak ją teraz nazywają. Nie Ile de Re, ale Isle of Rue, wyspą żalu, ponieważ żałujemy dnia, w którym tam popłynęliśmy, a diuk powinien żałować dnia, w którym objął nad nami dowództwo. I tak jak ziele o tej samej nazwie, rue, czyli ruta, służba u niego ma gorzki smak, którego nie można zapomnieć. John bez słowa wziął tacę z jedzeniem i poszedł do kajuty Buckinghama.

Diuk leżał na wznak na koi, zasłaniając ramieniem oczy, aromatyczna kulka zwisała mu w palcach. Nie odwrócił głowy, kiedy Tradescant wszedł do kajuty.

- Mówiłem ci, że nic nie chcę - powiedział.

- Matthew jest chory - wyjaśnił z powagą John. -Przyniosłem wam trochę bulionu, panie.

Buckingham nawet nie odwrócił głowy, by nań spojrzeć.

- Johnie, powiedziałem, że niczego nie chcę. Tradescant podszedł nieco bliżej i postawił tacę na stoliku obok koi.

- Musicie coś zjeść, panie - powiedział łagodnie jak niańka do dziecka. - Widzicie, przyniosłem wam trochę wina.

- Nawet jeśli wypiję całą beczkę, nie upiję się tak bardzo, żeby zapomnieć.

- Wiem - odrzekł John z powagą.

- Gdzie są moi oficerowie?

- Odpoczywają - odparł ogrodnik. Nie powiedział prawdy, że ponad połowa z nich nie żyje, a reszta jest chora.

- A moi ludzie?

- Przygnębieni.

- Czy mnie obwiniają?

- Oczywiście, że nie! - skłamał John. - Na wojnie, jak na wojnie, panie. Wszyscy wiedzą, że bitwę można albo wygrać, albo przegrać. Gdybyśmy otrzymali posiłki...

Buckingham oparł się na łokciu.

- Tak - powiedział z nagłym ożywieniem. - Ja również tak myślę. Wciąż sobie powtarzam: gdybyśmy otrzymali posiłki lub gdyby wiatr nie zerwał się tamtej wrześnie nocy, gdybym zaakceptował warunki kapitulacji podane przez Torresa tej nocy, kiedy je otrzymałem, a mieszkańcy La Rochelle walczyli razem z nami... gdyby drabiny były dłuższe, a droga szersza... wciąż powracam w myślach do lata, usiłując zrozumieć, gdzie zaczęło się zło. Gdzie się pomyliłem.

- Nie pomyliliście się, milordzie - rzekł łagodnie John. Usiadł nieproszony na brzegu koi Buckinghama i podał mu kieliszek wina. - Zrobiliście wszystko najlepiej jak można, codziennie tak wszystko robiliście. Pamiętacie nasze pierwsze lądowanie, kiedy wożono was łodzią między barkami desantowymi, a Francuzi uciekli?

Buckingham uśmiechnął się tak, jak starzec uśmiecha się do wspomnień z dzieciństwa.

- Tak. To dopiero był dzień!

- A kiedy gnaliśmy ich coraz dalej, aż zapędziliśmy do cytadeli?

-Tak.

John podał diukowi miskę z bulionem i łyżkę. Buckinghamowi tak drżała ręka, że nie mógł podnieść łyżki. John podsunął mu ją do warg. Diuk otworzył usta jak posłuszne dziecko. John przypomniał sobie syna, kiedy J był niemowlęciem. Sadzał go wtedy na kolanach, obejmował ramieniem i karmił kleikiem owsianym z miski.

- Na pewno się cieszyacie, że znów zobaczycie swoją żonę, panie - powiedział. - Przynajmniej wrócimy bezpiecznie do domu.

- Kate ucieszy się na mój widok - odparł Buckingham - nawet gdybym został pokonany dwadzieścia razy.

Zupa prawie się skończyła. John połamał suchy chleb na kawałeczki, zanurzył je w resztkach bulionu, a potem wsunął na łyżce do ust swego pana.

Twarz diuka lekko się zarumieniła, ale oczy nadal były podkrążone i spoglądały ospale.

- Chciałbym, żebyśmy mogli tak płynąć i nigdy nie dotrzeć do kraju - powiedział powoli. - Nie chcę wracać do domu.

333

John pomyślał o małym ogniu w kuchni, o braku prowiantu, o mdlącym smrodzie buchającym od rannych i o plusku, z jakim po zaimprovizowanym pogrzebie wrzucano do morza jedno ciało za drugim.

- Przybijemy do portu w listopadzie i będziecie ze swoimi dziećmi na Boże Narodzenie.

Buckingham odwrócił twarz do ściany.

- Na tegoroczne Boże Narodzenie w Anglii wiele dzieci nie będzie już miało ojców - powiedział. - W całym kraju będą mnie przeklinać w zimnych łóżach.

John odstawił tacę na bok i oparł rękę na ramieniu diuka.

- Takie są złe strony wysokiego urzędu - oznajmił z powagą. - A wy cieszyliście się jego dobrymi stronami, panie.

Buckingham po dłuższej chwili skinął głową.

- Tak, to prawda. Masz rację, że mi o tym przypominasz. Mnie i moich bliskich obsypano wielkimi bogactwami.

Zapadło krótkie milczenie.

- A ty? - zapytał diuk. - Czy twoja żona i syn przyjmą cię z otwartymi ramionami?

- Była rozgniewana, kiedy odpływałem - odpowiedział John. - Ale mi wybacz. Lubi, gdy jestem w domu i pracuję w waszym ogrodzie, panie. Nigdy nie była zadowolona, kiedy podróżowałem.

- A wiesz do kraju jakąś roślinę? - zapytał sennie Buckingham, jak dziecko, które niańka zabawia przed snem.

- Dwie - odrzekł John. - Jedna to jakaś odmiana goździka, a druga to piołun, jak myślę. Mam też nasiona maku o bardzo szkarłatnych kwiatach.

Buckingham skinął głową.

- Dziwnie jest myśleć o tej wyspie bez nas, o tym, jak wyglądała, gdy na nią przybyliśmy - powiedział. - Pamiętasz te wielkie pola szkarłatnych maków?



John zamknął na chwilę oczy, przypominając sobie kołyszące się główki czerwonych kwiatów o cienkich jak bibułka płatkach, które niczym szkarłatna mgiełka przesłaniały Ile de Re.

334

- Tak. Przyciągające wzrok, jaskrawo ubarwione kwiaty. Jak pełni nadziei żołnierze.

- Nie odchodź - poprosił diuk. - Zostań ze mną.

John chciał usiąść na krześle, ale Buckingham, nie patrząc, chwycił go za rękę i pociągnął na poduszkę obok siebie.

Tradescant legł na wznak, założył ręce za głowę i patrzył, jak pozłacany sufit kajuty unosił się i opadał, kiedy „Triumf” płynął przez fale.

- Czuję lód w sercu - powiedział cicho Buckingham. - Lód. Czy mam złamane serce, jak myślisz, Johnie?

Tradescant bez zastanowienia objął go tak, że ciemne, potargane włosy diuka spoczęły na jego ramieniu.

- Nie - odrzekł łagodnie. - Poczujesz się lepiej. Buckingham obrócił się w jego uścisku i objął go ramionami.

- Śpij ze mną tej nocy - rzekł. - Jestem tak samotny jak król.

John przysunął się trochę i diuk ułożył się do snu.

- Zostanę - odparł cicho ogrodnik. - Zrobię, cokolwiek zechcesz.

Latarnia z rogowych płytek kołysała się na haku, rzucając delikatne cienie na pozłacany sufit, gdy statek unosił się i opadał na falach. Z pokładu w górze nie dobiegał żaden dźwięk. Nocni wartownicy milczeli, na okręcie panowała żałoba. Johnowi nagle przyszła do głowy dziwna myśl, że wszyscy umarli na Wyspie Żalu i że żyje teraz jakimś życiem po śmierci, na łodzi Charona, i że będzie tak płynął wiecznie, obejmując ramionami swego pana, unoszony w otchłań przez czarne fale.

Nieco po północy John się ocknął. Myślał przez chwilę, że jest w domu i trzyma w ramionach Elizabeth, a potem przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Buckingham powoli otworzył oczy.

- Och, Johnie - westchnął. - Nie myślałem, że jeszcze kiedyś znów zdołam zasnąć.

- Mam teraz odejść? - zapytał Tradescant. Diuk uśmiechnął się i znów zamknął oczy.

- Zostań - powiedział.

Jego twarz, ozłocona blaskiem lampy, była niemal zbyt piękna, żeby dało się to znieść. Czysty, wyrazisty profil

335

i senne, rozmarzone oczy, ciepłe usta i nowa zmarszczka smutku między jaskółczymi brwiami. John dotknął jej, jakby pieszczota mogła usunąć ten znak. Buckingham przycisnął dłoń Tradescanta do policzka, a potem pociągnął Johna na poduszki. Łagodnie uniósł się nad nim, wsunął ciepłe dłonie pod jego koszulę, rozwiązał tasiemki u spodni. Tradescant leżał, nie myśląc, nieświadomy tego, co się dzieje, nie ruszając się pod dotykiem rąk swego pana.

Diuk gładził go zmysłowo, łagodnie, od szyi do pasa, a potem przytulił zimną jak kamień twarz do ciepłej piersi Tradescanta. Jego ręka pieściła Johna, głaskała go z niezachwianą pewnością siebie. John poczuł, jak budzi się w nim podniecenie, nagłe, nieoczekiwane, jak w dziwnym śnie.

Latarnia zakołysała się i na rozkaz diuka odwrócił się, położył twarzą do łoża i rozsunał nogi. Ból, który poczuł, był jak głębokie, bolesne pożądanie, ból, którego pragnął, który zalał go jak fala. A potem się zmienił, stał się ostrą rozkoszą i wielkim przerażeniem, uczuciem uległości i przenikania, gwałtowną żądzą i głębokim zaspokojeniem. John pomyślał, że rozumie namiętny smutek i pożądanie kobiety, która może przyjąć w siebie mężczyznę i ulegając mu, staje się jego kochanką. Jęknął nie tylko z bólu, lecz także z głębokiej, bezgranicznej radości, czując, że dokonała się w nim wielka przemiana, jakiej dotąd nie znał, jak gdyby wreszcie, po długim życiu, pojął, że miłość jest śmiercią jaźni, że jego miłość do Villiersa zabrała ich obu w tajemniczy mrok, z dala od jaźni. Kiedy diuk stoczył się zeń i legł nieruchomo, John nie poruszył się, przeniknięty rozkoszą, która wydała mu się niemal cudem. Poczuł, że zbliżył się do uczucia, które może wstrząsnąć człowiekiem do głębi. Miłość ta wybuchła w nocy jak płomień i

spala człowieka tak, że staje się on kimś zupełnie innym, i świat już nigdy nie jest dla niego taki sam.

Diuk zasnął, ale John leżał rozbudzony, zachowując w pamięci radość i rozkosz.

Rankiem czuli się swobodnie, jak starzy przyjaciele, jak towarzysze broni, jak bracia. Buckingham częściowo

336

otrząsnął się z melancholii; odwiedził rannych oficerów i obejrzał zapasy z okrętowym intendentem, odmówił modlitwy z kapelanem. Jakiś wycieńczony mężczyzna poprosił o rozmowę z diukiem, który obdarzył go czarującym uśmiechem.

- Mój kapitan zginął przede mną, spadł z grobli podczas odwrotu i utonął - powiedział żołnierz.

- Przykro mi z tego powodu - odparł Buckingham. -Wszyscy straciliśmy przyjaciół.

- Jestem porucznikiem, miałem awansować. Czy będę teraz kapitanem?

Z twarzy diuka znikł uśmiech. Odwrócił się z obrzydzeniem.

- Spadek po zmarłym.

- Ale czy będę kapitanem? Mam żonę i dziecko, potrzebuję żołdu i renty, jeśli zginę...

- Nie zwracaj mi tym głowy - powiedział diuk, którego nagle porwał gniew. - Kimże jestem? Żebrakiem, któremu nie daje się chwili wytchnienia?

- Jesteście wielkim lordem admirałem, milordzie -powiedział roztropnie mężczyzna. - I zwracam się do was, żebyście zatwierdzili mój awans.

- Idź do diabła! - wykrzyknął Buckingham. - Cztery tysiące porządnych ludzi nie żyje. Czy mam ci dać również ich żołd? - Odszedł szybko, oburzony.

- To niesprawiedliwe - upierał się porucznik. John przyjrzał mu się uważniej.

- To ty podtrzymałeś mnie na tamtej grobli! - wykrzyknął.

- Jestem porucznik Felton. Powinienem być kapitanem. To ty

wyciągnął mnie z morza. Dziękuję ci.

- Jestem John Tradescant. Tamten przypatrzył mu się z bliska.

- Człowiek diuka?

Tradescant poczuł, że duma rozpiera mu pierś: jest człowiekiem diuka pod każdym względem.

- Powiedz mu, że powinienem być kapitanem. Jest mi to winien.

- Ma teraz mnóstwo kłopotów - odrzekł John. - Powiem mu później.

337

- Służyłem mu wiernie, w jego służbie stawiałem czoło kulom i chorobom. Czy nie powinienem otrzymać za to nagrody?

- Powiem mu o tym później - obiecał Tradescant. - Jak się nazywasz?

- Porucznik Felton - powtórzył tamten. - Nie jestem chciwy. Po prostu pragnę sprawiedliwości dla siebie i nas wszystkich.

- Zapytam go, jak się uspokoi - obiecał John.

- Chciałbym móc odmówić wykonania obowiązku, kiedy mnie to złości - powiedział Felton, patrząc w ślad za admirałem.

John polecił kilku marynarzom nałapać makreli na błyszczki i tamtego wieczoru mógł podać Buckinghamowi danie rybne.

Kiedy postawił tacę, diuk powiedział leniwie:

- Nie odchodź.

Tradescant czekał przy drzwiach, kiedy jego pan jadł w milczeniu. Na okręcie panował wielki spokój. Buckingham skończył jeść i wstał od stołu.

- Przynieś mi gorącą wodę - rozkazał.

John zaniósł tacę do kuchni i wrócił z dzbankiem z podgrzaną wodą morską.

- Przykro mi, ale jest słona - rzekł.

- To nieważne - odrzekł diuk.

Zdjął koszulę i spodnie, Tradescant trzymał ręcznik i patrzył. Diuk umył się i przeczesał mokrymi palcami ciemne włosy. Stał, czekając, aż John wytrze go wielkim ręcznikiem, a potem położył się nagi na swojej koi przykrytej szkarłatną kapą. Tradescant nie

mógł oderwać odeń wzroku. Diuk był tak piękny jak posąg w ogrodach New Hall.

- Chcesz znów tu spać tej nocy? - zapytał.

- Jak sobie życzyacie, panie - odparł John, starając się nie pokazać po sobie nadziei.

- Zapytałem, czego ty chcesz - powiedział Buckingham.

Tradescant się zawahał.

- Jesteście moim panem, milordzie. To wy musicie to powiedzieć.

338

- Mówię, że chcę poznać twoje myśli. Czy pragniesz spać tu ze mną, tak jak ostatniej nocy? A może wolałbyś wrócić na swoją koję? Możesz zrobić jedno albo drugie, Johnie. Nie zmuszam cię do niczego.

Tradescant podniósł oczy na uśmiechniętą ponuro twarz diuka.

Wydało mu się, że jego własne policzki płoną.

- Pragnę cię, panie - odparł. - Pragnę być z tobą. Buckingham westchnął, prawie tak, jak gdyby się pozbył jakichś obaw.

- Jako mój kochanek?

Tradescant skinął głową, czując ogrom grzechu i pożądania, jak gdyby był to taki sam ciężar.

- Zabierz dzbanek i miednicę i zaraz wracaj - rozkazał diuk. -

Dzisiaj w nocy chcę poczuć miłość mężczyzny.

Następnego ranka zobaczyli Kornwalię, a potem minęła tylko jedna noc i przybyli do Portsmouth. John oczekiwał, że zostanie odesłany, lecz kiedy kapelan odszedł po wieczornych modłach, Buckingham skinął dłonią. Tradescant zamknął drzwi przed wszystkimi innymi i spędził tę noc z diukiem. Poznawali swoje ciała, uczyli się pożądania. Skóra diuka była miękka i gładka, ale kryły się pod nią mięśnie stwardniałe od konnej jazdy i biegów. John wstydził się siwizny we włosach na swojej piersi i stwardniałych rąk, ale czując ciężar jego ciała na sobie, Buckingham jęknął z rozkoszy. Całowali się, dotykali wargami, wpijali się w nie, badali, pili sobie z ust. Walczyli ze sobą jak zapaśnicy, jak zwierzęta podczas rui, wypróbowując siłę swych

muskulów w miłosnych bezpardonowych zmaganiach, które nie miały w sobie nic sentymentalnego, tylko dziką, szaloną namiętność, aż Buckingham powiedział bez tchu:

- Nie mogę czekać! Za bardzo tego pragnę!

Rzucił się na Johna i razem potoczyli się do ciemniejszego świata bólu i pożądania, aż ból i pożądanie stały się jednością, a ciemność okryła wszystko.

Rozdział Trzydziesty.

Listopad 1627.

O świcie obudziła ich krzątanina marynarzy przed wpłynięciem okrętu do portu.

Mieli mało czasu na rozmowę, a zresztą to, co między nimi zaszło, było czymś głębszym, niż mogłyby to wyrazić słowa. John uwierzył, że są złączeni na zawsze w taki sposób, że nic nie zdoła ich rozdzielić - złączeni miłością mężczyzny do towarzysza broni, wielką, głęboką miłością wasala do jego pana, a teraz miłością namiętnych kochanków, którzy odkryli u siebie nawzajem wszelkie rozkosze świata. Buckingham położył się na koi, kiedy John ubierał się szybko, i uśmiechnął do niego. Tradescant poczuł, że na widok tego figlarnego uśmiechu znów ogarnia go pożądanie, które teraz wydawało się nienasycone.

- Gdzie spoczniemy tej nocy? - zapytał.

- Nie wiem, jakie czeka mnie przyjęcie - odparł Buckingham i uśmiech zgasł na jego twarzy. - Będziemy musieli odszukać dwór królewski. Możliwe, że Karol jest teraz w Whitehall. Może będę musiał ciężko pracować, by odzyskać swoją pozycję.

- Jakąkolwiek pozycję zdobędziesz, jestem twój, panie - powiedział John po prostu.

Buckingham spojrział na niego z radością.

- Wiem - odparł cicho. - Będziesz mi potrzebny.

- A po Whitehall?

- Po Nowym Roku pojedziemy do domu - zdecydował diuk.

340

Rzucił Tradescantowi ponure spojrzenie. - Wrócimy do naszych kochających żon. John się zawahał.

- Mógłbym odesłać Elizabeth do hrabstwa Kent - zaproponował. Żona i długie pożycie małżeńskie wydawały mu się częścią innego życia; nic nie mogło zakłócić tego nowego sposobu istnienia, tej nowej miłości, nowej namiętności. - Ma tam rodzinę. Mogłaby ich odwiedzić. Mógłbym być sam w New Hall z tobą, panie.

Diuk uśmiechnął się znowu.

- Nie ma takiej potrzeby. Zawsze będziemy razem podróżować, ty i ja, mój Johnie. Zawsze będę cię potrzebował. Ludzie zaczną gadać, ale zawsze to robią. Znów będziesz mi usługiwał w sypialni tak jak podczas tej podróży. Nic nas nie rozdzieli. Tradescant ukląkł na koi i wyciągnął ramiona. Objęli się, a kędzierzawe włosy Buckinghama załaskotały Johna w policzek.

Przesunął ręką po ciepłym ciele swego pana i poczuł, że penis diuka twardnieje z pożądania pod jego dotknięciem.

- Pragniesz mnie? - szepnął Tradescant.

- Bardzo.

John się wyprostował.

- Obawiałem się, że to nie potrwa długo - wyznał. - Że to było częścią tamtych szalonych dni. Dni klęski i żalu. Bałem się, że zapomnisz o mnie, kiedy wpłyniemy do portu.

Buckingham potrząsnął głową.

- Nie mógłbym żyć bez ciebie, nie teraz. - John poczuł się dziwnie, gdy mówił o swoich uczuciach po latach narzuconego sobie milczenia.

Poczuł się dziwnie wolny, jak gdyby w końcu mógł wystąpić z pretensją do obcej ziemi ukrytej w jego własnej głowie, do „wewnętrznej” Wirginii.

- Nie będziesz żył beze mnie - odparł diuk. Odrzucił kołdrę i Johnowi zabrakło tchu w piersiach na widok jego doskonale pięknego ciała, szerokich ramion, długich nóg, kępki bujnych włosów łonowych, unoszącego się penisa, białej, gładkiej skóry brzucha, piersi i potarganych, ciemnych kędziorów.

John roześmiał się z siebie.

- Zadurzyłem się jak dziewczyna! Sam twój widok zapiera mi dech w piersiach.

Diuk uśmiechnął się do niego, a potem nałożył lnianą koszulę.

- Mój Johnie - rzekł - kochaj tylko mnie.

- Przysięgam.

- Naprawdę tego chcę. - Urwał. - Nie zniosę rywala. Ani żony, ani dziecka, ani innego mężczyzny, nawet twoich ogrodów.

John potrząsnął głową.

- Oczywiście, że nie ma nikogo oprócz ciebie - wyznał. -

Przedtem byłeś moim panem, a teraz moje serce i dusza są twoje.

Buckingham nałożył szkarłatne pończochy i czerwone spodnie ze złocistymi rozcięciami. Odwrócił się niedbale i John zawiązał szkarłatne skórzane wiązania, rozkoszując się tą intymnością, tym dotykiem.

- Jesteś moim talizmanem - powiedział Buckingham na poły do siebie. - Byłeś człowiekiem Cecila, a teraz jesteś moim. On umarł bez niepowodzeń czy hańby i ja też muszę dać sobie radę. A dzisiaj się dowiem, czy król mi wybaczy, że go zawiodłem.

- Nie zawiodłeś go, panie - wtrącił John. - Wykonałeś wszystkie jego polecenia. To inni zawiedli, flota nie przyплыnęła, nie dostarczono nam posiłków i prowiantu. Ale ty nie masz sobie nic do zarzucenia, jeśli chodzi o odwagę i honor.

Diuk oparł się o ciepłe, mocne ciało Tradescanta i na chwilę zamknął oczy. John wziął w ramiona młodszego mężczyznę, rozkoszując się twardym dotykiem jego piersi i miękkimi, kędzierzawymi włosami.

- Potrzebuję cię dla takich słów jak te - szepnął Buckingham. -

Nikt inny nie może mi powiedzieć czegoś takiego i sprawić, bym w to uwierzył. Potrzebuję twojej wiary we mnie, Johnie, zwłaszcza wtedy, gdy ja sam nie wierzę w siebie.

- Nigdy nie widziałem, żebyś choć na chwilę okazał strach - powiedział żywo Tradescant. - Nigdy nie widziałem, żebyś się zawahał, bo zabrakło ci odwagi. Zawsze byłeś wielkim wodzem, lordem admirałem.



Nikt nie mógłby powiedzieć mniej. I nikt nie powiedział więcej. Diuk wyprostował się i John zauważył, że jego pan uniósł dumnie głowę i wyprężył pierś.

- Zapamiętam te słowa, bez względu na to, co się dzisiaj ze mną stanie - rzekł. - Będę pamiętał, że tam byłeś, że widziałeś wszystko na własne oczy i że ty, naoczny świadek, tak uważasz. Byłeś ze mną i mnie kochasz. Jesteś człowiekiem, którego osądowi wierzą i ufają inni, i jesteś moim człowiekiem - jak to powiedziałeś - sercem i duszą.

- Aż do śmierci.

- Przysięgnij. - Buckingham odwrócił się i nagle objął ramieniem Tradescanta. Ujął w dłonie jego twarz. - Przysięgnij, że jesteś mój aż do śmierci.

John nie zawahał się ani chwili.

- Przysięgam na wszystko, co święte, że jestem twoim człowiekiem i niczym więcej. Będę ci towarzyszył i służył aż do śmierci - obiecał.

Była to ważna i uroczysta przysięga, ale John nie odczuł jej ciężaru. Zamiast tego ogarnęła go wielka radość, że wreszcie z kimś się związał, z inną osobą, bez żadnych ograniczeń, jak gdyby wszystkie lata małżeństwa z Elizabeth dotyczyły kogoś innego i minęły na poszukiwaniu intymności, której tak naprawdę nigdy nie znalazł. Kobiecość Elizabeth, jej wiara, wszystkie istniejące między nimi różnice oznaczały, że John nigdy nie zdoła do niej dotrzeć. Zawsze dzieliła ich przepaść opinii, upodobań i trybu życia.

Buckingham dotarł do serca Tradescanta, przeniknął w głąb jego duszy. Nic ich teraz nie rozdzieli. Nie była to miłość mężczyzny i kobiety, która zawsze umiera z powodu odmienności między nimi, którą zawsze zakłóca walka wywołana owymi różnicami. Była to namiętność dwóch mężczyzn, którzy występują jako równi sobie partnerzy i jako tacy odkrywają drogę do obopólnego pożądania i do obopólnej satysfakcji i zadowolenia.

Ramiona Buckinghama rozluźniły się, opuściło go napięcie.

- Potrzebowałem takich słów - powiedział w zamyśleniu. - To jest jak łańcuch władzy, stary król mnie potrzebował,

343

nazwał mnie swoim psem i brał mnie też jak psa. A teraz ja potrzebuję ciebie i to ty będziesz moim psem.

Krzątanina na pokładzie stała się głośniejsza, słyszeli już marynarzy, którzy wołali do podpływających barek, by rzucono liny holownicze, a potem poczuli ciche tąpnięcie, kiedy na statku opuszczono żagle i wzięto go na hol.

- Przynieś gorącą wodę - rozkazał diuk. - Muszę się ogolić.

John skinął głową i z rozkoszą wykonał pracę osobistego sługi. Stał przy Buckinghamie, kiedy ten golił ciemny zarost, trzymał lniany ręcznik, gdy diuk się mył, a potem podał mu czystą koszulę, kamizelę i opończę. Diuk ubrał się w milczeniu, drżącą ręką sięgnął po buteleczkę z perfumami. Spryskał nimi włosy, włożył kapelusz ozdobiony piórami, połyskujący brylantami i uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze: był to wymuszony, żaloszny uśmiech.

- Będę na pokładzie - oznajmił. - Nikt nie powie, że bałem się pokazać twarz.

- Będę z tobą, panie - obiecał John. Razem przeszli przez drzwi.

- Nie opuszczaj mnie - szepnął Buckingham, gdy szli do zejściówki. - Cokolwiek się stanie, pozostań dzisiaj u mego boku. Dokądkolwiek pójdę.

Tradescant uświadomił sobie, że jego pan boi się czegoś więcej niż poniżenia, obawia się aresztowania. Bardziej cenieni dostojnicy zginęli w Tower za nieudane wyprawy. Obaj widzieli, jak uwięziono sir Waltera Raleigha\* za mniejsze przewinienie.

\* Sir Walter Raleigh (ok. 1554-1618) - żeglarz i pisarz, faworyt Elżbiety I, organizator wypraw do Ameryki Północnej, ścięty po nieudanej wyprawie do Gujany za rządów Jakuba I.

- Nie opuszczę cię, panie - zapewnił go John. - Dokądkolwiek by cię zabrali, zabiorą i mnie. Zawsze będę z tobą.

Buckingham zatrzymał się w wąskiej zejściówce pod pokładem.

- Do rusztowania szubienicy? - zapytał.

344

- Do pętli lub topora - odparł John równie ponuro jak jego pan. - Przysiągłem, że jestem twój, sercem i duszą, aż do śmierci.

Diuk ciężko oparł rękę na ramieniu Johna i przez chwilę stali twarzą w twarz, patrząc sobie w oczy. Później jednocześnie się pocałowali. Był to namiętny pocałunek, jak ukąszenie pary dzikich zwierząt, pozbawiony czułości lub łagodności. Żadna kobieta nie umiałaby tak pocałować. Był to pocałunek mężczyzn, którzy walczyli razem w bitwie, gdzie zewsząd obu groziła śmierć, i którzy znajdują we wspólnej namiętności siłę, by znowu stawić czoło śmierci.

- Bądź przy mnie - szepnął Buckingham i wyszedł na pokład.

Wiał zimny poranny wiatr. Rozpościerały się przed nimi plaże Southsea, a dalej zieleniały miejskie błonia. Widzieli wąskie wejście do portu Portsmouth, a na szarych nabrzeżach tłum ludzi o pobladłych z niepokoju twarzach, podobnych do białych kropek. Powiewające nad fortem flagi uderzały o maszty. Tradescant nie mógł dostrzec, czy był tam królewski sztandar, czy też wciągnięto na maszt chorągiew Buckinghama na jego cześć. Słońce jeszcze nie wstało i owiewała ich zimna morską mgła, jak gdyby duchy żołnierzy, którzy już nie wrócą do swych domów, towarzyszyły im, unosząc się nad szarymi falami. Nie powitał ich wystrzał armatni, nie zagrała orkiestra, nie było oklasków. „Triumf”, źle nazwany, niedostatecznie wyposażony i wreszcie pokonany, podpłynął do nabrzeża, jakby czuł się zawstydzony.

John stał obok Buckinghama w pobliżu sternika. Diuk wyzywająco ubrał się w czerwień i złoto jak zwycięski wódz. Kiedy jednak zobaczyli go stłoczeni na nabrzeżu ludzie, z ich piersi wydarł się głęboki jęk. Buckingham nie przestał uśmiechać się promiennie, ale zerknął przez ramię, jak gdyby chciał się upewnić, że John jest obok.

Zrzucano trap i diuk zamaszystym skinieniem ręki dał znak, że żołnierze powinni zejść przed nim. Był to piękny gest, ale postąpiliby lepiej, gdyby obaj zeszli pierwsi, szybko wsiedli na konie i odjechali. Albowiem rozległ się

345

następny głośny jęk rodzin /diun i jących na nabrzeżu, a potem zuptulln nie, kiedy ranni zaczęli z wielk i m 11 udi pokładu.

Ich twarze zbieleły od choroby, / wyj gdzie słońce spaliło je na czerwono, podarli zmienilo się w łachmany. Tylko nielicznych znosili na noszach, bardzo nielicznych, a to dlatego, że ranni skonali na zdradliwych francuskich moczarach. I wykrwawili się w męczarniach w drodze do kraju.

Kiedy żołnierze wyszli na brzeg, zajęły się nimi rodziny.

Niektórzy zostali, by obejrzeć rozładunek, ale większość skierowała się do domów. Żony szlochały nad ludzkimi wrakami, jakimi stali się ich mężowie, matki opłakiwały synów, a dzieci, nic nie rozumiejąc, patrzyły na nagle postarzałe twarze, przecięte nowymi, sinymi bliznami lub na ropiejące rany - na wynędzniałych mężczyzn, w których nie mogły rozpoznać ojców. Ale tłum prawie się nie zmniejszył i dopiero wtedy John zrozumiał, jak wielu żołnierzy pozostało w bagnach Re, ponieważ ponad połowa rodzin, które przyszły, by powitać swoich synów i mężów, nadal czekała. Ci mężczyźni nie wrócą, nie wrócą już nigdy. Pozostawiono ich na wysepce, na wąskiej rzeczulce przed małym francuskim miasteczkiem, tak jak ostrzegął. Aż cztery tysiące rodzin straciło ojców.

Jeżeli takie myśli przychodziły także Buckinghamowi do głowy, nie okazywał tego. Stał nieruchomo, wyprostowany obok koła sterowego, kołysząc się lekko na palcach niczym tancerz, z podniesioną głową i ręką opartą na biodrze. Kiedy ktoś na nabrzeżu obrzucił go przekleństwami, odwrócił się i spojrzał na stojących tam ludzi, jak gdyby nie obawiał się ich spojrzeń, uśmiechnięty jak zawsze.

- Nie wysłał po mnie herolda - powiedział tak cicho, że tylko Tradescant mógł go usłyszeć. - Ani żołnierzy, by mnie

aresztowali; wszakże nie przysłał też herolda, który by mnie powitał. Czy mam zostać zignorowany? Po prostu zapomniany?  
- Cierpliwości - odpowiedział Tradescant. - Jest jeszcze wcześnie. Tylko biedacy, którzy spali na nabrzeżu

346

i w mieście, dowiedzieli się, że nas dostrzeżono. Sam król może przybyć w każdej chwili.

Ktoś na brzegu znów obrzucił diuka przekleństwami, ale Buckingham skierował w tę stronę uśmiechniętą promiennie twarz, jakby wiwatowano na jego cześć.

- Może - zgodził się z Johnem. - Może.

- Spójrz! Tam! - zawołał Tradescant. - Jakaś karetą, panie. Wysłali po ciebie karetę!

Buckingham odwrócił się szybko i zmrużył oczy, wpatrując się w nabrzeże zalane jasnymi promieniami jesiennego słońca. Przez jedną straszną chwilę nie mogli dostrzec liberii stangreta. To mógł być królewski oficer, wysłany, by aresztować diuka. Ale potem Buckingham zaśmiał się dźwięcznie.

- Na Boga, to królewska karetą! Mam zostać powitany z honorami!

Tej karety nie można było pomylić z żadną inną. Diuk sam wprowadził w Anglii modę na sześciokonne karocy i tylko on i król nimi jeździli. Forysie w królewskich barwach jechali wolnym kłusem na dwóch pierwszych parach koni, stangret odziany w szkarłat i złoto siedział na koźle, a dwaj lokaje w liberii stali z tyłu karocy. Królewskie chorągiewki powiewały z czterech boków ekwipażu. Królewski herold był w środku.

Buckingham pobiegł jak chłopiec do trapu na widok zmierzającego ku niemu zwiastuna dalszego bogactwa i władzy. Za królewską karetą podążała druga karoca z jakimś herbem na drzwiach, a potem trzeci powóz. Za trzema pierwszymi pojazdami jechał jeszcze jeden i maszerowała orkiestra grająca na piszczałkach i na bębnach. Dwaj heroldowie nieśli sztandar Buckinghami. Pierwsza karetą zatrzymała się przy trapie i lokaje opuścili schodki dla królewskiego herolda. Z drugiej wysiadła

lady Kate, żona Buckingham, i jego groźna matka, dumna hrabina.

Buckingham stał u szczytu trapu, żeby ich powitać, z przechyloną na bok głową i tajemniczym uśmiechem na ustach. John zatrzymał się o krok za nim. Królewski herold wszedł na pokład i przykląkł przed diukiem.

- Witamy w kraju, wasza książęca mość - powiedział. - Król posyła pozdrowienia i prosi, żebyście zaraz do niego

347

przybyli. Dwór jest w Whitehall. I polecił mi, abym dał wam to, panie.

Wyjął jakąś sakiewkę. Buckingham otworzył ją z lekkim uśmiechem. Z sakiewki wypadła mu w dłoń ciężka bransoleta ozdobiona olbrzymimi brylantami.

- To piękny dar - powiedział spokojnie.

- Mam dla was, książę, prywatne posłanie od jego królewskiej mości - dodał herold. - Prosi, żebyście przyjechali jego karetą. Diuk skinął głową, jak gdyby nigdy nie spodziewał się niczego innego.

Herold cofnął się i stanął z boku. Buckingham zszedł po trapie, gdzie jego żona czekała przy karocy.

John uklonił się królewskiemu heroldowi i ruszył za swoim panem. Kate Villiers znalazła się w objęciach męża, zaciskając rączki na jego szerokich ramionach.

- Jesteś chory? - szepnęła namiętnie. - Jesteś taki blady!

Pokręcił głową i ponad głową żony zwrócił się do matki.

- Czy sprawy rzeczywiście przybrały dobry obrót? Skinęła głową z ponurą, lecz triumfalną miną.

- Czekaj na ciebie w Londynie, rozpaczliwie pragnie cię zobaczyć. Mamy rozkaz przywieźć jego faworyta prosto do Whitehall.

- Więc nadal jestem jego faworytem? Wyraz triumfu rozjaśnił jej zaciętą twarz.

- Oświadczył, że nikt nie nazwie tego klęską. Powiedział, że mógłbyś stracić wieleset razy wszystkich żołnierzy, statki i sztandary, byleś tylko ty sam był bezpieczny. Nic go nie obchodzi

śmierć czterech tysięcy ludzi, jeśli jego najdroższy powraca bezpiecznie do kraju.

Buckingham wybuchnął głośnym śmiechem.

- Więc jestem bezpieczny?

- Wszyscy jesteśmy bezpieczni - odparła jego matka. - Przyjedź do miasta. Kapitan Mason oddał ci do dyspozycji swój dom.

Czeka tam na ciebie cyrulik, krawiec przygotował nowy, kompletny strój, a król przysłał ci rękawiczki i pelerynę.

Tradescant podszedł nieco bliżej do swego pana. Z powozów wysiadali tłumnie wytwornie odziani ludzie

348

i gromadzili się wokół diuka. Ktoś wcisnął mu do ręki kielich i pito za jego szczęśliwy powrót. Mimo chłodnego poranka kobiety miały obnażone piersi i ramiona i były uszminowane jak na maskaradę. Mężczyźni kołysali się na wysokich obcasach, śmiali i tłoczyli wokół diuka. Ktoś szturchnął łokciem Johna w bok i zepchnięto go na skraj tłumu. Na nabrzeżu, obok wynędzniałego „Triumfu”, pod pełnymi wyrzutu spojrzeniami biedaków, rozpoczynała się zabawa, zagłuszająca szlochanie kobiet, których mężowie nigdy nie wrócą do domów.

- Opowiedz nam o wszystkim! - zawołał ktoś. - Opowiedz nam o ataku! Mówi się, że francuska kawaleria po prostu zniknęła.

Buckingham roześmiał się i zaprzeczył, piękna żona przytuliła się do niego, a diuk objął ją ramieniem.

- Z żalem muszę powiedzieć, że wróciliśmy do kraju, nie dokonawszy tego, co zamierzeliśmy - odrzekł skromnie.

Natychmiast rozległy się okrzyki protestu.

- Przecież zabrakło wam prowiantu i broni! Czy jakikolwiek dowódca mógłby coś zdziałać z takimi żołnierzami? Wszyscy to skończeni durnie, co do jednego!

John odwrócił wzrok. Zauważył kobietę uczeponą poręczy trapu, patrzącą w górę na pokład pustego okrętu. Podszedł ku niej, a jego miejsce na skraju zgromadzenia natychmiast zajęła jakaś śliczna dama o twarzy rozjaśnionej pożądaniem.

- Kogo szukasz?

Zwróciła ku niemu twarz wychudłą z głodu, pobladłą z żalu.

- Mój mąż... czekam na mojego męża. Czy przybędzie na innym okręcie?

- Jak się nazywał?

- Thomas Blackson. Jest rolnikiem, ale wzięli go do wojska.

Nigdy przedtem nie miał w ręce muszkietu.

John przypomniał sobie Blacksona, ponieważ Thomas zaproponował, że będzie podlewał jego rośliny, gdy Tradescant wyruszał wypełniać rozkazy swojego pana. Był to potężny mężczyzna, równie cierpliwy i pracowity jak woły, które poganiał. John widział go po raz ostatni przed cytadelą. Kazano mu wejść na górę, by zaatakować obrońców

349

fortu na szczycie muru. Posłusznie wspiął się po drabinie, która była za krótka o jakieś półtora metra. Francuzi wychylili się ponad murem i strzelili w dół w śmiesznie łatwy cel: wielkiego mężczyznę, unieruchomionego zaledwie półtora metra pod nimi.

- Przykro mi, on nie żyje.

Jej blada twarz zbieleła jeszcze bardziej.

- To niemożliwe - wyjąkała. - Oczekuję jego dziecka. Obiecałam mu syna.

- Przykro mi - powtórzył Tradescant.

- Może przybędzie na innym okręcie. John pokręcił głową.

-Nie.

- Nie zostawiłby mnie - powiedziała, starając się go przekonać. -

Nigdy by mnie nie zostawił. Po pierwsze, wcale nie poszedłby na wojnę, ale go złapali i zabrali wbrew jego woli. Mówili mi, że diuk będzie z nimi płynął i że zatroszczy się o swoich ludzi.

Tradescant poczuł straszliwe zmęczenie.

- Widziałem, jak spadł - wyjaśnił. - Zginał jak bohater.

Odsunęła się, jakby przekazane przez Tradescanta złe nowiny sprawiły, że stał się jej wstrętny, jak gdyby nie chciała słuchać takiego kłamcy.

- Poczekam - powiedziała. - Przybędzie na innym okręcie. Nie zawiedzie mnie. Nie mój Thomas. Nigdy nie spóźnił się na żadne



spotkanie przez cały czas naszych zalotów. Nigdy nawet nie spóźnił się do domu na kolację. Nie zawiedzie mnie teraz. Tradescant obejrzał się. Dworzanie i damy dworu wsiadali do powozów. W domu kapitana Masona przygotowano śniadanie, czekały znakomite wina i smaczne jedzenie. Ktoś wrzucił do morza pustą butelkę. John odwrócił się od zrozpaczonej kobiety i podszedł spieszenie do diuka, gdy ten wsiadał do swojej karety.

- Panie?

- Och! To ty, Johnie.

- Gdzie jest dom kapitana Masona?

Kate chwyciła męża za kaftan i wciągnęła go do karety.

350

- Koło katedry - wyjaśnił Buckingham. - Ale nie musisz tam iść, Tradescant. Możesz pojechać do domu.

- Myślałem, że będę z tobą, panie... Diuk uśmiechnął się wesoło.

- Patrz, jak wspaniale mnie witają! - Opadł na siedzenie, obejmując żonę ramieniem. - Nie potrzebuję twoich usług, Johnie. Możesz pojechać do domu, do New Hall.

- Panie, ja... - John urwał. Stara hrabina spojrzała na niego ostro, zląkł się jej ponurego wzroku. - Mówiłeś, że mam dziś zostać z tobą - przypomniał.

Buckingham znów wybuchnął śmiechem.

- Tak, ale dzięki Bogu nie potrzebuję twojej troski. Król pozostał moim przyjacielem, moja żona jest przy mnie, a matka pilnuje interesów rodziny. Jedź do domu, Johnie. Zobaczymy się w New Hall, kiedy tam przybędę.

Skinieniem głowy dał znak lokajowi, który zamknął drzwi karety.

- Ale kiedy cię zobaczę? - zawołał Tradescant, kiedy kareta ruszyła.

Lokaj odepchnął go i wskoczył na tył powozu. John zapragnął przynajmniej pojechać z tyłu karety lub biec za nią bądź leżeć jak pies na podłodze u stóp swego pana.

- Kiedy znów cię zobaczę?

- Kiedy przybędę! - zawołał Buckingham. Pomachał ręką, gdy Tradescant odskoczył od okna. - Dziękuję ci za troskę o mnie,

Johnie. Nie zapomnę tego.

Pierwszy koń poślizgnął się na śliskim bruku i kareta zatrzymała się na moment. John wykorzystał okazję i znów skoczył do okna.

- Ale ja myślałem, że mam zostać z tobą! U twego boku! Tak jak powiedziałaś... panie... tak jak powiedziałaś.

Lady Kate tuliła się do swego małżonka, jej piękna jedwabna suknia pogniotła się w jego uścisku. Zerknęła w górę na męża, ze śmiechem skarżąc się na upór natręta.

- Pożegnałem się z tobą - oznajmił stanowczo diuk. - Nie bądź nachalny, Johnie. Jedź do New Hall. Nie obrażaj mnie, prosząc o więcej.

Tradescant zatrzymał się na kocich łbach i patrzył, jak kareta odjeżdża nabrzeżem. Inne powozy pojechały za królewską karocą jak jakaś wielka kawalkada. Musiał

351

zejść na bok, by zrobić dla nich miejsce; a potem wszyscy zniknęli, kłusujące konie, roześmiani dostojnicy, jaskrawe liberie służby i równie barwne stroje dworzan i dam dworu, a port znów stał się szary i smutny.

John stał, aż odjechał ostatni pojazd. Nie chciał uwierzyć w to, co powiedział przed chwilą jego pan. Kiedy błagał o miejsce u jego boku, Buckingham zareagował tak, jakby Tradescant prosił o pieniądze. Diuk wyslizgnął się niczym jakiś piękny ptak spod opieki Tradescanta pod skrzydła królewskie. John równie dobrze mógłby gwizdać, wzywając wolnego ptaka na powrót do klatki, tak jak prosić diuka, żeby doń wrócił. Johna trzymały przy nim obsesyjne pożądanie, namiętna miłość i święta przysięga.

Przysiągł kochać swego pana aż do śmierci. Ale dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Buckingham niczego mu nie obiecał ani nie przysiągł.

Wrócił powoli do swojej kabiny. Podczas podróży, kiedy bywał tu rzadko, ktoś ukradł mu buty i ciepłą opończę.

Będzie musiał kupić nowe odzienie w Portsmouth, gdzie takie rzeczy są bardzo drogie.

Wyciągnął kuferek i zaczął układać swoje skarby. Lekkie

kołysanie przycumowanego do nabrzeża okrętu wydawało się prawie niewyczuwalne po pięciomiesięcznej żegludze przez wzburzone morza. Załoga zniknęła zaraz po odejściu oficerów, tak że słychać było tylko skrzypienie zniszczonych belek. Kajuta Tradescanta była wyraźnie zaniedbana, gdyż kilka ostatnich dni John spędził z Buckinghamem. Zapomniał nawet o swoich roślinach, ziemia w małych doniczkach wyschła na wiór. John chwycił dzban z wodą i podlał wszystkie sadzonki, myśląc, że chyba zupełnie stracił zmysły: ochraniał swoje zbiory przed tak wieloma przeciwnościami losu, a potem zapomniał je podlać w ostatnich trzech dniach podróży!

Pomyślał, że tak właśnie musi się czuć kobieta, która obdarzyła swego wybranka miłością i zaufaniem, a potem się przekonała, że jej kochanek jest niefrasobliwy, płochoy i lekkomyślny. Czuje się tak, jakby zabrał jej coś cennego, jakieś rzadkie nasionko, i wyrzucił je. Czuje się skrzywdzona - John również odczuwał tak wielki ból, jakby został ranny - ale uważa się też za głupią.

352

Był tak upokorzony jak nigdy dotąd w życiu. Jako ogrodnik miał niską pozycję społeczną, ale czerpał dumę ze swojej pracy i widział, dokąd go zaprowadziła. Tylko głupiec mógł zostać kochankiem jakiegoś szlachcica. Buckingham wykorzystał go, chciał mieć w nim pocieszyciela, żeby John pomógł mu powściągnąć strach, dodał siły i wiary. A teraz miał swoją matkę, żonę i króla, wszystkie bogactwa i radosne życie. A co zyskał on sam? - tylko nowy, więdnący goździk, dużą sadzonkę piołunu w suchej ziemi, ból zadka z powodu nadużywania sztuki miłosnej i brzucha - z żalu i zawodu.

Ponuro podniósł swój kuferek, pochylił głowę, żeby nie uderzyć się o niskie drzwi kajuty, i wyszedł po schodkach na pokład.

Potem ciężkimi krokami powlókł się do trapu. Na okręcie nie było nikogo, kto by go pożegnał, a na nabrzeżu nie czekał nikt, żeby go powitać. Błada wdowa drgnęła, usłyszawszy kroki na trapie, ale potem znów opuściła oczy. Tradescant minął ją bez słowa pociechy. Nie miał jej nic do powiedzenia. Odwrócił się od morza

i powłócząc nogami, z trudem stając w letnim obuwiu po kocich łbach, ruszył w stronę miasta.

Przyłączył się do niego jakiś mężczyzna.

- Czy rozmawiałeś z nim o moim awansie? - To znów był Felton.

- Przepraszam - odrzekł John. - Zapomniałem. Ale tym razem Felton się nie gniewał.

- W takim razie sam musiał przyznać mi rację - powiedział z radością. - Ci, którzy nazywają go głupcem, będą mieli ze mną do czynienia. Obiecał mi awans na kapitana! Odejdę na emeryturę jako kapitan, a to już coś dla biedaka, panie Tradescant.

- Cieszy mnie to - odparł ponuro John.

- Już nigdy nie będę walczył - oświadczył Felton. - To była zła kampania, źle zaplanowana, źle dowodzona, wyjątkowo ciężka. Czasami płakałem jak dziecko. Myślałem, że nigdy się nie wydostaniemy z tej przeklętej wyspy.

John skinął głową.

- On już nigdy więcej tego nie zrobi, prawda? - zapytał Felton. - Francuscy protestanci sami mogą toczyć własne bitwy. Nie potrzebują cierpień Anglików. Powinniśmy

353

postępować tak, jak za czasów zmarłej królowej - bronić naszych własnych wybrzeży i naszych własnych hrabstw. Żyć bezpiecznie za naszym własnym morzem. Co mnie obchodzą francuscy protestanci i ich kłopoty?

- Ja również tak uważam - odparł John. Doszli właśnie do końca nabrzeża. Odwrócił się i wyciągnął rękę do Feltona. - Bóg z tobą, panie Felton.

- I z tobą, panie Tradescant. A teraz, kiedy jesteśmy w Anglii, może diuk pomyśli o ludziach z naszego kraju. W Anglii jest dużo biedy. Serce mi się kraje na widok dzieci z mojej wioski. Nie chodzą do szkoły ani się nie bawią, a gminna ziemia została ogrodzona, więc nie mają ani mleka, ani mięsa, ani miodu. Brakuje nawet chleba.

- Może tak zrobi.

Uścisnęli sobie dłonie, ale Felton nadal nie odchodził.

- Gdybym był diukiem i doradzał królowi, powiedziałbym, żeby wstrzymał ogradzanie ziemi i pozostawił ją dla swego ludu - mówił dalej. - Tak żeby każdy mężczyzna mógł mieć swój zagon do uprawy warzyw lub trzymać świnie. Tak jak było dotąd. Gdybym doradzał królowi, powiedziałbym mu, że zanim przesunie stół Pański na prawo, na bok lub gdziekolwiek indziej w kościele, powinien nakarmić swój lud. Bardziej potrzebujemy chleba powszedniego niż komunijnego.

Chociaż John skinął twierdząco głową, wiedział to, czego Felton nie mógł wiedzieć: że król nigdy nie widział żebraków na ulicach, nigdy nie oglądał głodnych dzieci. Podróżował królewską kareta z wielkiej wiejskiej rezydencji do pałacyku myśliwskiego.

Podróżował królewskim statkiem z jednego pałacu nad brzegiem rzeki do drugiego. Zresztą wydane ziemianom pozwolenie na ogradzanie ziemi gminnej przynosiło dochody królewskiemu skarbcowi, natomiast z odmowy skorzystałoby tylko biedacy, a królowi jak zawsze brakowało pieniędzy.

- Czyż nie jest łaskawym królem? - zapytał Felton. - A Buckingham wielkim doradcą i dobrym człowiekiem?

- O, tak - odparł John. Wydawało mu się, że ból rozlewa mu się po całym ciele, docierając aż do palców rąk i stóp. Zdrętwiały mu nogi i ramiona. Pomyślał, że jeśli

354

wkrótce nie ruszy do domu, położy się na ulicy i umrze. -Wybacz mi, żona na mnie czeka.

- Ja też muszę iść! - zawołał Felton, który również przypomniał sobie o rodzinie. - Dzięki Bogu, ja też mam żonę, która na mnie czeka! Powiem jej, żeby nazywała mnie kapitanem!

Podniósł swój żołnierski tornister i odszedł wielkimi krokami, gwizdząc wesoło. John spojrzął na swoje stopy i postawił jedną przed drugą, jak gdyby dopiero co nauczył się chodzić. Przy każdym kroku wydawało mu się, że słyszy śmiech Buckingham'a i jego słowa: „Pożegnałem się z tobą. Nie bądź nachalny, Johnie. Jedź do New Hall. Nie obrażaj mnie, prosząc o więcej”.

Nie zastanawiał się, jak dotrze do New Hall. Znalazł się na

szczyt fali tak wielkiego pożądania i szczęścia, że myślał, iż pojedzie tam konno razem z diukiem, ramię przy ramieniu. A może wsiądą do karety Buckinghama i będą się trzęśli na złych drogach. Myślał, że obaj będą się śmiać, kiedy spadnie koło karocy, lub pójdą obok siebie na szczyt wzgórza, aby oszczędzać konie.

Teraz jednak włókł się piechotą w twardych nowych butach. Miał jeszcze w kieszeni trochę pieniędzy, mógł kupić lub wynająć konia bądź pojechać na wozie dostawczym. Kiedy jednak słońce wstało powoli - angielskie słońce, pomyślał z nagłym bólem serca - zrozumiał, że chce iść pieszo, jak nędzarz, iść powoli po zrytej koleinami drodze prowadzącej z Portsmouth do Londynu. Chciał popatrzeć na zmieniające barwę drzewa, obsypane jagodami żywopłoty i ciężką od nasion trawę kołyszącą się na wietrze. Czuł się tak, jakby spędził na wygnaniu dwanaście lat, jakby wówczas, gdy tkwili schwytni w pułapkę na wyspie, czekając na posiłki i na decydującą bitwę, czekając na zwycięstwo i sławę, śnił o takich właśnie drogach, o tak ciepłym i łagodnym słońcu jak to.

W południe zastukał do drzwi małej zagrody przy drodze i zapytał, czy może kupić coś na obiad. Żona wieśniaka podała mu deskę z chlebem i serem oraz butelkę piwa. Brud wrósł jej w ręce, czernił się pod paznokciami i w zadrapaniach.

355

- Jesteś ogrodniczką - domyślił się Tradescant. Wytarła ręce o fartuch.

- Walczę z ogrodem - powiedziała z wyraźnym akcentem z Hampshire. - Ale on jest jak las, jak ten las z bajki o Śpiącej Królewnie. Kiedy odpoczywam, rośnie tak wysoko, że sięga mi do okien. Pełnam grządkę z truskawkami i znalazłam jakąś roślinę z cierniami. Truskawka z cierniami! Cały ogród zarósłby zielskiem i ciernistymi roślinami, gdyby mógł.

- Truskawka z cierniami? - zapytał John. Odstawił na bok butelkę z piwem. Ból nadal targał mu wnętrzności, ale obudziła się w nim ciekawość. - Masz ciernistą truskawkę? Czy mogę ją zobaczyć?

- Po co, do czego ona ci się przyda? - zapytała. - Wydaje zielone

owoce, niedobre ani do jedzenia, ani na przetwory.

- To rzadkość - odparł i zdał sobie sprawę, że się uśmiecha, że mięśnie jego policzków rozluźniają się, że przestał się smucić. -

Bardzo mnie interesują różne ciekawe rośliny. Ucieszyłbym się, gdybyś mi ją pokazała. Z dobrego serca. I zapłaciłbym za nią...

- Dam ci ją za darmo - odrzekła. - Ale sam musisz ją wziąć.

Wyrzuciłam ją razem z innym zielskiem do śmietnika. Odszukanie będzie wymagało sporo zachodu.

John roześmiał się, ale zaraz umilkł, gdyż wydało mu się to dziwne. Nie śmiał się od miesiący. Czas spędzony z diukiem wypełniła namiętność, która przegnała żal i mroczne myśli. Teraz jednak był w kraju, znów na angielskiej ziemi, pod angielskim słońcem, a przed nim stała kobieta mówiąca o zielonej, ciernistej truskawce.

- Znajdę ją - obiecał. - I zobaczę, czy zdołam ją wyhodować w moim ogrodzie, a jeśli okaże się niezwykła lub będzie miała jakieś godne uwagi właściwości, pošlę ci sadzonkę.

Pokiwała głową nad jego głupotą.

- Jesteś z Londynu?

- Tak - odparł, nie chcąc wymieniać nazwy New Hall. Wolał, żeby nie rozpoznano w nim sługi diuka Buckingham.

Skinęła głową, jakgdyby to wszystko wyjaśniało.

356

- My tutaj wolimy, żeby nasze truskawki były czerwone i zdatne do jedzenia - powiedziała łagodnie. - Nie przysyłaj mi sadzonki, nie chcę jej. Możesz mi dać pensa za posiłek i za ciernistą sadzonkę i ruszać w dalszą drogę. W Hampshire wolimy, żeby nasze truskawki były czerwone.

Rozdział Trzydziesty Pierwszy.

Zima 1627.

Elizabeth pracowała w ogrodzie przed ich domkiem w New Hall, kiedy John podszedł do bramy. Ścinała zioła w szarym świetle wieczoru, a w stojącym przed nią na ziemi koszyku kołysały się torebki nasienne kwiatów rumianku.

Słyszając nierówne kroki męża, podniosła oczy i zaczęła biec w

jego stronę, ale potem nagle się zatrzymała. Jego powolny chód i zgarbione plecy uprzedziły ją, że nie wracał do domu szczęśliwy. Wolno podeszła ku Johnowi i zauważyła nowe bruzdy bólu i zawodu na jego twarzy. Kulał jeszcze bardziej niż przedtem, chociaż dotąd sądził, że ona tego nie zauważa.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Mężu - odezwała się cicho - witaj w domu.

Podniósł na nią oczy, które dotychczas wlepił w ziemię, a kiedy Elizabeth napotkała jego ponure spojrzenie, aż się cofnęła zaskoczona.

- Johnie? - szepnęła. - Och, mój Johnie, co on ci zrobił? Nie mogła powiedzieć nic gorszego. Tradescant wyprostował się z zagniewaną miną.

- Nic. O co ci chodzi?

- O nic. O nic. Usiądź. - Podprowadziła Johna do kamiennej ławki przed domem i poczuła, że jego ręka drży w jej dłoni. - Usiądź - powiedziała czule. - Przyniosę ci kufel piwa, a może wolałbyś coś gorącego?

358

- Cokolwiek - odrzekł.

Zawahała się. J nadal pracował, ścinając gałęzie i pieląc w sadzie, po drugiej stronie pałacu. Jeszcze po niego nie posłała, obawiała się kłótni między ojcem i synem. A kiedy popatrzyła na zmęczoną twarz Johna, zlekła się, że to syn będzie zwycięzcą. John wrócił do domu jako starzec.

Pobiegła do domu i przyniosła kufel piwa i skibkę domowego chleba. Położyła tacę na ławce obok męża i w milczeniu patrzyła, jak pił. Nic nie zjadł.

- Słyszeliśmy, że to była klęska - odezwała się w końcu. - Bałam się, że zostałeś ranny. - Zerknęła na niego z ukosa, zastanawiając się, czy ukrywa przed nią jakieś obrażenia.

- Nawet nie zostałem draśnięty - odparł po prostu. A więc bolała go dusza.

- A jego książęca mość? - zapytała.

Grymas bólu przemknął przez twarz Johna i natychmiast zniknął



jak błyskawica w ciemną noc.

- Dzięki Bogu, nic mu nie jest. Dzięki Bogu, jest z królem, który ucieszył się z jego powrotu, ze swoją piękną żoną u boku...

Elizabeth pochyliła na moment głowę, ale uświadomiła sobie, że nie może powiedzieć „amen”.

- A ty... - ponagliła go łagodnie. - Widzę, że z tobą nie wszystko jest w porządku, Johnie. Widzę, że ty się nie cieszysz.

Zwrócił na nią oczy i pomyślała, że nigdy w ich długoletnim pożyciu nie wyglądał tak, jakby całkowicie zgasło w nim światło.

- Nie będę cię obarczał moimi zmartwieniami, Elizabeth - powiedział miękko. - Powoli dojdę do siebie. Nie jestem chłopcem w rozkwicie młodości. Muszę dojść do siebie.

Nie odrywała od niego poważnego spojrzenia.

- Może powinieneś powiedzieć mi o tym, Johnie. Albo opowiedzieć twemu Zbawicielowi. Skrywana tajemnica jest jak skrywany ból, może tylko jeszcze bardziej dokuczać.

Skinął głową, jakby teraz wiedział wszystko o skrywanym bólu.

359

- Spróbuję się pomodlić. Obawiam się jednak, że moja wiara nigdy nie była bardzo mocna, i wydaje mi się, że ją utraciłem. Słowa te wstrząsnęłyby nią do głębi, gdyby w nie uwierzyła.

- Jak można utracić wiarę? - zapytała po prostu. Odwrócił wzrok i popatrzył w dal, ponad ogrodem. Czy stało się to na tamtej przeklętej wyspie? Czy jego wiara zachorowała jak angielscy żołnierze, którzy musieli spać na mokrej ziemi? A może utonęła w morzu, ześlizgnęła się ze zdradzieckiej grobli, gdzie stracili ostatni sztandar? Albo wykrwawiła się na śmierć w drodze do kraju, kiedy ranni krzyczeli tak głośno, że słyszał ich głosy poprzez skrzypienie statku? Czy zawsze była więzią, która łączyła Johna z jego panem, pana z królem, a króla z Bogiem i utrata jednego ogniwa oznaczała kres wszystkich? A może zapomniał o swojej wierze, tak jak zapomniał o wszystkim, nawet o nowym goździku i piołunie, ponieważ zakochał się po uszy, utonął w radości i uczynił swym bóstwem drugiego człowieka?

- Nie wiem - odrzekł powoli. - Może to Bóg mnie opuścił. Elizabeth pochyliła głowę i szybko odmówiła w myślach modlitwę, prosząc, żeby Bóg wskazał jej, w jaki sposób pomóc mężowi.

- Masz rację i miałaś ją cały czas - powiedział w końcu. - Rządzi nami głupiec, który jest w rękach łotra i niegodziwca. Przez całe życie widziałem, jak ludzie ginęli przez głupotę tych dwóch: marli na zarazę w Londynie, w wioskach i w całym kraju, gdzie ziemianie wypędzają biedaków z ich domów i ogrodów, żeby urządzić pastwiska dla swych owiec, i na tamtej przeklętej wyspie, gdzie rozpoczęliśmy oblężenie, mając mniej prowiantu niż oblegani, gdzie szliśmy do boju z chłopami i zbrodniarzami, gdzie mieliśmy za krótkie drabiny oblężnicze, a minister bawił się w żołnierza, król zaś zapomniiał przysłać nam posiłki i prowiant. Ten wybuch goryczy był gorszy niż bluźnierstwo. Elizabeth nigdy się nie spodziewała, iż usłyszy takie słowa od męża, który był zaufanym człowiekiem Cecila, oddanego sługi

360

zmarłej królowej. Stał się dla niej teraz kimś obcym - zgorzkniały mężczyzna naznaczony bliznami nieoczekiwanej zdrady, który w końcu zaczął wypowiadać głośno słowa uznawane za zdradę.

- Johnie...

Ku jej zaskoczeniu rozciągnął usta w lodowatym uśmiechu.

- Powinnaś być zadowolona - powiedział okrutnie. - Ostrzegłaś mnie dostatecznie długo. A teraz popatrz: posłuchałem twoich nauk i utraciłem wiarę w mojego pana, w mojego króla i w mojego Boga. Czyż nie tego właśnie chciałaś? - Potrząsnęła głową w milczeniu. - Czyż nie ostrzegłaś mnie, że jest sodomitą i że manipuluje ludźmi? Czyż nie błagałaś mnie, żebyśmy porzucili służbę u niego tego samego dnia, gdy tu przybyliśmy? Czyż nie dałaś mi warząchwi na znak, żebym trzymał się od niego z daleka, kiedy zacząłem ukrywać jego tajemnice?

Elizabeth, wstrząśnięta do głębi, zasłoniła usta rękami, patrząc na męża w milczeniu.

John odkaszlnął i splunął jak żołdak, jakby gorycz żółci w jego ustach była nie do zniesienia.

Elizabeth odruchowo zasypała ziemią plwocinę.

- Johnie - szepnęła. - Nigdy nie chciałam, żebyś utracił wiarę.

Chciałam cię tylko ostrzec...

- Zostałem ostrzeżony. Zostałem powstrzymany. Zostałem zatrzymany.

Zapanowało milczenie. Gdzieś w pięknych gajach diuka gruchały gołębie, ciepło, radośnie. John spojrzął na niebo i zobaczył stadko gawronów powracających do gniazd na wysokich drzewach.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Elizabeth, jakby znalazła się w dzikiej głuszy wśród ruin.

Tradescant rozejrzył się wokoło, popatrzył na pałac i ogród, jak gdyby wcale nie sprawiały mu przyjemności.

- Jestem jego sługą - rzekł powoli. - Zapłacił mi wszystko, co zamierzał zapłacić, sam mi to powiedział. Wykorzysta mnie tak, jak zechce. Kiedy będzie mnie potrzebował, mam się stawić.

Jestem człowiekiem diuka,

361

złożyłem uroczystą przysięgę, że będę mu służyć aż do śmierci.

Głośno wciągnęła powietrze.

- Złożyłeś mu przysięgę?

- Poprosił mnie i zrobiłem to - odparł John ponuro. - Dałem mu wszystko, o co mnie poprosił, i złożyłem uroczystą przysięgę, że jestem i pozostanę jego człowiekiem. Będę musiał nauczyć się z tym żyć. Jestem jego sługą, a nawet kimś gorszym niż sługa, ponieważ rozkazał mi, żebym stał się jego psem, a ja polizałem jego stopę.

- Uważasz go za łotra i niegodziwca, a mimo to przysiągłeś być jego człowiekiem? - zapytała z niedowierzaniem.

- Właśnie tak.

Milczeli przez dłuższy czas. Elizabeth pomyślała, że John musiał zawrzeć jakąś ponurą umowę ze swoim panem, którego teraz nienawidził. Nie ośmieliła się zastanawiać, co się stało, co musiał znieść. Cokolwiek między nimi zaszło, sprawiło, że jej mąż wrócił

do domu całkowicie załamany.

- Nienawidzisz go? - spytała szeptem.

Spojrzał na nią tak, jak gdyby otrzymał śmiertelną ranę w brzuch.

- Nie - odparł cicho. - Nadal go Kocham. Ale wiem, że jest zły. I ta świadomość jest gorsza niż nienawiść. Świadomość, że dałem moje słowo i miłość człowiekowi, który jest zły.

Ujęła dłonie męża i poczuła, że są tak zimne, jak gdyby jego serce biło powoli, z trudem.

- Nie możesz od niego uciec. Potrząsnął głową.

- Należę do niego, na wszelkie możliwe sposoby, aż do śmierci.

Znow siedzieli w milczeniu przez długi czas. Elizabeth rozcierała ręce Johna, jak gdyby było mu zimno z powodu choroby i musiała je rozgrzać.

Pomyślała, że żadne jej słowa nie usuną z jego twarzy ponurego, bolesnego wyrazu. Słońce zachodziło, barwiąc niebo ciemną czerwienią jesieni i zerwał się chłodny wiatr.

362

- Kasztanowiec zakwitł tego lata - powiedziała bez związku, żeby przerwać milczenie. - Po twoim wyjeździe. Czy pamiętasz, jak mnie prosiłeś, żebym się nim opiekowała?

Nie podniósł oczu.

- Ten ze słodkimi kasztanami?

- Nie. Twoje drzewko. To, które mi dałeś. Kasztanowiec z Turcji. Miał dziwne, piękne kwiaty, jak wielkie szyszki sosnowe, białe kwiaty złożone z wielu małych kwiatków z miniaturowymi szkarłatnymi kropkami w środku, kwiaty, które słodko pachniały.

- Co? Moje drzewko zakwitło? Nareszcie!

- Po twoim wyjeździe. I wyda nasiona. W tym roku będziesz je miał, Johnie. Widać już łupiny kasztanów. Są bardzo dziwne, zapomniałam już jak dziwne. Duże, mięsiste i mają kilka grubych kolców. Ale trzymają się drzewa i pęcznią wraz z dojrzewającym nasieniem w środku.

Wyprostował się i popatrzył na nią.

- Jesteś tego pewna?

- Tak sądzę - odparła z przebiegłością Kochającej kobiety. - Ale

sam powinieneś je zobaczyć, wiesz, że nie ma tu nikogo, kto tak jak ty zna się na drzewach.

- Może powinienem rzucić na nie okiem. - John wstał i skrzywił się, gdy buty otarły mu obolałe stopy. Wszedł jednak na dróżkę prowadzącą do miejsca, gdzie jego drzewko rośnie w wielkiej donicy na skraju sadu w pobliżu muru ogrodu warzywnego.

- Chciałabym, żebyśmy nazwali je twoim nazwiskiem - powiedziała, gdyż zrozumiała, jak niewiele mają, zwłaszcza teraz, gdy John został wasalem diuka i stracił wszystko. - Chciałam, żebyśmy nazwali je „Tradescantia”. Przecież lord Cecil dał ci je do posadzenia. Ty pierwszy je wyhodowałeś, masz do tego prawo. John wzruszył ramionami, jak gdyby nie obchodziła go nazwa kasztanowców, nawet jeśli rosły wysokie i mocne.

- Nazwa się nie liczy. Prawa się nie liczą. Ale wyhodować nowe drzewo, posadzić nowe drzewo w angielskich ogrodach - to znaczy żyć wiecznie.

363

J przyszedł do domu dopiero o zmierzchu i nie wiedział, że jego ojciec powrócił z wojny, aż do chwili, gdy wszedł frontowymi drzwiami i zobaczył kupione przez Johna w Portsmouth ciepłe buty, ustawione teraz przy progu. Zawahał się, ale było już za późno. Ojciec, siedzący przy zniszczonym stole w kuchni, już go zauważył.

J miał na sobie ubranie z szarego sukna z białym lnianym kołnierzem, bez koronek, a na głowie wysoki czarny kapelusz bez ozdób. Przerzucił przez ramię ciepłą, czarną opończę.

John, który wykapał się i włożył swój strój z brunatnego samodziału z ozdobnym koronkowym kołnierzem, powoli wstał od stołu.

- Jesteś ubrany bardzo skromnie - powiedział ostrożnie.

Elizabeth usłyszała trzaśnięcie drzwi frontowych i powoli wyszła z kuchni, wycierając ręce o fartuch. J zmierzył wzrokiem ojca i powiedział odważnie:

- Uważam, że zbyt kłopotliwy strój jest stratą pieniędzy i obrazą Boga. John obrócił się błyskawicznie i rzucił Elizabeth oskarżycielskie

spojrzenie. Wytrzymała je spokojnie.

- Wreszcie zrobiłaś z niego purytanina - rzekł. - Przypuszczam, że wygłasza kazania, daje świadectwo prawdzie i w razie potrzeby może upaść zemdlony?

- Mogę mówić za siebie - odparł J. - I to była moja decyzja, a nie matki.

- Decyzja! - zadrwił John. - O czym może decydować osiemnastoletni chłopiec?

J drgnął.

- Jestem mężczyzną. Mam teraz dziewiętnaście lat

-zaprotestował. - Otrzymuję zapłatę jak dorosły mężczyzna, wykonuję męską pracę i będę wypełniał moje obowiązki wobec Boga jak mężczyzna.

Przez chwilę myśleli, że John ryknie z wściekłości. Młody J zebrał się w sobie, czekając na wybuch ojcowskiego gniewu, ale ku jego zaskoczeniu tak się nie stało. Starszy Tradescant zgarbił się, odwrócił i opadł ciężko na krzesło.

- A jak długo będziesz otrzymywał taką zapłatę,

364

skoro tak wyglądasz? - zapytał. - A jeśli król przybędzie tu z wizytą? Kiedy New Hall odwiedzi arcybiskup Laud? Myślisz, że będą chcieli widzieć sekciarza w swoim ogrodzie? John podniósł wyżej głowę.

- Nie boję się ich.

- Tak, przypuszczam, że tęsknisz za męczeństwem, chcesz spłonąć na stosie za swoje przekonania, ale król Karol nie lubi stosów. On po prostu odwróci się od ciebie, a Buckingham cię zwolni. Gdzie wtedy będziesz pracował?

- U szlachcica, który wierzy tak samo jak ja - odparł J po prostu. - Nasz kraj jest pełen ludzi, którzy pragną czcić Boga w prostocie i prawdzie, którzy zwrócili się przeciwko marnotrawnemu i grzesznemu dworowi królewskiemu.

- Jak mam cię przekonać?! - krzyknął John. - Wyrzucą cię z pracy i nikt cię nie zatrudni!

- Mężu...

- Co takiego?
- Sam mi powiedziałeś, że twoja wiara w króla i w diuka zachwiała się - wtrąciła łagodnie Elizabeth. - J próbuje znaleźć własną drogę w życiu.
- Jaką drogę? - zapytał John. - Nie ma innej drogi.
- Ludzie powracają do Biblii i szukają drogi poprzez modlitwę - powiedział żywo J. - Dostrzegają piękno ciężkiej pracy i odwracają się od zbytku, balów i marnotrawstwa. Mówi się o podziale gruntów, żeby każdy mężczyzna miał własny kawałek ziemi i mógł z niego wyżywić rodzinę, tak by nikt nie chodził głodny. Mówi się o otwarciu ogrodzonych pastwisk dla owiec i ogrodzonych parków, żeby wszyscy mogli podzielić się bogactwem, które Bóg dał ludziom.
- Otwarcia parków?
- Tak, nawet takich jak ten - mówił dalej J z zapalem. - Dlaczego diuk miałby posiadać wielki park o powierzchni pięciuset akrów i mały park liczący trzysta akrów? Dlaczego miałby być właścicielem gminnej drogi i łąki przed bramą? Dlaczego potrzebuje alei długiej na ponad milę, wysadzonej lipami? Dlaczego miałby ogradać dobre pola, żyzną ziemię, a potem sadzić tam kilka ślicznych drzewek i siać trawę tylko po to, żeby po niej jeździć i spacerować? Czyż nie jest szaleństwem zabieranie żyznej ziemi uprawnej,

365

obsadzanie jej krzakami i nazwanie dzikim parkiem, kiedy w Chorley dzieci umierają z głodu, a ludzie są wypędzani z domów, ponieważ odebrano im ich jedyny kawałek ziemi?

- Ponieważ on jest diukiem - odparł stanowczo John.
- Zasługuje na to, by posiadać połowę hrabstwa?
- Ta ziemia należy do niego, otrzymał ją od króla, który jest władcą całego kraju.
- A co diuk zrobił dla króla, żeby zasłużyć na takie bogactwo? John oczami wyobraźni ujrzał wyraźnie rozkołysaną kajutę na „Triumfie”, chwiejącą się lampę, Buckinghama unoszącego się nad nim, a potem uczucie podobne do pchnięcia miecza, które

jednocześnie było największą rozkoszą i bólem.

J czekał na odpowiedź.

- Och, nie męcz mnie - odparł John krótko. - Wystarczy już, że przyszedłeś do mojego domu, wyglądając jak wędrowny kaznodzieja. Nie męcz mnie pytaniami o diuka, króla, o dobre i złe prawa. Byłem bliski śmierci, moje życie zależało od tego, czy król nie zapomni o swoim przyjacielu uwięzionym na jałowej wysepce daleko od kraju, czy też nie. A potem zapomniał. Nie mam nastroju do sporów z tobą.

- W takim razie mogę ubierać się tak, jak zechcę, i modlić tak, jak wolę?

John skinął głową i powiedział zmęczonym głosem:

- Ubieraj się, jak chcesz.

Zapadła cisza; J starał się objąć umysłem ogrom swego zwycięstwa.

Tradescant odwrócił się do niego plecami i wrócił na krzesło przy stole. J zdjął zabłocone buty, które nosił do pracy, i wszedł do kuchni w pończochach.

- Chcę się ożenić - oznajmił cicho. - I porzucić służbę u diuka. Zamierzam wyjechać do Wirginii i zacząć wszystko od nowa, w kraju, gdzie nie ma ani lordów, ani królów, ani arcybiskupów. Chcę być tam, gdzie ludzie tworzą nowy raj.

Uważał, że ojciec uznał się za pokonanego, i chciał wykorzystać przewagę, póki ją jeszcze miał. Ale John podniósł głowę i wbił w syna twarde spojrzenie.

- Zastanów się jeszcze raz - poradził mu.

366

Zjedli kolację w niezręcznym milczeniu, a potem J włożył kapelusz i wyszedł w mrok, niosąc tylko małą latarnię, żeby oświetlić sobie drogę.

- Dokąd on idzie? - John spytał Elizabeth.

- Na wieczorną modlitwę do pałacu - odparła.

- Spotykają się na modlitwach w domu diuka?

- Czemu nie?

- Ponieważ król zarządził, jak i gdzie mają się odbywać



nabożeństwa - powiedział stanowczo John. - I ma je odprawiać uprawniony do tego pastor w kościele w niedzielę.

- Ale matka Buckinghama jest papistką - podkreśliła Elizabeth - i sama królowa też. One nie są posłuszne ani królowi, ani arcybiskupowi. I postępują gorzej niż zwykli ludzie czytający Biblię i modlący się do Boga w swoim języku.

- Nie możesz porównywać jej królewskiej mości ze zwykłymi ludźmi, z J!

Zwróciła ku niemu spokojną twarz.

- Mogę i robię to - odparła. - Tylko że mój syn jest pobożnym młodzieńcem, który modli się dwa razy dziennie, żyje skromnie i w czystości, podczas gdy królowa...

- Ani słowa więcej! - przerwał jej Tradescant. Elizabeth potrząsnęła głową.

- Chciałam tylko powiedzieć, że sumienie królowej to jej własna sprawa. Wiem, że mój syn nie bierze niczego, co nie jest jego własnością, nie kłania się bałwanom, unika księży i ich niegodziwości i nie mówi słowa przeciw królowi.

John nic nie odpowiedział. Nie mógł zaprzeczyć, że królowa właśnie tak postępuje. Nie miał żadnych wątpliwości, że ta Francuzka jest kapryśną papistką, która nienawidzi swojego męża i jego królestwa, nie chce mówić językiem jego poddanych ani uśmiechać się do jego ludu.

- Bez względu na sumienie, J otrzymuje zapłatę od diuka - podkreślił John. - Jest jego człowiekiem tak długo, jak bierze od niego pieniądze. Bez względu na to, czy diuk postępuje dobrze, czy źle.

Elizabeth wstała od stołu i zebrała talerze do umycia.

- Nie - odparła łagodnie. - Pracuje u diuka, póki nie

367

znajdzie sobie innego, lepszego pana. Wtedy może go zostawić, może go opuścić bez cienia żalu. Nie należy do diuka do chwili, gdy śmierć go uwolni. Nie służy mu, bez względu na to, czy diuk postępuje dobrze, czy źle.

Spojrzała ponad stołem na męża. Światło stojącej na blacie świecy

ukazało jego zmęczone oczy i determinację malującą się na twarzy.

- Tylko ty jesteś tak z nim związany - dodała. - Z powodu miłości do niego. I przysięgi, którą sam złożyłeś. J nie. Ty sam się z nim związałeś, Johnie; ale mój syn, dzięki Bogu, jest wolny.

John usłyszał w kuchni w New Hall, że diuka powitano niezwykle wspaniale. Cały dwór królewski wyjechał z Londynu na spotkanie Buckinghamia.

Wspaniała kawalkada jeźdźców i siedemdziesiąt powozów z damami, które rzucały płatki róż i kropiły drogę wodą różaną, witała powracającego bohatera. Wprawdzie królowa nie wzięła udziału w triumfalnym pochodzie, lecz tylko jej najbliżsi dworzanie trzymali się z daleka i dąsali. Król wydał wspaniały obiad dla uczczenia powrotu swego faworyta. Po uczcie zaciągnął Buckinghamia do swojej sypialni i obaj mężczyźni spędzili tam noc razem.

- Chcesz powiedzieć, spędzili razem wieczór - podsunął John. - Na pewno po obiedzie diuk poszedł na noc do swojej żony Kate. Posłaniec z Londynu potrząsnął głową.

- Spędził tę noc z królem - odparł stanowczo. - W królewskiej sypialni i w królewskim łóżu.

John skinął lekko głową i odwrócił się, nie chcąc dłużej tego słuchać.

- I wysłał do ciebie list - mówił dalej posłaniec, szukając w kieszeni.

Tradescant odwrócił się błyskawicznie.

- List! Ty przekłety durniu, dlaczego od razu mi nie powiedziałeś?!

- Nie myślałem, że to takie ważne...

- Oczywiście, że to ważne. Może chce mnie natychmiast widzieć, a ty mnie zatrzymujesz kuchennymi plotkami i głupią gadaniną o łóżach, nocach i płatkach róż...

368

John wyrwał list z ręki posłańca i potykając się, zrobił dwa wielkie kroki, żeby się odeń oddalić. Nie chciał, by ktoś zobaczył

wiadomość od Buckinghama. Spojrzał na pieczęć, znajomą pieczęć diuka, złamał ją i rozwinął list. Był napisany własnoręcznie przez Buckinghama. John ścisnął mocniej kartę. Tak, to było charakterystyczne, nierówne, łatwe do rozpoznania pismo diuka.

Na samej górze Buckingham napisał „Johnie...”. Tradescant poczuł tak wielką ulgę, że omal nie zrobiło mu się słabo. Ledwie widział słowa, tak kartka drżała mu w dłoni. Diuk wezwał go, ostre słowa na nabrzeżu nic nie znaczyły. Buckingham chciał go mieć u swego boku i teraz rozpoczną wspólne życie, tak jak to zaplanowali.

- Ważne nowiny? - zapytał z tyłu posłaniec. Tradescant przycisnął list do piersi.

- Prywatne - odparł lakonicznie i zabrał list do ogrodu jak ukradziony cukierek, który zjada się w samotności. Parter węzłowy był pusty.

Poszedł więc jedną z wypielegnowanych ścieżek, usiadł na kamiennej ławeczce na końcu miniaturowej alejki. I wtedy, dopiero wtedy, otworzył list z rozkazami swego pana.

Johnie,

Statek „Szczęśliwy Los” czeka w porcie londyńskim z tuzinem skrzyń ze zbiorami do mojego gabinetu osobliwości. Są tam towary z Indii, rzeźby z kości słoniowej, dywany i tym podobne rzeczy oraz kilka złotych i srebrnych szafek. Jest tam również maleńka szkatułka z nasionami, które mogą cię zainteresować. Przywieź je do New Hall lub pošlij po nie kogoś zaufanego. Boże Narodzenie spędzę w Whitehall z moim królem.

Villiers.

To było wszystko. Ani zaproszenia do Whitehall, ani wezwania. Ani słowa o miłości czy nawet wzmianki na ten temat. Nie został odtrącony, nie był nawet wzgardzonym kochankiem. Po prostu nie miał dość wysokiej pozycji, żeby go porzucono. Buckingham zwyczajnie zapomniał

369

o swoich obietnicach, o spędzonych wspólnie nocach i zajął się

innymi sprawami.

John długo siedział na kamiennej ławeczce z listem w ręce pod szarym, zachmurzonym niebem. Dopiero kiedy przemarzył do szpiku kości na zimnym kamieniu, w zimnym powietrzu, poruszył się i zrozumiał, że zmroziło go otoczenie, a nie chłód sączący się do krwi z jego serca.

- Muszę pojechać do Londynu - powiedział do syna. Pracowali obok siebie w ogrodzie różanym, zrywając zeschnięte liście ze starannie przyciętych na ukos ostrych gałązek.

- Mogę pojechać z tobą? - spytał J.

- Po co?

- Mógłbym ci pomóc.

- Nie jestem zgrzybiałym starcem - odrzekł John. - Myślę, że mogę sam pojechać do Londynu i wrócić na wozie.

- Jeśli będziesz wioził cenne przedmioty...

- Zawsze mogę wynająć człowieka z muszkietem.

- Możesz zaprzagnąć mojego towarzystwa...

- A może wolałbym pojechać sam. Co to za tajemnica, J? Przecież nigdy dotąd nie lubiłeś Londynu?

Młodzieniec wyprostował się i zsunął kapelusz na tył głowy.

- Chciałbym odwiedzić pewną młodą kobietę - oznajmił. - Ty też mógłbyś ją zobaczyć. Jej rodzice bardzo chętnie by nas powitali. Tradescant wstał, przyciskając ręką bolący grzbiet.

- Pewną młodą kobietę? Jaką młodą kobietę?

- Nazywa się Jane. Jane Hurte. Jej ojciec ma sklep z towarami bławatnymi. Kiedy cię nie było, przysłała jakaś przesyłka do diuka i wysłali mnie po nią do Londynu. Matka potrzebowała guzików, więc wstąpiłem do sklepu Hurte'ów. Jane Hurte obsługiwała mnie i zamieniliśmy kilka słów.

John starał się powstrzymać uśmiech. W tej sztucznej relacji o zalotach było coś bardzo wzruszającego.

- Potem pojechałem na wozie z transportem owczej wełny na targ i znów ją odwiedziłem.

- W czerwcu? - spytał John, myśląc o porze strzyżenia owiec.

- Tak. A później żona diuka chciała, żeby przywieźć jej coś z domu w Londynie, więc pojechałem wozem z jej służebną i spędziłem ten dzień z Hurte'ami.

- Ile razy u nich byłeś?

- Sześć - powiedział z przejęciem J.

- Czy to ładna dziewczyna?

- To nie dziewczyna, tylko młoda dama. Ma dwadzieścia trzy lata.

- Och, przepraszam! Włosy ma jasne czy ciemne?

- Raczej ciemne, no, nie jest złotowłosa, ale niezupełnie ciemna.

- Ładna?

- Nie maluje się, nie kręci włosów, nie chodzi półnago jak kobiety z dworu królewskiego. Jest skromna i...

- Czy jest ładna?

- Ja tak uważam.

- Jeśli tylko ty tak uważasz, to musi być brzydka - zażartował John.

- Nie jest brzydka - odpowiedział poważnie J. - Ona jest... ona jest... ona wygląda tak, jak wygląda.

John stracił już nadzieję, że wyciągnie z syna sensowną odpowiedź na temat urody Jane Hurte.

- Czy wyznaje twoją wiarę?

- Oczywiście. Jej ojciec jest kaznodzieją.

- Wędrownym kaznodzieją?

- Nie, ma własną kaplicę i parafian. To bardzo szanowany człowiek.

- Masz wobec niej poważne zamiary?

- Chcę ją poślubić - powiedział J. Zmierzył ojca spojrzeniem, jak gdyby się zastanawiał, na ile może mu zaufać. - Chcę ją poślubić już wkrótce. Niedawno zaczął dręczyć mnie niepokój.

- Niepokój?

- Tak. Czasami trudno mi jest myśleć o niej tylko jako o duchowej partnerce i towarzysze.

John zagryzł wargi, by powstrzymać uśmiech.

- Przypuszczam, że możesz kochać jej ciało tak samo jak jej duszę.

- Tylko jeśli weźmiemy ślub.
- Czy ona zechce wyjść za ciebie?

371

J spiekl raka i nachylił się nad różami.

- Myślę, że to możliwe - powiedział. - Ale nie mogłem jej o to zapytać pod twoją nieobecność. Potrzebowałem ciebie, abyś spotkał się z jej ojcem, porozmawiał o jej posagu i o innych sprawach.

John skinął głową.

- Zostaniemy na noc w Londynie - zdecydował. Pierwsza miłość J wydawała się bardzo słodka i młoda w porównaniu z jego zawodem miłosnym. - Zawiadam ich, że moglibyśmy przyjść w porze obiadowej, a może oni zaproszą nas na obiad.

- Jestem pewien, że zaproszą. Tylko, ojcze... -Tak?

- Oni są bardzo pobożni i źle myślą o królu. Lepiej będzie nie mówić o królu, dworze królewskim ani o arcybiskupie.

- I o Irlandii, o grodzień ziemi gminnej, o Ile de Re, diuku Buckinghamie, lordzie Staffordzie\*, daninie okrętowej\*\*, urzędzie opiekującym się sierotami i tak dalej - wyliczał niecierpliwie John.

\* Lord Stafford (1593-1641) - początkowo zaciekły opozycjonista, a potem doradca Karola I.

\*\* Danina okrętowa (ship money), podatek przeznaczony dawniej na organizowanie obrony przeciw korsarzom.

- Nie jestem głupcem, J. Nie wprawię cię w zakłopotanie przed rodziną twojej ukochanej.

- Ona nie jest moją ukochaną - zaprzeczył szybko J. -Ona jest moją... moją...

- Przyszłą małżonką - podsunął John bez cienia uśmiechu.

- Tak - powiedział J z zadowoleniem. - Jest moją przyszłą małżonką.

John spodziewał się skromnego sklepiku z poważnym właścicielem i wymoczkowaną córką, więc zdumiał się na widok dobrze wyposażonego wnętrza i pulchnej kobiety o okrągłej twarzy, która siedziała przed drzwiami i zachęcała klientów do

wejścia.

- Jestem żoną Josiaha Hurte'a - powiedziała. - Moja córka jest w środku. Mąż poszedł odwiedzić chorego przyjaciela

372

i będzie w domu na obiad. Zapraszam do środka, panie Tradescant.

Jane Hurte klęczała za ladą, porządkując nieskazitelnie czyste półki. Wstała, gdy weszli.

John musiał zamrużyć oczami, żeby jego wzrok przystosował się do półmroku panującego w izbie sklepowej. Od razu zobaczył, że J nie umiał opisać powierzchowności swej ukochanej, ponieważ miała niezwykłą, inteligentną twarz kobiety z charakterem, ani brzydką, ani ładną. Jej czoło było szerokie i gładkie, a brązowe włosy zaczesane do tyłu i ukryte pod skromnym czepkiem. Nosila wprawdzie szarą suknię, ale dobrze skrojoną i fałdzistą, a biały kołnierzyk u szyi zdobiła koronka. Jane zwróciła na Johna bardzo inteligentne spojrzenie, a w jej oczach dostrzegł błysk humoru.

- Dzień dobry, panie Tradescant - powiedziała. - Witam w naszym domu. Czy zechcecie poczekać na górze? Ojciec wróci lada chwila.

- Zaczekam na dole z wami, jeśli można - odrzekł John. Rozejrzał się po sklepie o ścianach pokrytych małymi szufladkami, z których żadna nie była oznakowana. - To wygląda jak skrzynia ze skarbami.

- John powiedział mi, że diuk Buckingham ma podobną komnatę, ale gromadzi osobliwości - zauważyła.

Wstrząśnięty Tradescant zdał sobie sprawę, że nie nazwała jego syna J, tylko Johnem.

- Tak - potwierdził. - Mój pan ma trochę bardzo pięknych i niezwykłych rzeczy.

- A wy zbieracie je dla niego? - Tak.

- Musieliście widzieć wiele cudów - powiedziała poważnie.

John uśmiechnął się do niej.

- I wiele fałszywych cudów - nędznych podróbek, zrobionych po to, żeby oszukać nieostrożnych klientów.

- Wszystkie skarby są pułapką dla nieostrożnych ludzi - zauważyła.

- W rzeczy samej - potwierdził Tradescant, któremu nie spodobał się jej pobożny ton. - Kupię coś u was, żeby podarować mojej żonie. Czy macie jakieś ładne wstążki lub koronki do obszycia kołnierza?

373

Jane sięgnęła pod ladę i wysunęła jakąś tacę. Rozłożyła maleńki kawałek czarnego aksamitu, który ukazywał całe piękno koronki, wyjęła jedną sztukę, a potem drugą, żeby mógł je obejrzeć.

- I wstążki - dodała. Wysunęła tuzin szufladek, ze wstążkami ułożonymi według kolorów. Rozłożyła wstążki przed Tradescantem, tanie - cienkie i szorstkie - i droższe - gładkie i lśniące.

- Czyż one nie są pułapką na nieostrożnych klientów?

- zapytał John, przyglądając się twarzy Jane, która w skupieniu wygładzała wstążki, a potem zwinęła je tak, żeby mógł podziwiać ich blask.

Uśmiech Tradescanta nie wprowadził jej w zakłopotanie.

- To owoc ciężkiej pracy uczciwych kobiet - odparła.

- Kobiet, które pracują na chleb, a my płacimy im uczciwie i sprzedajemy towar z godziwym zyskiem. Nie chodzi o to, jak zarabia się pieniądze, ale jak się je wydaje, i za to zostaniemy osądzeni na Sądzie Ostatecznym. W tym domu kupujemy i sprzedajemy uczciwie i nic się nie marnuje.

- Wezmę tę koronkę - zdecydował John. - Tyle, żeby starczyło na kołnierz.

Jane skinęła głową i odcięła mu odpowiednią długość.

- Kosztuje szylinga - powiedziała. - Ale możecie to kupić za dziesięć pensów, panie.

- Zapłacę całego szylinga - odrzekł. - Dla tamtych uczciwych kobiet.

Nagle Jane wybuchnęła zachwycającym śmiechem, jej twarz się rozpromieniła, a oczy zabłyśły.

- Dopilnuję, żeby to otrzymały - oświadczyła.



Wzięła monetę i schowała ją do kasetki pod ladą, wpisała kwotę do jakiejś księgi, potem bardzo starannie owinęła kawałek koronki i związała go wełnianą nitką. John schował zakup do kieszeni kaftana.

- A oto i ojciec - powiedziała Jane.

John odwrócił się, by go powitać. Josiah Hurte zupełnie nie wyglądał na kupca towarów bławatnych i pasmanterii, bardziej przypominał farmera. Miał szerokie ramiona i czerwoną twarz, był dobrze ubrany w poważny, czarno-szary strój z małym koronkowym kołnierzem.

374

W jednej ręce trzymał kapelusz, drugą podał Johnowi i mocno uściskał jego dłoń.

- Cieszę się, że wreszcie cię spotykam, panie - powiedział. - Ciągłe słyszeliśmy od Johna o podróżach jego ojca, odkąd przyszedł tu po raz pierwszy, i modliliśmy się za ciebie, kiedy byłeś narażony na tak wielkie niebezpieczeństwo we Francji.

- Dziękuję - powiedział zaskoczony Tradescant.

- Codziennie i z imienia - ciągnął dalej Josiah Hurte. - Bóg jest wszechwiedzący i wszechmocny, ale nie zaszkodzi mu przypomnieć.

John musiał ukryć uśmiech.

- Przypuszczam, że nie. Josiah Hurte spojrzał na córkę.

- Czy coś sprzedałaś?

- Tylko kawałek koronki panu Tradescantowi.

Kupiecki instynkt walczył w nim z pragnieniem okazania szczodrości ojcu Johna. Pragnienie niewielkiego zysku zwyciężyło.

- Nastają dla nas bardzo ciężkie czasy - powiedział wprost.

John obrzucił spojrzeniem dobrze zaopatrzonego sklep.

- Jeszcze tego nie widać - wyjaśnił Josiah, widząc jego wzrok - ale każdego miesiąca jest coraz gorzej. Ciągłe rekwizycje na rzecz króla, grzywna za to, nowe podatki od tego. A towary, które można było sprzedawać i kupować bez podatku, nagle zostały wydzierżawione dworzanom jako monopolistom i musimy

uiszczać specjalne opłaty właścicielom tych monopolii. Król żąda dobrowolnych podarunków od swoich poddanych, a pastor lub członkowie rady parafialnej obchodzą mój sklep, oglądają go z zewnątrz i sami decydują, co mam dostarczyć; grozi mi więzienie, jeśli odmówię.

- Król ma wielkie wydatki - powiedział pojednawczo John.

- Moja żona i moi przyjaciele też wydaliby wszystkie moje pieniądze, gdybym im na to pozwolił - odparł lakonicznie purytanin. - Dlatego nie pozwalam.

John nic nie powiedział.

- Wybacz mi, panie - rzekł nagle kupiec.

375

- Córka kazała mi przyrzec, że nic nie powiem na ten temat, a ja łamię przyrzeczenie od chwili, gdy stanąłem w drzwiach!

Tradescant musiał się roześmiać.

- Mój syn również!

- Obawiali się, że się pokłócimy, ale ja nigdy nie wziąłbym się do bitki z powodu polityki.

- A ja dość już napatrzyłem się na wojnę w tym roku - zgodził się z nim John.

- Ale to prawdziwa hańba - ciągnął Josiah, prowadząc gościa po schodach na górę. - Moja gildia już nie może kontrolować handlu bławatnego, ponieważ dworscy faworyci rządzą teraz rynkiem nici, koronek i jedwabiu i dlatego moi uczniowie nie mają zapewnionej pracy ani zarobków, a obcy ludzie wchodzą do handlu, wymuszając obniżkę i podwyżkę cen i płac, jak im przyjdzie fantazja. Chciałbym, żebyś powiedział diukowi, że jeśli biedni mają być nakarmieni, a wdowy i dzieci chronione, potrzebujemy silnej gildii i ustabilizowanego handlu. Nie możemy przeżywać gwałtownych zmian za każdym razem, kiedy jakiś dworzanin potrzebuje nowej posady.

- On nie słucha moich rad - odparł John. - W rzeczy samej myślę, że pozostawia innym sprawy finansów i handlu.

- W takim razie nie powinien był przejmować monopolu na złote i srebrne nici - powiedział z triumfem kupiec. - Jeżeli handel nic

go nie obchodzi, nie powinien go monopolizować. Zrujnuje ten handel, zrujnuje siebie i zrujnuje mnie.

John skinął głową, nie bardzo wiedząc, co odrzec, ale gospodarz klepnął się szeroką dłonią po skroni.

- Znowu! - zawołał. - A obiecałem Jane, że tego nie zrobię. Ani słowa więcej, panie Tradescant. Wypijesz ze mną kieliszek wina?

- Chętnie.

Poprzedzony długą modlitwą obiad spożyli z powagą, ale kuchnia pani Hurte była doskonała, a jej mąż nalewał szczerze piwa i podał dobre wino. J siedział obok Jane i podczas posiłku wciąż wpatrywał się w nią z zachwytem.

John obserwował swojego syna z ironicznym rozbawieniem.

376

Hurte'owie byli miłymi, uczciwymi i prostodusznymi ludźmi. Pani Hurte podawała pudding po swojej stronie stołu, a Josiah Hurte kroił befsztyk po swojej. Między nimi siedzieli goście i Jane oraz dwóch uczniów.

- Spożywamy obiad na dawny sposób - potwierdził pan Hurte, widząc, że John wodzi wzrokiem po stole. - Uważam, że mężczyzna, który bierze jakiegoś chłopca do terminu, powinien wychować go jak syna. Powinien karmić jego ciało tak jak umysł. Tradescant skinął głową.

- Zawsze pracował u mnie tylko syn - wyjaśnił. - Pozostałych ogrodników wynajmuje mój pan.

- Czy diuk jest teraz w New Hall? - zapytała pani Hurte.

Nawet w tym spokojnym saloniku wzmianka o Buckinghamie zaboląła Johna jak niezagojona rana.

- Nie, jest na dworze - odrzekł krótko. J skierował na niego błagalne spojrzenie, a na twarzy Jane pojawił się niepokój.

- Podczas tegorocznych świąt Bożego Narodzenia, po szczęśliwym powrocie diuka, zamierzają podobno urządzić wielki bal - zauważyła pani Hurte.

- Tak przypuszczam - odparł John.

- Czy zobaczysz się z nim w Whitehall przed powrotem do domu, panie?

- Nie - uciał sucho Tradescant. Pod żebrami czuł teraz ból, ostry jak od niestrawności. Odsunął talerz, gdyż żal odebrał mu apetyt. - Nie mogę udać się do diuka, póki po mnie nie pośle - wyjaśnił. Uświadomił sobie, że ta młoda kobieta, Jane Hurte, patrzy na niego i że na jej twarzy maluje się głębokie współczucie, jak gdyby w pewnym stopniu zrozumiała, co on przeżywa.

- Służba u wielkiego pana musi być trudnym zadaniem - powiedziała łagodnie. - On pojawia się i znika jak planeta na niebie, a sługa może tylko patrzeć i czekać, aż znowu wróci. Ojciec Jane pochylił głowę i rzekł cicho:

- Pomódlmy się, żebyśmy wszyscy mogli służyć większemu Panu. Amen.

377

Lecz Jane nie odrywała oczu od Johna i nadal się uśmiechała.

- Tak, to trudne. - W głosie Tradescanta zabrzmiał wielki ból, tak wielki, że nawet sam go usłyszał. - Ale dokonałem wyboru i muszę mu służyć.

- Obyśmy wszyscy mogli służyć naszemu Panu Bogu -wyrzekł Josiah Hurte i tym razem jego córka, nadal wpatrując się w pełną napięcia twarz Johna, powiedziała:

- Amen.

Obojgu młodym pozwolono pójść razem na spacer. Jane miała doręczyć klientom jakieś zakupione towary, a J zamierzał udać się z nią, żeby pomóc jej nieść koszyk. John pomyślał, że nigdy nie zapomni widoku J niosącego ów koszyk, jakby był ze szkła, i prowadzącego pod ramię Jane tak, jak gdyby zamieniła się w bukiet kwiatów.

Jeden z uczniów szedł za nimi z grubym kijem.

- Teraz ktoś musi jej towarzyszyć - wyjaśniła pani Hurte. - Jest tak wielu żebraków i wielu choruje. Już nie może wychodzić sama z domu.

- J się nią zaopiekuje - zapewnił ją Tradescant. - Popatrzcie tylko, jak prowadzi ją pod ramię. A jak niesie koszyk!

- To uroczy młodzieniec - zauważył uprzejmie Josiah Hurte. - Lubimy go.

- Jest po uszy zakochany w waszej córce, panie - odparł John. - Czy sprzyjacie ich małżeństwu?

Kupiec się zawahał.

- Czy on pozostanie na służbie u diuka?

- Mam kilka wydzierżawionych pól i trochę ziemi, którą kupiłem za radą mojego dawnego pana, hrabiego Cecila. Otrzymuję też opłatę za wynajęcie pewnego spichlerza w Whitehall...

- Jesteście dzierżawcą spichlerza? - wtrącił zaskoczony Josiah. John miał tyle przyzwoitości, że się zmieszał.

- To synekura. Nie wykonuję tej pracy, ale otrzymuję opłatę za jej wykonywanie.

Josiah skinął głową. Przyszły teść jego córki korzystał z systemu, jaki on sam potępiał: oddawanie urzędów

378

i miejsc pracy ludziom, którzy nie mieli o nich pojęcia i nie zamierzali się ich nauczyć, toteż je podnajmowali i utrzymywali niskie płace.

- Ale podstawą naszych dochodów jest praca w ogrodach diuka - ciągnął John gładko. - Projektowanie i pielęgnacja jego ogrodów i kolekcji w gabinecie osobliwości. John odbył u mnie praktykę w zawodzie i gdy umrę, pójdzie w moje ślady.

- Zmartwiłbym się, gdyby Jane miała należeć do domowników diuka - powiedział otwarcie kupiec. - On ma złą reputację.

- Co do kobiet? - Tradescant pokręcił głową. - Diuk może wybrać sobie każdą kobietę na dworze królewskim. Nie zaczepia służebnych. - Mówiąc to, czuł przeszywający ból pod żebrami.

-Wszyscy go kochają. Nie musi kupować rozkoszy w swoim domu.

- Czy ona będzie mogła praktykować swoją religię w waszym domu, tak jak pragnie?

- Pod warunkiem, że nie urazi innych - odparł John. -Moja żona ma purytańskie poglądy, jej ojciec był pastorem w Meopham. A wiecie, że J wyznaje waszą wiarę.

- Ale wy nie?

- Oddaję cześć Bogu w niedzielę w kościele anglikańskim -

wyjaśnił John. - Gdzie modli się sam król. Jeśli wystarcza to królowi, wystarcza i mnie.

Zapadła niezręczna cisza.

- Myślę, że się różnimy w ocenie króla - odezwał się wreszcie pan Hurte. Jego żona, która siedziała przy ognisku, szydełkując koronkę, rzuciła mu ostre spojrzenie i z klekotem przesunęła szpulki na poduszce. - Ale dość tego - powiedział szybko. - Jesteś, panie, człowiekiem diuka i nie mam nic przeciwko temu. Musimy wziąć pod uwagę szczęście naszej córki. Czy J zarabia dostatecznie dużo, by utrzymać żonę?

- Otrzymuje stałą pensję - odrzekł Tradescant. - I zamieszkaliby z nami. Dopilnuję, żeby jej niczego nie brakowało. Czy dostanie posag?

- Pięćdziesiąt funtów teraz i trzecią część sklepu po mojej śmierci - odparł Josiah. - Mogą wyprawić wesele tutaj i ja pokryję koszty.

379  
- Mam więc powiedzieć J, że może poprosić o jej rękę? - zapytał John.

Josiah się uśmiechnął.

- O ile znam moją córkę, już to zrobił - powiedział, gdy uścisnęli sobie ręce.

Rozdział Trzydziesty Drugi.

Wiosna 1628.

Janę Hurte i młody John Tradescant wzięli ślub w miejskim kościele pod wezwaniem świętego Grzegorza obok bazyliki świętego Piotra. Duchowny, który udzielił im ślubu, nie nosił komży i nie odwrócił się plecami do wiernych, żeby przygotować komunię, jak rozkazał arcybiskup Laud. Stół komunijny ustawiono zgodnie z tradycją: w nawie bocznej, blisko wiernych. I pastor stał za tym stołem, zwrócony ku obecnym jak sługa nakrywający stół swego Pana, nie zaś na podobieństwo tajemniczego papistowskiego księdza ukrytego za parawanem, mamroczącego coś nad chlebem i winem, kadzidłem i wodą, odwróconego plecami do ludu, któremu powinien służyć, i robiącego nie wiadomo co rękami.

To było porządne wesele i John, obserwując księdza służącego Bogu i swoim parafianom na oczach ich wszystkich, przypomniał sobie kościółek w Meopham i własny ślub, którego mu udzielono w ten sam sposób. Pożałował wtedy, że arcybiskup Laud nie pozostawił wszystkiego tak, jak było, i że zmusił uczciwych ludzi, takich jak on sam i Josiah Hurte, do opowiedzenia się po różnych stronach nowego porządku.

Josiah Hurte wydał porządny weselny obiad, tak jak obiecał, i rodzice nowożeńców, uczniowie bławatnika oraz pół tuzina przyjaciół odprowadzili młodą parę do komnaty weselnej i do łoża. John, siedząc obok Elizabeth na łożu

381

z baldachimem w sypialni, której okna wychodziły na ulicę, przypomniał sobie ich noc poślubną.

- Czy pamiętasz, Lizzie - zapytał - jakie to było dla nas przykre? Skinęła głową.

- Cieszę się, że ta noc będzie dla naszego Johna spokojniejsza. I nie sędzę, żeby ktokolwiek ośmielił się zabawiać kosztem Jane. To zdecydowana, pewna siebie młoda kobieta. Nie przeszkadza ci, że sprowadzi się do twojego domu?

Elizabeth potrząsnęła głową.

- To miła dziewczyna i jestem rada, że będę mieć kogoś, z kim można porozmawiać w ciągu dnia, kiedy ty i J jesteście poza domem. - Odsunęła kołdrę na łożu. - Połóż się, mężu, wykonaliśmy dzisiaj kawał dobrej roboty.

John jednak nadal stał przy oknie, patrząc z góry na brukowaną londyńską ulicę, zupełnie pustą, z wyjątkiem grzebiącego w śmieciach kota, całkiem cichą, z wyjątkiem powtarzającego się od czasu do czasu wołania nocnego strażnika.

- Byłaś mi dobrą żoną, Elizabeth. Przepraszam, jeśli kiedykolwiek cię zasmuciłem.

- A ty byłeś dobrym mężem. - Zawahała się. Tamta miłość i przysięga, że to uczucie będzie trwać aż do śmierci, nadal ich dzieliła, nawet w takim dniu. - Zapytasz diuka, czy nie potrzebuje twoich usług przed naszym powrotem do New Hall?

- On poluje w Richmond - odrzekł John. - Nie mogę do niego pojechać, chyba że po mnie pośle.

- Kiedy po ciebie pośle?

- Nie wiem.

Wyślizgnęła się z łoża i stanęła obok męża, kładąc mu rękę na ramieniu. Z okna wiało lodowatym chłodem, ale John nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Czy rozstaliście się w gniewie, czy coś między wami się popsuło? - zapytała. - To dlatego teraz nigdy nie posyła po ciebie? I dlaczego cały czas czekasz na niego i zdajesz się tak cierpieć, kiedy ktoś wymieni jego nazwisko?

- Nie rozstaliśmy się w gniewie - odpowiedział z trudem John. - On mnie po prostu odesłał. Łączą nas tylko

382

takie stosunki, jakie istnieją między panem i sługą. To ja zapomniałem, gdzie moje miejsce, a on miał rację, przypominając mi o tym. A powinienem był wiedzieć, prawda, Elizabeth? - Rzucił jej żalospny uśmiech. - Lord Cecil mnie tego nauczył. Ze wszystkich mieszkańców Anglii ja chyba powinienem najlepiej wiedzieć, że można być blisko wielkiego pana i być jego zaufanym człowiekiem, ale on zawsze pozostaje wielkim panem, a sługa tylko sługą.

- Zapomniałeś o tym? - spytała łagodnie.

- Szybko mi przypomniano - odrzekł cicho John. Nie mógł zapomnieć, jak Buckingham odprawił go niczym natręta, odwrócił się od niego, odszedł do swojej żony i dworzan. Pamiętał to tak wyraźnie, odczuwał tak wielki ból jak wtedy, gdy to się stało. - Ale to on miał rację, a ja się pomyliłem. Myślałem, że zostanę z nim, lecz on mnie nie potrzebował. I teraz nadal mnie nie potrzebuje. Jest z królem, ze swoją żoną, ze swoimi kochankami. Pośle po mnie dopiero wtedy, gdy będzie potrzebował uczciwego sługi, a ktoś taki nie jest potrzebny na dworze królewskim. Zaiste, na dworze nie ma miejsca dla uczciwych ludzi.

- Jestem pewna, że wkrótce po ciebie pośle - powiedziała Elizabeth. Tylko w ten sposób mogła go pocieszyć.



Skinął głową.

- Wkrótce będzie potrzebował psa - odparł z goryczą. - I wtedy przypomni sobie o mnie.

John pomylił się, diuk nie potrzebował psa. Wiosna przyszła do New Hall, ale Buckingham nie powrócił. Ziemia się ogrzała i John kazał skosić trawniki i posadzić sadzonki ze szkółek. Poleciał też palić węglem drzewnym w murowanym tunelu w sadzie, żeby przyspieszyć dojrzewanie owoców, które jego lordowska mość będzie mógł jeść, gdy przybędzie... ale diuk nadal nie przybywał. Tulipany, które John kupował z taką radością, kiedy wraz ze swoim panem wędrował po Europie, chcąc zastawić angielskie klejnoty koronne, zakwitły w doniczkach, a Buckingham nawet ich nie zobaczył. Kiedy cenne kwiaty przekwitły, John postawił doniczki w cieniu w swoim własnym ogrodzie, żeby móc podlewać je codziennie, patrzeć,

383

jak liście opadają i więdną, modlić się, żeby w głębi ziemi cebulki rosły duże i zdrowe.

- Kiedy je wykopujemy? - zapytał J, patrząc na zwiędłe liście. Był to przygnębiający widok.

- Jesienią - odrzekł krótko John. - I wtedy będziemy wiedzieli, czy zarobiliśmy majątek dla diuka, czy go straciliśmy.

- Ale on i tak stracił okazję i nie obejrzał kwiatów - zauważył J.

- Tak, stracił okazję - przytaknął John. - A ja nie mogłem mu ich pokazać.

Wszyscy w miasteczku Chelmsford, w wiosce Chorley, w kuchniach New Hall i nawet owczarze w owczarniach, gdzie przychodziły na świat jagnięta, mówili tylko o królu i parlamencie, o sporze między nimi, o królu i królowej i o kłótni między nimi, o kłótni między królem i Francuzami, między królem i Hiszpanami, między królem i katolikami i między królem i purytanami. W domu i ogrodach diuka nikt nie ośmielił się tego powiedzieć, ale w piwiarniach Chelmsford krążył dowcip: „Kto rządzi królestwem? Król! Kto rządzi królem? Diuk! Kto rządzi diukiem? Diabeł!”. Gdyby na tym poprzestano i tak byłoby źle,

ale dowcip ten opowiedziano również kobietom, bardziej skłonny do dopatrywania się ingerencji diabła we wszelkich życiowych nieszczęściach. Kobiety zrozumiały go zbyt dosłownie. Powtórzyły ów żart kaznodziejom, którzy wiedzieli, że diabeł działa stale i wszędzie i że najlepszy grunt znalazł w otoczeniu króla. Króla, który nie potrafił rządzić swoją żoną, swoim dworem i parlamentem ani bronić swego kraju.

Mówiono, że diuk Buckingham jest najbardziej znienawidzonym człowiekiem w Anglii. Jeden z chłopców, pomocników Tradescanta, który miał odpędzać wrony od najnowszej, pochodzącej z Indii Zachodnich szkarłatnej fasoli wielokwiatowej, pochwalił się innemu, że służy człowiekowi bardziej znienawidzonemu niż papież. Diuka obwiniano o wszystko: o zarazę, która znów zabrała setki mężczyzn i kobiet osłabionych po głodowej zimie, o mokrą wiosnę, która spowoduje gnicie zboża w ziemi i, raz po raz, o zepsucie moralne króla, który powinien żyć w pokoju

384

ze swoją żoną i starać się dobrze rządzić krajem w zgodzie z parlamentem. Król tak rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, że zwołał parlament, ale jego członkowie, którzy dopiero co przybyli ze wsi, zdecydowani byli walczyć. Przysięgli, że król nie dostanie nawet pensa na nowe wojny, jeżeli nie podpisze Petycji o Prawo. Król musi się pogodzić z faktem, że nie może nakładać podatków bez zgody parlamentarzystów - dość bezprawnych żądań, dosyć opłat za wszystko - i że ludzie, którzy oparli się królewskiemu kaprysowi, nie powinni być wtrącani do więzienia bez sądu. Król Karol, bankrut na tronie, musiał wyrazić zgodę, choć zrobił to niechętnie, bronił się aż do ostatniej chwili i pożałował swej decyzji zaraz po podpisaniu nowego aktu prawnego.

Jane, siedząc wygodnie przed kominkiem Johna na kufrze obok męża, który ulokował się na stołeczku, z głową opartą o jej kolana, przeczytała nowej rodzinie list swego ojca:

- Zgodę króla na Petycję o Prawo uważa się za nową jutrzeńkę. Ogłoszono ją nową Wielką Kartą Swobód\*, która będzie broniła

praw niewinnych ludzi przed niegodziwością tych, którzy powinni być od nich lepsi i stać się ich przewodnikami.

\* Wielka Karta Swobód, wymuszona w roku 1214 na królu Janie bez Ziemi z dynastii Plantagenetów, stała się jedną z podstaw parlamentaryzmu angielskiego.

Kiedy piszę te słowa, biją dzwony, żeby uczcić zawarte wreszcie porozumienie króla z parlamentem. Chciałbym móc powiedzieć, że jego królewska mość cieszy się z tego tak jak wszyscy, ale on twierdzi, że to nie jest nic nowego, że nie ma żadnych nowych wolności, co oznacza, iż nie został wzięty w karby. Moi starsi parafianie pamiętają, że kiedy parlament wystąpił przeciwko królowej Elżbiecie, ta podziękowała uprzejmie jego członkom, a gdy zmusił ją, by postąpiła wedle jego woli, uśmiechnęła się, jak gdyby pragnęła tego z całego serca. A gorące głowy w mojej kongregacji pytają, czego jeszcze trzeba, żeby zmusić króla do traktowania bliźnich z szacunkiem. W każdym razie ma otrzymać pieniądze, których pragnie, a pan Twojego męża, diuk Buckingham, ma poprowadzić następną kampanię na Ile de Re...  
385

- Co takiego? - zapytał nagle John, przerywając Jane.

- On ma poprowadzić następną kampanię na Ile de Re - powtórzyła.

Elizabeth spojrzała na męża.

- Nigdy tam nie popłyniesz! Nie, Johnie. Nie, nie tam! Nawet jeśli cię wezwie.

Tradescant zerwał się z krzesła, odwrócił się od kręgu światła bijącego z kominka i od blasku świec. Elizabeth widziała, że drży cały, ale powiedział spokojnie:

- Jeżeli mnie wezwie, będę musiał popłynąć.

- To oznacza twoją śmierć! - zawołała zapalczywie. - Szczęście nie zawsze będzie ci sprzyjać!

- To będzie oznaczało śmierć tysięcy żołnierzy - odparł ponuro. - Bez względu na to, czy zdobędziemy tę wyspę, czy ją stracimy, to będzie oznaczało śmierć wielu tysięcy ludzi. Nie chcę znów widzieć tego miejsca. Ta wysepka jest jak cmentarz... Nie zniosę

jej widoku! - Nagle odwrócił się do Jane. - Czy twój ojciec pisze, dlaczego ktokolwiek chciałby tam wrócić? Na co liczy diuk? Poblada Jane przenosiła spojrzenie z Johna na Elizabeth. Pomyślała, że nigdy dotąd nie widziała teścia w takiej rozpacz. Wyglądał, jakby się bał, że zostanie przemocą wtrącony do piekła. - Przeczytam wam resztę listu - rzekła, wygładzając go na kolanach.

- ...diuk ma poprowadzić następną kampanię na Ile de Re, żeby zmasakrować hańbę klęski i pokazać Francuzom, kto tu jest panem. Nikt nie zgłasza się na ochotnika, ale najemne bandy łapią młodych mężczyzn na ulicach, które są bezpieczne tylko dla konających na zarazę. Łapią nieszczęsnych i wysyłają do Portsmouth, a wszyscy przeklinają imię diuka.

Nastały ciężkie czasy dla nas wszystkich. Modłę się, żeby los uchronił Twojego męża i teścia przed samowolą Buckingham. Dzisiaj straciłem mojego ucznia George'a, którego kochałem jak syna. On nie przeżyje kampanii wojennej, ma słabe płuca i kaszlał przez całą zimę. Po co zabierać szesnastoletniego chłopca, który umrze, zanim armia dotrze na miejsce przeznaczenia? Po co porwać chłopca, który zna się tylko na bawełnie, płótnie i jedwabiu?

386

Wybieram się do Portsmouth - może zdołam go odnaleźć i sprowadzić z powrotem, ale Twoja matka słusznie uważa, że musimy powiedzieć jego rodzicom, iż równie dobrze mogą go uznać za zmarłego i modlić się za jego nieśmiertelną duszę. Gorzko jest myśleć, że kraj, który mógłby żyć w pokoju, ciągle toczy wojny, i że mieszkańcy kraju, który mógłby być zamożny, nigdy nie są syci, a wielu cierpi głód. Przykro mi, że przesyłam Wam złe nowiny, i błogosławię Was wszystkich, Josiah Hurte.

- Pojadę zamiast ciebie - oświadczył stanowczo J. - Kiedy po ciebie przyśle.

- Może nie przyśle... - wtrąciła Elizabeth.

- On zawsze wzywa ojca, kiedy ma pracę, do której potrzebuje człowieka godnego zaufania - odparł szybko J. - Kiedy ta praca

jest trudna lub niebezpieczna, gdy potrzebuje sługi, który kocha go ponad wszystko. Człowieka, który wykona taką pracę, jakiej nikt inny nie chciałby wykonać.

John zwrócił na syna badawcze spojrzenie.

- To prawda - upierał się J. - Znów po ciebie przyśle.
- Nie możesz tam jechać - szepnęła Elizabeth. - Ta wyprawa na pewno znów się nie powiedzie i niepotrzebnie narazisz życie.
- Mój John nie może wziąć w tym udziału - powiedziała nagle Jane. Zdradziła się, lekko dotykając brzucha. -Potrzebuję go tutaj.
- Zarumieniła się. - My go tu potrzebujemy. Ma zostać ojcem.
- Och, moja droga! - Elizabeth, stojąca po drugiej stronie kominka, ujęła dłonie synowej. -Tak się cieszę! Jakież to błogosławieństwo!

Obie kobiety trzymały się za ręce przez chwilę. Elizabeth zamknęła oczy i szybko odmówiła w myślach modlitwę. John obserwował je ze znużeniem, czując się wykluczony z tego kobiecego świata małych radości.

- Cieszę się wraz z wami - powiedział. - I Jane ma rację, J nie może pójść na wojnę, kiedy dziecko jest w drodze. Jeżeli diuk po mnie przyśle, to będę musiał znów wyruszyć.

Cała rodzina milczała chwilę.

- A może was nie wezwie, ojczy? - zapytała Jane. John pokręcił głową.

387

- Myślę, że to zrobi. A ja przyrzekłem, że udam się wszędzie na każde jego wezwanie.

- Na pewną śmierć? - zapytał zapalczywie J.

John podniósł twarz, na której malowało się zmęczenie.

- Tak właśnie brzmiała moja przysięga.

Rozdział Trzydziesty Trzeci.

Lato 1628.

Wezwanie przyszło w połowie czerwca, w jednym z najlepszych miesięcy dla ogrodnika. Tego dnia John rozpoczął pracę w ogrodzie różanym od oskubywania przywiedłych kwiatów, których płatki wrzucał do koszyka przeznaczonego do spiżarni.

Zostaną wysuszone i wykorzystane do sporządzenia kulek aromatycznych lub rozsypane w szafach z bielizną, by ich zapach przenikał pościel i rzeczy osobiste diuka. Albo też zabiorą je kucharze i usmażą w cukrze, żeby ozdobić nimi słodycze na stół pana New Hall. Wszystko w tym ogrodzie, poczynając od sennie brzęczących pszczoł do opadających blad różowych płatków, należało do diuka i rosło dla jego przyjemności. Ale nie było go tutaj, żeby mógł to wszystko zobaczyć.

W południe John obszedł pałac i zatrzymał się przed frontem, aby obejrzeć młode lipy, posadzone w dwóch rzędach przy długiej, biegnącej łagodnym łukiem alei. Przyszło mu do głowy, że może uzyskają lepszy kształt, jeżeli przytnie ich niższe gałęzie. Wziął siekierkę i piłę, a jeden z pomagających mu chłopców szedł z tyłu z drabiną. Ale kiedy tylko zdażył gwizdnięciem dać znać chłopcu, żeby przystawił drabinę do pierwszego drzewa, usłyszał tętent końskich kopyt.

Tradescant odwrócił się, przysłonił ręką oczy i w dali, niby sen, niby od dawna oczekiwaną wizję, ujrzał samotnego jeźdźca.

389

Jego spieniony koń zmienił barwę z szarej na czarną, kiedy z jaskrawego światła słonecznego wpadł w ciemnozielony cień na podjeździe. John wyszedł spośród drzew na szeroką, nasłonecznioną drogę, czekając w upale na posłańca, wiedząc, że to jego wzywają i że musi posłuchać tego rozkazu. Na chwilę wydało mu się, że to sama Śmierć z kosą na ramieniu galopuje między drzewami, gdzie brzęczą dziko pijane pszczoły, a kwiaty ociekają nektarem i pyłkiem.

John poczuł, że jego serce ogarnia mrok, jak gdyby ciemnozielony cień lip przeniknął mu do krwi, i dojmujący chłód, który uznał za lęk. Nigdy dotąd nie zaznał strachu, który miał posmak przeczucia. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, dlaczego siłą wcieleni do wojska mężczyźni szeptali do niego, kiedy szedł między szeregami żołnierzy: „Poproście go, żeby odesłał nas do kraju, panie Tradescant, poproście go, żeby zawrócił”. Teraz poczuł się w takim samym stopniu zniewolony i

zniechęcony jak oni.

Jeździec zbliżył się do niego powoli. Tradescant wyciągnął rękę po list, jak gdyby osłaniał się przed ciosem noża.

- Skąd wiedziałeś, że to do ciebie? - zapytał posłaniec, zsuwając się z konia i poluzowując popręg.

- Czekałem na niego, odkąd usłyszałem, że diuk wraca na wyspę Re - odparł John.

- W takim razie będziesz jedynym dobrowolnym rekrutem - powiedział wesoło przybysz. - Przed jego domem wybuchły zamieszki, kiedy marynarze usłyszeli, że zamierza zabrać ich tam z powrotem. Obrzucają kamieniami powóz za każdym razem, gdy diuk wyjeżdża. Ludzie mówią, że ta wyprawa jest przeklęta i że ci, którzy wezmą w niej udział, wpadną w wielki wir, który sięga do samego piekła. Piją za jego śmierć w piwiarniach, modlą się o jego zgon w kaplicach.

- Dosyć - powiedział szorstko Tradescant. - Zaprowadź konia do stajni. Nie chcę słuchać, jak sługa jego książęcej mości oczernia go na jego własnej ziemi.

Posłaniec wzruszył ramionami i przerzucił wodze przez łeb konia.  
390

- Rzuciłem służbę u niego. Wracam do domu.

- Czekają na ciebie jakieś prace?

- Nie. Ale wolałbym zebrać od drzwi do drzwi, niż wrócić z diukiem na Wyspę Żalu. Nie jestem głupcem. Wiem, jak ta armia będzie dowodzona, jak opłacana i na jakie naraża się ją niebezpieczeństwa.

John skinął głową, wyraz jego twarzy nic nie zdradził. Potem odwrócił się od alei i poszedł przez trawnik w stronę sztucznego jeziora. Dalej ruszył śliczną dróżką do pływającej przystani znajdującego się naprzeciw pomostu, skąd Buckingham miał zwyczaj wypływać letnimi wieczorami, czasami z lady Kate na rufie łodzi, czasem samotnie z wędką. John usiadł na pomoście i spojrzał na drugi brzeg jeziora. Żółte kosańce niemieckie kwitły, tak jak obiecał swemu panu, fontanna, którą razem zaprojektowali, tryskała w górę w ciepłym, spokojnym powietrzu.

Lilie wodne, które posadził, kołysały się lekko, gdy wiatr muskał gładką toń jeziora, ich pączki rozchyliły się na tyle, by ukazać kremowe i białe płatki. Kaczki miały drugi wylęg, przypływały i kwakały wokół Tradescanta, czekając na ziarno. John trzymał w ręku list i patrzył na dużą pieczęć na zwiniętym grubym kremowym papierze. Na razie nie złamał jej, nie zniszczył odcisku sygnetu Buckinghama, przez chwilę siedział w blasku słońca i pytał się w duchu, co by poczuł, gdyby to był list od pana, który go cenił, od mężczyzny, który go kochał jak równego sobie stanem partnera. Jak czułby się teraz, gdyby Buckingham był zarówno jego kochankiem, jak i panem. Pomyślał, że gdyby nadal byli kochankami, serce by mu zabiło mocniej na widok zapieczętowanego listu, uszczęśliwiłby go rozkaz diuka, który go przyzywał do siebie, u jego boku poszedłby z radością wszędzie tam, dokąd kazano by mu pójść. Gdyby byli kochankami, popłynąłby ze swoim panem na Wyspę Żalu, na tę ponurą wyspę, na pewną śmierć, z dziką radością, że miłość tak wielka i tak szalona jak ich może zakończyć się tylko w ten sposób. Przyszło mu też na myśl, że byłoby coś erotycznego i podniecającego w fakcie, iż ta namiętność znajdzie swój kres w bitwie i że obaj umrą razem jak towarzysze i przyjaciele.

391

Przetarł ręką oczy. Snucie marzeń niczym zakochana panna i wpatrywanie się w drugi brzeg ponad wodną tonią na nic się nie zdadzą. To nie list miłosny, otrzyma rozkazy, które musi wykonać bez względu na własne uczucia. Rozerwał pieczęć i otworzył list. Johnie, będę potrzebował mojego najlepszego powozu do dalekich podróży, kilku zmian odzieży, kapeluszy i nowych brylantów. Trzeba wziąć też parę krów i kur - wydaj takie rozkazy, jakie ja sam bym wydał.

Przywieź to wszystko i spotkaj się ze mną w Portsmouth. Na pewno odpłyniemy na początku lipca.

Popłyniesz ze mną i będziesz przy mnie, tak jak przedtem.

Villiers.

John ponownie przeczytał list, a potem jeszcze raz. To jego wyrok



śmierci. Wieczór był bardzo ciepły. Tradescant siedział ze zwieszonymi nogami nad szklistą tonią jak leniuchujący chłopiec i obserwował komary tańczące nad spokojną powierzchnią jeziora. Nawet teraz trudno mu było uwierzyć, że musi to wszystko opuścić i już nigdy nie zobaczy tego miejsca. Ogrodu, który stworzył, drzew, które posadził, warzyw i kwiatów, które sprowadził do New Hall - do Anglii - wszystko to zostanie mu odebrane. Umrze na wyspie będącej w połowie skałą, w połowie bagnem, umrze dla sprawy, w którą nigdy nie wierzył, służąc złemu panu.

John bezpowrotnie utracił wieloletnią, bezkrytyczną, wręcz bezmyślną lojalność wobec swych panów. A kiedy utracił wiarę w swego pana, utracił wiarę w świat. Jeżeli jego pan nie jest człowiekiem lepszym od swego sługi, bliższym aniołów, to król również nie znajduje się wyżej, bliżej nieba. I jeśli król nie jest istotą boską, to nie może być nieomylny, jak Tradescant zawsze wierzył. Jeżeli król nie jest nieomylny, to wszystkie pytania, które stawiali ludzie myślący, pytania na temat nowych uprawnień władcy i złego kierowania przezeń państwem, John również powinien sobie zadać. Powinien był to uczynić przed laty. Poczuli się jak głupiec, który zlekceważył szansę zdobycia wielkiej wiedzy o świecie. Sir Robert był jego pierwszym panem

392

i nauczył go myśleć nie o zasadach, lecz o praktyce. Gdyby uważnie przyglądał się Cecilowi, dostrzegłby człowieka, który zawsze na pokaz zachowywał się tak, jak gdyby król był istotą boską, a potajemnie spiskował, żeby go chronić jak każdego innego omylnego śmiertelnika. Cecila nie wprowadziła w błąd fasada królewskości, był takim samym człowiekiem jak Inigo Jones, który miał za zadanie upiększać ją i umacniać. Jones zbudował schody i marmurową łazienkę w New Hall, Tradescant obserwował go przy pracy. To nie był kapłan uczestniczący w misterium, tylko człowiek fachowo wykonujący swoją pracę. Zbudował schody i nadał im iluzję majestatyczności, a wszystko tego samego dnia.

Lecz Tradescanta, chociaż miał za przykład Cecila jako głównego reżysera, zafascynowały kostiumy, samo widowisko i przemyślna maszyneria, i wydało mu się, że zobaczył bogów, kiedy w istocie miał przed sobą przebiegłą staruchę Elżbietę, jej kuzyna rozpustnika Jakuba i jego syna, Karola, głupca.

John nie pragnął zemsty; nawyk kochania i lojalności wobec panów i króla zbyt głęboko tkwił w jego sercu. Uznał, że będzie musiał znieść swą utratę wiary w taki sposób, jak gdyby to była tylko jego wina. Utrata wiary w króla i w pana bardzo przypominała utratę wiary w Boga. Można było ją stracić, ale człowiek mimo to uczestniczył w publicznych rytuałach, zdejmował kapelusz, pilnował języka, żeby nie siać wątpliwości wśród innych. John mógł wątpić w swego pana i swego króla, ale nie dowie się o tym nikt poza jego najbliższą rodziną. Może wątpić, że Bóg rozkazał mu być posłusznym dziesięciu przykazaniom lub że ostatnio dołączył do nich obowiązek posłuszeństwa królowi. Nie wstanie jednak w kościele i nie wyrzeknie się Boga, kiedy kaznodzieja wypowiada nowe modlitwy za króla i królową, które zostały dodane jako kolekta na ten dzień. Johna wychowano na człowieka lojalnego i obowiązkowego; nie mógł zejść z tej drogi tylko dlatego, że miał złamane serce i stracił wiarę.

Myśląc o swoim kochanku diuku, już zawsze będzie czuł tylko przeszywający ból tam, gdzie powinno się znajdować jego serce, lód tam, gdzie powinna płynąć jego krew,

393

i ćmiący ból tam, gdzie powinien być jego brzuch. Nie potępiał Buckingham, że odwrócił się od swojego sługi ku dworowi królewskiemu.

Samo takie przypuszczenie byłoby głupotą. To oczywiste, że diuk będzie się trzymał dworu, bez względu na to, jak bardzo kochali go jego słudzy. To John potępiał sam siebie za to, że zapomniał, iż mężczyzna, którego kochał, to wielki człowiek, najwyższy rangą dostojnik w całym kraju, ustępujący tylko królowi.

Szaleństwem było myśleć, że będzie potrzebował Tradescanta w

dniach chwały, tak jak potrzebował go podczas powrotu do kraju, gdy duchy żołnierzy, których pozostawili za sobą, każdej nocy szlochały w takielunku.

John wydał rozkazy w stajni i w wielkim domu, by przygotowano powóz z rzeczami dla Buckinghama, po czym pojechał na folwark i zażądał dostarczenia dwóch mlecznych krów. Zrozumiał już, że wprawdzie diuk zapomniał o nim jako o kochanku, ale ufał mu bez zastrzeżeń jako słudze, najwierniejszemu ze wszystkich, który zrobi dla niego wszystko i niczego nie przeoczy.

Jego książęca mość wierzył, że John jest jego wiernym sługą, i miał rację.

Kiedy Tradescant rozkazał zapakować najlepsze stroje diuka i włożył brylanty do woreczka, który zamierzał nosić na szyi, zdał sobie sprawę, że gra rolę wiernego sługi i że będzie ją odgrywał aż do śmierci. Zabierze powóz do dalekich podróży, stroje, kapelusze i nowe brylanty, krowy i kury, zwiezie je aż do Portsmouth, dopilnuje, żeby załadowano wszystko na okręty wraz z przymusowo wcielonymi do wojska żołnierzami, i popłynie na pewną śmierć.

- Pójdziemy na śmierć jak bydło do rzeźni - powiedział cicho do siebie, patrząc, jak służący wyciągają wielki powóz ze stajni i zaczynają polerować złocenia. - Jak te dojne krowy, które ryczą, gdy się je wpycha na pokład. Zobowiązałem się pod przysięgą, że będę jego człowiekiem aż do śmierci, i rozumiem teraz, iż właśnie o to mu chodziło. Nigdy nie skończy ze mną ani z nikim, kto mu towarzyszy, aż wszyscy umrzemy.

Odwrócił się. Kolano bolało go, gdy szedł po nierównych kamieniach dziedzińca przed stajnią. Okrążył ją

394

i skierował się do ogrodu wypoczynkowego, by odszukać syna, który teraz obejmie po nim wszystkie obowiązki i będzie musiał stać się głową małej rodziny, ponieważ John znów wyruszał na wojnę i wiedział, że tym razem z niej nie wróci.

Ogród wypoczynkowy urządzono z fontannami i kaskadami, zaprojektowanymi przez inżyniera Corneliusa van Drebbela. J

rozkazał opróżnić i oczyścić olbrzymią okrągłą marmurową misę u podnóża jednej z kaskad i wszedł do środka, by sprawdzić, czy jest doskonale czysta, zanim pozwoli znów napełnić ją wodą.

Podczas upalnego dnia było to nawet przyjemne zajęcie. Zresztą sam J był dostatecznie młody, by podobała mu się zabawa ze sztucznym wodospadem, i nie uważał tej pracy za ciężką. Obok fontanny, w cieniu, stała wielka beczka pełna karpi, które czekały na powrót do misy. Usłyszawszy kroki ojca na białym żwirze, J podniósł oczy. Kiedy tylko zobaczył jego twarz, wygramolił się z marmurowej misy i ruszył ku niemu, potrząsając gęstymi czarnymi włosami niczym spaniel wychodzący z rzeki.

- Złe nowiny, ojcze? John skinął głową.

- Mam popłynąć na wyspę Re.

J wyciągnął rękę po list. John zawahał się tylko na moment, zanim mu go podał. J przeczytał szybko list i oddał go ojcu.

- Powóz! - zawołał zjadliwie. - Najlepsze brylanty! Niczego się nie nauczył.

- Taki już jest - powiedział John. - Ma wytworne maniery i przetrzymuje wszystkie burze.

- Czy nie możemy napisać, że jesteś chory? - spytał J. John potrząsnął głową.

- Pójdę zamiast ciebie, naprawdę mam taki zamiar.

- Twoje miejsce jest tutaj - odpowiedział ojciec. - Dziecko jest w drodze, może to nasz spadkobierca, ktoś, kto dalej będzie hodował kasztanowce. - Uśmiechnęli się do siebie, a potem John znowu spoważniał. - Jesteś dobrze zabezpieczony, mamy przecież własną ziemię i czynsz ze spichlerza w Whitehall. Mamy też własny

395

gabinet osobliwości. Wiem, że niewiele ich tam jest, ale mógłbyś zarobić na nich kilka funtów, gdybyś znalazł się w potrzebie. A po nauce i praktyce w ogrodzie lorda Woottona i tutaj mógłbyś pracować wszędzie w Europie.

- Nie zostanę u diuka - oświadczył J. - Nie zostanę tutaj. Wyruszę do Wirginii, gdzie nie ma ani książąt, ani królów.

- Tak - odrzekł Tradescant. - Ale oczywiście on również może nie

wrócić z wyspy Re.

- Ostatnim razem wrócił bez jednego draśnięcia i powitano go triumfalnie - powiedział ze złością J.

- Uważaj, żeby nie stał się twoim wrogiem.

- Latami zabierał mi ojca - wyznał J. - A teraz chce cię wziąć na pewną śmierć. Jak ci się zdaje, co ja czuję?

John pokręcił głową.

- Możesz czuć, co ci się żywnie podoba. Ale uważaj, co mówisz i robisz. Jeżeli wystąpisz przeciw niemu, tym samym wystąpisz przeciw królowi, co zostanie uznane za zdradę i znajdziesz się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Wiem, że jest za wielki dla mnie, żebym mógł rzucić mu wyzwanie. W ogóle jest za wielki. Nie ma w Anglii człowieka, który by go nie nienawdził i nie bał się go. A teraz znowu mamy wyruszyć na wojnę pod jego dowództwem, kiedy on nie potrafi dowodzić armią, nie umie poprowadzić ataku, nie wie, jak powinno się to robić. Zresztą, skąd miałby to wiedzieć? Jest przecież synem zwykłego szlachcica i zdobył swoją pozycję na dworze dzięki umiejętności tańca, rozmowy... i sodomii.

John się wzdrygnął.

- Wystarczy, J. Wystarczy.

- Na Boga, chciałbym, żebyśmy nigdy tu nie przyjechali - powiedział zapalczywie młodzieniec. Tradescant wrócił myślą do chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczył Buckingham, w zielonym stroju, podobnego do młodego drzewka w ciemnej alei New Hall.

- Chcieliśmy pracować w największych ogrodach w Anglii.

Musieliśmy tu przybyć.

Obaj zamilkli.

- Powiesz o tym matce? - zapytał w końcu J.

- Powiem jej teraz - odrzekł John. - Zasmuci ją to.

396

Po mojej śmierci zatrzymasz ją przy sobie i zapewnisz jej godny byt, synu.

- Oczywiście - oświadczył J.

Elizabeth w milczeniu zapakowała odzież męża, wraz z

zimowymi butami, ciepłym płaszczem i kocami.

- Prawdopodobnie nie będę ich potrzebował, wrócimy do jesieni - powiedział John, siląc się na wesołość.

Elizabeth zwijała jego ubrania i wkładała je do dużej skórzanej sakwy.

- On nigdy nie wypływa na czas - odparła. - Nigdy mu się to nie udaje. Nic nie będzie gotowe na czas, a popłyniecie w porze jesiennych sztormów i zaczniecie obleżenie, gdy nadejdzie zima. Będiesz potrzebował ciepłej opończy, a ojciec Jane przysłał mi kawałek ceraty, żebym owinęła w nią twoją odzież i koce i w ten sposób zabezpieczyła wszystko przed wilgocią.

- Kończysz już? Kazałem załadować wozy, a powóz też jest gotów do drogi.

- Wszystko gotowe. - Zawiązała mocno rzemień. Wyciągnął do niej ramiona. Elizabeth spojrzała na niego, na jej twarzy malowała się powaga.

- Niech Bóg cię błogosławi, Johnie - powiedziała. Objął ją i poczuł na policzku znajome ciepło jej czepka i muśnięcie gładkich włosów.

- Przepraszam za smutek, jakiego ci przysporzyłem - odezwał się zdławionym głosem. - Na Boga, Elizabeth, bardzo cię kochałem. Nie zwróciła uwagi na to nadużycie imienia Pańskiego, ale zacisnęła ramiona wokół jego pasa.

- Pilnuj mojego wnuka - powiedział i spróbował zażartować: - I moich kasztanowców!

- Nie idź z nim! - zawołała nagle. - Proszę, Johnie, nie idź tam. Możesz pojechać do Londynu i wsiąść na statek płynący do Wirginii w ciągu doby, zanim diuk zdąży się zorientować, że go opuściłeś! Proszę!

Sięgnął do tyłu i rozgiął jej palce.

- Wiesz, że nie mogę uciec.

Podniósł sakwę i zszedł ze schodków nierównym krokiem, kulejąc z powodu artretycznego kolana.

397

Elizabeth stała na miejscu przez chwilę, a potem pobiegła za

mężem.

Wielki powóz Buckinghama podjechał do ich domku. Lecz John nie zamierzał nim jechać bez wyraźnego pozwolenia pana, ten zaś zapomniał napisać Tradescantowi, że może wygodnie podróżować. Cisnął sakwę na tył jednego z wozów i rzucił doświadczonym okiem na eskortę. Miała ona strzec skarbów diuka przed nachalnymi żebrakami, złodziejami lub motłochem, który na widok herbu Buckinghama mógłby ich napaść w każdym z miasteczek po drodze do Londynu.

Tradescant usiadł obok woźnicy na koźle i odwrócił się, by pomachać na pożegnanie. J i Jane stali obok Elizabeth w drzwiach domku, patrząc, jak John dał sygnał do drogi woźnicom.

Chciał zawołać: „Do widzenia! Niech Bóg was błogosławi!”, ale słowa uwięzły mu w gardle. Zamierzał się uśmiechnąć i pomachać kapeluszem, by po raz ostatni ujrzeli wesoły uśmiech człowieka, który dobrowolnie idzie na wojnę. Lecz na widok bladej twarzy Elizabeth ból przeszył go jak nożem i mógł tylko podnieść kapelusz na znak szacunku dla wiernej żony, wiedząc, że z każdą chwilą oddala się od niej coraz bardziej.

Odwrócił się na koźle i patrzył, jak postacie jego najbliższych maleją w oddali, przesłonięte obłokiem kurzu, aż wóz skręcił na rogu, wjeżdżając w wielką aleję, i wtedy stracił ich z oczu. Z powodu turkotu kół wozów z bagażem diuka nie słyszał nawet brzęczenia pszczoł i nigdy nie poczuł upajającego zapachu kwitnących lip.

Buckinghamu nie było w Portsmouth, jak obiecywał w liście. Flota była gotowa do drogi, a marynarze z każdym kolejnym dniem nieobecności diuka sarkali coraz głośniej. Oficerowie musieli się uciec do surowszej i dłuższej chłosty, żeby utrzymać dyscyplinę. Armia topniała z dnia na dzień, oficerowie przeczesywali miasteczka i drogi na północ od Portsmouth, żeby złapać chłopów i czeladników, uciekających z okrętów, które kołysały się przy nabrzeżu, czekając na dowódcę. Tego zaś wciąż nie było.

John dopilnował, żeby załadowano powóz jego książęcej mości na pokład, ale zatrzymał na szyi woreczek z brylantami. Krowy i kury kazał zamknąć w zagrodzie na miejskich błoniach Southsea, a sam znalazł kwatery w pobliżu. Gospodarz był zgorzkniały i niechętny do pomocy, ponieważ żołnierze kwatrowali u niego od miesięcy i nigdy nie otrzymał za to ani pensa. John zapłacił gospodarzowi z góry z własnych pieniędzy, chociaż wiedział, że Buckingham nie będzie pamiętał, by mu je zwrócić. Wtedy gospodarz zaczął starać się trochę lepiej.

Dziewiętnastego lipca przyjechał król, żeby przeprowadzić inspekcję floty. Wiatr wiał od brzegu, okręty naciągały cumy, jak gdyby chciały wyruszyć, chociaż marynarze mieli ponure miny. Król obejrzał okręty, ale tym razem nie wydano wystawnego obiadu na pokładzie „Triumfu”. Wszyscy, nawet król, czekali na wielkiego lorda admirała.

Lecz on nie przybył.

John przypomniał sobie przepowiednię Elizabeth, że odpłyną dopiero jesienią, pojechał na farmę za miastem i kupił wóz siana dla krów Buckinghamów.

Król opuścił Southwick i udał się na polowanie do New Forest. Nie przeszkadzało mu, że flota czeka, a diuk zajmuje się swoimi sprawami w Londynie. Inni naraziliby się na oskarżenie o zdradę i uwięzienie w Tower, gdyby kazali królowi czekać choćby godzinę. Wydawało się jednak, iż Karol żadnego uczynku Buckinghamów nie uznałby za obrazę majestatu. Jego królewska mość roześmiał się, powiedział, że lord admirał jest guzdrałą, spędził tę noc w Beaulieu i polował na zwierzynę płową.

Polowanie było udane, a pogoda piękna. Tymczasem stłoczeni pod pokładami okrętów ludzie oblewali się potem w upale i ścisku, i wielu trzeba było wynieść na brzeg, gdyż cierpieli na chorobę morską lub na gorsze dolegliwości. Marynarze i żołnierze zjedli już zapasy, które zgromadzono na podróż. Tak więc kwatermistrze musieli wyruszyć do hrabstw Hampshire i Sussex, żeby kupić więcej żywności i na nowo zaprowiantować swoje jednostki. Na miejscowych rynkach wszystko podrożało, a mieszkańcy



okolicznych wiosek nie byli w stanie kupować chleba

399

po cenie, którą mogła zapłacić flota. Setki głodnych wieśniaków przeklinało Buckinghama przy kominkach. A jego wciąż nie było. John napisał do Elizabeth, że może wszystko rozejdzie się po kościach. Flota nie popłynie bez dowódcy, a wielki lord admirał nie przybył przez cały lipiec. John uważał, że może Buckingham tylko udaje i nigdy nie zamierzał wypłynąć. Może jest mądrzejszy i zręczniejszy, niż wszyscy przypuszczali, równie chytry jak Cecil. Możliwe, że wszystkie te przygotowania, cały ten strach, cały ten smutek miały posłużyć do realizacji najbardziej przerażającego, największego podstępu wszystkich czasów: królewski doradca zamierzał przerazić Francuzów i zmusić ich do wycofania się spod La Rochelle bez jednego wystrzału, żeby angielskie siły nie musiały nawet opuszczać portu. John przypomniał sobie przebiegły, figlarny uśmiech diuka, jego inteligencję i spryt i pomyślał, że jeśli jakiś wódz mógłby wygrać wojnę bez wysłania floty, to na pewno jest nim jego pan.

John zapłacił swemu gospodarzowi za sierpień i zaczął się zastanawiać, czy może jednak los go oszczędzi. W upalne letnie ranki budził się z takim pragnieniem życia, że wręcz czuł jego smak w ustach, jak pożądanie.

Spacerował po murach portu i patrzył na morze. Czuł lekki dotyk lnianego ubrania na ogrzanej słońcem skórze, muśnięcia ciepłego powietrza na twarzy i miał wrażenie, że znów stał się młodzieńcem, w pełni świadomym swojej urody i zdrowia, wręcz upajającym się nimi. Przechadzał się po żwirowym brzegu morza, rozpędzając stadka szaro-brązowych ptaków, i czuł, że życie pulsuje w całym jego ciele, od stóp aż po czubki palców. Pewnego dnia dostrzegł śliczną zieloną wyspę Wight i pomyślał, że mógłby tam popłynąć małym promem i poszukać nowych roślin. Zapisał się w głąb lądu na północ od Portsmouth, gdzie rozciągały się wielkie lasy. Spacerował pod rozłożystymi gałęziami i przypomniał sobie poszukiwania drzew do parku Roberta Cecila i długie podróże z obładowanymi wozami.

Czasami widywał sarny i jelenie; zawsze wypatrywał na ziemi nowych odmian paproci i nowych kwiatów.

400

Nie chodził na wschód - z tej strony miasta leżało ohydne, źle osuszone bagno, gdzie rozlegały się okrzyki ptaków brodzących, bagno o zdradzieckich i zwodniczych ścieżkach. W gorącym letnim słońcu cuchnęło błotem i zgnilizną, a kiedy migotało nad nim rozgrzane powietrze, przesłaniając je niczym lekka mgiełka, John nie miał pojęcia, gdzie zaczyna się woda i nieoczekiwanie kończy ląd. Na zmeliorowanych polach kołysały się czerwone maki. Za bardzo przypominały Tradescantowi cel ich wyprawy. Nienawidził teraz migotania słońca na błocie i wodzie. To blask śmierci, myślał. Po jednej pieszej wycieczce na moczary Farlington nigdy tam nie wrócił.

Buckingham przybył dopiero w końcu sierpnia, właśnie wtedy, gdy kapitanowie okrętów i oficerowie mówili o rozpuszczeniu na zimę marynarzy i żołnierzy, żeby dłużej nie wyrzucać pieniędzy na wyprawę, która najwyraźniej się nie odbędzie. Jeszcze miesiąc i nastąpi załamanie pogody, a jesienią trzeba będzie czekać wiele dni, zanim flota zdoła wypłynąć z portu. Przecież żaden dowódca nie mógł zaryzykować, by okręty z jego floty rozproszyły się podczas ucieczki przed sztormem. Zaraz będzie za późno, już jest za późno, na pewno wielki lord admirał zrozumie, że już za późno na wypłynięcie - i wtedy właśnie Buckingham przybył w swoim najlepszym powozie z Londynu, wesoły, uśmiechnięty i czarujący, i zjadł śniadanie w domu kapitana Masona przy High Street, tak pogodny i miły, jakby to nie podczas ostatniego pobytu w tym właśnie domu zmywał z rąk krew swoich żołnierzy po powrocie z wyspy Re.

Pogłoski o przybyciu diuka do Portsmouth dotarły do Tradescanta, kiedy nakarmił ostatkiem siana przywiezione z New Hall krowy. Wzdrygnął się, jak gdyby poczuł dotknięcie śmierci. Było to jednocześnie przeczucie zagłady i dreszczyk pożądania. John pokiwał głową nad swoją głupotą, wyczyścił ubranie, włożył kapelusz i poszedł na High Street.

Dom kapitana Masona był pełen ludzi, na zewnętrznym dziedzińcu czekali na nowiny oficerowie oraz tłoczyli się zwykli pieczeniarze i pochlebcy.

401

Jakiś mężczyzna położył rękę na rękawie Johna, gdy ten przepychał się przez tłum.

- On przybył, żeby odwołać wyprawę, prawda?

- Nie wiem. Nie rozmawiałem z nim.

- Kapitan „Triumfu” mówi, że przed wyruszeniem będą musieli odnowić zapasy prowiantu i wody. Nie ma też pieniędzy dla dostawców. Będziemy musieli poczekać do wiosny.

- Nie wiem - powtórzył Tradescant. - Nie wiem więcej niż ty.

Jego rozmówca zniknął w tłumie, a John dalej się przepychał. Stojący przed nim mężczyzna odwrócił się, gdy Tradescant poklepał go po ramieniu. John poznał go od razu.

- Tradescant!

- Jesteś Felton, prawda? Ten, który został kapitanem? I wtedy John zobaczył, że stało się coś strasznego.

Twarz Feltona była blada, a dwie głębokie bruzdy pojawiły się w kącikach zaciśniętych ust.

- Co z tobą? Jesteś chory? Felton potrząsnął głową.

- Modliłem się, żeby zabrała mnie zaraza, ale tak się nie stało.

Ona umarła w moich ramionach.

John cofnął się trochę. -Kto?

- Moja żona. Och, nie musisz się obawiać, że roznoszę zarazę.

Wyrzucili nas oboje ze wsi i pozwolili mi wrócić do domu dopiero wtedy, gdy pogrzebałem żonę w lodowatej ziemi, na której leżała, a potem rozebrałem się do naga i spaliłem ubranie. Wtedy wpuścili mnie do mojego domu, a szedłem nago jak grzesznik. I wiesz, co znalazłem, kiedy wróciłem?

John potrząsnął głową.

- Moją małą córeczkę, która zmarła z głodu za zamkniętymi drzwiami. Nikt nie przyszedł, żeby ją nakarmić, wszyscy się bali zarazy, a zresztą, w całej wiosce nie było nic do jedzenia.

John milczał, przerażony tą opowieścią.

- Nigdy mi nie zapłacono, rozumiesz - ciągnął monotonnym głosem Felton. - Nie dostałem ani obiecanego

402

żołdu kapitana, ani żołdu porucznika, na który zarobiłem. Nie otrzymałem ani pieniędzy za tamtą kampanię, ani odprawy za zwolnienie z wojska. Ani pensa. Po powrocie do domu do żony i córki miałem tylko obietnicę wielkiego lorda admirała, a tym nie mogliśmy się wyżywić. Kiedy moja żona zachorowała, nie mogłem kupić jej leku, nie mogłem nawet kupić jedzenia. A gdy umarła, musiałem ją pogrzebać w miejscu, gdzie leżała. -

Roześmiał się cicho. - A teraz ją ogrodzili. Nie mogę nawet tam pójść, żeby postawić krzyż nad jej głową. To była ziemia gminna. Myślałem, że posadzę krzak róży na jej grobie, ale teraz jest tam pastwisko i owce mojego pana chodzą po jej twarzy!

John uświadomił sobie, że marszczy gniewnie brwi.

- Na Boga, współczuję ci z całego serca.

- A teraz znów mamy wypłynąć - mówił dalej Felton. Oczy płonęły mu w bladej jak płótno twarzy. - Wrócić na tamtą przeklętą wyspę. I wszystko się powtórzy. Śmierć, cierpienie, głupota. Będziemy musieli znów zrobić to wszystko jeszcze raz i jeszcze raz, aż on będzie miał dość.

- Służysz w armii? - zapytał John.

- Czyż ktoś, kto już tam był, poszedłby tam dobrowolnie? A ty, panie Tradescant?

John potrząsnął głową.

- Muszę się wywiązać z pewnej obietnicy - odparł.

- Ja również muszę wywiązać się z pewnej obietnicy - powiedział Felton. - Innej niż twoja, jak sądzę. Świętej obietnicy złożonej Bogu.

John skinął głową.

- Porozmawiam z diukiem, kiedy tylko zdołam - odrzekł. - Nie zapomnę o tobie, panie Felton. Otrzymasz swoją zapłatę i może uda ci się gdzieś zacząć wszystko od nowa...

- On o mnie zapomniał! - zawołał zapalczywie Felton. - Ale ja mu przypomnę! Powiem jego książęcej mości, ile mnie to kosztowało,

zapłacę mu bólem za ból!

- To nie jest właściwy sposób. Uspokój się, człowieku, on jest diukiem, nie możesz z nim walczyć, tak samo jak nie możesz walczyć z królem. On jest nietykalny.

Felton pokręcił głową na znak, że się nie zgadza, i odszedł.

Tradescant odprowadził go wzrokiem, zauważył jego

403

zgarbione ramiona, a gdy tamten sięgnął ręką do kieszeni, dostrzegł poprzez łańchmany zarys noża.

John rozejrzał się wokoło. W domu i wokół niego tłoczyli się członkowie świty diuka. Kiedy zobaczy jakiegoś oficera, któremu będzie mógł zaufać, ostrzeże go, by polecił komuś mieć oko na Feltona i łagodnie wyprowadzić go z domu. A potem, jak dociśnie się do diuka, powie mu, że powinien wypłacić zaległy żołąd temu nieszczęśnikowi, że Feltonowi należy się zadośćuczynienie.

Ludzie, którzy poszli za Buckinghamem na pewną śmierć, którzy widzieli, jak giną ich towarzysze broni, nie mogą zostać zapomniani tak łatwo, jak wielka dama zapomina o dawnym kochanku, który stracił jej łaski.

Z jakiejś komnaty wewnątrz dał się słyszeć wybuch śmiechu, a potem ktoś, głośno rycząc, wzniósł toast. Tradescant domyślił się, że jego pan znajduje się w środku, że jest tam duszą towarzystwa. Teraz, kiedy lada chwila miał znów go ujrzeć, spostrzegł, że spoczęły mu się dłonie i zaschło w gardle. Wytarł ręce o spodnie, przełknął ślinę, a potem przepchnął się przez tłum i wszedł przez otwarte podwójne drzwi.

Buckingham siedział przy stole nad rozłożoną mapą, jego zielony kaftan jarzył się od brylantów, a ciemne włosy okalały doskonale piękną twarz. Śmiał się jak chłopiec.

John cofnął się gwałtownie. Idący z tyłu mężczyzna zaklął, wpadłszy na niego, ale Tradescant niczego nie usłyszał. Myślał, że zna każdą linię tej twarzy, poczynając od nieskazitelnego czoła po gładkie policzki. Kiedy jednak ponownie ujrzał diuka w całej jego witalności, w blasku urody, uświadomił sobie, że nie zapamiętał nic prócz cienia.

Najpierw uśmiechnął się lekko, a potem cały się rozpromienił na sam widok Buckinghama. Owładnęło nim dziwne uczucie - nie strach, nie uraza czy nienawiść, tylko radość, ogromna radość, że na świecie istnieją takie piękno i wdzięk. Że taki mężczyzna pokochał kiedyś jego, Tradescanta, i że zabrał go tam, gdzie ból i rozkosz są jednością. I w owej chwili długie miesiące, które upłynęły od tego czasu, wydały mu się niską ceną za to, że został

404  
kochankiem takiego mężczyzny. Jak we śnie zobaczył Buckinghama śmiejącego się u szczytu stołu.

Diuk odrzucił do tyłu krucze kędziory, oczy mu błyszczały, a piękna twarz zarumieniła się od wina i ze śmiechu. John jednak oczami wyobraźni ujrzał go pochylonego nisko nad sobą, w tamtej poślacanej kajucie, gdzie latarnia z rogowych płytek kołysała się w rytm fal, jak gdyby tańczyła z ich połączonymi cieniami.

- To ty - szepnął John ze wzruszeniem i poczuł, że świat, który przestał istnieć po utracie Buckinghama, nagle w jednej chwili do niego wraca. Zrozumiał, że to miłość, ślepa, nieokiełznana miłość, i nie czuł żadnego wstydu, nie myślał, że jest to uczucie nieodwzajemnione. Ogarnęła go szalona, dzika radość. Poczł smak życia na samej jego krawędzi. To była miłość, jaką poznało niewielu ludzi. To była namiętność, rzadko spotykana namiętność. Pożądanie, które nawet nie spodziewa się wzajemności, ale warte jest całego tego cierpienia w zamian za kilka chwil szczęścia i świadomość, że taka miłość na skraju szaleństwa istnieje, jest możliwa. Tradescant pomyślał, że bez niej miałby spokojniejsze, bardziej monotonne życie. Z Buckinghamem płonął jasnym ogniem w samym środku piekła uczuć. Diuk go nie zauważył. Śmiał się wraz z otaczającymi go panami.

- Przysięgam! - zawołał, przekrzykując wrzawę. - Zostanę pomszczony. Francja nas skrzywdziła i otrzymam zadośćuczynienie.

Kolejny ryk aprobaty zagłuszył jego słowa. Tradescant patrzył, jak diuk potrząsa głową, by odrzucić do tyłu włosy, i znów wybucha śmiechem.

- Król mnie słucha, mam dostęp do jego ucha! - powiedział.
- Tak jak do innych części jego ciała! - zabrzmiał dwuznaczny okrzyk.

Buckingham uśmiechnął się szeroko, ale nie zaprzeczył.

- Czy ktokolwiek wątpi, że jeśli zechcę, to w przyszłym roku o tej porze będziemy stali u bram Paryża? - zawołał. - Powiadam, że wrócimy do Francji i nie zatrzymamy się na jakiejś nędznej wysepce, ale pomaszerujemy na sam Paryż, i że się zemszczę!

405

Tradescant wcisnął się jeszcze głębiej. Zgromadzeni w komnacie mężczyźni, odziani w skropione perfumami stroje z aksamitu i kosztownego cienkiego płótna, ustawili się wokół diuka - byli to zaprzyjaźnieni z nim arystokraci i dworzanie, którzy czekali tak długo w Portsmouth, żeby urządzić lordowi admirałowi pożegnanie godne bohatera. Kiedy rozstąpili się wbrew woli, Buckingham zauważył jakiś ruch i rozejrzał się po komnacie. Jego wzrok napotkał spojrzenie Johna i przez chwilę, jedną błogą chwilę nie było tam nikogo i niczego, tylko pan i jego sługa patrzący na siebie, złączeni silną więzią.

- Mój Johnie - powiedział diuk cicho, tak słodko po głośnych przechwałkach sprzed kilku chwil.

- Panie mój - odrzekł Tradescant.

Buckingham przeskoczył przez stół i położył Johnowi ręce na ramionach.

- Przywiozłeś wszystko? - zapytał po prostu.

- Wszystko, co kazaliście, wasza książęca mość - odparł spokojnie Tradescant. Nie zdradzili się nawet słowem. Tylko oni dwaj wiedzieli, że diuk pyta, czy John nadal jest jego człowiekiem, a ogrodnik odpowiada: tak, tak, tak.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał Buckingham.

- W pewnym domku na Southsea Common.

- Każ przenieść swoje rzeczy do mojej kajuty, odpływamy dzisiaj.

- Diuk odwrócił się w stronę swojego miejsca przy stole.

- Wasza książęca mość! - Słyszając usilną prośbę w jego głosie, Buckingham przystanął.

- O co chodzi, Johnie?

- Zatrzymajcie się chwilę. Zejdźcie do portu i posłuchajcie swoich dowódców - powiedział żarliwie Tradescant. - Mówią, że może nie będziemy mogli odpłynąć. Posłuchajcie ich rad, panie. Działajmy ostrożnie.

- Ostrożnie! Ostrożnie! - Diuk odrzucił głowę i roześmiał się, a wszyscy obecni w komnacie mu zawtórowali. - Zamierzam uwolnić protestantów z La Rochelle i sprawić królowi Francji takie lanie, że pożałuje, iż potraktował nas tak impertynencko. Ponownie osadzę królową Elżbietę na tronie Czech i przeniosę wojnę do samych bram Paryża.

406

W odpowiedzi rozległy się bezładne wiwaty. John omiółł ponurym spojrzeniem możnych panów, którzy przez całe swoje życie nie byli bliżej bitwy niż podczas inspekcji floty.

- Nie mówcie takich rzeczy, panie. Nie tutaj. Nie w Portsmouth. Są tu rodziny nadal oplakujące tych, którzy wyruszyli pod La Rochelle poprzednim razem i już nigdy nie wrócą do domu. Nie żartujcie, panie.

- Ja? Żartować? - Diuk uniósł jaskółcze brwi i odwrócił się do zgromadzonych w komnacie dworzan. - Tradescant myśli, że żartuję! - zawołał. - Ale powiadam mu i powiadam wam, że ta wojna z Francją jeszcze się nie skończyła. Skończy się dopiero wtedy, gdy zwyciężymy. A kiedy pobijemy Francuzów, uderzymy na Hiszpanów. Nie pokona nas żaden papistowski motłoch, ponieważ walczę za naszego prawdziwego króla i prawdziwą wiarę.

- A skąd weźmiesz nową armię, Steenie? - zawołał ktoś z tyłu. - Wszyscy żołnierze, którzy poszli z tobą ostatnim razem, nie żyją, są okaleczeni lub zwariowali.

- Porwę ich z ulicy! - zawołał diuk w odpowiedzi. - Kupię ich. Zabiorę z więzień i z domów dla obłąkanych. Rozkażę im iść ze mną pod groźbą oskarżenia o zdradę. Zabiorę chłopców ze szkół, oraczy od pługów. Czy ktokolwiek śmie wątpić, że narzucę swoją wolę całemu królestwu? A jeśli zechcę się założyć o pół Anglii, że



pomszczę tę plamę na honorze, zrobię to!

Tradescant miał uczucie, że uczepił się oszalałego konia, którego nic nie powstrzyma. Szarpnął diuka za rękaw i przyciągnął go tak blisko, że mógł szepnąć mu do ucha:

- Błagam was, panie, nie w taki sposób układa się plany kampanii wojennej. W tym roku jest już za późno, na pełnym morzu czekają nas jesienne wichry, a kiedy dotrzemy do celu, pogoda będzie fatalna. Pamiętajcie tę wyspę, nie ma tam żadnego schronienia, tylko śmierdzące bagna i nieustanne sztormy. Oni już na pewno umocnili fort. Wtedy kosztował nas życie czterech tysięcy ludzi, a mimo to ponieśliśmy klęskę. Panie, nie zabierajcie nas tam. Proszę, błagam, zastanówcie się jeszcze. Pomyślcie w ciszy, pomyślcie, gdy będziecie myśleć trzeźwo, a nie teraz,

407

kiedy macie tu całą sforę psów szczekających przy każdym słowie. Zastanówcie się, wasza książęca mość. Na Boga, wolałbym umrzeć, niż znów was tam zobaczyć.

Buckingham odwrócił się, nie stracił wszakże jego ręki, co przecież mógł zrobić. Lecz tak jak dawno temu, w sędzie, obok śliw przy ogrzewanym murze, nakrył dłonią rękę Tradescanta, który poczuł dotyk jego ciepłych, długich, miękkich palców i twardych, zimnych pierścieni.

- Musimy wyruszyć - odpowiedział, zniżając głos. - Zwycięstwo to jedyny sposób, abym zrehabilitował się w oczach rodaków. Muszę wyruszyć, nawet gdyby kosztowało to życie wszystkich Anglików co do jednego.

Wzrok Johna napotkał ponure, zdeterminowane spojrzenie Buckinghamama.

- Chcecie zniszczyć ten kraj, żeby osiągnąć zwycięstwo?

Diuk zbliżył usta do ucha Tradescanta. Jego jedwabiste kędziory musnęły kark Johna.

- Tak - szepnął. - Po tysiącokroć tak.

- W takim razie oszaleliście, panie - odparł stanowczo John. - Jesteście szaleńcem i wrogiem swojego kraju.

- Więc zabij mnie jak wściekłego psa - prowokował go

Buckingham ze złowrogim, prawdziwie wilczym uśmiechem. - Zetnij mi głowę za zdradę. Ponieważ wprowadzę w życie moje plany. Muszę zwyciężyć na Wyspie Żalu, Johnie. Nie obchodzą mnie koszty tego zwycięstwa.

Tradescant pierwszy cofnął rękę i oderwał wzrok od twarzy diuka. Buckingham puścił go, strzelił palcami i wziął pod rękę jednego ze swych towarzyszy.

- Chodźmy - rzekł. - Tylko zakręcą mi włosy i zaraz potem popłyniemy do Francji.

Podniósł się ryk śmiechu i aprobaty. John, pełen niesmaku, czując chłód w sercu, odwrócił się od swego pana. Diuk i jego towarzyszy przeszli przez tłum w stronę wąskiego korytarza. Wtedy nadbiegł jakiś francuski oficer.

- Wasza książęca mość! Mam nowiny! Najlepsze wieści na świecie!

Buckingham przystanął, a tłum za nim napierał do przodu, by usłyszeć słowa Francuza.

408

- Miasto La Rochelle jest wolne! Protestanci są wolni, a armia francuska poniosła klęskę! Francuzi proszą o pokój!

Diuk zachwiał się, starając się wytrzeźwieć.

- Nigdy!

- Ależ tak! - potwierdził francuski oficer, z podniecenia coraz bardziej kalecząc angielski. - Zwyciężyliśmy! Zwyciężyliśmy!

- W takim razie nie musimy wypływać - pomyślał głośno John. - Na Boga, nie musimy wypływać.

Buckingham nagle ochłonął i odzyskał zdolność podejmowania decyzji.

- To wszystko zmienia - rzekł.

- Tak - przytaknął Tradescant, przepychając się do jego boku. - Dzięki Bogu, tak. To wszystko zmienia.

- Muszę porozmawiać z królem - oświadczył diuk. - Teraz nadeszła odpowiednia chwila do ataku na Francję, musimy zaraz wypłynąć, trzeba zgromadzić większą armię. Powinniśmy wyruszyć do Niderlandów, a potem...

- Panie! - wtrącił z rozpaczą John. - Nie ma takiej potrzeby. Teraz mamy usprawiedliwienie. La Rochelle jest wolne, nasze krzywdy zostały pomszczone.

Buckingham potrząsnął głową i wybuchnął gromkim, chłopięcym śmiechem.

- Johnie, myślisz, że po wszystkich przeszkodach, które pokonałem, żeby tu dotrzeć, znów wrócę spokojnie do domu bez jednego armatniego wystrzału?! Rwę się do czynu, a moi ludzie też się rwą do walki! Dotrzemy do samego serca Francji. Teraz jest odpowiednia pora na zmasowany atak, kiedy oni słabną. Bóg jeden wie, jak daleko możemy zajść. Moglibyśmy zdobyć i zatrzymać francuskie zamki, francuskie ziemie!

Klepnął Francuza po plecach i postąpił do przodu. Nagle u jego boku z tłumu wyłonił się Felton. Tradescant rozpoznał go z jękiem strachu, zauważył jego dziki wzrok i rękę zaciśniętą na nożu ukrytym w kieszeni. Oficer, który powinien strzec diuka, siedział rozwalony, żłowiąc wino z kielicha. Buckingham odwrócił się, by powitać kogoś, kto właśnie przybył, i pochylił się w pełnym wdzięku ukłonie. Przez moment wszystko zdawało się trwać i zamarło

409

jak płatek kwiatu, który zatrzymał się w locie ku ziemi.

Tradescant zauważył determinację na twarzy Feltona i zrozumiał, że wielka miłość jego życia, jego pan, nie jest jednak nietykalny.

- Ocal nas przed nim - powiedział cicho. - Zrób to, Feltonie.

Rozdział Trzydziesty Czwarty.

Późne lato 1628.

Buckingham zmarł prawie natychmiast i to John skoczył do przodu, by go pochwycić, i położył jego smukłe ciało na podłodze. Nawet konając w męce, Villiers nadal miał piękne oblicze świętego Stefana, jak nazwał go król Jakub. Od wstrząsu wywołanego ciosem noża twarz diuka oblała się szkarłatem jak u zawstydzonej panny, a potem zbieleła niczym włoski marmur. Tradescant podtrzymał ciężką, opadającą bezwładnie głowę umierającego i po raz ostatni poczuł na policzku muśnięcie

gładkich, czarnych kędziorów swego pana. Nagle usłyszał ochryply, suchy szloch i zdał sobie sprawę, że głos ów wyrwał się z jego piersi. Potem ktoś go odciągnął od diuka, wcisnął mu do ręki kieliszek wódki i posadził go.

John słyszał, jak schwytano Feltona, słyszał przerażający krzyk lady Kate, żony Buckinghama. Słyszał bezładną bieganinę żołnierzy, którzy nagle stracili dowódcę. Siedział nieruchomo, z kieliszkiem holenderskiej jałowcówki w dłoni, kiedy w komnacie zrobiło się jaśniej, gdyż opuścili ją dworzanie i żołnierze, a obojętne sierpniowe słońce wlało się przez okno. Drobiniki kurzu zatańczyły w jasnych promieniach, jak gdyby wszystko nadal było takie samo, podczas gdy wszystko właśnie się zmieniło. Wreszcie John poczuł, że może wstać, i ruszył do drzwi. Z lewej strony, na końcu ulicy, nadal stał szary portowy mur, na pół zrujnowany, niezdatny do niczego. Przed sobą

411

na tle nieba Tradescant widział nierówne zarysy zrujnowanych domów, a poza nimi maszty zgromadzonej w porcie floty, na których wciąż jeszcze powiewały sztandary Buckinghama. Nikt nie kazał opuścić ich do połowy, ludzie nadal biegali wokoło, zaprzeczając straszliwym wieściom i nie wierząc w swoje własne zaprzeczenia.

Dzień był piękny, silny wiatr wciąż wiał od brzegu. Byłby to dobry dzień do wyjścia w morze. Ale Buckingham i John już nigdzie razem nie popłyną.

Tradescant szedł po High Street jak starzec, potykając się o nierówne kamienie, mocno kulejąc. Czuł, że wstępuje w nowy świat, którym rządzą nowe prawa, i z ręką na sercu nie mógł powiedzieć, czy jest na to przygotowany. Wcisnął kapelusz na oczy, by osłonić je przed oślepiającymi promieniami słońca, a kiedy jakiś chłopiec podbiegł i zatrzymał się przed nim, John cofnął się, jakby on również obawiał się ciosu, śmiertelnego ciosu w serce.

- Czy to prawda?! - wrzasnął dzieciak.

- Co? Że diuk nie żyje? Tak - odparł cichym głosem Tradescant.

- Chwała Bogu! - zawołał śpiewnie chłopiec i trudno było nie dostrzec ulgi i radości w jego głosie. - To prawda! - krzyknął do innego, stojącego nieopodal. - On nie żyje! Diabeł nie żyje! Tradescant oparł dłoń o nagrany słońcem mur i przesuwając palcami po rozpadających się blokach piaskowca, jak ślepiec pokuśtykał do swojej kwatery. Jego gospodarz z rozmachem otworzył drzwi.

- Na pewno wiecie, ja słyszałem tylko niesprawdzone pogłoski. Czy on nie żyje?

-Tak.

Mężczyzna rozpromienił się, jakby otrzymał bezcenny dar.

- Dzięki Bogu - rzekł. - Teraz król posłucha głosu rozsądku.

John po omacku skierował się do swojego pokoju.

- Niedobrze mi - powiedział. - Odpocznę trochę.

- Chyba nie uda się wam dobrze odpocząć! - odparł wesoło gospodarz. Z miasta dobiegały trzaski fajerwerków

412

i coraz głośniejsze okrzyki radości. - Całe miasto oszalało ze szczęścia i zamierza to uczcić. Wychodzę!

Wybiegł przez frontowe drzwi i ruszył ulicą, gdzie ludzie obejmowali się i tańczyli na skrzyżowaniach. Żołnierze na nabrzeżu strzelali w niebo z muszkietów, a kobiety, które przybyły, żeby ucałować na pożegnanie swoich mężów, obawiając się, że już nigdy ich nie zobaczą, płakały z ulgi. W kościołach dzwony dzwoniły jak z okazji jakiegoś wielkiego zwycięstwa. Wydawało się, że na całym świecie tylko Tradescant się smuci, tylko on jeden. Tak jak jego pan, leżał sztywny i nieruchomy przez cały ten długi, słoneczny, radosny dzień.

Dopiero o północy, nadal ściskając w rękach kapelusz, John zdał sobie sprawę, że jest wolny od złożonej Buckinghamowi obietnicy. Był człowiekiem diuka aż do jego śmierci, a teraz diuk umarł, więc on jest wolny.

Wolny, z niewielką ilością pieniędzy, bez obiecanych zarobków i bez pracy. Wdowa po Buckinghamie rozchorowała się z żalu i sam król kazał jej pozostać w ukryciu, na wypadek gdyby jakiś

morderca zamierzał zabić również ją.

Wydawało się, że świat nagle oszalał i nikt nie wie, co się dalej stanie. Nie było wielkiego lorda admirała, który dowodziłby wyprawą, nie było lorda skarbnika, który pilnowałby finansów państwa, zabrakło głównego doradcy, który prowadziłby politykę królestwa, jednym słowem, zabrakło człowieka, który tym wszystkim rządził. Nie było też monarchy, bo kiedy przekazano Karolowi wieść, że Buckingham nie żyje, król odmówił modlitwy, poszedł w milczeniu do swojej komnaty i zamknął się tam sam na dwa dni i dwie noce, w ciszy i ciemności, nie przyjmując jadła ani napojów.

Tradescant myślał czasami o tym długim królewskim czuwaniu, o tym, że on i król podczas owej mrocznej żałoby pogrążeni byli w jednakowym smutku, utraciwszy najwspanialszego mężczyznę, jakiego znali; najurodziwszego, najodważniejszego, najbardziej lekkomyślnego i niebezpiecznego. Tradescant wiedział, że Buckingham

413

poprowadziłby go na śmierć i że uniknął jej tylko z powodu zgonu diuka. Od czasu do czasu zastanawiał się, czy król miał podobne odczucia, czy również doznał tej samej tajemnej, wstydlivej ulgi. John powinien był od razu wracać do domu, ale czuł się zbyt słaby. Przed wyjazdem powiedział Elizabeth, że ma dość sił, by wyruszyć do Francji. W tym nowym życiu jednak, życiu bez swego pana, nie zdołał wykrzesać choćby tyle energii, żeby znaleźć jakiś wóz i zabrać się nim do hrabstwa Essex.

Odпочywał w swojej kwaterze i czekał, aż wrócą mu siły.

Codziennie, spacerując nad morzem po pokrytej żwirem plaży Southsea, widział oczyma duszy zakreślający łuk nóż Feltona i słyszał własny ostrzegawczy okrzyk, który nigdy nie wydarł się z jego piersi.

Niczego nie żałował. W jego smutku nie było miejsca na żal. Nie żałował, że został uwiedziony i odtracony. Nie żałował, że złożył przysięgę wierności aż do śmierci. Nie miał wyrzutów sumienia, że nie ocalił swego pana, że nie krzyknął, by ostrzec diuka przed

Feltonem. Nie była to miłość, która mogła trwać dłużej i rozgrzewać serce starca. Buckingham nie był człowiekiem, który by się zestarzał, osłabł i popadł w niemoc. Ci, którzy go kochali, mogli zaznać jedynie namiętności, niepewności i rozpacz. Nie był człowiekiem, którego łatwo kochać.

Tradescant nie umiał sobie wyobrazić innego końca dla Buckinghama. Diuk mógł tylko zostać ścięty jak rzadki kwiat, w pełni urody. Ci, którzy miłowali urodziwego mężczyznę, będą mogli zachować go w pamięci na zawsze jak płatki kwiatów przechowywane w miodzie i w cukrze: w całej jego doskonałości. Dopiero we wrześniu Tradescant zdołał się zmusić, by załadować wóz i rozpocząć długą podróż do hrabstwa Essex. Ciało jego pana zabrano do Londynu i pogrzebano w opactwie Westminster; odprowadzało go zaledwie stu żałobników. Rodzina Buckinghama, pieczeniarze, dworzanie, urzędnicy-karierowicze, setki, wiele setek ludzi, którzy błagali o jego łaskę i liczyli na poparcie, wszyscy zniknęli, odeszli, wypierając się go jak Piotr. Znaleźli nowych patronów, nowe wschodzące gwiazdy, zapominając,

414

że obiecali lojalność i wierność temu, którym teraz wszyscy pogardzali.

Krótki, skromny pogrzeb był, jak większość życia Buckinghama, spektaklem. Wypowiedziano bowiem święte słowa nad pustą trumną. Diuk został pogrzebany w całkowitej tajemnicy w noc poprzedzającą oficjalną ceremonię. Nowi królewscy doradcy ostrzegli monarchę, że nie można zagwarantować, iż motłoch nie zaatakuje konduktu pogrzebowego. Londyńczycy, którym nie wystarczała śmierć Buckinghama, mogli chcieć otworzyć trumnę, poćwiartować jego doskonale piękne ciało, powiesić na Bramie Zdrajców, odrąbać głowę i zatknąć na Tower Bridge. Na myśl o tym król zadrżał, ukrył twarz w dłoniach i zezwolił im poczynić takie przygotowania, jakie uznają za konieczne.

Nie było pieniędzy dla sług diuka. John wrócił do domu kapitana Masona i zastał płatnika niedoszłej wyprawy do Francji w panice

pakującego manatki, zanim ktoś zrzuci na niego winę za pustą kasę.

Buckingham od miesiący kupował na kredyt, którego mu udzielano, gdyż obiecywał pewne zwycięstwo. Kapitan „Triumfu” również nie miał pieniędzy. W końcu Tradescant musiał sprzedać niektóre rzeczy zmarłego, żeby móc wynająć wóz, który zabierze resztę do New Hall. Ale brylanty trzymał w woreczku na szyi. Mleczne krowy dał swemu gospodarzowi zamiast czynszu, a nioski wymienił na parę muszkietów. Na strażnika i woźnicę nie mógł sobie pozwolić.

Wynajął odkryty wóz z dwoma starymi, upartymi końmi pociągowymi, które musiał smagać batem na każdym rozdrożu, żeby ruszyły dalej, i które nigdy nie biegły szybciej niż wolnym kłusem. Johnowi jednak wcale to nie przeszkadzało. Siedział na koźle, trzymając luźno lejce i patrzył ponad żywopłotami na otaczający go krajobraz. Było późne lato. Wóz mijał powoli pola, gdzie pszenica i jęczmień już brązowiały, a także łąki z suszącym się sianem; John wiedział tylko, że żyje, ponieważ człowiek, którego kochał ponad wszystko na świecie, umarł.

W Londynie J czekał na niego na południowym krańcu Westminster Bridge, gdzie John zawsze zmieniał konie.

415

Usłyszawszy turkot kół, wyszedł z karczmy i zbliżył się do wozu. Spodziewał się, że ojciec będzie załamany, ale czekało go zaskoczenie. Na twarzy Johna Tradescanta malowała się ulga, jakby wielki kamień spadł mu z serca.

- Dzień dobry, J - powitał z zadowoleniem syna.

- Matka kazała mi wyjść ci na spotkanie i zaprowadzić cię do Hurte'ów.

- Czy ona dobrze się czuje?

- Martwi się o ciebie, ale poza tym nic jej nie dolega.

- A Jane?

- Bardzo pogrubiała w pasie. - J zarumienił się z zakłopotania i dumy. - Kiedy przykładam rękę do jej brzucha, maluch mnie kopie.



John uśmiechnął się na myśl o dziecku J.

- A czy ty dobrze się czujesz, ojcze? Usłyszeliśmy te nowiny w New Hall. Byłeś wtedy razem z diukiem?

John skinął głową.

- Czuję się dobrze - odrzekł krótko.

- Widziałeś go? - zapytał J z ciekawością. - Byłeś tam, kiedy zginął?

John skinął głową. Pomyślał, że do końca życia zapamięta tę długą chwilę poza czasem, kiedy mógł krzyknąć, ostrzec swego pana; ale zamiast tego zachęcił zabójcę diuka do zadania ciosu.

- Byłem.

- Czy to było bardzo straszne?

John pomyślał o urodzie Buckinghama, o jedynym słowie, jakie ranny wypowiedział przed śmiercią: „łajdaku”. Przypomniawsobie, jak diuk powoli osunął się w jego ramiona, przypomniałsobie ciężar bezwładnego ciała.

- Nie - odparł po prostu. - Zginął w pełni urody i chwały.

J milczał chwilę, porównując żałobę swego ojca z radością całego kraju.

- Już nigdy nie będę pracował dla żadnego pana - oświadczył uroczyście.

John spojrzał na syna z kozła i J nagle pojął, że w śmierci Buckinghama kryje się coś, czego on nigdy się nie dowie, że tych dwóch mężczyzn, pana i sługę, łączyło więcej, niż kiedykolwiek wyszło na jaw.

416

- Ani ja - odrzekł John.

J skinął głową, wskoczył na kozła i usiadł obok ojca.

- U Hurte'ów czeka inny wóz - wyjaśnił. - Towary z Indii i z zachodniego wybrzeża Afryki wysłane do diuka Buckinghama.

Już nie będzie ich potrzebował.

John skinął głową i nic nie powiedział, kiedy J kierował ostrożnie wozem w tłumie pieszych, chłopców z taczkami, sprzedawców, próżniaków, leniuchujących strażników miejskich. Za domem Hurte'ów było niewielkie podwórko, przeznaczone do rozładunku

towarów, i stajnie. Furgon, załadowany skarbami Buckingham, stał na dziedzińcu; pilnował go jakiś chłopiec. J zatrzymał wóz Johna obok i pomógł ojcu zejść. John musiał oprzeć się mocno o syna, kiedy stanął na podwórku.

- Zesztywniałem od zbyt długiego siedzenia - wyjaśnił szybko.

- Aha - odparł sceptycznie J. - Ale czy w ogóle zniósłbyś długą morską podróż, a potem spanie na ziemi późną jesienią?

Przypląciłbyś to śmiercią! Całe szczęście, że nie wyruszyłeś w tę podróż.

John zamknął na chwilę oczy.

- Wiem - odparł krótko.

J poprowadził go przez magazyn na tyłach sklepu, a potem schodami do mieszkania Hurte'ów. Kiedy weszli do saloniku, Elizabeth rzuciła się w ramiona męża.

- Dzięki Bogu, jesteś bezpieczny! - zawołała zdławionym od płaczu głosem. - Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę, Johnie. Przytulił policzek do miękkich włosów żony i do szorstkiego skraju jej nakrochmalonego czepka i pomyślał - tylko przez chwilę - o burzy wyperfumowanych, ciemnych loków i podniecającym, erotycznym muśnięciu niegolonego od kilku dni policzka.

- Bogu niech będą dzięki - powiedział.

- To był palec Boży - orzekła.

John napotkał ponad głową żony wzrok Josiaha Hurte'a.

- Nie, to był zły uczynek - oświadczył stanowczo. Josiah wzruszył ramionami.

- Jest wielu ludzi, którzy nazywają to wyzwoleniem z woli Boga. Mówią, że Felton jest zbawcą naszego kraju.

417

- W takim razie chwalą mordercę. - Oczami wyobraźni John ujrzał bladą, kamienną twarz Feltona w chwili, gdy on, John, mógł krzyknąć i nie uczynił tego. - To był grzech i wszyscy ci, co stali obok i nie przeszkodzili mordercy, również są grzesznikami. Elizabeth, która miała wieloletnie doświadczenie w odczytywaniu nastrojów Johna, cofnęła się nieco, by przyjrzeć się jego ponurej

minie.

- Ale ty nie mogłeś temu przeszkodzić - podsunęła. - Nie byłeś przybocznym diuka.

John nie chciał jej okłamywać.

- Mogłem temu przeszkodzić - powiedział powoli. - Powinienem był trzymać się bliżej niego, ostrzec go przed Feltonem. Należało lepiej go pilnować.

- Oskarżanie siebie nie ma sensu - odparł żywo Josiah Hurte. - Lepiej podziękuj Bogu, że uchronił nasz kraj przed wojną, a ciebie ustrzegł przed niebezpieczeństwem.

Elizabeth spojrzała w twarz męża.

- W każdym razie jesteś teraz wolny - szepnęła cicho. - Nareszcie nie musisz mu służyć.

- Nareszcie jestem wolny - potwierdził John. Pani Hurte gestem zaprosiła go do jadalni.

- Jesteśmy już po obiedzie; nie wiedzieliśmy, kiedy mamy się was spodziewać, ale jeśli zechcecie zjeść miskę rosółu i kawałek pasztetu, zaraz każę je podać.

Tradescant usiadł przy stole, a służąca Hurte'ów przyniosła mu cienkie piwo i obiad. Josiah Hurte zajął miejsce naprzeciwko i wziął kufel piwa, żeby dotrzymać Johnowi towarzystwa.

- Nikt nie wie, co się stanie z majątkiem diuka - odezwał się. - Jego rodzina nadal się nie pokazuje, a pałac w Londynie jest zamknięty na głucho. Służbę rozpuszczono i nie ma pieniędzy na zapłacenie kupcom.

- Nigdy ich nie było - zauważył John z przekąsem.

- Możliwe, że rodzina diuka zdecyduje się sprzedać jego majątek na pokrycie należności - ciągnął Josiah. - O ile w ogóle zechcą honorować te długi.

Słowa te wstrząsnęły panią Hurte.

- Nie mogą odmówić zapłaty! - zawołała. - Jeżeli odmówią,

418

porządni kupcy zbankrutują. Buckingham wystawiał weksle od lat, odmowa udzielenia mu kredytu groziła oskarżeniem o zdradę. Co się stanie z uczciwymi ludźmi, którzy mają nadzieję, że jego

żona im zapłaci?

- Ludzie mówią, że nie ma pieniędzy - powiedział po prostu J. - Ja nie otrzymałem zapłaty. A ty?

John pokręcił głową.

- Co zrobimy? - spytała Jane. Opierała jedną rękę na brzuchu, jak gdyby chciała chronić dziecko, żeby nawet nie usłyszało o takich kłopotach.

- Możecie tu zostać - natychmiast zaproponował jej ojciec. - Jeśli nie macie dokąd pójść, zawsze możecie tu zostać.

- Obiecałem, że zapewnię jej byt, i zrobię to - odparł urażony J. - Mogę dostać pracę u każdego lorda w całym kraju.

- Ale przyrzekłeś też, że już nigdy nie będziesz pracował u żadnego wielkiego pana - przypomniała mu Jane. - Taka praca prowadzi prosto do marności tego świata. Wiadomo też, że nie można ufać nikomu, kto służy królowi.

Słyszając to, John podniósł głowę, ale Jane nie spuściła oczu.

- Mówię tylko to, o czym wiedzą wszyscy - powiedziała dobitnie.

- Nie ma dobrych ludzi wśród dworzan. Nie ma nikogo, kogo mój John z radością nazwałby swoim panem.

- Mam trochę ziemi - rzekł powoli Tradescant. - Kawalek lasu w Hatfield i ziemi uprawnej w New Hall. Moglibyśmy zbudować dom w pobliżu New Hall, blisko moich pól, i zacząć żyć na własny rachunek...

Elizabeth potrząsnęła głową.

- I co mielibyśmy robić, Johnie? Musimy znaleźć zajęcie, które od razu zapewniłoby nam utrzymanie.

Na kilka chwil zapadło milczenie.

- Znam pewnego człowieka, który ma na sprzedaż dom na południe od Tamizy, dom z ogrodem i kilkoma już zasadzonymi drzewami owocowymi - oznajmił cicho Josiah. - Otaczają go pola, które moglibyście kupić lub wydzierżawić. To była mała farma, a teraz właściciel zmarł i jego spadkobiercy gotowi są wszystko sprzedać. Mógłbyś

419

hodować rzadkie rośliny i sprzedawać je jako sadownik i

ogrodnik.

- Jak moglibyśmy sobie na to pozwolić? - zapytał John.

Woreczek z brylantami ciążył mu na szyi.

Elizabeth rzuciła synowi szybkie, porozumiewawcze spojrzenie, a potem wstała z krzesła obok okna i usiadła naprzeciw męża przy stole. Na jej bladej twarzy malowała się determinacja.

- Tam na dole jest wóz pełen towarów - oznajmiła. - A dziś rano do portu przyplłynął statek z egzotycznymi roślinami i osobliwościami dla jego książęcej mości. Jeżeli sprzedamy należące do zmarłego diuka rzeczy, będziemy mogli kupić ten dom i ziemię. Możesz zacząć hodować rzadkie rośliny i sprzedawać je innym ogrodnikom. Przecież zawsze mówiłeś, jak trudno dostać dobre nasiona i sadzonki do ogrodu. Pamiętasz, jak wędrowałeś po całej Anglii w poszukiwaniu drzew? Mógłbyś sprzedawać nasiona i sadzonki z własnej hodowli.

W izbie zaległo wymowne milczenie. John zrozumiał, że jest to ułożony przez Hurte'ów i jego rodzinę plan, który teraz przedstawiono mu do akceptacji. Przeniósł wzrok z pełnego determinacji oblicza Elizabeth na twarz syna, na której malował się stoicki spokój.

- Chcesz powiedzieć, że powinniśmy zabrać rzeczy należące do diuka? - spytał.

Elizabeth wzięła oddech i skinęła głową.

- Że miałbym go okraść? Ponownie skinęła głową.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tego pragniesz - mówił dalej Tradescant. - Mój pan nie żyje i został pogrzebany przed miesiącem, a ja mam go okradać jak nieuczciwy sługa?

- Chodzi o tulipany - wtrącił nagle J. Był zaczerwieniony z zakłopotania, ale patrzył ojcu prosto w oczy. - Co według ciebie miałem z nimi zrobić? Tulipany były gotowe do przesadzenia, rosły w doniczkach w naszym ogrodzie, w pałacu panował chaos, słudzy wybiegali z draperiami, ciągnąc za sobą pościel. Nie wiedziałem, co mam począć z tulipanami. Nikt tam nie umiałby się nimi zająć.

Nikt by nie wiedział, co z nimi zrobić. Nikt nie mógłby mi doradzić.

- Więc co zrobiłeś?

- Zabrałem je ze sobą. I więcej niż połowa się rozmnożyła. Mamy cebulki tulipanów warte prawie dwa tysiące funtów.

- Ceny nadal się utrzymują? - Bystry umysł Johna na chwilę zapomniał o żalu.

- Tak - odrzekł po prostu J. - Nadal rosną. I tylko my w całej Anglii mamy tulipany z gatunku Lack.

- Ile są ci winni? - wtrąciła się Elizabeth. - W zaległych zarobkach? Czy zapłacił ci za ostatnią wyprawę na wyspę Re? Czy dał ci zaliczkę za tę drugą wyprawę, która nie doszła do skutku? Czy zwrócił ci pieniądze, które wyłożyłeś na pokrycie kosztów podróży do Portsmouth? Zapłacił ci za pobyt w Portsmouth albo za powrót do domu? Dobrze wiesz, że jeśli nic ci nie dał, nigdy nie otrzymasz nic od jego żony. Lady Kate się ukrywa, sam król nie chce nikomu zdradzić, gdzie ona jest. Podobno boi się płatnych zabójców, ale my wszyscy tu obecni wiemy, że bardziej obawia się wierzycieli. Ile jest ci winna, Johnie?

- Nie zapłacili mi w połowie lata - przypomniał mu J. - Powiedzieli, że nie ma pieniędzy, i dali mi weksel, a na pewno nie zapłacą na świętego Michała. To znaczy, że są mi winni dwadzieścia pięć funtów. A pod twoją nieobecność musiałem kupić kwiaty i sadzonki i nie mogli mi zwrócić pieniędzy. John podświadomie dotknął ręką szyi, gdzie w woreczku spoczywały brylanty, ogrzane ciepłem jego ciała.

- Ale wy nie możecie się na to zgodzić - zwrócił się do Josiaha. - To kradzież.

Kupiec potrząsnął głową.

- Ja już sam nie wiem, co jest słuszne, a co niesłuszne w tym kraju - odrzekł. - Król bierze pieniądze od swego ludu wbrew prawu czy tradycji, parlament odmawia mu do tego prawa. Wtedy jego królewska moc rozwiązuje parlament i nakłada na wszystkich nowe opłaty. Jeżeli sam król może kraść pieniądze

uczciwym ludziom, to co my mamy zrobić? Wasz pan okradał was od lat, nie płacąc

421

za wasze usługi, a teraz nie żyje i już nikt wam nie zapłaci. Oni nawet nie uznają tego długu.

- Kradzież to grzech - upierał się John.

- Nastąpiły takie czasy, kiedy człowiek nie może się kierować sumieniem - odpowiedział Josiah. - Jeżeli uważacie, że traktował was sprawiedliwie, to odstawcie te towary do jego domu, dorzucicie te bogactwa do stosu innych i pozwólcie, żeby wziął je król, który zapłaci nimi za swoje maskarady i bale, a dobrze wiecie, że tak się stanie. Jeśli jednak diuk był wam winien pieniądze za waszą pracę, za pracę J, jeżeli uważacie, że nastąpiły czasy, kiedy człowiek mądrze postąpi, kupując sobie małe gospodarstwo i stając się sam sobie panem, to myślę, że uznacie, iż macie prawo do wzięcia tego, co jest wam winien, i że porzucicie służbę u niego. Powinniście wziąć tylko to, co się wam należy. Ale macie do tego prawo. Dobry sługa ma prawo do należnej zapłaty.

- Jeżeli zwrócisz cebulki do New Hall, zginą z powodu zaniedbania - dodał spokojnie J. - Nie ma tam nikogo, kto by się o nie zatroszczył, a wtedy zniszczymy jedyne tulipany z gatunku Lack, jakie są w całej Anglii.

Myśl o stracie tulipanów przemówiła do Johna bardzo silnie.

Potrząsnął głową, jak długo szarpany przez psy byk na uwięzi, kiedy jest tak zmęczony, że czeka, by psy go dopadły i skończyły z nim.

- Jestem zbyt zmęczony, żeby myśleć - rzekł. Wstał, ale zatrzymało go spojrzenie Elizabeth.

- On cię zranił - powiedziała. - Podczas tej ostatniej podróży na wyspę Re. Zrobił ci wtedy coś, co złamało ci serce.

John skinął głową.

- Prawda - odparł, jak gdyby to niewiele znaczyło.

- W takim razie niech za to zapłaci - rzekła łagodnie. - Niech nam zapłaci za cały smutek i strach, który spowodował, a ja uznam

sprawę za zamkniętą i będę wspominała o nim podczas modlitwy. John położył rękę na woreczku z brylantami.

- Był moim panem - powiedział i wszyscy usłyszeli ból w jego głosie. - A ja byłem jego człowiekiem.

- Zostaw go w spokoju - odparła Elizabeth. - Uznajmy

422

wszystkie jego długi wobec nas za spłacone, wszystkie żale za niebyłe. On nie żyje. Niech spłaci swoje długi i pozwoli nam zacząć nowe życie.

- Będziesz się za niego modlić? I mówisz to szczerze, z całego serca?

Elizabeth skinęła głową.

John w milczeniu zdjął z szyi woreczek z brylantami i podał żonie.

- Pojedź i obejrzyj tę farmę - rzekł. - Ty zdecydujesz. Jeżeli spodoba się tobie, J i Jane, kup ją i stworzymy tam sobie prawdziwy dom. Ale w zamian za to musisz modlić się za jego duszę, Elizabeth. Albowiem on potrzebuje twoich modlitw i Bóg wie, że tylko nieliczni modlą się za niego.

- A tulipany? - zapytał J.

John dostrzegł jego pełne troski spojrzenie.

- Oczywiście, że je zatrzymamy - zapewnił syna.

Rozdział Trzydziesty Piąty.

Listopad 1628.

Przełynęli Tamizę w Lambeth łodzią pewnego przewoźnika: otyła Jane w ósmym miesiącu ciąży na rufie, John, Elizabeth i J w środku.

Elizabeth miała klucze do ich nowego domu, kupionego szybko za brylanty Buckingham. Kiedy raz po raz obracała je w rękę, zimne klejnoty połyskiwały w słońcu.

Na południowym brzegu Tamizy znajdowała się karczma Pod Łabędziem, gdzie J zamówił wóz, który miał ich zawieźć na miejsce. Pomógł wsiąść Jane, a potem sam wdrapał się i usiadł obok niej. John uśmiechnął się, widząc, jak syn podtrzymuje żonę, kiedy wóz podskakiwał na koleinach drogi do South Lambeth.



Jazda była krótka i wszyscy milczeli. Czekali, aż John przerwie milczenie, ale on nic nie mówił. Wraz z brylantami przekazał odpowiedzialność Elizabeth. Siedział na wozie jak rekonwalescent, osłabiony po długiej chorobie. Niech żona i syn podejmują decyzje.

- To tam - powiedział w końcu J, pokazując palcem. - W Bogu nadzieja, że mu się spodoba - mruknął do Jane. - Pozwolił nam go kupić, ale jeśli teraz odmówi?

Tradescant spojrział na swój nowy dom. Stał tyłem do drogi, stara budowla poszarzała od wiatru, deszczu i słońca. Mur między skrzyżowanymi belkami niegdyś był pobielony wapnem, ale z biegiem lat przybrał jasnobrazową barwę mułu. Między drogą i farmą płynął strumień,

424

przez który przerzucono niski mostek, na tyle szeroki, żeby mógł po nim przejechać wóz. John zsiadł z wozu i przeszedł przez most sam, a rodzina czekała, aż coś powie.

Między drogą i domem znajdował się ogród - splachetek ziemi, zarośnięty pokrzywami i dzikimi różami. Tradescant okrążył dom i zatrzymał się przed fasadą, zwróconą na południe, by promienie słońca padały na nią rano i w środku dnia. Przed nią rozciągała się mierząca dobry akr, rozległa łąka. John uderzył piętą w ziemię, a potem nachylił się i zbadał ją wzrokiem. Była ciemna, żyzna i łatwa do uprawy. Tradescant wziął garść ziemi i roztarł ją w ręce. Można wyhodować tu wiele roślin, pomyślał. Za łąką znajdował się sad. John podszedł do małego, drewnianego płotka oddzielającego łąkę od drzew i popatrzył. Ma około dwóch akrów, pomyślał, i już rosną w nim jabłonie, grusze i śliwy; a przy zwróconym na południe murze zauważył podobny do poszarpanego wachlarza krzew pigwowy obok pary drzew brzoskwiniowych o gałęziach rozpiętych nierówno na kratach. Przez moment zatęsknił za pozostawionym w New Hall ogrodem z wysokim, podgrzewanym murem, zbudowanym wedle jego własnego pomysłu, i z dziesiątkami chłopców, którzy nosili nawóz i wodę dla drzew owocowych. Potrząsnął głową. Nie czas na żale.

Przedtem też zostawił piękne ogrody i zaczął wszystko od nowa. Najgorzej się czuł, opuszczając Theobalds Palace dla nowego domu w Hatfield; a w końcu Hatfield stało się jego dumą. Na pewno zrobi coś z tym gospodarstwem, choć nie na skalę Theobalds, Hatfield czy New Hall. To prawda, ale będzie to jego własny ogród. Owoce z tych drzew znajdą się na jego stole. Jego wnuk będzie siadywać w ich cieniu. I nikt nigdy nie każe mu stąd odejść.

Tradescant odwrócił się, żeby popatrzeć na dom, po raz pierwszy obrzucając spojrzeniem pochyły dach z czerwonych dachówek i kilka pięknych, wysokich kominów. Przed domem rozciągał się wykładany kamiennymi płytami taras osłonięty daszkiem i ogrodzony balustradą jak burta statku, usytuowany tak, że można było stąd widzieć łąkę i sad. John wrócił po wyrosniętej trawie do domu i wszedł po trzech skrzypiących stopniach na ganek.

425

Odwrócił się, oparł ręce na balustradzie i objął wzrokiem swoją posiadłość, pierwszy naprawdę duży ogród, jaki kiedykolwiek do niego należał.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił mu twarz. Nareszcie znalazł miejsce, gdzie może zapaść korzenie, wiedząc, że jego syna i wnuka czeka bezpieczna przyszłość.

Kiedy J, Elizabeth i Jane wyszli z za rogu domu, ujrzeli Johna opartego o filar i przyglądającego się swojej ziemi.

- To przypomina pokład statku - zauważyła bystrze Jane. - Nic dziwnego, że wyglądacie tak, jakbyście byli u siebie.

- Nazwę ten dom Arką - powiedział John. - Ponieważ przybyliśmy do niego w parach, żeby znaleźć schronienie przed potopem, który zagraża całemu krajowi, i ponieważ będzie to arka osobliwości, które przetrzymamy bezpiecznie przez te niespokojne czasy.

Wprowadzili się od razu. John naszkicował plany ogrodu i posłał do Lambeth po paru chłopców, którzy mieli skopać ziemię i wypielić sad, oraz do pobliskiego gospodarstwa, żeby pożyczyć konia i pług do zaorania terenu przed domem. Zaplanowali ogród

mający dostarczać owoców i ziół, które zamierzali sprzedawać w Londynie, gdzie dobry dostawca mógł żądać wysokich cen. Wiedzieli, że każdy ogrodnik w królestwie będzie tęsknił za kasztanowcem, za śliwami lubaszkami i rosyjskimi modrzewiami. Był to początek handlu, który znajdował się w powijakach. Każdy dobry ogrodnik miał zapasy nasion zwyczajnych roślin, dodatkowego daru Boga, który sprawił, że tam, gdzie wiosną rośla jedna, jesienią można było zebrać ze sto nasion. Każdy odnoszący sukcesy ogrodnik sprzedawał z zyskiem nasiona lub wymieniał je na inne. Wszyscy jednak pragnęli tego, co niespotykane, egzotyczne, dziwaczne. Kiedy John pracował dla jakiegoś pana, miał obowiązek dopilnować, żeby jego ogrody pełne były rzadkich roślin. Strzegł wtedy swoich nasion i drzewek jak oka w głowie i dawał je tylko najbliższym przyjaciołom, takim jak zielarz John Gerard lub ogrodnik John Parkinson.

Teraz zaś będzie mógł sprzedawać je tym, którzy zaledwie kilka lat wcześniej błagali go o sadzonkę, każdemu ogrodnikowi,  
426

który do niego napisał. Już otrzymywał listy z całej Anglii, a nawet z Europy z prośbą o nasiona, młode drzewka i sadzonki roślin.

John miał również plany co do swojego nowego domostwa. Poleciał budowniczemu dostawić nowe skrzydło, które miało powiększyć budynek niemal dwukrotnie.

Kiedy robotnicy wyładowywali meble z wozu, J wziął ojca na bok. Jane i Elizabeth chodziły tam i z powrotem, doglądając wyładunku kufrów.

- Wiem, że to ma być dom dla naszej rodziny, ale nie musimy budować go całego od razu - powiedział krytycznym tonem. - Okna, które zaplanowałaś do pokoju na dole, sięgają od sufitu do podłogi. Czy kiedykolwiek stać nas będzie na szyby? A jeśli się potłuką?

- Będziesz tu wychowywał dzieci - odparł John. - Najwyższy czas, żebyście mieli trochę miejsca dla siebie. I potrzebujemy dużego pokoju, pięknego pokoju dla naszych osobliwości.

- Ale takie wielkie okna... - upierał się syn. John przyłożył palec do nosa.

- To będzie mój gabinet osobliwości - wyjaśnił. - Zgromadzimy wszystkie nasze niezwykle przedmioty w tym pięknym pokoju i będziemy pokazywali ludziom, którzy przybędą, by je zobaczyć. Za wejście weźmiemy od każdego sześć pensów i będą mogli tu zostać tak długo, jak zechcą, aby obejrzeć naszą kolekcję.

Syn nic nie rozumiał.

- Jakich osobliwości?

- Mamy dwa wozy niezwykle przedmiotów należących do diuka Buckinghama - wyjaśnił John. - A myślałeś, że co z nimi zrobimy?

- Myślałem, że je sprzedamy - wyznał J, nieco zawstydzony. - I zatrzymamy pieniądze.

John pokręcił głową.

- Zatrzymamy je - odparł. - One zapewnią nam dochód. Rzadkie rośliny w ogrodzie, rzadkie i piękne przedmioty w domu. To nasza arka z niespotykanymi i ślicznymi rzeczami. I codziennie będą przybywać statki z towarami zamówionymi przez diuka. Kupimy je na własny rachunek i umieścimy w naszym gabinecie osobliwości.

427

- I każemy ludziom płacić za ich oglądanie?

- Dlaczego nie?

- Po prostu ten pomysł wydaje mi się dziwny. Nigdy dotąd o czymś takim nie słyszałem.

- Diuk też miał gabinet osobliwości, żeby jego przyjaciele mogli je oglądać i cieszyć się ich widokiem. A przed nim hrabia Cecil.

- Ale nie kazał im za to płacić po sześć pensów od osoby!

- Nie, tylko że my otworzymy drzwi dla zwykłych ludzi. Dla każdego, kto zechce przyjść i popatrzeć. Nie dla naszych przyjaciół lub nawet dla ludzi z listami polecającymi. Dla każdego, kogo interesują piękne i osobliwe przedmioty.

Pozwolimy im je podziwiać!

- Ale jak inni się o tym dowiedzą?

- Będziemy wszędzie o tym mówić. Zrobimy spis, tak by ludzie mogli przeczytać o wszystkich przedmiotach, które wystawimy w naszym gabinecie osobliwości.

- Myślisz, że ktoś zechce je zobaczyć? John skinął głową.

- Uniwersytety w Lejdzie i w Paryżu mają wielkie zbiory i pokazują je studentom i każdemu, kto chce je oglądać. Dlaczego nie tutaj?

- Ponieważ my nie jesteśmy uniwersytetem! John wzruszył ramionami.

- Mamy kolekcję, która dorównuje kolekcji hrabiego Cecila, a tamtą podziwiałło wielu ludzi. Urządzimy piękny pokój, wielkie okazy powiesimy u sufitu lub na ścianach, a małe umieścimy w szufladkach w wielkich szafach. Nasiona i muszle, stroje i ozdoby, zabawki i przemyślnie urządzenia. Jestem pewien, że możemy to zrobić. I dzięki temu zarobimy pieniądze jesienią i zimą, kiedy w ogrodzie jest mniej do roboty.

J skinął głową na znak zgody, przypomniał sobie jednak cenę szyb.

- Ale takie wielkie okna nie są potrzebne...

- Potrzebujemy dobrego oświetlenia, jeśli mamy pokazywać osobliwości - odparł stanowczo John. - To nie jakiś mały, duszny gabinecik. To pierwsza wystawa osobliwości w kraju, to będzie jedna z pierwszych rzeczy do zobaczenia w Londynie. Ludzie nie przyjdą oglądać naszych zbiorów, jeśli nie zostaną wystawione w godny podziwu

428

i piękny sposób. Weneckie okna i nawoskowane posadzki! I sześć pensów od osoby!

Rozumowanie ojca przekonało J i tamtego wieczoru tylko mruknął coś pod nosem o wielkich planach i gustach godnych diuka. Lecz obaj starli się wkrótce, kiedy J, wioząc na taczce jakieś drzewko, podniósł oczy i zobaczył kamieniarza umocowującego na ścianie nowego skrzydła domu piękny herb.

- Co robisz?! - wrzasnął.

Kamieniarz opuścił wzrok i zdjął czapkę przed młodym

Tradescantem.

- Ładny, prawda?

J rzucił drzewko i pobiegł do sadu, gdzie John stał na szczycie drabiny, obcinając martwe gałęzie ze starej gruszy.

- Myślisz, że to może być grusza hiszpańska? - zapytał. -

Przywiozłem jedną z Niderlandów dla sir Roberta. Czyżby oni też zdobyli taką i posadzili tutaj?

- To teraz nieważne - przerwał mu J. - Kamieniarz przymocowuje herb na naszym domu!

John powiesił piłę na wystającej gałęzi i przeniósł uwagę na syna. J, patrząc w górę na ojca, który wygodnie opierał się o pień gruszy, pomyślał, że zamienili się rolami i że John zachowuje się jak niezdarny, roześmiany chłopiec zrywający owoce z drzewa, a on sam wygląda niczym zmartwiony starszy mężczyzna.

- Wiem - odrzekł John z błyskiem w oku. - Myślę, że przynosi nam zaszczyt.

- Wiedziałaś o tym? - zapytał J. - Wiedziałaś, że zrobił dla nas jakiś śmieszny herb?

- Wcale nie uważam go za śmieszny - odparł lekko John. - Sam go narysowałem. Podoba mi się. Liście jako pole, potem położona na nich tarcza z trzema kwiatami lili, w górze hełm z małą koroną, a na niej kwiat lili.

- Ale co na to powie Kolegium Heraldyczne? John wzruszył ramionami.

- A kogo to obchodzi?

- Nas będzie to obchodzić, kiedy nałożą na nas karę, zmuszą, żebyśmy go zdjęli, i skompromitują nas przed nowymi sąsiadami.

429

John pokręcił głową.

- Nie nas - odparł z wielką pewnością siebie.

- Przecież nie jesteśmy szlachtą! Jesteśmy ogrodnikami. John zszedł sztywno po drabinie, wziął syna za ramię i odwrócił tak, by dobrze widział ich dom.

- Co to jest?

- Nasz dom.

- Duży dom, nowe skrzydło, weneckie okna, prawda? -Tak.

John znów obrócił syna na południe.

- A co to jest? -Sad.

- Jak duży?

- Tylko dwa akry.

- A dalej?

- W porządku, następne dwadzieścia akrów... ale, ojciec...

- Jesteśmy właścicielami ziemskimi - powiedział John. - Już nie jesteśmy ogrodnikami. Jesteśmy właścicielami ziemskimi z przypadającymi na nas powinnościami i obowiązkami, z dobrze prosperującym rodzinnym interesem... i herbem.

- Zmuszą nas, żebyśmy go zdjęli - przestrzegł go J. Tradescant machnął lekceważąco ręką i znów powoli wspiął się po drabinie.

- Nie oni. Nie wtedy, kiedy zobaczą, kto przychodzi do naszej Arki.

J się zawahał.

- Dlaczego? Kto przychodzi?

- Każdy, kto jest kimś - oświadczył pompatycznie John. - I wszyscy ich kuzyni z prowincji. Kiedy twój syn się urodzi, wyrosnie na szlachcica, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Sir John Tradescant... to bardzo ładnie brzmi, prawda? Sir John.

- Mogę go nazwać Josiah po drugim dziadku, szanowanym miejskim kupcu, który zna swoje miejsce i jest z niego dumny - odrzekł buntowniczo J i miał tę satysfakcję, że po twarzy ojca przemknął cień obawy.

- Bzdura! - odparł John. - Sir John Tradescant z Lambeth.

Rozdział Trzydziesty Szósty.

Grudzień 1628.

W końcu okazało się, że to nie sir John Tradescant z Lambeth ani zwykły John, ani nawet Josiah, tylko Frances. Przyszła na świat pewnego ponurego, zimowego poranka. Była czwarta rano, J i jego ojciec pili brandy na dole, a kobiety z ich rodziny i służebne jęczały, narzekały i biegały na piętrze, aż w końcu mężczyźni usłyszeli cichy, pełen oburzenia krzyk dziecka. J z brzękiem

odstawił kielich i podbiegł do schodów. Jego matka stała na górze, rozpromieniona.

- Dziewczynka - oświadczyła. - Śliczna, ciemnowłosa dziewczynka.

J wbiegł po schodach i wpadł do sypialni żony.

- A Jane? - zapytał Tradescant, myśląc o narodzinach syna i wielkim cierpieniu, jakie najpierw musiała znieść Elizabeth, a potem o żalu, gdy się dowiedzieli, że już nie będzie mogła mieć więcej dzieci.

- Wszystko dobrze, dzięki Bogu - odparła Elizabeth. - Teraz odpoczywa.

Małżonkowie spojrzeli sobie w oczy z uśmiechem wiernych towarzyszy życia.

- Nasze pierwsze wnuczę - powiedział John w zamyśleniu. - Myślałem, że mogę pokochać tylko chłopca, ale teraz po prostu się cieszę, że to dziewczynka i że urodziła się zdrowa.

- Może następnym razem będzie chłopiec - dodała Elizabeth.

431

John skinął głową.

- A będzie następny raz? Uśmiechnęła się do niego.

- Nie sądzę, że to ostatni raz, kiedy ty i J pijecie razem brandy, podczas gdy my, kobiety, musimy wykonać całą robotę.

- No cóż, oby tak się stało. Poślę chłopca stajennego z wiadomością do Josiaha i jego żony. Powinni jak najszybciej się dowiedzieć.

- Przekaż im, żeby tu przyjechali i zostali tak długo, jak zechcą - zaproponowała Elizabeth. - Mogę posłać im łoże w trzeciej sypialni.

John uśmiechnął się szeroko do żony, słysząc, jak wypowiedziała słowa „w trzeciej sypialni” tak niedbale, jak gdyby nigdy nie mieli domu z mniej niż tuzinem sypialni.

- Mogliby równie dobrze przywieźć tu ich całą kongregację - dodał. - Teraz, kiedy żyjemy tak wspaniale.

Elizabeth zamachnęła się na niego fartuchem.

- Idź i wyślij chłopca. Czeka mnie praca.



- Bóg niech będzie z tobą, żono - powiedział z miłością John, stojąc u podnóża schodów. - I przekaz Jane moje błogosławieństwo. Czy już nadała córce imię?

- Chce nazwać ją Frances.

John wyszedł frontowymi drzwiami na werandę. Zimne nocne powietrze było orzeźwiające i czyste, a gwiazdy świeciły jak główki od szpilek na ciemnym niebie. Księżyc już zachodził i było zbyt ciemno, żeby Tradescant mógł zobaczyć coś więcej niż deski balustrady i cienkie gałązki drzew owocowych. John posadził swój kasztanowiec i pochodzącą odeń pierwszą ukorzenioną odnogę przed domem i dalej parami z tuzin kolejnych, żeby stworzyć aleję kasztanowców biegnącą przez całą długość sadu. Ich nagie gałęzie, cienkie jak bicze, majaczyły na tle nocnego nieba.

John wypuścił z płuc powietrze i jego oddech uniósł się do góry jak obłok przesycony wonią brandy. Przez chwilę myślał o innych nocach, kiedy patrzył i czekał. Nocach spędzonych na pokładzie statku, gdy jedynymi dźwiękami, które doń docierały, było skrzypienie i zgrzytanie belek, nocach, gdy wypatrywał gór lodowych na niebezpiecznych

432

zimnych morzach Rosji lub siedział w bocianim gnieździe kołysząc się tak silnie, że dostawał zawrotów głowy i szukał wzrokiem pirackich statków w nocnym mroku na Morzu Śródziemnym. Pomyślał o nocach, kiedy stał na warcie w zimnej, wilgotnej mgle Ile de Re, i o tych, gdy leżał nagi obok swego pana, czuwając nad jego snem.

- Śpij teraz dobrze, panie - powiedział do cichego mroku.

Pomyślał, że na zawsze zachowa w sercu to dziwne uczucie, które przypominało smutek, ale nim nie było, które przypominało miłość, ale nią nie było, które przypominało tęsknotę za krajem, ale niewiele miało z nią wspólnego. Teraz, kiedy Buckingham nie żył, a należące doń cenne, niezwykle przedmioty umożliwiły Tradescantom stworzenie Arki, John czuł się tak, jak gdyby jego głęboka, targana sprzecznościami miłość do zmarłego pana nieco

przygasła i płonęła obecnie równym płomieniem. Mógł go kochać bez grzechu, mógł go kochać bez wstydu. Śmierć Buckinghama była jedynym wyjściem zarówno dla Johna, jak i dla diuka. Mógł żałować, ale nie winił się za to, że go nie ostrzegł. A Elizabeth dotrzymywała obietnicy i co niedziela modliła się za Buckinghamem.

Czasami John zastanawiał się, czy inny mężczyzna, który kochał Buckinghamem, król Anglii, również tak się czuje; i czy również dla niego - mimo dworskiej rutyny, codziennych rozrywek, innych miłości i zainteresowań, a także narodzin takich jak te, które nastąpiły tej nocy, zgonów i ślubów - zawsze istnieje jakaś luka w tej procesji, zawsze brakuje w niej pewnego oblicza, tej pięknej, kapryśnej, anielskiej twarzy. I czy on również uważa, że świat jest bezpieczniejszy, spokojniejszy, lecz znacznie bardziej szary bez George'a Villiersa.

Tradescant dotknął w myśli tej twarzy, tak jak król Anglii kładł palce na ustach pewnego portretu, gdy go mijał; a potem poszedł do stajni i stukał w drzwi, aż chłopiec stajenny, potykając się, zszedł po drabinie, po czym posłał go do domu Hurte'ów w Londynie.

Frances postawiła cały dom na głowie, jak zawsze to robi nowo narodzone niemowlę. Płakała i nie chciała spać

433

po nocach, a J oglądał w wielkich weneckich oknach świt za świtem, nosząc ją wokół dużego pokoju, w którym przechowywano osobliwości. Uspokajała się tylko wtedy, gdy trzymał ją w ramionach i kołysał, idąc równym krokiem, a gabinet osobliwości był jedynym miejscem w całym domu, gdzie krzyki dziecka nie budziły Jane.

- Śpij - mówił J do żony, kiedy docierający z kołyski płacz zapowiadał im kolejną bezsenną noc. - Ponoszę ją. - Owijał maleństwo w ciepły kocyk, zarzucał na nocną koszulę żołnierską opończę ojca i zabierał Frances na dół, by nosić ją bez końca po gabinecie osobliwości, czasami godzinę, a czasami trzy, aż się uspokoiła i zasnęła, a wtedy mógł z powrotem wślizgnąć się do

sypialni i ułożyć córkę w kołysce, delikatnie jak młodą sadzonkę. Jane nie miała dostatecznie dużo pokarmu. Elizabeth oświadczyła, że jest tylko jedno wyjście: jej synowa musi zostać w łóżku, jeść tyle, ile zdoła, i odpoczywać, odpoczywać, jeszcze raz odpoczywać.

- Nie powinnaś więcej o tym rozmyślać ani martwić się bardziej niż mleczna krowa - nalegała, kiedy synowa zaczynała protestować. - Bo inaczej będziemy musieli wziąć dla Frances mamkę.

Wobec takiej groźby Jane opadła z powrotem na poduszki i zamknęła oczy.

- W południe przyniosę ci trochę rosołu z kurczaka - powiedziała Elizabeth. - Zaśnij teraz.

- A gdzie Frances? - spytała Jane. - Z J?

- J śpi jak zabity w salonie - odparła Elizabeth z uśmiechem. - Usiadł przy stole, żeby sprawdzić rejestry siewów i sadzenia, głowa opadła mu na kałamarz i zasnął. Owinęłam go pledem i zostawiłam. Frances jest z Johnem.

- Czy ojciec wie, jak się nią opiekować? Czy będziesz go pilnowała?

- John ma swoje metody - uspokoiła ją Elizabeth. - Ale będę miała go na oku.

Zerknęła przez okno sypialni i dostrzegła męża z wnuczką, ale nie uznała za stosowne pokazać ich Jane. John przywiązał sobie małą na plecach w dziwaczny, cudzoziemski sposób, który musiał podpatrzeć podczas jednej

434

ze swoich podróży. Owinął wnuczkę kocem, zawiązując sobie dwa górne końce koca na piersiach, a dwa dolne na brzuchu.

Niosąc na plecach ogrzane kocem, przytulone do samodziiałowego kaftana niemowlę, szedł teraz przez ogród do sadu, by sprawdzić, czy jego młode kasztanowce dobrze znoszą przymrozki.

Elizabeth przyglądała mu się przez chwilę. Chciała pobiec za nim i odebrać mu Frances. Ale dziewczynka nie płakała, nierówny, kołyszący krok Johna uspokajał ją, a dziadek, idąc, podśpiewywał

pod nosem jakąś piosenkę. Mała, uspokojona łagodnym naciskiem jego ciepłych pleców, uciszona słabymi promieniami zimowego słońca, ukołysana nierównym krokiem, zasypiała, budziła się i znów zapadała w sen, kiedy John dotarł aż do końca sadu, by obejrzeć drzewa owocowe, po czym wrócił.

Jeszcze nie mogli sobie pozwolić na taki ogrzewany mur, jaki zbudował w New Hall. Ale Tradescant otulił swoje drzewa workami, w które ostrożnie wcisnął słomę, z nadzieją, że zabezpieczy je przed mrozem i trochę ogrzeje. Użył tego samego sposobu do ochrony delikatnych młodych drzewek, zwłaszcza tych, które pochodziły z nad Morza Śródziemnego lub z Afryki i prawdopodobnie nigdy nie zaznały zimna. Uważał, że nowe rośliny z Ameryki mogą być nieco bardziej wytrzymałe, ale wszystkie małe sadzonki posadził w nowym rzędzie w pobliżu domu, gdzie specjalne ogrodzenia z belek ogrzewały nieco ziemię. Kazał tam też umieścić wielkie szklane kopuły, zwykle używane jako osłony dojrzewających melonów, aby uchronić flance przed zimnym wiatrem i zachować nieco ciepła zimowego słońca. Pomimo śmierci Buckinghama nadal przywożono statkami nowe rośliny oraz różne osobliwości. Marynarze stale przybywali do Lambeth, by zapukać do tylnych drzwi domu Johna Tradescanta i zaproponować mu jakąś małą ciekawostkę lub skarb. Teraz kapitanowie statków przysyłali do Anglii towary zaadresowane do Johna Tradescanta w Lambeth, pewni, że kiedy wrócą do kraju, pan Tradescant lub jego syn zapłacą im godziwą cenę za to, co wyszukali, i że będą mogli się przechwalać, iż ich znalezisko stało się centralnym punktem coraz bardziej popularnej

435

kolekcji osobliwości Tradescantów. Czasami były to rzeczy olbrzymie: szczeka wieloryba lub monstrualna kość. Kiedy indziej zaś miniaturowe: domek wyrzeźbiony w orzechu włoskim. Mogły być z kamienia lub skóry, drewna lub kości słoniowej, mogły być dziełem rąk ludzkich lub tworem natury; kolekcja Tradescantów słynęła ze swojej różnorodności. Kogo obchodziło, jak coś zrobiono lub co to jest? Jeżeli owo coś było rzadkie i egzotyczne,

budziło zainteresowanie, to otrzymywało swoje miejsce gdzieś w szafach w ogromnym pokoju z wielkimi oknami.

John przystanął i obejrzał się na swój dom z prawdziwą przyjemnością.

Początkowo zamierzał oszklić werandę i trzymać tam w zimie najdelikatniejsze ze swoich roślin, ale radość, jaką sprawiał mu widok domu i jaką odczuwał, siedząc na tarasie i patrząc na sad w słoneczne dni, była zbyt wielka.

- To wspaniały dom - powiedział przez ramię do śpiącego niemowlęcia. - Wspaniały dom dla powiększającej się rodziny. A kiedy będziesz miała paru braci i siostrę, wszyscy będziecie się bawić na łące przed domem, a ja kupię dla ciebie nowy kawałek łąki, żeby trzymać tam osiołka.

Rozdział Trzydziesty Siódmy.

Wiosna 1629.

Przekonanie Johna, że dom w Lambeth stanie się arką, która utrzyma na powierzchni rodzinę w niebezpiecznych czasach, sprawdziło się, zanim Frances skończyła dwa miesiące. Zastarzała złość i głęboka uraza, jakie król żywił do członków Izby Gmin, którzy atakowali Buckinghama i próbowali go postawić w stan oskarżenia, wybuchły ponownie z powodu nieskrywanej radości parlamentarzystów po śmierci diuka. Karol oskarżył sir Johna Eliota, radykalnego przywódcę Izby Gmin, o zamordowanie diuka i rozkazał, żeby poty torturowano zabójcę, póki nie wyjawi nazwisk osób należących do spisku. Tylko prawnicy, którzy sprzeciwili się rozgniewanemu monarsze, uchronili Feltona od tortur i nieszczęśnik poszedł na szubienicę, przysięgając, że działał jedynie z miłości do swego kraju i na własną rękę.

Eliot, wyczuwając poparcie większości Anglików, wykorzystał tę przewagę w nowo mianowanej Izbie Gmin w styczniu, odmawiając królowi wypłaty choćby pensa z należnych mu pieniędzy. Miało tak być do dnia, aż Izba przeprowadzi debatę nad buntowniczym poglądem, że król na ziemi musi ustąpić królowi niebios - był to wyraźny apel do purytanów, żeby sprzeciwili się ziemskiej władzy coraz bardziej ulegającego wpływowi papistów

Karola i jego biskupów.

Kiedy w mieście wrzało od pogłosek o tej debacie, ktoś głośno zapukał do tylnych drzwi domu Tradescantów, a potem

437

kucharz wbiegł do gabinetu osobliwości, gdzie Jane pisała etykiety, kołysząc nogą kolebkę Frances. J stał przed kominkiem, naciągając na ramę skórę egzotycznego zwierzęcia, by później powiesić ją na ścianie.

- List do pana z Whitehall! - zawołał kucharz. Jane wstała i podeszła do okna.

- Jest przy rozsądzie - powiedziała, stukając w szybę i przywołując teścia ruchem ręki. - Właśnie nadchodzi.

John wszedł, wycierając ręce o skórzane spodnie.

- O co chodzi? - zapytał.

- Jakiś list - odparł kucharz. - A posłaniec nie zczekał na odpowiedź. Z Whitehall.

John wziął list i spojrzał na pieczęć.

- Od Williama Warda, zarządcy jego książęcej mości - wyjaśnił lakonicznie. Odwrócił pismo, złamał pieczęć i zaczął czytać. J zobaczył, że twarz jego ojca blednie pod opalenizną.

- O co chodzi?

- O króla. Kazał aresztować sir Johna Eliota i posłał go do Tower. Rozwiązał parlament. Nazwał jego członków gniazdem żmij i oświadczył, że odtąd będzie rządził bez nich. - Czytał szybko dalej. - Członkowie parlamentu zamknęli drzwi Izby Gmin przed Karolem, przyjęli uchwałę, że podatek od tonażu i wagi jest nielegalny, uznali też za nielegalną królewską teologię. - Przeczytał jeszcze kilka zdań i zaklął.

- Co takiego? - zapytała niecierpliwie Jane.

- Przytrzymali przewodniczącego Izby Gmin na jego krześle, żeby móc przeprowadzić te uchwały, zanim królewscy gwardziści wpadli do środka i aresztowali zbuntowanych.

Jane natychmiast spojrzała na córeczkę śpiącą w kołysce.

- Co on zrobi? John pokręcił głową.

- Bóg jeden wie. J czekał.

- Co to znaczy dla nas? John znów pokręcił głową.
- Dla nas i dla kraju? Burzliwą pogodę.

Rozdział Trzydziesty Ósmy.

1630.

Nie była to jednak burzliwa pogoda, ale rodzaj pokoju, który zaskoczył cały kraj. Posłuszny królewskiemu rozkazowi parlament rozwiązał się i chociaż jego członkowie zawieźli swoje skargi na samowolę monarchy do domów we wszystkich zakątkach królestwa, nie wywołały one powszechnego oburzenia, które doprowadziłoby do ponownej konfrontacji w stolicy. Król zaczął rządzić krajem bez parlamentu - tak jak przedtem zagroził - i okazało się, że właściwie nie można nazwać tego rządami.

Milczenie w siedzibach obu izb parlamentu znaczyło, że nie ma forum do dyskusji. Próżnia na szczytach władzy sprawiła, że sprawy potoczyły się tak jak zawsze. Dużymi i małymi miastami rządziła luźna koalicja urzędników miejskich, szlachty i pastorów oraz potężna siła zwyczajów i praktyki.

W Lambeth obiecany brat Frances nie przyszedł na świat, chociaż dziewczynka podrosła, nauczyła się chodzić i mówić i nawet otrzymała maleńki skrawek ogrodu oraz tuzin sadzonek goździków i dwadzieścia nasion słodkiej fasoli, by mogła spróbować swoich sił w ogrodnictwie. Pobłażano jej - jak zawsze, gdy w zamieszkanym przez czwórkę dorosłych domu jest małe dziecko; ale nic jej nie zepsuło. Rosła i kochała dobrze przewietrzony, przestronny, budzący echa gabinet osobliwości, a dziadek wciąż nosił ją „na barana” do końca sadu. Stawała się coraz silniejsza

439

i cięższa, a John bardziej niż przedtem kulał pod jej ciężarem i idąc, kołysał się jak stary żeglarz, za którego czasami się podawał. Przemawiał do niej poważnym tonem, wypowiadając pieszczotliwe, jedynie dla nich zrozumiałe słowa. Tylko do swoich nasion na grządkach i do Frances mówił w ten sposób. Elizabeth obserwowała męża i wnuczkę z okna, kiedy trzymając się za ręce, chodzili po ogrodzie, i z ulgą zdała sobie sprawę, że ona i John, J i

Jane wreszcie zaczęli wieść ustabilizowane życie.

- Zapuściliśmy tu korzenie - powiedział John pewnego wieczoru, widząc, jak żona uśmiecha się do niego przy stole w jadalni.

Służąca postawiła przed nimi obiad - mieli teraz dziewczynę do pomocy, kucharkę i młodego chłopca do posług w domu oraz trzech ogrodników. - Myślę, że powinniśmy mieć własną dewizę.

- Tylko nie dewizę - mruknął pod nosem J. - Proszę, nie.

- Tak, dewizę - powiedział stanowczo John. - Żeby umieścić ją pod herbem. Ty ją ułożysz, J. Znasz łacinę.

- Nie mogę wymyślić nic, co by pasowało do człowieka, który pochodził z gminu i został ogrodnikiem, ale wymyślił własny herb i kazał jakiemuś głupiemu kamieniarzowi wyryć go w kamieniu, żeby wszyscy mogli go widzieć - odparł jadownicie J.

John uśmiechnął się z niezmaconym spokojem.

- Przecież sam król jest wnukiem zwykłego lorda\* - oświadczył.

\* Maria Stuart poślubiła w roku 1565 swego kuzyna lorda Darnleya.

- Żyjemy w czasach, kiedy ludzie mogą awansować.

- A diuka Buckingham nazywano parweniuszem do końca jego dni - zauważyła Jane.

John wbił wzrok w talerz, żeby nikt nie dostrzegł smutku, który ścisnął mu serce.

- Ale i tak nie mogę wymyślić odpowiedniej dewizy - oświadczył J.

Nie pasowali do zasad, którymi kierowało się Kolegium Heraldyczne. Stali się ziemianami, gdyż mieli własny dom i ziemię, a także czynsze dzierżawne z pól w Hatfield

440

oraz kilka domów, kupionych niedawno po okazyjnych cenach w Londynie. Ale John i J nadal sami pracowali na swoich polach i w ogrodach, i mogli powiedzieć z dokładnością co do pensa, ile pracy i pieniędzy kosztowała ich każda sadzonka.

Rośliny Tradescanta rozchodziły się po całej Anglii, nawet po całej Europie. Zielaż John Gerard wziął flance z ich ogrodu i dał im w zamian nowe sadzonki. John Parkinson wymienił ich



nazwisko w swojej książce o ogrodnictwie i uznał swój dług wobec nich, mimo że był królewskim botanikiem. Każdy ogrodnik w każdym wielkim domu w Anglii wiedział, że jeśli potrzebuje czegoś niezwykłego i ślicznego zarazem, powinien się zwrócić tylko do Tradescantów z Arki. Arka była jedynym miejscem, gdzie poza Niderlandami mogli kupić rzadkie odmiany tulipanów po cenach tak rozsądnych, jak to tylko możliwe na rynku, który rozrastał się z każdym rokiem.

Zamówienia przychodziły niemal codziennie. Kiedy członkowie parlamentu zostali zmuszeni do powrotu do swoich majątków, na wsi mieli niewiele do roboty oprócz doglądania pól i ogrodów.

- Jego królewska mość wyświadczył nam wielką przysługę - powiedział John do Elizabeth, gdy ta siedziała przy stole i sortowała nasiona, wkładając je do torebek, które potem Jane miała opisać i wysłać. - Gdyby ci dżentelmeni nadal przebywali w Westminsterze, nie zajmowałiby się własnymi ogrodami.

- W takim razie jesteśmy jedyni, którzy są mu za to wdzięczni - powiedziała dość ostro, prawie jak dawniej. - Podobno w Londynie mówi się, że równie dobrze moglibyśmy nigdy nie mieć parlamentu, skoro król zamierza rządzić krajem jak tyran i nie słuchać głosu swego ludu. Codziennie nakładane są nowe podatki. Zaledwie wczoraj zażądano od nas zapłacenia podatku solnego!

- Ale mamy pokój ~ powiedział cicho John i Elizabeth pochyliła głowę nad stołem.

Oboje mieli rację. Kraj cieszył się czymś w rodzaju pokoju kupionego za szczególną cenę: nienadawania rozgłosu konfliktowi między parlamentem a królem. Król Karol

441

rządził tak, jak wedle jego naiwnych wyobrażeń rządziła jego cioteczna babka Elżbieta I\*, niewiele zważając na parlament, niemal nie słuchając doradców i licząc na miłość poddanych.

\* Karol I był praprawnukiem księżniczki Małgorzaty, siostry Henryka VIII.

Król i królowa podróżowali z jednego wielkiego pałacu do drugiego, polowali, tańczyli, urządzali maskarady i oglądali

przedstawienia teatralne, zapewniani wszędzie, dokąd się udali, w tuzinie panegiryków napisanych przez lojalistów, że lud kocha ich tylko nieco mniej niż Boga.

Królowa Henrietta Maria zdobyła trochę wiedzy o życiu w pierwszych trudnych latach pobytu w nowej ojczyźnie. Kiedy usłyszała, że Buckingham, jej najgorszy wróg, nie żyje, nie pozwoliła sobie nawet na jedno słowo radości. Poszła prosto do króla i kiedy zaprzestał samotnego czuwania, czekała na niego, odziana w czerń, z najsmutniejszą miną, jaką udało się jej przybrać. W jednej chwili król przeniósł na nią głębokie pragnienie akceptacji, które zawsze nim kierowało. Ten brak pewności siebie najbardziej lekceważonego, brzydkiego syna mężczyzny, który lubił przystojnych mężczyzn, był jak ukryta choroba. Gdy nagle ją objął, Henrietta Maria zachwiała się pod ciężarem jego ciała, ale utrzymała się na nogach. Niczego bardziej na świecie nie pragnęła tak, jak tego uścisku. Dzięki niemu spełniła się jako kobieta i jako królowa.

Nic nie zakłóciło niedawno odkrytego szczęścia, gdyż nie pozwalano, by cokolwiek martwiło lub niepokoiło jego królewską moc. Zaraza w Londynie znaczyła tylko tyle, że król i królowa wcześniej przenosili się do Oatlands Palace w pobliżu Weybridge, do Windsoru bądź do Beaulieu w hrabstwie Hampshire.

Bieda w Kornwalii, prezbiterianizm\* w Szkocji, listy od miejscowych lordów lub meldunki królewskich stróży prawa ostrzegające władcę, że nie wszystko jest w całkowitym

442

porządku w jego królestwie, wędrowały za nim z domku myśliwskiego do pałacu i czekały na deszczowy dzień, żeby rzucił na nie okiem.

\* Prezbiterianizm - radykalny odłam wyznania protestanckiego nieuznający episkopalnej organizacji Kościoła anglikańskiego, powołujący do sprawowania władzy w gminie kościelnej radę starszych, czyli prezbiterów.

Poprzednie zamiłowanie do pracy opuściło Karola, gdy tylko się przekonał, jak rzadko bywa nagradzany za wypełnianie swoich

obowiązków.

Parlament nigdy mu nie podziękował za napisane drobnym pismem memoranda, a zresztą teraz nie było parlamentu.

Dworzanie piastujący wysokie urzędy państwowe, niekompetentni i skorumpowani, pracowali równie źle bez nadzoru, jak pod niedbałą kontrolą króla. Było mu łatwiej i przyjemniej porzucić rządzenie państwem na rzecz maskarady, dla której sceną stał się cały kraj, kiedy lud okazywał swoje oddanie w tańcach i pieśniach, a Karol I udawał, że rządzi w koronie ze złotego drutu na głowie.

Pierworodny syn i następca tronu urodził się w maju 1630 roku, a trzy miesiące później posłaniec z dworu królewskiego, który właśnie przebywał w Windsorze, zastukał stanowczo do drzwi domu w Lambeth i podniósł wzrok na herb umieszczony dumnie na ścianie, choć nie skomentował tego widoku.

- List do Johna Tradescanta - oświadczył, gdy Jane otworzyła drzwi.

Cofnęła się, by wskazać mu drogę do salonu. Ruszył przodem z uwagi na jej skromny strój, przypuszczając, że ma przed sobą służebną - baptystkę\*.

\* Baptyci - odłam protestantów uznający Biblię za jedyny autorytet w sprawach wiary i obyczajów, postulujący prostotę i skromność we wszystkich dziedzinach życia.

Jane, która uważała, że należy pogardzać marnościami tego świata, pełnym dostojeństwa ruchem wskazała mu krzesło przy kominku.

- Możecie usiąść - powiedziała z godnością jak księżna. - Pan Tradescant, mój teść, wkrótce przyjdzie. - Obróciła się na pięcie, wielkimi krokami wyszła z pokoju, a potem pobiegła do ogrodu, gdzie John przesadzał flance.

- Chodźcie i umyjcie się! W salonie czeka posłaniec królewski! - zawołała.

443

John wstał powoli.

- Posłaniec królewski?

- Kłopoty? - spytał J. - Może chodzi o nasz herb?
- Na pewno nie - powiedział z przekonaniem John. -Daj mu kieliszek wina, Jane, i powiedz, że zaraz przyjdę.
- Najpierw zmieńcie kubrak - przypomniała mu. - On jest w pełnej liberii i upudrowanej peruce.
- To tylko posłaniec - odrzekł łagodnie John. - A nie sama królowa Henrietta Maria.

Jane uniosła brzeg sukni i pobiegła do domu, żeby kazać podkuchennej nalać kieliszek chłodnego wina i postawić na najlepszej srebrnej tacy.

Zastała posłańca wyglądającego przez okno na ogród.

- Ilu ludzi zatrudnia tu pan Tradescant? - zapytał, próbując grzecznie nawiązać rozmowę, żeby naprawić wcześniejszy błąd. Jane wyjrzała również. Ku swemu zakłopotaniu zobaczyła nie ogrodników, tylko męża i teścia, którzy spacerkiem szli z sadu, a każdy niósł motykę i wiadro.

- Pół tuzina w środku lata - wyjaśniła. - Mniej w zimie.

- Czy macie wielu gości?

- Tak - odparła. - Zarówno w ogrodzie, jak i w gabinecie osobliwości. W ogrodzie rosną rzadkie owoce i kwiaty. Zapraszam was, jeśli zechcecie się przespacerować, panie.

- Może później - odpowiedział wyniośle posłaniec. -Muszę teraz porozmawiać z panem Tradescantem.

- Wkrótce przyjdzie - odparła Jane. - Mogłabym wam pokazać część zbiorów z gabinetu osobliwości, skoro i tak czekacie.

Ku jej uldze, drzwi salonu otworzyły się właśnie.

- Oto jestem - powiedział John. - Przepraszam, że musiałeś czekać, panie.

Przynajmniej umył ręce, ale nadal miał na sobie stary roboczy kaftan.

Posłaniec, choć wyraz jego twarzy niczego nie zdradził, zorientował się, że widziany z okna robotnik w istocie jest dżentelmenem, do którego przyszedł.

- Panie Tradescant - zaczął. - Przynoszę list od króla i mam zaczekać na odpowiedź.

Wyciągnął zwój papieru z grubą czerwoną pieczęcią u dołu. John wziął go i podszedł do okna, przez które wlewało się sierpniowe słońce.

Jane musiała się powstrzymać, żeby za nim nie pójść i nie czytać mu przez ramię.

- Hm, hm, hm - powiedział John, przebiegając wzrokiem zwyczajowe uprzejmości na początku listu. - Och! Jego królewska mość rozkazuje mi, żebym został ogrodnikiem w Oatlands Palace! Jestem zaszczycony.

- Jego królewska mość właśnie ofiarował ten pałac jej królewskiej mości - poinformował go posłaniec. - A najjaśniejsza pani pragnie mieć taki ogród jak w Hatfield lub w New Hall.

John podniósł głowę.

- Uplęnęło dużo czasu, odkąd urządziłem jakiś pałacowy ogród. I w tym roku skończyłem sześćdziesiąt lat. Są inni ogrodnicy, których ich królewskie mości mogą zatrudnić. Zresztą myślałem, że królowa wolałaby ogród w stylu francuskim.

Posłaniec uniósł starannie wyskubane brwi.

- Być może. Ale ja nie zajmuję takiego stanowiska na dworze, żebym mógł doradzać najjaśniejszemu panu lub jej królewskiej mości, jak mają postąpić. Ja po prostu słucham ich rozkazów. - Dał wyraźnie do zrozumienia, że Tradescant powiedział za dużo.

- Och - odpowiedział John, rozumiejąc, że go upomniano. - Pojmuję.

- Jego królewska mość rozkazał mi przynieść odpowiedź - ciągnął wyniośle posłaniec. - Czy chcesz, panie Tradescant, żebym powiedział, iż masz już sześćdziesiąt lat i uważasz, iż to nie ciebie powinien zatrudnić?

John się skrzywił. Królewskie zaproszenie równało się rozkazowi. Nie mógł odmówić.

- Powiedz jego królewskiej mości, panie, że jestem zaszczycony jego propozycją i że ją przyjmuję. Przyjmuję z wdzięcznością. Dodaj też, proszę, iż zawsze z radością będę służył ich królewskim gościom, jak tylko potrafię najlepiej.

Posłaniec rozchmurzył się nieco.

- Przekażę twoją odpowiedź. Jego królewska mość będzie  
445

cię oczekiwał w Oatlands Palace za tydzień, panie Tradescant.  
John skinął głową.

- Z radością będę służył jego królewskiej mości. Posłaniec się  
ukłonił.

- Czuję się zaszczycony, że cię poznałem, panie Tradescant.

- To ja czuję się zaszczycony - odrzekł grzecznie John. Posłaniec,  
kłaniając się, opuścił salon i pozostawił Johna z synową.

- Służba u króla - powiedziała ponuro. - To nie spodoba się J.  
John skrzywił się znowu.

- Będzie musiał to znieść. Nie można odmówić królowi. Słyszałaś  
go. Moja zgoda to tylko czysta formalność, on wie nawet, którego  
dnia mam rozpocząć pracę.

- Powiedzieliśmy, że nigdy nie będziemy pracowali dla innego  
pana - przypomniała mu Jane.

John skinął głową.

- Nigdy o tym nie myśleliśmy. Ale może to nie będzie takie złe. -  
Odwrócił się i spojrzał przez okno na swój ogród.

- Słyszałem, że zbudowali tam wielką oranżerię - rzekł. - Ale nigdy  
nie mieli szczęścia z doprowadzeniem drzew do kwitnienia. Tam  
jest ogród przeznaczony tylko dla króla i jeszcze jeden wyłącznie  
dla królowej. W tym wielkim ogrodzie zrobiono ogromną  
fontannę. Całość wygląda jak wioska rozmieszczona wśród  
ogrodów, zabudowana pawilonami

- jeden domek łączy się z drugim - wychodzącymi na Tamizę.

Cała rzecz w tym, żeby sprawić, by w każdym zakątku rosła jakaś  
piękna roślina, żeby ogrody tworzyły jedną całość i aby z każdego  
miejsca był ładny widok.

Jane zrozumiała, że jej teść odrzuca zasadę niezależności na rzecz  
stworzenia nowego pięknego ogrodu. Dumnym krokiem  
skierowała się do drzwi.

- Ja powiem o tym J czy wy? - zapytała chłodno. - Bo jego nie  
będzie obchodziła praca nad stworzeniem pięknych widoków dla

takiego króla.

- Ja mu powiem - odparł John w roztargnieniu. - Zastanawiam się, czy mamy dość młodych kasztanowców, żeby posadzić po jednym w środku każdego ogrodu?

446

John przekazał synowi tę nowinę przy obiedzie. Już w chwili, gdy J wszedł do jadalni, zorientował się, że Jane go uprzedziła i że syn tak łatwo się nie zgodzi.

- Przysięgłem, że już nigdy nie będę pracował dla innego pana - oświadczył.

- Tym razem będziesz pracował dla mnie - poprawił go łagodnie John. - Dla nas wszystkich. Dla dobra nas wszystkich.

J spojrzał na żonę.

- To dla królowej - powiedziała otwarcie. - Próżnej kobiety i heretyczki.

- Być może jest jedną i drugą - zgodził się z nią bez wahania John. - Ale ona tylko będzie nam płacić. Wcale nie zamierza nas nadzorować. J nigdy nie będzie musiał z nią rozmawiać.

- Ale w nich wszystkich jest coś, co mi przeszkadza niczym tkwiący w gardle kawałek suchego chleba - powiedział J w zamyśleniu. - Jest coś, co mnie złości w człowieku, który twierdzi, że znajduje się bliżej Boga niż ja. W człowieku, który uważa się za kogoś lepszego ode mnie - prawie za anioła. Nawet gdybym nigdy go nie zobaczył i nigdy mu nie służył, jest w tym coś przeciwnego mojej naturze.

- Ponieważ to herezja - powiedziała bezbarwnym głosem Jane.

J potrząsnął głową.

- Nie tylko dlatego - rzekł. - Ponieważ ten człowiek odmawia mi prawa do twierdzenia, że myślę tak samo jak on. Że mam nieśmiertelną duszę tak jak on. Że ja również myślę i modlę się o lepsze czasy, o nadejście Wielkiego Dnia, Dnia Sądu Ostatecznego. Jeżeli on znajduje się tak wysoko nade mną jak anioł, w takim razie ja nie potrzebuję myśleć i mieć nadziei, i modlić się, ponieważ Bóg na pewno mnie nie wysłucha, skoro klęka przed nim mój król. To jest tak, jak gdyby jego wysoka

pozycja mnie pomniejszała. - Obrzucił spojrzeniem ich zaskoczone twarze. - Przypuszczam, że to brzmi bez sensu - zastrzegł się. - Nie bardzo umiem mówić o tych sprawach. Po prostu tak o tym myślałem.

- Ale to, co mówisz, oznacza odrzucenie każdego króla - zauważył John. - Tego czy innego. Dobrego lub złego.

447

J niechętnie skinął głową.

- Po prostu nie mogę zrozumieć, dlaczego jakikolwiek człowiek miałby się wynosić ponad innego. Nie mogę zrozumieć, dlaczego jakikolwiek człowiek potrzebuje więcej niż jednego domu. Nie mogę zrozumieć, dlaczego jakikolwiek człowiek potrzebuje dziesiątków domów i setek sług. Nie pojmuję, czemu on może być bliżej Boga z tym wszystkim... pomyślałbym, że wręcz przeciwnie, powinien być znacznie dalej.

John poruszył się niespokojnie na drewnianym zydłu.

- Mówisz jak leweller\*, synu.

\* Lewellerzy („zrównywacze”) - angielskie republikańskie stronnictwo polityczne, odłam tzw. independentów, czyli niezależnych.

Zaraz potem odrzucisz wszystkich królów z wyjątkiem Króla Jezusa Chrystusa, zażadasz zwrotu ziem gminnych i ziem leżących odłogiem zagarniętych w wyniku grodzenia.

- Nie obchodzi mnie, jak to się nazywa - odparł dobitnie J. - Nie lękam się wypowiedzania na głos moich myśli, ponieważ inni dzielają moje poglądy, ale wyrażają je nieskładnie. Wiem, że muszę myśleć, iż dla Anglii jest lepiej, że rządzi nią król twierdzący, że mówi w naszym imieniu i że nas zna. A przecież wszystko wskazuje na to, że on nie ma zielonego pojęcia, co to znaczy być takim człowiekiem jak ja.

- On ma doradców.

J wzruszył ramionami.

- Otaczają go dworacy i pochlebcy. Słyszysz to, co mu mówią, a mówią tylko to, co król chce usłyszeć. Nie może mieć zdrowego rozsądku, nie może mieć odpowiedniej wiedzy. Tkwi w pułapce



próżności i niewiedzy jak ryba w stawie, a ponieważ ta ryba wie tylko to, co przychodzi jej do głowy, uważa się za istotę wyjątkową, prawie boską. Gdyby mogła oddychać powietrzem i zobaczyć niebo, dowiedziałaby się, że jest niczym innym, tylko zwykłą dużą rybą.

John prychnął śmiechem na myśl o podłużnej, smutnej twarzy króla z nałożoną maską karpia.

- Ale kogo zatrudnisz, jeżeli J tam nie pojedzie? - zapytała praktyczna Elizabeth.

448

- Będę musiał kogoś znaleźć - odparł John. - Są dziesiątki mężczyzn, których ucieszy ta praca. Ale wolałbym raczej pracować z tobą, J. I wydaje mi się, że mógłbyś dla mnie pracować, jeśli cię o to poproszę.

J poruszył się na krześle.

- Nie chciałbyś chyba zmuszać mnie do nieposłuszeństwa - powiedział. - Powinieneś uszanować moje sumienie, ojczu. Jestem dorosłym mężczyzną.

- Masz dwadzieścia dwa lata - powiedział otwarcie John. - Dopiero dorosłeś. Dokonujesz własnych wyborów, masz żonę i dziecko. Ale ja nadal jestem twoim ojcem, i to dzięki mojej pracy masz chleb na stole.

- Pracuję tutaj! - wykrzyknął urażony J. - Pracuję dostatecznie ciężko!

- W zimie prawie nie zarabiamy pieniędzy - podkreślił John. - Żyjemy z oszczędności. Nie ma wówczas nasion ani sadzonek do sprzedania, a gdy jest brzydka pogoda, prawie nikt nie odwiedza naszego gabinetu osobliwości. Do wiosny zeszłego roku niemal wyczerpaliśmy nasze oszczędności. Dzięki pracy w ogrodzie pałacowym mielibyśmy pieniądze przez cały rok.

- Papistowskie złoto! - mruknęła Jane do talerza.

- Uczciwie zapracowane - odparował John. - Jestem stary. Nie sądziłem, że będę musiał pracować, żeby zarobić na twoje utrzymanie, J. Nie myślałem, że bardziej będziesz cenił swoje sumienie niż obowiązek względem ojca.

J obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Zawsze to samo! - wybuchnął. - To ty zawsze możesz przychodzić i odchodzić. Ja muszę tylko być ci posłuszny. A teraz, kiedy mamy dom, gdzie chcę pozostać, teraz kiedy ty sam możesz w nim pozostać, ty mimo to odchodzisz. I ja również muszę odejść!

- Nie jestem wolny - odparł surowo John. - Król mi rozkazuje.

- Rzuć wyzwanie królowi! - krzyknął J. - Choć raz w życiu nie słuchaj rozkazu jakiegoś wielkiego pana. Choć raz w życiu przemów w swoim imieniu! Pomyśl sam! Rzuć wyzwanie królowi!

Zapadło długie milczenie. Wszyscy byli wstrząśnięci.

449

John wstał od stołu, podszedł do okna i wyjrzał na ogród, tak śliczny w szarym świetle wieczoru. Jakaś gwiazda świeciła nad kasztanowcem, gdzieś w sadzie zaczął śpiewać słowik.

- Nigdy nie rzucę wyzwania królowi - powiedział. - Nie będę nawet słuchał takich słów w swoim domu.

Pełne napięcia milczenie przeciągało się niebezpiecznie.

Wreszcie J przemówił cicho i żywo:

- Ojcze, to nie królowa Elżbieta, a ty już nie pracujesz dla Roberta Cecila. Karol Stuart nie jest taki jak zmarła królowa. Anglia nie jest już takim krajem jak wtedy. To kraj pogrążony w długach i rozdarty herezjami. Władą nim próżny głupiec, którym z kolei rządzi papistowska żona, kierowana przez swego brata, króla Francji. Nie mogę pracować dla takiego króla ani dla niej, nie zniósłbym tego. Nie zniósłbym, gdybym musiał słuchać ich rozkazów. Jeżeli zmusisz mnie do tego, wolałbym raczej na zawsze opuścić Anglię.

John skinął głową, przyjmując do wiadomości słowa syna.

Elizabeth i Jane siedziały w milczeniu, ledwie śmiać odetchnąć i czekając na odpowiedź Johna.

- Naprawdę tak myślisz?

J, dysząc ciężko, tylko skinął głową. John westchnął.

- W takim razie musisz posłuchać swojego sumienia i opuścić

Anglię - odparł po prostu. - Albowiem ten król jest moim panem przed Bogiem i wydał mi rozkaz. A ja jestem twoim ojcem i powinienem rozkazać ci wypełnić obowiązek względem mnie, i wydałem ci taki rozkaz. Jeżeli wolisz rzucić mi wyzwanie, powinieneś stąd wyjechać, J. Tak jak Adam i Ewa musieli opuścić swój ogród. Są prawa ziemskie i boskie. Nie mogę udawać przed tobą, że jest inaczej. Przez całe twoje życie tolerowałem twe nieprawomyślne poglądy i szalone słowa, nawet w ogrodzie mojego pana. Ale jeśli nie chcesz służyć królowi Anglii, w takim razie nie powinieneś pracować w jego ogrodzie. Nie powinieneś pracować w jego kraju.

J wstał od stołu. Ręce mu drżały i szybko ukrył je za plecami.

450

- Zaczekaj... - odezwała się cicho Elizabeth. Żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi.

- W takim razie odejdę - rzekł J, jak gdyby wystawiał na próbę determinację swego ojca. John odwrócił się plecami do pozostałych i wyjrzał przez okno na swój ogród.

- Jeżeli nie chcesz być posłuszny mnie, twemu ojcu, i królowi, który jest nade mną, i Bogu ponad nim, w takim razie nie jesteś już moim synem - powiedział twardo. - Proszę Boga, żebyś nie poszedł tą drogą, J.

J odwrócił się i chwiejnym krokiem ruszył do drzwi. Jane również wstała, z wahaniem przenosząc spojrzenie z męża na teścia. J opuścił jadalnię bez słowa.

- Idź do niego - powiedziała szybko Elizabeth do synowej. - Uspokój go. Nie może naprawdę tak myśleć. Zatrzymaj go tutaj przynajmniej na tę noc. Porozmawiamy o tym jeszcze rano. -

Szybkim ruchem wskazała na stojącego przy oknie Johna.

Jane zrozumiała, że teściowa spróbuje wpłynąć na męża.

Zawahała się jednak.

- Ale ja sądzę, że on ma rację - szepnęła, zbyt cicho, żeby John mógł to usłyszeć.

- Jakie to ma znaczenie? - syknęła Elizabeth. - Jakie mają znaczenie te słowa? Liczy się tylko to, że Frances, ty i J

mieszkacie tu teraz i będziecie mieszkali, kiedy my odejdziemy z tego świata. Ogrody i nazwisko Tradescantów. Idź szybko i przynajmniej nie daj mu się spakować.

Jane przeszkodziła J w opuszczeniu domu tamtej nocy, przekonując go, że byłoby szaleństwem zabieranie śpiącego dziecka z kołyski na zimne nocne powietrze i szukanie noclegu w mieście ogarniętym zarazą. Obaj mężczyźni, ojciec i syn, spotkali się przy śniadaniu i wyszli razem do ogrodu w lodowatym milczeniu.

- Co możemy zrobić? - zapytała teściową Jane. Elizabeth potrząsnęła głową.

- Modlić się, żeby obaj zrozumieli, że dobro rodziny jest ważniejsze niż to, czym złotem płaci się rachunki.

- Ojciec nie powinien zmuszać J do pracy dla króla wbrew jego sumieniu - oświadczyła Jane.

Elizabeth pokiwała głową.

451

- Ach, moja droga, jakże inaczej wszystko wyglądało, kiedy byliśmy w waszym wieku. Można było pracować tylko dla jakiegoś lorda. Nie było innych ogrodów oprócz tych, które należały do wielkich panów. Będąc w wieku J, jego ojciec nigdy nie marzył o własnym domu czy polach. W wieku J John był pomocnikiem ogrodnika w domu sir Cecila i mieszkał w pałacu, nie mógł nawet wybrać sobie tego, co chciał zjeść na śniadanie, bo wszystko pochodziło z kuchni lorda. Wszystko zmieniło się tak szybko, oboje musicie nas zrozumieć. Świat stał się teraz taki inny. A J nadal jest bardzo młody. Wszystko znów może się zmienić.

- Wszystko znów się zmieni - zgodziła się z nią Jane. - Ale nie na korzyść lordów i dworu królewskiego. Może ta rodzina nie powinna się łączyć z królem. Może lepiej by się nam wiodło, gdybyśmy stali się jak moja rodzina, niezależnymi kupcami, którzy nie obawiają się niełaski króla. Rodziną, która nie zależy od żadnego pana.

- Tak, gdybyśmy byli kupcami bławatnymi - odparła łagodnie

Elizabeth. - I gdybyśmy mogli handlować w sklepiku w mieście, i gdyby wszyscy mężczyźni i kobiety w kraju potrzebowali naszych towarów i mogliby sobie na nie pozwolić. Ale my jesteśmy ogrodnikami i właścicielami kolekcji osobliwości. Tylko bogaci ludzie interesują się tym, co mamy do sprzedania i pokazania. I nie możemy wyhodować nasion i sadzonek, nie mając ziemi, na której wyrosną. To nie jest handel, który można prowadzić na niewielką skalę. To interesy, które oddają nas w ręce wielkich ludzi naszego kraju. Sprzedajemy je arystokratom i dostojnikom królewskim. To oczywiste, że wcześniej czy później król dowiedziałby się o nas.

- A teraz on chce nas mieć, tak jak pragnie wszystkiego, co piękne i rzadkie - odparła Jane z goryczą. - I myśli, że nas też może kupić.

Elizabeth skinęła głową.

- Właśnie tak.

Obaj Tradescantowie wrócili na obiad w milczeniu. Jane i Elizabeth zamieniły kilka uwag o pogodzie i postępach prac ogrodniczych, ale poddały się, kiedy ojciec i syn odpowiadali monosylabami lub skinieniem głowy.

452

Zaraz po obiedzie John i J znów wyszli z domu. Jane, patrząc z okna gabinetu osobliwości, zauważyła, że J kieruje się prosto do sadu, aby znaleźć się jak najdalej od ojca, John zaś piele grządkę z flancami w chłodnym cieniu domu. Dzień był upalny. Nawet gołębie, które zazwyczaj gruchały w koronach drzew Tradescantów, ucichły. Jane zabrała Frances, żeby dziewczynka mogła nakarmić kaczki w stawie obok sadu, i zauważyła, że mężczyzna pokrzywy w odległym zakątku. Zobaczył ją i podszedł, ostrożnie odłożywszy przedtem kosę.

- Żono...

Popatrzyła na jego znękaną twarz.

- Och, Johnie!

- Nie chcesz stąd odejść - powiedział głuchym głosem.

- Oczywiście, że nie. Dokąd mielibyśmy pójść?

- Moglibyśmy pojechać do twojego ojca i zatrzymać się u niego, kiedy będę szukał jakiejś pracy.

- Przysiągłeś, że nie będziesz pracował dla żadnego pana.

- Sam diabeł byłby lepszy niż ten król! Jane pokręciła głową.

- Powiedziałeś, że dla żadnego pana.

Frances pochyliła się bardziej w stronę wody. Jane mocniej ścisnęła rączkę córki.

- Nie tak blisko - rzekła.

- Są dwa miejsca, gdzie chciałbym zamieszkać, gdybyś się na to zgodziła - zaczął J.

Jane czekała.

- Jest pewna wspólnota uczciwych mężczyzn i kobiet, którzy próbują sami ułożyć sobie życie, oddawać cześć Bogu tak, jak tego pragną, i żyć tak, jak chcą.

- Anabaptyści\*? - zapytała Jane.

\* Anabaptyści - protestanci negujący ważność chrztu niemowląt i praktykujący chrzest dorosłych. Postulowali równość wszystkich ludzi i wspólnotę dóbr.

- Nie anabaptyści. Ale oni także chcą wolności dla mężczyzn i nawet dla kobiet. Mają osadę w Devon w pobliżu morza.

- Skąd się o nich dowiedziałeś?

453

- Pewien wędrowny kaznodzieja mówił o nich kilka miesięcy temu.

Jane zastanawiała się chwilę.

- Więc sam tego wszystkiego nie widziałeś? -Nie.

Zacisnęła mocniej dłoń na rączce Frances.

- Ja nie mogę pójść między obcych i żyć tak daleko od mojej rodziny - oznajmiła stanowczo. - Co by się z nami stało, gdyby któreś z nas zachorowało? Albo gdyby już ich tam nie było? Nie mogę odjechać tak daleko od mojej matki. A jeśli będziemy mieli następne dziecko? Jak sobie poradzę bez mojej lub twojej matki?

- Inne kobiety sobie radzą - odparł J. - Opuszczają domy, żyją wśród obcych. Oni staną się naszymi przyjaciółmi.

- Dlaczego musimy to zrobić? - zapytała po prostu Jane. -

Przecież mamy dwie kochające nas rodziny. Mamy dach nad głową, mieszkamy w najpiękniejszym domu w Lambeth, który słynie na cały świat z gabinetu osobliwości i z ogrodów!

- Ponieważ płacimy za to zbyt wysoką cenę! - zawołał J. -

Ponieważ płacę za ten piękny dom posłuszeństwem, oddając sumienie pod nadzór mojemu ojcu, a jemu nigdy nie przyszła do głowy ani jedna myśl, której przedtem nie zaaprobował jego pan. On jest posłusznym, obowiązkowym człowiekiem, Jane. Ja nie jestem taki jak on.

Namyślała się chwilę. Frances pociągnęła ją za rękę.

- Frances nakarmi kaczkę - powiedziała. - Frances nakarmi kaczkę.

- Tam, w dole, gdzie brzeg nie jest tak stromy - odrzekła Jane, nawet nie patrząc. - Nie zamocz nóżek. - Puściła rączkę córeczki i patrzyła, jak Frances idzie brzegiem stawu. Kaczki otoczyły dziewczynkę, Frances wsunęła rączki do kieszeni sukieneczki i wyjęła dwie garści okruchów chleba.

- A to drugie miejsce? - zapytała Jane. J wziął głęboki oddech.

- Wirginia - rzekł.

Jane spojrzała mężowi w oczy, a potem wsunęła się w jego ramiona tak naturalnie, jak w dniu, kiedy wzięli ślub.

454

- Och, kochany - powiedziała. - Wiem, że o tym marzysz. Ale nie możemy wyjechać do Wirginii, to złamałoby serce mojej matce. A ja nie zniosłabym rozłąki z nią. Zresztą nie musimy tam płynąć.

Nie jesteśmy poszukiwaczami przygód, nie szukamy rozpaczliwie majątku ani nie chcemy stąd uciec. Mamy tu swoje miejsce, pracujemy, mamy tu dom. Nie chciałabym opuszczać Lambeth z wyboru.

J odwrócił od niej spojrzenie.

- Jesteś moją żoną - oświadczył stanowczo. - Masz obowiązek pójść tam, gdzie ja pójdę. Masz być mi posłuszna.

Pokręciła głową.

- Mam swoje obowiązki wobec ciebie, tak jak ty wobec twojego ojca, tak jak on wobec króla. Jeżeli zerwiesz choć jedną więź, pękną wszystkie, J. Jeżeli nie uznajesz go za swojego ojca, w

takim razie ja nie muszę uznawać cię za mojego męża.

- Więc kim jesteśmy? - zapytał niecierpliwie. - Staliśmy się osobnymi, wirującymi, niezwiązanymi ze sobą, niekochającymi się cząsteczkami; jak puch ostu znajdujący własną drogę na wietrze?

Nie odpowiedziała. Stojąca za nimi Frances na próbę postawiła nóżkę w wodzie.

- Jeżeli kierujesz się swoim sumieniem i wyłącznie nim, w takim razie musimy stać się właśnie tacy - zauważyła Jane w zamyśleniu. - Będziemy kierować się własnym sumieniem i zbliżać się do siebie tylko wtedy, gdy nam to odpowiada.

- Żadna społeczność nie może żyć w taki sposób - podsumował J.

- Ani żadna rodzina - odparła stanowczo. - Kiedy kogoś pokochasz, jak pojawi się dziecko, wtedy uznajesz za swój obowiązek stawiać potrzeby drugiej osoby przed swoimi.

J się zawahał.

- Ten twój sposób życia to ten, w jaki postępuje król - ciągnęła Jane. - Ten sam, którym gardzisz. Człowiek, który stawia swoje pragnienia i potrzeby ponad wszystko. Człowiek, który uważa, że jego potrzeby i pragnienia są najważniejsze.

455

- Ale ja kieruję się własnym sumieniem! - zaprotestował gorąco J.

- On mógłby powiedzieć to samo - odrzekła łagodnie. - Jeżeli jesteś królem Karolem, wtedy bardzo łatwo możesz uznać swoje życzenia za sumienie i nikt ci nie wskaże, jakie są twoje obowiązki.

- Więc jaką powinienem obrać drogę? - zapytał J. - Skoro jesteś dziś moim doradcą?

- Gdzieś pośrodku między obowiązkami i twoimi własnymi życzeniami - odpowiedziała Jane. - Na pewno możemy znaleźć sposób, żebyś mógł uchronić duszę przed herezją i nadal tutaj mieszkać.

J miał smutną minę.

- Chciałabyś przedłożyć swoje wygody nad moje sumienie - odrzekł ponuro. - Dla ciebie liczy się tylko mieszkanie w tym



domu.

Nie odwróciła się od niego, tylko mocniej objęła go w pasie.

- Pomyśl - ponagliła go. - Czy naprawdę chcesz opuścić ogród, który jest twoim dziedzictwem? Kasztanowiec, który twój ojciec dał twej matce w roku, kiedy zostałeś poczęty? Czeremchę? Jego kapryfolium i pelargonie? Tulipany, które uratowałeś z New Hall? Modrzewie z Archangielska?

J odwrócił głowę, żeby nie widzieć błagalnego spojrzenia żony. Lecz Jane nie rezygnowała.

- A jeśli nie będziemy mieli drugiego dziecka? - zapytała odważnie. - Przecież oboje pochodzimy z małych rodzin, może będziemy mieli tylko Frances. Jeżeli Bóg nie zechce być dla nas łaskawy i nigdy nie da nam syna, który by nosił twoje nazwisko, wtedy po Tradescantach pozostanie tylko ich nazwisko w nazwie drzew. To one są twoim potomstwem, Johnie - czy pozwolisz, żeby nazwał je lub wyhodował kto inny? Albo, co gorsza, żeby je zaniedbał i zrąbał?

Spojrzał na nią.

- Jesteś moim sumieniem i moim sercem - powiedział cicho. - Uważasz, że powinniśmy pracować dla króla - nawet dla takiego jak ten - ponieważ w innym wypadku stracę więź z moim ojcem, prawo do jego nazwiska i miejsce w historii?

456

Skinęła głową.

- Wolałabym, żeby istniała łatwiejsza droga - przyznała. - Ale na pewno możesz pracować w królewskim ogrodzie i brać królewskie złoto, nie narażając ani swojej duszy, ani sumienia. Nie musisz stać się jego wasalem, tak jak twój ojciec był związany najpierw z sir Cecilem, a potem z Buckinghamem. Możesz po prostu przyjmować od niego zapłatę i robić swoje. Możesz być niezależnym człowiekiem pracującym za pieniądze.

J wahał się jeszcze przez chwilę.

- Chciałem być wolny od tego wszystkiego.

- Wiem - odrzekła z miłością. - Ale musimy poczekać na odpowiedni moment. Kto wie, może nadejdzie taki czas, kiedy

cały kraj zechce się od niego uwolnić? Wtedy zobaczymy, jaką powinieneś wybrać drogę. Ale aż do tej pory, J, musimy żyć. Musimy jeść. Musimy mieszkać z twoimi rodzicami i utrzymać Arkę na powierzchni.

W końcu skinął twierdząco głową.

- Powiem mu.

J porozmawiał z ojcem dopiero w porze obiadowej następnego dnia, kiedy rodzina znów się zgromadziła przy posiłku, Frances obok Jane, John przy jednym krańcu wielkiego, ciemnego, drewnianego stołu, a J przy drugim, Elizabeth zaś między mężem i synem.

- Zastanowiłem się. Będę pracował z tobą w Oatlands Palace - oświadczył nagle J.

John podniósł oczy, szybko ukrywając zaskoczenie.

- Cieszę się, że to słyszę - odparł, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała radość. - Będę potrzebował twoich umiejętności. Elizabeth i Jane wymieniły szybkie, pełne ulgi spojrzenia.

- Kto będzie kierował sprawami tu, w Arce, pod naszą nieobecność? - zapytał jak zwykle praktyczny J.

- My - odrzekła z uśmiechem Elizabeth. - Jane i ja.

- Frances też - oświadczyła stanowczo dziewczynka.

- I Frances, oczywiście. Peter będzie pokazywał gościom osobliwości, robi to pięknie już teraz, jak naganiacz na jarmarku; a wy na pewno będziecie często wracać do domu na parę dni, prawda?

457

- Kiedy dwór królewski opuści Oatlands, będziemy mogli robić, co nam się spodoba - odrzekł John. - Będą chcieli oglądać piękne ogrody podczas odwiedzin. Możemy zabrać połowę roślin, które mamy tu w rozsadnikach, i posadzić je w odpowiedniej porze. Kiedy król i królowa wyjadą z Oatlands, będziemy pilnować naszych interesów tutaj.

- Nie będę wysłuchiwał herezji - uprzedził ojca J.

- Ja sam będę strzegł twojego wrażliwego sumienia -zapewnił go ojciec.

J zaśmiał się sceptycznie.

- Tak, możesz się ze mnie śmiać, ale ja naprawdę tak uważam, ojcze. Nie będę słuchał herezji i nie będę się kłaniał do ziemi tej kobiecie.

- Będziesz musiał odkrywać głowę i kłaniać się - powiedział stanowczo John. - Tego wymaga zwyczajna grzeczność.

- Anabaptyści tego nie robią - wtrąciła Jane. John szybko spojrzał na nią spode łba.

- Dzięki ci. Wiem, że anabaptyści tego nie robią. Ale J nie jest anabaptystą. - Przeszył syna spojrzeniem, jak gdyby chciał sprawdzić, czy ten odważy się wyznać, że poszedł o krok dalej na drodze do coraz bardziej radykalnej wiary. - I anabaptyści nie pracują dla mnie w królewskim ogrodzie.

- Lecz nadal są poddanymi króla - odparła gorąco Jane.

- A ja szanuję ich wiarę. Tak jak J jest królewskim poddanym i ma prawo do własnego sumienia w granicach królewskiego prawa. Będzie jednak posłuszny i uprzejmy.

- Ale co zrobimy, jeżeli to prawo się zmieni? - zapytała Elizabeth.

- Ten król wprowadza zmiany do naszej wiary i do Kościoła, jego ojciec zaś zmienił samą Biblię. A jeśli wprowadzi jeszcze większe zmiany i zrobi z nas banitów w naszym własnym Kościele?

J spojrzał na matkę.

- Właśnie o to chciałem zapytać - rzekł. - Mogę ugiąć się na chwilę, ale co mam zrobić, jeśli sytuacja się pogorszy?

- Praktyka przed zasadami - odpowiedział John, wspominając pouczenia sir Cecila. - Będziemy się martwić,

458

jeśli tak się stanie. Tymczasem mamy drogę, którą możemy pójść wszyscy razem. Możemy być posłuszni królowi, pracować w ogrodzie jego żony i zachować spokojne sumienie.

- Nie będę słuchał herezji i nie będę nisko się kłaniał papistowskiej królowej - oświadczył J. - Ale mogę być dla niej uprzejmy i pracować u mojego ojca. Dwie zapłaty to lepiej niż jedna. A poza tym - podniósł oczy i spojrzał błagalnie na ojca - chcę wypełnić swoje obowiązki wobec ciebie, ojcze. Chcę, żeby w

Lambeth zawsze był jakiś Tradescant. Chcę, żeby wszystko działało we właściwy sposób na właściwym miejscu. W kraju panuje takie rozprzężenie dlatego, że król nie postępuje właściwie na swoim miejscu. Pragnę porządku, tak jak ty.

John uśmiechnął się do syna z miłością.

- Jeszcze zrobię z ciebie kogoś takiego jak Cecil - powiedział łagodnie. - Zaprowadźmy porządek w ogrodzie królowej, utrzymajmy porządek w naszym własnym życiu i módlmy się, żeby król tak wypełniał swoje obowiązki, jak my nasze.

Królowa rozkazała, żeby John otrzymał kwaterę w parku w Oatlands, i poleciła, by spełniano jego życzenia. Dom przylegał do budynku, w którym hodowano jedwabniki. Przez cały dzień ogrzewało go słońce, a w nocy przenośne piecyki ustawione pod ścianami szopy z jedwabnikami. Początkowo starszy Tradescant myślał z prawdziwym obrzydzeniem, że jego sąsiadami są robaki, w milczeniu dniem i nocą przeżuwające liście morwy; jego domek był jednak wyjątkowo śliczny i wyglądał jak miniaturowy drewniany zameczek z wieżyczkami, zwrócony na południe, z oknami rozdzielonymi kamiennymi słupkami. Na rozkaz królowej wyposażono go w śliczne lekkie stoliki, krzesła i łoże.

Miał jadać w wielkiej sali z pozostałymi domownikami. Król zażądał, żeby podawano obiad w pałacowej jadalni z całym ceremoniałem, bez względu na to, czy on jest tam obecny, czy nie. Rytuał wymagał, żeby kładziono nakrycie na stole przed monarszym fotelem, aby stawiano tam dania i by każdy sługa kłaniał się pustemu tronowi

459

jako atrybutowi władzy królewskiej po wejściu do jadalni i przed opuszczeniem jej.

- To absurd! - zawołał nierozważnie John na widok sług oddających cześć pustemu miejscu.

- Król tak rozkazał - odparł jeden z lokajów z sypialni królewskiej.

- Dla utrzymania godności tronu. Tak było za czasów królowej Elżbiety.

John potrząsnął głową.

- No cóż, ja pamiętam czasy królowej Elżbiety, a większość ludzi już nie - odrzekł. - Ludzie kłaniali się jej tronowi, kiedy miała na nim usiąść, i jej obiadowi, gdy zamierzała go zjeść. Była wszakże zbyt oszczędna, żeby kazać podawać obiad w dziesięciu pałacach, kiedy miała go spożyć w jednym.

Lokaj potrząsnął głową, ostrzegając Johna, by zamilkł.

- No cóż, teraz tak się postępuje - powiedział. - Sam król tak rozkazał.

- A kiedy przybędzie?

- W przyszłym tygodniu - wyjaśnił. - A wtedy zobaczysz, jak tu wszystko się zmieni. To miejsce jest tylko na pół żywe, kiedy ich królewskich gości tu nie ma.

Miał rację. Oatlands Palace wyglądało jak wioska, w której szaleje zaraza, kiedy dwór królewski przebywał gdzie indziej: alejki między budynkami były puste i ciche, połowa kuchni zimna, kominki wygaszone. Ale na początku września sznur wozów i furgonów nadjechał drogą z Weybridge i ze sto łodzi wiosłowych przyplłynęło z Londynu z królewskimi bagażami, kiedy dwór przeniósł się na ten miesiąc do Oatlands.

Pałac wypełniła armia krzyczących, kłócących się, wydających rozkazy, śpiewających kucharzy, służebnych, stajennych, lokajów, osobistych służących i wywodzących się z drobnej szlachty domowników. Każdy miał do wykonania ważne zadanie, ciążyła na nim wielka odpowiedzialność i wszyscy wchodzili sobie w drogę. Trzeba było zawiesić gobeliny i obrazy, zamieść podłogi i położyć kobierce. Wszystkie najpiękniejsze meble króla podróżowały razem z nim; należało przygotować sypialnię najjaśniejszego pana i sypialnię królowej i doprowadzić je do doskonałości. Trzeba było oczyścić kominki przed rozpaleniem ognia,

460

ale musiano rozpałić ogień, żeby natychmiast wysuszyć wilgotną pościel. Cała ta wioska zajmująca powierzchnię ponad dziewięciu akrów znajdowała się w stanie kompletnego chaosu. Nawet psy myśliwskie w psiarni wyczuły to podniecenie i szczekały przez

całą noc w poświęceniu żółtego, wrześnieowego księżycy.

Tradescant postanowił złamać zasady obowiązujące w pałacu. Nie zjadł obiadu w wielkiej sali i poszedł do wsi Weybridge, by kupić chleb, ser i piwo, które zabrał do swojego domku w ogrodzie.

Później posilił się tak samo jak jedwabniki w sąsiadującej z jego siedzibą szopie.

- Dobranoc, robaki! - zawołał wesoło, zdmuchnął świecę i gęsty mrok typowy dla zabitej deskami wioski zaległ w jego sypialni.

Tradescant nie myślał o spotkaniu z królem. Po raz ostatni widział jego królewską mość, kiedy czekali, aż Buckingham przyjedzie do Portsmouth. Przedtem oglądał Karola przed pierwszą wyprawą na wyspę Re. Kiedy zaprowadzono Johna do królewskiej sypialni, ze smutkiem zdał sobie sprawę, że rozgląda się, szukając swego pana. Nie mógł uwierzyć, że diuka tam nie ma.

I nagle zobaczył go jak ducha przywołanego gorącym pragnieniem. Był to naturalnej wielkości olejny portret Buckinghamia. Diuk wyciągał jedną rękę do przodu, jak gdyby chciał ukazać swe piękne, długie palce oraz wspaniałą pierścionek z brylantem, drugą zaś opierał na bogato zdobionej rękojeści miecza.

Miał starannie przystrzyżoną bródkę, bogate, błyszczące, pięknie haftowane i naszywane drogimi kamieniami szaty, ale to twarz przyciągnęła uwagę Tradescanta. To był jego pan, jego utracony na zawsze pan. Te gęste, krucze włosy, lekko uniesione jaskółcze brwi, ten sam arogancki błysk w ciemnych oczach, olśniewający uśmiech i jakiś rys uduchowienia czy też świętości, który król Jakub widział nawet wtedy, gdy pokochał zmysłowe piękno tego oblicza.

John uzmysłowił sobie, że nadal widuje w myślach swego pana, niemal każdego ranka i każdej nocy. Przypomniawszy sobie, jak myślał o tym, iż król zapewne też nie może

461

pogodzić się ze śmiercią swojego przyjaciela. Teraz jednak zrozumiał, że królowi przyszło to łatwiej, ponieważ każdego ranka i wieczora mógł spojrzeć na tę pewną siebie, uśmiechniętą twarz,

poczuć ciepło tych oczu. A jeśli chciał - dotknąć ramy portretu lub nawet musnąć ustami namalowany policzek.

Portretu Buckinghama wcześniej nie było w tej komnacie, tak samo jak kosztownych zasłon i grubych tureckich dywanów na podłodze. Cenne rzeczy król woził zawsze ze sobą. A najcenniejszą z nich był ten portret, który wisiał wszędzie tam, gdzie Karol I spał, nad jego łóżem, żeby mógł go widzieć, zanim zamknie oczy wieczorem i kiedy otworzy je rano.

Król wszedł cicho do swojej sypialni z prywatnej bocznej komnaty i zawahał się, widząc Johna wpatzonego w portret Buckinghama. Coś w pochyleniu głowy, spojrzeniu ogrodnika przypominało monarsze, że John również utracił człowieka, który był dla niego środkiem świata.

- T... ty patrzysz na mój p... portret... diuka.

John odwrócił się, zobaczył monarchę i szybko padł na kolana.

Skrzywił się lekko, uderzając o podłogę chorym kolanem.

Król nie kazał mu wstać.

- Twój z... zmarły pan.

Karol nadal zacinał się trochę, choć już nie jąkał się tak bardzo jak w czasach dzieciństwa. Mógł mówić płynnie i spokojnie tylko z dwojgiem najbliższych mu osób: przedtem z diukiem, a teraz ze swoją żoną.

- Tobie t... też go brakuje - ciągnął. Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż jak słowa współczucia.

John podniósł oczy na twarz jego królewskiej mości. Żal zmienił Karola, który wyglądał na starszego i bardziej zmęczonego, a jego kasztanowe włosy się przerzedziły.

Ciężkie powieki przysłaniały oczy, jakby męczyło go to, co widział, i jak gdyby już nie spodziewał się zobaczyć tego, co pragnął ujrzeć.

- Nadal boleję nad jego śmiercią - powiedział szczerze Tradescant. - Codziennie.

- Ty go k... kochałeś?

- Całym sercem - odparł John.

- A on k... kochał ciebie?

John spojrział na swego króla. Za tym pytaniem kryła się namiętność.

Buckingham nawet po śmierci mógł wywoływać zazdrość.

Tradescant, teraz starszy i rozsądniejszy, uśmiechnął się lekko.

- Pewnie lubił mnie trochę - rzekł. - Kiedy bardzo dobrze mu usłużyłem. Ale jeden jego uśmiech był wart złotej monety od kogoś innego.

Zapadło milczenie. Karol skinął głową, jak gdyby te słowa niewiele znaczyły, odwrócił się do okna i wyjrzał na ogród w dole.

- J... jej królewska mość powie ci, c... co chce, żebyś zrobił - oznajmił. - Ale ja eh... chciałbym, abyś posadził r... róże na jednym z dziedzińców. Różane płatki do rzucania podczas maskarad.

John skinął głową. Człowieka, który zapominał o śmierci swego przyjaciela, żeby mówić o płatkach róż potrzebnych mu podczas maskarad, trudno będzie pokochać. Król rozejrzał się, unosząc brwi.

- Tak, wasza królewska mość - powiedział Tradescant, nadal klęcząc.

Zapytał się w duchu, co jego pan, sir Robert Cecil, który upominał monarchinię znacznie większą od tego władcy, pomyślałby o królu Karolu. O królu, który wprawdzie wyznał swój ból ogrodnikowi, ale kazał mu dalej klęczeć na artretycznym kolanie. Usłyszał szelest jedwabiu i stukot wysokich obcasów.

- Ach, oto i mój ogrodnik! - rozległ się kobiecy głos. John, wciąż na klęczkach, spróbował się uklonić, ale

zdał sobie sprawę, że wyglądałoby to śmiesznie. Podniósł oczy.

Królowa była niską, pulchną kobietą, uszmkowaną, z muszką na policzku i pierścieniami na palcach. Miała na sobie suknię z głębokim dekoltem, który na pewno nie spodobałby się Elizabeth, a bijący od niej mocny zapach kadzidła oburzyłby mieszkańców Arki w Lambeth. Ciemne oczy Henrietty Marii zabłyśły, uśmiechnęła się do Tradescanta i wyciągnęła do niego małą dłoń. John pocałował ją.

- Wstań! Wstań! - rozkazała. - Chcę, żebyś obejrzał ze mną cały



ogród, abym mogła zdecydować, co musimy zrobić!

463

- Potok słów królowej płynął tak wartko w porównaniu z powolną, przerywaną mową jej męża, i miała tak wyraźny obcy akcent, że John nie mógł zrazu zrozumieć, co powiedziała.

- Wasza królewska mość? - Spojrzał w stronę króla z prośbą o pomoc.

Karol zrobił ręką lekki gest, najwyraźniej wskazujący, że John powinien odejść. Ogrodnik znów uklonił się głęboko i wycofał z komnaty. Ku jego zaskoczeniu królowa wyszła z nim. Tradescant przywarł do ściany, kiedy lokaj zamaszystym ruchem otworzył drzwi.

- Chodź! Tędy! - poleciała królowa. Zbiegła z wdziękiem po schodach i znalazła się w zalanym słońcem prywatnym ogrodzie króla.

- Chcę, żeby to miejsce było pełne pachnących kwiatów - powiedziała. - Okna komnaty króla wychodzą na ten ogród, chcę, żeby napływały do niego zapachy.

Tradescant skinął głową, obrzucając spojrzeniem mury otaczające wielki teren. Te zwrócone na południe zapewnią roślinom dodatkowe ciepło, a te od wschodu - osłonę przed wiatrem.

- Mógłbym wyhodować tu prawie wszystko - oświadczył.

- To był ogród królowej matki - wyjaśniła Henrietta Maria. Lekki ruch jej głowy wskazywał, że niezbyt ceni gust poprzedniczki, która lubiła niskie zioła i partery węzłowe z kolorowym żwirem. - Chcę mieć róże pod murami i wszędzie lilie. To są kwiaty z mojego herbu. Chcę, żeby ten wypełniony różami i liliami ogród przypominał o mnie królowi zawsze wtedy, gdy wyjrzy przez okno.

John złożył lekki ukłon.

- Wasza królewska mość ma jakieś życzenia co do kolorów? - zapytał. - Mogę zasadzić bardzo piękne czerwone i białe róże z odmiany Rosamund. Hoduję je w moim ogrodzie w Lambeth.

- Tak, tak - odparła, połykając w pośpiechu wyrazy. Nawet po pięciu latach pobytu w Anglii nadal mówiła po angielsku tak, jak

gdyby to był obcy, dziwny i brzydki język. - A na środkowym klombie chcę mieć parter węzłowy z naszymi splecionymi inicjałami. K i H M. Możesz to zrobić?

464

John skinął głową.

- Oczywiście...

Królowa nagle zeszywniała.

- Oczywiście, wasza królewska mość - poprawiła go ostrym tonem.

- Proszę o wybaczenie - odparł gładko John. - Tak mnie zainteresowało to, co wasza królewska mość mówiła, że się zapomniałem. Oczywiście, wasza królewska mość.

Od razu uśmiechnęła się do niego i podała mu rękę do ucałowania.

John uklonił się nisko i delikatnie dotknął ustami jej palców.

Wyraz jego twarzy nie zdradził, że służył bardziej zrównoważonym, inteligentniejszym i szlachetniejszym panom.

- Ma to być ogród, który wyraża miłość - ciągnęła. - Największą miłość, jaka jest możliwa pod słońcem. Miłość między mężem i żoną i jeszcze szlachetniejszą od niej: między królem i królową.

- Oczywiście, wasza królewska mość - odrzekł John. - Mógłbym posadzić wśród róż symboliczne kwiaty. Białe fiołki oznaczające niewinność, barwinki - stałość, i stokrotki.

Skinęła głową z entuzjazmem.

- I w jednym rogu niebieskie kwiaty na cześć Najświętszej Pani. - Zwróciła na niego ciemne oczy. - Czy wyznajesz prawdziwą wiarę, Tradescant?

John pomyślał o Elizabeth w jej skromnej szarej sukni, o żarliwej baptyście, swojej synowej, i o danej J obietnicy, że praca u królowej nie urazi jego sumienia. Zachował doskonale obojętny wyraz twarzy.

- Chodzę do kościoła moich ojców, wasza królewska mość - odparł. - Jestem zwykłym ogrodnikiem i nie rozmyślam wiele o innych sprawach oprócz roślin i mojej kolekcji osobliwości.

- Powinieneś myśleć o swojej nieśmiertelnej duszy - powiedziała.

- A Kościół twoich ojców to Kościół rzymski. Zawsze powtarzam

to królowi!

Tradescant uklonił się, myśląc, że powiedziała dostatecznie dużo, by oboje zawisli na szubienicy, gdyby król zastosował wobec nich angielskie prawo - co najwidoczniej robił tylko wtedy, gdy mu to odpowiadało.

- I będę chciała mieć kwiaty do mojej kaplicy, mojej

465

prywatnej kaplicy - mówiła dalej królowa. - Niebieskie i białe dla Najświętszej Pani.

- Oczywiście, wasza królewska mość.

- I do moich prywatnych komnat, i zioła do posypywania podłogi, a król chce także, żebyś zaplanował i ponownie urządził ogród lekarski i pilnował ogrodu zielnego.

Tradescant znów złożył głęboki ukłon.

- Pragnę, żeby ten dom wyglądał jak baśniowy pałac -

oświadczyła, w jednej chwili zmieniając się z żarliwej katoliczki w królową-kokietkę. - Jak buduar księżniczki z bajki. Chcę, żeby wszyscy w Anglii, w całej Europie, mówili o tym miejscu jako o ogrodzie z baśni, ogrodzie doskonałym. Słyszałeś o ideale platońskim?

John zdał sobie sprawę, że ogarnia go dziwne zmęczenie, co nigdy dotąd nie zdarzyło mu się w czasie rozmowy o ogrodzie. Nagle poczuł przypływ współczucia dla króla, który stracił niefrasobliwego, wesołego przyjaciela, diuka Buckingham, i nie miał do kogo się zwrócić prócz tej próżnej kobiety.

Królowa wybuchnęła śmiechem.

- Przypuszczam, że nie! - zawołała. - To nieważne, ogrodniku

Tradescant! To koncepcja, która ma wielkie powodzenie na dworze, w naszych maskaradach, w poezji i sztukach teatralnych.

Po prostu powiem ci, że koncepcja ta głosi, iż wszystko ma swoją postać doskonałą - kobieta, mężczyzna, małżeństwo, ogród, róża, i że król i ja chcemy osiągnąć ten ideał.

John popatrzył na nią, żeby sprawdzić, czy mówi poważnie.

Pomyślał, że diuk ryknąłby śmiechem, słysząc taką pedanterię i pretensjonalność. Klepnąłby Johna po plecach i od tej pory

nazywałby go Ogrodnikiem Tradescantem.

- Pomyśl o tym - powiedziała głosem słodkim jak syrop. - Ogród doskonały jako otoczenie dla doskonałego pałacu doskonałego króla i królowej.

- W doskonałym kraju? - zapytał nieostrożnie. Uśmiechnęła się. Nie wyczuła, że za tym pytaniem może kryć się coś innego oprócz oczarowania i podziwu.

- O, tak! - powiedziała. - Jakże mogłoby być inaczej, kiedy rządzą nim mój mąż i ja?

Rozdział Trzydziesty Dziewiąty.

Lato 1631.

John myślał, że ucieszy go wyjazd z domu, gdyż przez całe życie nigdy nie przebywał tak długo w żadnym miejscu i obawiał się, że Lambeth może go znudzić. Zdał sobie jednak sprawę, że brakuje mu ciągle zmieniających się zajęć w Arce, kwitnącego w środku lata ogrodu, a nade wszystko obserwowania Frances, która w ciągu letnich miesięcy 1631 roku wyrosła z małego, szczebiocącego berbecia na niezwykle stanowczą dziewczynkę. Przyjeżdżał do Lambeth przy każdej okazji, żeby wybrać nasiona i sadzonki z własnego ogrodu i zobaczyć wnuczkę. Za każdym razem, gdy wracał do Oatlands, J pojawiał się na dziedzińcu przed stajnią, by pomóc załadować na wóz ciężkie gliniane donice z roślinami.

- Potrzebujesz mnie w pałacu? - pytał, a John kładł rękę na ramieniu syna.

- Poradzę sobie bez ciebie jeszcze przez tydzień - odpowiadał. - Dam ci znać, kiedy będziesz mi potrzebny.

- Wtedy przyjadę - obiecywał J. - Tak jak się umówiliśmy.

Patrzył, jak ojciec wskakuje na kozioł i odjeżdża, a John chichotał pod wąsem z powagi ukochanego syna, który pasował się z tak wieloma sprzecznymi zobowiązaniami: z własnym sumieniem, daną przez siebie obietnicą, ze swym ojcem i żoną.

Do końca lata John skończył plany prac w ogrodzie króla, pokazał je królowej i gotów był do przekopania

ogrodu i ponownego zasadzenia w nim wybranych roślin.

Wybrał sobie zespół pracowników, ale potrzebował pomocy J, który miał nadzorować ich robotę, podczas gdy on sam będzie pracował w ogrodzie królowej, żeby zaplanować jego układ do czasu wysadzania roślin do gruntu.

- Czy tym razem pojedziesz ze mną do pałacu, J? - zapytał, kiedy cała rodzina siedziała pewnego wieczoru na tarasie. J pił z kufła cienkusz, John miał szklaneczkę rumu. - Trzeba na nowo obsadzić ogród lekarski, a teraz królowa poprosiła o kwietną łąkę.

Urażona Jane podniosła oczy znad robótki.

- Co takiego? John się uśmiechnął.

- Kwietną łąkę - wyjaśnił. - Na wzór pewnego starego gobelinu, tego, na którym jest jednorozec otoczony przez myśliwych. To ma być dokładnie takie samo jak łąka, łąka doskonała, ze wszystkimi polnymi kwiatami, ale bez piekących pokrzyw. Trzeba ją obsadzić dzikimi i ogrodowymi roślinami, a potem zrobić wokół niej dróżkę, żeby można było spacerować dla przyjemności wśród dzikich kwiatów.

- A dlaczego nie spacerować po łące? - spytała Jane. John pociągnął następny łyżeczek rumu.

- Królowa nie jest kobietą obdarzoną zdrowym rozsądkiem. Chce, żeby wszystko było doskonałe. Nawet łąka porośnięta dzikimi kwiatami. To dawny styl w ogrodnictwie, nie myślałem, że znów będę projektować taką łąkę. I chociaż ma ona wyglądać na dziką i nietkniętą, utrzymanie jej wymaga niekończącej się pracy - trzeba pilnować, żeby kwiaty wciąż kwitły, i usuwać chwasty.

- Ja mogę tym się zająć - oświadczył J. - Nigdy dotąd czegoś takiego nie robiłem. Chciałbym spróbować.

John podniósł szklaneczkę jak do toastu, dziękując tym samym synowi.

- I w ten sposób będziesz miał niewiele do czynienia z jej królewską mością lub w ogóle jej nie spotkasz - powiedział. -

Odkąd po raz pierwszy pokazała mi ogród i powiedziała, czego chce, prawie jej nie widuję. Spędza większość dnia z królem lub z damami dworu. Chce mieć

ten ogród jako dekorację do teatru, w którym gra królową. Nie interesuje jej ogrodnictwo.

- To dobrze - odparł J. - Bo mnie nie interesuje ona.

John zaplanował wszystko tak, żeby J ani razu nie spotkał ani króla, ani królowej, więc polecił mu przybyć w dniu, kiedy dwór miał ruszyć dalej.

Ale jak zwykle panowało wielkie zamieszanie i wyjazd się opóźnił, tym razem o tydzień. J ścinał rozkwitłe róże w ogrodzie różanym i starannie strząsał do szerokiego, płaskiego kosza płatki, które miały zostać ususzone. Nagle podniósł oczy i zobaczył, że obserwuje go niska, ciemnowłosa kobieta.

Zauważył, że nosi bogatą biżuterię, odziana jest w kosztowną jedwabną suknię ozdobioną koronkami i że idą za nią dworzanie. Zdjął więc kapelusz i ukłonił się tak nisko, jak tego wymagała grzeczność, ale nie niżej.

- Kim jesteś? - zapytała nagle.

- Jestem John Tradescant, młodszy John Tradescant, wasza królewska mość.

- Chcę, żebyś oddzielił białe płatki od różowych - powiedziała mu.

- Oddzielam je, wasza królewska mość - odparł J.

- Możesz je zanieść do destylarni, kiedy wyschną - poleciła.

J ukłonił się ponownie. Płatki miały zostać wysuszone w szopie z jedwabnikami i kobieta zarządzająca destylarnią ich nie potrzebowała. Były przeznaczone do posypywania podłogi podczas balu i przesypywania odzieży w szafach. Mieli je otrzymać mistrz maskarady oraz mistrzyni garderoby. Nie warto jednak było spierać się z królową, kiedy chciała udawać, że rozumie funkcjonowanie pałacu.

- Chcę, żeby pośrodku tego ogrodu posadzono drzewo -

oświadczyła nagle. - Duże drzewo i róże wyrastające spomiędzy jego korzeni. Ma to symbolizować troskę mojego męża o jego lud. Dąb, który będzie symbolem królewskiej potęgi i siły, i białe róże, mające symbolizować niewinnych, dobrych ludzi skupionych

wokół niego.

- Róże nie lubią cienia, wasza królewska mość

469

- odpowiedział ostrożnie J. - Niestety, nie sądzę, żeby długo wytrzymały pod dużym dębem.

- Na pewno możesz posadzić kilka krzaków!

- One potrzebują słońca i lubią mieć dużo powietrza między gałęziami - wyjaśnił J. - Uschną i zginą, jeśli zostaną posadzone pod dębem.

Nadała się, jak gdyby J celowo udawał głupiego.

- Ale to symboliczne!

- Rozumiem - odparł J. - Ale róże zginą.

- W takim razie musisz posadzić je ponownie za każdym razem, kiedy zginą.

J skinął głową.

- Mogę to zrobić, jeżeli wasza królewska mość sobie życzy. Tylko że to wielkie marnotrawstwo.

- Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztować - odparła krótko.

- I nigdy nie będzie dużego krzewu różanego, ponieważ nie będzie miał dość czasu, żeby wyrosnąć, wasza królewska mość.

Skinęła głową i zamyśliła się, postukując maleńką stopą w doskonale wygrabiony żwir. J pomyślał, że chyba naprawdę rzadko ktoś odmawia wykonania jej rozkazu. Dworzanie, którzy wlekli się z tyłu, dogonili królową. Przenosili teraz wzrok z młodego Tradescanta na królową, jakby się obawiali, że jego bezkompromisowość spowoduje wybuch gniewu Henrietty Marii, od którego wszyscy ucierpią.

Lecz zamiast tego na usta królowej wypłynął uśmiech.

- Dąb ma symbolizować dobroczynne panowanie mojego męża - powiedziała wolno i wyraźnie, jakby J był idiotą. - Pod osłoną dębu musisz posadzić coś, co symbolizuje lud królestw, którymi rządzi. A na zewnątrz drzewo ma okalać pierścień róż i lili, które są moimi symbolami.

J nasłuchiwał się o symbolice w szkole, chociaż nigdy nie zdołał dobrze się tego nauczyć.

- Rozumiem, wasza królewska mość - odpowiedział uprzejmie - ale, niestety, cień tak dużego drzewa bardzo szkodzi wszystkim roślinom. Nic pod nim się nie utrzyma, może z wyjątkiem mchu i trawy. Dąb dusi i tłamsi rośliny, które próbują pod nim rosnąć. Silne i piękne rośliny potrzebują własnej przestrzeni i słońca.

470

Zmarszczyła brwi i odwróciła się od J.

- Mam nadzieję, że nie próbujesz udawać bardziej rozgarniętego, niż wypada komuś z twojego stanu!

J zachował kamienną twarz.

- Jestem tylko nędznym ogrodnikiem, wasza królewska mość. Wiem jedynie, co może wyrosnąć w ogrodach. Znam się na sadzeniu roślin i pieleniu.

Zawahała się na chwilę, a potem postanowiła się uśmiechnąć.

- No cóż, w takim razie posadź coś ładnego w środku tego ogrodu

- odparła, udając, że lekceważy niepowodzenie swych planów. - Nie obchodzi mnie co.

J złożył niski ukłon i zobaczył, że dworzanie spoglądają po sobie z wyraźną ulgą. Królowa ruszyła dalej. Jakiś dostojnik podszedł do niej, wziął ją pod rękę, szepnął jej coś do ucha, a Henrietta Maria roześmiała się i potrząsnęła głową. Inny dworzanin zatrzymał się i patrzył, jak J znów zabiera się do pracy, ścina róże i zrywa płatki.

- O czym to mówiłeś, ogrodniku? Że władza króla, który wciąż ją powiększa, hamuje wzrost i odbiera siły naszemu królestwu?

J zwrócił na dworzanina niewinne spojrzenie.

- Ja, panie? Nie. Ja mówiłem o dębie i różach. Tamten spojrzał mu prosto w oczy.

- Jest wielu takich, którzy mogliby pomyśleć, że dotyczy to zarówno władzy królewskiej, jak i roślin - rzekł. - Jest wielu takich, którzy mogliby uznać, że władzę królewską należy oczyszczać i przycinać tak, żeby dobrze pasowała do ogrodu i dobrze wyglądała obok innych wielkich roślin, parlamentu i Kościoła.

J chciał przytaknąć, twarz mu się wypogodziła i już miał zrzucić maskę ostrożności, gdy przypomniał sobie ostrzeżenia ojca.



- Nic o tym nie wiem - odpowiedział flegmatycznie. - Ja tylko ścinam róże.

Dworzanin skinął głową i odszedł. John wyprostował się dopiero wtedy, gdy tamten zniknął mu z oczu. Wówczas spojrzął w tamtą stronę.

- A więc lewellerzy to porządne towarzystwo - powiedział w zamyśleniu. - Jeśli są w samym pałacu królewskim.

471

J miał rację. Nie wszyscy, którzy tańczyli na maskaradach i podziwiali rosnącą kolekcję portretów ukazujących Karola jako źródło mądrości i Henriettę Marię jako największą piękność, wierzyli w to, co widzieli, lub w powtarzane przez siebie słowa. Dla niektórych była to zabawa, sposób spędzania wolnego czasu w królestwie, które nierządem stało; miejscowi ziemianie narzucali miejscowe prawa, a o kwestiach dotyczących całego kraju przypominano sobie tylko sporadycznie. Młodzi szlachcice przybywali na dwór królewski i udawali, że się kochają w królowej, pisali sonety o jej ciemnych lokach, sławili jej białą cerę. Polowali z Karolem, zabawiali go pieśniami, dramatami, żywymi obrazami. Było to łatwe życie, chociaż bezsensowne i płytkie. Tylko inteligentniejsi i bardziej ambitni pragnęli czegoś więcej. Tylko nieliczni patrioci byli zdania, że w taki sposób nie można rządzić królestwem, które niegdyś uważano za jedno ze światowych mocarstw.

Henrietta Maria nie chciała mówić o zmianach. Narzucenie władzy Anglii za granicą wymagałoby sprawnej armii lub floty, a ani jednej, ani drugiej nie można było stworzyć bez pieniędzy. Królewski skarbiec zawsze świecił pustkami i jedynym sposobem zdobywania pieniędzy było wymyślanie coraz to nowych i coraz bardziej wymyślnych podatków, czyli nowych źródeł dochodu uzyskiwanych bez zwoływania parlamentu. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęli król czy królowa, było ponowne zwołanie parlamentu i wysłuchiwanie krytycznych komentarzy Izby Gmin o ich planach, o wydatkach, praktykach religijnych i dworze.

- A może moglibyśmy pożyczyć pieniądze? - zasugerowała

Henrietta Maria na posiedzeniu rady królewskiej.

Doradcy złożyli ukłon. Nikt nie chciał powiedzieć królewskiej parze, że w Anglii uzyskanie kredytu jest niemożliwe.

- Tak, właśnie tak - powiedział Karol z zadowoleniem. -

Dopilnujcie tego, milordowie. - Po czym uśmiechnął się i wyszedł z posiedzenia rady z miną człowieka, który wykonał swoje zadanie.

Nikt nie miał takiej władzy, by go przywołać. Karol słuchał tylko królowej, a ona słuchała swojego spowiednika,

472

ambasadora Francji, faworytów ze swego nielicznego dworu, sług i każdego, kto jej się spodobał. Miała tak zmienne usposobienie, że nie można było jej zjednać prezentami ani przekupić. Nawet francuski ambasador - reprezentant jej własnego kraju - nie mógł mieć pewności, że królowa poświęci mu całą uwagę. Kiedy z nią rozmawiał, wyglądała przez okno lub wędrowała po komnacie, obracając w palcach śliczne ozdóbki, zawsze roztargniona, wiecznie szukająca rozrywek. Skupiała się tylko w obecności króla. Naprawdę zależało jej tylko na jednym i pragnęła to utrzymać: żeby mąż ciągle zajmował się nią i tylko nią.

- No cóż, tak długo dzieliła go z diukiem Buckinghamem - powiedziała Elizabeth do Johna, kiedy pewnej nocy kładli się spać. - Musi teraz zawsze czuwać, żeby nie znalazł sobie innego faworyta.

John pokręcił głową.

- Król dochowuje jej wierności - wyjaśnił. - Ona jest zwyczajną, nieładną kobietą, lecz teraz panuje w jego sercu. Nie łączy ich namiętność ani upodobania, ale król łączy do niej, jakby był małym pieskiem salonowym.

Elizabeth uśmiechnęła się lekko.

- Porównujesz króla Anglii do psa? Mówisz zupełnie jak J!

- Wodzi za nią oczami po komnacie. - John włożył szlafmycę. - A kiedy ją obserwuje, ona nigdy nie tkwi w miejscu. Zawsze gra rolę czarującej kobietki. - Stęknąwszy z zadowoleniem, podciągnął wyżej koce. - Doprowadziłaby mnie do szaleństwa - dodał

szczerze.

Elizabeth usiadła na łożu i odwinęła prześcieradło na kocach otulających ramiona męża.

- Noce stają się chłodniejsze. Czy jest ci dostatecznie ciepło w twoim domku w Oatlands?

- Oczywiście - odparł John. - Te robaki i ja żyjemy jak królowie. W ich szopie ustawiono osiem piecyków opalanych węglem drzewnym, a ja z tego korzystam. Zimna z ciebie towarzyszka w porównaniu z moimi sąsiadami.

Elizabeth nie obraziła się i zachichotała.

- Był małym, smutnym chłopcem - ciągnął John, wracając do króla. - Czasami widywałem go w Hatfield. Król Jakub

473

go nie kochał, a matka nigdy nie chciała go widzieć. Nikt nie przypuszczał, że kiedyś zostanie królem, gdyż miał silnego starszego brata, więc nikt się nim nie przejmował. Niektórzy mówili nawet, że nie przeżyje. Kochał do obłędu swoje starsze rodzeństwo, ale jego brat umarł, a siostrę wydano za mąż za granicę. Dopiero gdy diuk okazał mu przyjaźń, znalazł kogoś, kogo mógł kochać.

- A potem on również umarł - dodała Elizabeth. John pochylił głowę.

- Niech Bóg obdarzy spokojem jego duszę. Teraz królowi pozostała tylko żona. A jedynym prawdziwym przyjacielem na całym świecie, jedynym człowiekiem, na którego ona może liczyć, jest właśnie król. Wszyscy inni chcą czegoś od niej lub mają nadzieję na uzyskanie czegoś za jej pośrednictwem. Oboje muszą być bardzo samotni.

- W takim razie dlaczego nie żyją mniej wystawnie? -zapytała praktyczna jak zawsze Elizabeth. - Jeżeli otaczają ich pieczeniarze i pochlebcy, którzy tylko im szkodzą, dlaczego się ich nie pozbędą? Dlaczego nie spędzają więcej czasu ze swoimi dziećmi? Czemu nie poszukają ludzi o czystym sumieniu, którzy nie wykorzystywaliby ich i im nie schlebiali? Bóg wie, że dość było ludzi z zasadami w ostatnim parlamencie i Karol musiał ich

widywać dostatecznie często.

- Ceną, jaką każdy król musi zapłacić za władzę, jest utrata zdrowego rozsądku - odparł sucho John. - Widywałem to często u monarchów i u wielkich ludzi. Pochlebcy kłamią im tak słodko i tak często, że tamci w końcu przestają odróżniać prawdę od fałszu. Kładą im cukier i miód na język tak długo, aż robi im się od tego niedobrze, ale mimo to nie potrafią zażądać chleba i sera.

- Biedacy! - powiedziała wesoło, z ironią Elizabeth.

- Tak, prawdziwi z nich biedacy - odrzekł John z powagą, myśląc o swoim diuku, który zginął bez przyjaciół i został pogrzebany w nocy, w głębokiej tajemnicy.

Rozdział Czterdziesty.

Zima 1632-3.

Jane źle się czuła. Cały czas była zmęczona i nie miała apetytu. Nadeszło i przeminęło Boże Narodzenie, a jej się nie polepszyło. Kiedy rankiem w Święto Trzech Króli Frances pobiegła do rodziców po prezenty, zobaczyła, że matka jest blada i źle wygląda.

- Chyba powinien zbadać ją medyk - powiedziała Elizabeth do syna przy śniadaniu.

- Chce pojechać do swojej matki i zostać u niej kilka dni - odparł J. - Zawiozę ją jutro naszym wozem.

- Zostaw Frances tutaj - odezwał się John z drugiej strony stołu. - Zostaniesz z dziadkiem, prawda, Frances? - Widział tylko główkę w jasnych lokach i uniesione pytająco brewki.

Dziewczynka podskoczyła z radości.

- Tak - powiedziała stanowczo. - I będziemy robili różne rzeczy.

- Jakie rzeczy? - zapytał ostrożnie John.

- Wielkie rzeczy - odparła tajemniczo.

- Przenocuję u teściów i wrócę następnego dnia - oznajmił J. -

Zapytam w porcie, czy nie ma czegoś interesującego, co mógłbym zabrać do domu.

- Przygotuję ci koszyk ze wszystkim, czego możesz potrzebować - powiedziała Elizabeth, wstając od stołu. - Chodź i pomóż mi, Frances, możesz pójść do spiżarni i wybrać słoik śliwek dla babci

Hurte.

475

John poszedł do sadu dopiero po odjeździe Jane. Przedtem czekał przy wozie na podwórzu, aż usiadła na koźle, a jej sakwy zostały załadowane.

- Szybko wracaj - powiedział z nagłym niepokojem. Była blada, ale mimo to zdołała się uśmiechnąć.

- Nie, zostanę z matką i opowiem jej, jak mnie bijecie i zmuszacie do pracy nad siły.

- Jesteś mi bardzo bliska - odrzekł John burkliwie. - Nie podoba mi się ta twoja bladość.

Nachyliła się do jego ucha.

- Możliwe, że czuję się niedobrze z ważnego powodu - szepnęła. - Z bardzo ważnego powodu. Jeszcze nie powiedziałam Johnowi, więc proszę, nie wygadajcie się.

Dopiero po chwili zrozumiał, co miała na myśli. Cofnął się i uśmiechnął do niej promiennie.

- Sir John Tradescant z Lambeth?

- Sam sir John Tradescant - potwierdziła.

Rozdział Czterdziesty Pierwszy.

Lato 1633.

Tym razem Jane dobrze znosiła ciężę, a jej mąż miał łatwą pracę w pałacu, ponieważ w maju król opuścił Anglię i wyruszył z wielką pompą na północ.

- Wyssał z Anglików wszystkie pochwały - powiedział kwaśno J do żony - i dlatego musi pojechać do biednych Szkotów, żeby tańczyli tak, jak im zagra.

Skinęła głową, ale nie odpowiedziała. Tego ciepłego czerwcowego wieczoru na tarasie szyła ubranka dla dziecka, a John był w ogrodzie i mógł ich usłyszeć.

- Słyszałeś, jak przebiega królewska podróż? - zapytała.

J skinął głową.

- Podczas podróży na północ jechał konno i polował. Wszędzie, gdzie się zatrzymuje, wydawane są uczyty, urządza się uroczyste pochody i ceremonie nadania szlachectwa. Widzi, że cały kraj się

wykosztowuje, żeby go powitać, i myśli, że wszystko jest w porządku.

- A nie jest? - spytała Jane. Ostrożnie oparła rękę na zaokrąglonym brzuchu. - Po rozwiązaniu parlamentu, kiedy w kraju panuje spokój? Może tylko nieliczni, podobni do ciebie, są niezadowoleni z króla?

J wzruszył ramionami.

- Cóż mogę powiedzieć? Kiedy spotykam kleryka lub wędrownego kaznodzieję, opowiadają mi o uwięzieniu ludzi, którzy mówią za dużo lub skarżą się na niesprawiedliwe podatki.

477

Wiem, że w Londynie jest więcej papistów niż kiedykolwiek dotąd i że wolno im uczestniczyć w mszach w samym sercu Anglii. Wiem, że najbliżsi przyjaciele króla są papistami, jego żona jest papistką i rodzice chrzestni jego syna są papistami. Wiem też, że nasz pastor w Lambeth nie zgadza się z nowym arcybiskupem Canterbury, Williamem Laudem, który, jak się wydaje, jest biskupem całego kraju, a teraz został arcybiskupem i ma jeszcze większą władzę. Ale masz rację - nikt się temu głośno nie sprzeciwia - może tylko ja jeden.

Jane pochyliła się i dotknęła jego ogorzałego policzka.

- I ja - powiedziała. - Nie dziękuję arcybiskupowi Laudowi za to, że zarządził, jak powinnam się modlić. A mój ojciec jest wściekły z powodu podatków. Ale nikt nie może nic zrobić. Nie ma parlamentu - więc kto może powiedzieć królowi, że źle postępuje?

- Zwłaszcza kiedy głupcy przybywają tłumnie i rzucają róże pod kopyta jego konia! - warknął gniewnie J. - I kiedy dotyka bandy cholernych durniów, którzy mają skrofuły, i uważa, że jego ręka ich uzdrawia.

Jane milczała chwilę.

- Chcę wierzyć, że nadchodzą lepsze czasy - powiedziała.

Żal brzmiały w jej głosie zwrócił uwagę J. Jedną ręką ujął dłoń żony, a drugą oparł delikatnie na jej brzuchu.

- Nadchodzą dla nas - rzekł, by dodać jej otuchy. - Bez względu na to, co się dzieje z królem i jego głupim dworem. Drugie dziecko w

drodze i ogród, w którym wszystko pięknie rośnie. Te czasy są dla nas dobre i nadchodzą jeszcze lepsze.

Sprawdziła się przepowiednia Johna, że będzie miał wnuka.

Pewnego ciepłego wrześnieowego dnia po południu Jane urodziła dużego chłopca o kasztanowych włoskach. J zrywał jabłka w najdalszym krańcu sadu, gdyż nie mógł znieść przeraźliwych krzyków żony. John i Frances szli razem alejką kasztanowców, wypatrując kasztanów, które wcześniej spadły na ziemię.

- Upieczemy je - zażartowała Frances, drażniąc się z dziadkiem, jak przystało na rozgarniętą trzylatkę.

478

- To nie są słodkie kasztany. - John wpadł w zastawioną przez wnuczkę pułapkę. - One nie nadają się do jedzenia.

- W takim razie te drzewa są do niczego - odparła niewinnie. - Nie podobają mi się.

- Och, Frances... - zaczął John, a potem zobaczył figlarny błysk w jej oczach. - Jesteś niedobrą dziewczynką - oświadczył. - Chyba dam ci w skórę. - Odwrócił się ku niej, a Frances uniosła skraj sukienki, szybko znalazła się poza zasięgiem rąk dziadka i pobięła alejką do ojca.

- Johnie! J! - dobiegł ich z werandy głos Elizabeth. John zobaczył pobladałą twarz syna, który błyskawicznie zsunął się z drabiny i pognął co sił w nogach prosto do domu, mijając córkę i ojca.

- Nic jej nie jest?

Wyraz twarzy Elizabeth wystarczył, by go uspokoić.

- Czuje się dobrze. Jest tylko bardzo zmęczona. I masz syna.

J aż zaskowyczał z radości.

- Syn! - wrzasnął w stronę alei, którą szedł, kulejąc, jego ojciec, a Frances podskakiwała tuż za nim. - Syn! Chłopiec!

John zatrzymał się i szeroki uśmiech rozjaśnił mu twarz. Odwrócił się do Frances.

- Masz brata - rzekł do niej. - Twoja matka urodziła maleńkiego chłopca.

Przybrała wyraz powagi, niewzruszonej powagi trzyletniego dziecka, zdecydowana, że nie pozwoli, by słowa dziadka wywarły

na niej wrażenie.

- Czy to bardzo dobrze? - zapytała.

John chwycił ją i jak zwykle posadził na barana.

- To bardzo dobrze - odparł. - To znaczy, że nasze nazwisko będzie trwać wiecznie, gdyż syn przedłuży nasz ród. Sir John Tradescant z Arki w Lambeth. To rzeczywiście bardzo ładnie brzmi.

- Ja też kiedyś będę się nazywała „sir” - powiedziała Frances stłumionym głosem, gdyż wtuliła twarz w plecy dziadka.

- Tak, będziesz - zgodził się John. - Dopilnuję, żeby król się dowiedział, jak będę z nim rozmawiał następnym razem, że musisz zostać uszlachcona.

Rozdział Czterdziesty Drugi.

Zima 1634.

Królowej najwyraźniej spodobało się drażnienie J. Wydawało się też, że pragnie znaleźć jakiś sposób, aby zmusić go do zrobienia dokładnie tego, co postanowiła w sprawie dębu.

Nie mogła zapomnieć, że odrzucił jej plany, gdyż drażniło to jej próżność. Kiedy spacerowała po ogrodach w otoczeniu dam dworu, otulona w najkosztowniejsze futra, lub obserwowała swoich dworzaków strzelających z łuków do celu, zatrzymywała się, widząc J, i wzywała go do siebie.

- Oto mój ogrodnik, który sadi tylko to, co mu się podoba! - wykrzykiwała z wyraźnym francuskim akcentem. - To młody Tradescant.

J zaś zgodnie z pouczeniami ojca zdejmował kapelusz mimo zimnego wiatru; posłuszny słowom żony kłaniał się, ale niezbyt nisko, zaciskał zęby, przybierał obojętny wyraz twarzy i usiłował zachować cierpliwość, kiedy królowa starała się go oczarować.

- Chcę, żebyś zaorał cisową aleję. Teraz w zimie jest taka ciemna i ponura.

- Oczywiście - odparł J. - Tylko że...

- Znowu zaczynasz! - zawołała. - Nigdy nie mogę zrobić tego, co chcę, w moim własnym ogrodzie, Tradescant zawsze przeforsuje swój punkt widzenia. Dlaczego nie mogę pozbyć się tych drzew?



J przeniósł spojrzenie z ogrodu na piękną aleję. Drzewa były tak stare, że nachyliły się ku sobie i splotły gałęziami, tworząc doskonale krągły tunel. Pod nimi biegła ścieżka z udeptanej ziemi, z obu stron oznaczona idealnie kulistymi białymi kamieniami. W ciemnozielonym cieniu pod cisami nic nie rosło, gdyż nawet w środku lata promienie słoneczne nie przebijały się przez sklepienie z gałęzi. W upalne dni było tam chłodno jak w jaskini. Dotknięcie tych drzew w innym celu niż oczyszczanie i przycinanie byłoby bezmyślnym niszczeniem.

- Przydadzą się waszej królewskiej mości na łuki dla dworzan - odparł grzecznie. - Cisy hoduje się specjalnie w tym celu, są bardzo mocne, wasza królewska mość.

- Możemy dostać cisy skądinąd - powiedziała lekko.

- Nie tak dobre jak te.

Odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się jak mała dziewczynka. Kokieteria królowej nie wywarła żadnego wrażenia na J, który odróżniał szczery śmiech od sztucznego chichotu.

- Widzicie, jaki on jest? Widzicie? - zapytała, zwracając się do jednego z dworzan. Mężczyzna uśmiechnął się w odpowiedzi. - Nie pozwalają mi nic robić z moją własną ziemią. Tradescant, cieszę się, że nie jestem twoją żoną. Czy masz żonę?

- Tak, wasza królewska mość. - J najbardziej nie lubił, kiedy królowa zadawała mu osobiste pytania.

- Została w waszym domu? W - jak go nazywasz -w Arce?

- Tak, wasza królewska mość.

- I dzieci?

- Chłopca i starszą dziewczynkę.

- Ależ to świetnie! - zawołała. - Czy uwielbiasz swoją żonę, Tradescant? Spełniasz każde jej życzenie?

J się zawahał.

- Nie wszystkie żony mają takie szczęście jak wasza królewska mość - szybko wtrącił ten sam dworzanin. -Niewiele żon ma mężów, którzy uwielbiają je tak, jak król uwielbia ciebie, najjaśniejsza pani. Dla jego królewskiej mości jesteś boginią.

Jesteś boginią dla nas wszystkich.

Henrietta Maria zarumieniła się lekko i uśmiechnęła.

481

- Ach, to prawda, ale mimo wszystko musisz być dobry dla swojej żoneczki, Tradescant. Chciałabym, żeby los był taki łaskawy dla wszystkich kobiet w tym królestwie jak dla mnie.

J ukłonił się, by uniknąć odpowiedzi.

- A ona musi być ci posłuszna - ciągnęła królowa. -I musicie wychowywać wasze dzieci tak, żeby słuchały was obojga, tak jak król i ja jesteśmy niczym ojciec i matka dla naszego ludu. Wtedy pokój zapanuje zarówno w kraju, jak i w twoim domu.

J ugryzł się w język, żeby nic nie powiedzieć, i ponownie zgiął się w ukłonie.

- I wszyscy będą szczęśliwi - dodała królowa i zwróciła się do dworzanina: - Czyż nie tak być powinno?

- Oczywiście - odparł po prostu. - Dopóki poddani pamiętają, że muszą was kochać i być wam posłuszni, jak gdybyście byli ich rodzicami, wszyscy będą szczęśliwi.

J musiał znosić zainteresowanie królowej, ponieważ tamtej jesieni częściej bywał w Oatlands niż jego ojciec. W październiku Elizabeth zachorowała, miała bóle w klatce piersiowej i męczył ją ciężki kaszel, na który nic nie pomagało. Dlatego John nie chciał jej opuszczać.

W listopadzie podniosła się z łoża, żeby asystować przy chrzcie najmłodszego Johna w miejscowym kościele, ale wcześniej opuściła wydane z tej okazji przyjęcie. Kiedy John przyszedł do niej, leżała, drżąc z zimna, chociaż służebna rozpałała ogień na kominku w sypialni.

- Moja droga - rzekł. - Nie wiedziałem, że jesteś taka chora.

- Zimno mi - odparła. - Zimno przejmuję mnie do szpiku kości.

John dorzucił drewno do ognia i wyjął jeszcze jedną kołdrę ze skrzyni stojącej w nogach łoża. Mimo to twarz Elizabeth nadal była blada, a palce lodowate.

- Wydobrzejesz na wiosnę - powiedział wesoło. - Kiedy ziemia się ogrzeje i zakwitną żonkile.

- Nie jestem rośliną zrzucającą liście - zaprotestowała pobladłymi ustami. - Nie rozkwitnę jak drzewo.

482

- Ależ rozkwitniesz - powtórzył z nagłym niepokojem John. - Poczujesz się lepiej, Lizzie.

Potrząsnęła głową tak lekko, że ledwie zauważył ten ruch.

- Nie mów tak! - zawołał. - Zawsze myślałem, że odejdę pierwszy. Jesteś o wiele lat młodsza ode mnie, to tylko przeziębienie!

Znow zrobiła ten lekki ruch.

- To coś więcej niż przeziębienie - szepnęła. - Rośnie we mnie jak kość, uciska od wewnątrz. Czuję, jak przeszkadza mi oddychać.

- Byłaś u medyka? - zapytał John. Skinęła głową.

- Nie mogłem znaleźć nic złego, ale ja czuję to coś w środku, Johnie. Chyba nie zobaczę twoich żonkili na wiosnę.

Poczuł, że coś ściska go w gardle i pieką go oczy.

- Nie mów takich rzeczy!

Uśmiechnęła się i odwróciła głowę, by spojrzeć na męża.

- Byłbyś pierwszym mężem, który może się obejść bez żony - powiedziała. - Połowę naszego małżeńskiego życia spędziłeś w swoich ogrodach lub w podróżach, a drugą połowę ze swoim panem.

Ta znajoma skarga sprawiła mu teraz wielki ból.

- Zanieczyli cię? Myślałem, że... miałaś J i swój dom, a tamto było całym moim życiem, zanim się z tobą ożeniłem... myślałem, że...

Elizabeth rzuciła mu łagodny, wyrozumiały uśmiech.

- Twoja praca była pierwsza - powiedziała po prostu - a twój pan stał ponad wszystkim. Ja zajmowałam trzecie miejsce w twoim życiu. Chyba nigdy nie kochałeś żadnej kobiety bardziej niż mnie, prawda, Johnie?

Tradescant przypomniał sobie uśmiechniętą służebną z Theobalds Palace sprzed kilku dziesięcioleci, które wydały mu się wiekami, i kilka innych na poły zapomnianych kobiet między tamtą chwilą a obecną.

- Nie - odparł i powiedział prawdę. - Żadnej kobiety nie darzyłem tak wielką miłością jak ciebie. Najwyżej stawiałem moje ogrody, a mojego pana ponad wszystkim, ale zawsze byłaś ty, Elizabeth. Byłaś jedyną kobietą w moim życiu.

483

- I jakąż długą drogę przebyliśmy - powiedziała z niedowierzaniem.

Poprzez drewnianą podłogę sypialni dotarły do nich stłumione odgłosy przyjęcia. Najlepiej usłyszeli głos Josiaha Hurte'a, a potem, w zapadłej nagle ciszy, zachwycony śmiech Frances, kiedy ktoś podrzucił ją do góry.

John skinął głową.

- Wielki dom, kolekcja osobliwości, ogród-rozsadnik, sad i stanowisko w pałacu królewskim.

- I wnuki - dodała Elizabeth z zadowoleniem. - Bałam się, kiedy był tylko J, a potem, gdy przyszła na świat tylko Frances...

- Że nie będzie nikogo, kto by nosił nasze nazwisko? Skinęła głową.

- Wiem, że to próżność...

- Są nasze drzewa - odparł John. - Kwiaty, owoce i moje kasztanowce. Pielęgnowaliśmy je tak, jak naszego syna. A teraz we wszystkich największych ogrodach w Anglii rośnie przynajmniej jedno takie drzewo. To nasze dziedzictwo. Kasztanowce, które razem wyhodowaliśmy.

Odwróciła głowę i zamknęła oczy.

- Wiedziałam, że tak powiesz - szepnęła, ale nie była to skarga.

- Leż spokojnie - powiedział John, wstając sztywno z łoża. - Przyślę służebną z napojem z grzanego mleka z korzeniami. Leż spokojnie i wracaj do zdrowia. Zobaczysz moje żonkile tej wiosny, Elizabeth, i nawet białe i różowe kwiaty na naszych kasztanowcach.

W styczniu, kiedy nowe dziecko rosło, a Elizabeth tak osłabła, że już wcale nie wstawała z łoża, J zastał swego ojca w chwili, gdy ten nadzorował chłopca-pomocnika, który wykopał ostrożnie młody kasztanowiec i przesadził go do dużej, przenośnej skrzyni.

J i chłopiec wsunęli drągi w metalowe pierścienie. Pod kierunkiem Johna zanieśli ją do domu, do gabinetu osobliwości, i postawili przy wielkim oknie, gdzie drzewko mogło chwytać słabe promienie słońca.

- Co robisz?

- Pędzę je - wyjaśnił John.

484

Obok skrzyni stała przecięta na pół beczka z żonkilami, którą dopiero co przyniesiono z sadu; ich zielone kiełki ledwie wyłaniały się z wilgotnej ziemi.

- Potrzebna nam oranżeria - oświadczył John. - Powinniśmy byli zbudować ją przed laty.

- Potrzebna - zgodził się z nim J. - Ale dla delikatnych zagranicznych roślin; nie dla żonkili i młodych kasztanowców. Co z nimi robisz?

- Chcę, żeby zakwitły - wyjaśnił John. - Tak szybko, jak zdołam je podpendzić.

- Po co?

- Żeby sprawić przyjemność twojej matce - odparł John, mówiąc synowi tylko pół prawdy.

Każdego wieczoru John dokładał drewno do ognia, tak że rośliny miały ciepło przez całą noc, codziennie spryskiwał je trzy, cztery razy ciepłą wodą. Wieczorami ustawiał wokół nich świece, żeby dostarczyć im dodatkowego światła i ciepła. Młodego J to śmieszyło, ale w zachowaniu ojca było coś, co wprawiało go w konsternację.

- Dlaczego chcesz, żeby zakwitły wcześniej?

- Mam swoje powody - odpowiedział John.

Rozdział Czterdziesty Trzeci.

Wiosna 1634.

John osiągnął swój cel. Kiedy Elizabeth umierała w marcu, jej pokój wypełniał złocisty blask tuzinów żonkili, a ich słodki zapach przenikał powietrze. Zanim jej zmęczone oczy zamknęły się po raz ostatni, zdążyła jeszcze zobaczyć Johna, który wszedł do sypialni, ciepło uśmiechnięty, z rękami pełnymi ślicznych

różowych i białych kwiatów kasztanowca.

- To dla ciebie - powiedział i pocałował żonę na pożegnanie. Elizabeth próbowała odpowiedzieć: „dziękuję, kocham cię, Johnie” - ale zapadała się w mrok. Zresztą on i tak o tym wiedział. Po pogrzebie John wrócił do swojego pałacyku obok szopy z jedwabnikami i pozostał w Oatlands aż do lata. Nie chciał mieszkać w domu w Lambeth bez Elizabeth. Nie mógł spać w nocy; lubił jednak swój ciepły, śliczny, drewniany domek i czerpał dziwną otuchę z myśli, że obok niego tysiącom śpiących w malutkich kokonach stworzeń śnią się takie sny, jakie miewają jedwabniki.

Królowa zaaprobowwała postawienie szopy na węgiel oraz nowej, pięknej oranżerii i John nadzorował budowę. Był to jeszcze jeden fantastyczny drewniany budynek wyglądający jak pałacyk. Szybko został ukończony i John napisał do syna, aby przywiózł kilka sadzonek cytrusów,

486

kiedy przyjedzie następnym razem. Oprócz pracy w oranżerii w chłodne wiosenne dni w ogrodach niewiele było do zrobienia, ale John lubił po nich spacerować. Pilnował, żeby w strumieniach i fontannach nie pływały zeszłoroczne liście, i przyglądał się zielonym kiełkom przebijającym się odważnie przez wciąż jeszcze zimną ziemię. Kiedy zrobiło się cieplej, przygotowywał nowy trawnik do gry w kule dla ich królewskich gości i patrzył, jak jego pomocnicy kopią, rozdrabniają i bronują twardey grunt, aż zniknie ostatni kamień i ziemię będzie można obsiać. Sarkali, kiedy kazał im wybierać przegniły nawóz ze stajni, a potem dolewać do niego wody, aż zamarzł, stopniał i znów zamarzł, ale John upierał się, że ziemia musi być żyzna i gładka przed rzuceniem w nią nasion.

Kiedy biało-zielone przebiśniegi zakwitły gęsto jak kobierzec pod drzewami, John przypomniał sobie diuka Buckingham, który uwielbiał oglądać pierwsze okazy tych kwiatów w New Hall. A gdy rozkwitły żonkile, przyszła mu na myśl Elizabeth, która umarła otoczona ich złocistym blaskiem. Na pewno poszła prosto

do nieba, pomyślał. Żyła skromnie i cnotliwie i odeszła z tego świata wśród kwiatów. Przynajmniej tyle mógł jej ofiarować. A co do diuka, to niemożliwe, żeby Bóg, który kocha piękno, mógł mu się oprzeć. Sam król nadal kochał swego przyjaciela i codziennie modlił się za jego duszę. John czuł, że dwoje ludzi, których naprawdę kochał, spoczywa w spokoju. Przekonał się też, iż dzięki temu może znieść krótkie, chłodne dni i długie, zimne noce.

Myślał o dwóch miłościach swojego życia - o namiętności do diuka Buckinghama i o wielkim przywiązaniu do Elizabeth - przyglądając się fontannie w wielkim ogrodzie, kiedy na wodę padł jakiś cień. John się obejrzał. To był król. Tradescant zdjął kapelusz i przykląkł na zimnych kamieniach.

- Ile to już lat upłynęło od śmierci twego pana? - zapytał nagle Karol. Nie spojrzał na Johna, wpatrywał się w zimną wodę w marmurowym basenie.

- Pięć lat i siedem miesięcy - odparł natychmiast John. - Umarł pod koniec lata.

- Możesz wstać - polecił monarcha. Odwrócił się od fontanny  
487

i ruszył w dół ścieżką. Lekkim ruchem ręki rozkazał Tradescantowi iść za sobą.

- Nie sędzę, żeby takiego człowieka jak on można kiedykolwiek z... z... zastąpić - powiedział król na poły do siebie. - Ani w radzie królewskiej, ani w sercu.

Na myśl o Buckinghamie John poczuł znany tępy ból.

- A miłość do kobiety nie jest taka sama - zauważył Karol. - Żeby zadowolić kobietę, musisz stale się starać, a kobiety są zmienne: najpierw podoba się im jedno, potem drugie. Miłość do mężczyzny jest łatwiejsza... bardziej p... poważna. Kiedy George i ja byliśmy młodzi, całymi dniami myśleliśmy tylko o polowaniach i o zabawach. Mój ojciec miał zwyczaj nazywać nas swoimi drogimi eh... chłopakami.

John skinął głową. Król urwał i nagle odwrócił się do niego.

- Czy kiedykolwiek widziałeś mojego brata Henryka?

- Tak - potwierdził Tradescant. - Byłem ogrodnikiem w Theobalds, a potem u lorda Cecila w Hatfield. Często widywałem księcia Henryka i króla Jakuba. Pamiętam również waszą królewską mość.

- Czy uważasz, że on był podobny do d... diuka Buckinghamama? Mój brat? Chodzi mi o jego zachowanie?

John zastanowił się chwilę. Cechowała ich taka sama arogancja, równie łatwo się uśmiechali. Obaj uważali, że cały świat ich uwielbia, i wystarczy tylko, by przyjmowali jego hołd.

- Tak - odpowiedział powoli. - Księżę pod wieloma względami był podobny do diuka. Ale milord miał... -Urwał.

-Co?

- Olśniewającą urodę - wyjaśnił Tradescant. - Księżę był przystojnym chłopcem, jak wielu innych. Natomiast diuk był piękny niczym anioł.

Karol uśmiechnął się nagle, jego zasepiona twarz się rozpogodziła.

- Był taki, prawda? - rzekł. - Tak łatwo jest z... zapomnieć.

Wszystkie obrazy, jakie mam, ukazują jego urodę, ale wszystkie p... portrety są piękne, nawet jeśli model jest nieładny. Dobrze jest wiedzieć, że przechowujesz jego wizerunek w sercu, Tradescant.

488

- Przechowuję - odrzekł po prostu John. - Widzę go dniem i nocą. I czasami o nim śnię.

- Jak gdyby nadal i... i... żył? Tradescant skinął głową.

- W snach nigdy nie pamiętam, że on nie żyje - wyznał. - A czasami budzę się i wydaje mi się, że mnie woła. Wtedy wyskakuję z łóża, jak gdybym był młody i miał jak najszybciej do niego pobiec.

- Królowa go nie l... lubiła - odezwał się król w zamyśleniu.

Tradescant taktownie nic nie odpowiedział.

- Była zazdrosna.

John lekko skinął głową. Karol popatrzył na niego.

- Czy twoja żona była zazdrosna o to, że kochasz swojego pana?

Tradescant pomyślał o Elizabeth, o jej długoletniej wrogości



wobec Buckinghama i wszystkiego, co sobą reprezentował: zbytku, papizmu, marnotrawstwa i grzechu sodomii.

- O, tak - odrzekł z uśmiechem. - Ale kobiety zawsze albo traciły dla niego głowy, albo były jego najgorszymi wrogami, a bywało, że i jedno, i drugie.

Król parsknął śmiechem.

- To prawda. Był i... żaloszny w stosunkach z kobietami. Ogrodnik i król uśmiechnęli się do siebie. Monarcha po raz pierwszy spojrział Tradescantowi w oczy.

- Masz jakieś jego rzeczy w swojej Arce? - zapytał król.

- Kilka roślin z ogrodu w New Hall i parę pamiątek z Ile de Re - odpowiedział ostrożnie Tradescant, zdając sobie sprawę, że to niebezpieczny temat. - Podarował mi trochę rzeczy z własnej kolekcji osobliwości. Wszystko, czego nie potrzebował, co już miał. Gromadziłem dla niego niezwykle przedmioty przez wiele lat.

- Przyjdę i obejrzę to - zdecydował król. - Przyprawdę królową. Mam kilka rzeczy, które mogą ci się s... podobać, rękawice i tym podobne.

Tradescant złożył głęboki ukłon.

- Będę zaszczycony.

Kiedy się wyprostował, król patrzył na niego tak, jak gdyby związała ich jakaś tajemnica.

489

- On naprawdę był wielkim człowiekiem, czyż nie?

- Tak - zgodził się Tradescant, patrząc na smutną twarz Karola i nie mówiąc mu prawdy, tak jak wszyscy. - Był największym panem w Anglii i najlepiej się nadawał na wysokie stanowisko, które otrzymał.

Karol skinął głową i odwrócił się bez słowa. Tradescant, choć król go nie widział, znów ukląkł, kiedy monarcha odszedł powoli. Gdy władca Anglii zniknął w oddali, John wstał niezdarnie; w mroźną pogodę bolało go chore kolano.

Kiedy John przebywał w Oatlands, J pracował w Lambeth. Jane była teraz jedyną gospodynią i rządziła domem sprawnie i

pobożnie. Dzień zaczynał się od modlitwy za domowników, którą J czytał na głos, a potem wszyscy, poczynając od najmłodszej podkuchennej do najstarszego ogrodnika, modlili się prosto z serca, mówiąc to, co każde chciało powiedzieć tej małej kongregacji i Bogu. Wszyscy pracowali przez cały dzień, każdy wykonywał swoje obowiązki, a potem znów się spotykali wieczorem, przed snem, na krótką wspólną modlitwę.

Niepostrzeżenie sposób ubierania się służby uległ zmianie, gdyż, co było naturalne, służący zaczęli naśladować skromny styl Jane, która nosiła suknie o stonowanych barwach.

J przypuszczał, że ojciec zacznie się na to skarżyć po powrocie do domu, ale nie doczekał się słów dezaprobaty.

- Kieruj domem tak, jak uważasz za stosowne - powiedział spokojnie John do synowej.

- Myślę, że wszyscy tego pragną - odparła żywo Jane. John posłał jej porozumiewawczy uśmiešek.

- A gdyby nie pragnęli? - zapytał. - A gdyby kucharka i podkuchenna, Peter, dwóch ogrodników i chłopiec, który im pomaga, wszyscy oświadczyli, że zamiast modlitwy woleliby potańczyć, pośpiewać i napić się piwa? Że chcą ubierać się w zieleń i szkarłat i nosić wstążki we włosach? Pozwoliłabyś im na to wszystko?

- Przekonałabym ich - odparła sztywno Jane. - I walczyłabym o ich dusze.

- A więc ludziom wolno robić to, co chcą, tylko wówczas, jeśli dokonają właściwego wyboru?

490

- Tak - odpowiedziała, a potem dodała: - No niezupełnie tak. John uśmiechnął się do niej.

- Kiedy ma się władzę nad ludźmi, bardzo łatwo jest zapomnieć, że robią oni to, co każesz, ponieważ to ty wydajesz rozkazy - wyjaśnił. - Można pomylić posłuszeństwo ze zgodą. Oczywiście moi słudzy będą ci posłuszni. Zapewne nie pragną, aby było tak, jak ty chcesz, ale będą cię słuchali, ponieważ tak im kazałem. Jednak ja będę uczestniczył we wspólnych modłach tylko wtedy,

kiedy naprawdę tego zechcę.

- Jestem pewna, że przyniosłoby to wam pociechę... - zaczęła Jane.

John poklepał ją po policzku.

- Wiem, że walczysz o moją duszę - rzekł. - Ale chcę, żebyś zostawiła ją w spokoju.

Jane uśmiechnęła się do teścia.

- Dobrze - powiedziała. - Czy chcecie zobaczyć najmłodszego Johna?

- Tak - odparł Tradescant.

Frances przyniosła niemowlę i ostrożnie posadziła je na kolanach dziadka. Mały John przyłożył piąstki do piersi Tradescanta, odchylił do tyłu główkę i obrzucił uważnym wzrokiem jego twarz.

- On nadal nie je tak jak trzeba - powiedziała z dezaprobatą Frances.

- Jak to? - spytał John.

- Wciąż ssie - odrzekła dziewczynka. - Jest jak mały koziołek.

Dziadek się uśmiechnął.

- Nie kochasz swego małego braciszka? - zapytał. Frances zbliżyła się do niego.

- Owszem - powiedziała. - Ale nie podoba mi się, że wszyscy tak o niego zabiegają. Ja nadal jestem twoją ulubienicą, twoją faworytką, prawda, dziadku?

John, obejmując mocno jedną ręką malca, drugą przyciągnął do siebie wnuczkę. Pocałował jej gładką, ciepłą główkę okrytą skromnym białym czepkiem, który Frances nosiła na polecenie matki.

- Nie zawsze dobrze być faworytem - powiedział,

491

myśląc o swoim panu i parlamencie, który postawił go w stan oskarżenia, a także o królu, który go opłakiwał.

- Ależ tak - odparła natychmiast. - Zawsze byłam twoją ulubienicą i nadal nią jestem.

Objął ją ramieniem.

- Tak, jesteś - potwierdził. - Jesteś moją kochaną wnusią.

- A kiedy dorosnę, będę królewskim ogrodnikiem -powiedziała stanowczo. - I będę kierowała Arką.

- Dziewczynki nie mogą być ogrodnikami - wyjaśnił łagodnie.

- Kucharka mówi, że mogą być ogrodnikami, ponieważ w Dniu Sądu Ostatecznego kobiety będą równe mężczyznom - oświadczyła Frances. - I że prorokowanie i głoszenie Ewangelii przychodzi z łatwością kobietom, które św... św... świętują czystość.

- Chcesz powiedzieć zachowują czystość - powiedział niepewnie John.

- Świętują - poprawiła go Frances. - To znaczy, że w święta nie można tańczyć wokół „maika”, kupować upominków na jarmarku lub bawić się na kościelnym dziedzińcu.

- Przypuszczam, że tak - odrzekł John. Bardzo chciało mu się śmiać, ale zdołał zamaskować wesołość kaszlnięciem.

- I ja będę świętować czystość i nie będę grzeszyć -ciągnęła dziewczynka. - A potem będę mogła zostać królewskim ogrodnikiem.

- Zobaczymy - powiedział uspokajająco dziadek.

- Czy Mały John zostanie królewskim ogrodnikiem? -zapytała. John ponownie objął niemowlę ramieniem i ujął pulchną rączkę dziewczynki z maleńkimi dołeczkami.

- Myślę, że jeszcze jest za mały, żeby o tym myśleć - odparł dyplomatycznie. - Ty natomiast jesteś dużą dziewczynką. Do czasu, kiedy będzie mógł pracować, ty już będziesz prorokować i pracować w ogrodzie od lat.

Była to najwłaściwsza odpowiedź. Frances uśmiechnęła się do niego promiennie i poszła w stronę drzwi.

492

- Muszę teraz iść - oznajmiła. - Mam parę roślinek, które trzeba podlać.

John skinął głową.

- Widzisz? Już jesteś ogrodnikiem, a twój brat może tylko siedzieć na kolanach dziadka.

Frances skinęła głową i wymknęła się z pokoju. John wyjrzał

przez okno i zobaczył, że taszczy ciężką butlę z wodą w stronę rozsadników znajdujących się przy ciepłym murze zwróconym na południe. Kciuk dziewczynki był zbyt mały, żeby mogła zatkać otwór w butli. Woda rozbryzgiwała się więc na boki, pozostawiając na ziemi wilgotny ślad, połyskujący w słońcu.

Rozdział Czterdziesty Czwarty.

Styczeń 1635.

List, który nadszedł do Tradescantów do Lambeth, miał u dołu królewską pieczęć. Było to żądanie zapłacenia podatku, nowego, jeszcze jednego podatku. John otworzył list w gabinecie osobliwości, stojąc przy weneckim oknie, a J tuż obok niego.

- To podatek na wsparcie floty wojennej - rzekł. - Danina okrętowa.

- Nie zapłacimy go - oświadczył natychmiast jego syn. - To tylko dla portów i nadbrzeżnych miast, które potrzebują ochrony floty przed piratami i przemytnikami.

- Wygląda na to, że musimy zapłacić - odrzekł ponuro John. - Myślę, że wszyscy go zapłacą.

J zaklął, cofnął się o krok w głąb pokoju, a potem wrócił do okna.

- Ile? - warknął.

- Dostatecznie dużo - odrzekł John. - Mamy jakieś oszczędności?

- Wszystkie moje zarobki z ostatniego kwartału, ale mieliśmy za nie kupić sadzonki i nasiona tej wiosny.

- Będziemy musieli po nie sięgnąć - powiedział ojciec.

- Nie możemy odmówić zapłacenia tego podatku? John pokręcił głową.

- Powinniśmy odmówić - oświadczył z żarem J. - Król nie ma prawa nakładać podatków. To parlament nakłada podatki i część z nich przekazuje królowi. On nie ma prawa

494

domagać się ich na własny rachunek. To parlament powinien wyrazić zgodę na ten podatek i wysłuchać wszystkich skarg na nowe obciążenie. Król po prostu nie może żądać tego, co mu się podoba. Do czego to doprowadzi?

Starszy Tradescant znów pokręcił głową.

- Król rozwiązał parlament i wątpię, czy znów go zwoła. Świat się zmienił, J, i król ma przewagę. Jeżeli nakłada jakiś podatek, musimy go zapłacić. Nie mamy wyboru.

J spojrzał na ojca ze złością.

- Zawsze mówisz, że nie mamy wyboru! - zawołał. John obrzucił syna zmęczonym spojrzeniem.

- A ty zawsze podnosisz głos jak kaznodzieja. Wiem, że uważasz mnie za starego głupca. Więc powiedz mi, co się według ciebie stanie. Odmawiasz zapłaty tej daniny, ludzie króla lub urzędnicy parafialni aresztują cię za zdradę. Wtrącają cię do więzienia. Twoja żona i dzieci głodują. Interes upada, Tradescantowie bankrutują. To wspaniały plan, synu, gotów jestem ci przyklasnąć. J zrobił taką minę, jak gdyby miał zaraz wybuchnąć, lecz po chwili zaśmiał się gorzko.

- Tak - powiedział. - Bardzo dobrze. Wiem, że masz rację. Ale to tkwi we mnie jak zadra.

- Tak samo myślą inni - odrzekł John. - Jednak zapłacą.

- Aż wreszcie nadejdzie taki dzień, kiedy odmówią - ostrzegł ojca J. - Nie można dusić kraju rok po roku i wreszcie nie zdać rachunku ludowi. Nadejdzie taki dzień, kiedy tak wielu porządnych ludzi odmówi płacenia wciąż nowych podatków, że król będzie musiał nas wysłuchać.

- Zapewne - powiedział John w zamyśleniu. - Tylko któż może wiedzieć, kiedy to się stanie?

- Gdyby król wiedział, że jego poddani są temu przeciwni, że nie podoba im się, iż każe im się chodzić do kościoła i odmawiać określone modlitwy, że nie podoba im się, iż każe im się bawić po mszy jak dzieciom na dziedzińcu kościelnym, że w Anglii są ludzie, którzy pragną rozmyślać i snuć rozważania w Dzień Pański i nie chcą uprawiać łucznictwa i innych sportów - gdyby król wiedział o tym wszystkim...

495

- Tak, ale nie wie - podkreślił John. - Odesłał ludzi, którzy mogliby mu o tym powiedzieć, a ci, co pozostali na dworze, nigdy nie przyniosą mu złych wieści.

- Ty mógłbyś mu powiedzieć - zauważył J.  
- Nie jestem lepszy od nich wszystkich - odrzekł John. -  
Nauczyłem się zachowywać jak dworak. Może pod koniec życia, ale teraz się tego nauczyłem. Mówiłem prawdę, tak jak ją widziałem, wszystkim panom, którym służyłem, i nigdy nie przypocholebiałem się żadnemu z nich kłamstwami. Ale król jest człowiekiem, który nie zachęca do mówienia prawdy. Powiadam ci, J, ja nie mogę pokazać mu prawdy. On żyje w świecie fantazji. Nie odważyłbym się wyjawić najjaśniejszemu panu, że on i królowa wcale nie są tak uwielbiani wszędzie tam, dokąd się udają. Nie mógłbym mu powiedzieć, że ci jego poddani, których wtrącił do więzienia, nie są dzikusami, szaleńcami czy nadgorliwcami, ale ludźmi rozsądniejszymi, ostrożniejszymi i bardziej godnymi szacunku niż wszyscy inni. Nie mogę być tym, który mu powie, że to on się myli i że kraj powoli się o tym przekonuje. Zrobił wszystko, żeby świat wydawał mu się taki, jakim pragnie go widzieć. Trzeba by kogoś więcej niż ja, żeby wywrócić ten świat do góry nogami.

Król dotrzymał obietnicy i odwiedził Arkę. A przecież Tradescant uważał, że było to przyrzeczenie rzucone pod wpływem chwilowego impulsu, które miało tylko pozostać szlachetnym zamiarem i niczym więcej. Lecz na początku stycznia królewski ochmistrz przybył do Arki i został zaprowadzony do gabinetu osobliwości.

Rozejrzał się wokoło, próbując ukryć zaskoczenie.

- To naprawdę godne podziwu - zwrócił się do J, który mu towarzyszył. - Nie myślałem, że stworzyliście tu taki okazały zbiór osobliwości.

J pogratulował w duchu ojcu jego wygórowanych ambicji.

- Potrzebujemy wiele miejsca - odparł skromnie. - Codziennie otrzymujemy coś nowego i trzeba wszystko pokazać w jak najlepszym świetle.

Dworzanin skinął głową.

496

- Król i królowa odwiedzą was jutro w południe -oznajmił. - Chcą

obejrzeć waszą słynną kolekcję.

J skłonił się uprzejmie.

- Będziemy zaszczyceni.

- Nie będą tutaj jeść obiadu, ale możecie ich poczęstować biskwitami, winem i owocami - mówił dalej ochmistrz. -

Zakładam, że nie sprawi to wam kłopotu?

J skinął głową.

- Oczywiście, że nie.

- Nie potrzeba żadnych lojalnych przemówień czy czegoś w tym rodzaju - ciągnął dworzanin. - Żadnych powitalnych wierszy ani nic podobnego. To tylko nieoficjalna wizyta.

J pomyślał, że to bardzo mało prawdopodobne, aby jego zapalczywa, niezależna żona wygłosiła panegiryk na cześć królewskiej pary, ale po prostu skinął głową na znak zgody.

- Rozumiem.

- I jeśli ktoś z waszych domowników ma nieprawomyślne poglądy - ochmistrz urwał, żeby się upewnić, iż J go rozumie - to na was spoczywa odpowiedzialność za to, by nie pojawił się przed ich królewskimi mościami. Król i królowa nie chcą oglądać ponurych purytanskich twarzy podczas tych odwiedzin, nie chcą, żeby coś zepsuło im nastrój. Dopilnujcie, aby na drodze byli tylko wasi dobrze ubrani i weseli sąsiedzi.

- Dopilnuję, żeby wizyta w moim domu sprawiła radość ich królewskim gościom, ale nie mogę usunąć z Lambeth żebraków i nędzarzy - odparł ostro J. - Czy królewska para przybędzie statkiem?

- Tak, karetą będzie czekać na nich w Lambeth.

- W takim razie powinni szybko przejechać przez Lambeth - zauważył cierpko J. - Bo inaczej mogą zobaczyć, że niektórzy ich poddani nie są szczęśliwi i uśmiechnięci.

Dworzanin spojrział na niego ostro.

- Jeżeli ktoś nie odsłoni głowy i nie zawoła „Boże, chroń króla!”, gorzko tego pożałuje - ostrzegł. - Za mniejszą obrazę oskarżano ludzi o zdradę i wtrącano do więzienia. Są tacy, którym odcięto uszy i języki tylko za to,



że nie chcieli zdjąć kapeluszy, kiedy mijała ich królewska karetą. J skinał głową.

- W moim domu zostaną przyjęci z szacunkiem i uprzejmością - powiedział. - Ale nie mogę odpowiadać za tłum na nabrzeżu przy przystani.

- Ja za nich odpowiadam - odrzekł ochmistrz. - I myślę, że każdy będzie wiwatował na cześć króla.

Odchylił połą płaszcz i J zobaczył u jego pasa sakiewkę z drobnymi monetami.

- Świetnie - powiedział. - W takim razie jestem pewien, że ich królewskie mości czeka wesoła wizyta.

Obawiał się, że Jane się zbuntuje, ale królewskie odwiedziny okazały się takim wyzwaniem dla niej jako pani domu, że na chwilę zapomniała o swoich zasadach. Zawiadomiła swoją matkę i pani Hurte przyjechała rankiem w dniu królewskiej wizyty z własnymi adamaszkowymi obrusami oraz pudłem pełnym imbirowych biskwitów i kandyzowanych śliwek. Josiah Hurte nie był zadowolony, ale ta okazja podrażniła ambicję obu kobiet, które postanowiły, że nikt z dworu nie będzie krytykował domu królewskiego ogrodnika.

Gabinet osobliwości i salon wysprzątało, meble wyczyszczono do połysku zaraz po wyjeździe ochmistrza. Jane zastawiła stół w salonie i zapaliła ogień na kominku, gdyż dzień był zimny.

Natomiast J i jego ojciec po raz setny krążyli po gabinecie osobliwości, sprawdzając, czy każda szafa jest otwarta i czy każdy cenny przedmiot - nawet najmniejszy rzeźbiony orzeszek laskowy - wygląda jak najkorzystniej.

Kiedy wszystko było już gotowe, mogli tylko czekać.

Frances o wpół do jedenastej usiadła na murze otaczającym ogród.

O jedenastej John wysłał ogrodniczka na drogę, żeby ich zawiadomił, kiedy zobaczy królewską karetę jadącą po wybojach.

W południe Frances wróciła do domu z sinymi z zimna rączkami, mówiąc, że nikt nie przyjechał, a król jest kłamcą i głupcem.

John uciszył ją i posłał do kuchni, żeby ogrzała się przy ogniu.

O drugiej po południu John oświadczył, że jest zbyt głodny, żeby czekać, i poszedł do kuchni zjeść miskę zupy. Frances, skulona na stołku z dużą miską rosółu na kolanach, podniosła główkę tylko po to, żeby powiedzieć, że król nie powinien obiecywać, iż ich odwiedzi, jeżeli nie miał takiego zamiaru. A to dlatego, że sprawił wielką przykrość wielu ludziom, zwłaszcza tym, którzy musieli czekać na mrozie.

- Jeżeli on jest królem, to powinien dotrzymywać obietnic.

- Nie ty jedna tak myślisz - odparł jej dziadek.

O trzeciej po południu, kiedy wszyscy mieli już dosyć wyczekiwania, a ogień na kominku w salonie i w gabinecie osobliwości zgasł i został ponownie rozpalony, rozległo się grzmiące stukanie do drzwi od strony ogrodu. Wysłany na drogę ogrodniczek wsunął zmarzniętą twarz ze zsiniałym nosem do pokoju i powiedział: „Nareszcie jadą!”. Frances, zapomniawszy o narzekaniach, z wrzaskiem pobiegła po ciepłą opończę i ruszyła biegiem na swoje miejsce na murze. J zerwał się od stołu w kuchni, otarł usta i wytarł ręce w obrus.

John włożył swój najlepszy kaftan, który zdjął w rozgrzanej kuchni, i pokuśtykał do drzwi frontowych, żeby je otworzyć, gdy król i królowa przybędą do Arki.

Kiedy karetka podjechała, królewska para nie spostrzegła Frances, chociaż dziewczynka stanęła na szczycie muru i dygnęła najładniej jak umiała.

Gdy minęli ją, nawet nie spojrzawszy w jej stronę, Frances, która miała nadzieję, że jeszcze tego samego dnia zostanie królewskim ogrodnikiem, zlazła z muru, pobiegła do tylnych drzwi domu i ulokowała się przy wejściu do gabinetu osobliwości. Liczyła, że król i królowa, wchodząc tam, na pewno ją zobaczą.

- Wasze królewskie mości - John złożył niski ukłon, kiedy królowa przestąpiła próg domu. Stojący za ojcem J również się ukłonił.

- Ach, Tradescant! - powiedziała królowa. - Przybyliśmy tu, żeby zobaczyć twoją kolekcję osobliwości, a król przywiózł kilka

rzeczy do twego zbioru.

Król skinął ręką na stojącego w pobliżu lokaja, który rozwinął paczkę zawiniętą w tkaninę. W środku zobaczyli parę pięknych, cienkich zamszowych rękawic.

499

- Myśliwskie rękawice króla Henryka - wyjaśnił Karol. - I jeszcze kilka innych rzeczy, które możesz obejrzeć w dogodnej chwili. A teraz pokaż nam swoje skarby.

John oprowadził dostojnych gości po wielkim pokoju. Król chciał zobaczyć wszystko: rzeźby z kości słoniowej, monstrualne jajo, pięknie rzeźbiony kubek z rogu nosorożca, bęben z Beninu, skórzane wyroby z Senegalu, sakiewkę, którą pewna kobieta usiłowała przemyścić z fortu na Ile de Re, połykając ją, niezwykle kryształ i kamienie, ciało syreny z Hull, czaszkę jednorożca oraz skóry ptaków i zwierząt, łącznie ze skórą dziwaczego, brzydkiego ptaka-nielota.

- To nadzwyczajne - orzekł król. - A co jest w tych szufladach?

- Małe i duże jaja, wasza królewska mość - odparł John. - Kazałem zrobić na nie te przegrody.

Monarcha otworzył jedną szufladę, a potem drugą. John ułożył jaja według wielkości, poczynając od najmniejszych w płytkich szufladach na górze do największych w głębokich i szerokich na dole. Jaja wszelkich kolorów, od czarnych w cętki do olśniewająco białych, spoczywały na wyściółce z owczej wełny jak cenne klejnoty.

- Jakież stado ptaków miałbyś, gdyby się z nich wylęgły! - wykrzyknął król.

- To wydmuszki, lekkie jak powietrze, wasza królewska mość - wytłumaczył Tradescant, podając mu miniaturową, cieniutką, niebieską skorupkę nie większą niż koniuszek palca.

- A co to takiego? - zapytał król, zwracając jajo i idąc dalej.

- To wysuszone kwiaty wielu egzotycznych roślin z mojego ogrodu - wyjaśnił John, wyciągając tace z główkami kwiatów. - Moja żona konserwowała dla mnie te kwiaty w cukrze, tak by goście mogli zobaczyć je o każdej porze roku. Często przychodzą

do nas artyści, żeby je narysować.

- Śliczne - powiedziała z aprobatą królowa, patrząc na tacę z kwiatami.

- Ten jest z tulipana odmiany Lack, który kupiłem dla diuka Buckinghama w Niderlandach - wyjaśnił John,

500

dotykając czubkiem palca jednego doskonale pięknego płotka.

- Czy on nadal rośnie? - zapytał król, patrząc na płatek, jak gdyby kryło się w nim jakieś wspomnienie o diuku.

- Tak - odparł łagodnie Tradescant. - Nadal rośnie.

- Chciałbym go mieć - powiedział Karol. - Na pamiątkę po nim. John uklonił się, oddając tulipan wart majątek.

- Oczywiście, wasza królewska mość.

- Czy masz mechaniczne zabawki? - pytał dalej Karol. - Kiedy byłem chłopcem, miałem małą armię ołowianych żołnierzyków z armatami, które rzeczywiście strzelały. Planowałem z ich pomocą moje kampanie, kazałem naszkicować część Richmond jako pole bitwy i ustawiłem żołnierzy w szyku odpowiednim do ataku.

- Mamy maleńki model takiego wiatraka, jakich Holendrzy używają do wypompowywania wody z kanałów - oświadczył John, przechodząc na drugą stronę gabinetu.

Poruszył skrzydłami wiatraka i król mógł widzieć w środku unoszącą się i opadającą miniaturową pompę.

- Mam też miniaturowy zegar i model działa. - Tradescant skierował króla do innego rogu pokoju. - I miniaturowy kołowrotek wyrzeźbiony z bursztynu.

- A co masz z kolekcji diuka Buckinghama? - zapytał Karol. J zerknął czujnie na ojca.

- Coś bardzo mi bliskiego i wartego całej reszty - odparł John.

Zaprowadził króla do szafki pod oknem i otworzył jakąś szufladę.

- Co to takiego? - pytał dalej monarcha.

- Ostatni list, jaki do mnie napisał - wyjaśnił Tradescant. - Kazał mi przyjechać do Portsmouth, żebym popłynął z nim na wyprawę na wyspę Re.

Królowa spojrzała na nich ze zniecierpliwieniem; nawet teraz nie

chciała słuchać, jak jej mąż wypowiada nazwisko diuka.

- Jaki macie największy przedmiot w waszej kolekcji? - zapytała głośno.

- Mamy całą głowę słonia z wielkimi, podwójnymi zębami  
501

- odpowiedział J, pokazując czaszkę zwisającą z sufitu. - Oprócz tego róg nosorożca i jego szczękę. Król nawet nie odwrócił głowy, tylko rozwinął list.

- Własnoręcznie napisany! - zawołał na widok znajomego, niedbałego pisma. Przeczytał list. - I rozkazuje ci przybyć zaraz - rzekł. - Och, Tradescant, gdybyż wszystko było zaraz gotowe!

- Pojechałem tam - powiedział John. - Tak jak sobie tego życzył.

- Ale on się spóźnił, spóźnił o kilka tygodni - odparł Karol z ponurym uśmiechem. - Czy to nie było do niego podobne?

- A co najbardziej podoba się tobie? - zapytała głośno Henrietta Maria młodszego Tradescanta.

- Myślę, że najbardziej podoba mi się chiński wachlarz - powiedział J. - Jest taki delikatny i tak pięknie malowany.

Wyjął wachlarz z jakiejś szuflady i włożył królowej do ręki.

- Och! Muszę mieć dokładnie taki sam! - wykrzyknęła. - Karolu! Spójrz!

Król niechętnie podniósł oczy znad listu.

- Bardzo ładny - pochwalił.

Oddał Johnowi list Buckinghama i podszedł do żony. J odetchnął z ulgą, że kwestia, ile eksponatów należało do diuka Buckinghama, została całkowicie pominięta.

- Muszę mieć dokładnie taki sam! - zawołała królowa. - Pożyczę ten i każę go skopiować.

J nie miał w sobie dość z dworaka, żeby się zgodzić. John szybko postąpił do przodu.

- Wasza królewska mość, będziemy zaszczyceni, jeśli zechcesz przyjąć go jako dar - powiedział.

- A nie potrzebujesz go do swojej kolekcji, żeby pokazywać ludziom? - spytała, otwierając szeroko oczy.

Tradescant uklonił się jeszcze raz.

- Cała kolekcja, cała Arka, wszystko należy do waszej królewskiej mości, jak musi należeć wszystko, co piękne i rzadkie. Sama zdecydujesz, co tu zostawisz, a co zabierzesz.

Roześmiała się z zachwytem i przez chwilę J bał się, że chciwość zwycięży w niej chęć oczarowania wszystkich obecnych.

502

- Oczywiście, że zostawię tutaj wszystko! - oświadczyła. - A kiedy będziecie mieli coś nowego, rzadkiego i ślicznego, przyjadę, żeby to zobaczyć.

- Będziemy zaszczyceni - powiedział J z ulgą, czując, że prawie cudem uniknęli nieszczęścia. - Czy wasza królewska mość zechce napić się wina?

Królowa odwróciła się do wyjścia.

- A kto to jest? - zapytała, gdy Frances skoczyła do przodu i otworzyła przed nią drzwi. - Małeńki lokaj?

- Jestem Frances - przedstawiła się dziewczynka. Zupełnie zapomniała o dworskim ukłonie, którego niechętnie nauczyła ją matka. - Czekałam na was całe wieki.

Przez moment J myślał, że królowa się obrazi. Ale ta wybuchnęła dziewczęcym śmiechem.

- Przepraszam, że musiałaś czekać! - zawołała. - Czy jestem taką królową, jaką sobie wyobrażałaś?

John i jego syn ruszyli do przodu, J szybko stanął obok Frances i uszczypnął ją ostrzegawczo w łopatkę. Starszy Tradescant wypełnił ciszę, jaka nagle zapadła.

- Ona oczekiwała królowej Elżbiety - wytłumaczył. - Mamy miniaturę jej królewskiej mości namalowaną na kości słoniowej. Nie wiedziała, że królowa może być taka młoda i taka piękna. Henrietta Maria się roześmiała.

- I może być żoną i matką syna, następcy tronu - przypomniała mu. - W przeciwieństwie do tamtej biednej królowej-heretyczki. Frances jęknęła z przerażenia i zamierzała zaprotestować, ale ku ogromnej uldze J królowa minęła dziewczynkę, nie spojrzawszy na nią po raz drugi. Jane otworzyła drzwi salonu i dygnęła dwornie.

- Nie oczekiwałam królowej Elżbiety, a zresztą ona nie była heret... - zaczęła się spierać Frances. J ścisnął mocno ramię córki, gdy król ją mijał.

- To moja pierwsza wnuczka i bardzo jej pobłażaliśmy - tłumaczył John. Król spojrział na nią poważnie.

- Musisz odpłacić za łaskawość, spełniając swój obowiązek - rzekł stanowczo.

- Z chęcią - odparła swobodnie Frances. - Ale czy mogę pracować dla was i być waszym ogrodnikiem, tak jak mój

503

dziadek i ojciec? Dobrze sobie radzę z nasionami, umiem przesadzać sadzonki do gruntu i niektóre z nich rosną.

Karola nic by nie kosztowało, gdyby uśmiechnął się i przytaknął.

Ale był nieśmiały i zawsze chciał, żeby widziano, iż postępuje właściwie. Tylko w obecności jednego człowieka nie musiał dawać przykładu, zachowywać się jak przystało monarsze i być mądrym we wszystkim - i ten człowiek już dawno nie żył.

- P... panny i żony muszą pozostać w domu - oświadczył, ignorując wstrząśniętą do głębi Frances. - Wszyscy na swoim należnym im miejscu. Pragnę, żeby tak właśnie było teraz w moim królestwie. Musisz słuchać swojego ojca, a potem męża. - Minął ją i ruszył w stronę salonu.

J rzucił udręczone spojrzenie na przerażoną twarzyczkę dziewczynki i poszedł za Karolem.

Frances podniosła oczy na dziadka i zobaczyła, że na jego twarzy maluje się gorące współczucie. Odwróciła się i rzuciła mu się w ramiona.

- Myślę, że ten król to potwór - jęknęła żałośnie, wtulając się w kaftan dziadka. A John, choć urodzony rojalista, nie mógł zaprzeczyć.

Pani Hurte pojechała do domu jeszcze tego wieczoru, wstrząśnięta i przerażona widokiem klejnotów królowej, jej kosztownymi perfumami, lśniącymi włosami króla i jego koronkami. Jako żona kupca bławatnego zwróciła szczególną uwagę na ich stroje i śpieszyła do domu z wieściami o francuskim jedwabiu i

hiszpańskich koronkach, kiedy angielscy tkacze i prządki cierpieli głód. Król miał na palcu brylant wielki jak piąstka Frances, królowa nosiła w uszach kolczyki z perłami wielkości gołębiego jaja, a oprócz tego miała krzyż, mały krucyfiks, najbardziej bezbożny i nieprawy symbol.

Nosiła go jak klejnot na szyi, zachęcając do zdróżnych myśli. Była złą, niegodziwą heretyczką i pani Hurte nie mogła się doczekać, by wrócić do domu do męża i potwierdzić jego najgorsze obawy.

- Przyjedź do mnie w przyszłym miesiącu - powiedziała, tuląc Jane przed odjazdem. - Twój ojciec chce cię zobaczyć. I przywieź Małego Johna.

504

- Muszę być tutaj, żeby pilnować kolekcji, kiedy teść i John są poza domem - przypomniała jej córka.

- W takim razie przyjedź, jak obaj tu będą - zaproponowała matka.

- Przyjedź. Twój ojciec też zechce posłuchać o Oatlands Palace.

Widziałaś, jaką kosztowną koronkę miała na głowie? Przysięgam, że można by za nią kupić dom w Londynie.

Jane odprowadziła matkę do wozu i podała jej kosz z pustymi słojami i zmiętymi obrusami.

- Nic dziwnego, że kraj jest w takim stanie - ciągnęła pani Hurte wstrząśnięta, ale i z satysfakcją.

Jane skinęła głową i odsunęła się od wozu, kiedy woźnica trzepnął konie lejcami.

- Niech cię Bóg błogosławi! - zawołała z miłością pani Hurte. -

Czy taka królowa to nie prawdziwy skandal?!

- Skandal - zgodziła się z nią córka, stanęła przy tylnej bramie i machała ręką na pożegnanie, aż wóz zniknął jej z oczu.

Rozdział Czterdziesty Piąty.

Wiosna 1635.

Jane nie odwiedziła matki przez całą wiosnę. Zarówno John, jak i J przebywali albo w Oatlands Palace, albo pracowali w sadzie i w ogrodzie w Lambeth. Zawsze ktoś pukał do tylnych drzwi domu z jakąś roślinką w doniczce lub cenną rzeczą zawiazaną w chusteczkę. Jane oceniała ich wartość i kupowała, ciesząc się



autorytetem dobrej gospodyni i partnerki w tym rodzinnym przedsięwzięciu. Potem trzeba było zająć się tulipanami, które wypuściły listki, a później zakwitły. John kazał postawić oranżerie do hodowli tych delikatnych kwiatów i ktoś musiał pilnować majstrów, którzy budowali przejście do głównej części domu. Dopiero w maju Jane uznała, że ma dość wolnego czasu, by odwiedzić matkę w Londynie. Została tam przez tydzień. Bez niej dom wydawał się dziwnie pusty. Frances niezbyt brakowało matki; zawsze pozostawała w cieniu dziadka, a kiedy go nie było w Arce, przebywała w ogrodzie z ojcem. Ale Mały John, który miał prawie dwa lata, chodził niepewnymi kroczkami po domu i pytał przez cały dzień: „Gdzie mama? Gdzie jest mama?”. Wszyscy spodziewali się, że Jane wróci wypoczęta i szczęśliwa po wizycie w swoim starym domu, ponieważ rodzice ją rozpieszczali, ale kiedy w końcu się zjawiała, była blada i zmęczona. Powiedziała, że w Londynie jest nieznośnie gorąco. Na ulicach widziała więcej żebraków niż kiedykolwiek przedtem.

506

Zobaczyła też umierającego w rynsztoku mężczyznę i bała się go dotknąć ze strachu, że może on roznosić zarazę.

- Co to za kraj, jeśli uczynek miłosiernego samarytanina jest zbyt niebezpieczny, żeby go powtórzyć? - zapytała, naprawdę zasmucona walką między sumieniem i obawą o swoje bezpieczeństwo.

Ojciec Jane i wszyscy kupcy uskarżali się, że obłożono ich podatkami za kupno, potem za sprzedaż, a następnie za przechowywanie towarów. Kazano im też płacić daninę okrętową. Wysokość tej ostatniej ustalał taksator, który przychodził i po wyglądzie domu oraz sklepu oceniał, ile wart jest majątek właściciela, i nie można się było odwołać od tej decyzji.

Josiah Hurte zmuszony był uiścić obowiązującą opłatę za kleryka we własnej kaplicy, musiał też zapłacić podatek parafialny kościołowi, do którego nigdy nie wszedł, oraz dziesięcinę pastorowi, którym pogardzał z powodu papistowskich, rzymskich praktyk. Tymczasem ceny towarów wzrosły niebotycznie, krążyły

pogłoski o buncie w Irlandii i mówiono, że król wydał więcej pieniędzy na swoją kolekcję obrazów niż na flotę wojenną.

Jane, jako żonie i synowej ludzi, którzy pracowali na dworze, nie dawano spokoju, wypytując ją o skandaliczne szczegóły. Cierpiała z powodu swoich powiązań.

- Po tym królu nie można się spodziewać niczego dobrego - osądził jej ojciec. - Możesz myśleć, że twój mąż cieszy się jego łaskami, ale to się źle skończy, gdyż Karol i tak jest już w pół drogi do potępienia. Jeśli nie będziecie się strzegli, pociągnie was wszystkich ze sobą. Dlaczego twój teść i mąż, którzy mają piękny dom w Lambeth, nie mogą już tam pozostać?

Na nic by się zdało tłumaczenie Josiahowi, że jeśli nie posłuchasz królewskiego rozkazu, możesz trafić na szubienicę.

- Sam król tak rozkazał - powiedziała Jane. - Jak mogli nie wykonać jego rozkazu?

- Po prostu odmawiając - oświadczył nieugięcie jej ojciec.

- A czy wy odmawiacie płacenia podatków? Odmawiacie płacenia daniny okrętowej? Inni tak robią.

507

- I siedzą w więzieniu - odparł Josiah. - I zawstydzają tych spośród nas, którzy nie są tak gorliwi i odważni. Nie, ja robię, co mi każą.

- I tak samo postępują mój mąż i teść - ciągnęła Jane, wbrew sobie broniąc Tradescantów. - Król i jego dwór korzysta z naszych umiejętności i usług tak samo, jak bierze wasze pieniądze. Król bierze wszystko, co zechce, i nic nie może go powstrzymać.

- Musisz się cieszyć z powrotu do domu - powiedział J tej nocy w łóżku. Objął żonę ramieniem, a Jane oparła głowę na jego piersi.

- Jestem taka zmęczona - westchnęła niespokojnie.

- Więc odpocznij - szepnął. Odwrócił się ku niej i pocałował ją w usta, ale Jane się odsunęła.

- Ten pokój śmierdzi kapryfolium! - zawołała nagle. -Znów przyniosłeś sadzonki do naszej sypialni, Johnie! Nie zniosę tego!

- Nie - odrzekł. Poczul w sercu ukłucie strachu, maleńkie jak nasionko. - Nic takiego nie ma w pokoju. Czy wydaje ci się, że

coś tu słodko pachnie, Jane?

Nagle zorientowała się, co powiedziała, i o czym on myśli.

Zasłoniła usta ręką, jak gdyby chciała powstrzymać słowa cisnące się jej na wargi i nie pozwolić, by jej oddech dosięgnął J.

- Och, Boże, nie! - jęknęła. - Nie to!

- Czy to było w Londynie? - zapytał ostro J.

- To zawsze jest w Londynie - odparła gorzko. - Ale ja umyślnie z nikim obcym nie rozmawiałam.

- Ani ze sługami, ani z uczniami twego ojca?

- Miałabym ryzykować? Czy wróciłabym do domu, gdybym przypuszczała, że noszę w sobie zarazę?

Zerwała się z łóżka, odrzuciła pościel i otworzyła okno, nadal zatykając usta ręką, jak gdyby nie chciała, żeby wydobył się z nich nawet najlżejszy oddech. J wyciągnął ręce, ale nie przytulił jej do siebie. Jego strach przed straszną chorobą był równie wielki jak miłość do żony.

- Jane! Dokąd idziesz?

- Każę wstawić sobie łóżko do nowej oranżerii - wykrztusiła. - Macie zostawiać jedzenie i wodę przy drzwiach

508

i nikomu nie wolno zbliżać się do mnie. Dzieci trzeba trzymać z daleka. Musicie też spalić moją pościel. I palcie świece wokół drzwi oranżerii.

Chciał ją objąć, ale gdy się do niego odwróciła, na jej twarzy malowała się taka wściekłość, że aż się cofnął.

- Nie podchodź do mnie! - wrzasnęła do niego. - Myślisz, że chciałabym cię zarazić?! Czy mogłabym zburzyć ten dom, który z taką radością budowałam przez całe życie?!

- Nie... - wyjąkał J. - Ale Jane, ja cię kocham, chcę cię objąć...

- Jeżeli przeżyję - powiedziała, a jej twarz złagodniała - wtedy spędzimy wiele tygodni, trzymając się w objęciach. Przysięgam, Johnie. Kocham cię. Ale jeśli umrę, nie wolno ci nawet mnie dotknąć. Każesz grabarzom zabić trumnę i nawet na mnie nie spojrzysz.

- Nie zniosę tego! - zawołał gwałtownie. - To nie może się nam

przydarzyć!

Jane otworzyła drzwi i zawołała głośno do służącej na dole:

- Sally! Przygotuj mi łóżko w oranżerii i zanieś tam moje ubrania.
- Jeśli się zarazę, dołączę do ciebie - szepnął J. - A wtedy będziemy razem.

Jane odwróciła ku niemu twarz, z której wyczytał, że nic nie zmieni jej niezłomnego postanowienia.

- Nie zarazisz się! - oświadczyła z żarem. - Będziesz żył, żeby opiekować się Małym Johnem i Frances, naszymi drzewami i ogrodami. Nawet jeśli umrę, Mały John będzie nosił twoje nazwisko, pozostaną też drzewa i ogrody.

- Jane... - Był to cichy jęk jak skowyt rannego zwierzęcia. Nie złagodniała nawet na chwilę.

- Trzymaj dzieci z dala ode mnie! - rozkazała szorstko. - Jeżeli w ogóle mnie kochasz. Trzymaj je ode mnie z daleka.

A potem odwróciła się, zabrała przywiezioną z Londynu odzież, zeszła po schodach do nowej oranżerii i położyła się na sienniku, który służebna rzuciła na podłogę. Później podniosła oczy na małe okienko w drewnianej ścianie,

509

przez które wlewała się księżycowa poświata, i zapytała samą siebie, czy umrze.

Czwartego dnia Jane wyczuła wielkie guzy pod pachami, a potem bredziła nieprzytomna. W południe się ocknęła. Kiedy J stanął przy wejściu, za rzędem świec, by z nią porozmawiać, poleciła mu założyć zamek w drzwiach; bała się, że pójdzie szukać Małego Johna, gdy straci rozum w gorączce. Piątego dnia dostali list od jej matki. Pani Hurte napisała, że jeden z uczniów Josiaha zachorował i że Jane powinna spalić wszystko, co nosiła lub kupiła podczas ostatnich odwiedzin.

Tradescantowie przekazali słudze wiadomość, że ostrzeżenie przyszło za późno, a na ich frontowych drzwiach namalowano już biały krzyż. Dodali, iż na zewnątrz stoi strażnik, pilnując, aby nikt nie opuścił domu i nie zawlókł zarazy do wioski. Wszystkie towary i artykuły spożywcze i nawet nowe eksponaty zostawiano

na mostku prowadzącym z drogi do Arki, a wszystkie pieniądze płukano w misce z octem, by je oczyścić. Nikt się nie zbliżył do drzwi Tradescantów, aż wszyscy wyzdrowieją albo umrą. Zgodnie z prawem strażnicy parafialni musieli dopilnować, aby wszystkie ofiary zarazy odizolowano w ich domach, aż umrą bądź powrócą do zdrowia, i dla nikogo - nawet dla Tradescantów z ich zyskowym interesem i królewskimi koneksjami - nie zrobiono wyjątku.

Szóstego dnia choroby Jane nie zastukała w drzwi, żeby otwarto je rano. Kiedy J zajrzał do środka, zobaczył, że jego żona leży na posłaniu z włosami rozrzuconymi na poduszce, twarz ma wychudzoną i śmiertelnie bladą.

Widząc, że J się jej przygląda, próbowała się uśmiechnąć, ale wargi miała zbyt popękane i obolałe od gorączki.

- Módl się za mnie - poprosiła. - I nie zachoruj, Johnie. Opiekuj się Małym Johnem. Czy mały dobrze się czuje?

- Nic mu nie jest - zapewnił ją. Nie powiedział, że ich synek wciąż płacze za matką.

- A Frances?

- Żadnych oznak zarazy.

- A ty i ojciec?

510

- Wydaje się, że nikt inny w domu nie zachorował. Ale zaraza dotarła do Lambeth. Nie tylko na drzwiach naszego domu namalowano biały krzyż. Ten rok będzie bardzo zły.

- Czy to ja przywlokłam zarazę? - zapytała z trudem. - Czy to ja przywlokłam zarazę do Lambeth? Czy przeszła wraz ze mną przez Tamizę?

- Była tu przed twoim powrotem - uspokoił ją. - Nie wiń się o to. Ktoś się zaraził i usiłował to ukryć. Zaraza pojawiła się tu wiele tygodni temu, lecz nikt nic nie wiedział.

- Pomóż im, Boże - szepnęła. - I pomóż mi, Boże. Pogrzeb mnie głęboko, Johnie. I módl się za moją duszę.

J impulsywnie przestąpił rządy świec i wszedł do oranżerii. Jane natychmiast usiadła na sienniku.

- Chcesz, żebym umarła w rozpaczy? - zapytała. Zatrzymał się i cofnął, jak gdyby była królową.

- Chcę cię objąć - wyjąkał z bólem. - Chcę cię objąć, Jane, chcę cię przytulić do serca.

Na chwilę jej chuda, wymizerowana twarz, oświetlona złocistym blaskiem tuzina świec, złagodniała i odmłodniała. Jane wyglądała teraz tak jak wtedy, gdy sprzedawała mu koronki w sklepie ojca, i kiedy J odwiedzał ją raz po raz pod tym lub innym pretekstem.

- Przytul mnie w swoim sercu - szepnęła. - I dbaj o dzieci.

Opadła z powrotem na poduszki, gdy J przestąpił rząd świec i kucnął na progu.

- Zostanę tutaj - powiedział z determinacją.

- Dobrze - zgodziła się. - Masz kulkę aromatyczną?

- Mam i siedzę w morzu rozsypanych ziół - powiedział J.

- W takim razie możesz zostać - pozwoliła. - Nie chcę umierać w samotności. Ale jeśli będę nieprzytomna, wstanę w gorączce i ruszę w twoim kierunku, musisz zatrzaskać mi drzwi przed nosem i zamknąć je na klucz.

Popatrzył na nią poprzez drgające, nagrzane płomykami świec powietrze i jego twarz wydawała się niemal tak samo chuda i wymizerowana jak twarz Jane.

- Nie mogę tego zrobić - odparł. - Nie będę mógł tego zrobić.

511

- Obiecuj mi - zażądała. - To ostatnia rzecz, o jaką cię proszę.

Zamknął na chwilę oczy, aby zebrać siły.

- Obiecuję - odpowiedział. - Nie dotknę cię i nie podejść bliżej.

Ale będę tutaj z tobą. Tuż za drzwiami.

O północy Jane znów dostała gorączki, rzucała się na poduszce i pomstowała na heretyków, papizm, diabła i królową. O trzeciej rano uspokoiła się i drżała z zimna, a J nie mógł wejść, by narzucić jej szal na ramiona. O czwartej znieruchomiała i uspokoiła się, o piątej zaś powiedziała nagle, spokojnie jak dziecko:

- Dobrej nocy, mój drogi - i zasnęła.

Kiedy nadszedł świt i o szóstej rano słońce oświetliło kwiaty

jabłoni, Jane już się nie obudziła.

Rozdział Czterdziesty Szósty.

Lato 1635.

Doszło do krótkiego, lecz poważnego sporu o sposób pogrzebania Jane. Władze parafii, odpowiedzialne za niewykonalne zadanie powstrzymania zarazy, przysłały wiadomość, że grabarz przyjedzie po jej ciało o północy.

Rozkazano też, żeby członkowie rodziny Jane sami zanieśli jej zwłoki na wóz, a potem zamknęli się w domu jeszcze na tydzień, aż udowodnią, że nie zapadli na śmiertelną chorobę.

- Nie zrobię tego - powiedział J do ojca. - Nie pozwolę wrzucić jej w jutowym worku do dołu, gdzie chowają ofiary zarazy. Mogą rozkazywać, co im się żywnie podoba. Nie przyjdą do naszego domu, aby ją zabrać. Za bardzo boją się o własną skórę.

John zawahał się, chciał protestować.

- Nie zrobię tego - powtórzył z żarem J. - Zostanie pochowana jak należy.

John przemówił więc do strażnika parafialnego, który przezornie stał z drugiej strony mostku przerzuconego przez przydrożny rów. Mężczyzna opierał się, ale John zdołał go przekonać. Rzucił na drugą stronę rowu małą, ciężką sakiewkę i następnego dnia na mostku zostawiono ołowianą trumnę. Tydzień później, kiedy uznano, że rodzina Tradescantów i ich służba mogą już wyjść z domu, miał się odbyć pogrzeb. Jako przyczynę śmierci Jane nie podano zarazy, lecz użyto bardziej neutralnego określenia „gorączka”.

513

Mogła więc zostać pogrzebana, tak jak nalegał J, w grobie Tradescantów.

Hurte'owie przyjechali do Lambeth z obmywaczką zwłok, która miała przygotować ciało Jane do pogrzebu. Była to stara kobieta o twarzy całej w dziobach po przebytej ospie. Powiedziała, że zapadła na tę chorobę w dzieciństwie, że ją przeżyła i że Pan Zastępów uratował ją, by mogła czynić zbożne dzieło, ubierając do trumny bogatych zmarłych i pielęgnując nielicznych ocalałych

od śmierci.

- Ale dlaczego On miałby ocalić ciebie, a nie Jane? -zapytał J i zaprowadził ją do ciała żony, żeby mogła ułożyć je w specjalnej, ołowianej trumnie.

Hurte'owie chcieli zabrać zwłoki Jane i pochować córkę w pobliżu swej kaplicy w Londynie, ale J przekonał ich i dopilnował, by stało się wedle jego woli. Zmarła powinna zostać pogrzebana na cmentarzu przy kościele Najświętszej Marii Panny w Lambeth, tak by jej dzieci mijaly grób matki dwukrotnie każdej niedzieli. Miał wrażenie, że płynie w gęstym morzu rozpaczy i że jeśli zatrzyma się na chwilę, fale smutku zaleją go i pochłoną.

Ostatecznie pogrzeb zamienił się w wielką uroczystość, w której wzięła udział połowa mieszkańców Lambeth, żeby oddać hołd zmarłej młodej pani z Arki. Głęboko nieszczęśliwy J lekceważył żal innych, jak gdyby tylko on jeden wiedział, co znaczyło kochać Jane, a potem ją utracić; ale obecność sąsiadów pocieszyła Johna.

- Bardzo ją kochano - powiedział. - Żyła tak spokojnie, że nigdy nie przyszło mi do głowy, iż tak bardzo ją kochano.

Po pogrzebie pani Hurte wzięła J na bok i zaproponowała, że zabierze dzieci do Londynu.

- Nie - odparł.

- Nie możesz sam się tu nimi opiekować. - Teściowa nie ustępowała.

- Mogę - odrzekł J. Nawet głos mu się zmienił: był pełen napięcia, głuchy. - Ojciec i ja możemy opiekować się nimi tu, w Lambeth. Znajdę dobrą kobietę, która będzie gospodynią dla nas wszystkich.

- Ale ja opiekowałabym się nimi jak matka - tłumaczyła pani Hurte.

514

J potrząsnął głową.

- Mały John zostanie ze mną - oświadczył. - A Frances nie mogłaby mieszkać gdzie indziej, tylko tutaj. Kocha dziadka i nigdy go nie opuszcza. I kocha nasz ogród i sad. W Londynie zmarniałaby z tęsknoty.



Pani Hurte chciała się dalej spierać, ale powstrzymał ją pełen napięcia wyraz bladej twarzy zięcia.

- Będę czekała na ciebie na nabożeństwie za jej duszę, które zostanie odprawione w naszej kaplicy. Możemy się wtedy pomodlić o radę.

Młody Tradescant pomógł jej usiąść obok woźnicy.

- Nie przyjadę - odparł. - Kazała mi przysiąc, że nigdy nie przyjadę do Londynu w czasie, gdy szaleje tam zaraza.

Śmiertelnie się bała, żebyśmy nie zarazili naszych dzieci.

Obiecałem jej, że będę się nimi opiekował tu, w Arce, a jeśli zaraza znów dotrze w pobliże Lambeth, zabiorę je do Oatlands.

- Nie przyjedziesz, żeby posłuchać, jak jej ojciec wygłasza kazanie na nabożeństwie żałobnym za jej duszę?! - wykrzyknęła zgorziona pani Hurte. - Przecież to przyniosłoby ci pociechę.

J podniósł oczy na siedzącą na koźle matkę swej zmarłej żony.

Jego twarz zmieniła się w bladą maskę bólu. Nie chciał mówić tej kobiecie, że jego wiara w Boga zniknęła w jednej chwili, w momencie, kiedy Jane otworzyła szeroko okno ich sypialni, wdychając powietrze i usiłując usunąć z pomieszczenia wyimaginowany zapach kapryfolium.

- Nic mnie nie pocieszy - odparł obojętnie. - Już nic nigdy mnie nie pocieszy.

Zamiast tego posłał kwiaty. Posłał całą łądz kwiatów Tamizą do Londynu; i kaplica Josiaha Hurte'a zamieniła się w ogród pełen prążkowanych biało-czerwonych róż z odmiany Rosamund, które Jane tak bardzo kochała. W dniu, kiedy miało się odbyć nabożeństwo żałobne, J pracował w ogrodzie w Lambeth, przesadzając flance i podlewając je z determinacją, jak gdyby chciał zaprzeczyć, że w tym samym czasie odmawia się modlitwy za duszę Jane, jak gdyby chciał zaprzeczyć się żalu szarpiącego mu serce. W południe dzwon kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny

515

zadzwoił trzydzieści jeden razy - każdy raz za rok krótkiego życia Jane. J odkrył głowę, stojąc w upalnym słońcu, i słuchał

czystych dźwięków dzwonu, a potem wrócił do pracy. Oddzielał długie, jedwabiste łodyżki i sadził je w ziemi, jak gdyby tylko w rozsadniku mógł się schronić przed wspomnieniem o śmierci żony, czającym się tuż obok, i nigdy nie pozwolić mu się zbliżyć. Jak zwykle zjedli obiad tego wieczoru i John czekał, aż syn się odezwie, ale J milczał. To John musiał odmówić modlitwę razem z domownikami. Nie umiał tak jak Jane zwracać się do Najwyższego, jak gdyby był On bliskim przyjacielem ich rodziny. Zamiast tego przeczytał wieczorną modlitwę z Biblii króla Jakuba, a kiedy podkuchenna chciała zabrać głos, by dać świadectwo prawdzie, rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie spod siwych brwi, więc umilkła.

- Może to ty powinieneś poprowadzić modlitwy, J -zauważył John po tygodniu. - Nie mam do tego daru.

- Nie mam nic do powiedzenia takiemu Bogu - odparł lakonicznie syn i wyszedł z pokoju.

Rozdział Czterdziesty Siódmy.

1636.

W styczniu, najtrudniejszym czasie dla ogrodnika, który żyje ze sprzedaży swoich roślin, i najbardziej irytującej porze roku dla człowieka, który najlepiej czuje się z rękami w ziemi, szczęście znów się uśmiechnęło do Tradescantów. Zaproponowano im pracę w ogrodzie medycznym w Oksfordzie, we wspaniałym ogrodzie położonym na brzegu rzeki Isis, aby hodowali zioła dla wydziału medycyny tamtejszego uniwersytetu.

- Pojedź i zobacz, czego tam trzeba - powiedział John, patrząc na syna. Podczas długich, zimowych miesięcy twarz J wychudła i przybrała surowy wyraz. - Zapłacą nam pięćdziesiąt funtów rocznie, a w Arce prawie nic nie zarobiliśmy tej zimy. Jedź i zobacz, co tam trzeba zrobić, i zajmij się tym, J. Ja nie mogę pojechać do Oksfordu w środku zimy, bo zmarznę na kość.

John miał nadzieję, że J zapomni o smutku w tym słynącym z gościnności mieście. Ten jednak wrócił po miesiącu, mówiąc, że trzeba tylko ostrożnie zasadzić rośliny i starannie je pielęgnować. Lord Danby, który podarował ten ogród Kolegium Magdaleny, kazał

otoczyć go murem, zbudować bramę i osłonę przed wylewami rzeki Isis.

- Nie ma tam nic do roboty - oświadczył J. - Posieję trochę dodatkowych ziół, żeby zasadzić je na wiosnę. Nająłem też parę dziewczyn do pielenia.

- Ładnych? - zapytał nietaktownie John.

517

J miał ponurą minę.

- Nie zauważyłem - rzekł.

W lutym przyszedł do nich pewien mężczyzna z doniczką, z której wystawały zielone kielki jakiejś cebulki.

- Co to takiego? - zapytał J, ukrywając zmęczenie.

- Muszę się zobaczyć z Johnem Tradescantem - oznajmił żywo przybysz. - Tylko z nim samym.

- Jestem John Tradescant młodszy - odrzekł J, choć zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że to nie wystarczy.

- Aha - odrzekł tamten. - W takim razie chcę się widzieć z waszym ojcem, panie.

- Zaczekajcie tutaj - powiedział krótko J i poszedł po ojca. John był w gabinecie osobliwości, rozkoszował się ciepłem ognia płonącego w kominku, przechodząc od szafy do szafy i podziwiając ukryte w nich skarby.

- Przy tylnych drzwiach czeka nieznajomy mężczyzna z jakąś cebulką w doniczce - zameldował J. - Chce mówić tylko z tobą. Przypuszczam, że to jakiś tulipan.

John odwrócił się na dźwięk słowa „tulipan”.

- Zaraz przyjdę.

Nieznajomy czekał w korytarzu. John zaprowadził go do frontowego pokoju, J poszedł za nimi i zamknęli drzwi.

- Co dla mnie macie?

- Cebulkę z odmiany Semper Augustus - powiedział cicho przybysz. Wyciągnął z kieszeni jakiś list. - Oto dowód.

- Uważacie nas za głupców? - zapytał J. - Skąd mielibyście wziąć tulipan z odmiany Semper Augustus? W jaki sposób pozwolono wam go wywieźć z Holandii?

Mężczyzna zrobił chytrą minę.

- Oto dowód - powtórzył. - List przeznaczony tylko dla waszych oczu, panie, podpisany przez Van Meera.

John złamał pieczęć i przeczytał list. Skinął głową do syna na znak, że to prawda.

- Przysięga mi, że w tej doniczce jest oryginalna cebulka tulipana Semper Augustus. Jak się dostał w wasze ręce?

- Jestem tylko posłańcem, panie - odparł przybysz. - Pewien dom handlowy zbankrutował. Nie powinno was

518

obchodzić, który. Pomocnik szeryfa zabrał towary, ale nie znał się na swojej robocie i nie znalazł cebulek. - Uśmiechnął się chytrze. -

Słyszałem, że żona bankruta wsadziła ją do garnka razem z cebulą. Więc oto jest, do sprzedania. Dżentelmen, który

zbankrutował, nie wymieniajmy jego nazwiska, chciał, żeby sprzedano ją poza Holandią. Pomyślał o was i polecił mi, żebym ją tu dostarczył. Za gotówkę - dodał.

- Zapłacimy, kiedy zakwitnie, nie wcześniej - odparł J.

- Ten list to certyfikat - powiedział posłaniec. - Polecono mi, żebym dał wam dzień na podjęcie decyzji, a potem zabrał ją gdzie indziej. W Anglii są inni wielcy ogrodnicy, panowie.

- Wszyscy są naszymi przyjaciółmi - warknął J. - I jeśli ja myślę, że to cebula, oni również tak pomyślą.

Mężczyzna uśmiechnął się. Był bardzo pewny siebie.

- To nie jest cebula. Ale jeśli położycie ją na chlebie, będzie to najbardziej kosztowny posiłek, jaki kiedykolwiek spożyliście.

- Mogę ją wyjąć z doniczki? - zapytał John.

Mężczyzna wzdrygnął się lekko i właśnie to przekonało J bardziej niż cokolwiek innego, że ta cebulka to właśnie bezcenny Semper Augustus.

- Dobrze - powiedział. - Ale uważajcie, panie. Nie pozwoliłbym jej ruszyć nikomu innemu.

John przewrócił doniczkę do góry dnem i mocno uderzył. Ziemia, cienkie, splątane białe korzenie i cebulka pozostały mu w dłoni, miękkie drobiny rozsypały się na podłogę. Niewątpliwie była to

cebulka jakiegoś tulipana.

Tradescant pogładził szorstką dłonią gładką, brązową, cienką łupinę, podziwiając doskonałą krągłość cebulki. Kielki na górze były mocne i zielone, cebulka puszczała pędy. Na pewno wypuści zdrowe, porządne liście i można mieć nadzieję, że również porządne kwiaty. Oczywiście nie mógł określić koloru kwiatu na podstawie łupiny cebulki. Lecz list poświadczał, że jest ona z odmiany Semper Augustus, Van Meer był godnym zaufania kupcem, a opowieść o bankructwie jakiegoś domu handlowego w Holandii i przybyciu pomocnika szeryfa nikogo nie dziwiła w tym kraju teraz, kiedy cebulki tulipanów przechodziły

519

z rąk do rąk kilkanaście razy dziennie, a ich ceny znów rosły niebotycznie.

Co więcej, z jednej strony cebulki John zauważył małą wypukłość. Mogło to oznaczać niewielkie zniekształcenie lub zaczątek nowej cebulki, która wyrośnie przez lato, zapewniając stuprocentowy zysk.

John pokazał wypukłość synowi, gładząc ją palcem, a potem ostrożnie wsadził cebulkę z powrotem do doniczki.

J pociągnął go do wnęki okiennej, gdzie nie mógł ich usłyszeć posłaniec.

- To może być cokolwiek - ostrzegł ojca. - To może być jedna z tuzinów odmian, które już hodujemy.

- Tak. Ale list wygląda na prawdziwy, to pieczęć Van Meera, a historia brzmi prawdopodobnie. Jeżeli to rzeczywiście jest Semper Augustus, w takim razie w tej doniczce tkwi prawdziwy majątek, J. Widziałeś ten guzek z boku? Moglibyśmy w ciągu roku podwoić pieniądze wydane na macierzystą cebulkę, a potem zarobić poczwórnice na dwóch.

- Albo też wyhodować czerwony tulipan, a mamy ich już pięćdziesiąt.

- Myślę, że powinniśmy zaryzykować - oświadczył John. -

Možemy zbić na tym majątek, J. - Odwrócił się do posłańca. - Ile za niego chcesz?

Tamten nie wahał się ani chwili.

- Kazano mi wziąć tysiąc angielskich funtów.

J zakrztusił się z wrażenia, ale John skinął głową.

- Czy twoje rozkazy pozwalają ci wziąć część teraz, a resztę, kiedy cebulka zakwitnie? Każdy nabywca chciałby zobaczyć kwiat.

- Mogę wziąć teraz osiemset i weksel płatny w maju. J zbliżył się do ojca.

- Nie możemy. Nie możemy wypłacić takiej sumy.

- Pożyczmy ją - odparł cicho John. - To połowa ceny, którą musielibyśmy zapłacić w Amsterdamie.

- Ale nie jesteśmy w Amsterdamie - sprzeciwił się J. - Nie spekulujemy na cebulkach.

Lecz John promieniał z podniecenia, oczy mu błyszczały.

- Pomyśl, ile zapłaci król za tak rzadki okaz! - powiedział.  
520

- Jeżeli uzyskamy dwie cebulki z jednej, pomyśl, jaki zysk osiągniemy. Zawieziemy ją z powrotem do Amsterdamu, zdobędziemy majątek i nazwisko jako hodowcy cebulek najrzadszych tulipanów. Sprzedać Semper Augustus wyhodowany w Anglii na giełdzie w Amsterdamie!

- Nie mogę w to uwierzyć - mruknął do siebie J. - Wydaliśmy ostatnie pieniądze na zapłacenie nowego podatku, przez dwa miesiące nie mieliśmy gości z powodu zarazy, a teraz ryzykujemy sumę równą ośmioletnim zarobkom za jedną cebulkę?

John odwrócił się do posłańca.

- Oto moja ręka - powiedział uroczyście. - Jutro będę miał te pieniądze. Wróc w południe.

Przez resztę dnia obaj Tradescantowie, ojciec i syn, odebrali wszystkie należności w całym Londynie, a potem, powołując się na swe zasługi, otwarcie poszli do bankierów w domach handlowych i pożyczili pieniądze, proponując cenną cebulkę jako zastaw i w końcu sprzedając udziały z niej za gotówkę. Ich nazwisko tak się liczyło, a pragnienie zarobku na holenderskich spekulacjach było tak silne, że mogliby pożyczyć sumę

dwukrotnie większą pod zastaw zysków z tej jednej jedynej cebulki. Tulipanowa histeria rozprzestrzeniła się z Holandii na całą Europę.

Wszyscy chcieli mieć udziały w tulipanach, na które popyt rósł od lat, a teraz dzień w dzień, wielkimi skokami. John nie musiał się trudzić, by znaleźć udziałowców dla swojej cebulki, mógłby ją sprzedać za gotówkę już w południe. Do czasu, kiedy o zmierzchu spotkali się w Arce, mieli całą sumę.

John triumfował.

- Mógłbym ją sprzedać na pniu - zapał z radości. - Zapewni nam majątek. Z zysków kupię dla nas tytuł szlachecki, J. Twój syn będzie sir Johnem dzięki pieniądzom, które zarobiliśmy dzisiaj! Urwał, gdy zauważył powagę na twarzy J i smutek w jego oczach.

- Czy ty nie masz na nic ochoty? - zapytał czule syna.

521

Twarz młodego mężczyzny pozostała smutna.

- Nie minął jeszcze rok, jak ona spoczęła w grobie, a my już spekulujemy i uprawiamy hazard.

- Handlujemy - odparł John. - Jane nie potępiała uczciwego handlu. Była córką kupca. Znała cenę zysku. Jej własny ojciec ma udział w tym przedsięwzięciu.

- Myślę, że ona nazwałaby to hazardem - powiedział J. - Ale masz rację, nie mam ochoty na nic. Ciężko mi na sercu i chyba dlatego uważam, że to za duże ryzyko dla nas. Nic więcej.

- Nic więcej! - John klepnął syna po plecach. - Zysk z tego sprawi, że zrobi ci się lżej na sercu - obiecał.

Trzymali cenną cebulkę w oranżerii, by ogrzewały ją blade promienie wiosennego słońca wlewające się przez okna, ale osłaniali w południe, żeby liście się nie zwarzyły. Każdego ranka John sam ją podlewał letnią wodą doprawioną mieszanką z gotowanych pokrzyw i końskiego nawozu. Cebulka wypuściła świeże zielone liście, a potem w końcu, z ukrytego głęboko serca, ostro zakończony cenny pączek.

Wszyscy domownicy wstrzymali oddech. Frances codziennie odwiedzała oranżerię, wypatrując, kiedy zielony pączek nabierze

barw. John nigdy nie mijał drzwi, nie zaglądnąc do środka. Tylko J pogrążony był w mroku rozpacz. Nie mógł patrzeć na oranżerię jak na miejsce, gdzie powoli rozkwita ich majątek. Nie mógł zapomnieć, że tam leżała Jane, i wydawało mu się, że po tamtej małej, ołowianej trumnie nic dobrego nie może wyjść z tego pomieszczenia.

- On jest biały! On jest czerwony i biały! - Pewnego ranka Frances wpadła do sypialni dziadka, który właśnie się ubierał.

- Nasz tulipan?

- Tak! Tak! Jest czerwony i biały!

- Prawdziwy Semper Augustus! - zapał z radości Tra-descant i na pół ubrany chwycił wnuczkę za rękę i zbiegł z nią po schodach. Zatrzymali się przed drzwiami oranżerii, bojąc się podbiec do rośliny, jak gdyby odgłos ich kroków mógł strząsnąć kolor z kwiatu.

Prześliczne, doskonale zaokrąglone płatki nabrały barw w szarym świetle świtu, chociaż nadal były mocno zaciśnięte.

522

Wyraźnie miały ciemnoszkarłatny kolor poprzecinany bielą jak jedwabny kubrak.

- Zdobyłem majątek - powiedział John cicho, patrząc na cudowny kwiat na smukłej, zielonej łodyżce, błyszczącej, jak gdyby ją nawoskowano. - Tego dnia zrobiłem majątek, Mały John będzie baronetem i nikt z nas już nigdy nie musi u nikogo pracować.

Pokazywali go w gabinecie osobliwości, oczywiście jako najcenniejszy tulipan świata. Kiedy posłaniec wrócił po resztę pieniędzy, pożyczyci zaledwie dwie trzecie tej sumy. Resztę wzięli od gości, którzy przybywali tłumnie, by zobaczyć bezcenny kwiat. Kiedy królowa w Oatlands usłyszała o tym żywym cudzie, powiedziała, że chce go kupić tak, jak jest, w doniczce, i J już miał wymienić sumę, która pokryłaby ich wydatki i zapewniła im chrześcijański zysk w wysokości dwóch procent. Ale John uprzedził syna.

- Kiedy cebulka zostanie wyjęta, wasza królewska mość, będziemy zaszczytzeni, mogąc ci ją podarować - powiedział z



dumą.

Rozpromieniła się, gdyż uwielbiała prezenty. John odciągnął syna, zanim ten mógł się sprzeciwić.

- Zaufaj mi, J. Oddamy jej jedną z maleńkich cebulek i zachowamy macierzystą. A królowa później nagrodzi nas za szczodrość. Nie obawiaj się. Ona dobrze wie, jak zrobić to z wdziękiem.

Obserwowali, jak bezcenny kwiat rozkwita całą feerią barw, a potem rozwija się w pełni.

- Nie możemy zatrzymać płatków? - zapytała Frances.

- Możesz mieć płatki - odparł John. - Chyba powinniśmy zakonserwować je w cukrze i trzymać w piasku w jednej z szufladek w gabinecie osobliwości.

Później, w listopadzie, pozostawiwszy cebulce jak najwięcej czasu, by dobrze urosła, John, na oczach J i Frances, uderzył w doniczkę i czekał, aż ich nowy skarb wpadnie mu w ręce.

Z bezcennej cebulki wyrosły nie jedna, nie dwie, lecz trzy mniejsze.

523

- Chwała niech będzie Panu - powiedział pobożnie John.

Nieskończenie ostrożnie odciął je ostrym nożem od macierzystej cebulki i umieścił w oddzielnych małych doniczkach.

- Cztery, a przedtem była tylko jedna - powiedział do syna. - Jak możesz nazwać to lichwą, kiedy jest to szczodrość samego Boga, który dwu i czterokrotnie powiększa nasze bogactwo?

Jedną doniczkę przeznaczono dla królowej. John miał zatrzymać drugą.

Pozostałe dwie zamierzał odesłać triumfalnie do Amsterdamu w lutym, w porze, gdy kupowano cebulki tulipanów, żeby stali się najbogatszymi ogrodnikami, jakich znał świat, żeby stali się prawdziwymi krezusami.

Rozdział Czterdziesty Ósmy.

Grudzień 1636.

Tego roku w Arce Boże Narodzenie było ciche i smutne. To Jane zawsze ozdabiała dom bluszczem i ostrokrzewem i zawieszała

jemiółę nad frontowymi drzwiami. Ani J, ani jego ojciec nie mieli do tego serca. Kupili dzieciom prezenty na święto Trzech Króli - piernik przyprawiony imbirem, kandyzowane owoce, nową sukienkę dla Frances i pięknie ozdobioną rycinami książkę dla Johnny'ego. Mieli jednak straszne uczucie, że mechanicznie wykonują wszystkie zwyczajowe czynności, dając prezenty i świętując.

W noc Bożego Narodzenia obaj siedzieli przy kominku, pijąc grzane wino z korzeniami i tłukąc orzechy. Frances, której pozwolono pozostać dłużej z okazji świąt, usiadła na stołeczku, wpatrując się bezmyślnie w płomienie i sącząc mleko jak najwolniej, żeby przedłużyć tę chwilę.

- Myślisz, że mama chciałaby być tutaj? - zapytała dziadka. John spojrzał szybko na syna i zauważył grymas bólu na jego twarzy.

- Jestem pewien, że tak. Ale jest szczęśliwa z aniołami w niebie - odparł.

- Myślisz, że patrzy na nas z nieba i widzi, że jestem dobrą dziewczynką?

- Tak - odparł burkliwie John.

- A myślisz, że zrobiłaby cud, maleńki cud, gdybym ją o niego poprosiła?

525

- Jakiego cudu pragniesz, Frances? - zapytał dziadek.

- Chcę, żeby król zrozumiał, że powinien mnie uczynić uczennicą mojego ojca - powiedziała dziewczynka, kładąc rączkę na kolanie dziadka i patrząc na niego z powagą. - Pomyślałam, że mama mogłaby zrobić taki mały cud i otworzyć królowi oczy. Żeby zobaczył, ile jestem warta.

John poklepał ją po główce.

- Zawsze możesz rozpocząć naukę tutaj - rzekł. - Nie musisz służyć jakiemuś panu, żeby być wielkim ogrodnikiem. Nie potrzebujesz uznania króla. Sam cię nauczę wszystkiego, co powinnaś umieć. Ja wiem, jak wiele jesteś warta, Frances.

- I będę mogła pracować w ogrodzie, gdy wy odejdziecie? Żeby zawsze była Arka Tradescantów w Lambeth?

John położył dłoń na ciepłej główce wnuczki, jakby ją błogosławił.

- Za sto lat jakaś część Tradescantów znajdzie się we wszystkich angielskich ogrodach - przepowiedział. - Rośliny, które wyhodowaliśmy, już rosną w każdym ogrodzie w Anglii. Nigdy nie szukałem większej sławy niż taka i miałem szczęście, że się tego doczekałem. Ale chciałbym, żebyś pracowała w naszym ogrodzie, kiedy ja odejdę z tego świata. Frances Tradescant, ogrodniczka.

Rozdział Czterdziesty Dziewiąty.

1637.

Posłaniec nawet nie wszedł do domu Tradescantów w Lambeth. Pewnego lutowego poranka stanął w zabłoconych butach w sieni i wyjął spod opony oba cenne tulipany w doniczkach.

- O co chodzi? - zapytał John ze zdumieniem.

J, który właśnie wracał z ogrodu z posiniałymi z zimna palcami, usłyszał strach w głosie ojca i szybko podbiegł do Johna, zostawiając ślady błota na błyszczącej podłodze.

- Zwracam wasze cebulki - odparł zwięźle przybysz. Zapadło głębokie milczenie.

- Zwracasz?

- Na rynku nastąpił krach - wyjaśnił posłaniec. - Na giełdzie zaprzestano handlu tulipanami. Kupcy wieszają się w swoich bogatych domach i topią dzieci w kanałach. Szał na tulipany przeminął i wszyscy w Holandii są zrujnowani.

John zbladł i cofnął się chwiejnie. Opadł na najbliższe krzesło.

- A Henrik Van Meer?

- Nie żyje. Popęłił samobójstwo. Jego żona pojechała do krewnych do Francji z fartuchem pełnym cebulek tulipanów.

J położył rękę na ramieniu ojca. Miał głębokie poczucie winy, że nigdy nie zaprotestował dostatecznie ostro

527

przeciw namiętności do łączenia roślin i pieniędzy. A teraz rośliny i pieniądze się rozdzieliły.

- Ostrzegałeś mnie - powiedział John do syna, głęboko

wstrząśnięty.

- Za słabo - odparł gorzko J. - Mówiłem cicho jak dziecko, a powinienem był krzyczeć jak mężczyzna.

- Nie mogłeś nic za nie dostać? - zapytał John. - Za moje cebulki Semper Augustus? Wziąłbym pięćset funtów za każdą. Wziąłbym czterysta.

- Nic - odparł posłaniec. - Ludzie przeklinają samą ich nazwę. Są bezwartościowe. Są gorzej niż bezwartościowe, ponieważ ludzie nawet nie chcą na nie patrzeć. Winią je o wszystko. Mówią, że już nigdy nie będą hodować tulipanów w Holandii. Nie znoszą nawet ich widoku.

- To szaleństwo - odparł John, siląc się na uśmiech. - Przecież to najpiękniejsze kwiaty, jakie kiedykolwiek wyhodowano. Nie mogą się zwrócić przeciwko nim tylko dlatego, że popyt na nie spadł. Nie ma nic podobnego do tulipana...

- Oni nigdy nie patrzyli na nie jak na kwiaty - tłumaczył cierpliwie posłaniec. - Widzieli w nich bogactwo. I kiedy wszyscy za nimi szaleli, rzeczywiście były bogactwem. Ale gdy ludzie ich nie chcą, są to tylko cebulki, z których wyrastają śliczne kwiaty. Czuję się jak głupiec, nosząc te dwie. Czuję się tak głupio, jak gdybym był wariatem noszącym rzepeę i twierdzącym, że to skarb.

- Postawił obie doniczki na podłodze. - Przykro mi, że przyniosłem wam takie złe wieści. Ale powinniście uważać się za szczęściarzy, że macie tylko dwie cebulki. Ludzie, którzy kupili z tuzin, gdy były u szczytu sławy, leżą teraz w kanałach, rybom na pożarcie.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. J i John nie ruszyli się z miejsc. Piękne doniczki z tulipanami zdawały się lśnić drwiąco, odbite w nawoskowanej podłodze.

- Jesteśmy zrujnowani? - zapytał J.

- Nie, dzięki Bogu.

- Czy stracimy nasz dom?

- Mamy rzeczy, które możemy sprzedać. Możemy rozstać się z niektórymi z naszych eksponatów. Możemy handlować i utrzymać się na powierzchni.

- Jesteśmy na skraju bankructwa. John skinął głową.

- Tak. Na skraju. Ale tylko na skraju, J.

Wstał z krzesła i pokuśtykał do drzwi wychodzących na taras i ogród. Otworzył je i wyjrzał, nie zważając na zimny powiew, który wpadł do korytarza i mógł zmrozić tulipany w doniczkach. Młode kasztanowce były niezgrabne i niezdarne jak żrebaki. Na smukłych gałązkach tkwiły grube pączki. Pojawia się na nich maleńkie dłoniaste listki oraz wspaniałe białe kwiaty, a w końcu błyszczące, brązowe kasztany ukryte w grubych łupinach. John patrzył na nie tak, jak gdyby były liną ratowniczą.

- Nigdy nie będziemy zrujnowani. Dopóki mamy nasze kasztanowce - powiedział.

Ale z wielkim trudem wiązali koniec z końcem. Przez całą wiosnę i lato manipulowali długami, przyjmowali zapłatę za swoje rośliny i natychmiast posyłali pieniądze wierzycielom.

- Potrzebujemy partii nowych, rzadkich roślin ogrodowych, które wszyscy bardzo będą chcieli mieć. Nowej kolekcji, którą wszyscy zechcą kupić - powiedział J pewnego jesienno-wieczoru, kiedy wyjmowali cebulki z rozsadnika, oczyszczali je ostrożnie miękkimi pędzelkami z króliczej sierści i układali w długich, płaskich skrzynkach.

John skinął głową.

- Żeglarze ciągle przywożą nowe rośliny. W tym tygodniu kupiłem ładny mały kwiatek z Indii Zachodnich.

- Potrzebujemy na gwałt nowej mody - ciągnął J. - Żeby wszyscy kupowali od nas rośliny. Żeby wszyscy zapamiętali nasze nazwisko. Musimy stworzyć naszą własną modę, modę na rośliny Tradescantów.

W trakcie tej rozmowy John klęczał wsparty na rękach obok syna, ale teraz odchylił się do tyłu, żeby odpocząć.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał, patrząc na niego.

- Pomyślałem, że powinienem udać się do Wirginii - wyjaśnił J. - Będę zbierać rzadkie rośliny całymi skrzynkami

i przywiozę je na czas sadzenia, na wiosnę przyszłego roku. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć piękne kwiaty, za które ludzie dużo zapłacą.

- Będziemy musieli się dowiedzieć, ile kosztuje podróż - odrzekł ostrożnie John. - To dobry plan. Ale przede wszystkim musimy zdobyć pieniądze, żebyś mógł tam popłynąć. Bo teraz cienko przedziemy, J. Bardzo cienko.

J nic nie odpowiedział i John znów spojrzał na smutną twarz syna.

- Nie chodzi ci o interesy, prawda? To dlatego, że straciłeś Jane?

- Tak - wyznał szczerze J. - Nie mogę znieść tego miejsca, kiedy jej tu nie ma.

- Ale jeżeli popłyniesz do Wirginii, czy wrócisz? Myślisz tylko o jednej podróży? Tutaj są twoje dzieci, nasza Arka i praca w ogrodzie królowej. A ja się starzeję.

- Wrócę. Ale teraz muszę stąd wyjechać. Nie rozumiesz, co czuję, kiedy leżę nocą w naszym łóżku i wiem, że jej nie ma. I nie mogę chodzić do tej przeklętej oranżerii. Za każdym razem, gdy tam wejść, by popatrzeć na jakąś roślinę lub podlać sadzonki, myślę, że Jane nadal leży w tym kącie i zabrania mi podejść. Umarła sama jak żebraczka na rogu ulicy bez żadnej opieki - a ja tak wiele chciałbym jej powiedzieć i zapytać... - Urwał. - Nie rozumiesz - powtórzył.

- Rozumiem - odpowiedział powoli John.

- Nie. Nie możesz zrozumieć. Kiedy matka umierała, wiedziałeś o tym od miesięcy i nawet mogłeś wyhodować kwiaty przed jej śmiercią. Miałeś czas na pożegnanie. Mogłeś ją objąć...

- Wcześniej też straciłem ukochaną osobę, kogoś, kogo bardzo kochałem, bez ostrzeżenia - powiedział John z trudem. - I wiele rzeczy pozostało niewypowiedzianych. Wiem, co to znaczy śnić o kimś i za kimś tęsknić, rozmyślać o jego śmierci raz po raz i myśleć, że mogłeś jej zapobiec na tysiąc sposobów, że powinieneś był jej zapobiec na tysiąc sposobów, aż brzydzisz się własnym życiem, ponieważ go nie oddałeś, żeby uratować tego kogoś.

J spojrzał ojcu w oczy.

- Nie wiedziałem.

John zrozumiał, że syn uważa, iż mówił o jakiejś kobiecie, którą kiedyś kochał. Nie wyprowadził go z błędu.

- A więc rozumiem.

- Pozwolisz mi tam pojechać?

John oparł rękę na ramieniu syna i wstał. Znow, ku swemu ciągłemu zaskoczeniu zauważył, że J z chłopca wyrósł na mężczyznę o tak szerokich i silnych ramionach jak jego własne.

- Nie mogę ci rozkazywać - rzekł. - Jesteś dorosłym mężczyzną i moim równoprawnym partnerem. Jeżeli musisz tam popłynąć, powinienesz to zrobić z moim błogosławieństwem. Ja pod twoją nieobecność zajmę się Frances, Małym Johnem, Arką i Oatlands. Starzeję się, J, potrzebuję cię tutaj i twoje dzieci będą cię potrzebowały.

J również wstał, ale wciąż był przygarbiony.

- Nie zapomnę o moich obowiązkach.

- I twoje dzieci będą potrzebowały matki - dodał John.

J szybko podniósł głowę.

- Nie mogę znów się ożenić - powiedział stanowczo.

- Nie z miłości - odparł łagodnie John. - Nikt tego od ciebie nie wymaga. Ale twoje dzieci potrzebują matki. Nie mogę ich wychować tylko z pomocą paru służebnych. Mały John dopiero zaczął chodzić, będzie potrzebował troskliwej kobiety, która go wychowa, nauczy dobrych manier i będzie się z nim bawić. A ty będziesz potrzebował żony. Jesteś młody, J, masz przed sobą wiele lat życia. Będziesz potrzebował towarzyszkę i przyjaciółki, z którą je spędzisz.

J odwrócił się i oparł rękę na szorstkiej korze jabłoni, żeby zachować równowagę.

- Gdybyś wiedział, jak wielki ból sprawia mi sama myśl o innej kobiecie, nie mówiłbyś tego - szepnął. - To najbardziej okrutna, najgorsza rzecz, jaką mogłeś powiedzieć. Żadna kobieta nie zajmie jej miejsca.

John znów wyciągnął rękę, a potem ją opuścił.

- Już nigdy tego nie powiem - rzekł łagodnie. - Mnie również jej

brak. - Urwał. - Nie wierzę, że jakaś kobieta mogłaby zająć jej miejsce - przyznał. - Była kimś niezwykłym. Nie widziałem takiej drugiej. -W jego ustach była to największa pochwała.

531

Nie mogli znaleźć pieniędzy na podróż do Wirginii, Arka tonęła. Potem J pomyślał, że mógłby podsunąć ten pomysł królowej. Przypomniawszy sobie o tym, kiedy zatrzymała się przy nim w swoim ogrodzie, gdy przywiązywał pnącza do muru.

- Myślisz o zostawieniu mojego ogrodu? O odejściu ze służby u mnie? - zapytała.

J przykląkł.

- Nigdy - odparł. - Myślałem o bogactwach, jakie Raleigh i Drake przywieźli dla królowej Elżbiety. Myślałem, że chciałbym przywieźć skarby dla najjaśniejszej pani.

Słowa te polechtały próżność Henrietty Marii.

- Byłbyś wtedy moim błędnym rycerzem! - zawołała. - Ogrodnik Tradescant, który wyruszył w daleką podróż dla swojej królowej.

- Tak - odrzekł J, nienawidząc samego siebie za te obłudne słowa, chociaż postanowił kontynuować grę.

- I gdzieś tam musi być złoto i srebro - powiedziała. - Hiszpanie zdobyli go już dostatecznie dużo, jak nasz słodki Pan dobrze wie. Gdybyś przywiózł trochę szlachetnych kamieni, pomogłoby to jego królewskiej mości. Zdumiewające, ile kosztuje parę obrazów czy też utrzymanie dworu.

- Istotnie, wasza królewska mość - potwierdził J, klęcząc na ziemi.

- Przywieziesz mi perły! - zawołała. - Zrobisz to? Albo szmaragdy?

- Zrobię wszystko, co będę mógł - odparł ostrożnie. -Ale na pewno przywiozę rzadkie i piękne rośliny i kwiaty.

- Poproszę króla, żeby dał ci patent - obiecała. - Zaraz to robi. Na dworze Stuartów panował taki chaos, że w całym kraju wybuchały zamieszki i rewolty z powodu daniny okrętowej, szlachetnych ludzi oskarżano o zdradę i wtrącano do więzienia wraz ze zbrodniarzami i żebrakami, a król prawie o tym nie



wiedział. Ale królową podekscytował projekt podróży do Wirginii młodego Tradescanta, opowiedziała o tym mężowi i sprawa stanęła na porządku dnia.

- Musisz przywieźć trochę pięknych r... roślin - powiedział uprzejmie król. - Kwiaty, drzewa i muszle, słyszałem, 532

że są tam cenne m... muszle. Dam ci odpowiednie pełnomocnictwo. Wszystko, co twoim zdaniem przyniesie korzyści mnie lub k... królestwu, musisz otrzymać bez opłat i przywieźć do Anglii. Dam ci patent na zbieranie tego wszystkiego. Moi lojalni poddani w Nowym Świecie pomogą ci w tym.

J wiedział, że duża liczba wiernych poddanych Karola uciekła do Ameryki, żeby nie żyć pod rządami takiego władcy, i płaciła podatki Anglii tylko z największą niechęcią i z irytacją.

- Musisz wrócić również z o... osobliwymi przedmiotami - dodał król. - I sprawdź, czy możesz sprowadzić do Anglii indiańskie zboże zwane kukurydzą, żeby można było je tu uprawiać.

- Uczynię tak, wasza królewska mość.

Na dany przez króla znak jeden z niższych sekretarzy kancelarii królewskiej postąpił do przodu.

- P... patent na zbieranie w Wirginii roślin i osobliwych przedmiotów - powiedział Karol, ledwie poruszając wargami. Urzędnik, który od niedawna pracował w kancelarii, jeszcze nie przywykł, że król nie cierpi wydawania rozkazów. - Każ go napisać dla pana T... Tradescanta.

J złożył ukłon.

- Bardzo dziękuję waszej królewskiej mości. Karol podał mu rękę do ucałowania.

- I masz za co - odrzekł.

Rozdział Pięćdziesiąty.

Grudzień 1637.

J miał się udać do Wirginii na statku „Waleczne Serce”, który wypływał z Greenwich. John przyszedł do portu, żeby go odprowadzić. Zjedli razem ostatni posiłek w karczmie Pod Trzema Krukami, a bagaże J zanesiono na pokład żaglowca

przycumowanego do nabrzeża, który widać było z okna karczmy.

- Pamiętaj o zabraniu dostatecznej ilości wody, żebyś przez całą drogę mógł podlewać rośliny, które będziesz wiozł - przypomniał mu John. - Na morzu podczas sztormu nawet deszcz bywa słony.

J uśmiechnął się do ojca.

- Widziałem dość usychających roślin, żeby wiedzieć, jak je pielęgnować.
- Zbieraj nasiona, jeśli zdołasz. One znoszą podróż znacznie lepiej niż młode rośliny. Nasiona i korzenie są najlepsze. Pamiętaj dobrze je zapakować, aby miały ciemno i sucho.

J skinął głową i rzucił ojcu spojrzenie, które powiedziało Johnowi, że już niczego więcej nie może go nauczyć.

- Chcę, żeby ci dobrze poszło - wyjaśnił John. - Wiem też, że jest tam wiele skarbów, które możesz zgromadzić.

J spojrział przez maleńkie okno na statek przycumowany do nabrzeża.

- Przez całe dzieciństwo wydawało mi się, że patrzę,

534

jak odpływasz, i czuję się dziwnie teraz, kiedy nadeszła moja kolej.

- Tak być powinno. Teraz ty powinieneś podróżować - powiedział wspaniałomyślnie John. - Wcale ci nie zazdroszczę. Bolał mnie plecy, kolana mam sztywne, minęły dni, kiedy mogłem odbywać dalekie wędrówki. Ta zima bardzo dała mi się we znaki, zimno, żałoba, kiepskie zdrowie i zmartwienia, wszystko razem. Będę kuśtykał między kominkiem i ogrodem aż do twojego powrotu.
- Pisz do mnie o dzieciach - poprosił J. - Żebym wiedział, że są zdrowe.
- W tym roku zaraza powinna mniej się srożyć - powiedział John.
- Zebrała tak obfite żniwo w zeszłym roku. Muszą nadejść lepsze czasy. Będę trzymał dzieci z dala od Londynu.
- One nadal oplakują matkę.
- Z czasem mniej będą odczuwać tę stratę - pocieszył go ojciec. - Frances już opiekuje się Małym Johnem, a on czasem się zapomina i nazywa ją mamą.

- Wiem - odparł J. - Powinienem się cieszyć, że przestał ją wołać; ale nie mogę tego słuchać.

Tradescant senior opróżnił kufel i postawił go na stole.

- Chodźmy. Wejdz na pokład, a pozostawisz za sobą Anglię i swój ból.

Zeszli po wąskich schodach na nabrzeże.

- Ten budynek jest pełen korytarzy jak królicza nora - zauważył John. - Kiedy banda łapaczy młodych mężczyzn nadchodzi od frontu, ci uciekają z domów w dół i w górę tej ulicy tysiącem drzwi. Widziałem to, kiedy ludzie diuka łapali młodzieńców na wojnę z Francuzami.

J spojrzał na „Waleczne Serce”. Zaczynał się odpływ i statek napinał cumy, jakby chciał wypróbować ich wytrzymałość. J odwrócił się, a John niezręcznie wziął go w objęcia.

- Niech Bóg cię błogosławi - powiedział łagodnie.

J nagle ogarnęło złowrózbnę przeczucie, że już nigdy nie zobaczy ojca. Strata matki, a potem żony zachwiała jego pewnością siebie.

- Nie pracuj za ciężko - nalegał. - Pozwól, abym to ja zatroszczył się o naszą rodzinę. Na wiosnę przywiozę do kraju beczułki pełne roślin. Przysięgam.

535

Popatrzył na twarz ojca. John wyglądał jak zawsze: ciemnooki, ogorzały, twardy jak kępa wrzосу.

- Niech Bóg cię błogosławi - szepnął J i wszedł po trapie na pokład statku.

John usiadł na jakiejś beczce na nabrzeżu, wyciągnął zmęczone nogi i czekał, aż żaglowiec odpłynie. Widział, jak marynarze wbiegają po trapie na pokład, a potem zdejmują cumy.

Przypląnęły małe barki i wzięły „Waleczne Serce” na hol, wypływały z nim na środek rzeki. Potem Tradescant usłyszał z oddali jakiś rozkaz i ujrzał przepiękny widok - jak żagle wydeły się na wietrze.

Podniósł rękę, żegnając syna, kiedy żagle nabrały wiatru, unoszony prądem statek obrócił się lekko, skorygował swój kurs, a potem pomknął w dół rzeki, przebijając się przez rojowisko

wypływających z portu mniejszych statków, promów, kutrów rybackich i łodzi wiosłowych.

Ze swojego miejsca przy burcie J widział, jak postać jego ojca maleje coraz bardziej na nabrzeżu, które wkrótce stało się częścią większego widoku, gromadą kamieni na tle zielonych wzgórz Kentu, a później, gdy odpłynęli jeszcze dalej, zamazaną plamą na widmowym lądzie.

- Do widzenia - rzekł cicho. - Niech cię Bóg błogosławi.

Wydało mu się, że zostawia nie tylko swego ojca i dzieci, wspomnienia o żonie i matce, lecz także dzieciństwo i czas nauki, i płynie do nowego życia, które sam sobie stworzy.

Rozdział Pięćdziesiąty Pierwszy.

Wiosna 1638.

Pod nieobecność syna John nie zaniedbywał prac w Oatlands. Jesienią zasadził nową partię żonkili i wiosną bywał codziennie w ogrodzie króla, patrząc, jak ich zielone kielki niczym włócznie przebijają ziemię. Dla królowej posadził tulipany w wielkich porcelanowych misach i zaczął je pędzić. Może były teraz warte ułamek wcześniejszej ceny, ale nie zamierzał wyrzucić dobrych cebulek na śmietnik tylko dlatego, że kiedyś kosztowały majątek, a teraz sprzedawano je po szylingu za sztukę. Kupił je z miłości do ich kolorów i kształtu i nadal je kochał. Umieścił kwiaty w oranżerii przy oknach, by dać im dość światła, i ogrzewał. Królewska para miała przyjechać do pałacu pod koniec lutego i John chciał, żeby tulipany zakwitły w ich prywatnych apartamentach.

Miał szczęście. Król przedłużył pobyt w Richmond i przybył do Oatlands dopiero na początku marca, kiedy pączki tulipanów były już grube, zielone i dawało się dostrzec, jakiej barwy będą kwiaty. Dworowi królewskiemu towarzyszyła gromada nowych projektantów i dekoratorów. Królowa chciała, żeby przebudowano i przemalowano jej komnaty.

- Na jaki kolor mam pomalować ściany? - zapytała Johna. - To jest monsieur de Critz, który namaluje mi cherubinki, anioły, świętych lub cokolwiek sobie zażyczę.

Tradescant spojrział na tulipany, które powoli przybierały ciemnoszkarłatny kolor.

- Szkarłatny - powiedział. Odwróciła się od niego ze złością.  
- Chciałeś mnie obrazić? - zapytała. Natychmiast się domyślił, że boleśnie odczuła sprośne pieśni, które głośno śpiewano na ulicach Londynu - o dwóch nierządnicach w szkarłacie\*: papieżu i królowej Anglii, która, o hańbo, wpadła w jego sieci.

\* Gra słów: scarlet woman - nierządnicą.

- Nie! - wyjąkał John. - Nie! Patrzyłem na kwiaty, wasza królewska mość!

Odwróciła się i zobaczyła tulipany.

- Och! - Henrietta Maria straciła jednak dobry humor. - No, tak. Na kremowo, różowo i niebiesko, na pamiątkę Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny - poleciła lakonicznie i wyszła z komnaty.

Malarz uniósł brwi i spojrział ostrożnie na Johna.

- Powinienem był uważać - mruknął Tradescant.

- Ostatnio król i królowa łatwo wpadają w gniew - powiedział półgłosem malarz. - Z każdym dniem wieści z prowincji są coraz gorsze. Nie zawsze łatwo jest służyć na dworze.

John skinął głową i wyciągnął rękę.

- Dobrze znów was widzieć, monsieur de Critz.

- Minęło dużo czasu - odparł tamten. - Widziałem was przed laty, kiedy lord Cecil mnie zatrudnił.

- Pamiętam - odrzekł Tradescant. - Namalował pan portret milorda, który odtworzono jako mozaikę nad kominkiem w Hatfield.

Usłyszeli, jak królowa podnosi w gniewie głos w komnacie obok.

- Idę do moich ogrodów - rzucił pośpiesznie John.

- Oprowadźcie mnie po pałacu przed odejściem. Omal się tu nie zgubiłem.

Tradescant lekko skinął głową i wyprowadził go z komnaty.

- To są apartamenty królowej, komnaty króla są do nich podobne,

ale znajdują się z drugiej strony pałacu.

538

W dole jest ogród króla. Po przeciwnej stronie ogród królowej. Malarz wyjrzał z okna na parter węzłowy Johna, zielony, biały i żółty.

Zewnętrzna obwódka miała jasną zieleń młodego wawrzynu, starannie przystrzyżonego, a wewnątrz niej, tak jak poleciła wcześniej królowa, znajdowała się wawrzynowa kokarda jako symbol miłości z monogramami H M i K w każdym rogu, utworzonymi przez opalizujące, jasnoniebieskie fiołki i bładozłote młode żonkile.

- Gdyby król i królowa przybyli miesiąc później, trzeba by było obsadzić wszystko bratkami - wyjaśnił John.

- Czy wy to zaprojektowaliście? - zapytał John de Critz, na którym ten widok wywarł duże wrażenie.

- Mój syn - powiedział Tradescant. - Ale obaj pracowaliśmy nad planami rozmieszczenia roślin. U ich królewskich gości trudniej się pracuje niż u jakiegoś lorda, który większość czasu spędza w domu. Gdy przyjeżdżają do Oatlands, oczekują, że ogród będzie doskonały. Nigdy jednak nie wiadomo, kiedy się zjawia. Musimy hodować wszystko w donicach lub rozsadnikach i przesadzać rośliny tylko wtedy, gdy wiemy, że król i królowa wkrótce przybędą. Nie możemy czekać, aż rośliny wyrosną pięknie i zdrowe, i będą następować po sobie w rozsadnikach. Ich królewskie gości muszą mieć ogród w doskonałym stanie przy każdych odwiedzinach.

- Wy sami jesteście malarzem - zauważył de Critz. - Cóż za wzory i barwy! Ten ogród jest jeszcze piękniejszy niż tamten w Hatfield.

- Ja nie mam zmysłu powonienia - wyjaśnił John. - Mój syn ceni kwiaty za ich woń i uwielbia hodować zioła z powodu ich zapachu. Ja natomiast, ponieważ nie mogę wyczuć żadnej woni, kocham jaskrawe kolory i piękne kształty.

Obaj odwrócili się od okna i John zaprowadził malarza do wielkiej jadalni, gdzie król i królowa mieli jeść obiad, a stamtąd na dziedziniec przed pałacem.

- Czy śpicie w pałacu? - zapytał John.
- Moja siostrzenica jest ze mną, mamy pokoje w starym skrzydle
- wyjaśnił de Critz.

539

- Czy ona zawsze wam towarzyszy? - zapytał Tradescant zaskoczony.

Arystokratyczni dworzanie poprzestawali na miłości platonicznej lub potajemnych schadzkach, ale pozostali królewscy domownicy potrafili zachowywać się grubiańsko wobec młodych kobiet. Ich obcesowe maniery nie miały nic wspólnego z romantycznym zachowaniem najbliższego otoczenia pary królewskiej.

- Ojca zabrała zaraza, a matka nie może jej utrzymać - wyjaśnił malarz. - I, prawdę mówiąc, dziewczyna ma dobre oko i może pracować równie dobrze jak każdy rysownik. Często pozwalam jej sobie pomagać i szkicować projekty na papierze, a potem przenoszę je na ściany.

- W takim razie zobaczymy się na obiedzie - rzekł John. Ciepłe wiosenne słońce grzało mu twarz i słyszał śpiew ptaków. - Muszę wyjść i zobaczyć, jak pracują w kuchennym ogrodzie.

De Critz podniósł rękę na pożegnanie i wrócił do pałacu, żeby zacząć szkice dla królowej.

John przyłączył się do de Critza przy stole w południe w wielkiej sali. U szczytu stołu siedzieli król, królowa i dworzanie, którzy tego dnia byli ich faworytami. Postawiono przed nimi setki smacznych, wykwintnych potraw. Królowa wyciągnęła białe dłonie, żeby dama dworu zdjęła jej po kolei bezcenne pierścienie, połała wodą czubki palców, a potem wytarła je delikatnie serwetką z najpiękniejszego adamaszku.

Tradescant zauważył, choć na jego twarzy nie pojawił się nawet cień dezaprobaty, że obok królowej siedzi jej spowiednik, a obok króla - ambasador francuski. Duchowny odmówił modlitwę cichym głosem i na pewno była to modlitwa katolicka. Nic nie wskazywało, że jest to protestancki dwór w protestanckim kraju. Nie widać było też nikogo więcej z rodziny królewskiej. Owszem, wisiał tam portret całej piątki ślicznych jak aniołki dzieci, dzieło

taktownego malarza. Ale królewskie dzieci nigdy nie jadały z rodzicami. Królowa szczyliła się swoją miłością macierzyńską, lecz okazywała ją

540

tylko od czasu do czasu, głównie wtedy, kiedy występowała publicznie.

Młoda kobieta licząca około dwudziestu pięciu lat, ubrana skromnie, lecz elegancko w suknię o przytłumionych kolorach, weszła żwawo do sali jadalnej, złożyła niski ukłon przed królewskim stołem, a potem dygnęła lekko przed wujem.

- To moja siostrzenica, Hester Pooks - powiedział John de Critz.

- John Tradescant, królewski ogrodnik.

Nie dygnęła przed Johnem, ale spojrzała mu prosto w oczy z uśmiechem i podała rękę, którą uścisnął.

- Cieszę się, że was poznałam, panie - rzekła. - Spacerowałam po tutejszych ogrodach i chyba nigdy nie widziałam nic piękniejszego.

Była to najprostsza droga do serca Tradescanta. Wysunął krzesło dla siostrzenicy de Critza, a potem nałożył jej kawałek chleba z tacy i mięsa z wielkiej misy, którą przed nimi postawiono.

Opowiedział o projektowaniu i udoskonalaniu ogrodów w Oatlands, o nowych odmianach tulipanów, które właśnie nabierały barw, o przekopywaniu ziemi w ogrodzie warzywnym i o olbrzymiej grządce obsadzonej szparagami.

- Wykonałam kilka szkiców drzew owocowych w pączkach i maleńkich żonkili pod nimi - powiedziała. - Nigdy nie widziałam tak ślicznego sadu.

- Chciałbym zobaczyć te szkice - poprosił John.

- Trawa wygląda jak kobierzec lub jak gdyby ją namalowano - zauważyła. - Prawdziwa kwietna łąka. Kwiatów jest tak dużo, że prawie nie widać zieleni.

- I taki właśnie miałem zamiar - oświadczył Tradescant z rosnącym entuzjazmem. - Przez cały czas wszystko trzeba utrzymywać w równowadze i strzyc w odpowiednim momencie, żeby nie ściąć kwiatów, póki nie zaczną więdnąć, i wyrywać te,



które rosną gwałtownie w górę i zasłaniają resztę... Ale tak się cieszę, że to zauważyłaś. Taka łąka ma wyglądać naturalnie, a to najtrudniej osiągnąć! Dlatego mam teraz szkic ogrodu, który powstał na podstawie pewnego gobelinu, a ten również zaprojektowano wedle jakiejś ryciny. I możliwe, że na samym początku tego łańcucha był jakiś ogród.

541

Ciemne oczy młodej kobiety spojrzały na Johna ze zrozumieniem.

- Pierwszy ogród? Rajski ogród? Widzicie go jako kwietną łąkę? Ja zawsze myślałam o nim jak o francuskim ogrodzie z pięknymi ścieżkami.

- Na pewno musiał tam być sad. - Johna ogarnęło radosne poczucie swobody; mógł snuć rozważania na temat Biblii, którą w domu musiał akceptować jako prawdę objawioną i którą czytano z bezkrytyczną wiarą. - Na pewno musiały tam być przynajmniej dwie jabłonie.

- Dwie?

- Chodzi mi o zapylenie. Inaczej diabeł nie miałby owocu, by skusić biednego Adama!

- Podobno uczeni mówią teraz, iż Adam nie zjadł jabłka, tylko morelę.

- Naprawdę? - John odniósł niepokojące wrażenie, że owi badacze Pisma Świętego posuwają się zbyt daleko. On sam czasami pozwalał sobie na niefrasobliwy sceptycyzm, ale wszystko ma swoje granice. - Przecież Biblia mówi, że to było jabłko.

- Nasza Biblia została przetłumaczona z wersji greckiej, a ta z hebrajskiej. W przekładach mogą być błędy.

- Mój syn powiedziałby, że... - Urwał. Nie był już pewien, co powiedziałby J. - Wierzący człowiek powiedziałby, że w Piśmie nie może być błędów. Że skoro jest to objawione Słowo Boże, Biblia musi być doskonała.

Skinęła głową, jak gdyby to niewiele znaczyło.

- Wierzący człowiek ma wiarę - odparła po prostu. - Ale człowiek, który wątpi, musi zadawać pytania.

- A ty jesteś kobietą, która zadaje pytania? Hester uśmiechnęła się do Johna. Ten nieoczekiwany uśmiech rozjaśnił jej twarz tak, że nagle wypiękniała i wydała się znacznie młodsza.

- Mam w głowie mózg, żeby myśleć samodzielnie - ale nie mam szczytnych zasad.

Słowa te wstrząsnęły jej wujem.

- Hester! - Odwrócił się do Johna. - W rzeczy samej, ona krzywdzi samą siebie. Tak naprawdę jest młodą kobietą o szczytnych zasadach.

- Nie wątpię w to...

542

Hester potrząsnęła głową.

- Jestem bardzo cnotliwa, gdyż o to chodzi mojemu wujowi; mówiłam o przekonaniach i zasadach politycznych.

- Mówisz to tak, jak gdybyś miała wątpliwości - odezwał się John.

- Myślę samodzielnie, ale nigdy nie lekceważę konwenansów - wyjaśniła. - Na tym świecie wszystkim trudno się żyje, zwłaszcza zaś kobietom. Ja przez cały czas staram się nikogo nie urazić i zrobić karierę.

- Jako malarka? - zapytał John. Rzuciła mu pogodny, szczery uśmiech.

- Teraz jako malarka i panna. Będę jednak chciała wyjść za mąż, troszczyć się o rodzinę i powiększać majątek mojego małżonka. John, przyzwyczajony do surowych zasad moralnych zmarłej synowej, popadł w rozterkę: wstrząsnęła nim szczerota Hester, a jednocześnie bardzo mu się spodobała.

- Nic ponadto? Wzruszyła ramionami.

- Nie sędzę, żeby było coś ponadto.

- A ona naprawdę umie rysować. - Wuj Hester sprowadził rozmowę na bezpieczniejsze tory. - Pomyślałem, że użyję jej szkiców waszej kwietnej łąki jako tła do moich fresków na ścianach komnat królowej.

Młoda kobieta zarumieniła się z zadowolenia.

- Zrobię je chętnie - obiecała.

- Umiesz namalować tulipany? - zapytał John. - Właśnie rozkwitają w apartamentach królowej i chciałbym mieć ich rysunki, żeby pokazać je synowi. On je wybrał, kupił i posadził. Będzie chciał wiedzieć, co się z nimi stało. Przeżyliśmy ciężki zawód z tulipanami...

- Chodziło o pieniądze? - odgadła szybko. - Ponieśliście stratę, kiedy załamał się rynek tulipanów?

John skinął głową.

- Ale chciałbym, żeby wiedział, że nadal są piękne, nawet jeśli nie przynoszą zysków.

- Spróbuję z przyjemnością - powiedziała. - Nie miałam okazji widzieć wielu kwitnących tulipanów.

543

Oczywiście znam obrazy przedstawiające holenderskie tulipany.

- Przyjdź dziś wieczorem do mojego domku - zaproponował Tradescant. - Mieszkam obok szopy z jedwabnikami. Przyniosę tulipany.

Hester nie dygnęła, opuszczając ich, ale pochyliła głowę i odeszła dużymi krokami jak chłopiec, stanowcza i zdecydowana.

- Czy to wypada, żeby ona do mnie przyszła? - zapytał Tradescant, nagle przypomniawszy sobie o dobrych manierach. - Wydawało mi się, że rozmawiam z młodym rysownikiem. Zapomniałem, że to młoda kobieta.

- Gdyby była chłopcem, wziąłbym ją na ucznia - odparł wuj Hester, odprowadzając ją wzrokiem. - Może przyjąć do waszego domu, panie Tradescant. Wiecie, że muszę jej ciągle pilnować na dworze? To bardzo irytujące. Niektórzy z tych dżentelmenów przez cały dzień piszą sonety na cześć królowej, a potem w nocy latają za dziewczkami jak rozpustnicy.

- Mam w domu taką dziewczynkę jak ona - zwierzył się John, myśląc o Frances i jej pragnieniu zostania ogrodniczką. - Powiedziano jej, że będzie musiała wyjść za ogrodnika, bo w ten sposób najbardziej zbliży się do tej pracy; ale ona sama chce zostać ogrodniczką.

- Co na to jej matka?
- Nie ma już matki. Zaraza. Malarz skinął głową ze współczuciem.
- Dziewczynie trudno dorastać bez matki. Kto się nią opiekuje?
- Mamy kucharkę, która pracuje u nas od wielu lat -powiedział John - i służebną. Ale mój syn po powrocie z Wirginii będzie musiał znów się ożenić. Mam też wnuka. Nie można zostawić tej dwójki pod opieką służby.

De Critz rzucił mu z ukosa zamyślane spojrzenie.

- Hester ma spory posag - rzucił lekko. - Ojciec zostawił jej dwieście funtów.
- Ach tak? - odrzekł John, myśląc o porozumiewawczym skinieniu głowy i pewnym kroku Hester. - Naprawdę?

544

Hester Pooks siedziała przy stole w maleńkim saloniku Johna i rysowała misę z tulipanami królowej, mrużąc oczy w blasku świec.

- Widziałam księgi z rycinami tulipanów - powiedziała. -Wuj pożyczył kiedyś jedną z nich, by je skopiować. Te mają już młode cebulki, prawda?
- Nie możesz narysować tych cebulek - wtrącił pośpiesznie John. - Nie wolno ich ruszać. Dzięki Bogu, rozmnażają się w głębi ziemi i już wkrótce będę miał dwa lub trzy tulipany zamiast jednego.
- A co robicie z dodatkowymi tulipanami? - zapytała, odrywając oczy od kwiatu, by spojrzeć na swój rysunek.

John obserwował ją; podobało mu się jej szczere, badawcze spojrzenie.

- Część ponownie przesadzam tu do nowych doniczek i trzymam je dla króla i królowej na następny rok, resztę zaś zabieram do domu i sadzę w moim własnym ogrodzie.
- Więc do kogo należą? - nie ustępowała.
- Ich królewskie mości mają rośliny macierzyste - wyjaśnił John - gdyż to oni polecili mojemu synowi, by je kupił, i zapłacili za nie. Dzielimy się małymi cebulkami. Mój syn i ja bierzemy połowę, a król i królowa drugą.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

- Więc podwajacie ich liczbę co rok? To dobry interes - zauważyła.

Tradescant pomyślał, że jest wyjątkowo bystra jak na siostrzenicę malarza.

- Ale to już nie przynosi zysków - powiedział ponuro. - W lutym na rynku nastąpił krach. Przedtem cebulki najlepszych tulipanów sprzedawano za tak wysoką cenę, że można by za te pieniądze kupić dom. Przechodziły z rąk jednego kupca do drugiego jako list zastawny i za każdym razem stawały się coraz droższe.

- Więc co się stało? Co wywołało załamanie rynku? John rozłożył ręce.

- Nie wiem - odrzekł. - Widziałem, jak to wszystko się stało; ale nadal nic nie rozumiem. To wyglądało na czary. W jednej chwili były rzadkimi i dość cennymi cebulkami, ale sprzedawano je za cenę, na jaką mógł sobie pozwolić ogrodnik, który chciał je hodować. W następnej traktowano je

545

jak perły i wszyscy chcieli je mieć. A potem całkiem nieoczekiwanie giełda w Amsterdamie jak gdyby się spostrzegła, że oszalała na punkcie tych kwiatów, i znów wyceniano je jak cebulki. Prawdę mówiąc, niżej niż cebulki, ponieważ już nikt nie chciał handlować tulipanami. A ogrodnik, który je hodował, wyszedł na głupca.

- Straciliście dużo pieniędzy?

- Sporo. - John nie zamierzał powiedzieć, że włożyli wszystkie swoje oszczędności w cebulki tulipanów. Ich bogactwo zniknęło, jakby je zdmuchnął wiatr. A on i J przysięgli sobie uroczyście, jak gdyby byli wieśniakami, że odtąd będą ufać tylko ziemi.

Hester skinęła głową i szybko naszkicowała zakrzywiony, podobny do woalki liść tulipana.

- To straszne stracić pieniądze. Mój ojciec miał sklep z artykułami dla malarzy, ale stracił wszystko, jak zachorował. Po jego śmierci nic dla nas nie zostało. Za resztę pieniędzy kupiliśmy udział w statku, który miał przyplłynąć z Indii Zachodnich. Nie przyplłynął

przez rok. W tamtym roku, kiedy najpierw sprzedalam dywan i zaslony, a potem wszystkie nasze meble i w koncu własne suknie, przysięgam, że już nigdy nie będę biedna. - Obrzuciła go szybkim, bacznyim spojrzeniem. - Nauczyłam się, że najważniejsze to trzymać się tego, co się ma.

- Jest też wola boska i wiara w Najwyższego - podsunął Tradescant.

Skinęła głową.

- Nie zaprzeczam temu. Ale kiedy człowiek sprzeda ostatnie krzesło i siedzi na małym kufierku, gdzie włożył wszystko, co posiada, zaczyna znacznie bardziej interesować się życiem ziemskim niż pozagrobowym.

Taka szczerosc przeraziłaby Jane, ale nie Johna.

- To trudna lekcja dla młodej kobiety - skomentował.

- To trudna lekcja dla młodej kobiety i dla każdego, kto nie ma zabezpieczonego bytu - odparła. Przesunęła wzrok po łodyżce tulipana i szybko nakreśliła węglem drzewnym linie na papierze. John przyglądał się jej pracy, rozmyślając.

To wydawało się absurdalnie łatwe. To nieładna dziewczyna o nieładnych rysach twarzy, pomyślał, dziewczyna,

546

która wyraża się prosto i zrozumiale. Przyszło mu na myśl, że jego żona Elizabeth bardzo by ją polubiła. Szczera, prostolinijna dziewczyna, której można by powierzyć prowadzenie małego rodzinnego interesu, rozsądna dziewczyna, która chciałaby mieć solidnego i godnego zaufania męża i niekoniecznie oczekiwałaby po nim czegoś więcej. Dziewczyna, która znała wartość pieniądza, a nie rozrzutna kobieta z królewskiego dworu. Porządna dziewczyna, która zatroszczyłaby się o dzieci potrzebujące matki.

- Lubisz dzieci? - spytał nagle. Nakreśliła kolejną gładką linie, rysując łodygę tulipana.

- Tak - odparła. - Mam nadzieję, że pewnego dnia będę miała własne.

- Mogłabyś poślubić mężczyznę, który już ma dzieci? - ciągnął John.

Ponownie rzuciła mu przenikliwe spojrzenie sponad rysunku.

- Nie miałabym nic przeciwko temu.

- Nawet gdyby były duże i biegały po całym domu i okolicy? - zapytał nieostroźnie Tradescant, myśląc o Frances i jej nieugiętym charakterze. - Dzieci innej kobiety, wychowane zgodnie z jej zasadami, a nie twoimi?

- Myślicie o waszych wnukach? - spytała, przechodząc od razu do sedna. - Wuj powiedział wam, że mam spory posag, i zastanawiacie się, czy zaopiekowałabym się waszymi wnukami. John lekko zakrztusił się dymem fajki.

- Szczera jesteś! - zawołał.

Skupiła uwagę na powstającym szkicu.

- Coś musi się stać - odrzekła cicho. - Nie mogę do końca życia podróżować po kraju z wujem, chcę mieć własny dom i męża. Pragnęłabym mieć dzieci i prowadzić porządny, niewielki interes.

- Mój syn oplakuje zmarłą żonę - uprzedził ją Tradescant. - W jego sercu może nie być już miejsca dla innej kobiety. Możesz go poślubić, przeżyć z nim całe życie i nigdy nie usłyszeć słowa miłości.

Hester skinęła głową i zrećcznie przesunęła węgielkiem po papierze, żeby ukazać delikatne żyłki na liściu tulipana.

547

- To umowa. Porozumienie, nie romans.

- Czy ci to wystarczy? - zapytał John z ciekawością. - Młodej kobiecie w twoim wieku?

- Nie jestem młodziutką panną na wydaniu - odparła dobitnie. - Jestem starą panną z parafii świętej Brygidy. Panna na wydaniu to dziewczyna, która ma całe życie przed sobą. Ja jestem starą panną, która skończyła dwadzieścia pięć lat i musi wyjść za mąż. Jeżeli wasz syn mnie zechce i będzie dobrze traktował, wyjdę za niego. Nie obchodzi mnie to, że kochał inną kobietę, nawet jeśli nadal ją kocha. Obchodzi mnie co innego: chcę mieć własny dom i dzieci, którymi będę mogła się opiekować. Gdzieś, gdzie będę mogła patrzeć ludziom prosto w oczy. A wy i on jesteście dobrze znani; on pracuje dla króla i królowa go ceni. Po rozwiązaniu

parlamentu, kiedy handel źle idzie w Londynie, można zdobyć pozycję tylko na dworze. Byłaby to dla mnie świetna partia. Wprawdzie dla niego tylko odpowiednia, ale zrobię wszystko, żeby tego nie żałował. Będę pilnowała jego interesów i jego dzieci.

Johna ogarnęło rozkoszne uczucie, chociaż zdawał sobie sprawę, że w ogóle nie powinien zaczynać tej rozmowy, że J nie jest chłopcem, dla którego aranżuje się małżeństwo, bo to już dorosły mężczyzna, który sam powinien dokonać wyboru. Ale urządzenie wszystkiego tak, jak tego pragnął, sprawiało mu wielką przyjemność i naprawdę martwił się o swoje wnuczeta.

- Frances ma dziewięć lat, a jej brat cztery. Dziewczynka potrzebuje matki, Johnny zaś to jeszcze małe dziecko. Czy opiekowałabyś się nimi i darzyła oboje miłością, której potrzebują?

Hester nadal nie odrywała oczu od tulipana.

- Tak. I dałabym wam więcej wnuków, jeśli Bóg okazałby mi łaskę.

- Nie pożyję już długo - rzekł Tradescant. - Jestem stary. Dlatego pragnę szybko zapewnić bezpieczeństwo moim wnukom i ożenić syna. Chcę wiedzieć, że pozostawiam wszystkich w dobrych rękach.

Hester odłożyła rysunek i po raz pierwszy spojrzała Johnowi w oczy.

548

- Zaufajcie mi. Będę dbać o całą trójkę, o wasz gabinet osobliwości, o Arkę i ogrody.

Zauważyła, że wyraz ogromnej ulgi przemknął przez jego twarz, jak gdyby John Tradescant dopiero teraz dostrzegł wyjście z jakiegoś skomplikowanego ogrodowego labiryntu.

- A więc dobrze - podsumował. - Po wyjeździe ich królewskich mości pojedę do domu, a ty możesz mi towarzyszyć. Powinnaś poznać dzieci i one powinny poznać ciebie, zanim posuniemy się dalej. A potem J wróci z Wirginii i zobaczymy, czy przypadniecie sobie do gustu.



- A jeśli mu się nie spodoba? - zapytała otwarcie Hester. - Nie jestem piękną. On może uznać, że mógłby trafić lepiej.

- Wtedy z powrotem odwiozę cię do wuja i nic na tym nie stracisz

- uspokoił ją John. Pomyślał, że nigdy nie spotkał tak szczerą kobiety. Podobało mu się, że nie jest próżna i mówi otwarcie, bez owijania w bawełnę. Zapytał się w duchu, czy te cechy spodobałyby się jego synowi, czy też wprowadziłyby go w zakłopotanie. - Oczywiście on również może ci się nie spodobać. Potrząsnęła głową.

- Nie jestem księżniczką z bajki, tęskniącą za miłością - odparła. - Jeżeli wasz syn może dać mi dom, zajęcie i dzieci, to wszystko, czego pragnę. Mogłabym już dziś uścisnąć wam rękę na znak zgody.

John przypomniał sobie własne małżeństwo i pomyślał, że taka decyzja byłaby wiążąca zarówno dla Hester, jak i dla J.

Jednocześnie usłyszał w myślach mądre, cyniczne słowa Cecila, zachęcające go do zrobienia tego, zawahał się jednak.

- Nie pozwolę ci postępować zbyt pochopnie - powiedział, opierając się pokusie. - Jedź ze mną do Arki w Lambeth, spotkaj się z dziećmi, obejrzyj dom i przekonaj się, czy ci to odpowiada, zanim uczynimy coś więcej.

Hester skinęła głową, znów wpatrując się w tulipany.

- Dobrze - odparła.

Podczas podróży z Oatlands do Lambeth John poczuł się straszliwie zmęczony. Droga wydawała mu się dłuższa

549

niż zwykle, a kiedy płynął promem przez rzekę, było bardzo zimno, lodowaty wiatr smagał fale i przenikał przez jego skórzaną kamizelę i wełnianą opończę. Przywieziona z wyspy Re zimnica, która atakowała go zawsze, gdy był zmęczony, sprawiała, że bolało go całe ciało. Cieszył się, że towarzyszy mu Hester, która zapłaciła przewoźnikowi i powoziła, gdy jechali do South Lambeth. Przez całą drogę dbała o jego wygodę, ale nie mogła go osłonić przed mroźnym wiatrem lub sprawić, żeby wóz nie podskakiwał na zimowych koleinach.

Kiedy zatrzymali się przed Arką, musiała mu pomóc przejść przez mostek i wejść do domu. A gdy stanęła w drzwiach, zaczęła wydawać rozkazy, jak gdyby już była tu gospodynią.

Słudzy posłuchali jej chętnie - rozpalili ogień w pokoju Johna, przynieśli fotel, żeby mógł usiąść przed kominkiem, a potem kielich grzanego wina. Hester uklękła obok Tradescanta jeszcze w pelerynie zawiązanej pod szyją. Odłożyła mufkę i rozcierała jego zimne, sine ręce tak długo, aż się ogrzały i zaczęły swędzieć.

- Dziękuję ci - powiedział John. - Czuję się jak głupiec, gdyż zabrałem cię tutaj, a teraz potrzebuję twojej pomocy.

Hester wstała z lekkim uśmiechem bagatelizującym znaczenie tej opieki. John poczuł się swobodniej.

- To nic takiego - rzuciła lekkim tonem.

Była kobietą, która w ciągu kilku chwil umiała zaprowadzić porządek w domu.

W bardzo krótkim czasie na łożu Tradescanta znalazła się czysta pościel, przyniesiono mu także miskę gorącej zupy i bochenek białego, pszennego chleba, żeby mógł zjeść obiad w swojej sypialni. Później Hester poszła do dzieci i siedziała z nimi w kuchni, kiedy jadły kolację.

Słuchała, jak z pochylonymi główkami odmawiają modlitwę po posiłku.

Mały John nadal miał złociste, jedwabiste, dziecinne loki opadające na biały, koronkowy kołnierzyk. Natomiast Frances ukryła kasztanowe, proste włosy pod białym czepkiem. Hester miała wielką ochotę wziąć oboje na kolana.

550

- Pani zawsze odmawiała modlitwy rano i wieczorem - odezwała się kucharka siedząca przy palenisku. - Pamiętasz, Frances?

Dziewczynka skinęła głową i odwróciła wzrok.

- Czy chciałabyś, żebyśmy tak się pomodlili, jak robiła to twoja matka? - zapytała ją łagodnie Hester.

Frances znów skinęła głową bez słowa, odwracając buzię, by nikt nie dostrzegł na niej bólu. Hester złożyła ręce, zamknęła oczy i zaczęła odmawiać modlitwę z modlitewnika biskupa Cranmera,

jakby nie istniał inny sposób zwracania się do Stwórcy. Hester nigdy nie była w kościele, gdzie modlono się prosto z serca, i uznałaby takie zachowanie za dziwne i niepokojące. Wypowiadała z pamięci słowa ułożone przez arcybiskupa Canterbury w czasach królowej Elżbiety I.

Frances, powoli, nie odwracając głowy ani w żaden sposób nie okazując, że pragnie, by ktoś ją objął, przesuwała się w kierunku młodej kobiety, coraz bliżej i bliżej, aż w końcu oparła się o nią, nadal nie patrząc na Hester.

Ta ostrożnie, łagodnie położyła jedną dłoń na chudym ramionku Frances, a drugą na jedwabistych lokach Johnny'ego.

Chłopczykowi to się spodobało i zaraz się do niej przytulił.

Natomiast ramię dziewczynki zeszywniało na chwilę, a potem się rozluźniło, jak gdyby Frances zrzuciła brzemień, które dźwigała samotnie. Kiedy pozostali domownicy powiedzieli głośno „amen” na zakończenie wspólnej modlitwy, Hester dodała w myślach własną prośbę, żeby mogła zaopiekować się tymi dziećmi i wychować je tak, jak by tego chciała ich matka, i żeby z czasem ją pokochały.

Nie poruszyła się po skończeniu modłów, ale stała nieruchomo, nie cofając dłoni. Johnny zwrócił okrągłą twarzyczkę do góry i wyciągnął rączki, prosząc w milczeniu, żeby Hester go przytuliła. Posadziła go na biodrze.

Ciężar dziecinnego ciała u boku i rączki chłopczyka na szyi sprawiły jej głębokie zadowolenie. Nadal nie patrząc i o nic nie prosząc, Frances odwróciła się do Hester, a ta objęła ją ramieniem i przytuliła smutną twarzyczkę do piersi.

551

John wrócił do zdrowia po kilku dniach spędzonych w domu i już niebawem siał nasiona w doniczkach i posyłał Frances do oszronionego ogrodu, żeby zebrała wszystkie kasztany, które spadły z drzew tworzących aleję.

Były tak cenne, że od jesieni do wiosny pod rozłożystymi gałęziami drzew rozścielano prześcieradła, żeby nawet jedna kolczasta łupina lub ciemnobrązowy kasztan nie zginęły w trawie.

Hester wspomniała o ryzyku poplamienia lub podarcia prześcieradeł, ale John oświadczył stanowczo, że jeden kasztan wart jest tuzina prześcieradeł i że ogród zawsze ma pierwszeństwo przed domem.

Zabierał Hester na długie spacerunki po sadzie, pokazał jej każde drzewo i podał jego nazwę. W chmurne, mokre marcowe dni pracował w oranżerii przy stole, gdzie przesadzał flance i uczył Hester siał nasiona. Pokazał jej delikatne rośliny, które trzymał w oranżerii od jesieni do wiosny, żeby chronić je od zimowych mrozów, i wyjaśniał czynności, które należało wykonać w zimie: oczyszczanie wielkich cebrzyków na rośliny ozdobne, mycie i suszenie doniczek, przygotowywanie ich do gorączkowego przesadzania na wiosnę. Jeden z młodych pomocników Johna spędził całą zimę, przesiewając ziemię do rozsadników i doniczek. Drugi przygotował wynalezioną przez Tradescanta mieszankę: do beczki pełnej wody dodał koński i krowi nawóz i wywar z pokrzyw. Miano tym spryskać każdą cenną sadzonkę.

Spędzili kilka spokojnych tygodni. Jakiś marynarz przywiózł zapakowaną partię nasion dla Johna i list z Wirginii.

- Pisz, że będzie w domu przed końcem kwietnia -przeczytał John. - Pisz to przed całotygodniową wyprawą do lasu. Ma indiańskiego przewodnika, który go oprowadza, pokazuje mu rośliny i dba o jego bezpieczeństwo. - Urwał i utkwiał wzrok w rozżarzonych węglach w kominku. - Chciałbym, żeby wrócił do domu - powiedział niecierpliwie. - Chciałbym, żeby był już tutaj i żebyśmy wszystko ustalili.

- Wróci w odpowiednim czasie - odparła uspokajająco Hester.

552

Przyszła jej do głowy zdradziecka myśl, że bardzo dobrze sobie radzą bez niego. John był zajęty i zadowolony, gabinet zapewniał niewielki, ale stały dochód, a ona każdego ranka uczyła dzieci, a wieczorem całowała je na dobranoc.

- Powinien już być w drodze - odrzekł John. - Ten list napisał przed ośmioma tygodniami. Może już być na morzu.

- Oby Bóg go strzegł i doprowadził bezpiecznie do domu -

dodała, wyglądając przez okno na ciemne niebo.

- Amen - zakończył Tradescant.

Pod koniec lutego John znów zachorował. Bolały go wszystkie kości i skarżył się, że mu zimno. Twierdził jednak uparcie, że nic mu nie jest i że dobrze się czuje.

- Po prostu jestem zmęczony - powiedział z uśmiechem do Hester. - To tylko moje stare kości.

Nie nalegała, żeby wstał z łoża ani żeby jadł. Pomyślała, że wygląda, jakby dotarł do kresu jakiejś długiej i ciężkiej drogi.

- Myślę, że powinienem napisać list do J - oświadczył cicho pewnego ranka, gdy Hester siedziała przy jego łożu, szyjąc fartuch dla Frances.

Natychmiast odłożyła szycie.

- Nie dostanie go, jeśli opuścił kolonię tak, jak zaplanował. Powinien już być na morzu.

- Nie do wysłania. Do przeczytania po powrocie. Jeśli mnie już nie będzie, żeby z nim porozmawiać.

Skinęła głową z powagą, nie starając się go pośpiesznie uspokoić.

- Czujecie się gorzej?

- Czuję się staro - odrzekł łagodnie John. - Nie wyobrażam sobie, że będę żył wiecznie, i chcę dopilnować, żeby tu, w Lambeth, wszystkie sprawy zostały załatwione, zanim odejdę. Napiszesz za mnie ten list?

Zawahala się nieco.

- Jeśli sobie tego życzyście. Ale mogłabym posłać po kancelistę, który by to uczynił. Może byłoby lepiej, gdybym to nie ja napisała ten list.

Skinął głową.

553

- Jesteś rozsądną kobietą, Hester. To dobra rada. Sprowadź kancelistę z Lambeth, a ja podyktuję mu list do J i dokończę mój testament.

- Oczywiście - odrzekła i wyszła cicho z pokoju. Zatrzymała się w drzwiach. - Mam nadzieję, że wyjaśnicie synowi, że nie musi się ze mną żenić. Sam powinien podjąć decyzję w tej sprawie,

kiedy wróci do domu. Nie jestem częścią jego spadku.

Przez bladą twarz Tradescanta przemknął figlarny uśmiezek.

- Nigdy mi to w głowie nie powstało - powiedział nieprzekonująco. Odetchnął z trudem. - Ale będzie tak, jak sobie życzysz. Poślij po kancelistę z Lambeth i po wykonawców mojego testamentu. Chcę pozostawić wszystko w jak najlepszym porządku.

Kancelista przybył wraz z wykonawcami testamentu -bratem Elizabeth, Alexandrem Normanem, i Williamem Wardem, zarządcą Buckinghama, który służył z Johnem przed laty.

- Z największą przyjemnością będę wykonawcą twego testamentu - zapewnił Tradescanta Alexander, siadając przy jego łożu. - Spodziewam się jednak, że raczej ty będziesz moim. Dokucza ci tylko reumatyzm, jak to w zimie. Na wiosnę znów zobaczymy cię w ogrodzie.

John zmusił się do zmęczonego uśmiechu.

- Być może - rzekł. - Ale dożyłem pięknego wieku. Alexander Norman przejrzał testament i podpisał się pod nim. Uścisnął rękę Johna.

- Niech Bóg cię strzeże, Johnie Tradescant - powiedział cicho. Dawny zarządca diuka Buckinghama William Ward postąpił do przodu i złożył podpis na dokumencie, który podał mu kancelista. Ujął rękę Johna.

- Będę się za ciebie modlił - rzekł półgłosem. - Będę się codziennie modlił za ciebie, jak modlę się za naszego pana. Słyszając to, John odwrócił głowę.

- Nadal się za niego modlisz? Zarządca skinął głową.

- Oczywiście - oświadczył łagodnie. - Oni mogą o nim

554

mówić, co im się żywnie podoba, ale my, jego słudzy, pamiętamy pana, którego uwielbialiśmy, prawda? Dla nas nie był tyranem. Płacił nam dobrze, dawał podarki, śmiał się z naszych błędów, wpadał we wściekłość, a potem o wszystkim zapominał. Mówili o nim źle wtedy, a teraz mówią jeszcze gorzej; ale ci z nas, którzy go znali, wiedzą, że nigdy nie służyliśmy lepszemu panu. Tradescant skinął głową.

- Kochałem go - szepnął. William Ward skinął głową.
- Kiedy pójdziesz do nieba, zobaczysz go tam - powiedział z naiwną wiarą. - Przyćmiewającego anioły.

Testament Johna został podpisany, zapieczętowany i -za zgodą wykonawców - złożony u kancelisty, który go spisał, ale Hester pomyślała, że Tradescant odejdzie dopiero wtedy, gdy po raz ostatni zobaczy swoje tulipany. Na całym świecie nie ma ogrodnika, który by nie czcił wiosny jak poganin. John codziennie siadał przy oknie sypialni i patrzył przed siebie i w dół, usiłując dostrzec cienkie kielki tulipanów, jak włócznie przebijające zimną ziemię.

Codziennie Frances przychodziła do jego pokoju z rękami pełnymi nowych pączków.

- Spójrz, dziadku, białe narcyzy już wzeszły i małe białe żonkile. Rozkładała je na kocu otulającym jego kolana i oboje nie zważali na gęsty sok spływający z uciętych łodyżek.

- Uczta dla oczu - mówił John, wpatrując się w nie. - Czy pachną?

- Niebiańsko - zapewniała go Frances z entuzjazmem. - Te żółte pachną jak słońce, cytryny i miód.

John zachichotał.

- Tulipany już wypuściły liście?

- Będziesz musiał poczekać - odparła. - Nadal mają pączki.

Starzec uśmiechnął się do niej.

- Do tego czasu już się nauczyłem cierpliwości, moje dziecko - rzekł łagodnie, choć brakowało mu tchu. - Ale nie zapomnij zajrzeć do nich jutro.

555

Hester pomyślała, że silna wola i upór Johna nie pozwolą mu umrzeć wczesną wiosną. Pragnął zobaczyć przed śmiercią swoje tulipany, chciał zobaczyć kwitnące wiśnie. Przyszło jej na myśl, że dusza starego ogrodnika nie może opuścić jego zmęczonego ciała, póki znów nie zakwitną piękne, letnie kwiaty. Ucichł zimny wiatr i przez okno wpadały coraz cieplejsze i jaśniejsze promienie słońca. Stan Johna pogarszał się z dnia na dzień. Ale Tradescant nadal kurczowo czepiał się życia - czekał na lato, czekał na

powrót syna. Pod koniec marca, kiedy Hester usiadła przy jego łóżu, powiedział cicho:

- Powiedz ogrodnikowi, żeby przysłał mi kwiaty. - Brakowało mu tchu. - Wszystkie, jakie mamy. Może nie doczekam, aż rozkwitną. Powiedz mu, żeby wsadził do doniczek parę tulipanów. Chcę je zobaczyć. Teraz pewnie już kiełkują.

Hester skinęła głową i poszła na poszukiwania ogrodnika.

Przygotowywał flance, które miał posadzić, gdy miną niebezpieczne nocne przymrozki.

- Chcę zobaczyć swoje tulipany - powiedziała mu. - Macie je wsadzić do doniczek i zanieść do niego. I naciąć żonkili, całe naręcza. Ale ja chcę, żebyśmy zrobili dla niego coś więcej. Jakie są najpiękniejsze rośliny, które wyhodował? Najrzadsze, najbardziej niezwykłe? Czy możemy wsadzić je wszystkie do donicy i zanieść mu, żeby mógł je widzieć z łóża?

Ogrodnik uśmiechnął się z jej niewiedzy.

- To musiałyby być ogromna donica.

- W takim razie kilka doniczek - upierała się Hester. - Które rośliny są jego?

Ogrodnik wskazał ruchem ręki cały ogród i sad poza nim.

- To nie jest ktoś, kto hoduje rośliny w doniczkach - powiedział wyniośle. - Tam jest jego sad: czy wiecie, ile w nim samych wiśni? Czterdzieści! I drzewa owocowe, których nikt w Anglii nigdy nie hodował, jak śliwa wąskolistna, przywieziona z Malty. Znalazł też wspaniałe drzewa do parku i ogrodu. Widzicie te ślicznotki, tak świeże i zielone z ich jasnymi igłami? Wyhodował je z nasion. To modrzewie z Archangielska, z samej Rosji. Przywiózł szyszki i udało mu się wyhodować z nich drzewa.

556

- One są martwe - zaprotestowała Hester, patrząc na ostre, pożółkłe igły przyklejone do brązowych gałązek.

Ogrodnik uśmiechnął się i ujął jedną z opadających nagich gałęzi. Na czubkach rudobrązowych gałązek tkwiły miniaturowe rozetki zielonych igieł.

- Jesienią stają się złociste jak buki i zrzucają igły niczym żółty



deszcz. Na wiosnę wyrastają nowe, świeże i zielone jak trawa. On wyhodował je z nasion, a teraz spójrzcie, jakie są wysokie! W sadach hoduje jarzębiny, ale najbardziej lubi wielkie kasztanowce zwyczajne. Spójrzcie na tę aleję wiodącą do ogrodu! Każdy z nich kwitnie jak róża, a liście ma podobne do wachlarza. To największe drzewo, jakie kiedykolwiek widziano, a on po raz pierwszy wyhodował je z kasztana. Spójrzcie na trawnik przed domem. To jakiś azjatycki platan. Nikt nie może powiedzieć, jak wielki urośnie, gdyż nikt go nigdy dotąd nie widział.

Hester powiodła wzrokiem w dół alei na wygięte łukiem, opadające gałęzie kasztanowców.

- Nie wiedziałam - wyznała. - Pokazał mi cały ogród i sad, ale nigdy nawet nie wspomniał, że wszystkie te drzewa są jego, że sam je odkrył i po raz pierwszy wyhodował w Anglii. Powiedział mi tylko, że są rzadkie i piękne.

- Są tam też zioła i warzywa - przypomniał jej ogrodnik. - Samego czosnku ma siedem odmian, sałatę, z której można uzyskać siedemnaście uncji dobrych liści, lawendę wąskolistną, korzennik lekarski. Jego kwiaty pochodzą z całego świata i rozsyłamy je po całym kraju. Trzykrotka - nadał jej swoje nazwisko. Trzykrotka Tradescanta, kwiat o trzech płatkach koloru nieba. W wilgotne dni zamyka się, tak że wydaje się, iż usechł, ale w słoneczne błękitnieje jak wasza suknia. Kwiat, który podnosi na duchu, który można wszędzie hodować. Kozłek lekarski, rzeżucha łąkowa, goryczka o wielkich kwiatach, chaber czarny, tuziny odmian geranium, jaskry, kwiat podobny do róży w lecie, zawilce z Paryża, pięć różnych odmian róży skalnej, tuziny powojników, kozieradka błękitna, ożanka właściwa, kwiaty śliczne jak stokrotki, ale lekkie niczym przebiśniegi i jego wielki różowy żonkil z setkami płatków. W samych tylko rozsadnikach tulipanów

557

mamy prawdziwy majątek. Wiecie, ile odmian? Pięćdziesiąt! A wśród nich Semper Augustus. Najpiękniejszy tulipan, jaki kiedykolwiek wyhodowano!

- Nie wiedziałam - szepnęła Hester. - Myślałam, że to tylko

zwyczajny ogrodnik.

Pomocnik Tradescanta uśmiechnął się do niej.

- On jest ogrodnikiem, podróżnikiem i kimś, kto zawsze był tam, gdzie tworzyła się historia - powiedział po prostu. - Jest największym człowiekiem tego stulecia, chociaż zawsze u kogoś służył. Pięćdziesiąt odmian samych tulipanów!

Hester patrzyła na aleję kasztanowców. Zielone pączki wydobywały się z okryw, błyszczących, wilgotnych i brązowych jak melasa.

- Kiedy się rozwiną?

Ogrodnik powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Dopiero za kilka tygodni. Zastanawiała się chwilę.

- A gdybyśmy ucięli kilka gałęzi, zabrali je do domu i trzymali w cieple?

Skinął głową.

- Mogą uschnąć i zginąć. Ale równie dobrze mogą rozwinąć się wcześniej.

- W takim razie wsadźcie tulipany do doniczek - zdecydowała. - Wszystkie pięćdziesiąt odmian. I wszystko, co może rozkwitnąć w gabinecie osobliwości lub w oranżerii. Zamieńmy jego sypialnię w mały ogród, zamieńmy ją w kwietną łąkę, z gałęziami, kwiatami, roślinami, ze wszystkim, co kocha.

- Żeby pomóc mu wyzdrowieć? - zapytał ogrodnik. Hester odwróciła się szybko.

- Żeby mógł się pożegnać.

Tradescant leżał wsparty wysoko na poduszkach, by móc łatwiej oddychać, w szlafmycy na głowie, z uczesanymi włosami. Ogień palił się w kominku, okno było lekko uchylone. Powietrze w pokoju przesyciły zapachy tysiąca kwiatów. Nad łóżem wyginały się gałęzie kasztanowców, liście już rozwinęły się z pąków. Wyżej tkwiły gałęzie buka z pączkami jak suche sopleki lodu na cieniutkich gałązkach,

558

ale każdy grubszy pączek otwierał się już, ukazując zaskakująco cukierkowe, różowo-białe wnętrza, z którego wyzierały liście. Jak

wielkie kwietniki pod ścianami sypialni stały doniczki z tulipanami we wszystkich barwach, wszystkie, jakie kiedykolwiek przywieziono z Niderlandów: szkarłatne, wspaniałe pasiaste, mieszanina czerwieni, bieli i żółci, jaśniejący tulipan z odmiany Lack, cudowny, o ostrym profilu Tulipa Australis i kwiat, który wciąż był radością Johna, szkarłatno-biały Semper Augustus. Były gałęzie krzewów różanych, ich zaciśnięte pączki zapowiadały kwiaty, jeśli tylko Tradescant zdoła pozostać przy życiu jeszcze miesiąc lub dwa. Były kępki dzwonek jak atrament rozlany na dywanie oraz białe i ciemnoniebieskie fiołki w doniczkach. A także późne żonkile z pochylonymi główkami i wszędzie w tej feerii barw i kształtów przebijała lawenda wąskolistna przywieziona przez samego Tradescanta, jej świeże, zielone listki wystrzelały spośród jaśniejszych kolców i wysuwały się fioletowo niebieskie kwiatostany.

John uniósł się na poduszkach i przeniósł wzrok z jednego doskonałego kształtu na drugi. Kolory były tak żywe i radosne, że zamknął oczy, by dać im odpocząć. A mimo to nadal widział pod powiekami płomienną czerwień tulipanów, jaskrawą żółć żonkili i błękit lawendy.

Hester pozostawiła małą dróżkę od łoża do drzwi, ale resztę sypialni wypełniały kwiaty Tradescanta. Leżał jak skapiec w złotym skarbcu, na poły utopiony w swych skarbach.

- Zostawiłem list, który oddasz J, kiedy wróci - powiedział cicho. Skinęła głową.

- Nie musicie się o mnie martwić. Jeśli mnie zechce, wówczas zostanę, ale cokolwiek się stanie, będę przyjaciółką waszych wnuków. Możecie mi zaufać, dotrzymam tej obietnicy.

Skinął głową i zamknął na chwilę oczy.

- Dlaczego nie nadaliście tym roślinom swojego nazwiska? - zapytała cicho. - Jest ich tak dużo. Mogliście sprawić, że wasze nazwisko wymawiano by wiele razy dziennie w każdym angielskim ogrodzie.

559

Tradescant uśmiechnął się lekko.

- Ponieważ to nie ja powinienem nadawać im nazwy. Ja ich nie stworzyłem, tak jak cieśla robi słup podpierający schody. To Bóg je stworzył. Ja tylko je znalazłem i przywiozłem do Anglii. One należą do wszystkich. Wszystkich, którzy je kochają.

Zdrzemnął się na kilka chwil. W ciszy, jaka zapadła, Hester słyszała krzątanie w domu: szelest miotły chłopca zamiatającego podwórze i ciągły szmer z gabinetu osobliwości, gdzie zwiedzający oglądali niezwykle znaleziska. Jaskrawe promienie porannego słońca wpadały przez okno.

- Czy mam zamknąć okiennice? - spytała Hester. - Jest za jasno? John patrzył na tulipan z odmiany Semper Augustus z jego promiennymi białymi płatkami w czerwone, lśniące prążki.

- Nigdy nie jest za jasno - odparł.

Przez jakiś czas leżał bardzo spokojnie i Hester pomyślała, że zasnął.

Cicho wstała z krzesła i podeszła na palcach do drzwi. Obejrzała się na łoże tonące w kwiatach. Kasztanowiec nad głową Tradescanta wypuścił listki.

Skrzypnięcie obudziło Johna. Ocknął się, spojrział w stronę drzwi, ale nie patrzył na Hester. Jego wzrok powędrował nieco wyżej, ponad jej głowę. Na twarzy Tradescanta odmalowała się ogromna radość jak u kogoś, kto widzi osobę, którą kocha całym sercem, podchodzącą do niego z uśmiechem. Podniósł się, jakby chciał wyjść jej naprzeciw, jak młodzieniec witający ukochaną. Na jego rozradowanej twarzy wykwitł zachwycony uśmiech. Widać było, że poznał tego kogoś.

- Och, to ty - nareszcie! - powiedział miękko. Hester szybko ruszyła w stronę łoża, muskając kwiaty skrajem sukni. Pyłek kwiatowy i słodkie zapachy zawirowały jak mgiełka. Gdy dotknęła ręki Johna, zrozumiała, że jego serce przestało bić. Umarł otoczony swoimi kwiatami, witając istotę, którą kochał najbardziej na świecie.

Koniec